JULJUSZ KADEN BANDROWSKI

ŁUK

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

WARSZAWA 1919 KRAKÓW
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE
MAZOWIECKA 12, RYNEK STAREGO MIASTA 11, MARSZAŁKOWSKA 143.

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

I.

Nie jestem ładna,—myślała pani Marja, idąc plantami,— ale jestem miła...

Szła przez brunatne cienie wielkiej kasztanowej alei, przetkanej złotemi żyłami słońca. Z jednej strony, z za drzew wznosiły się piętra jakiegoś klasztoru (pewno nieszczęśliwych kobiet, — tyle ich jest! tyle ich jest!) z drugiej kładł się niziutko połysk trawników.

Patrzyła to w lewo, to w prawo, delektując się przechadzką. W istocie wszystkich jej poruszeń prężył się śmiech, że oto skończyły się długie miesiące szkolne, ustało wczesne wstawanie i wogóle to nieznośne całoroczne „odtąd-dotąd“...

Teraz będzie wszystko dla coraz większej radości...

Nawet klasztor... Małe zakratowane okienka, wgłębione w grube stare ściany... Rdza na kratach... Wytrwała rdza, przez którą wychyla się na świat zielona gałązka jedynej na całym oknie doniczki...

— Ja jestem taką gałązką — pomyślała z dumą pani Marja... Zresztą wszystko jedno...

Bo, ażeby ktoś chodził i szeleścił jedwabiem, musi widocznie ktoś inny siedzieć za kratą i chrzęścić zgrzebną kutą...

Złoty włos traw podbijało słońce niebieskim puchem, gdzieś dalej chwiały się w cieniu światła na drzewach dziwnych, zagranicznych, białych, jak śnieg, lub bronzowych, jak śpiż. Mgła poranna zlewała się z gąszczem krzewów, tworząc chybotliwą włóczęgę jakiejś opalowej radości, to przynikłej do ziemi, to tryskającej w górę olbrzymiemi kitami tęcz, w których strzygły i więzły kryształki ptasich głosów.

W głębi, na podobieństwo szarego motka, z którego

przędą się te jasności i mroki, stał spiżowy Grottgier, z kroplami rosy na czole, wpatrzony w mleczne przeciągi mgieł i złote deszcze słońca.

— Nie jestem ładna, ale jestem miła...

Nie było to właściwie pomyślane, a układało się w kochanem nieobecnem,—powszędy... W błysku obcasów dwóch dziewczynek, które przebiegły aleję, w guzikach jakiegoś ułana, w siwych wąsach starego stróża plant, w kolorowych piernikach, umieszczonych na półce budki z wodą sodową, w lśnieniu białych kudłów zabłąkanej charcicy...

Lekkie i ciche zwierze kręciło się niepewnie, łypiąc bursztynowymi oczyma na wsze strony.

Feluś, prowadzony za rączkę uczepił się matki bojaźliwie.

— On do mnie idzie ten pies, on do mnie idzie!—Zamachnął się drewnianym kółkiem.

— Nic ci nie zrobi, Felusiu, nie bój się...

Charcica stanęła naprzeciw nich obojga, cicha, błyszcząca w słońcu, jak srebro...

Feluś skurczył się jeszcze bardziej, lecz pociągnięty, poszedł odważnie naprzód. Pani Marja, mijając stropione, bezpańskie zwierzę, zanurzyła rękę w jego kudły. Były gorące i suche...

Dodało jej to odwagi. Tłomacząc więc Felusiowi, że zwierzęta „są tak samo dobre", jak ludzie, tak samo mają dzieci, bywają głodne i muszą spać,—myślała w świeżości poranka, w powadze czarnych pni, w przelocie cieniutkiego błękitu, naraz o wszystkiem i o niczem... O swej fjoletowej sukni z jedwabnej mory, która szeleści podrzucana płynnym krokiem, o doskonale dziś naciągniętych, jedwabnych, fjoletowych pończochach...

(Mówią, żeby nie kupować u żydów, a jednak na Grodzkiej są tańsze i taksamo dobre).

O tem, że człowiek czuje się naprawdę sprawiedliwym, gdy ma na sobie czystą bieliznę... Uśmiechnęła się na myśl o tem, coby było, gdyby takie zdanie powiedzieć w salonie...

Że jest miła i inteligientna... Nie sztuka dużo umieć, ale zawsze mówić rzeczy na czasie, które wszyscy rozumieją i na które każdy chce coś odpowiedzieć, to jest!...

Błyszczało to ku niej z końca lakierowanych półbucików, rytmicznemi iskierkami.

— Czy ty kochasz swoją mamusię, Felusiu?—Idąc pochyliła ku niemu twarz, by popatrzeć prosto, oczy w oczy.

Kiwnął potakująco głową, jak się kiwa z radości, przy legominie.

— Mamusia ci poprawi kołnierzyk.—Pochyliła się, aby mu przekręcić na środek białą krawatkę, przypiętą do wykładanego kołnierzyka a także z tą przekorną myślą, że na jej silnie odznaczoną w pochyleniu nogę, patrzy jakiś pan w tenisowym ubraniu...

Krawatka nie dała się poprawić. Trzeba było przykucnąć, zwłaszcza, że Feluś się niecierpliwił, wyciągając w górę szyję z pod gorących palców matczynych.

Idący z tyłu chart, mimo, że stanęli mu na drodze, nie zatrzymał się a dalej dążył prosto przed siebie. Zaś szedł tak cicho, że zajęta tą krawatką, nie zauważyła pani Marja, gdy zbliżył się do nich. Nagle owiał ją ciepły oddech, pachnący surowem mięsem...

— Fe!—Uniosła głowę, spotykając na wysokości swych ust spiczasty pysk psa i jego złote źrenice, wpatrzone z pobłażaniem w jej oczy...

— Obrzydliwy pies!!! — krzyknęła.

Zaś chart odskoczył gwałtownie i cicho w tył jednym susem, aż się oboje wzdrygnęli...

Otrzepała sobie z tego oddechu biały żabocik i poszli dalej. Tłomaczyła Felusiowi, że charty są głupie, podczas gdy inne psy są mądrzejsze, bo mają węch. Charty węchu nie mają, ale szybko gonią i duszą zające.

— Tak szybko, jak lokomotywa? — zapytał.

— Prawie tak, jak lokomotywa.

Puścił jej rękę i pobiegł, robiąc ramieniem, niby tłokiem parowozu. Hucząc głośno, zatrzymał się przed dużymi sztachetami.

— Czemu one otwarte, mamusiu, te parasole? — Wyciągnął rękę i malutkim tłustym palcem pokazał kilka czerwonych parasoli, pod którymi w ogrodzeniu restauracji poustawiane były stoliki.

Nie bez uczucia dumy spojrzała pani Marja na ogródek restauracyjny. Wyglądało tu tak, jak sobie zawsze wyobrażała życie na wielkim świecie... Tam, skąd przychodzą żurnale mód, gdzie panie piją czekoladę na różowych atłasowych kołdrach, w srebrnych filiżankach...

Ziemia była wysypana malutkim, białym żwirem. Stołki

lakierowane na biało, z oparciami tak wygiętymi, że można na nich siedzieć wygodnie, a wyglądać wyniośle.

Blisko siebie ustawione, podobne były zdaleka do cieniutkich kromeczek białego sera.

W głębi ogródka, poza arkadami weneckich okien, widać było wypięty grzbiet połyskujących kontrabasów. Pani Maryśka myślała teraz z tryumfem o tem wszystkiem, co razem wzięte, poczynając od żwiru a kończąc na zapachu kotletów i muzyce, nazywa się restauracją Drobnera, lub poprostu samym „Drobnerem“.

Przecież, zwalczywszy wielokrotnie tę pokusę, mogła była w ciągu tego roku czynić oszczędności, i dojść do tych jedwabnych pończoch, żabotu, glacées rękawiczek...

— Albo chodzić do Drobnera, — mawiał mąż, — albo popierać matołka...

Matołkiem nazywała się skarbonka gliniana, w postaci niemieckiego młynarza, w tabaczkowej szlafmycy na głowie, w zielonych spodniach, z rozporkiem poniżej grzbietu.

W rozporek ten wkładało się zaoszczędzone drobne monety.

(Wszystkie drobne są dla matołka, Ździchu!).

Pani Marja wkładała tam także srebrne korony, lecz Żdzich nigdy się tego nie domyślił. Ona nazywała skarbonkę Hansem, a mąż matołkiem, dlatego, że za pieniądze w nim uzbierane miało się kupować stroje dla żony... Der dumme Hans!...

— Ładniebyś ty biedaku wyglądał,—pomyślała z rozczuleniem o mężu, — żeby twoja żona chodziła po ulicy, ubrana za same tylko pieniądze matołka. Zebrał ją pusty śmiech... Szłaby więc teraz przez planty w kapeluszu, bucikach, pończochach, a zresztą, jak ją Pan Bóg stworzył... Mogłaby to zrobić łacniej, niż niejedna aktorka, za którą mężczyźni szaleją...

Bo może chodzić bez gorsetu i niczego nie potrzebuje sobie podtrzymywać...

Z jakiejś wieży uderzył parę razy głos godziny.

— No, już-eś się napatrzył, synusiu, bo się spóźnimy!...— Wzięła go za rękę i rzucając przelotne spojrzenie na dwóch siwych panów za stolikiem, którzy uniósłszy wysoko brwi, pakowali do ust obmoczone w kawie rogale, skręciła w prawo, na plac Szczepański.

Po asfalcie gościńca mijały dorożki. Lakierowane szpry-

chy czarnych kół błyszczały w obrocie, jak białe gwiazdy. Z boku, przy muzeum Sztuki, kurzył na ulicę i na cały jarmark olbrzymi kocioł z rozpuszczoną smołą. Niebieski, ostry dym karbował fale powietrza, osmalał strapioną twarz patrzącego z muru Matejki, sięgając aż do płaskich golasków, którzy byli wymalowani pod dachem budynku...

Na widok wielkiego ruchu, pstrych chłopów, bab, czarnych żydów, wozów, jarzyn, kwiatów, hałasu i jazgotu zaczął Feluś radośnie wymachiwać swym drewnianym kółkiem...

Pani Marja zmrużyła oczy od blasku słońca. Daleko, naprzeciw niej, w złotych drgnieniach kurzu wznosił się kościół Marjacki, skrzący szczerbami ciemnych cegieł, jakby był cały z bronzowego aksamitu. Niżej, zda się tuż nad szarem brukowiskiem Rynku, lśniły przewody tramwajów elektrycznych, niby srebrne struny, huczące głośno w siwem powietrzu.

Widok ten przepełnił jej serce nagłą, bezinteresowną wdzięcznością. Chciała, aby to i Feluś zobaczył.

Zadarł głowę do góry, ale nie mógł nic dojrzeć. Więcej go zajmowali chłopi w czerwonych i niebieskich kaftanach, kręcący się gwarnym polnym rojem w wąskiej ulicy i na placu.

Panią Marję pociągnęło trochę, żeby wejść na targowisko i popytać o ceny. Bo czy Nastusia nie bierze trochę za dużo koszykowego?...

Stanęła nad brzegiem gościńca i ważąc się z lubością na szpicach swych nowych pantofelków, zdecydowała w końcu, że lepiej być wcześniej w konserwatorjum. Weszła do bramy gmachu.

Dopiero na schodach spostrzegli, że chart cichutko idzie za nimi....

Feluś z krzykiem przytulił się do matki.

— Poszedł pies! Głupi pies! Poszedł!!!...

Zwierzę, jakby wichrem porwane skoczyło w tył.

— On już nie wróci synku... — Przystanęła na drugiem piętrze.

— Mamusia nie może iść tak prędko?

— Nie może.—Nie chciała się zgrzać i spocić.

— Co się tu robi mamo?

Za wszystkiemi drzwiami, we wszystkich ścianach poruszały się szybkie, dźwięczne głosy...

— To jest konserwatorjum synku, tu się ludzie uczą grać.

— Ludzie?—spytał zdziwiony.

— No ludzie, chłopczyki i dziewczęta.

W korytarzu trzeciego piętra świeciła się elektryczność. Naprzeciw nich szedł z wąskiej lakierowanej głębi ścian, nauczyciel ze skrzypcami w ręku.

Rude jego włosy z rozdziałkiem w pośrodku, mieniły się fjoletowo-szarą poświatą, naprzemian w świetle lampek i w blasku dnia, bijącym z otwartych sal. Szkła ćwikiera zakwitały lśnieniem to złotem, to srebrnem. Twarz oświecana, na przemiany, z góry elektrycznością z boku słońcem, zdawała się wykrzywiać, raz wzdłuż, raz w szerz... W tem mijaniu policzków z prawa w lewo i naodwrót, można było dojrzeć dziecinny nos, pod nim zaś duże blade wargi. W rękach złożonych na piersiach niósł skrzypce, podobne do uwędzonego korpusu jakiegoś płaza...

— Jak się pan ma, panie Ramkie? Cóż pan tu robi?

— Uczę, proszę pani... Kiedyś nas uczono, teraz my uczymy.. Czas leci...—Pogłaskał Felusia pod brodę.

— Szukam tu klasy profesora Kałuckiego?

— Czemuż nie mojej, droga pani?... Ale jeszcze i na mnie może kiedyś przyjdzie czas...

Profesor Ramkie chodził razem z panią Marją do szkółki ludowej na wsi. Stąd znali się od dawna.

— Na wszystko przychodzi czas, profesorze... Więc drzwi Kałuckiego?

— Na lewo 8 numer,—gwizdnął falsetem i skłoniwszy się, poszedł dalej.

Weszła na lewo, w drugie drzwi. Zatrzymała się zaraz przy wejściu, aby nie przeszkadzać... W pośrodku sali stał gruby profesor Kałucki, z zamkniętymi oczyma i otwartemi okrągło ustami. Jego twarz nieruchoma i tłusta drgała ustawicznie w takt poruszających się warg, z których płynął niski, słodki głos i przepełniał pokój dźwięcznemi falami.

Po prawej stronie profesora tkwiły dwie śpiewaczki, po lewej jej mąż, Ździch i jeszcze jakiś pan. Wszyscy pochyleni naprzód, patrzyli z nabożeństwem w okrągło rozwarte usta profesora, z których (jak się Kałucki wyrażał czasem przy piwie) płynęła nieoceniona małmazja basu...

W głębi na ławce siedziały uczennice, dawna znajoma,

Janina, przy fortepianie przyjaciółka profesora panna Stanisława.

Nagle począł Kałucki w obie strony szpikować powietrze zaciśniętemi pięściami, podbródki mu się zmierzwiły, po fałdach kawowych spodni zbiegały szybkie zmarszczki...

Śpiewacy głęboko wciągnęli powietrze...

Ździchowi zadrgał w źrenicach gorący znak porozumienia...—Spostrzegł żonę i syna. Ruchem brwi dał wyraz podziwowi (takie stroje, takie szyki!) lecz zaraz światło cieplutkiej radości zgasło mu w oczach. Pozostała tylko ostra iskra uwagi...

Podeszew profesora kłapała coraz wyraźniej, fortepian wydobył z siebie mnóstwo tonów lżejszych, niż muszki, i nagle na niskiej nucie profesora rozlał się akord czterech głosów.

Było to tak piękne, jakby złota zorza wybuchła z piersi śpiewaków...

Feluś skrył twarz za suknię matki i upuścił kółko drewniane, które, na szczęście udało się w porę chwycić pani Marji.

Słuchając, patrzyła na męża z rzewną radością. Masz biedaku, za cały rok twoich sztubaków, godzin i zadań... I jeszcze dziś wieczór będziesz mieć twoje kotlety cielęce z mizerją... Aż mu się głowa kiwa od tego śpiewania... A jakto uważać musi przy tych tonach i marszczyć czoło!...

Fortepian ucichł zupełnie.

Twarzy profesora nie można było dojrzeć, tak się świeciła od potu. Tylko w środku jego grubych policzków, czerniło się aksamitne kółko otwartych ust. Cały rytm kompozycji przebiegał mu ostrą zmarszczką w dół, po spodniach, a ważniejsze takty znaczyło odchylenie się marynarki.

Z jednego boku dziergały coś cienkie głosiki kobiece, zaś w przeciwną stronę ciągnęły dwa męskie i tenor Ździcha, mocny, jak szpagat.

Przestraszyła się, że mu się głos urwie, bo coraz wyżej intonował. Z ciemnej brody, razem z głosem wydymały się w górę kosmate, nabiegnięte krwią policzki, a z tych policzków wychodziły na wierzch poczciwe, niebieskie oczy... A przed tymi oczyma, uciekały, aż na szczyt białego czoła grube, twarde brwi...

I tak całą twarz natężoną, jakby coś zbierało coraz wyżej, aż ku tym srebrnym puchom które, płynące z okna światło, rzucało na włosy śpiewaków. Czerwone, niby lepkie od

głosu usta Zdzicha, zwierały się i rozwierały na rzędzie białych zębów.

Pani Marja wpatrywała się z coraz większą radością w ich ruch...

Łap wargami tę swoją radość, nie daj się Zdzichu!

Cieszyło ją niezmiernie, że jest wysoki, silny, że wystąpił dziś w nowym żakiecie... Teraz mu przebaczała te straszne ćwiczenia śpiewu i wszystkie popołudnia niedzielne, w czasie których nie mogła się nigdy zdrzemnąć...

Kawałek kończył się widocznie, bo śpiewali coraz prędzej i skoczniej. Niewiadomo dlaczego, wśród radości tych głosów, ukazała się jej twarz Ramkiego, centkowana piegami, to pozioma, to wydęta, to pionowa, to płaska, z błyszczącym kadłubkiem skrzypiec u dołu...

Skończyli.

Z ławek rozległy się oklaski, panna Stanisława wstała od fortepianu, krzycząc, — doskonale, doskonale!

Kałucki otarł sobie twarz chustką, uściskał śpiewaków i zanosząc się grubym, tęgim śmiechem radości, ucałował ręce pani Marji.

— Nie mogę, nie mogę,—huczał swą basową małmazją,— nie mogę wytrzymać, ile razy słyszę ten kwintet!

Pani Marja nie wiedziała, co to za kwintet.

Kałucki uderzył się ręką w udo, aż kurz poszedł ze spodni:—Kwintet z Carmeny Bizeta, perły, szampan, koronki! I doskonale poszło, słowo wam daję, trzymaliście się!

Nie mógł się uspokoić. Ta czysta, przedziwnie ostrej jasności pełna muzyka, zdawała się elektryzować jego tłuste ciało.

— Ja się proszę pani czuję potem, jakbym się w strumyku górskim wykąpał!

Rzucał się w prawo i lewo, rozpychał szary bukiecik wątłych uczennic, rozmazywał palcami kurz na fortepianie.

— Teraz, — wołał, — powietrza, widoku, spaceru, szyn, tramwaju, i jeść, jeść! Kto idzie do Czarnego Osła?! Rok szkolny skończyliśmy, kto niema głosu, temu go nie zrobią, kto ma, temu go kto inny zrobił!.. Zaczynają się wakacje!

Znowu zwinął usta w aksamitne kółeczko i jakąś wielką frazą otoczył cały pokój.

— Boski człowiek!—Zdzich witał się z żoną. Podniecony śpiewem, przykładał jej mocne, trochę wilgotne ręce do twarzy i czoła, równocześnie sadzając sobie chłopca na kolana.

Pani Marja gładziła męża po włosach.—Nie wiedziałam, że ty takie trudne rzeczy umiesz śpiewać... Ho ho, zaimponowałeś mi...

Było mu gorąco od tego szczęścia, jakie słodką równowagą rozpływało się po całem jego ciele. Wychylił głowę z okna, patrząc prosto w górę, na złotoniebieski błękit... Widział równocześnie przed sobą, tak, jak chyba rośliny widzą swe własne liście,—swą żonę i dziecko... Czuł na kolanie maleńkie uda swego chłopczyka, czuł głowę synka wystraszoną i zakłopotaną na swej wesołej, męskiej piersi...

Marja stała przy mężu, zgartując mu włosy ze skroni, oparłszy swe miękkie, pełne gibkiej ruchliwości kolana o jego nogę.

Nie wstydził się nic, że się we troje objęli prawie i że chłodzą się teraz w oknie pod płatkiem czystego nieba. Na to się uczył, na to pracował, na to kończył swą „historję i gieografję"... Na to wogóle było wszystko...

— Więc powiadasz, — przypomniał sobie przecież, że Maryśka jest w nowym, tak dawno zapowiadanym kostjumie,—powiadasz, że matołek stanął na wysokości zadania?!— Dotykając prawie żoninej piersi, podrzucił dwoma palcami, leciutko, białą piankę żabotu.

A potem, niby odsuwając Maryśkę od siebie rękami i naporem kolan, spytał syna:—Feluś powiedz, kto to jest ta pani bogata, w tym kapeluszu, w tej spódniczce na twarzy (tak Feluś nazywał woalkę). — Czy ty znasz tę panią w nowych pantofelkach?... Powiedz, może znasz?...

Feluś skłonił głowę na piersi ojca i rzekł grubym głosem, zamykając wstydliwie oczy:—To jest mamusia...

— Ależ nie może być! Ta pani w tej fjoletowej marynarce, w tym fraku! przypatrzże się dobrze? Z tymi białymi wyłogami na rękawach?! To ma być mamusia?!..

— To jest moja mamusia...

— Widocznie nie znam twojej mamusi... Jakto?! Ten pan w białych wyłogach, białej krawatce, z zegarkiem w kieszonce,—jest to chyba jakiś żołnierz, dragon, marynarz, kapitan okrętu, ale nie żadna mamusia?...

Feluś pochylił się ku niej, objął ramionami przez biodra i złożył głowę w ich zbiegu, na fjoletowym jedwabiu sukni:—Jest mamusia, bo chodzi w sukni...

Wtedy porwał go z kolan ojca Kałucki, rzucił w powietrze, złapał i straszliwie wyszorował nieogolonymi policzkami.

Potem oddał naperfumowanym uczennicom, wsród których przerażony chłopiec znalazł się niespodzianie, jakby wśród nadmiernie wybujałych, fantastycznych roślin, o ludzkich twarzach...

— Zaraz poznać, że to też ojciec,—zauważyła z sympatją Maryśka,—biedne człeczysko. Co prawda oboje pracują, jak konie...

Wszyscy dobrze wiedzieli, że profesor ma gdzieś na prowincji żonę i pięcioro dzieci. Że pracuje tu na nich w mieście, razem ze swą przyjaciółką, pianistką, panną Stanisławą.

— „Biedne człeczysko"—w ustach pani Marji miało dużą treść polityczną... Znaczyło to bowiem, że ona, ślubna żona, dziś przynajmniej, nie potępia profesora i jego wolnego związku z „tem", co każda służąca nawet, może bezkarnie nazwać „kochanicą"...

— Więc w takim razie,—krzyknął głośno Ździch,—idziemy na śniadanie do Czarnego Osła!

— Idziemy!

Wszyscy poczęli się ubierać, profesor zaś zamknął na klucz fortepian i puścił stojący na nim metronom.

— Już mu nie wiele brakuje,—objaśniał Kałucki,—zaczekamy aż skończy,—dobrze? Po co ma być sprężyna naciągnięta przez całe lato?!

— Oczywiście, oczywiście,—huczał któryś z uczniów,—sprężyn po próżnicy nie naciągać...

Stanęli półkręgiem naprzeciw fortepianu i okna. Z czarnego stożka metronomu wychylało się miarowo stalowe wahadło, obarczone na końcu trapezem ciężarka.

— Cicho! — Zakomenderował Kałucki. — Wysłuchajmy rzetelnie, jak się kończy rok szkolny...

Zgrupowani swobodnie, kto z kim chciał blisko, daleko, czy pod rękę, patrzyli z uśmiechem, jak z czarnej piramidki wychylało się śmigłe żądło, zakończone niby główką niebieską... Godziła ona miarowo, z suchym trzaskiem, to w jedną, to w drugą część nieba, płynącego za oknem...

— Profesor trząsł czupryną i przedrzeźniał, uczennice groziły metronomowi, zaś wszystkich onieśmielało milczenie i twardy, skryty trzask, długość ciszy mierzący...

Zdzich przerzucił nieznacznie rękę przez biodro żony i przycisnął ją do siebie. Nie myślał, ale uświadomiło mu się to falą drogiego ciepła, że jeszcze jeden wspólny rok

ich wzajemnej młodości, właśnie mija, w słońcu zaczęty, w słońcu skończony...

Maryśka patrzyła ciekawie, jak coraz dłużej i cięże toczy się niebieska główka z boku na bok, jak coraz wyraźniej gnie się stalowy średnik na gorącym błękicie nieba...

Wahadło upadło w kąt. Jeszcze raz wolno, falując, dźwignęło się ociążale, na środek. I z cichym trzaskiem, w którym słyszeć się już dały luźne sprężyny mechanizmu, stoczyło się znów w drugą stronę...

Ja nie chcę, nie chcę! Boję się!!!—wrzasnął Feluś ze łzami w oczach. Wypuściwszy kółko z palców, obiema dłońmi zakrył sobie twarz...

— Panie wybuchły śmiechem, metronom skończył swą metę... Profesor Kałucki sapnął radośnie, ukłonił się pustym ścianom klasy,—i tłumnie wyszli, pocieszając przestraszonego chłopca.

— Na chodniku część towarzystwa pożegnała się. Uczennice nie miały czasu, nie mogły,—mamy na nie czekają w domu...

— Ostatecznie zostali prawdziwi grenadjerzy.

— Same pijaki, proszę ciebie,—Kałucki zapominał się stale i w towarzystwie mówił Stanisławie ty,—same pijaki, prawda?—Prawda bąku?!

— Tak, tak!—zawołał Feluś, dla dodania sobie animuszu, ja też będę pić wodę sodową z sokiem! Trzy szklanki!!

— Aż trzy szklanki?—to pękniesz!—Kałucki wziął go za rękę i poszedł przodem, za nimi Marja ze Stanisławą (niech ma, jakbyśmy obie były legalnemi żonami), dalej Zdzich i nauczyciel ludowy, Smolarski.

— Nikt nie rozumiał poco wogóle przyszedł dziś do konserwatorjum, do kogo miał interes i z kim chciał gadać...

Jeszcze dalej, z tyłu za nimi, szła Janina, aktorka, z zawołaniem, czy pseudonimem z epoki Bolesława Chrobrego, czy też z turniejowym godłem, czort tego sam nie mógłby spamiętać, więc Kałucki nazywał ją poprostu „Starą Baśnią“.

Może właśnie dlatego, że była młodziutka i świeża.

— Kupował coś przy straganach, zaś reszta towarzystwa kręciła się za nim bez celu.

— Właściwie, co pan kupuje profesorze i co my tu z panem robimy?!!—Obstąpiły go naraz uczennice.

— Co ja kupuję? — Wziął za czub duży pęk marchwi i podniósł w górę, niby skalp. Blask słońca oksydował przyschniętą na nich ziemię.

— Ja tu, panie, moje złoto, skarby kupuję...

— Gruba baba miejska zatrzęsła podołkiem ze śmiechu, inne jej przywtórzyły.

— Ja się tu, proszę panów, wskazał rękami dokoła,—uczę mego starego Krakowa! Tu się on rodzi w marchwi, burakach, ziemniakach, tu siedzi!

— Zbili się w gromadkę, a przekupnie i kupujący, mniemając, że się tam coś stało, otoczyli ich kołem.

Profesor z pełnemi jarzyn kieszeniami, sam czerwony z gorąca, jak marchew, gadał i wiercił się wkółko, ogarniając rozkochanym wzrokiem małe daszki straganów. Gadał żartobliwie... Chciał to jakoś razem zmieścić, objąć słowem i niczego nie pominąć...

Suta małmazja basu gorącą falą sączyła się w drgające powietrze.

Małe daszki straganów z starego gontu, którym czas pobożnej użyczył siwizny... Z których każdy tyle już pomieścił owocu, śmiecia i pracy, że godzien jest, by się pod nim Jezus narodził..

Wydęte, szare parasole, co błyszczą w słońcu, jak chiński jedwab, raczą ludzi cieniem, drobniutko przesianym, a we mgle marszczą się, nito duże kożuchy na kawie... A wieczorami płyną, podobne ciemnym żaglom najcodzienniejszej troski, — w sennie wyglądaną noc...

Daszki, parasole, kije pełne drzazg, śliskie chudą gładzizną, pełne podpory, bójki i grzechu... Kosze, w których skrzypi chrobot dnia i zacięta prężność wikliny, kosze, w których śpią białe piersi serów i różowi się przezroczystą powieką, łomki bruk jajek... Albo w glinianym garnku pod wilgnem niebem liści, cieniuje się połyskliwa fala karbowanego łyżką masła...

Konewki, przewiazane obręczą, jak podwiązką, proste i mocne, niczem tęgie łydy... Beczki bełkocące syrpaniem serwatki i rurkowane fryzury kalafjorów i smukłe palce marchwji i pękate guzy buraków... I te jakieś inne, duże selery, rzepy, jak stare oblężnicze kule,—te całe globusy smaku i warzywnej wonności...

Wszystko to, naprzemian tłoczyło się w słowach i gestach profesora, świeciło w jego oczach malutkich a naiwnie rozkochanych...

Najbardziej dla mnie niepojęta rzecz, — skarżył się nieomal Kałucki, gdy go nareszcie wydobyli z targu i już szli

spokojnie ulicą,—najbardziej dla mnie niepojęta rzecz, to powietrze tego miasta! Powietrze, w którem prócz słońca, mgieł, opadów i wogóle całej naukowo przepisanej astronomii,—świecą napewno szczęty starych kości... Unosi się para z dotąd gdzieś butwiejących łez... Słowem to powietrze, przez które opalowym prochem sypie się i świeci Historja... Oczywiście, panie drogi — zwracał się do Ździcha — niewiele ja z tegó mogę zrozumieć... Ale na śpiewaka, to i tak! Prawda?...

— Ździch lubił go ogromnie właśnie za tę prostotę i ciągły entuzjazm.

— Wzięli się pod ręce i nie zważając na panie, zagadani, tłukąc się wciąż o kosze i kobiałki, niesione przez baby wiejskie, rozmawiali serdecznie.

— Ździch słuchał, przytakiwał podziwom profesora, razem z nim psioczył na pomnik Jagiełły, przystawał przed opasanym zielenią, żółtym kościołem św. Florjana—a równocześnie patrzył na żonę i syna, idących przodem.

Gołe łydki chłopca, odzianego w białe ubranko, wiązały się nad brukiem, jak małe różowe filarki. Lewą stopę stawiał Feluś nie na zewnątrz a do środka troszeczkę, podobnie do matki. Więc równocześnie, nie oczyma, a jakby tajemniczem odczuciem rozumiał Zdzich pod połyskującą materją sukni, lewą stopę Maryśki, taksamo stawianą na chodniku.

— Tymczasem zatrzymał ich Smolarski.—A czy pan wie, profesorze, że pan w niewłaściwym miejscu szuka Krakowa?...

— Obaj spojrzeli na niego ze zdumieniem. Tak samo blady był w spiekocie i upale jak zazwyczaj. Właściwie całą jego twarz stanowił dziwny system trójkątów. Czoło węższe od policzków a mięsiste, trzymało się na kilku cieniutkich zmarszczkach. Oczy miał trójkątne jak przykład na „o“,— „Opatrzność“, w starym elementarzu. Usta, z wyciągniętym w górę środkiem wargi, bardzo bliskie włochatych dziurek od nosa. I broda w szpic, szarego koloru,—tej szarej maści, jaką mają na popularnych rycinach, działacze społeczni.

— Poruszał teraz blademi ustami cierpliwie i machinalnie, niby żując wędzidło.

— Jakto w niewłaściwym miejscu?

— A tak, bo w marchwi i w burakach. Zaś marchew i buraki, to młodzież proszę pana!... Wynalazł je uczony francuski około roku 1830... A przedtem?—Mówił to z głośnem chlupotaniem śliny o dziąsła, pozbawione trzonowych zę-

bów... Ani marchwi, ani buraków nie było przecież. Rosły sobie gdzieś dziko i nikt ich do niczego nie używał.

— Ależ to łajdactwo!—Kałucki zdetonował się zupełnie.— Ależ to łajdactwo. Czemuż nas o tem nie uczą?! Człowiek się już przyzwyczaił, kombinuje, wyobraża sobie!...

Smolarski stał dalej nieporuszenie, z otwartemi ustami. Śróciny jego źrenic, powleczone mgłą, drżały szybko, jak oczy ludzi, patrzących na prędki przejazd wagonów.

Z tyłu nadeszła Janina i uczennice.

— Panno Janino, wie pani,—wołał Kałucki zgorszony,— pan tu nam mówi, że dawniej wcale nie było ani buraków, ani marchwi!

I odszedł.

Uśmiechnęła się tak żałośnie, że mimo cały niesmak do tych spraw, spytał ją odrazu Smolarski, czy znowu miała jakie przykrości w teatrze.—Cóż tam znowu nowego?

— Co prawda wolałby ją wziąć pod rękę i iść cicho przez tę trzeszczącą od gwaru ulicę. A potem siąść na łące... Trzymać się za ręce i oddychać czystem powietrzem...

— Zawszc to samo, proszę pana, nie warto opowiadać... Doprawdy nie warto.

— Oczywiście nastawał. Oczywiście „tam" urządzili się tak, by już nie mogła pobrać pensji za wakacyjne miesiące.

I cały pasztet skisłych plotek i bolesnych, dziwacznych nierealności. Jak się między tym stadkiem aktorskim wałkuje opasła, szminkowana krzywda,—jedni żreją, opychają się po gardła, drudzy, patrząc na to, oczyma przewracają z głodu... Zawsze tasama gwiazda w głębi dusznych korytarzy, w notesie dyrektora, w postnym uśmiechu sekretarza,—rola... Brnie się ku temu przez najdziwniejsze przeszkody. To administrator cię chce oślinić, to „bohater" przestał ci się kłaniać... To znów błądzisz w ciemnym lesie grubych, radców miejskich, otoczonych ponurym mrokiem szacunku...

Wszystko od każdego zależy, ale nikt nie chce nic zrobić...

— Na tem polega najgłębszy sekret władzy, — rzekł z uśmiechem Smolarski.

— W końcu,—jakieś plecy kochanki dyrektora, podobno najpiękniejsze w całem mieście... — A ja nie mam żadnych pleców...

— Jakaż gra słów...

— Krytycy,—zjadają kosze ptifur na aktorskiej herbatce,

do której się muszę ubrać, żeby mnie całą było widać przez mój popisowy „krepdeszyn"...—I nic z tego.

— Smolarski bezradnie mrużył swe trójkątne oczy.

— Wszystkobym rozumiała wkońcu,—ale ci mężczyźni krakowscy...

— Wszyscy są tacy sami, proszę pani.

— Ale ci mężczyźni krakowcy chcą, żeby samej do nich przyjść... Jak koza do soli... Sami palcem nie kiwną.

— To wpływ niemieckiej kultury, proszę pani.

— Jak odrazu „nie",—to już mu się nie chce pofatygować... Myśli pan, że on biega za aktorką dlatego, że mu się aktorka podoba? Nie.

— A dlaczegóż biega?

— Dlatego, aby móc opowiedzieć, gdzie mam jaki pieprzyk i czy pantalony z boku zapinane, czy przecięte...

Smolarski zmieszał się i zarumienił.

— Tylko o to chodzi, tylko o to,—powtórzyła uparcie kilka razy...

Szli przez wielki most, pod którym, jak okiem sięgnąć, w rozstępie sędziwych murów i zamglonych wież, biegły urządzenia kolejowej stacji.

— Jedno ogromne lśniące w słońcu wytężenie!...

Janina zmrużyła oczy, patrząc z żałosną troską na białe taśmy szyn. Niby wyciągnięte nerwy, tężyły się daleko po zapylonej przestrzeni, to równoległe, to zczepione w węzły, to łukami w dal wygięte...

Nad torami, wypryskiem ostrej precyzyjnej energji, sterczały całe rzesze zwrotnic, przekładni i wskaźników. Rzekłbyś, żelazna połyskiwa interpunkcja... Po szynach jeździły pociągi, rzucające białe kity pary na szare usypiska.

Łomot kół huczał potężnie w słońcu.

— Bo proszę pani,—rzekł Smolarski, wodząc oczyma po tych równych drogach trudu, pośpiechu i dalekości — trzeba zasadniczo rozstrzygnąć, czy człowiek jest czy nie winien?...

Tyle w tym widoku było sztywnej prawdy i srogiej jasności, tyle słońca i żelaza, że przestała mówić o swej sztuce i szmatkach.

— A widzi pani tam w głębi?...—Pokazał jej pod szklanym wachlarzem peronu, między lokomotywami drżącą w srebrzystem powietrzu garść małych motyli. Mijały się chwiejnym lotem, podobne do rzuconej swawolnie kupki papierków.

— To można wszędzie zobaczyć... Niema, ani takiego momentu smutku, ani dolegliwości, ani łajdactwa tak strasznego, w którymby pani nie mogła dojrzeć, między masami żywego żelaza, wśród najstraszliwszych potęg walczących,— tych kilku płateczków białości...

— No i co z tego?—spytała niecierpliwie... Bo istotnie ciekawe rzeczy, czy kto przez takie rozważanie posunął co naprzód, stworzył posadę, dał miejsce, lub wyrobił powodzenie?...

— One są...—Bez przyczyny, bez rodowodu... Bez wytłómaczenia...

Znowu mu w ustach zaczęło chlupać nieznośnie.

— One są znikąd,—mówił.—Nigdzie nie lecą... A teraz, niech pani patrzy na te potwory.

Cztery lokomotywy wysunęły się z pod szklanego wachlarza, łamiąc straszliwe echa.

— Niechże pani patrzy, jak między tymi potworami unosi się ta mała, biała garstka...

— No i co z tego?—powtórzyła, wzruszając ramionami. Wszędzie jest coś ogromnego, a obok coś malutkiego, tu piorun, a tu zapałka, ale co z tego?...

— Za wiaduktem zebrali się w gromadkę. — Żdzich postanowił sprowadzić jeszcze jednego swego kolegę z gimnazjum, suplenta,—ale bardzo miły człowiek, ma się zresztą doktoryzować... Pisze ładne wiersze, a mieszka tu niedaleko.

— Jak się nazywa?—spytał Kałucki, jedną ręką ocierając pot z czoła, drugą oparłszy o chude bioderko panny Stanisławy.

— Nazywa się Zatorski.

— Nie słyszałem.

— Oczywiście! To jeden z młodych i absolutnie nikt niema obowiązku... Zresztą wierszy nikt nie chce drukować. Zatorski ma troje dzieci, człowiek całkiem poważny...

Gdy nadeszli z Zatorskim, całe towarzystwo siedziało za stołem w ogródku, oczekując na kurczęta. Pierwsze miejsce zajmował profesor Kałucki, przed nim na obrusie leżały wydobyte z kieszeni buraki, marchew, kalarepa, kilka ziemniaków.

— Tego się nie je... To musi być,—śmiał się.—To jest ozdobą, do patrzenia i wąchania.—Po prawej stronie pani Maryśka, po lewej panna Stanisława. I dalej przeplatanego.

Wszyscy mieli przez czoła idący odcisk czerwonej pręgi od kapeluszy, niby wąziutką wstęgę uczty...

— Tak jest,—śmiał się Kałucki,—dajcie mi się tak wyrazić!... Jak na śpiewaka, to i tak!...

Między pękatemi butelkami węgierskiego wina, wśród czerwonych wysepek rzodkiewki, między złotemi krążkami masła i czerwonym sektorem holenderskiego sera, stały trzy, oplecione zgrabnie słomą, butelki włoskiego Chianti.

— Nasze stare, kochane, zmanierowane Chianti!— wykrzyknął Zatorski.

— Więcej się po nim spodziewały wonne uczennice — po człowieku, który pisze wiersze?! Jakie wiersze? Czem? Tą żółtą, trochę nalaną twarzą?... Tymi kłaczkami czarnymi, rozsypanymi po policzkach?... Tą grubą wargą, czy oczyma, mętnymi jak ołów?... I dlaczego Chianti ma być zmanierowane?

Panie powpinały sobie polne kwiaty we włosy, za paski, lub na pierś, panowie w butonierki.

Zdzichowi było trochę żal, bo się żonie jakoś żabocik rozsunął i w białej głębi dekoltu ukazała się pomarańczowa granica jej małych, wdzięcznych piersi. Przez przyzwoitość, a właściwie przez zazdrość dał jej znak, żeby sobie to zakryła...

Sam zaś przysiadł się do dwóch uczennic, podniecony tem, że są trochę umalowane. — Ci wszyscy ludzie teatralni mają dziwnie bolesną rozkosz na twarzach, a pachną, jakby mieli przypieczoną skórę... Odurzająco pachną.

Przysiadł się do nich i chrupiąc rzodkiewkę plótł proste, celne głupstwa o mężach, księżach, grzechach, pokutach, postach, w czem wszystkiem wiele było niewinnej chęci i sztubackiego apetytu...

Tymczasem pani Maryśka śmiała się do rozpuku ze Smolarskiego, dlatego, że mu się uszy przy jedzeniu rzodkiewek tak ruszały.

— Ależ kiwają się panu, każde całkiem osobno. Mógłby ktoś pomyśleć, że żywe są i samodzielne, a pan nimi nie włada.

Przechyliwszy się przez stół wzięła — potrzymać Smolarskiemu uszy, bo przecież tak,—to panu ciężko!

Zdzich cieszył się, że żona jest swobodna i śmiał się do uczennic jeszcze weselej. Od czasu do czasu patrzyli na siebie z Maryśką bliskim, najmocniejszym wzrokiem, który znaczył:—Nic, nic. Wszystko głnpstwo, ty przecie wiesz!...

Słońce stało wysoko, połyskując błyskawicami po talerzach i szkle. Drzewa, zieloność, jakieś prochy i łuseczki starych parkanów dyszały na biesiadników poczciwem błogosławieństwem. A po alei ogromnych wierzb, wraz z pyłem ciągłego ruchu, włóczył się fjoletowy skwar. Goście chrupiąc rzodkiewkę, pogryzając pieczywem, patrzyli bezmyślnie na drogę. Pierwsza fala podniecenia minęła, w chłódku każdy już przestygł, terazby warto pojeść mocno. Wraz z odpocznieniem ogarniała zwolna wszystkich leniwa zaduma oczekiwania.

— Czy może już zacząć winko?—Właśnie, gdy Smolarski odkorkowywał butelkę, wjechała powoli na drogę olbrzymia platforma, ciągniona przez dwa czarne, rosłe konie w krakowskiej uprzęży. Słońce skrzyło się w krwawych ślepiach koni, w mosiężnych blachach i wisiorach, niebieską łuną tęczując we wstrząsie sutych grzyw. Zaś cała platforma, z ułożonymi wysoko białymi workami, tonęła w polotnej mgle sypkiego pyłu mąki.

— Ale ci jedzie chleb, jak mur! — krzyknął Kałucki z radością.

Na samym szczycie białej piramidy siedział młody chłopak w rozchełstanej koszuli. Smagła jego pierś lśniła od słońca, jak miedź.

— Dać mu wina! dać mu wina! Niech pije!

Pobiegły do niego panie, z Maryśką na czele. Usłyszawszy wołania, chłopak zatrzymał konie. Teraz jeszcze wyraźniej słychać było wesołe okrzyki kobiet. Stały na skraju gościńca, zbite w liljową kępkę. Maryśka podawała chłopcu do góry na wóz szklankę, pełną wina.

Schyliwszy ku paniom swą twarz smagłą, matową od mąki, łypał niebieskiemi oczyma, śmiejąc się wesoło.

Potem panie jakimś dożynkowym krokiem wróciły do ogródka, a na drodze znów warczał dźwięczny łomot łańcuchów.

— Żony pan ze sobą nie przyprowadził? — Maryśka spytała Zatorskiego o to przez życzliwość, a również dla kontrastu... Bo czuła się lekką, młodą, lżejszą niż piórko, podczas gdy żona Zatorskiego przechodziła ciążę...

— Mają nadejść później całą bandą—odpowiedział Zatorski. — Nim się to wszystko wybierze, umyje, otrzepie... A Zdzich tak naglił...

Zdzich stanął za stołem z butelką i kieliszkiem w rę-

ku. Kieliszek się perlił brylantowo, po kosmatym brzuszku butelki chodził złotawy cień.

Krąwatka się Zdzichowi na bok przekręciła, co mu trochę szewski wyraz nadawało, ale duża broda błyszczała świetnie.—Naglіłem, piłowałem go, żeby szedł, żeby się spieszył, bo trzeba taką chwilę, jak ta, za łeb brać, chwytać... Inaczej ucieknie... Zaczynać, brać, śpieszyć się, żyć, bo nigdy dość szybko za radością się nie nadąży...

— Mówca, mówca — wołano ze wszystkich stron. — Tak jest, nie nadąży się! Mówca! Więc już,—toast, odrazu wznośmy toast!

Nikt nie wiedział na czyją cześć, lecz wszyscy się podnieśli i wszystkie kieliszki zbiegły się w powietrzu. Utworzyła się więc nad białym obrusem ze złączonych razem kieliszków wina, jakby lampa złota, od której wielobarwną gwiazdą, szły promieniami, różowe ramiona kobiet i czarne rękawy panów.

Tymczasem służący przyniósł dwa półmiski kurcząt i kotletów i w dużej sosierce mały francuski groszek.

— Cała geografja, proszę państwa — śmiał się Zdzich nad półmiskiem. Niewiadomo dlaczego wszyscy nie rozumiejąc jeszcze dowcipu, wybuchli śmiechem. Cóż dopiero, gdy dowcip się wyjaśnił... Zdzich, jako nauczyciel geografji, rzucał swój przedmiot na pastwę zabawy. Któż to mógł zrobić lepiej od niego?

— Kto chce Cypr?—wołał, pokazując wbitą na widelec wątróbkę...—Kto chce Afrykę?!—oznaczało to tęgie półkurcze.— Kto chce Galicję i Lodomerję?!— tu ukazał się na widelcu chudy żołądeczek, jak dwa bliźnie bobki, cienką złączony przerośląą.

— My chcemy! Ja!!! My!

Rozpoczęła się żartobliwa awantura z podziałem podróbek.

— Kto chce Królestwo Polskie — wykrzykiwał dalej Zdzich (oznaczał je kotlet cielęcy, wystający z twardej kości żeberka). Kto chce Bałkan?! — Był to kurczak, na którym, niedostatecznie spojona białkiem bułeczka tarta wydęła się, tworząc tłuściutkie, złote góry i doliny.

— A ja będę walczyć o wolny dostęp do morza,—rzekła panna Janina, czyniąc aluzję do tłustego sosu, który rumianym obrębem występował po brzegi półmisków.

Wkrótce rozebrano między siebie całą zawartość dań, twierdząc, że zgodnie podzielono się całym światem...

Pani Maryśka dumna była z męża. Zdzich, jak chciał, umiał oczarować całe towarzystwo i mało kto mógł mu dorównać. Właściwie nie spotkała nikogo, ktoby się mógł z nim mierzyć...

Przy jedzeniu stół ucichł. Słychać było tylko soczysty chrzęst krajanej sałaty, dźwięk naczynia i ciche zapasy dobrze wychowanych konwiwów, z trudno dającemi się rozdzielić częściami kurczęcia.

Ale w tem nieszczęściu pani Maryśka dopomogła wszystkim. Zamachawszy pod stołem radośnie nogami, oznajmiła uroczyście, iż wie, że nie je się palcami, ale z drugiej strony, nie codzień są kurczęta i nie codzień jest się na obiedzie w Czarnym Ośle...

To dało hasło do pogromu i większej swobody w jedzeniu. Wszyscy łamali kostki w palcach, a Kałucki wysysał smukłe, różowe stawy i kolanka, aż gwizdało.

— I nie próżnujcie — wołał, — popijać, popijać! Na powietrzu zaraz alkohol paruje!

Lecz panna Stanisława patrzyła coraz częściej na profesora z troskliwym niepokojem... Pił kieliszek za kieliszkiem, czerwieniejąc coraz mocniej.

— Paruje, paruje—wołał.—Na głos nie szkodzi, moje dzieci. Owszem, to włoskie wino nasyca gardła nerwowym dreszczem, bardzo wzkazanym.

— Ale masz koncert profesorze pojutrze.—Panna Stanisława zwróciła się godnie do konwiwów.—Profesor bierze pojutrze udział w koncercie Pieśni Ludowej w Zakopanem.

— Tak, tak, mam koncert. — Wargi jego owinęły się czerwonym kółkiem, jakby dookoła niewidzianego rogalika i z ciemno purpurowej głębi ust spłynął głęboki, pełny głos,— „sytna małmazja rozradowanego basu”.

Śpiewał jakąś piosenkę prostą, zwykłą, — z nad brzegu strumyka, czy z głębi lasu, czy z pustego pola...

Wszyscy się ogromnie wzruszyli. Uczennice słuchały chciwie, aby jeszcze coś skorzystać z metody. Zdzich zaciągał się głęboko papierosem, patrząc z osobliwym żalem radości, jaki się czuje podczas pięknego śpiewu,—na przebłyskujące za drzewami łany zboża, domki i szmat czystego nieba.

Pani Maryśka, tak jak obserwowała jakieś towarzystwo

w głębi ogrodu pod parkanem, tak zastygła w czasie śpiewu, nie oddając prawie ukłonu przyjacielowi Ździcha, docentowi Ciąglewiczowi.

Przy stoliku, pod parkanem, siedział znany redaktor, siwy opasły brzuchacz, wdowa po sławnym śpiewaku, teraz pocięta kratką szarych cieniów i młody docent Ciąglewicz, który, widocznie, między starymi odbywał jakąś uprzejmą służbę przyzwoitki. Spostrzegłszy dość późno gromadę uboższych znajomych, uśmiechał się ku nim pobłażliwie, objaśniając coś przytem podeszłej damie.

Wdowa zaczęła nagle wnikać w oczy Maryśki, przepełniać je nieznośnie, przykuwać...—Była w kapeluszu związanym białemi wstążkami pod szyją, miała twarz zieloną, zmurszałą, plechowaną... Usta cienkie, błyszczące wśród tłuszczu policzków, jak skrwawiony nożyk... Potrząsała nerwowo głową.

Mogło się zdawać, że przypomina sobie coś złego, grozi tem tajemniczo... Zimne, czerwone oczy, pod strzechą słomkowo-siwych włosów...

Pani Maryśka zmieszała się. Właśnie bowiem porównywała, jakto różnie w życiu idzie tym samym ludziom... Ździch morduje się, szarpie, mozoli,—prawda, prawda, że niby jest szlachetny,—ale taki Ciąglewicz też jest porządnym człowiekiem, nikt mu nic nie zarzuci, a wszystko ma... Żonę do wód wysyła, mieszka ładnie za miastem, jest ubrany... Wziął dobry posag. Może więc Maryśka winna jest, że u nich wszystko tak kulawo idzie?... Możeby lepiej zrobiła, gdyby nagle poprostu odeszła,—na zawsze... Na jedną sekundę, na jeden błysk chwili opanował ją lęk straszliwy, obawa niepojęta... Nie tu toczy ten śpiew łaskawe swe fale, a gdzieśindziej, w bezdennej oddali... Całe towarzystwo, profesor z zamkniętemi oczyma, Ździch z wstążeczką dymu w ustach, Smolarski, kręcący czarną kulkę ośródki w łopatkowatych palcach, rozstrzepane uczennice, stół biały, schlapany winem i kwiatami,—wszystko to siedzi w bajecznie zmniejszonym rozmiarze tak daleko, daleko,—że ona nigdy,—nigdy do nich nie dojdzie, nie zdąży...

Profesor skończył śpiewać.

Wszyscy mu winszowali. Pani Maryśka otrząsła się. Ździch opowiadał, jakie miał dziwne myśli w czasie tego śpiewu, obce, nowe świeże...

Nalano znów kieliszki.

— Nie powinno się mieć myśli przy słuchaniu,—dowo-

dził Kałucki.—Tylko wy, uczeni, macie widocznie wtedy myśli. Ja, proszę pana, gdy słucham głosu ludzkiego—tu, wyrżnął się płaską dionią w pierś, aż jękło—to słucham, jak drzewo, jak moja kamizelka... Nic nie myślę. Jeśli to dobry głos, to drżę, panie jak szyby, lub słoje drzewne...

Panna Stanisława otarła mu z potu czoło i twarz, niby małemu dziecku.—Oj profesorze, stary, kochany pijaku...

— O!—Mąż tej harpii—tu wskazał oczyma wdowę lornetującą zawzięcie, ten gdy zaśpiewał,—wierzcie mi wiedziałem odrazu, ile mam włosów na moich kosmatych łydkach, poprostu dywinacja...

Rozmowa zeszła na dziwne koleje tego przedwcześnie zmarłego śpiewaka. Jak występował z opuchniętemi już nogami... Dziś popołudniu nacinali mu je i wodę z nich puszczali. a dziś wieczorem na tych samych nogach klękał na scenie, Artysta był—panowie!..

I nagle znalazł w tem Kałucki, po raz setny, usprawiedliwienie dla swych dzieci, żony rzuconej, życia odmienionego. Drogi są różne, świat nie ten sam, a i tak zawsze śmierć na końcu...

Artysta był,—wiecie wy, co to znaczy?—To znaczy słońce, krew i łzy!...—Zbladł i łzy mu się zakręciły w oczach malutkich duże i złote, jak krople wina.—Zaś ona?...—Zniżył głos z zabobonnym przestrachem.—Ona, ta żona, to tajemnica, sfinks, samo życie, samo dwa a dwa cztery, to,—czemu nikt nigdy, żaden z nas nie da rady... Jak ono się z panem załatwi! Rozmiotła, zniszczyła po mężu wszystko,—że ślad nie został. Wieńce srebrne na szmelc, wstęgi, cały wóz wstęg,—na żydów... Partycje—na masło... Z kostjumów, z kap koronacyjnych,—kołderki dla piesków...

— Mniejsza o wielkiego kabotyna, który już nie żyje...—Zatorski był wzruszony... Czoło mu się rozłamało na kilka mięsistych wypukłości, czarne kępki zarostu zjeżyły się dziko. Blada różowość płaskich szerokich warg przeszła w siny fiolecik.—Ale toś pan, profesorze, dobrze powiedział—słońce, krew i łzy!

Zatorski powstał, aż krzesło się za nim wywróciło. Wyciągnął żółte ręce w brudnych mankietach nad stół i grożąc światu ostrym wicherkiem czarnych włosów na czubku głowy, zaczął mówić namiętnie...

Coś o braterstwie fachów. Tu są wszyscy, prawie wszyscy... Śpiewak, historyk, muzyk (tu wskazał na pannę Sta-

nisławę), młodzież i ja, pisarz. W każdym z nas—doli na dzień, niedoli na całe lata, ale nie skarżyć się! Ba! jest nawet urzędowy historyk, urzędowa wiedza oficjalna,—zawołał, wskazując na Ciąglewicza, który, przeprosiwszy swe towarzystwo, przyszedł zamienić parę słów ze znajomymi.

— Bójcie się Boga,—uspokajał Zatorskiego—ciszej trochę. Czy warto wam narzucać waszą rozległą mądrość temu małemu ogródkowi?

— Mądrość?! — Zatorski szerokim gestem ręki z lewa w prawo otarł usta, jakby z nich zbierał zakrzepły tłuszcz.— Szkoda czasu na mądrość...—I dalej—to piekące, wezbrane, ten war, który musiał wykipieć zaraz...

— Coś o altanie...—Siedzimy tu, jak w altanie, ale nie o takiej mówię, żebyście się w niej usadowili na piwo!... Tylko my zawsze, jak w altanie, my zawsze bez dachu i bez ścian, bez żadnej solidności na widoku, na przestrzał... Możesz, widzu, serce moje oglądać, jak szóstkę i jak szóstkę możesz je sobie w kieszeni nosić!..

Rozgrzana, po bratersku na łopatce spoczywająca dłoń Ciąglewicza, dodawała jeszcze Zatorskiemu impetu.

Teraz wszystkich zachwyciło, że biedni są, lekkomyślni... Dalekie wspomnienie dzieciństwa przemknęło w sercu Maryśki,—i czyste pełne słowo altana, pomięszało się boleśnie z ułamkami twarzy Ramkiego...

— Więc to jest dobrze, dobrze — pomyślała Janina, że nie ma czem opłacić mieszkania, że niema gdzie wyjechać na wakacje, że na kolację jada piklinga z bryndzą. Bohaterskie kolacje w szeleszczącym papierku... Każdy w cichości patrzył na sąsiada i pocieszał się, że sam dojdzie jeszcze do czegoś, a sąsiadowi gorzej—och gorzej...

Zaś Ździch był przekonany, że gdyby Zatorski złożył nareszcie swój egzamin i doktorat, wolałby wynajęte w murowanym domu dwa pokoje z kuchnią i wygodami, niż swą altanę...

— Zawsze bez ścian!—wołał Zatorski—bez wstydu, na widoku... A co mnie chroni i oplata? Nie wiem... Może skręcony szpagacik powoju, tych parę węzełków dzikiego wina, ta odrobina świeżości, którą każdy z nas plecie na ramach formy, właściwie starej, właściwie ciągle tej samej?..

Znów wszyscy chcieli gadać naraz. O formie, o prawdzie, ktoś zaczął od samego początku, od pierwszych doznań i chrupał przytem rzodkiewki. Panna Stanisława kiwała po-

błażliwie głową, uczenice czyniły wdzięczny hałas, a Ździch usiadł przy żonie.

Ręce ich splotły się pod stołem, niby wilgotne ciepłe łodygi...

Zatorskiego jednak przeniknęło tak głębokie wzruszenie, że chciał, że musiał jeszcze mówić... Był blady jak ściana. Jego czarne oczy paliły się szlachetnie w głębi ciemnych obwódek. Był też cokolwiek podchmielony. Wypite wino huczało w głowie rytmiczną falą wielkiej jakiejś strofy... Wszystkie kłopoty, udręki, zmartwienia, troski wszystkie pod tchnieniem letniego nieba uczty wesołej—stanęły nagle tuż, blizko... Niby maleńkie, szare gryzonie, które on chętnie, ależ najchętniej będzie żywić kawałkami, — małymi kawałeczkami własnego serca—małymi, żeby wam gryzonie łatwo było przełknąć...

Zdało mu się, że jeszcze tylko cieniutka, jak opłatek zasłona przedziela go od prawdy...—Jeszcze parę słów i rzeczywistość będzie nim, a on nią... Wszak we wszystkiem, co jest, o to tylko chodzi...

— Bo proszę państwa — prawił, z wyciągniętemi jak drogowskaz ramionami,—mnie się dzieci rodzą, a ja chcę pisać książki. Ale to nic!...

— To już nie jest takie nic, to już bardzo dużo,—wtrącił Ciąglewicz miękkim dorodnym głosem.

Nagle Zatorski uczynił ruch, jakby obejmował szeroką szafę.—Tyle książek napisać... Rozumiecie? Tak dużo... Tak, jak stoją w bibliotece za szkłem, złote grzbiety jubileuszowej towarówki naszych zacnych, zgliwiałych mamutów, tak, żebym ja, napisany, stał... I mimo to dalej, dalej, wciąż nowe... Na wszystkie okazje, święta, przypadłości, choroby, śmierci... Tak niewiele jeszcze opowiadano... Tyle jeszcze czeka!.. A znów czasem, gdy pisząc, słyszę skrzypienie mego piórą, gdy pomyślę, że ten drapiący szelest był najgłębszym głosem mego życia...

Lecz sam zaprzeczył sobie głową...

Najchętniej otworzyłbym stragan na rynku. Tam samemu sprzedawać!... Wetknąć własną książkę w obce ręce, za pieniądze! Równocześnie uważać, żeby andrusy z tyłu nie kradły... I niech się obcy przechodzeń targuje, bo to jest odwieczne, kochane... Bo w prawdziwej, codziennej wielkości musi być też szachrajstwo, jak w chlebie kminek... Kupujcie, kupujcie tłuste siemię współczesności,—kupujcie książki pracowitego pana Zatorskiego!

Kałuckiego aż do góry podniosło z radości. — Chłopie serdeczny,—wołał—gadasz jak z nut—gadaj jeszcze!

Ciąglewicz wzruszył ramionami, umoczył usta w kieliszku i pożegnał się. Wróciwszy zaś do swego towarzystwa, wyjaśniał i tłomaczył, jakby uprzystępniając wybrednym umysłom, prosty powód zabawy ubogich swych przyjaciół.

Wszyscy przepili znów,—raz i jeszcze raz, szlachetnie zmęczeni wspólnością porozumienia...

A Feluś, siedzący na ojcowskiej chustce od nosa, pod wycieńczonem pniem starego bzu, bił brawo, śmiał się rumianemi, jak jabłka policzkami i mrużył oczy. Bo opity był bardzo wodą sodową z sokiem, teraz mu się odbijała szpilką w nosie, a świat cały pryskał w załzawionych nagle oczach.

Dalej już niema nic—tylko koniec...—Zatorski westchnął głęboko. Jego zwichrzona czupryna, żółta twarz przedarta wzruszeniem, czyniła dziwne wrażenie. Jakby głowa jego nie należała do korpusu, a znalazła się nad brzydką krawatką i lokajskim półkoszulkiem, dzięki niesmacznym baraszkom srogiego nieporozumienia.

— Niech życie człowieka wciąż niesie i niesie!... Żeby mimo to, miał tyle energii, tyle sił, tyle w sobie poszukiwania, aby w pogoni za czemś niedoścignionem kończył, zdychał gdzieś daleko od swoich... Wśród obcej mowy!... Co za szczęście, pomyśleć wówczas z tryumfem,—więc wciąż jeszcze nie rozumiany?! Wśród obcych murów... Jakie zdrowie! Nie będzie starym oswojonym celom wypominać głupiej krzywdy przyzwyczajenia!...—Widać do końca niosła człowieka wielka trąba rozmachu. Panowie! Niech żyje długie życie i śmierć nieznana!—zakończył Zatorski, wzruszony do głębi.

— A ja ci żadnego toastu nie powiem.—Żdzich nachylił się nad żoną, którą przestraszyło przemówienie Zatorskiego.— Nie powiem ci toastu, bo jesteś za blisko — pachniesz... Nie bój się, Zatorski plecie, bo jest podniecony, a ja ci mówię, niech wszystko zostanie, tak, jak jest...

Ściskała go za rękę, oddychając tak szczęśliwie.

Świetliste niebo słoniło się od nadmiaru blasków baniastemi chmurami.

Teraz rozumiała Maryśka, że dobrze, iż chmury się rodzą... Chmury się rodzą na podobieństwo zmartwień. Tak, jak zmartwienia w piersiach, ważą się chmury na niebie... Aby mogła odpocząć pogoda,—jak musi odpoczywać szczęście...

— Mów jeszcze Żdzichu, nigdy nic nie mówisz, tylko się kłócisz, lub wymyślasz.—Wiedziała, że to nieprawda, ale niech myśli, że jednak trochę jest nieszczęśliwa.

Spojrzenia ich szły razem, z nad stołu, na zielone czuby drzew, na pylną drogę, na wyniosłe ukłony okolicy krakowskiej, na dalekie widoki lata i niebo...

— I jeszcze ci to muszę powiedzieć...—rzekł.

Zaś Maryśka, wziąwszy głowę męża w obie ręce, szepnęła mu do ucha:—Pijaku! winem pachniesz, jak żołdak...

— Ale nie jestem pijany—śmiał się, mrużąc białe, roztkliwione oczy.—I jeszcze jedno muszę ci powiedzieć—szepnął—że jesteś słońce... Żebym cię nie dał nikomu...—I jeszcze to muszę ci powiedzieć, że jeśli teraz powiek nie zmrużysz, jak lubię—to zacznę tu głośno krzyczeć, że cię kocham...

Maryśka wyciągnęła twarz, rzekłbyś szukając i niedowidząc... Jej długie, szare rzęsy trzepotały szybko, niby dwie lekkie, niesłychanie cichutkie ćmy, dobijające się skrzydełkami do słodkiego światła źrenicy.

Ale nietylko Maryśka i Żdzich flirtowali. Jakoś się samo wywiązało i przeplotło, że się goście parami ku sobie kłonili, nie wiele mówiąc w śmiechu i wesołości. Były to raczej porywy słów, niż one same, raczej dźwięczny przeciąg, szumiący w piersiach, wezbranych krwią i mocną poczciwością lata.

Tak samo rozmowa... Było to raczej jakieś falowanie młodych chęci, niż głosy. Uwydatniał się wśród nich wyraziście niezmiernie zawiły dyskurs Smolarskiego. Trzymał on końcami sinych palców przegub panny Janiny i prawił wielkie, niezgrabne subtelności.

— Oni wszyscy życzą tu sobie czegoś—klecił swą rzecz Smolarski—a ja zupełnie nie wiem, czego sobie życzyć... Oni widzą zawsze jakieś święto, a ja muszę zobaczyć tego kelnera, który tam stoi, widzi pani?

Spojrzeli oboje w tę stronę. Stary, .opasły kelner tkwił w ciemnych drzwiach restauracji. Jego wyświechtany frak zlewał się z czarnem tłem korytarza. Czyniło to takie wrażenie, jakby na pewnej wyżynie mroku unosiła się luzem głowa kelnera i oparta o ramię drzwi dłoń. Uśmiechał się, błyszcząc czarnemi dziurami zębów i szkiełkiem czerwonego kamienia na palcu. Tuż przed nim na piachu chybotały sine serca cieni, postrzelone krótkimi grotami słońca.

— Oni, proszę pani, będą opowiadać całe historje o drze-

wach, kwiatach, pajęczynach, a ja muszę zobaczyć—ujął silniej jej przegub—te stare głupstwa...

Pokazał jej utwierdzone na drucie między drzewami stare lampiony, brudne, żałosne, niby utytłane w kurzu cukierki...—Dlaczego ja zawsze muszę mieć takich świadków?...

— Oni, panno Janino, gadają o sztuce, a sami nie wiedzą, czego chcą. Pisarz się sili, aby mu się obraz udało sklecić, malarz szuka rytmu, a muzyk, żeby to barwę miało. Nie jest-że to ciuciubabka?...

— Co?!—To jest ciuciubabka?! My jesteśmy ciuciubabka?!—Kałucki ryknął wesołym śmiechem i puścił w Smolarskiego ziemniaka, leżącego przed prezydjalnem miejscem na kupce jarzyn, przyniesionych jeszcze z Szczepańskiego placu...

Rozpoczęto zabawę niebywałą. Panowie bombardowali się wzajemnie bez litości.

Niby maleńkie, czerwone, białe, szare komety o zielonym warkoczu, latały w słońcu, szeleszcząc młodą nacią marchwie, rzodkiewki, pietruszki.—Toczące się łabato w nieprzewidzianych kierunkach, dudniły jowialnie ziemniaki po obrusie. Ktoś trafił w kieliszek. W kilka stron rozbiegły się złote błyskawice wina, dużemi kroplami ściekając na murawę.

Panie, o ile możności cofnęły się poza obręb walki. Ujęte pod boki, naprzód przychylone, lub rzucone w tył żywą wesołością, śmiały się do łez, wołając:—patrzcie, jaka wojna, coś okropnego, można umrzeć, umrzeć ze śmiechu!!

Panowie z krawatkami na bakier, z mankietami, lecącymi w powietrze za jarzyną, walczyli zawzięcie i napróżno, bo po tak dobrem winie rzadko komu udawało się trafić.

— Można zginąć, można umrzeć ze śmiechu—zanosiła się Maryśka wśród łez, ciurkiem płynących jej z oczu.—Już doprawdy nie wiedziała, gdzie co jest od tej wesołości, czy ziemia na niebie, czy niebo na ziemi...

— Patrz,—wołała na Żdzicha—patrz na tę ogromną chmurę... Jeszcze trzeba, żeby nas do tego wszystkiego deszcz zlał!—Bo reszteczką zdrowego rozsądku we wszystkich tych zabawnych opałach czuwała wciąż nad nowym swym kostjumem i białemi wyłogami.

Najwięcej dostało się miłośnikowi jarzyn, Kałuckiemu. Wycofywał się więc, poplamiony ziemistemi piętnami w stronę restauracji, pod ochronę szklanych szyb.—Biegnę,—krzyknął—po nową amunicję.

Istotnie ukazał się po chwili z butelkami pod pachą.

— Patrzcie, jaki on bajeczny, jaki bajeczny—wołały panie, schowane za stołem.

Z zaokrąglonemi ramionami, z nogami zgiętemi od ciężkiego naporu kulistego kadłuba, podobny był profesor rzeczywiście do miękkiej sukiennej pałuby. Na jej szczycie chwiała się duża twarz, z której śmiech starł w tej chwili wszystkie rysy, pozostawiając dwie, trzy kreski zaledwie.

— Bacchus! Bacchus! Bacchus!!

Śmiano się tak głośno, że aż wdowa po śpiewaku wdziała cwikier na swe czerwone oczy.

Nagle stary jakiś człowiek w czarnym powiewnym surducie, z rozwianym siwym włosem z gazetami w teczce, wpadł przez furtkę. Zderzył się z Kałuckim, wetknął mu na piersi za kamizelkę białą zadrukowaną płachtę i pobiegł dalej, mamrocząc uporczywie.

Profesor zatrzymał się, potem jednak szedł wolno ku rozbawionemu towarzystwu.

— Bacchus! Bacchus!—wołali panowie i panie. Widząc, że nie może się teraz bronić, przyjęli go sowitym gradem furczącej w przelocie jarzyny.

Kałucki, jakby nie zważając na to, stąpał ciężko naprzód. Niedaleko stołu zatrzymał się i rzekł: Arcyksiążę... Dziś,—dziś w Serajewie zabity został następca tronu...

Butelki z głuchym stukiem wypadły mu na murawę.

— Co?—gdzie?—jak?—Nieprawda!—Będzie jakaś straszliwa awantura!... Dlaczego? Przez kogo?!

Panie uchwyciły się swych mężów za rękawy. Luzem chodzące zbiły się w trwożną gromadkę. Wszystko nabrało niezwykłego pośpiechu, niby na tonącym okręcie...

Kalucki podał Smolarskiemu gazetę. Smolarski wziął ją w obie dłonie. Rozwijając złożony arkusz nadzwyczajnego dodatku, zauważył, że taki sam biały świstek trzyma już w ręku sąsiednie towarzystwo i dalsze i jeszcze dalsze i jakaś dziewczyna pod parkanem i przechylony w drzwiach restauracji kelner.

Mięło się to już i szeleściło we wszystkich rękach.

Zaczął czytać głośno swoim klajstrowatym głosem, w którym tak nieznośnie lepiła się ślina... Wielka uroczystość, parada, przedstawiciele ludu, kraju, władz... Nabożeństwo, przegląd, samochody, zaczajony sprawca, strzały,—dużo strzałów,

arcyksiążę, arcyksiężna, trupy, wojsko, policja, minister czy wielkorządca, wojsko, głęboki cios, wszystkie ludy, zadosyćuczynienie, monarcha, dynastja...

Panie chciały widzieć odnośne ustępy telegramów, na własne oczy.

— Jakto więc co?—krzyknęła panna Stanisława.—Więc co? Mamy nie jechać do Zakopanego? Przecież koncert!

— Będzie awantura,—zacierał ręce Zatorski, — będzie chryja, jakiej świat nie widział!...

— A co sobie robią wzajemnie państwa, jak sobie książąt mordują?—spytała panna Janina.

Przeciął wszystko zdecydowany głos pani Maryśki: — Chodźmy do domu... Lepiaj siedzieć w domu na taki czas...— Zbladła bardzo.—Co sobie państwa robią?—Będzie jakaś wojna...—Zdzich! Feluś!!

— Do domu, do domu — zawołały wszystkie kobiety. I po chwili, niby ptaki do odlotu skrzydła, trzymały już zamknięte trójkąty ramion, powyżej głów, przy kapeluszach.

— A Feluś! Feluś! — zaniepokoiła się pani Maryśka. — Nigdzie go niema... Ten chłopak zawsze...

Uczuła wyrzuty sumienia, tembardziej, że nagle coś zmieniło się we wszystkiem... Jacyś niewidoczni dotychczas goście wychodzili z restauracji szybko, nie oglądając się na nikogo.

Ktoby mógł przypuścić, że taka mała buda tylu ludzi może pomieścić!... Teraz tłoczyli się przy furtce, czarną gromadką, wśród której odcinały się wyraźnie białe kwadraty nadzwyczajnego dodatku... Kilku kelnerów (ależ komu oni usługiwali, nikt ich nie widział dotychczas) śmiejąc się głośno, ubrało na fraki narzutki i poszło.

Poszli, żegnając się z gośćmi uchyleniem kapelusza, jak prawdziwi znajomi.

— Gdzie Feluś? Jeszcze zabłądzi gdzie?!

Przez ogródek przebiegły razem cztery stare pomywaczki i stanęły na płocie.

— Czy może panie widziały gdzie,—mały chłopczyk, w białem ubraniu, słomkowym, dużym kapeluszu?... Bawił się kółkiem...

Żadna z nich nawet głowy nie odwróciła.

Pani Maryśka z Janiną i Stanisławą poszły go szukać. Przecież nie wyszedł za bramę... Szybko brodziły przez wy-

soką trawę klombu, przez szpaler jakichś porzeczkowych skrzatów.

Całe towarzystwo niecierpliwiło się już...

Jedyna pociecha,—pomyślała podczas tego zmartwienia pani Maryśka, widząc płatniczego przy stole, że każdy płaci za siebie... Mój Boże...

— Ależ tu leży!!—Pierwsza spostrzegła chłopca panna Stanisława.—Niech pani spojrzy, co za ślicznotka!

Feluś spał pod starym zeschniętym pniem, między strzelistemi gałązkami wilka, złożywszy głowę w słomkowym kapeluszu, jak w złotej aueroli. Policzki miał rumiane; określone od góry cieniem rzęs, złączone u dołu czerwonym wężykiem ust, zdały się wydawać złotawy blask. Białe ubranko mieniło się w łatach słońca i cienia, płatkami ametystu i śniegu.

Zbudzony chłopiec przestraszył się.

Maryśka wzięła go na ręce.

— Chodźmy już, chodźmy,—domagały się panie.—Mężczyźni udawali zrównoważonych i wzruszali ramionami.

Panią Maryśkę irytowało do najwyższego stopnia, że Żdzich wcale się nie niepokoi, a przeciwnie dalej żartuje i bawi towarzystwo. On zawsze musi bawić innych swoim kosztem...—I po co?! To już tak teraz jest nie na miejscu... Ach, tak nie na miejscu...

Wszyscy goście wychodzili już z ogródka. Nawet stary, opasły redaktor i wdowa po śpiewaku. W skośnem słońcu, do pół przykrytym chmurami, połyskiwała jej cytrynowa twarz, tak złowrogo... Z tyłu uroczyście kroczył Ciąglewicz.

Nareszcie znaleźli się na szosie. Ostatni, za panną Janiną, zamykał furtkę Smolarski. W półobrocie, szybko mu mignął przed oczyma stół poplamiony winem, zmięty obrus, kilka wywróconych krzeseł, kilka drzewek i stare zakurzone lampiony, podrygujące żałośnie pod gałęziami.

Dążyli jak najspieszniej do tramwaju, mijając tłumy przechodniów, śpieszących ku miastu. Widać było, jak jedni powiadają drugim, jak nagła wiadomość prostuje zgięte plecy kobiet a głowy mężczyzn zadziera ku górze. Kobiety stawały w poprzed drogi, ręce splótłszy na podołkach i palce... Panowie szerokim ruchem rozwagi przekładali nowinę z ręki do ręki...

Tylko dzieci wrzeszczały jak zwykle, w rynsztokach.

Na zakręcie ulicy zauważyła pani Maryśka zdaleka, żonę Zatorskiego, z trzema chłopcami.

Zatorska szła gościńcem, pokonywując widocznie wielki

trud mała, nieforemna, żałosna... Jej ciąża uwypuklała się już znacznie, pod wydętą suknią, że widać było nogi powyżej kostek, chude i zda się przytłoczone ciężarem. Podpierała się pracowicie, nie zrulowaną parasolką.

— Jak zawsze zapóźno—mówił Zatorski, gdy ją ogarnęło towarzystwo, — my już wracamy moja kochana!

— Tak się śpieszyłam i nie zdążyłam, mój Boże... Po nabiegniętych żyłach na skroni, po forsownym oddechu i wardze górnej zroszonej potem, można było poznać, że istotnie śpieszyć się musiała. Ów pośpiech zdawał się zaostrzać cienkie a przytem dziewczęce rysy jej twarzy, wśród których niby jakaś najsłodsza nagroda, świeciły orzechowe oczy, w sinościach cieniutkiej oprawy.

— Tak bardzo chciałam zdążyć i dzieci tak się cieszyły... Może jeszcze wrócimy! Tak chciałam...

Oddech to wciąż przytwierdzał, zniżając bardzo a podnosząc niewiele, widny z odkrytego stanika płaski klinek piersi, przeciągnięty drobną siatką żył.

— Już nie wrócimy,—tłómaczył Smolarski,—już nie wrócimy, proszę pani, do Czarnego Osła. I wogóle nie wiadomo co będzie... Już nie wrócimy...

Opowiedziano jej o zabójstwie arcyksięcia i o tem, że teraz napewno jakaś wojna wybuchnie...

Rozwarłszy szeroko nozdrza, popatrzyła z prośbą na męża, tak, jakby było tylko rzeczą jego kaprysu, powstrzymać te wypadki. Zresztą nie dowierzała jeszcze...

Czarny kapelusik przekrzywił się na bok. Z pod jego obrębu wysmyknięte włosy przylgnęły do spoconej skroni.— Tak się śpieszyłam, żeby choć raz, razem... Bo to przecież właściwie wspólne, przyjacielskie zakończenie szkolnego roku... Tak rzadko kiedy...

Mijające się wzajem wozy z piwem pogrążyły ulicę w obłokach kurzu... Zatorska nie chciała jeszcze zrozumieć, a tówarzystwo poczęło sią już niecierpliwić.

— Przestańże moja kochana! — żachnął się Zatorski.

Malutki klinek cynobrowego ciała Zatorskiej uniósł się wysoko i jeszcze niżej opadł w głębokiem westchnieniu...

— Tak proszę pani,—łagodził Smolarski—śpieszyła się pani, ale nie mogła pani zdążyć... Od tego zabójstwa przewaliło się w kilku sekundach kilka wieków... Poruszył rękami, niby z zaciśniętych garści do garści przesypując piach klepsydry...

Kałucki zniecierpliwiony już i zły, podał Zatorskiej szorstko dodatek nadzwyczajny.

Rozejrzawszy się bezbronnie na wsze strony, oparła rękę na ramieniu Zatorskiego.—Ach więc znowu coś nowego...

Zostawili ją na środku ulicy z białym prostokątem gazety na piersiach, opartą o męża. Chłopcy nie rozumiejąc o co chodzi, skupili się około rodziców.

— Grupa, rzeźba, Laookon, Cios, czy jak,—ostatecznie chodźmy, jedźmy—mówił po drodze Kałucki.

Nareszcie nawinął się tramwaj. Towarzystwo kolejno się kruszyło na przystankach. Każdy szedł w swoją stronę. Im głębiej wjeżdżali w miasto, tem większy robił się tłok.

Publiczność gadała w dużem podnieceniu, świstki zadrukowanego papieru szły z rąk do rąk, szeleszcząc pod nogami. Obracały się białym wiechciem w kołach dorożek, wiatr je podchwytywał, dźwigając leniwie ku parterowym oknom... Albo w smudze kurzu leciały za tramwajem, skacząc ostrymi rogami po bruku.

Niebo się nasunęło zwaliste i ciężkie, nisko, nad dachy. Fioletowe i pomarańczowe pręgi mrocznego blasku legły na ulicach.

Zdzich z żoną wysiadł w rynku. Miało się już ku zachodowi. Przekrwiony czerwienią ratusz sterczał groźnie ku niebu z starego pospólstwa bruków. Odwieczne rany, blizny i szczerby wieżycy lśniły w pochyłem słońcu.

Gęsty tłum przewalał się po chodnikach, zaś w oknach wysokich domów łamał się zachód krwawym kryształem...

Z pod pałacu pod Baranami biegło kilku chłopaków ku Sukiennicom. Lecieli, wymachując płatami gazety, które zdaleka, podobne były do białych nadłamanych skrzydeł...

Dziwny strach ogarnął Maryśkę, gdy wysiadła z tramwaju... Tyle obcych ludzi, obcego ruchu, obcych spraw...

Zdzich polecił jej iść do domu. Sam musiał jeszcze wstąpić na wykład do Uniwersytetu Ludowego,—takiej trochę uroczystej piły, ale nie potrwa dłużej, niż godzinę...

Jak się coś ważnego dzieje, to ty zawsze musisz być po za domem! Zawsze sobie wtedy właśnie coś takiego wyszukasz!

Nic się jeszcze nie dzieje.., — Wzruszył ramionami...— Nowiny takie, czy owakie, a zobowiązania—zobowiązaniami.

Powoli znikał mu w tłumie biały kołnierzyk Maryśki i błyszczący na plecach, fijoletowy jedwab. Jeszcze prędzej

niż żonę, pochłonęła gęsta fala przechodniów białe ubranko i słomkowy kapelusz Felusia.

Właśnie teraz, gdy stracił ich z oczu, zdjęła Żdzicha tak ogromna czułość. Odczuwał silną zmysłową radość na myśl, że gdzieś niedaleko, w zmierzchającym się powoli ruchu, idzie ta wysepka jego szczęścia, radości i spokoju, schronisko kochanych głosów i najbliższych oddechów...

Był jednak zadowolony, że przyszedł do uniwersytetu. Już sam zapach budynku, kurz, pot, jakieś osobliwe przypieczętowanie, wynikłe z ciągłej ciasnoty usposobiły go przychylnie,.. Ruch nierówny i skrzętny, jaki panuje w instytucjach obsługiwanych bezinteresowną pracą.

Istotnie, wykład był ważny, a nawet trochę reprezentacyjny. Mówił profesor prawdziwego uniwersytetu Raciborski, dla nauczycieli i nauczycielek z Królestwa, czy ze szkół ludowych galicyjskich, czy dla jakiejś innej, wyższej wydziałówki.

Zresztą wszystko jedno, jak się ta paczka głodomorów ideowych nazywa...

Czy oni z Królestwa, czy z „nad Gopła", — bo na lato zawsze zjeżdżają jacyś tacy z kolebki wszystkiego,—wszystko jedno... Oni, on, Zdzich tak samo,—jeden i ten sam szary spoisty drożdż szerokich mas, pospolita przyprawa, której się prawie nie ceni, a przecie bez której nic...

Swiatło szło z otwartych na szeroki balkon okien, padając wiotkim, białym płomykiem na blade czoła i zwichrzone włosy słuchaczów.

Profesor siedział w drzwiach, między salą a balkonem, na którym dojrzał Zdzich, cały szanowny synchedrion działaczy, o tak licznych zasługach cierpiętnictwa i poświęcenia, że nikt już o nich nie pamiętał...

Przy balustradzie na tle bujnego wachlarza plant, nasycona światłem zachodu, podobna do wielkiej promieniejącej perły, spoczywała siwa głowa starego Limanowskiego. Poodal siedzieli dwaj sędziwi kompanowie partji i wygnań dalekich. Jednego Zdzich znał, nazywał się Karowski.

Drugi stary żyd, o długiej siwiejącej brodzie. Powiedziano mu do ucha, szeptem namaszczonym, że ten drugi nazywa się Kon.

Zdzich, nie słuchając wykładu, szukał w pamięci tego nazwiska i wreszcie przypomniał je sobie na jakiejś broszurze,

sprzedanej za bezcen w antykwarni, z kilku skutymi więźniami na okładce, z których już wszyscy nie żyją.

Po bokach balkonu stała przerozmaita brać postępowa, podręczni wykładowcy, prowincjonalni agitatorzy, wreszcie strzelcy w swych szarych mundurach.

Zaś, jakby ognisko, łączące salę z balkonem, błyszczała pośrodku objęta purpurą słońca wspaniała twarz Raciborskiego. Jego słowa gorące, dziwnej wędrowności pełne, mocny żar oddechu, z którym płynęły, kluczyły w skupionej ciszy słuchaczów, jak dźwięczne źródło.

Człowiek gorącego siewu, — myślał z rozrzewnieniem Zdzich—uzmysłowiwszy sobie, jak ten uczony, znający do cna najtajniejszą istotę rośliny i dziwną chimerę jej życia we wszystkich sferach, odległościach, znający jej tajemnicze pochody i odwieczne, nieme pielgrzymki po przez rozgardjasz tysięcy i tysięcy lat... Jak ten uczony pali się blaskiem płomiennego rubinu dla tych małych, pospolitych kamyków, które go tu słuchają.

Zaś z drugiej strony miło mu było pomyśleć, że ta zgnębiona a tak bohaterska bieda polska, co tyle się musiała tułać i włóczyć, ta różna siwizna, „dziadzizna“ z Syberji, dokoła świata, z powrotem do Polski dążąca, słyszy oto — jak wędrując z lodowcami, miljony i miljony lat, — zdobywała sobie roślina swą ojczyznę...

Profesor Raciborski z powodu ferji pouczał też o tem, jak ratować od zniszczenia zabytki roślinne naszego kraju, zaś słuchacze patrzyli ze skupieniem na jego głowę orlą, płonącą w ostatkach zachodu i na drzewa plant, szumiące w głębi.

Zdzicha ogarnęła nagle gwałtowna niecierpliwość i nadmierne porywy ironii. Raz mu się sztuczną, chorobliwie troskliwą wydawała treść wykładu i całe to zgromadzenie, to znów bezmyślnym i dzikim mu się zdał straszliwy zgiełk sarajewskiej awantury...

Wycofał się z sali wykładowej do czytelni, gdzie już kilku panów i parę działaczek odbywało szeptem naradę wojenną, obliczając przepuszczalne armje, oraz uśmiercając je cichutko w nieomylnej kalkulacji przyszłych bojów. Szept ten prządł się z kąta pokoju uporczywy, śpieszny i bezradny...

Czuwano pilnie, by nie puścić wiadomości do sali wykładowej, nie chciano bowiem mącić pożytecznego wczasu nauki...

Zdzich zniecierpliwił się jeszcze bardziej i wyszedł...

Chmury odpłynęły gdzieś w bok i minąwszy sine wieże, leżały pochyło za miastem, podobne do spiętrzonych złomów granitu. Przed Uniwersytetem Ludowym w dużym „kole“ na plantach biegały jeszcze dzieci, wirując splotem białych szmatek... Gonitwa małych czystych głosów więzła w dużych koronach drzew, niby lotne, rozbawione ptactwo... W głębi widać było proste płaszczyzny starych klasztorów i gęste cienie murów, nasiąknięte wieczorną mgłą...

Właściwie, chciał wracać do domu. Ale chęć ta była tak żywa i bezpośrednia, że umyślnie pragnął ją przedłużyć. Żeby się pozbyć niepokoju i niepewności poszedłby do knajpy, do Esplanady, czy Drobnera, gdzieś tak z kolegami, żeby świństwa gadać, ryczeć ze śmiechu, kapelusz na bakier zarzucić, a w gruncie rzeczy z coraz większą radością czekać i pragnąć swego cichego mieszkania...

Jednakże nigdzie nikogo nie zastał i późno już było,— noc.

Leżała nad głośnymi placami ogromna, miękka i głucha.

Trzasnąwszy więc po drodze na stojąco dwie wódki, poszedł Karmelicką do domu.

W kuchni już było ciemno, widocznie służąca już śpi. W pierwszym pokoju paliła się lampa z abażurem, obejmując sztywną rotundą czerwonych promieni nakryty na dwoje stół.

Nakryty z widoczną starannością...

Przy talerzach leżały pęki kłosów, na środku, w wazonie niebieskim, wiecheć polnych kwiatów. Obrus był odświętny, honorowy, ten sam, który kupili w zimie, nosząc się z myślą prowadzenia otwartego domu. Przy karafce przeciętej złotą blizną refleksu błyszczała w kryształowych dwojaczkach, równo karbowana sól i czernił się ciemny pieprz, — miła równowaga smaku z ostrością... Na rogu półmisek z tymi cielęcymi, „odświętnymi“ kotletami, ubrany po bokach rumianą czupryną bujnych kalafjorów.

Po całym stole, na niebieskich klingach nożów, na widelcach, na serwetkach w infuły zwiniętych, w blasku czystych talerzy, w perkalikowej głębi polnych kwiatów, na cienkim brzegu szklanek—wszędzie lśnić się zdawało wesołe oczekiwanie.

Przy otwartym oknie na bujającym krześle spała Ma-

ryśka. Zdzich wziął się aż pod boki z zadowolenia i na palcach podszedł do żony.

Patrzył długo na jej twarz ociężałą od snu, pokrytą cieniem... Trudnoby powiedzieć, że zdawał sobie jakąkolwiek sprawę z tych rysów. To, że miała ładnie wygięte brwi, zadarty nos, kaszkę pod lewą powieką, blade usta, trochę spiczastą brodę—to przecież nic nie znaczyło,..

Ale dwie, drobne żyłki, małym zgiętym kłopotem siności, przecinające skroń, lekki puch, który okrywał górną wargę, mała blizna u wierzchu czoła — (widzisz wyjmowali mnie szczypcami, tak bardzo nie chciałam przyjść na świat—wiedziałam co mnie czeka) — ale cały szereg nieuchwytnych drobiazgów sprawiał, że mogłyby się burze zmagać i światy do góry nogami wywracać:—Zdzichby wciąż pamiętał o sinym kłopocie, załamanym na skroni, bliźnie u wierzchu czoła i brunatnej kaszce pod lewą powieką...

Przez miękką falę koszuli i białej spódnicy rysowało się ciało żonine ciepłymi łukami powabu. Pełne, smagłe ramiona, połyskujące z koronkowych obłąków, sprawiały, że przecież powinienby krzyczeć z radości...

Zupełnie też nic w siebie nie wmawiał, czując, że widok jej piersi, odznaczonych na płótnie koszuli dwoma półksiężycami cienia,—rozrzewnia go.

Zaciśnięty pasek spódnicy nie przecinał zwięzłego brzucha, tylko zbierał jego wypukłość w jędrną formę zdrowego owocu.

Jedna noga zwieszała się na stopień krzesła, bosą stopą ciężąc na podłodze, druga w rozsznurowanym pantoflu opierała się na stopniu.

Zdzich odszedł na palcach do sypialni. Wpadał tam teraz blask księżyca, wysuwając na środek mrocznego pokoju dwa małżeńskie łóżka... Nie dorobili się jeszcze materaców, ani łóżek ze złotemi kulkami, na biało lakierowanych pałąkach.

Ale chełpliwa młodość przypominała mu, ile szczęścia,—jakie orgie słodyczy i wesołości przeżyli na tych słomą szeleszczących siennikach.

Felek spał pod ścianą, w swem łóżeczku. Obok, na krześle poukładane miał rzeczy, spodnie, nie wiele dłuższe od mankietów, skarpetki, a na oparciu drewniane kółko. Małą jego rękę, wysuniętą poza siatkę łóżeczka, niby z głębokiej topieli,—osrebrzał księżyc.

Zdzich przebrał się, wrócił do jadalni, uklęknął przed żoną i ostrożnie ściągnął trzewik, a potem pończochę z małej ciepłej stopy. Elastyczna pięta spoczęła nieznacznie w jego gorących dłoniach. Zacisnął ją lekko w palcach, patrząc pod górę.

Ileż razy podkładał swą czupryną pod tą różową małą piętę; ileż razy jedno jej posunięcie wyrwało mu całe pasma włosów, z czego na drugi dzień tak śmieli się oboje...

Smutny grymas pochylał w dół końce ust Maryśki. Widocznie śniło się jej coś... Czoło przecięła pionowa zmarszczka...

Zdzich pochylil się naprzód, opierając głośno bijące serce o miękkie kolano żony... Ostrożnemi dłońmi pełzł wzdłuż konturu jej ud, jakby obejmował dużą gorącą czarę, którą zaraz do ust podniesie...

Lecz grymas nie ustawał, przeciwnie brwi ściągnęły się, niczem kosmate gąsieniczki, a koło wielkiej zmarszczki czoła zarysowała się cała wiązanka nowych cieniów...

Wtedy pochylił twarz tuż nad jej twarzą i tchnąc na nią gorącym oddechem, uniósł żonę ku sobie jednym silnym podrzutem.

Rozpłakała się głośno, jak dziecko... Wymachując przewieszonemi przez ręce łydkami uderzyła go naoślep w twatrz, prosto w oko, krzycząc: Precz, precz, odejdź!...

Przycisnął ją jeszcze silniej, wstrząsnął i dmuchnąwszy w oczy, zaczął wołać:—Cóż ci to, Maryśko, bój się Boga, bijesz mnie, swego męża?! Twego poczciwego Zdzicha?! Maryśka!...

I nie czekając odpowiedzi, poniósł ją na łóżko, do drugiego pokoju...

Stoczyli się razem na gładkie zimne prześcieradło...

— Uderzyłam cię? — szeptała mu do ucha — boli, bardzo boli?—Chowała jego głowę w swych ramionach.—Ale śnił mi się ten chart obrzydliwy... Spotkaliśmy go z Felusiem dziś rano... Tak się nas uczepił. Śniło mi się, że tak chodzi koło mnie, kołuje... Możeś ty głodny?

Spletli się, ramiona na ramionach, piersi na piersiach, usta na ustach...

— Że tak koło mnie łazi, taki cichy i głupi... Tylko łazi i patrzy... Ciągle patrzy... Aż straszno... A z ust tak było temu psu czuć surowem mięsem...

Zdzich nie dawał jej mówić ani słów kończyć, ani no-

wych zdań rozpoczynać... Przerywał je gorącą pieczęcią długiego pocałunku,—aż do bez tchu... Aż zamykali oczy... Aż się im zdawało, że śnią... Aż się im zdawało, że to trwa rok i cały wiek i że już umarli, rozkrzyżowani rozkoszą...

Zaczęli w cichych szeptach wymieniać najmniejsze głupstwa swej miłości... Że w matołku tyle się naskładało pieniędzy... Że wszystko będzie dobrze... A na przyszły rok już wyjadą na wakacje, jak prawdziwi burżuje...

— Te stopy,—wślad za słowami szły jego pocałunki—te stopy będą się płaszczyć na kamykach górskiego strumyka... Te nogi będą się prężyć nad górę... Pierś ta, tak będzie drżeć, gdy będziesz schodzić w dół po łące... A plecy te zegną się, gdy sięgniesz po garstkę zżętego siana...

Maryśka zwinąwszy się w kłębek, skoczyła w głowy na poduszkę, niby chowając się tam, smagła, nasycona odblaskiem księżyca, jak oliwka. Zaś na dole, u stóp, drżał jej kochany chłopiec—bo ty nie jesteś teraz żadnym mężem, ty jesteś chłopcem...

— Tylko mnie jedno martwi... — Pochylił się nad nią, tak, że mogła schronić twarz na piersi, pod cieniem jego brody.—Tylko mnie martwi, że z imieniem twym nic się nie da zrobić, ani go zmiękczyć ani zdrobnić... Ale to tak, jak z samą tobą Maryśka, to samo... Ciebie się kocha i nic cię nie ubywa... Bez ratunku, bez wyjścia, wciąż tylko jesteś najmilsza i najmilsza...

To znów ona spływała ku niemu z góry, niby powolny, smagły posążek, który ożywa nagle... I znów kurczy się i znów, zebrany w sobie,—klejnot gładkości i połysku,—spoczywa w zamknięciu uścisków...

Zaś po chwili odpływało wszelkie szaleństwo i zażyły spokój nasycał wszystkie członki. Chowali się oboje w kąt cienia, wysoko na poduszki i tam trzymając się za ręce, zaczynali stateczną, serjo rozmowę, o znajomych... Dlaczego Zatorscy mają mieć znów dziecko—to jest nonsens i barbarzyństwo... Dzikość...—Że się też ta kobieta tak zamęczać daje... Co Kałucki myśli sobie o swych porzuconych dzieciach i że los takiej matki jest straszny, a Stanisława nic temu właściwie nie jest winną...

— Ale jabym się za tobą nie obejrzała, żebyś mnie porzucił... Pamiętaj...

— Czy Smolarski i Janina nie mają się do siebie?... Ta

dziewczyna nigdy do niczego nie dojdzie... Dlaczego?—Bo tak, zobaczysz... Czy Zatorski nie jest „taki“ i na ciebie tak zgóry nie patrzy dlatego, że należy do tego „Strzelca“?... Nie wolałby się doktoryzować!? Czy bardzo drogo kosztował dzisiejszy „Czarny Osioł“?... I patrz, widziałeś jaki ten Feluś nerwowy, tak się dziś rozpłakał przy tym metronomie?...

Żdzich słuchał, sam plótł też co bądź, trzy po trzy, w silnem swem ręku ściskając małe, miękkie dłonie Maryśki. Uginały się bez oporu, niczem ciepły wosk. Albo rozszerzał jej palce szeroko i każdemu się przypatrywał, niby żywemu dziełku, żywemu stworzeniu... Albo zgarniał wszystkie w ściśniętą wiązkę i całował końce, śmiejąc się, że są małe, jak bazie...

Niespodzianie dla obojga rozmowa się urywała... Przenosili się głowami w nogi łóżka, by patrzeć na księżyc i całować się ustami, polepionemi słodkiem jego światłem. Leżąc tak mogli byli widzieć objęty ramą okna, malutki skrawek ogrodu, który się ciągnął daleko, za tyłami domów... Widzieli też parę drzew owocowych, splątanych gęstwą niebieskich gałęzi, srebrny włos traw i wielki klin ciemnobronzowego cienia, padający z za węgła...

Wpatrzeni w ten ogród, zapadali w takie milczenie, że nie słychać było kropli najcichszego pocałunku, że słyszećby się dało spadanie nitki pajęczej...

To znów, nienasyceni szczęściem milczenia, szeptali sobie jakąś prawdę najgłębszą, codzienną, jak kruszyna znikomą, a przecie tak odwieczną... Że to było napisane na śniegach zimą, na łąkach latem, że to było przewidziane na chmurach różnych i w rozmaitych pogodach... Że ku temu szło, jakby się ktoś najlepszy i najmądrzejszy zawziął, by ich połączyć...

Jak ona wydostawszy się nareszcie z małej podhalańskiej mieściny, tu, w Krakowie chodziła na studja... A on przyjechał tu na Uniwersytet, aż z Drohobycza. Dlaczego nie do Lwowa?... Albo, dlaczego odrazu nie odbywał służby wojskowej. O,—wielkości losu!...

— Inaczej nigdybym cię nie poznała!

Rozsunęły się przed nią te rozległe możliwości—coby było wówczas... Więc przycisnęła głowę Żdzicha do serca, by słyszał jak bije, by nie domyślił się nigdy, że usta się z nim całują, a ona myśli o kimś innym nieznanym...

Lub w wartkich, dręczących pogoniach, łapiąc się jak

dwie fale, spływali z brzegu łóżka aż na ziemię, na twardą podłogę, przykrytą skrawkiem włochatej skóry. Ich elastyczne ciała tłukły się po twardym parkiecie, z jędrnym odgłosem rozbawionych drapieżników...

Maryśka lgnęła do posadzki nieruchomo, jak jaszczurka, Ździch zaś oburącz zaciskał jej szyję, jęcząc, że nie może jej udusić...

— Uduś... uduś.—Jej głowa, wstrząsana silnemi dłońmi, chwiała się bezwładnie, rozpuszczone włosy rozlewały się szeroko koliskiem, niby krew... ciemna... Zaś z ust nie schodził mały, bolesny uśmiech, który napełniał Ździcha szaleństwem rozkoszy...

Wówczas rozpoczynała się między nimi cichutka rozmowa szczęścia... Szeptali do siebie „skrytobójczo“, prawie nie poruszając wargami, z oczyma utkwionemi w oczy... Spowiadali się wzajem z najwstydliwszych pragnień, bluźniąc szczęśliwie wszystkiemu, w co wierzyli, a co podobało się im teraz poniżyć, dla większego wyniesienia miłości!...

Nagle Maryśka zerwała się i objąwszy go w pół, patrzyła mu w oczy, czerwienią okrągłych, rozszerzonych źrenic... Jak gdyby wicher potężny tętnił w jej drżących wargach i w rozpartych szeroko nożdrzach...

— Czemu patrzysz?...

Nie odpowiedziała, niosąc mu z płomiennego dna źrenic błyskawicę nowego wyznania...

Przecknęli się, gdy stare wieże wygłosiły trzecią godzinę. Pogodny dźwięk hejnału spłynął łagodnie po świtającym niebie... Blask księżyca zesłabł znacznie, wdarły się już weń złotawe miody jutrzenki...

Maryśka i Ździch siedzieli na podłodze, oparci o brzeg łóżka. Bolały ich nogi i odgniecone boki, lecz żadnemu z obojga nie chciało się ruszyć. Ciężkie głowy chwiały się nadmiernie, opite durzącym wyskokiem miłości... Wezbrane wargi uśmiechały się bezmyślnie.

— Taka głodna jestem, — westchnęła w końcu Maryśka, opierając głowę o kolana męża. — Koniabym teraz zjadła...

Przyniósł półmisek z mięsem, sałatą i bułki. Zaczęli jeść, trzymając w ręku kostki kotletów.

Maryśka pomyślała, że tak, jak teraz siedzą, to rzeczywiście nadaje się do teatru, albo do sceny z życia szlachetnych Indjan... Siedzą, każde z gnatem w palcach, pochyleni naprzód, by zimne krople śmietany z liści sałaty nie spadały

na ich gorące ciała,—jakby zjedli przy księżycu jakieś święte zwierzę na ofiarę...

— Jak myślisz,—spytała chrupiąc sałatę,—dlaczego właściwie nigdy nie opisuje się małżeńskiej miłości?...

— Dlaczego? Bo jak jest szczęśliwa, to niema o czem pisać. Dopiero gdy jest nieszczęście, może poeta wyć... Ale wtedy już niema miłości...

Objęła go oburącz przez żebra, perlistymi łukami rysujące się widocznie przez skórę...

— Charcisko moje kochane!..

Jeszcze raz, zasypiając niemal, złączyli usta, nasycone rozkoszą i mdłym zapachem mięsa...

II.

Już rzeczywiście! Już rzeczywiście!!—Gorąca fala zalała serce Maryśki, w oczach rozsypało się mrowie czarnego ziarna...

Już rzeczywiście!! — Można to sobie było sto razy powtórzyć, można się było na pamięć nauczyć.,. Czyż to tak trudno nauczyć się na pamięć dwuch słów!... Ale zrozumieć!

Ale kto potrafi to zrozumieć?...

Rzuciło się na nią, opadło ją...

Teraz jedyny ratunek koniecznie pamiętać, że prócz tego co się dzieje, są tak, jak były, i tak, jak były, będą powszednie dnie,—potem niedziela... Znów powszednie dnie,—potem niedziela...

To jest ostatni ratunek!!!

Niech wrócą najgorsze, ale tamte,—wspólne... Niech musi się zrywać w zimie nie o szóstej, lecz o piątej rano, niech wszystkie drzewa uschną i nastanie twarda zima — twarda, lecz wspólna...

Niech sobie w te wszystkie zimy Maryśka nie może kupić żadnego futra, niech jej jeszcze bardziej marzną końce piersi i wogóle! Niech się stanie wszystko najgorsze,—ale wspólne najgorsze!...

Tymczasem najgorsze już się stało—a wszystkie kamienie trwają, a zakopcona hala dworca jest—i jest! I są jakieś fotografje badów, czy niemieckich zameczków za szybą i nic nikomu nie szkodzi!...

Wszystko się mieści, łączy,—tylko Maryśka nie mieści się, nie łączy,—będzie sama...

Najgorsze już się stało, wali rozgłosem szyn o serce, a serce się jej gdzieś zapodziało... Nawet nie w odjeżdżającym pociągu... Niema go, lub może nigdy nie było... Lub może sercem jest garstka kurzu, która czernieje w kącie jakichś niedomkniętych drzwi.

Pierwsze drgnienie, dzięki któremu nagle ruszyły przepełnione ludźmi wagony, przemieniło się w siłę pchającą. Ożywiła ona wszystkie wozy tym samym gładkim, łagodnym przymusem...

Sunął sobie, dobrze im, cóż je obchodzi?... Leci sobie wagon w słońcu, spada z wiązania szyn na wiązanie... Okna wielkiemi szybami przeglądają się w kwadratach pozostałych okien. Z całego pociągu powiewają białe chusteczki...

Smolarski, stojący obok Maryśki, położył dłoń na jej ręce i powiedział:—Niech pani patrzy,—jakby się biała lewkonja przeginała z wagonów...

Cała nadzieja, — że to będzie trwać długo, pociąg jest taki ogromny... Może się nigdy nie skończy, — wtedy miara zmartwienia nigdyby się nie dopełniła...

Maryśka szukała Żdzicha wśród wielu, wielu twarzy, wychylonych z pociągu. Jeszcze przed sekundą widziała go... Jeszcze przed sekundą trzymała go spojrzeniem, w którem było wszystko, co jest nią... Każdy oddech, każdy ruch, każdy włosek, każdy kamyk, po którym kiedykolwiek przeszła, każdy mur, drzewo, sprzęt, każda rzecz, którą kiedykolwiek widziała...

Lecz nagle coś się przekręciło, w rosnącem oddaleniu, coś ktoś zdmuchnął!... Wojskowa czapka Zdzicha złączyła się w szary nierozerwany goncik czapek, wychylonych z okien, a to, co było Zdzichem, jego twarz, jego oczy, patrzące tak poprostu,—znikły już...

Kiwała wciąż ku niemu rękami, ale już się odbył zły znak przestrzeni!... Potrząsała chusteczką ku wszystkim szarym czapkom, ku całemu morzu obcości, w którem ta jedna kropla już zginęła...

Za wozami drugiej przemijać jęły głośne wagony trzeciej klasy, pełne żołnierzy, kwiatów, ruchu. Z okien wystersczały spocone twarze, krzyczące w niebogłosy...

Tłum ludzi, odpychanych od pociągu, zgęścił się teraz i pochłonął Maryśkę. Oparła się na ramieniu Smolarskiego. Kolega Zdzicha Ciągłewicz, stał przed nią. Mogłaby policzyć

każdy włos na jego czerwonym karku, nie widząc właściwie zupełnie, jak w tej chwili wygląda.

Nagle,—przemijanie pociągu skończyło się... Za ostatnim wagonem wionęło podobieństwo ciszy... Po odsłoniętej niespodzianie przeciwnej stronie dworca, po szynach nagich, już w kierunku przeciwnym do biegu pociągu, — przebiegła nieprzytomna, zda się, pustka...

Dopiero teraz, odbyła się znów szybka, widoma ocena wszystkiego... Jak parę chwil temu, Zdzich w niebieskim mundurze, ale przecież Zdzich,—wsiadł do wagonu... Wstyd im było całować się przy obcych ludziach.

Tylko on ją, w dłoń...

Stał, śmiejąc się kosmatemi policzkami, obracał jej miękkie ręce w swoich, nieustępliwych, tak długo, aż się im obojgu spociły palce. Potem wsiadł do wagonu, spotkał w przedziale jakichś kolegów. Zaczęli się klepać po plecach, a Zdzich przemówił do nich mocnym, wesołym głosem, jakby się nic nie stało...

Czy udaje, że się martwi tym odjazdem....—pomyślała ze zgrozą. Oczywiście, teraz nie będzie miał kłopotów. Baba z woza, koniom lżej... Dała mu tyle dobrych rzeczy do zjedzenia, najlepszą bieliznę i termos i skórzaną bransoletkę do zegarka. Wszystko miał, na cóż mu jeszcze żona?!..

Stali oboje w przedziale, a Smolarski i Ciąglewicz na peronie. Tuliła się do męża, nie myśląc nagle o niczem i o tem, dlaczego nigdy nie szukała mieszkania za koleją?... Widać było z okna blaszane dachy nowych domów, a wśród nich sterczała wysoko, niby ogromny skrzyp, wieża kościoła Jezuitów.

Zdzich ciągle przekładał sobie jej palce z ręki do ręki a potem spuściwszy oczy, powiedział, — w każdym razie będziesz teraz za mnie dostawać pensję... Ja też życie będę mieć za darmo... Będę ci dosyłać...

Teraz, gdy przypomniała sobie te słowa a pociąg już zniknął w połyskliwem sznurowaniu szyn, wybuchła gwałtownym płaczem.

Smolarski, uniósłszy w górę frasobliwe trójkąty swej twarzy, głaskał powietrze w koło ramion płaczącej i klajstrował coś ustami, przesyconemi śliną.

Ciąglewicz ujął Maryśkę pod rękę.

Jeszcze tylko to jest coś warte,—pomyślała sobie poży-

tecznie, w chaosie u wszystkich szkód i żalów, że ludzie są ciepli. Oprzesz się, jak pies...

Ciąglewicz, naciskając lekko jej ramię uspakajał: Niechże pani nie płacze, mój Boże, wszystkich nas to czeka... Wszystkich nas to samo czeka, to samo...—Mówił to spokojnie, głęboko przekonany, że jego to nie czeka, czekać i spotkać nie może... Bo są ludzie, którzy muszą mieć lepiej, niż inni, nie dla żadnych swych zalet, a poprostu dzięki pieczy samej przyrody, która uczyniła ich delikatniejszymi.

Smolarski wciąż głaskał dookoła powietrze, a Maryśka kurczyła się pod łagodnym ruchem jego dużych dłoni...

Zdało się Maryśce, że płacze za całe życie, że umrze tu na miejscu, że wypływa z niej wszystka treść od góry do dołu,—aż z samych biednych stóp...

Ciąglewicz wciąż pocieszał i przemawiał. Istotnie współczuł Maryśce. Czyż jego żona nie płakałaby jeszcze więcej... Trzeba rozumieć ludzi i trzeba im pomagać. Mimo, że ludzkość przeszła już to wszystko tysiąc razy...

— Ja wierzę, pani Marjo, w szczęśliwą gwiazdę Zdzicha, nie tacy, jak on mają pecha...—Tłumaczył jej istotę tego jakiegoś ładu, syntezy, którą Zdzich miał w swem życiu. Ten jego zawsze dobrze rozdzielony czas, ten porządek, nieomal system najdrobniejszych chwil... Tacy ludzie nie mogą doznać...—Dość długo kręcił się około tego, czego nie mogą doznać tacy ludzie... Bo dlaczego w końcu Zdzich nie miałby zginąć, jak tysiące innych, którzy zginąć muszą... Ostatecznie jest to dziś w końcu kwestją małej wzmianki w gazecie,—rzecz całkiem łatwa i prosta...

Maryśka zaś, usłyszawszy słowo synteza i system i to, że Ciąglewicz mówi o Zdzichu w czasie przeszłym, rozpłakała się jeszcze bardziej.

Ruszyła ku szynom, na wolną przestrzeń, za hukiem, za echem, które się wciąż jeszcze wielkiemi złomami rozgłosu łamało się w słonecznej, żelazem pożyłowanej oddali dworca.

— Bo istotnie, — mówił Smolarski do Ciąglewicza, postępując za Maryśką — jakże pocieszyć, cóż powiedzieć? Prawda?

Ciąglewicz zdjął słomkowy kapelusz okrągły z czarną wstążką, otarł czoło i nic nie odpowiedział.

Maryśka w ślepym rozpędzie żalu nie mogła dojść daleko. Właśnie spuszczano siatkę, odgradzającą peron od to-

rów. Zresztą tłum był tak gęsty, że wciąż zderzała się z kimś. Tak dużo było ludzi, urzędników, żołnierzy, tyle pośpiechu i krzyku!..

Żołnierze przechodzili w prawo i w lewo, trzeszcząc butami po piasku, z plecakami, niby ogromne narośle, piętrzącymi się powyżej karku.

Działo się tyle rzeczy, że nagle wniknęły wszystkie naraz w zdumione oczy Maryśki. Wniknęły wszystkie naraz i opadła ze wszystkich sił... Tyle wszędzie drżało serca, tyle się słów nie kończyło... Tu żegnał się ktoś z kimś, tam się sypały kwiaty, ówdzie dwoje ludzi, żołnierz i dziewczyna—całowali medaljonik.

Tyle się słów nie kończyło, wzrok tak błądził... Tam sypali kawalerzystom coś do kieszeni od portek, a dalej żołnierz pił od kogoś z kubka jakiś napój, — ach tak pił, z przymkniętymi oczyma za całe lato, za wszystek upał... Tu siedział mały artylerzysta w borowinowej bluzie, na skrzyni i skubał jakiś sznurek na — wróci, nie wróci, — kocha nie kocha...

Tyle wszędzie drzało serca, oczy się tak gubiły w natłoku...

Z uchylonych drzwi wyciskał się oddział piechoty, dwójkami. Ze wszystkich drzwi szły te dwójki szarych żołnierzy o cynobronowych z natężenia twarzach. Szli zgięci, jakby pod brzemieniem ciężkich grzechów...

Tłum wołał do nich. Żandarmi zapchali wszystko w kąt, ale się zaraz ciemno-zielona tama mundurów żandarmskich rozprysła.

Znów wjechały, sinym błyskiem szmelcowane maszyny, spocone od trudu i gorąca... Z wszystkich walców, szczelin i okrągłcści, z przebiegłej plątaniny mosiężnych rurek tryskała para gorąca.

Nowy pociąg sapał na szynach. Znów wchodzili oficerowie, trzaskały drzwi pustych wagonów.

Tylko Zdzicha tu już nie było,—na pewno...

Żołnierze siadali w wagonach, układając się na ławkach z łomotem, niby kupy kamieni.

Maryśkę zdjęło wielkie osłupienie. Zapatrzyła się bezmyślnie w dal na blaszane, połyskliwe dachy dalekich domów. Coś się ścinało wzajem na tych płaszczyznach, odrażająco lśniących w słońcu—jakaś ślizka sztywność prężyła się bezlikiem tak twardych załomów!...

Ciąglewicz ujął ją pod łokieć, by wyprowadzić z dworca.

Starał się tak pokierować, by nie potrzebowali przechodzić koło stacji Czerwonego Krzyża. Wiał stamtąd silny zapach karbolu. W głębi, niby grządki ziemi stały nosze, nakryte szarymi kocami...

Dopiero po wyjściu z dworca, gdy Maryśka znalazła się na wolnej przestrzeni, przerżniętej szerokiemi promieniami słońca, zrozumiała co się stało...

Trzeba tego wszystkiego jak najwięcej zapamiętać, jak najwięcej pożegnania zapamiętać...

Wydostali się na planty. Koło teatru było pusto i dość cicho. Wydęte brzuchy, poślinionej gęsto szkłem budowli, błyszczały, jak osmarowane tłuszczem. Obok mienił się w niebieskich tleniach jasności ciemno bronzowy kościół świętego Krzyża. Maryśka przypomniała sobie, że całe jego sklepienie trzyma jeden filar. Tak, jak całe jej życie, wznosi się teraz na jednym słupie bezbrzeżnego smutku...

Postanowiła być wierzącą...

W kącie szerokiego placu, pod wyżółkłą ścianą starych rozpartych domów, widniał jak bujna plama,—stolik narodowej kwesty. Siedziały przy nim panie w białych bluzkach.

Smolarskiego wzruszył ten widok. Pod starym, wilgotnym murem, pod opieką krzywych, ciemnych okien, zbiera się Polska... Właśnie wiejskie baby w krasnych spódnicach, czepcach, nakrapiane wszystkimi kolorami, niby białe indyczki, podeszły tam...

— Czy wie pani, co się tam kupuje, co się tam sprzedaje?—spytał Smolarski.—Na co zbierają pieniądze?

— Nic nie wiem—odpowiedziała Maryśka.— Wiedziała, że się w kilku ostatnich dniach pootwierały różne cele ogólne...

Te panie zbierają na walkę z Rosją. Jakieś cząstki tej krzątaniny należą już do Zdzicha...

Wzruszyła ramionami: To taka pociecha, jak o pozagrobowym życiu! A zresztą, skąd ja wiem, że Zdzich będzie walczyć z Rosjanami?! Nawet tego nie wiem!... Może z Serbami?...

Weszli w ulicę Florjańską. Tłum przeciągał tędy ku Rynkowi. Rodziny chłopskie, podmiejskie, robotnicze szły środkiem gościńca z tobołami, zajdami, z dziwnem, podróżnem jedzeniem, z którego mleko, lub serwatka ściekała bia-

łą kroplą. Kobiety uczepione do mężczyzn, zaglądające im w oczy,.. Dzieci rozprószone powszędy...

Maryśka zatrzymała się przed szybą jakiejś wielkiej masarni, by sobie poprawić włosy, otrzeć twarz i ochłonąć.

Ciąglewicz usunął się dyskretnie, Smolarski wyszedł aż na skraj chodnika. Żal mu było Marji, Zdzicha, ludzi i wszystkiego, mimo wielkie nadzieje, jakie łączył z wynikiem wojny. Może nawet trochę żal własnej pracy.. Cóż teraz zostanie z nauczycielskich związków szkoły ludowej—z całej tej krzątaniny po kraju biednym, wśród ciemnych ludzi?...

Patrzył ze szczerą miłością na lud wypełniający hałasem starą ulicę, od wież kościoła Marjackiego, aż po Florjańską bramę. Wieże widać było przez słońce, niby przez welon srebrzysty, lekkie, zda się z prochu i z pyłu utkane, wbite w przestrzeń tak poprostu... Na drugim końcu ulicy w czerwonej czapie starych dachówek, z zielonym guzem u szczytu, błyszczała wieża Florjańska jak srebrny zrąb, przebity ametystowym cieniem św. Florjana, ulatującego wiecznie z siwych kamieni... Jedna strona ulicy obrzucona była tysiącem błysków, druga tonęła w parnych mrokach upału. Stare, ściosane pochyło szkarpy domów zdawały się łagodnie łączyć budowle z ziemią, łukiem mądrej, wytrawnej cierpliwości. I tak, — z pod bramy ciemnej, niby w kamienną dzierżę, sypał się tłum w ulicę.

Nagle z kościoła Marjackiego zerwały się hejnały, w kilka trąbek, całym akordem. Było to tak cudne, tyle miało brzmienia, jakby się życie światła nietylko światłem objawiało, lecz głosem... Ten głos rozpyłał się wśród jasności, czysty, wyraźny, tak dotykalny, że zda się można go było złapać, z murów zgarnąć i w ręce zatrzymać...

— Żeby się pani troszeczkę pośpieszyła—rzekł Smolarski —tobyśmy zobaczyli jeszcze... Dziś odchodzi krakowski pułk na wojnę. Teraz pewno stoją jeszcze na rynku...

— Śpieszę się, niech mi pan wierzy, śpieszę się—odpowiedziała Maryśka, z mocnem postanowieniem, że ani jednej szpilki prędzej nie wepnie, bo do czegóż będzie się śpieszyć?..

Musiała była wyszukać sobie w szybie jakieś miejsce dość wolne od kiełbas i szynek, w któremby można się było zobaczyć. Nareszcie znalazła je między żółtą tonzurą pasztetowej kiszki a cienkiemi gruzłami kabanosów. Rumiane pan-

ny w białych kitlach i rzesza interesantów dreptających na miejscu nie mąciły jej odbicia.

Przedewszystkiem pochowała roztrzepane kosmyki włosów i pudrowanym papierkiem przetarła policzki.

Biały rękaw panny sklepowej przeciął twarz Maryśki w odbiciu. Usunęła się w bok nieco, by skończyć z kapeluszem i z woalką. Mój Boże, ile śmiechu i radości drżało pod tą tkaniną, jeszcze tak niedawno!... Miała ją pod Czarnym Osłem. Tak samo ten fioletowy kostjum, który teraz zostanie głęboko, głęboko schowany w naftalinie, — aż do powrotu Zdzicha. .

Tak postanowiła i zaraz w duszy ślubowała...

Gdy uniosła ręce do góry, aby ostatecznie uwiązać woalkę na giętkiem rondzie kapelusza, wypadło, że trójkąt jej ramienia zamykał w odbiciu głowę Ciąglewicza. Wyglądał ku niej z otoczy jej fioletowego rękawa rumiany i przystojny w białym, układnym kapelusiku, jak ci panowie, co idą w żurnalu mód po schodkach, a za nimi widać prążki niebieskiego lustra i lakierowane powietrze.

Nagle zjawiła się pod słoikami z musztardą twarz Smolarskiego. Chciał to koniecznie pokazać Maryśce, — coś takiego, od czego można odpocząć i trochę własnej krzywdy zapomnieć...

— Niech pani patrzy jakie wspaniałe czasy! Pani go zna! Tam idzie Sieroszewski! Słowo daję, zwarjował stary apostoł!—Świat do góry nogami zaczyna chodzić!

Istotnie, z głębi sinego mroku Florjańskiej bramy, — szedł mały, wartki człowieczek, w niebieskim płóciennym mundurze, z czapką na czubku siwej głowy. Słońce łamało się w szkłach, które miał na nosie, zakrywając oczy rozeżglonemi płytkami blasku. Na ramieniu niósł duży, ciężki gwer.

Obok niego wyższy o dwie głowy, dwa razy dłuższym krokiem szedł Zatorski. W mundurze ubyło mu lat. Zdał się chłopcem dziewiętnastoletnim, bujnym, któremu już zarost czarnemi kępkami hasa po policzkach. Na widok znajomych, twarz jego oblekła się ledwo widocznym rumieńcem, a czarne oczy zalśniły. Uśmiechnął się, krzyknął — literatura na kołku!...—i wyciągnął ku nim rękę pożegnalnie...

Zrobił to trochę patetycznie, tak, jakby oni stali za nieprzebytą przegrodą, a on w ryzach ogromnego pochodu, jakby wędrował zdaleka i Bóg wie dokąd...

— Zatorski! Zatorski!—wołał ku niemu Smolarski, podczas gdy Ciąglewicz uśmiechał się pobłażliwie.

Zatorski raz jeszcze potrząsnął ramieniem, które strzępkiem niebieskim zarysowało się na tle sypkiej od mglistych światłości, wieży Marjackiej.

— Pani Marjo, istotnie warto zobaczyć,—rzekł Ciąglewicz. To nieomal dokument i kawałek historji, zamkniętej w pewnej formie... Wzruszył ramionami: Nasze niepoprawne „z motyką na słońce"... Ale to ładne jest.—Dokument.

— Zaraz będę patrzeć.—Ale nie odwróciła się, od szyby, przejęta niewytłumaczonym gniewem. Dlatego, że Zdzicha zabrali, a tamci sobie sami orzełki zawieszają na czapkach, to Zdzich nie biedny i nie żal go... A tamci,—aż dokument...

— No i proszę — lepił odbitą śliną Smolarski — Sieroszewski, sam Sieroszewski... — Nie mógł nic więcej powiedzieć, robiąc trójkątnemi powiekami w górę i w dół, jak dławiąca się w powietrzu ryba...

— Dwa pokolenia, — zauważył Ciąglewicz i obydwóm czegoś brak...--Myślał, że brak im zimnego, konstytucyjnego rozsądku, który zastępują egzaltacją. Czy nie jest egzaltacją ubrać się w mundur, przez nikogo nie nadany?... Czy nie jest egzaltacją to bratanie się sławnego autora z młodzikiem?!...

Zaś Maryśka rzuciła się na Smolarskiego: No i co?! Taki sam, jak Sieroszewski występuje naprzykład, jako ostatni żołnierz w „Warszawiance", no i co z tego?... Można oglądać za parę szóstek!...

Dopiero, gdy jej Smolarski powiedział, że Sieroszewski ma żonę i trzech chłopców, zmiękło jej serce. Zresztą przypomniawszy sobie, że w powieściach swych, o ile mogła sądzić, był „za małżeństwem"—przebaczyła mu...

Znów hejnały popłynęły z Marjackiego kościoła, takie zebrane w sobie, stopione, jakby się każda wieżyczka w pierścieniu, pod szczytem wielkiej wieżycy, odzywała własnym głosem. Zdawało się, że się modli samo słoneczne powietrze letniego dnia...

Z Rynku szedł rozgłośny hałas tłumów. Od Sukiennic po ulicę Sienną kotłowało się w słońcu morze głów. Oblepione niemi były schody pomnika Mickiewicza, wysokie gzymsy sklepów, latarnie. Jak dorodne jabłka różowiły się twarze malców w okrągłych czubach akacji.

Wzdłuż linji A — B na gościńcu, podobne do wielkich

sztab ołowiu, stały zwrócone ku sobie, oddziały krakowskiego pułku piechoty.

Z całego rynku, z chłódka pod wieżą ratuszową, od starego lwa przy wrotach, na którym każdy z tych żołnierzy kiedyś siadał oklep i bijąc gołemi łydkami po zimnych żebrach kamiennych jechał w świat... z pod białych słupów stróżujących dokoła Panny Marji, złączonych łańcuchami, które każdy z tych żołnierzy kiedyś huśtał... ze wszystkich okien, w których teraz, niby smażone w cukrze orzeszki, widniały twarze mieszkańców... z białej, perlistej chmury gołębi, co drżała między wieżami, osiadając śniegiem roziskrzonym na zielonej miedzi dachów... z czarnego tłumu, co się mięszał na bruku... z fioletowej wzierni ulic, biegnących do podnóża kamiennych kościołów... z rzeszy chłopów, co tu przyszli w krasnych i niebieskich kaftanach, ciżbą maków i bławatów... z roju wiejskich bab, co tu pstremi grzędami seradeli wystają, z białą flotylą kaczek, z indykami podobnymi do olbrzymich amuletów, z kojcami drobnych kurek u stóp, same jak wielkie sztuki świetnego drobiu białe i nakrapiane wszystką ostrością barw... z całego narodu i murów i kamieni i błysków zmięszanych i potarganych głosów i nawet z mgły światłością puszystej i nawet z nieba, słońcem do białości przypieczonego—szedł jeden wielki, pełny krzyk pożegnania...

— To jest bardzo mądre i chytre,—mówił Smolarski,— że żołnierzy tak ustawiono, by sobie w tej chwili musieli patrzeć w oczy... To ma moralne znaczenie...

— Ach—dlaczego Smolarski ciągle jakieś sentencje wygłasza?... Maryśka wolała już Ciąglewicza, który statecznie z wyżyny spokoju i dobrego wychowania przyjmował cierpliwie najsilniejsze wrażenia.

Pomiędzy frontem oddziałów przechodzili tam i napowrót oficerowie, z szablami u boku, które rzucały oślepiający blask. Wszyscy mieli liście dębowe na czapkach... Pewno liście dębowe z Panieńskich Skał... Któż tam w lecie nie chodził?! Kto nie krył się w cieniu wilgotnego pagórka, kto nie całował u brzegu syczących łamów zboża, kto nie szeleścił na kochanej ściółce parowu!...

Na czapkach mieli żołnierze dębowe liście a jeszcze majono im broń, mieli na lufach i na bagnetach kwiaty... Kwiaty i wstążki, żeby ponieśli strzępek krakowskiej tęczy daleko, daleko w samo serce nieprzyjaciela...

Powietrze się wciąż modliło najłaskawszym hejnałem, żołnierze wciąż stali, patrzący sobie w oczy, chłopaki jak równy mur, cegła w cegłę dobrana—piersi twarde, uda błyskiem przez portki napięte, plecy pysznym klinem łopatek świetnie rozbudowane... W oczach śmiech, — na równych, białych od dobrego razowca zębach, błyskawice... Patrzący sobie w oczy z dumą drogi dalekiej,— pychą niefrasobliwego odejścia spozierający na Miasto, Rynek i Lud...

Lud się cieszył, że mają niebiesko-szare mundury... To, panie, we mgle, naprzykład, podejdą Moskalowi pod nos — a on ich, panie, nie zobaczy... Naszych nie zobaczą, ale nasi widzieć będą i walić, i walić psubrata...

Lud się cieszył w słonecznem pomyleniu rozstania, wezbrany gorącą, spoconą miłością, supłający z za pazuchy, z zapaski, z kosza, z węzełka, z chustki ostatni grosz i co Bóg dał... Żołnierzom kieszenie pękały od darów i tłustych wziątków, a jeszcze wciąż dostawali papierosy, cygara i wszelkie różności.

Zaś wieża już sama z siebie, na smagłych od słońca niebiosach wygrywała, a mury już same, tyle razy spalone, odbudowane, umarłe, ożyłe, zaprzysiężone i znów przeklęte,—a mury już same z siebie smęciły się na wszystko...

Ze wszystkich stron, szczelin, ze wszystkich dziur Sukiennic, okien, bram, słupów, drzew, latarni, stopni, darł się ku żołnierzom krzyk, nabrzmiały łzami i westchnieniem najmiłośniejszem. Naród się zataczał, słaniał, przylegał do szeregów, jakby się przymierzał swą piersią wezbraną do sztywnej ramy ustawionego ordynku. I znów odpływał i znów znosił, składał żołnierzom, wpychał, by mieli w wielki świat, ze swego starego miasta...

Panią Maryśkę, jak za dotknięciem różdżki odeszło całe zmartwienie... Rozdzieliło się między twarze żołnierzy, okwitło we wszystkich płaczach, przeciągło się we wszystkich zwodnych śmiechach...

Pobiegła nagle naprzód, szumiąc jedwabiem, jakoś niczego niepomna ze łzami w oczach... Smolarski nie mógł nadążyć, ale Ciąglewicz biegł prawie równo z nią, przytrzymując sobie kapelusz. Wpadła do cukierni Maurizia między panów, oficerów i tace z wódkami.

— Proszę mi zapakować dużo ciastek, kilkanaście... z kremem. Jak na drogę, proszę pana.

Z temi ciastkami—do szeregów... Tylko musiała sobie

znaleźć swego żołnierza,— choć wszyscy są biedacy... Znalazł się. Stał w drugim szeregu, podobny do tego, który kiedyś jechał na wozie z mąką... któremu wino podawała... Miał także bronzową twarz i zielone, ciemne oczy z długiemi rzęsami... Napewno podobny...

Żołnierze się trochę rozstąpili, stanęła wśród nich w półkręgu. Radziła im, by wrócili, ach wszyscy wrócą, tylko niech zostaną wierni swym żonom i narzeczonym... Mówiła im najsłodsze grzeczności.

Tak jakby mieli spotkać Zdzicha, gdyby został ranny i przynieść go jej z powrotem...

— Patrz pan, — rzekł Ciąglewicz do Smolarskiego. — Obaj stali na chodniku, obserwując jak kobiety wiejskie i miejskie panie jasnemi plamami włamują się w szereg i kwiecą go.—Patrz pan, czy to nie jest symptomatyczne?...

— Co ma być symptomatyczne?—spytał Smolarski.

Ciąglewicz wskazał bambusową laseczką panią Maryśkę, rozmawiającą wśród żołnierzy. Fijolet jej sukni, otoczony siwemi mundurami, nabierał jeszcze większego ciepła. W koło jej jędrnej figurki, dokoła szerokich klinów jedwabiu, po których złotym piaskiem sypało się słońce, wyglądali żołnierze jak szare cienie. Chybotał w nich tęgi, wesoły śmiech.

— Otóż to jest symptomatyczne,—stwierdził raz jeszcze Ciąglewicz. — Przed kilku kwadransami odjechał jej mąż, prawda?... Widziałeś pan jak płakała? Zdawałoby się koniec świata, prawda?... Ale ma pan, — kobieta, wieczna kobieta! Już sobie stoi na rynku w swych małych pantofelkach, otoczyła się żołnierzami—i już!...

Ciąglewicz ujął Smolarskiego silniej pod ramię.—Słowo daję, ręce, nogi całować z zachwytu... A jeśli można, to ja osobiście, zastrzegam sobie nogi... No, patrz pan!?!

Żołnierze rozdarli paczkę i częstowali się ciastkami. Maryśka położyła dłoń na ramieniu jednego z nich. Nachyliwszy się tak, aby nie uszkodzić żabotu, jadła ostrożnie francuskie ciastko z kremem. Zdmuchiwany śmiechem cukier miałki, małym, brylantowym pyłem fruwał koło jej rozwartych nozdrzy.

Hejnały ucichły... Kilku oficerów przeleciało między szeregami... Oddziały zwarły się i usztywniły...

Z drugiego końca placu posypał się głos bębna... Nad szeregami zakrakała komenda. Orkiestry grzmotnęły mar-

sza. Zaś tłum ujrzał szare czwórki, falangą kroczące twardo z Rynku precz, — gdzieś chyba daleko, na samą wojnę!...

Ciąglewicz i Smolarski woleli nie dać pani Maryśce patrzeć na koniec uroczystości, a raczej odprowadzić ją do domu.

Na ulicy Szewskiej zabiegła im drogę Janina, świeża, biała, lekka, w śmietankowej bluzce jedwabnej, prześwietlonej różowością ciała, w lakierowanym pasku zielonym, z kupką breloków, które na złotym łańcuszku biły dźwięcznie o szybkie jej kolana. Obładowana była pakunkami.

— Wiem, wiem, odszedł krakowski pułk przed chwilą, ale nie miałam czasu! Nie mogę wszystkich naraz utulić! Jakie wiadomości, co słychać?

Dreptała niecierpliwie na miejscu, podczas gdy Smolarski odbierał od niej paczki. Jedna z nich, roztrzepała się mu w rękach. Najprzód, niby powolna nić ciasta, wypłynęło długie białe sznurowadło. Potem papier roztworzył się nagle... Z palców Smolarskiego zwisł jedwabny gorset, pełen haftów, brykli, charakterystycznych zgięć na biodra i piersi, — jakby ktoś nagle rozwinął kręconą muszlę różową... Z jej środka upadły na bruk nowiuteńkie opaski Czerwonego Krzyża.

Janina, bijąc nauczyciela po łapie i krzycząc, — bezwstydnik,—pocieszała Maryśkę.

— Wiem, wiem, to straszne... Pan Ździch... Ale po pierwsze pan Ździch jest zuch, jakich mało, po drugie wszyscy teraz coś strasznego przechodzą... Jedyna na to rada nie być bezczynnym. Przed nami kobietami otwiera się teraz ogromne pole...

Ciąglewicz pomagał przy budowaniu rusztowania z paczek, na rękach Smólarskiego. Słysząc o tem ogromnem polu, obaj pokręcili głowami...

— Nie macie panowie co wydziwiać! Teraz się żyje dwa razy prędzej i musi się dwa razy więcej robić. Niesie pan, kochany Smolaro, fartuchy siostry Janiny—tak jest, zostałam siostrą—i kostjum panny Janiny do dzisiejszej sztuki, wraz z apoteozą...

— Ależ to świętokradztwo, — śmiał się Ciąglewicz. — Chwilami nieomal zazdrościł tym wszystkim wykolejonym ludziom rozmaitości i nieporządku z jakim prowadzili swe życie...

— Doktór mnie się pyta,—trzepała Janina,—czy ja potrafię, czy nie zemdleję?... Trzeba przyznać, że doskonale mi w tych białych fartuchach. Ale owszem, miło mi było, bo jednak znał mnie ze sceny. Powiada, pani, jako artystka... Człówiekowi się zdaje, że o nim nie wiedzą, a tymczasem tych parę występów,—bo przecież nie dano mi grać,—i już pamiętają... Nagle ucałowała Maryśkę w oba policzki—Świat nie jest jeszcze taki zły... Teraz, gdy mocarze wezmą się za bary, może na nas słabych nastaną trochę lepsze czasy...,

Smolarski łypnął swemi zielonemi oczyma. Ciąglewicz zaśmiał się serdecznie.

— Bardzo słusznie, bardzo mądrze pani mówi. — Wiedział doskonale, wiedział to choćby ze swego studjum, że na tych słabych przychodzi czas, albo po śmierci, albo w każdym razie grubo za późno...

— A cóż, nie?—Czekajcie jeszcze wam dam cukierków. Potem lecę dalej. — Małe różowe jej palce szukały, niby grabki wśród kluczy, flakonów, sztyftów z karminem, listów i lusterek. Cały ten kram dzwonił w torebce, jak lód.

Ciąglewicz spojrzał ukradkiem na zegarek. Miał jeszcze parę godzin do obiadu. Podobała mu się Janina. Jej malutka, drobna twarz sprawiała tak dziewczęce wrażenie, a przytem tyle w niej było stanowczości i tyle wdzięcznego zepsucia!! Pachniało od niej szminką i jakiemś świątecznem ciastem. Zdaje się też, że nosiła suknie bez halki, bo widać było pod czarnem kloszem jedwabiu zarysy smukłych ud.

Wszyscy czworo sysali landrynki, szeleszcząc w palcach pergaminowemi papierkami.

Maryśka zamknęła usta i zapatrzona ponuro przed siebie czekała, aż się w nich cukierek roztopi.

— Więc doktór się pyta,—przypomniała sobie tok opowiadania Janina,—czy potrafię, czy nie zemdleję, bo tu żartów niema, ani żadnych ceremonji. Moi złoci, kto ze mną robił ceremonie?! Chyba pan jeden, panie Smolarski?... Bo zresztą nie wiem... Ale też mu odpowiedziałam: Wolę, panie doktorze, mężczyzn bandażować, niż żeby mnie oni ściskali...

Zwróciła się do Maryśki.—Ale jeszcze jedno, musi mi pani dziś po południu pomódz w kweście. Wszystkie młode ładne kobiety Krakowa zbierają.

— Na co, na co?—spytał Ciąglewicz.

— Na co? Pan rzeczywiście ciągle, jak prokurator. Na

co?! Musi pani pomódz. Puszka do ręki i marsz w świat! Skoro zbierają, to wiedzą na co i po co...

Sama się coprawda trochę wstydziła, bo takie to było nieokreślone.

— Zresztą sami wiecie... Już odbyło się wkroczenie... Piłsudzki... Słup graniczny zwalony... Zakładamy skarb narodowy i swoje własne wojsko... Podobno nic nie mają. Poszli bez butów... Trzysta niewiast odprowadzało ich aż do granicy...—Teraz się mówi „niewiasta", nie pani, ani panna... Żeby zniszczyć wszelki pierwiastek płciowy, niegodny... Ciągle się radzi nad dobrem ogólnem...

Maryśka i Zdzich nie mieszali się do tego wszystkiego. W oczekiwaniu ciosu, żyli tych kilka ostatnich dni w zupełnem odosobnieniu miłości, wyczerpani i szczęśliwi...

— Ciągle się radzi... Wczoraj siedziała Janina na zebraniu koło hrabiny. Teraz wszystko jedno, ksiądz, socjalista, magnat... Nowa era — i będzie Polska... Tylko trzeba na to zbierać...

Wymusiła „słowo" od Maryśki i zabrawszy z sobą Smolarskiego, pożegnała się.

— Pozwoli się pani odprowadzić?—spytał Maryśkę formalnie Ciąglewicz.

— Ależ owszem...

— Owszem, niech ktoś idzie obok, z myślami, które mnie nic nie obchodzą,—cieszyła się,—niech ktoś w pobliżu oddycha i skrzypi żółtemi trzewikami...

Szli, milcząc.

Właściwie Ciąglewicz nie rozumiał, dlaczego jej towarzyszy. Ogromne tempo zdarzeń rozwiązało w nim poczucie obowiązku, dobroci i łaskawości... A zresztą sama sytuacja... Nie jestże śmiesznem trochę, odprowadzać całkiem obojętną żonę przyjaciela z dworca, jak z pogrzebu?... Miał teraz niewzruszoną pewność, że Zdzich zginie. Nawet zobaczył kilka zdań swego nekrologu: „Zdzisław Miechowski urodził się dnia"... Tak lepiej... Najprzód załatwić się z nieznośnymi realjami, wysypać na wstępie tych kilka banalnych dat, a potem dać kilka prostych, ale skupionych zdań...

Gdy weszli w pustą i pełną skwaru ulicę Karmelicką, rozważał, jaki to cios dla takiej żony, choćby z punktu widzenia fizjologicznego... Bo kto zechce taką kobietę z przychówkiem, już bez żadnego posagu, (gdyż co było, to wszyst-

ko poszło, oczywiście na pierwszego męża), przepojoną jeszcze odorem pierwszego mężczyzny...

Ktoby naprzykład po nim, Ciąglewiczu, chciał jego żonę?... I cóż nowego mógłby ten ktoś jej powiedzieć??...

Właśnie poczęła go ta myśl napełniać cierpkim, lecz gorącym smakiem, gdy Maryśka zatrzymawszy się, rzekła: Bardzo jest pan dobry, że mnie pan odprowadza...

Uchylił kapelusza. Zbliżali się ku domowi. Widać już było u wylotu ulicy Karmelickiej strzępy trawników, płoche uśmiechy białych brzóz krakowskiego parku, zabłąkaną między murami płachetkę zieleni i wypoczynku...

Mijali rozległą, czerwoną kasarnię, wciąż obleganą przez tłumy. Przed budynkiem na skwerach siedziały rodziny chłopskie, robotnicze, mieszczańskie... U czarno żółtych wrót kłębiła się ciżba mężczyzn bezustanku... Z otwartych okien sąsiednich kamienic bulgotały ćwiczenia fortepianów

Maryśka nie mogła od tłoczących się ludzi oderwać oczu, póki się znów nie napełniały małemi ćwieczkami, tak bolesnych ukłuć...

— Choćmy stąd, chodźmy—radził Ciąglewicz. No cóż, trudno. To samo, co sto lat temu i dwieście i trzysta... A przecież dziadowie nasi bywali szczęśliwi i rodzice nasi nieraz się śmieli wesoło i nas też nieraz radował ten padół ziemski... Wojna, mobilizacja... To samo dzieje się nieomal w całej Europie...

— Że jakieś nieszczęście jest powszechne, — burknęła głucho,—z tego nie wynika żadna pociecha.

— Przyjął jej odpowiedź tak pokornie, jakby tu sam w czemś zawinił.

— Ach, więc już! Dom... Kamienny korytarz... Czerwone szkiełka w drzwiach na schody... Te same schody i dywan przetarty... Na drugie piętro...

— Żałujesz, bardzo żałujesz, prawda — pytała Maryśka dokuczliwie samą siebie. Śmieszyło ją, że słychać nietylko jej kroki, a właśnie kroki dwojga...

— Na szczęście ciemno w przedpokoju...

Porwał ją nagle nieuchwytny wir... Raczej siła, bardzo malutka, skromna, grzeczna, lecz której na włos niepodobna uchybić...

— Niech się pan rozbiera... — Ciąglewicz był przecież w swej piaskowej zarzutce. Proszę mi wybaczyć, nim się pan rozbierze, ja zaraz coś zimnego,—bardzo gorąco dzisiaj...

— Ach tego już było tyle w przedpokoju, na każdym kroku, w każdym kącie, w każdym rogu... Mnóstwo — mnóstwo odejścia...

— Wszystko tu leży jeszcze i kręci się i jest i zdarza się i spotyka... Jej ciepła ręka, wytknięta z drzwi, którą Zdzich jeszcze raz całuje, lecąc rano na wykład... Jego rozwarte ramiona, w które ją wziął jak piórko, gdy wychodziła na miasto, pierwszy raz po dziecku... I filcowy kapelusz na koszu i cywilne palto, z pluszem wytartym od jego szyi i niewiadomo co i jakieś dawne, ciemne, niepowrotne powietrze życia...

Otwarła drzwi do kuchni, żapominając o Ciąglewiczu. W pośrodku okna założonego szmatkami i naczyniem stał fikus ten sam, z umarłym już przyzwyczajeniem w ziemi: z wetkniętemi niedopałkami w doniczkę.

— Ach, — i niema Nastusi! Gdzież poszła... Jeszczeby teraz trzeba przepraw ze służącą...

— Na nic nie można liczyć...

Pokrywka trzęsła się nieznośnie, na miedzianych rondlach, zawieszonych koło pieca błyszczał równy humor codziennego dnia i weseliły się kuchenne pośpiechy... W rogu stołu przytwierdzono maszynkę do siekania mięsa. Wysunęła się z niej na talerz struga blado różowej cielęciny, zaś szparkie słońce siało w nią niebieskie blaski.

— Maryśka, machinalnie dotknęła drżącymi palcami miazgi mięsnej. Łzy zakręciły się jej w oczach i spadły obok na złotą kupkę tartej bułki.

— Nastusia jest pewnie w sypialni... Jak zwykle, — pewno zasnęła przy ścieleniu łóżek...

— W przedpokoju mignęła Maryśce sylwetka Ciąglewicza, niby z bardzo głębokiej wody...

— W pokoju jadalnym porwał ją taki lęk, takie skulenie wszystkich myśli...

— Jeszcze stały dwa krzesła, tak, jak pili herbatę pożegnalną. Zda się dotknąć jeszcze można było tej smugi dymu papierosa, która snuła się nad głową Zdzicha... Na obrusie nakrytym byle jak, zarzuconym sznurkami, zastawionym słoikami konfitur leżała rozłamana bułka, a koło szklanki Zdzicha, niby złota łuseczka widniały rumiane kruszyny chrupkiej skurki...

— Feluś napewno bawi się z dziećmi stróża...

— Musiała trochę ogarnąć ten jadalny pokój, przecież Ciąglewicz,—tak ten Ciąglewicz...

— Powrzucała na prędce ubrania Zdzicha do szafy, — ja was później ułożę,—kochane, biedne...

— Pan może już wejść, panie Franciszku. Ja w tej chwili,—zaraz...

— Ogarnął ją już nie żal, strach i płacz, a jakiś przedziwnie subtelny dym, że widziało się wszystko z zaćmieniu, szare zwiędłym blaskiem połyskujące.

— Feluś był w sypialni. Tu też wszystko tak, jak wyszli, rozkopane wywrócone... Wspólny, wczesny ranek, dochowany aż do południa...

— Feluś siedział przed lustrem w starej bluzie Zdzicha, namydlony do golenia po same oczy. Jego mała twarzyczka podobna była do białej gipsowej maski jakiegoś potworka... Z pomiędzy karykaturalnych rysów, na poły przypominających ojca, na poły przetężonych skupiskami białej piany, błyszczały malutkie, rozbawione źrenice... Spostrzegłszy matkę, szybko zeskoczył z krzesełka i wymachując pędzlem do golenia, podbiegł do niej z okrzykiem: „Teraz ja się golę, teraz ja jestem tatuś“...

Kucnęła przy nim, aby mu poprawić koszulę i zetrzeć twarz.

W jadalni dały się słyszeć ciche kroki i dyskretny trzask krzesła.

Ciąglewicz nie wiedział co ma z sobą robić. Słyszał ten płacz, drażniło go to, ale nie chciał wyjść. Bo ostatecznie zemdleje jeszcze kobiecina, czy co?... Nie chciał też być niedyskretnym świadkiem sceny żalów i rozpaczy... Przewracał więc powoli duże kartki rękopisów Zdzicha, dziwiąc się, jak niewiele zostawia wogóle człowiek po sobie... Trochę hałasu w czyjemś sercu, trochę niepewności w losie swego dziecka i trochę zapisanego papieru ..

Przeglądał teraz manuskrypt tej jakoby wspólnej ich pracy... Uważali wtedy obaj, on i Zdzich, że jest to najtrudniejsza chwila w życiu największego króla polskiego... Jak osaczony przez wielkich panów Stefan Batory, musi rzucić swą miłość i zawierać zimne śluby z Anną Jagiellonką... Obcemu krajowi musi darować swe serce i tak zdobywa w sobie wieczną gorycz władzy i wieczne do niej przywiązanie władcy... Jak się musiał włóczyć po wawelskich komnatach potężny i łamiący się,.. Lecz z drugiej strony, cóżby

mu w końcu miłość lepszego, przyniosła? Zastanowił Ciąglewicza ten przemożny muł życia, dzięki któremu czy to z miłości Batorego, czy Ciąglewicza, musi w końcu pozostać tylko rytuał pustego dnia, nudnego moresu, przyzwyczajenia... Czy nie o to w końcu płacze pani Maryśka?... Czy nie jest wyższym typem taka Janina, która sobie radę musi dawać sama, zapewne rozkosz bierze byle gdzie, przy drodze, ale też ma odwagę przy drodze kończyć rachunki...

Uzmysłowił sobie nagle, że żona jest tylko pewną formą ociężałości mężczyzny... Forma ta gwarantuje społeczeństwu uległość mężczyzny wobec narzucanych warunków. I o to, taki płacz, jakby kto wodę lał z butelki... Właściwie należałoby Zdzichowi zazdrościć...

Maryśka płakała nad losem domu i Felusia... Po przez jej wzrok utkwiony w kawałeczek ogrodu, widoczny z sypialni, w ten mały skrawek zieleni, który tak pięknie im świadczył w czułych nocach błogiego małżeństwa,—prężyły się jakoweś smugi, wspomnień. A najwyraźniej, — jak Zdzich, wychodząc podniósł sobie Felka, aż na piersi, przekręcił na wprost małą twarz chłopca i pytał: Będziesz pamiętać?... Poznasz mnie, jak wrócę? No powiedz, poznasz?...

Zaś Feluś uszczęśliwiony kiwał w odpowiedzi głową.

Teraz, z wielkiej rozpaczy aż odsunęła chłopca. Załzawione jej oczy utknęły bezmyślnie w malutkiej wesołości ogrodu pośród siwych gałęzi czarnych pni.

Feluś stropił się bardzo i zamyślony usiadł na ciepłem biodrze matki, głowę oparłszy taksamo, jak ci dorośli ludzie, których widział niedawno siedzących rzędem pod murami kasarni.

Ciche przewracanie kartek z sąsiedniego pokoju, doprowadziło Maryśkę powoli do równowagi. Ujrzała nagle wyraźnie, zmięte rozrzucone posłania łóżek, pantofle Zdzicha, wielkim krokiem skierowane ku oknu, drelichowe firanki upięte nad oknami w wielkie rozety.

— Ach tak, tam jest ktoś, obok w pokoju... Zawstydziła się głęboko tej ciszy, w której tak długo pozostawali...

— Tak nie można...

Wreszcie wyszła z Felusiem do jadalni.

Ciąglewicz siedział tyłem do drzwi, twarzą do okna. Cieniutkie pasemko dymu papierosa snuło z jego włosów, niknąc na tle czystego nieba.

Feluś rozłożył ręce i z szaloną radością popatrzył na matkę. Zrozumiała, że myśli, iż to Zdzich siedzi przy biurku.

Ciąglewicz odwrócił się, Feluś osłupiał i zbladł...

Maryśka zmięszała się.

Ciąglewicz wstał, ucałował jej ręce i wziął na ramię Felusia. Chłopiec wysunął niechętnie twarz z pod pocałunków obcego pana.

— Ten skrypt—rzekł Ciąglewicz, aby przecież coś powiedzieć—ten skrypt Zdzicha nie jest skończony... I wogóle, proszę pani, jest tu wiele ciekawych notat, materjałów, projektów, które należałoby tylko wykończyć. Jaka szkoda...

Nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Ewentualnie, gdyby pani miała jakiś kłopot, czy to z rozsegregowaniem tych papierów, czy z ich przechowaniem...

Skinęła głową...

Gdy tylko Ciąglewicz wyszedł, spytał Feluś, kto jest ten pan:

— Jest to kolega i przyjaciel Zdzicha, pan Franciszek Ciąglewicz.

Potem poszli myć ręce,—masz Felusiu takie brudne, popatrz tylko!..

Myła mu te ręce malutkie, śliskie, pulchne... Mogłaby tak je myć bez końca, chlapiąc się w wodzie, pod tęczowym pryzmatem słońca, na ścianie fajansowej miednicy... Takby było najlepiej...

Potem zjedli obiad we dwoje. Nastusi jak nie było, tak nie było.

— Smakuje ci Felusiu?

— Smakuje.

Gdy przyniosła kompot, zaczął się łyżeczką uderzać po głowie, z radości mrużyć oczy, jak ona je mrużyła, gdy chciała ucieszyć Zdzicha...

Po obiedzie, Feluś zasunął się w głąb krzesła i rzekł po długim namyśle: Teraz jest wszystko moje...—Moje i twoje...

— Dlaczego?

— Bo Zdzicha już niema. — Wiesz gdzie ja teraz będę spać?...

— No gdzie?

— Na łóżku Zdzicha...

— Co ty mówisz?

— A wiesz kto teraz będzie zegar nakręcać?

— Nie wiem.

— Ja.—A wiesz, kto będzie teraz poprawiać zeszyty chłopców?

— Nie wiem.

— Ja.

— I nic ci nie żal Felusiu?

— Kiedy muszę—odpowiedział poważnie. Zgramolił się ze stołka, poszedł do sypialni i wróciwszy w starej marynarce ojca, która się wlokła za nim po ziemi, usiadł przed biurkiem.

Maryśka patrzyła na niego, z nieznaną sobie dotąd przymieszką zakłopotania.

Założył długi ołówek czerwono-niebieski za ucho i zatarł malutkie ręce raz, drugi, trzeci,—tak samo, jak Zdzich, gdy miał się brać do pracy.

W znużonych oczach Maryśki powoli, powolutku mięszać się jęło czyste niebo z szarymi murami naprzeciwka, syk wody rozgrzanej na kuchni zlewał się z światłem słońca.

Do znużonego serca przystępował jeszcze jakiś ułamek dzisiejszego rozstania... To znów wszystkie kłopoty zasłaniała złota głowa Felusia, z dumną ważnością pochyloną nad biurkiem.

Chłopiec przewracał oburącz wielkie kartki skryptu i gwizdał przytem, tak samo, jak zwykł to był czynić Zdzich.

Nareszcie jakaś leniwa zgoda objęła duszę Maryśki. Wszystko spłynęło w czystej słonecznej toni. Nad brzegami cichego przepływu ukazywało się od czasu do czasu, w drganiu znużonych powiek, duże biurko męża, przy którym siedział raz Ciąglewicz, to znów syn, jakby malutki Zdzich w za szerokiej bluzce, poprawiający rozburzone skrypty ojca.

Zasnęła.

Feluś pracował gorliwie. Stawiał czerwone sztrychy i kulasy, czasem przekreślał jakąś stronicę... Musiał połączyć kreskami wszystkie kropki. Gdzieniegdzie wypełnić niebieskim ołówkiem litery „o". I podkreślać co trzeci, czwarty wiersz... Ciągle podkreślać przecież...

Uporawszy się ze skryptem, zabrał się do leżących w głębi szuflady listów. Owinięte one były czerwoną wstążeczką na krzyż, tak samo jak opłatki, które się podaje na wilję, przed przyjściem Aniołka.

Rozwinął wstążeczkę i zaczął poprawiać listy. Gdy mu

się to już znudziło, postanowił z niektórych mniejszych porobić łódki. Łódek nauczył się robić w swojej szkółce.

W miarę roboty ustawiał te łódki jedną na drugą. Miały płynąć przez biurko, potem ulicą do Czarnego Osła, a stamtąd wierzchołkami drzew aż do tatusia... Z „dobrych" listów porobił łódki, ale „złe" musiał poprawić. Wreszcie zmęczony gorącem i brzękiem dużych much, które wlatywały i wylatywały przez okno, niewiadomo gdzie podziewając się potem na niebie, — wyrysował na dole listu pociąg i dom... Dom miał cztery okna,—cztery, albo dwadzieścia!! I dwa kominy... Z obu kominów szedł długi łańcuszek dymu przez jedną kartkę, drugą, przez inne, nowe listy, na wzdłuż, na poprzek,—póki wkońcu senna głowa chłopca nie spoczęła na papierze.

Rozbudziło ich jakieś szamotanie w przedpokoju, szurganie ciężkiej skrzyni po podłodze i nie tyle płacz, co świszczące oddechy rozgorączkowanych piersi, wreszcie słowa przerywane gwałtownymi okrzykami...

Maryśka skoczyła na równe nogi. W przedpokoju, jak zwierz w klatce, rzucała się od ściany do ściany służąca Nastusia, w różowej wywiniętej z pod paska bluzce, z złotymi włosami, sterczącymi ostem wokoło czoła. Wlokła po ziemi jakieś powiązane zajdy, tobołki i ustawiała je na wielkim koszu, w którym leżały zimowe sprzęty. Mimo obecności Maryśki ustawiała to tak śmiało, tak gwałtownie, z takim trzaskiem i hukiem, jakby u siebie w domu...

— Wie pani, co się dzieje! — Pociągała obficie nosem, nie przerywając sobie zresztą w robocie.—Wszystkich biorą.., Hałas—(Hałas był stróżem w tym domu)—czeka kolei swojej od rana... Taki lament,—wszystkich biorą! Wszystkich biorą...

Maryśka patrzyła na nią zdumiona. Już miała zacząć kazanie, gdy nagle Nastusia wyprostowała się, aż jej w krzyżu chrupnęło i dudniąc bosemi piętami po posadzce jęła iść wprost na Maryśkę, — z przedpokoju do jadalni. Wsparła się pod boki, że aż się spódnice na tęgich biodrach zgurbiły. Wypięła naprzód mocne piersi, głowę odrzuciła w tył, jakby nad stawem przy klepaniu bielizny,—do kłótni ogromnej...

Maryśka przestraszyła się. Czy ta dziewczyna jest pijana, czy zwarjowała?!

W niebieskich oczach Nastusi palił się tępy czerwony blask, rumiane policzki, przerżnięte były białemi pręgami ostatecznej pasji...

— Jak wszystkich biorą, — krzyczała głosem, krzykliwym, wiejskim, ostrym,—to niech sobie biorą! Jak pan poszedł, to niech sobie poszedł. Co mi teraz wszyscy i co mi nasz pan!

— Ty! Ty! — groził Feluś, klękając na krześle przy biurku, co ty sobie myślisz!!!—Bał się, że Nastusia zacznie bić Maryśkę i bardzo groźnie marszczył brwi...

— Co mi wszyscy! Co mi wszyscy,—ale...—Głos się jej rozłamał, z gardła wydarło się chrypienie.—Ale mi zabrali mego chłopca!..

Maryśka nie zdążyła usiąść majestatycznie, niby na sąd, gdy Nastusia zwaliła się do jej kolan, szlochając i przeklinając. Przykrótka bluzka podjechała wysoko, odsłoniwszy naprężoną silnymi mięśniami, mokrą od potu koszulę.

Feluś przestał grozić. Patrzył jednak z pewnym niedowierzaniem na czarne, zbite na róg stopy służącej.

Maryśkę zdjęła litość głęboka i szczęśliwa rozkosz wspólnego cierpienia... Jedną rękę trzymała na drżącej głowie Nastusi, do drugiej płynęły ciepłe rzędy łez...

Wygładziły się nagle rozrośnięte wszędzie nierówności losu, rzewna swoboda przydała teraz słowom Maryśki prawdy i lekkości...

Mówiła o długiem czekaniu... Zapatrzona w płat nieba i powiewy jakiegoś pierza, płynące z cichym wiatrem,—radziła wytrwanie, cierpliwość i stałość...

Słowa jej nie trafiały do przekonania Nastusi. Dziewczyna przeczyła głową, wyklinając grubo, że niedoczekanie ich,—niedoczekanie!..

Jeśli go nie będzie, jeśli nie wróci, to z każdym pójdę, z pierwszym lepszym, z każdym, bo co mi?! Wszystko jedno—żebym miała zginąć pod płotem!..

Ale trafiały do przekonania Nastusi malutkie, delikatne pieszczoty Maryśki, łagodny ruch ręki, płynący tam i z powrotem po włosach... Miękka pachnąca dłoń, do której spływały wszystkie łzy, jak do kropielnicy... Jeszcze zrywało się w piersiach złe bezsilne warczenie. Pęki słów bezwzględnych, twardych, dzikich i skuczenie uparte,—lecz coraz słabsze...

Maryśka zrozumiała, że się już w dziewczynie przesila... Czuła się w tej chwili zacną, kochaną, dobrą... Z prawdziwym żalem i z wielką serdeczną troską podniosła ku so-

bie świecącą się obrzękłą twarz Nastusi. Jęła ją całować w oczy gorące, mokre, w czoło i w policzki.

Wreszcie, po króciutkim wahaniu, nawet w usta..

Wtedy Feluś zerwał się z krzesła, przybiegł z krzykiem, okraczył klęczącą Nastusie, objął za szyję—i wszyscy troje, płacząc serdecznie kiwali się w prawo, w lewo, dokoła,—jakby nimi powiewał szeroki, łagodny wiatr...

Potem się wzięły razem do sprzątania, Nastusia z dumną i wdzięczną wiernością, Maryśka, poglądająca z słodkiej wyżyny miłosierdzia i rezygnacji, na wszystko co odeszło, w przedmiotach jest zamknięte, a teraz się zamyka jeszcze raz...

Feluś dreptał za niemi i przeszkadzał.

Wydawszy rozporządzenia, co do przechadzki Felka, z Nastusią i co do biurka,—na którym proszę nic nie ruszać jak wrócę to sama wszystko ułożę, — obciągnęła, otrzepała swój kostjum fijoletowy i wyszła na miasto.

Było już chyba za późno na tę kwestę, którą obiecała Janinie, ale w każdym razie...

Patrz, teraz ja idę ulicą, akacje ruszają listkami,—a ty co Zdzichu? Teraz moje piersi oddychają tak leniwie, idę, marnuje się każdy mój ruch a ty co Zdzichu?... Nikt nie widzi oczu Maryśki, nikogo nie cieszy, że ma tak dobrze włosy na karku zebrane, — a ty co Zdzichu?... Teraz ja idę do jakiegoś biura, zbierać na coś, nie wiadomo po co, — a ty gdzie jesteś i czy widzisz tę samą chmurę jeszcze, czy też już inaczej płynie nad tobą niebo?....

Aż wstyd, że wśród tego przyszło jej do głowy, czy wyżyje ze swojej pensji, czyby nie powinna zmienić mieszkania i odprawić Nastusi?...

W tem biurze Janiny—nigdy nie widziała takich biur... Wszyscy się tu śpieszyli, wiercili, nikt nie miał czasu dla nikogo, nie wiadomo co kto robił, wszyscy naraz do siebie mówili, a nikt naprawdę nie pisał.

Więc tak będą wyglądać prawdziwe polskie biura... Nikt nie wiedział, gdzie co jest i co komu dać... Mali skauci biegali z pokoju do pokoju, a starsi panowie siedzieli bezczynnie pod ścianami. Tylko jedno było przyjemne, — panował tu chłodek...

Biura były na parterze, w oficynie i słońce tu nie dokuczało...

Zresztą niech robią sobie, co chcą i tak napewno wszy-

scy tu pracują bezpłatnie. Nie tak sprawa wygląda, gdy za pieniądze! Maryśka kiedyś pracowała za pieniądze—hoho...

Ani jedne drzwi nie zamykały się ani na chwilę. Różni ludzie przynosili coś ciągle, znosili Bóg wie co. Pierścionki, kosztowności do skarbu... Z któregoś pokoju dolatywał wciąż śliczny szczebiot złota...

Drudzy pakiety z bielizną, z wełnianemi przyborami, inni jakieś koce, ubrania, rzeczy... A czasem baby, — całe sztuki płótna, z skromnym posianiem spódnic na rozłożystych biodrach.

W trakcie tego urzędnicy odchodzili od biurek i rozmawiali w kątach z tajemniczemi minami.

To znów chłopcy z drukarni taszczyli paki zadrukowanych świstków, podobno odezwy.

— Dawać te „drożdże agitacyjne" dawać tu,—odezwał się ktoś dowcipny.

Mówiono ciągle o granicy, o zwalonym słupie, że się go przewiezie do muzeum narodowego, o jakimś patrolu polskim... Maryśka nic z tego nie rozumiała tembardziej, że operowano całą masą pseudonimów z powieści sławnych, z Trylogji, z Popiołów Zeromskiego, albo z wierszy i poematów romantycznych, których nie czytała od czasów gimnazjalnych.

Nareszcie stało się coś bardziej zajmującego. Wszedł stary Polonus i huczał ochrypłym głosem i jeremiadę zawodził, że oto Bóg go pokarał, nie dał syna lecz córkę...

— Gdzie macie wasz Czerwony Krzy, abym oddał tę ostatnią podporę mej starości,—skoro sam już nie zdatny...

Wystraszone, zawiędłe chucherko w śmiesznym koszyczku na małej, wyleniałej głowie, wysunęło się z pod jego ramienia, że jest do wzięcia do tego Czerwonego Krzyża—szarpie rwać...

— Szarpie rwać, szarpie rwać!—skrzeczał staruszek.

Ale roztrącił ich młody, zadyszany chłopak, boso w koszuli rozchełstanej na piersi, w bluzce łatanej, z rękami złotym, młodziuśkim okrytemi puchem:

— Zapiszcie mnie! My tam już wiemy w Królestwie, my tam już wiemy!...

Wzięli go między siebie funkcjonarjusze i uprowadzili ze srogiemi minami, a stary z córką został na środku biura i dreptał w miejscu niecierpliwie...

Potem znów byłoby ciszej, gdyby się nie wsypało poła-

mane, pokruszone towarzystwo starych emerytów aktorów. Szukali tu biur wojskowych polskich, by się zameldować. W imieniu wszystkich przemawiał jeden, mały, nerwowy, siwy: Zameldować się przyszliśmy na służbę. Ojczyzna sama oceni, czy my do pola, czy do pomocy!...

Ciągle tu coś wybuchało, ciągle jakieś uniesienie tłukło się w grupach ludzi. Zaś wszyscy się martwili, że nie ma armat, nie ma artylerji! Ach gdyby była artylerja!—Ale bez armat, bez armat!...

Od tego ruchu, od tych porywów przyjemnych, serdecznych zapadła Maryśka w błogie odrętwienie. Tak jakby miała katar wiosenny... Oddychając ustami, usypiała się szmerem własnego oddechu.

Ktoś przyniósł cały worek świeżo wybitych orzełków, takich jakie strzelcy noszą na czapkach. Poczęto grzebać w tem. Orzełki sypały się urzędnikom przez palce, jak zasuszone białe chrząszszcze, z miłym zgrzytem.

Maryśce przypomniał się czas dawnych egzaminów, gdy tak samo mnóstwa nazwisk przelatywały jej rojem przez myśl, mnóstwo nazwisk wzniosłych, oderwanych, nudnych.

— Ale też ten Zdzich! Dlaczegoż nic jej nie powiedział, że to tak daleko zaszło już pod względem tych organizacji i brewerji... I swoją drogą—postanowiła—miał rację... Wolę moje gospodarstwo, z mojem dzieckiem, niż to wszystko...

Bo się to snuło tu, jakby z wypisów, żołnierze, ofiarnicy, wdowie grosze, braterstwa, poświęcenia, przyjaźnie...

A powtarzali przytem wciąż nazwisko Piłsudski. Wiedziała, że jest wygnańcem, socjalistą, że miał odczyty dla młodzieży i grał czasem w szachy, w Esplanadzie, ubrany w szary mundur.

Już w końcu miała wyjść, gdy weszła pani Zatorska z trzema chłopakami, przyczepionymi do jej rąk.

Maryśka dała znak, lecz Zatorska nie dostrzegła jej pod ścianą i przeszła mimo, malutka, biedna, w czarnych fałdach, z wyniosłym, jakby ostentacyjnie niesionym żywotem ciąży, tak podobna do tej jakiejś niewiasty Grottgera, nawet pachnąca, zda się, tym samym starym kurzem poświęcenia i pielgrzymki...

— Co pani tu robi pani Konstancjo! Pani Konstancjo! Zatorska nie usłyszała, ale chłopcy, wszyscy trzej naraz od-

wrócili głowy: To pani Miechowska, mamusiu, pani Zdzichowa. — A potem najmłodszy, głosem aż ściśniętym od wzruszenia i dumnego żalu, na całą salę: My niesiemy pierścionek i drogie rzeczy... Wszystkie pierścionki...

Twarz Zatorskiej przesłoniła się ciemnymi rumieńcami, powieki zaczęły drgać. Wąziutki klinek odkrytego ciała na piersiach zapadł się nisko: Cicho, chłopcze, cicho,—nie można, — granatowe cienie uśmiechu rozbiegły się po policzkach...

Maryśka podeszła do niej.

— Ach pani Marjo, — rzekła Zatorska, ocierając pot z czoła—co za czasy.

— Bardzo ciężkie czasy...

— Ciężkie, ale najdroższe... Teraz proszę pani dojdziemy do swego... Będziemy mieli ojczyznę... Przyprowadziłam chłopców—niech patrzą, niech widzą, niech czują...

— Czy to prawda, że pani oddaje pierścionki? — Jakaś dziwna niechęć rosła w Maryśce...

— Zatorska zawstydziła się. — Pierścionków żadnych nigdyśmy nie mieli, pani Marjo...

— No tak, więc obrączki?...— Maryśka niedowierzająco pokręciła głową. Zatorskiej przeleciał, przez oczy, szary malutki przestrach. Ale wszak mówił jej mąż, bohater, że z niczem liczyć się nie trzeba, że wszystko należy, nie to, co ludzie mówią—poświęcić... Bo w poświęceniu jest ofiara a w każdej ofierze jest na dnie handel... Więc nie to... Ale poprostu, że wszystko trzeba z radością darować... Choćby ta żona, ten dom, zostawał z sześćdziesięciu koronami na całą wojnę... To wszystko nic... I to co ma się urodzić, co się tak rusza pod sercem... Ten wiesz co? Ten twój śliczny uśmiech na poduszkach i gorące objęcie... Wszystko poświęcić...

— Proszę pani,— rzekła Zatorska, ogarniając żylastemi dłońmi trzy głowy chłopców. — Cóż tu mówić?... Mój mąż dziś poszedł, zostaję sama, i co? Mam obrączek żałować?!..

— Mój mąż też dziś poszedł, — odpowiedziała chłodno Maryśka—i dlatego właśnie, nigdybym się nie pozbyła tych pamiątek.

— Co! — uradowała się Zatorska. —Więc pani mąż też jest w Strzelcu....

— Nie jest w Strzelcu,—żachnęła się Maryśka,—ale poszedł jak wszyscy inni.

— Nie jak wszyscy inni,—bo naszych będą wieszać... Zatorska, uśmiechnąwszy się smutnie, ruszyła ku drzwiom powolna, płynna w ruchach, niby w proroczym śnie.

— My się spieszymy — odwrócił się ku Maryśce najmłodszy chłopak — bo my niesiemy wszystkie pierścionki, proszę pani.

Z drzwi z których wychodziła Zatorska, wybiegła Janina. Skrzyżowały się w przejściu.

— Więc jest pani, nareszcie, pani Maryśko! Tylko prędko, bo inne już wyszły, nie możemy dać się prześcignąć!.. Kto więcej zbierze, ten widać miał większe powodzenie...

Wstyd ogarnął Maryśkę... Jakby miała robić coś nie właściwego, bez zapytania, pozwolenia, czy choćby, bez uśmiechniętego kiwnięcia głową Zdzicha...

— Puszka w garść i marsz w świat!

Ostatecznie zgodzila się.

Wyszły na ulicę.

— Proszę patrzeć, jak ja to robię,—pouczała Janina.— Trzeba mieć trochę taktu tylko. Zresztą entuzjazm jest tak ogromny, że nikomu miłemu i młodemu niczego nie odmawiają. Teraz dopiero można żyć... Teraz dopiero i nas się będzie szanować...

Z początku „wszystko" robiła tylko Janina. Maryśka szła krok za nią, z fałszywym, przepłoszonym uśmiechem, potrząsając puszkę, do której poprzednio wsypała wszystkie swoje drobne.

— Niech pani napastuje—radziła Janina—jakby wszyscy byli znajomi. Zresztą w tym wspólnym nieszczęściu jest tak rzeczywiście... Wszystkich nas łączy dziś tosamo...

Maryśka kiwała głową, w cierpkiej chmurze benzyny samochodów i krzyczała nieśmiało jakieś słowa odpowiedzi...

Teraz środkiem gościńca jechali ułani. Od koni szedł słodki zapach. Klask kopyt uderzał tak mocno... Na siodłach siedzieli żołnierze rozparci, bezmyślni i dumni.

— Tylko źle jest,—mówiła Janina, potrząsając skarbonką,—bo drobne gdzieś się pochowały... Zamożna publiczność musi dawać tylko banknoty. Trudno...

Wchodziły na planty. Janina zatrzymała się.

— Pani Maryśko, radość mnie rozpiera. Czuję, że żyję

jestem, że coś się dzieje... Chodziłyśmy razem do sztuby! Mówmy sobie ty! Co tam,—było nie było!

Na środku Alei wzięła Maryśkę za szyję i pocałowała w usta.

Panowie, przechodzący blizko, dali im brawo.

— Róża i fijołek, róża i fijołek — wołali, obstąpiwszy je dokoła.

Janina miała na sobie różowy kostjum z grubego żaglowego płótna, które się gięło zwięzłym łukiem przez piersi. Wysokie białe buciki widniały z pod krótkiego obrębu sukni, jak dwa cieniutkie białe kopytka. Ciemny fijolet kostjumu Maryśki lśnił jeszcze wydatniej, oblany słońcem.

— Róża i fijołek, róża i fijołek.

Ktoś sypał pieniądze do puszki Janiny, ale trzej panowie z złotymi łańcuszkami i złotymi plombami w roześmianych ustach koniecznie się uparli, że rzucą tylko do puszki „tego fijołka“.

Maryśka nie znała ich, nigdy w życiu chyba nie widziała, więc skądże im się to wzięło? Czuła, że rumieni się.

Panowie z niebieskiemi dziesięciokoronówkami w palcach nastawali ze wszystkich stron.

Zupełnie nieokreślona radość zaświtała w piersiach Maryśki. Odwróciła się i schyliwszy głowę, tak, jakby miała ubóść, czy przebić jakiś mur, z stanowczą decyzją odeszła na boczną ścieżkę.

Właśnie od nich ani grosza nie przyjmie, właśnie od nich ani grosza...

Lecz panowie pośpieszyli za nią i dognawszy, znów obstąpili.

Maryśka spłoniona i przestraszona z czerwoną puszką przy piersiach, patrzyła na nich srogo.

Stała na skraju plant. Po lewej jej ręce roiła się w słonecznej głębi ulica Szewska, oparta o amfiladę różowych Sukiennic. Po prawej Karmelicka, niby dwoma złotemi klamrami, obramiona dwiema błyszczącemi kawiarniami... Przed każdą z nich, odmętem drżącej piany, kłębił się tłum rozsiadły przy stolikach, lub między nimi krążący. Matowe plamy ubrań mężczyzn, poprzeczne płaszczyzny stolików, strzyżone kule kawiarnianych drzew, rozbłyski napojów, podawanych w smukłem szkle,—wszystko to mieszało się razem w jeden pstry miał drżących okruchów...

Przed frontem obu kawiarni, z ulic tu skrzyżowanych

płynął po gładkim asfalcie, wśród trąbienia, okrzyków i braw, wielki ruch wojska. Plecy objuczone, ceglaste twarze z pod ciemnych daszków, tysiąc rąk wymachujących rytmicznie przy boku, niby tysiąc ruchomych małych bocheneczków. Tysiąc podeszew odchylonych i znów do ziemi przywartych... I twarze, które się pamięta całem sercem, na cały wiek sekundy i które się natychmiast nazawsze zapomina—twarze, szeregi...

Wszystko na pomoc Zdzichowi??

Wolałaby się teraz pod ziemię zapaść, niż bronić się tu przed tymi obrzydliwemi mężczyznami... Mimowoli rzuciła okiem, gdzieby można uciec.

— Pani nie może nam odmawiać,—rzekł wreszcie jeden z panów.—Zbiera pani nie dla siebie a dla Ojczyzny, czy na jakiś cel,—wszystko jedno. Kto się podejmuje zbierać, ten musi brać... Nas nic innego nie obchodzi!

Przed oczyma jej wyciągnęły się trzy silne ciemnym włosem sprószone ręce. Jedna za drugą dążyła do czerwonej szpary puszki, wpychając weń z trudnością niebieski banknocik. Przyciskana do piersi skarbonka obruszyła się w rękach Maryśki, napełniwszy ją zgrzytem blachy i niewytłumaczonym wstydem... Szorstki chłód przebiegł jej ciało...

Panowie, śmiejąc się, odeszli.

Z tyłu nadbiegła Janina. — Widzisz kochanie, widzisz jakie masz powodzenie! Ach, wy mężatki, zawsze nas zdystansujecie...

Niesmak ogarniał Maryśkę, było w tem wszystkiem coś nader ulicznego, fachowego, jakaś nieuchwytna obrzydliwość...

Umówiły się, że się spotkają wieczorem w Teatrze Ludowym, gdzie Janina gra i gdzie Maryśka odda puszkę z uzbieranymi pieniędzmi, — chociaż nie wiem, jak mi pójdzie, bo dosyć mam już tego wszystkiego...

Potem, wzruszywszy ramionami, poszła Maryśka zbierać. Na co? Na to... Na to jakieś powszechne warjactwo, czy na cel wspólny, czy Polskę, czy na artylerję, czy też może na papierosy dla rannych? Pewno i tak w końcu rzecz właściwa nie dojdzie do skutku a pieniądze może dostaną jacyś biedacy...

Ujęła się jedną ręką pod bok, a drugą potrząsając pieniędzmi, pochylona naprzód, ruszyła w stronę kawiarni...

Przy wejściu złapał ją Smolarski. Kazała mi pani Ja-

nina znaleźć panią i jakby coś z tego,—więc niby towarzyszyć...

Ach, on się nigdy nie zmieni... Zawsze w tych spodniach stalowych, które nie pamiętają żelazka, z tłustymi rękawami na chudych łokciach, z brodą w szpic, z nosem w szpic, cały, jak trójkąt...

Cisnęli się zapchanym wejściem do środka. Maryśka wstrząsała ustawicznie swą puszką. Dawano jej ze wszystkich stron. Ze wszystkich stron przy jej skarbonce zbiegały się ręce męskie i kobiece. Jak różowe ptaki. Z głębi sal, dochodziła muzyka i trzask wielkich braw. Grano wciąż pieśni narodowe. Były to przeważnie hymny tryumfu, lub marsze. Całą salę wstrząsały dwa jakieś, proste akordy, po których stąpała huczna twarda melodja w górę, w dół, — w górę, w dół...

Wtedy wszyscy zrywali się z miejsc, a twarze ludzi okrąglały w zachwycie naiwnego osłupienia.

Weszła ze Smolarskim do środka kawiarni. Gorąco tu było i dymno. Ludzie starali się dojrzeć coś ważnego, co odbywało się w głębi... Na końcu sali przed orkiestrą, niby mała błyskawica, przelatywała w prawo i w lewo jasna klinga szabli, którą jakiś oficer dyrygował węgierskiego marsza.

A tamte wakacje, gdy padając z boku na bok chodził metronom,—skończyły się... Nowy czas mierzy się ostrym nożem... Maryśce zrobiło się nagle nieomal straszno...

— Czy pan co widzi, bo ja już nie wiem, gdzie idziemy, a gdzie wyjście?

Nareszcie wyszli. Maryśka z wielką ulgą odetchnęła świeżym powietrzem. Słońce już zachodziło. Musieli przeczekać, aż przemaszerują długie oddziały piechoty. Czerwony kurz wywracał się ogromnymi słupami nad gościńcem, ciemne drzewa i wielkie fasady klasztorów zdały się płynąć w sypkich obłokach kurzawy.

Wszystko płynie...

Nareszcie znaleźli się naprzeciw kawiarni Bizanca.

Przy którymś stoliku uwięził ktoś rękę Maryśki...

— To i pani zajmuje się sprawami społecznemi?

Był to jej doktór, akuszer. Siedział sam przy stoliku, z cieniutką słomką za ogromnym uchem. Maryśka była tak smutna, że wolała stać koło niego niż siedzieć, — jak mała dziewcznka koło kogoś o wiele starszego i mądrzejszego.

— Nie, nie usiądę, dziękuję panie doktorze.

Podniósłszy ku niej swą białą twarz, modelowaną tłustym obrzękiem, patrzył niebieskimi źrenicami, litując się: —Jaka pani zgrzana! Cóżem to takiego zrobiła, gdzież to tak chodzę dla tej ojczyzny?... — I nie wstawał, bez ceremonji.

Zresztą jakież tu mogły być ceremonje? Któż ją znał lepiej od niego, który ją składał i rozkładał, naprawiał i łatał tyle razy,—jak laleczkę... Na chwilę znalazła przy nim poczciwy odpoczynek.

Łysa, pokryta złocistym puchem głowa doktora oblana była czerwonemi plamami. Tuż pod oczyma paliły się cynobrowe rumieńce.

— Tak, pani Marjo, owszem, damy pani do puszki parę groszy, — ale nie oto chodzi... Wie pani teraz, poco pani syna na świat wydała?... — Wyciągnął obie ręce wskazująco przez nizką poręcz na ulicę. Podobne były raczej do wielkich klusek, niż do dłoni.

— Na to pani rodziła!—Jeszcze raz głową wskazał ulicę... Żołnierze szli bez końca.

Maryśka postawiła swą puszkę na stół, zasmucona raczej beznadzieją gestów doktora, niż tem co mówił.

Tłum stojący po obu stronach gościńca krzyczał i wymachiwał rękami.

— Wie pani na ile ja to liczę?

— Ale co, panie doktorze?

— Na ile ja liczę tę wojnę? — Pięć miljonów trupów najmniej, — wołał do ucha, chcąc przekrzyczeć przemarsz,— pięć miljonów trupów...

Oparł szeroką swą rękę z akuszerskimi paznogciami, obciętymi przy samej skórze, o biodro Maryśki, bardzo poufale.

— I po co wy kobiety rodzicie?!

Teraz dopiero zauważyła, jak bardzo jest zdenerwowany. Skóra na głowie zbiegała mu się w ciemne ogniska zmarszczek.

— Tak, — śmiał się. — Ale teraz chyba, potem co pani widzi, to już nie będzie pani tak prędko...

— Doktorze,—mego męża dzisiaj zabrali na wojnę, dziś go odprowadziłam...

— No, oczywiście—śmiał się bezwzględnie,—dlaczegożby nie, skoro jest zdrów, młody i zdolny!...

Myślał, że ją dobije, a tymczasem pokrzepił... Tyle w niej było do rozdania dla wszystkich smutnych i zgryzionych, że mogłaby jeszcze sama pocieszyć doktora.

— Tak, tak, złociutki doktorze, filozofja filozofją, a obowiązek obowiązkiem.

Poszła sobie od niego jeszcze bardziej bezpańska...

Tymczasem Smolarski, strzygąc trójkątnymi uszami, przypomniał sobie, że u pani Ciąglewiczowej na Salwatorze jest bardzo ważne zebranie. Że Janina nie może tam pojechać, bo dziś premjera, ale zaklina panią Maryśkę... Pewno się już zaczęło,—bardzo ważne w sprawie „ligi kobiet", oraz informacyjne, oraz, co do urządzenia warsztatów i zebrania zasobów bielizny dla Strzelców...

— Że też te rzeczy,—pomyślała Maryśka z uśmiechem politowania, — musi zawsze robić ktoś taki, jak strach na wróble... Tem niemniej nie chciała odmówić...

Nie mogła teraz odmawiać żadnemu dobremu uczynkowi, bo nużby się to odbiło na Zdzichu?...

Pojechała więc za miasto, na Salwator. W tramwaju było pełno. Na ulicach przyklejano jakieś nowe rozporządzenie... Ludzie gromadzili się przy wielkich, gęsto zadrukowanych afiszach. Tłum zwierał się w jedną grudę, ponad którą pochyło sterczały wychylone twarze. Czerwień słońca kończyła się u brzegu ich otwartych ust, — jakby skupieni, gromadnie pili tę czerwień, w milczeniu...

Wóz zwolnił koło jakichś składów wojskowych, przy których stały furgony, pod wartą z karabinami.

Tyle razy, panienką jeszcze będąc, chodziła tędy... Zawsze ją zadziwiał rzeźbiony szyszak kamienny i bronie, nad wrotami w gwiazdę wyrzeźbione.

Teraz wynosili żołnierze z podwórza niezmierne ilości koców, składanych wielorako, niby białe olbrzymie naleśniki.

Tramwaj popędził prędzej. Już za miasto prawie... Widać tu było najłaskawsze połyski zachodzącego nieba i odbitą w wygiętej Wiśle radość letniej pogody. Wśród domków, krzaków, drzew, wśród kamiennych ramion prostych tam i na Krzemionkach, wśród górek, dzierganych starym wapieniem, witał się pierwszy cień wieczoru z ostatnimi blaskami dnia.

Z daleka, daleka, jakby z czoła dwurogiego Fauna, — z pod klasztoru Bielańskiego,—płynęła Wisła, tworząc w roz-

gwarach ziemi mglistą, westchnieniami spowitą drogę ciszy niebieskiej i różowej głębokości...

Maryśka szła powoli pod górę. Teraz minęła narożną kapliczkę z oskubanym świątkiem, pod którym, za drewnianą kratą płonęło kilka świec.

Kojąco na nią działały białoczerwone, małe, zgrabne, dobrze wychowane wille urzędniczego przedmieścia. Wśród serdecznego toku uczuć stawały ciche możliwości czystych okien, z białą klamrą termometru w pośrodku,—zapewne gazowa kąpiel,—zapewne dwie sługi... Taki naprzykład ogródek z różami, taki naprzykład serwis do herbaty, może nie platerowany, tam na werandzie,—może srebrny?...

W głębi, z pomiędzy domów, przeświecała, ślicznie wielkiemi ocieniona drzewami, droga na kopiec Kościuszki.

Gdy tylko skończy się zebranie, pójdzie tam Maryśka... I wogóle będzie odwiedzać to miejsce...

— Widzisz—mówił jej kiedyś Zdzich, na tej drodze, tu, żałuję, że nie jestem poetą...—I pokazawszy wielkie rzędy olbrzymiej alei:—Nie jestże to naprzykład harfa?... Słuchaj...

— Powiedz, co jest drzewo, albo gałąź?... Powiedz, czy to nie to samo, co ty?... Uwiódłszy ją w mrok pod mur cmentarza czepiał się rękami jej nóg. A gdy minął wszystką bieliznę i szmatki, trzymając w wielkich ciepłych dłoniach zwięzły spad jej chłodnych ud, — przylegał rozradowany twarzą do rąk jej, — które sklepiała skromnie na podołku sukni...

Zdawało się jej wówczas, że z ust Zdzicha rwie się ten sam szelest gładki i wilgotny, jakim trzepoczą liście... Że świętojańskie robaczki, migające w krzakach cmentarza i w drzewach alei, są zielonymi błyskami ich wspólnej radości... Radości, która tak lata po świecie, tak się rozkosznie dręczy...

Owiana czarem tych wspomnień, zadzwoniła na pierwsze piętro do Ciąglewiczów.

W mieszkaniu było zupełnie cicho... Słyszała wyraźnie świegot dzieci z ogródka i okute kroki żołnierskie na chodniku.—Czyżby się tak zagadali, że nikt nie słyszy dzwonka?...

Lekko nacisnęła drzwi. Były otwarte... Owionął ją zapach obcego mieszkania i obca cisza... W przedpokoju na stole, pod paltami, stała duża, biała salaterka z alabastru, na której leżały bilety. Z boku, przy piecu, rycina, podobno

szwajcarska—dumny lew trzymający w łapach tablicę z jakiemiś przykazaniami...

Maryśka ucieszyła się, że się tu u Ciąglewiczów nic nie zmieniło, że wszystko stoi, jak zwykle, na dawnem miejscu.

Przynajmniej tu zostaną dawne czasy...

Weszła do salonu w nadziei, że tu kogoś zastanie... Słońce się krzyżowało z narożnych okien w środku pokoju, złocąc czarną dekę zamkniętego fortepianu. Osiadły na nim kurz, mienił się pięknie, jak srebrny nalot.

Nagle zdaleka rozległ się szybki gęsty klekot.., Zda się twarde, drewniane gdakanie...

— Co to jest?!

W drugim kącie salonu, w starej gablotce, którą Maryśka tak lubiła oglądać, na dawnych szkłach i puharach paliło się mnóstwo tęczowych iskier...

Oczywiście Smolarski pomylił się i żadnego zebrania u Ciąglewiczów niema... — Jak zawsze, taki ideowy, rozczochrany Smolarski...

Była tak zmęczona, że usiadła na kanapie, przy stole... Jednak ci Ciąglewicze mają ładne rzeczy. Cały salon — na staro...—Zazdrościła im urządzenia. To Ciąglewiczowa, jako, że pochodziła ze starej rodziny, przywiozła to z sobą ze wsi. Chuda, bo chuda,—ale meble bardzo ładne...

Miło było Maryśce wypoczywać w obcem miejscu, u obcych ludzi, którzy gdzieś poszli... Wśród starych sprzętów, z którymi ją nic nie wiąże, a które tyle pamiętają... Wzrok jej błądził spokojnie, z bierną uległością za błyskami słońca, po złoceniu luster, po forniracli stołu, po jasnych kwadratach posadzki...

Znów zakotłowało w uszach Maryśki od śmiechu i nastawania... Blada słaba nadzieja przewinęła się przez zmęczone jej usta... Róża i fijołek! Róża i fijołek!—To znaczy, że ją nazwali ci panowie fijołkiem...

Zdało się jej, że zasypia, że się jej w głowie już mąci. Bo jednak i tu dochodził do niej, prócz wszystkiego ten sam miarowy trzask przewracanych kartek... Tak, jakby to było u nich w mieszkaniu, gdy wróciła z kolei...

Nie można spać w obcym domu, coby ktoś pomyślał, gdyby ją tak zobaczył, drzemiącą w kapeluszu?...

Wyciągnęła nogi przed siebie. Na noskach czarnych pantofelków, kupionych jeszcze za pieniądze kochanego matołka, wykwitły różowe iskry...

Nagle zdaleka roziegł się znów ten szybki, gęsty klekot... Zda się twarde, drewniane gdakanie...

— Co to jest?...

I znów kroki ludzi, śmiechy dzieci w ogrodach, hałas dalekiego miasta... Głaskający szelest nie wiadomo gdzie obracanych kartek... — Stare obrazy utraciwszy treść wniknęły głęboko w ściany, jak czarne dziury. Drzewa, szumiące za oknami utarły się w jedną tęczę z przelotem nieba i z blaskiem ścian...

W igraszkę posłusznych kwadratów posadzki, roztrącając połyskliwy spokój lakierowanych drzwi, — wpadł mocny śmiech czerwonych ust.—Wpadł—i znikł...

Ciąglewicz, ździwiony niezmiernie, zatrzymał się w drzwiach, nie chcąc budzić śpiącej. Jakie zabawne wydarzenie!... Maryśka siedziała, głęboko wtulona w fotel, z kapeluszem na bakier, z woalką osuniętą poniżej oczu, niby złapana w białą siatkę jej... Na zaczerwienionych od płaczu krańcach powiek supłało się słońce. Zbrzęknięty trochę koniec nosa świecił się białą iskierką. Rozchylone usta oddychały głęboko. Widocznie chciała była poprawić swą pozycję przez sen. W rękach bowiem trzymała fałdy sukni, odsłaniając wysoko nogi, założone jedna na drugą i wysunięte na pokój.

Biedactwo—pomyślał, patrząc na nią, wciśniętą w karło, rzuconą w głąb, niby sztuczka zmiętego jedwabiu... Po wyprężonych i smukłych jej łydkach, ubranych w dobrze naciągnięte czarne pończochy, szła mucha.

Ciąglewicz śledził z uśmiechem drogę malutkiego owadu po smukłym kształcie w górę, aż ku zmarszczkom kolana. Tu mucha przysiadła w różowiejącym przez pończochę zgięciu i uderzać jęła malutką trąbką raz za razem, w oczko jedwabiu.

Ciąglewicz, odwróciwszy się, chrząknął donośnie...

Maryśka drgnęła... Oto prysła przed nią szyba masarni, złączone ramą rękawa twarze jej i Ciąglewicza rozbiegły się... Ciąglewicz znalazł się przy biurku Zdzicha, z dymem papierosa nad głową...

— Ależ, niech pani sobie nie przeszkadza, niech pani odpoczywa!

Przetarła oczy. Stał w drzwiach salonu, różowy od blasków zachodu, z dziwnym uśmiechem na ustach. Jego orzechowe oczy nieprzyjemnie kłuły Maryśkę...

Nagłym ruchem skurczyła nogi i rumieniąc się, obciągnęła suknię.

— Byłem tak zaczytany, że zupełnie nie słyszałem, kiedy pani weszła... Żona mnie tu zostawiła na łącznika... Bo zebranie odbywa się nie u nas, tylko u Karowskich... — Podszedł bliżej i oparł rękę na brzegu stołu...

Pachniał przyjemnie i jakoś poczciwie, lecząco, jakby ślazowymi cukierkami...

— Czy to jest wieczór, czy południe?—spytała, nie rozumiejąc jeszcze ze snu, ani czasu, ani miejsca.,.

— To już jest wieczór...—I, czy odpoczęła pani trochę?

— Byleby tylko nie ruszył jej za rękę... Byleby zaraz nie potrzebowała zmieniać pozycji...

— Może pani zdejmie kapelusz?—Siedziała taka biedna, taka zmięta...

I znowu zdaleka rozległ się szybki, gwałtowny klekot, tak podobny do gardłowego gdakania...

Spojrzała pytająco na Ciąglewicza.

— To karabin maszynowy, proszę pani,—objaśnił. Ćwiczą się na strzelnicy, za kopcem Kościuszki.—Wziął do ręki jej puszkę i potrząsnął nią parę razy, chcąc się widocznie przekonać, czy dużo nazbierała pieniędzy...

Te dwa głosy, daleki i bliski, przeniknęły się wzajem. Maryśką wstrząsnął dreszcz.

Ciąglewicz usiadł naprzeciw niej. Pocałował ją w rękę na przywitanie. I długo mówił różne rzeczy, może nawet smutne, lecz dobre...

Nie rozumiała ani jednego słowa. Było jej jednak przyjemnie, że brzęczy to wkoło jej uszu. Wogóle ucieszyła się, że znów się nią ktoś opiekuje, że czyjaś silna wola mięsza się do jej ociężałych chwil.

Oto co się dzieje,— zaśmiały się jej żale przebudzone, —gdy żonie zabiorą męża...

Dobrze, teraz pójdę do Karowskich, może się tam jeszcze nie skończyło. Potem on ją odwiezie do miasta.—Wstąpią do Janiny... Muszą wstąpić, by oddać puszkę...

— Nie może pani sama iść za kulisy... I to jeszcze do Ludowego Teatru. Zaś wogóle,—wszystko jeszcze będzie jaknajlepiej...

— Słyszysz Zdzichu, — pomyślała, jaka twoja Maryśka cierpliwa,—wszystko jeszcze będzie jaknajlepiej...

Ciąglewicz bawił się nieomal tą całą opieką. Podał

Maryśce rękawiczki. Obciągnął obwiniętą z jednej strony połę jej żakietu.

Stała naprzeciw otwartego balkonu zawiązując woalkę. Patrzył, jak łapie końcami warg skręt lekkiej, przeźroczystej materji... Jakby skubała białą trawkę...

Bowiem zeszłego roku, w czasie wakacji, gdy był słomianym wdowcem, zdarzało mu się nieraz podawać tu w salonie rękawiczki, poprawiać czyjś kołnierzyk i obciągać poły żakietu...

Czy teraz nie wyglądało też, jakby wychodzili z pustego mieszkania, po jakimś sam na sam. Nieubłagana jest jednak,—pomyślał—ta trzeźwość życia...

— Taki jestem kontent — mówił zamykając drzwi — że dziś właśnie mogę się pani na coś przydać... Proszę zawsze pamiętać...

— O! może pan być pewny...—Wzruszyła ramionami.- - Takich dni, jak dzisiejsze, nie zapomina się...

Karowscy mieszkali parę domów dalej, prawie u wylotu olbrzymiej alei, wiodącej do kopca Kościuszki. Zebranie już się było skończyło. Zostały tylko z niego echa w rozmowie osób na werandzie i trochę nieporządku w przedpokoju.

Gospodarze przyjęli Maryśkę spokojnie i cicho.

Szum, idący od wysokich drzew napełniał otwarte mieszkanie powłóczystym rozgłosem liści.

Już wiedzieli o wszystkiem... Przystąpili do niej z twarzami godnie zmarszczonemi, jak do kogoś, kogo dotknął duży cios.

Sprawiło jej to przyjemność.

Wyprowadzili ją z salonu na werandę.

— Niech pani sobie siada na leżaku, niech pani sobie odpocznie—prosiła jeszcze w jadalnym pani Karowska.

Można było, zamknąwszy oczy, wszystko zapomnieć — tak pełnym słodyczy i zaufania był miękki szelest drzew.

— Zaraz podam herbatę, konfitury, a wtedy i o naszych sprawach pogadamy, pani Maryśko... Dobrze? Bo mamy różne plany na panią...

Maryśce było miło siedzieć tu w półmroku...

— Zdzich nie był się pożegnać,—rzekła Maryśka.

— Oczywiście, że nie mógł się pożegnać—zgodziła się odrazu Karowska.—Zresztą, ktoby dziś na takie rzeczy zważał...

Prosta twarz Karowskiej, jakby strugana nieudolnie w drzewie, przybrała wyraz nadzwyczaj wprawnego współczucia... Równe płatki sinych warg ściągnęły się w dzióbek okrągły. Przez woskową płaszczyznę czoła przebiegło kilka czarnych, równoległych kresek istotnej troski. Blade oczy zatrzymały się nieruchomo w czerwonych obwódkach.. Nawet pod brodą zarysowała się czarna bruzda wstrzymanego przełykania. Tylko nos tak samo zadarty, unosił się w górę, patrząc w głąb pokoju dużemi czarnemi dziurkami.

— Ktoby dziś zwracał uwagę na takie rzeczy, pani Marjo...

Maryśka podziękowała spojrzeniem. Ach takby teraz chciała, by była tu przy niej jej matka... Jej szorstkie ręce na czole... Płot przed oknami szkółki... Zapach jabłek w pokoju... I gderanie i to, wieczne—a mówiłam ci, zaraz kiedyście się poznali, nie dla ciebie, nie wart tego...

Nadszedł Karowski i Ciąglewicz.

Pani Ciąglewiczowa przywitała się z Maryśką wymownem podaniem ręki i opadła z powrotem na bujający fotel. Zawinięta w swój szal, z wielką pretensją do świata... Bo była chora, zdaje się na nerki, teraz wybucha wojna, a tu trzeba gdzieś jechać do jakiegoś słońca i nie można.

Ciąglewiczowa mówiła to z takim przeświadczeniem, jakby nie tylko ona, ale i słońce cierpiało z tego powodu...

Mężczyźni oparli się o balustradę werandy, obróceni tyłem do resztek zachodu. Siwe włosy Karowskiego błyszczały fioletowo, jak rozkwitnięty wrzos, z którego wyzierała twarz ziemisto-zielona, spadająca białą łopatą brody na piersi. Zaś głowa Ciąglewicza czyniła wrażenie ozdoby, kutej w bronzie. Jego powiewne loki przesuwały się w prawo i w lewo po dalekim widoku miasta.

Znów trysły z oddali twarde rechoty karabinu maszynowego.

— Jak się masz Magdusiu,—zawołała Maryśka z werandy.

W ogródku, między różami, a jedną jedyną grzędą warzywną, uganiała córeczka Ciąglewiczów, Magdusia. Zapadający zmrok sprawiał, że różowa jej sukienka lśniła popielatą jedwabistością ćmy.

— Uważaj Magda,—rzekł Ciąglewicz—żebyś nie spadła.

— Ja uważam na nią, proszę pana.

Teraz dopiero spostrzegła Maryśka gimnazjalistę, syna

Karowskich. Trudno go już było dobrze w mroku rozeznać, zwłaszcza, że granatowy mundurek zlewał się z tonem ziemi. Chłopiec klęczał pod krzakiem róży. Widać było dobrze tylko twarz jego i ręce. Jedną trzymał przy piersiach, drugą, wyprostowaną, napinał łuk. Złote ramiona trzciny zginały się coraz bardziej i jakby same z siebie, bo cięciwa niknęła w mroku!..

— Jak się pan ma, panie Adolfie?!

Zerwał się i ukłonił przy grzędzie.

— Tak łatwo o nieszczęście, — rzekł Karowski, — uważajcie, moje dzieci...

Istotnie grunt załamywał się silnie i tuż za ogrodem spadały w dal ukłony ziemi, — na lewo ku rzece, na prawo ku miastu. Brzegów Wisły stąd widać nie było, tylko nisko z boku, paliła się jej wstęga, jak skrawek rozżarzonej blachy, którą powolny zmierzch chłodził coraz mocniej, niebieskiemi falami swego oddechu. Zaś w miarę tych tchnień otulały się drzewa siwem przędziwem, zbratane w jeden zrąb szafiru.

Słychać było brzęk małej rakiety, którą Magdusia podrzucała piłeczkę.

— Całe miasto, jak na dłoni,—rzekł po chwili Karowski. Ogarniały go blade, powolne myśli wieczoru... Oto teraz, właśnie teraz, gdy był już tak spokojny, tak wszystkiego świadom... Gdy już się obracał między ścianami domu, niby między ścianami kochanej trumny... Gdy mógł zginać plecy nad malutką grzędą i myśleć, że uprawia nareszcie polską grzędę... A właściwie, gdy mógł o wszystkiem tem nie myśleć... Oto teraz właśnie, na nowo świat się chce zmieniać... Tak się Karowskiemu już nie chciało tych zmian, choć głośno mówił co innego... Tak już—rozumiał łagodną beznadzieję losu i jego odwróconą tożsamość...

Jak na dłoni, jak na dłoni—powtórzył...

Wszyscy spojrzeli w tę stronę... Miasto zamykało daleki horyzont wyniosłym złomem murów, niby ołtarzem...

Lecz Karowski patrzył w bok, gdzie, pominąwszy wyskubaną krętaninę paru ubogich uliczek, leciało błonie krakowskie, równym, stopionym ze wszystkich barw mroku porywem, coraz dalej i dalej.

Na błoniach ćwiczyły oddziały Strzelców. Zbiegały się one i rozbiegały, niby na ciemno szarym aksamicie ziarenka rubinów. Tam i sam, z oddziału ustawionego w poczwórny długi szyk, aż tu dolatywała, stara, żołnierska pieśń...

Karowskiemu robiło się straszno, mimo że przytakiwał ciężką głową... Bo jakże? Pieśń tę potopili we krwi jego rodzice, on ją powiedział synowi z całym szacunkiem, jaki się ma dla spraw, w których użycie nikt już nie wierzy...

— Nigdym nie myślał, — mówił teraz, chowając skwapliwie w mroku swą twarz,—że dożyję tak pięknych chwil... Więc jednak młodość i wogóle wszelkie ofiary...

Z żarłoczną radością patrzył na syna, który nic nie wie o ofiarach, nie idzie po błoniu, nie śpiewa wielkiej pieśni, ale zato naciąga łuk bez celu i bawi się spóźnioną, jak na swój wiek, zabawą...

— Nigdym nie myślał, — niech mi pani wierzy, pani Marjo.

— Że co?—przecknęła się.

— Że dożyjemy tak pięknych chwil?..

Uśmiechnęła się dwuznacznie. Postanowiła słuchać Karowskiego, korzystać, uczyć się.—Przecież mówił coś budującego... Zdzich nawet nie wie, jak mądrą ją zastanie, gdy wróci...

Karowski opowiadał o Rosji, skonstatowawszy poprzednio, iż my, aby mówić o sobie, musimy mówić o naszym panu—o naszym wrogu. Więc o Rosji...—Ogrom ziemi, ogrom bogactw, ogrom płodów, surowców... O tym, jakie tam ludy zamieszkują...

Rzeczywiście Maryśce nigdy nie przyszło na myśl, że tam mogą mieszkać rozmaite ludy...

Jakie tam ludy zamieszkują, o co walczą, jak żyją... Ale przedewszystkiem,—że tam jest ten chłop, ten chłop, który idzie z zamkniętemi oczyma, za ziemią... I urzędnicy... Ci muszą mieć ciągle nowe kraje do administrowania... Muszą wciąż nowe kraje objadać, opalać, nasiadać i toczyć...

— Ach tak,—myślała Maryśka,—poprostu, jak w Faraonie Prusa... I zapewne dla każdego z nich, przygotowana jest piękna kobieta, która goła zjeżdża na muszli, po uczcie...

Karowski przestał mówić. Słychać było wyraźnie daleki rozgłos miasta, szum liści, płynący z drzew nieustannym poszeptem, jakieś stłumione głosy rzeczy i stworów usypiających, zda się, samo układanie się powietrza wśród pierwszych mgieł i pierwszych nieruchomych świateł.

Szum liści...—Karowski słuchał go teraz, jakby to było wszystko, co w życiu jego zostało. Otwierał naoścież tym szeptom stare swe myśli... I marzył, nie śmiąc wyrazić tego

żadnym słowem, — że przecież osiągnął równowagę... Niby po długiej podróży i po długiej nieobecności tylu, tylu lat, ktoś, kto wrócił w stare progi i już nic, już nic niema do powiedzenia... Jakież szczęście!..

— Tak proszę państwa,—dodał po chwili,—wygląda ten wschód, ten wschód rosyjski, na który choruje cała Europa...

— A zachód, szanowny panie?—spytała Ciąglewiczowa, przeciągając się na leżaku.

Z pod Kopca Kościuszki, ze strzelnic ukrytych w wonnym zaledwie zmierzchłej zieleni wyrwało się raz jeszcze przeciągłe gdakanie karabinów maszynowych...

Karowski nasłuchiwał. Magdusia zamarła bez ruchu, z rakietą wzniesioną w górę. Patrzyła z podziwem na Adolfa. Zgięty, jak harcerz, naciągał spokojnie swój trzcinowy łuk i wypuszczał zeń strzałę po strzale. Pierzasty grot z rzewnym jękiem leciał wysoko w słodziutką niebieskość wieczoru...

Adolfa bawiło szczerze, że strzała spada nieomal w to samo miejsce, z którego ją wyrzucał.

— Patrz,—mówił szeptem do Magdusi,—wbiła się w ziemię, tuż obok mojej nogi,—nie słyszałaś?

— Gacek! Gacek!—krzyknęła nagle Magdusia.

Istotnie nad ogródkiem zwijał się czarny ruchliwy strzępek, kreśląc ostre zgiby i spady.

Zaskrzypiały statecznie, chrzęszczące buty Ciąglewicza. I znów zrobiło się całkiem cicho na werandzie. Słychać było dreptanie pani Karowskiej w głębi mieszkania i srebrny dźwięk łyżek, liczonych na suknie.

Oni wschód, a my zachód i stąd wszystko...—Maryśka uzmysłowiła sobie, jak to samo powietrze, płynie po niebie wśród roju jaskółek, miljona owadów, miljona głosów i z zachodu przepływa na wschód,—tak dalekó... To samo, to samo powietrze... I dlatego, że to jest tak daleko, Zdzich musi...

— Więc dobrze, — przerwał milczenie Ciąglewicz, — więc dobrze, skoro już pan łaskaw i tyle nam opowiedział rzeczy ciekawych o stronach tak dalekich... Możemy sobie urządzić...

Szukał jakiegoś porównania dla nastroju chwili. Uważał, że układa się ona w sposób dość wytworny, nieomal wyszukany... Goście, siedzący na werandzie, błonia, historyczne napięcie momentu, drżące we wszystkiem, napełnia-

jące, zda się, stare mury odległego miasta fosforycznym tleniem...

— Możemy sobie urządzić bez,—oczywiście,—wszelkich pretensji, rodzaj wieczorów florenckich, czy wieczorów nad Lemanem...

Karowski, nie znając żadnych takich wieczorów, niechętnie zmarszczył brwi. Cóż mu to chcą wyrzucić?.. Jaką znów wypomnieć lukę w wykształceniu, powstałą z poświęcenia, czy ofiary?..

Nagle, jakby się w istocie jego otwarło kilka głębokich komór, a głos poszedł w dół, bliżej ku prawdzie...

— Nie mam do nikogo ani gniewu—mówił,—ani złości. Należę, proszę pana, czy należałem,—bo cóż, dzisiaj ruina?.. Należałem do pokolenia, które...

Tu już przyłączył się do słów jego astmatyczny poświst gwałtownie wstrzymanej piersi.—Bardzośmy się trudzili, — i nikt nas nie pochwalił!—A swoją drogą gardziliśmy wszelką pochwałą.., Mieliśmy wielkich wrogów i nie mogliśmy ich potępić... Nauka, która nas wychowała, uzasadniała najzupełniej istnienie tych wrogów... Walczyliśmy, nie znajdując w naszej nauce powodu naszej walki...—Myśmy się przecież wychowali na pozytywistów. Oddaliśmy krajowi dużo krwi i serca, uważając to jedynie, za nasz mechaniczny obowiązek... Wiecie państwo,—pan mówi o wieczorach florenckich,—co było moim ideałem i dźwignią wśród wszystkich prób i przeciwności? Jakiś uśmiech, jeden mój własny uśmiech którego nie rozumiałem i nie rozumiem, jeden mój własny uśmiech...—Bo zresztą, wszystko musiał był człowiek przyczynowo przebaczyć i uznać. W końcu myślało się, że rzecz zrobi się sama... Spokojnie, mechanicznie, naprzykład przez kooperatywy... Tymczasem nagle, niech kto powie dlaczego, wybucha porachunek!?! Cały świat do niego staje,—a my? Nie Polska, lecz my, pokolenie po powstaniu, a przed mądrością XX wieku... Kto nam wypłaci?!..

Karowski nie mógł wypowiedzieć tego, co nurtowało twardą jego pierś. To było zbyt proste i zbyt grube... Nazbyt już w oddechu w mięsie, ślinie, żyłach...

Nie o to, że się gdzieś brodziło kiedyś, krańcami wygnania, w pustych czarnościach... Że się przetrwało wieki oczekiwań... I że całe poświęcenie życia, gromadką kilku mogiłek, zmarniałych na wygnaniu dzieci, pokutuje zawsze w kącie przemierzonej drogi...

Ale o to, że żarłoczne prawo znów budzi się i nęci... Znów hałasują stare obowiązki, — tyleś już zrobił, tyleś już oddał, oddaj wszystko... Ale o to, że rodzi się znów cwał jakiejś wielkiej siły...

Zwracał się do Maryśki, tak, jakby ona właśnie mogła go zrozumieć najlepiej.

Twarz Karowskiego szeroka, otoczona siwymi włosami ukazywała się Maryśce to blisko, to daleko... To widać było dokładnie, gliniane cienie skóry, małe oczy wpadnięte głęboko i czarne usta, schowane w runie siwej brody, to znów oblicze mówiącego cofało się w głąb wieczoru, za mgły, ku murom miasta. I chodziło między nimi, jak ogromna zwalana ziemią bulwa...

— Pan mówi o wypłacie, o rozrachunkach—rzekł Ciąglewicz—i o wschodzie. Przeto pozwolę sobie nawiązać do pytania, które przed chwilą postawiła moja żona... Pan nam opowiedział, określił, jaki jest wschód...—A Zachód?...

— Nie znam Zachodu, zupełnie nie znam—odpowiedział spokojnie Karowski. — Przejeżdżałem, by się tu dostać dookoła świata...—Zapewne,—wszędzie uciskają człowieka...

Nagle pękła w nim ogromna tama, długo, pracowicie wstrzymywanych słów. Policzyły się prędziutko skryte umowy z samym sobą... Żywy strach przed ostatnią ofiarą przeistoczył się w wołanie zuchwałe:—Ale wiem—wołał coraz głośniej, z coraz ostrzejszym świstem oddechu, — że ci ze wschodu obżarli się ziemi, a teraz muszą ją oddać! Że się opili krwi, a teraz ich ona rozdyma, póki nie pękną... Ale wiem, że taką ciężką krzywdą, że takim mongolskim systemem, że takim poniewieraniem człowieka... Dlatego my Polacy zrobimy wszystko, co jest, co będzie w naszej mocy...

Zatknęło go... Chwilę, poprzez łuk syna sprężony w powietrzu, patrzył bezmyślnie gdzieś daleko, jakby ku temu wschodowi...

— Dlatego nie będzie domu, nie będzie rzeczy, ani ofiary, ani poświęcenia,—tak jest, po dawnemu, tak jest...

Wołał tak głośno, że się wszyscy przestraszyli. Maryśka aż uniosła się na krześle, wpatrzona w Karowskiego...

Ciąglewicz nachylił się ku niej i szeptał ostrożnie, chcąc osłabić trochę cały efekt—:Kto tak, jak ten starzec całe życie prawie spędził na wygnaniu, na Syberji... Pani wie przecież...

— Całe życie na wygnaniu... Z kamieni robili ziemię... Pochowali tam czworo swych dzieci... Stracili tam całą swą miłość. A nas już,—uśmiechał się sceptycznie—mało obchodzi, za co właściwie na to wygnanie poszli...

— Zresztą wszystko jedno, —pisnął cieniutkim, pękniętym głosem Karowski,—my i tak mamy znów naszych powstańców, nowych, mamy nowych powstańców!!!

Pierzasta strzała, wypuszczona z łuku Adolfa, z słodziutkim jękiem przeszyła powietrze.

— Mamy nowych powstańców, chociażby na darmo! I wszyscy tam pójdziemy! Wszyscy!! A o wieczorach florenckich...—Głos Karowskiego skurczył się, zmiął, zaskrzeczał, jak stary zegar. Głowa się potoczyła na przysadzistych barkach, niczem wahadło, w prawo, w lewo...—A o wieczorach florenckich, to ja nic nie wiem...

Liczenie łyżeczek ucichło... Zadrzała posadzka jadalni pod ciężkimi krokami. Zapalone nagle światło elektryczne wpadło z pokoju na werandę.

W drzwiach zatrzymała się pani Karowska.

— I poco ci to, Ksawery i poco ci to?—Mówiła głucho nie rozwierając ust, dziwnie przydymionymi słowami.—I poco ci to, Ksawery?...

Jej duży cień przesłonił grządkę ogrodu i pochłonął małą Magdusię.

— I poco ci to, Ksawery?...

Karowski nie ruszał się z miejsca, mlaszcząc z cicha, jakby ssąc łakomie swe rozgoryczenie. Pani Karowska podeszła do męża, ciężką ręką dotknęła lekko jego piersi.—Sam sobie szkodzisz...

Przez chwilę wszyscy słuchali sapiącego oddechu, niby dla stwierdzenia, czy istotnie sobie szkodzi. Ciąglewicz tylko czuł się trochę obrażonym.—Czemuż się ten stary rzuca o te „wieczory", skoro nie wie, o czem mowa?...

Karowska, trzymając wciąż męża przy sobie, usiadła koło Maryśki. — A teraz moje interesy do pani, nasze interesy...—Maryśka uprzejmie zwróciła głowę.

Szło o bieliznę dla Strzelców, przecie w każdym domu coś się znajdzie... Ale trzeba kwestować,—a przytem zakładamy własne narodowe szwalnie...

Karowski stał wciąż bezradnie przy żonie, trzymając ją za rękę, zapatrzony w dalekie ciemności...

Na sinym niebie ukazywały się już poszczególne gwiazdy, jak srebrne krople.

— Każdy musi oddać wszystko, co ma—rzekł nagle,— każdy, wszystko, wszyscy...

Karowska nie dała mu skończyć: — Pani nam może być bardzo pomocna. A jeśli pani chodzi o Felusia... Mogłaby pani być całkiem spokojna. Nasz Adolf zajmie się chłopcem... I ten jedynak i ten jedynak...

Maryśka wzruszyła ramionami: — Jedynak w siódmej klasie gimnazjalnej i jedynak paroletni...

— To nic, to nic,—przeczyła Karowska.—Takie dzieci niosą w sobie jakiś odcień samotności, który je łączy.

Złożyło się, jakby ją teraz oboje prosili, czy namawiali, czy kusili... Karowski z jednej strony, Karowska z drugiej. — Byłżeby udział Maryśki w tem kwestowaniu tak nieodzownym?... Czy też była to chęć ulżenia słomianej wdowie?...

— Pani sama zobaczy... Nasz Adolf poświęca się botanice. Będą razem chodzić na wycieczki, a pani przez ten czas zajmie się trochę temi powszechnemi sprawami, do których brak teraz głowy, rąk, nóg, serca, wszystkiego — aż strach pomyśleć!...

Dzieci usłyszały, że o nich mowa. Adolf, odwrócony tyłem do werandy przytulił Magdusię, ptzerzuciwszy jej rękę przez ramię. Patrzyli na miasto, pokazując sobie coś cichutko w nieruchomem mrowisku świateł. Włosy dziewczynki, porywane lekkim wiatrem, dotykały Adolfa ciemnymi kosmykami.

Zwróciła ku niemu swój czysty profil, wyrysowany na tle nieba ciemno-bronzowym połyskiem. Pytała go o coś, lecz Adolf zamiast odpowiedzieć, nastraszył ją i począł gonić.

A potem łapał cicho, aby nie przeszkadzać starszym w rozmowie. Wówczas Magdusia, niczem ogromny motyl, znikała w granatowych ramionach jego gimnazjalnej bluzki.

— Nie skaczcie tak dzieci, — prosiła Ciąglewiczowa, okrywając się szalem.

Szedł chłód bardzo nieznaczny, ale tak zdradliwy. Korony drzew wpływały wolno w noc, szum liści zlepiał się w jeden miękki szelest.

Wszyscy ucichli... Maryśka piekącemi oczyma szukała jakichś zgubionych myśli w następującej nocy.

— Jest ciężko, bardzo ciężko—zaczął Karowski. Chciał

się jakoś usprawiedliwić i właściwie sam nie rozumiał, ani z czego, ani przed kim...—Ciężko jest przeżywać na starość, co się przeżywało już raz w młodości... Zwłaszcza, że u nas w Polsce tak się hasła zazębiają... Bo co? Czy chłop się ruszy? Chłop się nie ruszy... A co zrobić, żeby się ruszył?...— Milczeć o tem, coby porwało robotnika... A milczeć o tem, coby porwało robotnika, to znaczy w miastach skłamać... A przecież w mieście się myśl wyrabia, nie na wsi... Chłop pójdzie, jeśli mu to powie jego władza, to znaczy ksiądz i dwór... Ale ta władza nie zechce nigdy powiedzieć tego, co mówi inteligent w mieście robotnikowi.—Karowski zwiesił głowę na piersi, westchnąwszy ciężko z astmatycznym świstem...

Ciąglewicza niecierpliwiło to rezonowanie i chciał innej lżejszej rozmowy. Pochylił się nad Maryśką, wskazując jej Magdusię i Adolfa.

— Niech pani patrzy, — rzekł — jak ładni są teraz, istny pomniczek!...

Pokiwała głową.

Ich lekkie sylwetki rysowały się na tle seledynowego nieba, miękkim płynnym splotem objęcia. Za nimi w skrótach mroku rozwijał się fronton miasta, niczem rozległa palisada kamienia, podpalana od dołu lśnieniem bladej światłości. Od murów tych, tu i tam rozdartych przez cień, szczerbionych mrokiem, od kopół rozdartych, nad rzeszą kamienia zadumanych i z pośród wież,—szedł aż tu, aż tu kroczył tysiącami odgłosów gwar miasta. Jak gdyby tam w zbiegowisku dachów stało się coś, co z wszystkich załomów i odwiecznych wyniosłości muru żenie głębokie westchnienia podziwu...

Magdusia odsunęła się od Adolfa. Rozłożywszy ramiona chciała stąd zmierzyć rząd dalekich, równych świateł, który się palił z boku, zapewne na torze kolejowym, w gęstej ciemności, sznurem brylantowych iskier.

— Czy ja to obejmę?... Gdybym objęła, to tak, jakbym mogła powiesić na szyi... — Chciała tak rozłożyć ręce, by końce palców pokryły się w przestrzeni z końcem i początkiem świetlnego sznura.

Lecz Adolf przeszkadzał jej, zakrywając sobą przestrzeń.

— Szczęśliwy wiek, — westchnęła półgłosem Maryśka.

— Pewno, pewno, — odpowiedziała pani Karowska, oparłszy głowę na ręku. — Tyle ich, co się teraz zabawią.

— W tych czasach, proszę pani, straszno mieć dzieci... Straszno mieć syna... Ustrzedz go... Straszno każdej matce. Straszno wszystkim rodzicom całego świata... Straszno wszystkim ludziom, którzy kochają...

Maryśka nie patrzyła na mówiącą, a przed siebie, na ciężką postać Karowskiego, którego sylwetka rozgradzała olbrzymi łuk niebiosów na dwie części.

Ciemno już było zupełnie, niebo się powlekło stalową gładzizną, wsród której mrużyły się czyste gwiazdy.

A dołem, po zboczach leciał łagodny, dźwięczny dreszcz liści...

— Wszyscy o tem myślimy, że straszno, — rzekł Karowski, — ale od tej rozpaczy ratują nas nasze odwieczne obowiązki...

Karowska, nawet mimo ciemności, pozwoliła sobie tylko na uśmiech, pełen bolesnego politowania...

— Oj Ksawery,— westchnęła, zgartując bluzkę na piersiach.

Nagle ze szczytu kopca Kościuszki trysnął trójkątny strumień oślepiającego światła. Zachwiał się na cichych wysokościach nocy i jednym rzutem śmignął poprzez olbrzymią aleję, bieląc drzewa, domy i trawy...

Maryśka ujrzała przed sobą białą twarz Karowskiego, zrytą czarnymi zmarszczkami. Jego długa broda lśniła białym płomieniem. Rzadkie, rozwichrzone włosy chwiały się nad czołem, na podobieństwo roztarganej aureoli. Jakby tuż za ojcem, tylko nieco niżej, spostrzegła też Adolfa, który, śmiejąc się, patrzył na werandę. Czarne oczy chłopca grały blaskami.

Stał nad grządką, wśród rozłożystych liści kapusty. które teraz lśniły, niczem najpiękniejsze muszle perłowe.

W dole, na błoniach, w zimnym promieniu, podobne do długich ciemnych poczwarek, wracały z ćwiczeń oddziały Strzelców.

Ciąglewicz, aby przerwać wrażenie przestrachu i osłupienia, zaczął potrząsać skarbonką. Szorstki głos pieniędzy, spadających na blaszane dno zachrypiał tak donośnie, że Maryśka zerwała się z leżaka.

— Już muszę jechać... Już późno... — Przypomniało się jej odrazu wszystko... Cały dzisiejszy dzień, wszystek ból, tyle zmartwień...

Klin reflektora całą swą sztywną długością wywrócił się przez kopułę nieba, na drugą stronę kopca Kościuszki. Znów pociemniało dookoła i znów w fioletowej nocy drgała łuna miejskich świateł, bijąca z pod murów.

— Ja nie dlatego dzwonię pieniędzmi, — zastrzegał się Ciąglewicz, — żeby pani miała już odjeżdżać... I tak odprowadzę panią, pojedziemy razem... Ale...

— I ja z państwem i ja!... Tak jest, ja z państwem!...— Adolf porzuciwszy Magdusię w ogrodzie, skoczył szybko na werandę.

— Oczywiście, oczywiście... — Chociaż w gruncie rzeczy nie uśmiechało się to Ciąglewiczowi, zwłaszcza, że mieli zajść do Janiny, za kulisy...

Ciąglewiczowa, machnąwszy ręką, przeciągnęła się leniwie... Jej czarny szal zsunął się na ziemię. Miękkie zwoje materji rozprzestrzeniły się dokoła fotela, niby wielka plama atramentu.

— Ja z państwem, mamo! Tam znowu w mieście będą jakieś pochody!

— Tak, tak—oponowała Karowska.—Tylko, że na dziś wieczór wyznaczone było porządkowanie zielnika...

Mały Adolf codziennie w czasie wakacji sam sobie układał porządek zajęć na cały dzień i oznajmiał go rodzicom. Wieczorem wszyscy troje zastanawiali się nad odchyleniami od tego porządku i przyczynami, które to powodują... W ten sposób wyrabiać sobie miał Adolf silny charakter...

Widząc, że z matką nie wskóra, łasić się począł do Maryśki.

— Pani mnie zabierze! Pani mnie zabierze,—prosił i nudził.

W końcu jednak Karowscy tak smutne porobili miny, że Adolf dobrowolnie zrzekł się przechadzki. — No tak, lepiej przepatrzeć zielnik...

Ale odprowadził Maryśkę i Ciąglewicza aż do bramy. Zaś, gdy odeszli kilkadziesiąt kroków. przypomniał sobie coś jeszcze i pobiegł za nimi.

— Jakto? — zaśmiała się cicho Maryśka, — więc ucieka pan z domu? Tak, bez czapki?

— Nie, nie,—ja tylko chciałem...

Byli teraz przy kościele św. Salwatora. Wysokie korony drzew poniechanego cmentarza, zagarniały dużą przestrzeń nieba, mieszając chwiejnym poruchem całe kiście gwiazd w swój wieniec czarny.—W głębi stał kościół biały i samotny.

Adolf wyjął z kieszeni dwie srebrne korony, szybko wcisnął je Maryśce do skarbonki i uciekł przez otwarte wrota na cmentarz.

— Jaki dziwny chłopak,—rzekła Maryśka.—I nagle utkwiły jej mocno w pamięci wrota cmentarza, świst trawy pod stopami uciekającego, czarne pnie drzew i łuna dalekiego miasta.

— Nie tyle dziwny chłopak,—objaśniał Ciąglewicz, podczas gdy zstępowali w dół do tramwaju, — ile dziwnie chowany... Rodzice trzęsą się nad nim,—a chłopak rwie się do życia... Nie puszczają go do publicznej szkoły, a chłopak tęskni za kolegami... Nie pozwalają mu należeć do żadnych sportowych towarzystw, a chłopaka aż roznosi energja... Chcieliby, aby siedział przy maminym fartuszku, a przecież sami, w związku z swym tułaczym losem ileż mu świata pokazali?! Niechże pani sobie przypomni, że chłopak ten, mając ośm, czy dziesięć lat, odbył z nimi wielką podróż z Syberji dookoła świata!...

Maryśkę dziwiło, że Ciąglewicz wszystko umie cierpliwie wyjaśnić i udowodnić. Zdzich nigdy nie umiał tak tłomaczyć. Trzasnąłby odrazu, — idjota, albo osioł, — i już... Zdzich...

Gdy weszli w miasto, ogarnął ich tłum, który dążył do wielkiej arterji ruchu, prowadzącej z dworca dokoła miasta. Masy ludzi zalegały szczelnie ulice. W pośrodku, między połyskliwą ścianą wysokich domów a czarną falą plant, błyszczał, jak ciemny lód, gładki asfalt gościńca.

Odbijały się w nim różowe, niebieskie i czerwone światła pstrych lampionów, którymi poobwieszane były wszystkie werandy kawiarń. Bowiem gazety wieczorne przyniosły wiadomość o zwycięstwie i iluminowano wszystkie publiczne lokale.

Gościńcem tym, wśród skocznych ech orkiestr kawiarnianych, w wielkim zdumieniu ogromnej rzeszy, szli parami i rzędem i po dwóch i po pięciu i kupą i najdziwniejszym luzem żołnierze, wracający z dalekich pól zwycięstwa...

Maryśka nie wiedziała, jak długo na nich patrzy... Czy

stoi na miejscu, a oni się przesuwają, czy też naodwrót, — oni stoją, jak słupy, ona zaś wędruje gdzieś pośród nich, ku jakimś smutkom, ku ostatniemu wyczerpaniu...

Szli sobie powoli, tak obrośnięci, tak zniszczeni... W płaszczach pomiętych, niby ciosanych tysiącem załomów w szarym kamieniu. Łypiący przekrwionymi ślepiami, dźwigający zgarbionemi ramionami, ciężkie, owisłe ręce... Szli miarowym krokiem wielkiej przestrzeni, z szorstkim klaskiem rozgrajdanych butów, poprzez echa muzyki i przez odbicia lampionów w asfalcie, ni to przez małe, tęczowe kałuże... Krokiem cierpliwym, nierychliwym, który nie zna celu, nie idzie a spada i nigdzie już nie dąży... Niektórzy bez czapek, z głową obwiązaną szmatami, brudniejszemi, niż onuce. Niektórzy, niosąc bezmyślne twarze z niewiadomem utęsknieniem zwrócone ku czarnemu niebu... Niektórzy gładziuśko ulizani, jakby wypłynęli z pod wody, inni zmierzwieni, jakby ich tu jeszcze na ulicy tyrpała straszna wichura...

Zaś inni jeszcze, przebierający w czarnych palcach gronka kurzu, ziemi, czy tajemnej drogi,—ze słomą na płaszczach, z pajęczyną na grzbietach, — rzekłbyś wyrzuceni z za-piecka długiego snu...

Tłum wpadał między nich, zalewał pstrą falą to wolne strzępienie się ruchomych stołbów sukiennych z ciemnego załomu ulicy... Wtedy szare grzbiety płaszczów skupiały się w zwartą grudę, chłonącą śmiech, podawane jadło, owoce, papierosy...

Chciano się z nimi rozmówić, winszowano sławy, pola walki, zwycięstwa, glorji...

Lecz żołnierze mówili obcym, poplątanym językiem, który dziwnie starczo i boleśnie kwilił im w nieruchomych wargach...

Więc powoli rozstępowała się ciżba w milczeniu, szmat sukna znów się dzielił i rozłaził na strzępy... I znów po gładziznach asfaltu, wśród głuchego łomotu narodowych hymnów, przez złotą łunę ulicy szły postacie żołnierskie, podobne do ciemnych zlepisk kurzu...

Maryśka oburącz chwyciła za ramię Ciąglewicza.

— Och panie,—och panie, jakież to smutne...

Z pobłażliwą cierpliwością starał się jej to wytłomaczyć...—Ludzie ci będą zahartowani na całe życie... Teraz dopiero stają się męczczyznami...

— Tak, tak, ale mój Zdzich poszedł w ten magiel.., I tak jest dzielny i tak, dosyć się już w życiu hartował...

Ciąglewicz nie odpowiedział. Miałże jej tłomaczyć, że niemasz granicy hartu i niemasz dostatecznej próby twardości ludzkiej?... Że doskonałość cnoty, nawet dla najlepszych, jest w końcu niedościgła?...

W pochodzie spotykało się coraz częściej nosze... Złożeni na nich wojacy, podobni byli do chłopskich świętych męczenników... Tłum rozstępywał się im szeroko. Płynęli nisko nad asfaltem, unosząc w górę, z trudem, ciemne głowy, podobne do nadeptanych grud ziemi...

— Ach widzi pan,—rzekła Maryśka do Ciąglewicza, nie zważając, żə obiema rękami trzyma wciąż jego ramię.—Teraz będą tak iść codziennie, ze wszystkich stron...

Uznał za konieczne, odprowadzić ją stąd, tembardziej, że czepiała się go właściwie... Bo jakże to inaczej nazwać?! Głuchy i gorzki śmiech pobłażliwej pogardy zadrżał mu w głębi piersi.—Męczyzna musi warować przy swej kobiecinie — pomyślał Ciąglewicz, prowadząc Maryśkę do teatru i prawiąc o jakimś obowiązku,—musi warować, bo inaczej... Co to jest kobieta? Powój, nić, pajęczyna...

Właśnie skończył się akt. Publiczność, przepełniająca krzesła i ciemne, ciasne galerje prostokątnej sali, waliła brawo. Ludzie tak byli ściśnięci, stłoczeni, że z pierwszego rzutu oka trudno było rozróżnić, czy rękami tylko klaszczą, czy też i głowę o głowę zderzają... Na sali snuł się jeszcze dym patryjotycznych wystrzałów, pomięszany z zapachem szminki.

Ciąglewicz prowadził Maryśkę tylnym wyjściem za kulisy. Musieli przejść przez długą sień, w której przytulone do ścian, lub rozchybotane w przeciągu chwiały się płócienne domy, fragmenty pałaców, pionowo ustawione trawniki i wszelkiego gatunku udanie...

Przy wejściu, koło rekwizytorni spotkali Kościuszkę, paru kosynjerów, moskali, trójcę poetów w togach z obrazu Styki, Skargę w tombakowym łańcuchu, Wernyhorę z lirą i Rejtana z rozpiętą koszulą.

Jakby ktoś wszystkie widokówki razem zebrał i przetasował...

Maryśka, opanowawszy pierwszy przestrach, chcąc nadrobić miną, poczęła wstrząsać skarbonką i kwestować.

— Cała polska Walhala,—śmiał się Ciąglewicz.

— Aktorzy nie chcieli dawać.—Dyrektor zwiał, proszę pani—usprawiedliwiał się jeden z wieszczów,—my gramy na działy, samopas...

— Tak jest, na działy,—powtórzył cały tłum alegorji, na działy...

Ciąglewicz pytał ich, co grają, nie mógł się bowiem zorjentować w kostjumach.

Byli tu bohaterowie z różnych epok i Strzelcy i jakieś cnoty ojczyste w pomadkowych powłóczystościach i okazowy robotnik, któremu pot ściekał strumieniami po obnażonym korpusie...

— To wszystko dla tego, że na końcu będzie wielka apoteoza...

Maryśka poprosiła Ciąglewicza, by ją przeprowadził do damskich garderób. Chciała jaknajprędzej oddać Janinie pieniądze i iść już stąd...

Pierwszy raz w życiu była za kulisami i to nie miejskiego teatru a takiego sobie teatrzyku, w którego sprawy pewno nikt nie wgląda... Dziś mogłaby równie dobrze wstąpić do piekieł i teżby wyszła stamtąd taką samą, jak weszła, ale zawsze...

Przed szatnią artystek stał Smolarski, zapewniający sobie właśnie przyjaźń dyżurnego strażaka, wolnomyślną rozmową.

— Tak, proszę pani,—zawołał, chlupocząc śliną o bezzębne dziąsła,—zawsze się tam znajdę, gdzie nie mam co robić... Mnie samego to dziwi...

Maryśka, zostawiwszy go z Ciąglewiczem, weszła. Były to właściwie nie garderoby, a duże kojce, poprzedzielane papierowym obiciem. Pod ścianami, niby frywolne parodje ołtarzy, stały lustra, otoczone śmieciem aktorskiego użytku. Wszędzie włóczyły się wstążki, szmatki, puszki do pudru. Panował pośpiech powtarzanych ról, szybkich rozmów, kłótni i śmiechów.

Zaś w zwierciadłach, niby w sztywnej wodzie marszczyły się twarze aktorek, podkreślone twardymi sztrychami.

Maryśkę ogarnął wstyd na widok tego wszystkiego. Przemknęło jej przez myśl, że chyba to się już nie wiele różni od publicznego domu...

Słyszysz Zdzichu?...

— Że też się Janinie chce tak szastać i poniewierać...

Zastała ją w negliżu, siedzącą przed lustrem.

— Przyniosłam, — mówiła Maryśka — skarbonkę, nie wiem, czy tam jest dużo, czy mało... Proszę, zabierz ją sobie.

Tak jest, chciałaby się już raz pozbyć tego... Pozbyć się wszystkiego... I nie być w tym hałasie, gorącu, zapachu. Nie być wśród tych przepierzeń z desek, świateł elektrycznych i wstążek, które się włóczą po podłogach, ubogich zydlach. I nie być nigdzie...

— Zabierz ją sobie. Dziś już nic nie mogę. Jestem tak zmęczona... Jutro też nic nie będę mogła...

Ale Janina zdawała się nie słuchać zajęta sobą. Pod dużą koroną, mocno osadzoną na głowie, przytwierdzała z wielkim trudem, konopiane warkocze. Bała się, że przy gwałtowniejszem poruszeniu, cała ta budowa wykrzywi się...

— Rozumiesz Maryś, nie może przecież być Ojczyzna z koroną na bakier. Pomyśl tylko... Dobrze, że jesteś, pomożesz mi włożyć suknię.

Janina wstała szybko i przejrzała się w lustrze...

Mężczyznom, toby się najwięcej podobała taka apoteoza, nie?

Złote włosy peruki rzucały miękki połysk na smagłe jej piersi, niby dwie przystające morele, złożone ściśle w obrębie nowego gorsetu.

— Przyznasz, że śliczny?! — Janina uderzyła językiem głośno o podniebienie.

Gorset był perłowego koloru z blademi strzałkami wzdłuż bioder. Przecinał go wyżej stanu obcisły pasek krótkich, białych majteczek, zaś między nimi a brzegiem pończochy widać było wąski pas szafranowego uda aktorki.

To wszystko nic!!... Karjera serjo rozpocznie się, gdy przejdę do opery. — Naprężyła łydkę, wywijając końcem pantofelka.

— Nagle,—rzekłbyś z pod ziemi i z sufitu rozległy się szybkie, głośne pocałunki...

— Ach moja kochana, prędko, gdzież jest suknia, gronostaje, okowy, ta „wstęga Wisły“, — wyobraź sobie, że Andrusy tu gdzieś dziury poprzewiercali i podglądają nas!...

Janina tupnęła nogą, aż kurz poszedł z desek. — Precz stąd, zawołam strażaków,—i wodą obleję...

Jeszcze głośniejsze pocałunki zaświdrowały w rogach pokoju.

Maryśka pomagała jej wdziewać tę suknię pokutno-koronacyjną, do której miały być doczepione gronostaje,

oznaki królestwa, oraz żałoby... Już przeszedł stanik, już się udało połapać rękawy... Już fałdy długiej sukni zebrane na biodrach miała była Maryśka poodczepiać ze sprzączek gorsetu i spuścić, gdy z kąta podłogi i sufitu trysnął przeciągły syk... Dwa tęgie strumienie wody, puszczone z nienajmniejszych szpryc waliły przez garderobę.

Jeden bił w lustro, rozpryskując się na nim brylantową rozetą, drugi godził w odkryte nogi Janiny...

Zaczęła krzyczeć, w tej chwili hałas i popłoch ogarnął wszystkie szatnie damskie.

Łapiąc rekwizyty, z suknią wstrzymaną na biodrach, z płaszczem koronacyjnym, zwieszonym przez ramię, z kajdanami i puszkiem do pudru w rękach, rzuciła się ku drzwiom.

Z kątów garderoby syczały wciąż strzykawki i śmiech wesoły.

Maryśka wypadła za Janiną, za niemi zaś z sąsiednich przepierzeń i gorących kojców kilkanaście postaci, — cnót, prowincji i rzek, podkasanych, niedopiętych, z grubymi rysami szminki patetycznej na malutkich twarzach...

Cały ten ogon krzyku, łachmanów, emblemów, rozbieganych, nagich piersi i niezaradnie drepczących łydeczek, przez małe drzwi przeciskał się za kulisy.

— Co to jest!?! Co to znaczy, — wrzasnął Smolarski, odskakujac od drzwi.—Panno Janino! Panno Janino!!!

Głos mu się przerwał, przedarł zupełnie, fale śliny pryskały w drżących ustach, jak grzany tłuszcz. Jego zieloną zazwyczaj twarz oblała purpura.

Chciał sobą zasłonić Janinę, a równocześnie, wstydząc się bliżej podejść, oczarowany wdziękiem jej smukłych nóg, porwany rozpaczą, że tak publicznie są odkryte, zdaleka wymachiwał bezsilnie ramionami...

Zresztą było już zapóźno. Ze wszystkich stron zbiegły się alegoryczne osoby, Kordjan, Mickiewicz, Łukasiński, Słowacki, Kopernik, Matejko, Jankiel, Robotnik, Strzelec.

Smolarski, kucnąwszy, rzucił się im nieomal pod nogi, kierując się ku dekoracjom. Chciał znaleść, czy odedrzeć kawał łachmana, lub szmaty, by zakryć nim nogi Janiny... By nikt nie widział, jak wygląda jego świętość, szczęście i wymarzony pocałunek...

Tymczasem tłum alegorji, widząc królową apoteozy, drepcącą w zlanych wodą pończochach, w kusych majtecz-

kach i w koronie i w płaszczu koronacyjnym, — wybuchł śmiechem.

Nawet Janina, chociaż zawstydzona incydentem, śmiała się do rozpuku.

A cóż dopiero, gdy Smolarski, wyrwawszy skądś wreszcie kawał łachmana, czy płóciennego krzaka, starał się zakryć nim biodra Janiny!..

Wzbraniała się, krzycząc:—Niechże mnie pan do reszty nie ośmiesza tym listkiem figowym!..

Maryśka, skorzystawszy z zamieszania, wydostała się na podwórze, a stąd na ulicę. Ach, już dość miała dziś Ciąglewicza, Smolarskiego, Zatorskiego, Karowskiego, Janiny, przedstawień... Wszystkie wrażenia drżały w niej, przepajały zda się skórę, niczem brud...

— Czy czujesz Zdzichu, czy słyszysz, jak wybijam sobie ciebie z głowy?...

Szła naprzeciw ciemnego bloku kasarni. Cały budynek trzeszczał i sapał przyciszonym, lecz nieprzerwanym ruchem. We wszystkich oknach tliło wątłe światło czuwania... Przed zawartą bramą czerniła się ciemna gromada kobiet, czekających u wrót.

Maryśka, zgarbiona cierpiętliwie, przysunęła się do gromady i stanęła wśród bab. Przed nią jakieś plecy stroskane, za nią jakiś brzuch wzdychający. Po bokach łokcie i twarze, widne z chustek, ciemno-sine, żałosne.

Stała wśród nich bez celu w skromnej obłędnej radości, że jakoby też czeka, też wygląda męża swego, wodząc oczami po gzymsie latarni i po dalekich srebrnych gwiazdach. Miała tu jeszcze jakieś inne myśli, myśli wielkiego rozrzewnienia, przetkane najdziwaczniejszą prośbą i nadzieją, lecz jakie,—nie wiedziała.

W końcu, jedną ręką wymachując niedbale, drugą, oparłszy na biodro—„proszę niech mnie zaczepiają, ależ proszę, niechże kto zaczepi"—poszła w dół ku rynkowi...

Ku rynkowi, czy gdzieindziej, czy może nigdzie? Cienistą stroną ulicy, pod skosem domów, pod światłem, pod głosem cudzych okien...

Zatrzymała się na rogu. Widać stąd było znów wysoką, czarno-złotą falę plant i jasno oświecony asfalt gościńca... Wciąż jeszcze szli tędy żołnierze, schyleni, rozbici, zmięci, powracający z pól zwycięstwa...

A tłum się widocznie napatrzył już, znudził i poszedł...

Szli sami, jakby na jakimś pustem przedstawieniu po łuku olbrzymiej areny...

Zdało się Maryśce, że powinna do nich podbiec, coś zawołać... Potem wrócą do swych domów, w dalekich swych ojczyznach i opowiedzą:—W pewnym mieście, gdyśmy wracali tak zmordowani, wybiegła do nas młoda kobieta... Pamiętamy,—w fioletowej sukni... Jak fiołek...

— No i co? No i co?—Nie pobiegła do nich, lecz przeszła dalej obojętnie, wymachując niedbale ręką. Nieszczęśliwym ludziom niema końca i niech będą samotni...

Plantami,—bezmyślnie, żeby gdzieś wlec cały żal, żeby się zatrzymać na bocznej ścieżce i skubiąc listki krzewów, skubać żałobę swą...

Czuła, że rodzi się w niej coś, co nie ma żadnej .drogi, i nigdzie nie dąży,—łagodna, cicha bezpańskość...

Maryśka zorjentowała się, że stoi na małym placu między kościołem Panny Marji, a świętej Barbary. Ciągnęło ją w cień wielkich budowli, poświęconych jakiejś wzniosłości...

Tutaj rano, gdy jest pogodny dzień—myślała—chodzą gołębie po bruku...

W starych niszach, w niespodzianych wgłębieniach, skąd, zda się, dniem i nocą tchnie cierpliwy mrok zapomnienia, pod gankami gdzie cień tensam śpi od wieków, wśród niepojętego rozumu brunatnych cegieł, zlepionych w proste srogie czoło kościoła świętej Barbary, leżało tak wiele,—wiele czasu...

Lampa elektryczna, wisząca w środku placu, rzucała duże światło. Maryśka stała pod nią, wahając się. A równocześnie zdało się jej, że lata, biega dookoła...

Zaczemże miałaby biegać?! Za czem śledzić, tak już obojętna, niczyja?! W głębokim żalu postanowiła, że musi sobie kupić psa, dużego psa i musi mieć laskę ze srebrną rączką... Jak stary kawaler...

Oto, co się dzieje, gdy żonie zabiorą męża...

Do mieszkania weszła na palcach. Cicho, ukradkiem przed samą sobą. Było starannie uprzątnięte.—Nigdzie ani śladu wyjazdu.

W kuchni na kufrze spała Nastusia w ubraniu. Widocznie czekala na panią. Maryśka kazała jej iść spać.

Zapaliła światło w jadalni. Wszędzie porządek, uboga gładkość i cisza. Tylko na biurku czekały papiery Zdzicha, tak, jak je Feluś w południe rozrzucił był.

To się zaraz ułoży.

Rozebrawszy się w pokoju jadalnym, z suknią przerzuconą przez plecy, przeszła do sypialni.

Feluś spał cichutko, obrócony do ściany, z piąstkami pod nosem. Maryśka pochyliła się nad nim, chłonąc spokojny, równy oddech. Można się było zasłuchać weń, jakby w daleki szelest wiosła po cichej, pogodnej wodzie.

Wzięła fotografję Zdzicha ze swej toaletki i przyczepiła nad łóżkiem Felka.

Niech ojciec czuwa nad synem...

Następnie postanowiła się umyć, ale bardzo starannie i porządnie. Poszła z dzbankiem do kuchni pod kran. Ani się spostrzegła, kiedy już woda dawno się za brzegi przelewała, spływając z dzbana w muszlę, przeźroczystym fartuchem.

Maryśka zakręciła kurek. Dalekie szumy huczały w rurach wodociągu. Jak odległe oddechy pełne żalu i zupełnie rozumnego współczucia...

Nie można się gapić i zamyślać, cóż znowu!!...

Człapiąc z cicha pantoflami wróciła do sypialni. A gdy już wszystko było gotowe i ręcznik i mydło i parę kropel esencji kwiatowej w miednicy, zaczęła się czesać na noc.

Tak jak Zdzich lubił...

Przechyliwszy głowę ruchem mimowolnej zalotności w stronę ramienia, przez które spadał warkocz. I jak zwykle nieomal, z kochanego obowiązku, zaplatając włosy, patrzyła na fotografję Zdzicha, na toaletce.

Jemu jednemu wolno przecież widzieć, jak się odbywa ten wdzięczny wstyd, gdy się plecie warkocze i skręca włosy w ciemno złoty guz, na noc...

Zręczne jej palce przemieniały się szybko z suchemi strugami. Jeszcze dziś rano przy nim je rozplatała, tak stargane, zmierzwione po ostatniej nocy... Jeszcze dziś rano, Zdzich, jak zawsze w niedzielę i święta, wyskoczył z łóżka i podczas gdy spokojnie rozczesywała włosy, całował ją w plecy, skubiąc delikatny ich puch gorącymi ustami...

Oboje patrzyli w lustro, a ona spytała raz jeszcze: — Powiedz, rzeczywiście tak mnie lubisz?..

Nie odpowiedział. Widziała w lustrze że spuścił powieki i że wytoczyły mu się z pod nich dwie duże łzy...

Teraz umyła się bardzo starannie, jakoś wzorowo, jakby Zdzich miał wrócić lada godzinę, sekundę...

Zarzuciwszy nocną koszulę, usiadła na ceratowej zimnej kanapce,—by sobie nawet pedikurę zrobić...

W pilnym zapale pracy rzucała Maryśka okiem, czy aby nie spadnie z kanapki. Zgięta bowiem była we dwoje. Jej nagie ramiona łączyły się w splecioną więź z nogami, zaś podwójny łuk piersi drżał leciutko wśród białego połysku gładkich rozstawionych kolan.

Skoczyła z kanapy i boso przeszła do jadalni.

Te ich wyprawy boso, po nocy, z pokoju do pokoju...

Na kolację było zimne mięso z obiadu, sałata. Maryśce nie chciało się jeść mięsa. Przegryzła chleb z sałatą, prosto z salaterki, myśląc nad kwestją odżywiania się wogóle.

Cała przyjemność w tem, że teraz może przynajmniej jeść, jak się jej podoba. Zdzich nie lubił, by brała prosto z półmiska. Teraz może brać odrazu z półmiska, lub z salaterki, jak chce...

Zamyśliła się więc o samodzielnem życiu... Czy nie zmienić mieszkania, na jeden pokój z kuchnią, bo ileż to będzie tej całej pensji za Zdzicha?.. Że trzeba napisać do matki, bo kto wie, czy tych parę miesięcy wojny nie byłoby lepiej przeczekać w górach, u matki?.. Feluś by tam miał znakomite powietrze i mniejby się wydało, a rzeczy zostawić naprzykład Zatorskiej, którąby je z taką chęcią przyjęła... Przecież Zatorscy jednego grata własnego nie mają... Albo może lepiej mieszkać tak, jak Janina u Karowskich?... W takim, niby pensjonacie?—Tamby Feluś miał towarzystwo i nawet, mimowoli, coś w rodzaju preceptora, skoro Karowska mówiła, — Adolfby się nim zajął... Maryśka znów zato, — ale oczywiście także dla Ojczyzny,—zajęłaby się temi wszystkiemi kwestami, czy propagandą... W końcu mogłaby nawet, żeby już cienia na tem nie było,—kupić od czasu do czasu Adolfowi jakiś prezent...

Nie chciało się jej wstawać i nalewać sobie herbaty... Siedziała za stołem sama, z kromką chleba z masłem w ręku,—u siebie, a tak obco, jakby w jakimś hotelu, w nieznanym nudnym mieście, po długiej drodze...

Wszystko to w końcu dojdzie do swego kresu. Wnet Feluś będzie takim dużym, jak Adolf a potem się ożeni...

Przypomniała sobie dużą tłusą głowę akuszera. Jego

malutkie oczy zapłynięte, bezbrzeżnie znudzonym politowaniem...

Potem oboje ze Zdzichem będą na ślubie Felusia... Już starzy... Uczuła się tak daleką od wszystkiego, tak spokojną cichą, jakby już była babką...

Wróciwszy do sypialni składała długo swój fioletowy kostjum. Jutro wytrzepie go Nastusia, wyczyści i schowa do naftaliny... Ale dziś składa go Maryśka, bo się już tak prędko nie zobaczą...

O,—nie...

Palce jej spłoziły się długo wzdłuż szwów i po kręgach promieniejącej mory. Jedwab świszczał cieniutko i zgrzytliwie...

To był ładnie zrobiony kostjum i nie drogo...

Jakto ci panowie nazwali ją?.. Fijołek. Róża i fijołek. Więc Janina róża, a Maryśka—fijołek.

Oj osły, osły...

Przypomniała sobie, że ma jeszcze zrobić porządek z papierami Zdzicha na biurku... Dzieł jego dziś czytać nie będzie... Później,—gdy się wszelki sposób na tęsknotę już wyczerpie...

Poukładała tylko porządnie stronice, wedle cyfr,—zmartwiona... Niektóre Feluś przekreślił wielką niebieską pręgą...

Ale listy!.. — Zgarnęła je wszystkie razem do szuflady i tak przeniosła na łóżko.

Tu będzie miała dość miejsca, aby je porządnie rozłożyć i podzielić. Zdzich pisał do niej zawsze na blado fioletowym formacie, podbitym chrupiącą bibułką, ona zaś na małym zielonym, z niebieską wąską obwódką...

W miarę jak przeglądała te listy, ręce jej poczynały drżeć i wyrywał się z oczu, z piersi, z ruchów wszystkich, jeden jedyny powiew, — minionej doli, przebytego już snu... Coś, co otwiera w sercu ogromne piętra, zalane słońcem, po których toczą się białe łzy...

Przybywać jęły z malutkich kartek dalekie, drogie chwile, kiedyś szczęśliwe, dziś stroskane i nieśmiałe... Różne kłopoty, — ongiś rozbuchane, czemuż teraz takie potulne?.. Troskliwe zachody, — które miały zatrzymać czas... Żarliwe pieszczoty, w których słowo, kipiąc, za brzegi się przelać nie mogło...

A dziś, gdy oczy biegną po sznureczku liter, niespory

wstyd śmieje się z porzuconego ciała i skarbów jego najtajniejszych... Czas zabrał się, odszedł, przeminął...

Te wszystkie listy, z których Feluś porobił łódki, odstawiała na razie na bok... A inne pomazał... Niebieska kreska, niby gruba, drżąca żyła biegła przez kartki, to marszcząc się, to prostując.

Nagle przeraziło to Maryśkę... Ogarnął ją tak wielki strach... Możeby gumą wymazać?..

Skuliła się na łóżku. Siennik zatrzeszczał. Poczęła nasłuchiwać... Nigdzie nic.

Zmęczenie mąciło jej oczy. Tłum różnych obrazów dnia wpadał między wiersze, roztrącając je, zacierał... To znów w odchylonej szybie okiennej szedł Sieroszewski z Zatorskim, który kiwał ku nim z gościńca, odrzuconą w górę dłonią. Albo wszystkie listy flotylą dziecinnych łódeczek odpływały w dal nieskończoną, a przed oczyma Maryśki wiła się gruba niebieska linja, niby drżąca żyła, wypruta z samego serca...

Jeszcze raz przecknęła się. Przyniósłszy z toaletki matołka, postawiła go na nocnym stoliku.

Wsypała wszystkie drobne do szpary matołka i pogłaskawszy go po twardej, chropowatej szlafmycy rzekła głośny:—Na powrót Zdzicha...

Pochyliła się i rozmiatając pasmami rozpuszczonych włosów płynące po kołdrze białe łódeczki, zasnęła...

III.

Dziś jestem sama... A wczoraj o tym czasie...

Dziś wychodzę, a trzy dni temu, o tym czasie, pakowaliśmy... Teraz jest wieczór, stróż komuś wymyśla na podwórzu, po ulicy jedzie dorożka, Nastusia szoruje garnki, a dwa tygodnie temu, w taki sam wieczór?...

Maryśka zaczęła ważyć czas, przymierzać, przyrównywać do tego, co było, jest, będzie. W przypuszczeniu, w pożądanym prawdopodobieństwie, otwierały się jakieś dziwne możliwości... Czas przeszły, tak prawdziwy przecież, a i tak już nieistotny, soczystą obfitością roztrącał bieżące chwile i zabiegał drogę nieznanym falom przyszłości. Że w końcu, w najgłębszych nadziejach, w najserdeczniejszym wątku, mąciło się Maryśce... Czy wracać ma to wszystko, co już przeszło, czy też inne ma nadejść, nieznane?...

Jedynem w tej rozterce czasu lekarstwem było, że się wzięła ostro „za dom". Postanowiła zabrać się wzorowo do wychowania Felka, wpływ jej musiał się wydatnie zaznaczyć na Nastusi. Na Nastusi, która w dzisiejszych czasach łatwo może pójść na złe drogi...

— Czy to tak trudno?...

Cały świat czyha, Maryśka czuła ten świat i na nią też czyhający. Dobrze, gdy tacy trzej panowie obskoczą ją, Maryśkę i zaczną krzyczeć—fiołek, fiołek!... Ale takiej Nastusi odrazu wywróci się w głowie...

Uważała się też trochę, jako sternik... Jak taki, nazewnątrz, powiedzmy, prywatny, ale wewnątrz, w domu,—bardzo rządowy i srogi kapitan okrętu...

Teraz wszystko trzymała pod swym bacznym nadzorem, wszystko musiało być, jakby Zdzich miał dzisiaj przyjechać...

Miała dzień podzielony... Podział godzin tyczył się również Felusia i obowiązywał Nastusię.

Więc: Wstaje się rano, o godzinie siódmej. Służąca o godzinę wcześniej—i robi porządek w kuchni.

Wstaje się rano o siódmej,—obudzenie Felusia. Sama idzie się myć do łazienki, dziś górna połowa ciała, jutro dolna (zadużo hydropatji osłabia system nerwowy), — przez ten czas chłopiec obowiązany jest sam oczyścić sobie ubranko i trzewiczki. (Tak radzi Tołstoj i to jest słuszne, jeśli się potem nie chce dojść do różnych kreutzerowskich podkradań się w skarpetkach pod sypialnię).

Służąca ściele łóżka, — (łóżka sobie Feluś niech nie ścieli, tu Tołstoj przesadza, wogóle Rosjanie nie znają w niczem miary)...

Wraca się z łazienki, dogląda się chłopca, czesząc się.

Feluś tak samo,—dziś górna połowa ciała, jutro dolna, bez pomocy, sam, z wyjątkiem kwadratu małego linoleum, które Nastusia uprzednio z kąta rozkłada, ze względu na posadzkę...

Już. Ubrani,—gotowi.

Co do modlitwy, to Maryśka nie mogła się zdecydować, zwłaszcza teraz, gdy tyle niebezpieczeństw groziło Zdzichowi... Sama przecież podlewając kwiaty, rano w świeżym słońcu, pełna nadziei i żywej, skocznej otuchy, wzdychała sobie, ot tak, dla fantazji prawie, ale codziennie i regularnie. Jeśli jest Bóg, to niech czuwa nad Zdzichem.

Felusiowi, w myśl wskazówek męża, nie mogła niczego narzucać w dziedzinie religijnej. Zostawiała mu więc pustych pięć minut, w czasie których mówiła z chłopcem Ojcze Nastusia.

Przed ósmą wyrusza się z synem na spacer (prócz dni targowych) do poblizkiego Parku Krakowskiego, albo aż na planty. Obowiązkowa rozmowa o ojcu.

Przez ten czas Nastusia idzie do miasta.

Maryśka wraca ze spaceru i zjada razem ze synem śniadanie. Uważać jak mały je!... Rozmowa o tem, co widzieli na mieście. I o Zdzichu. Umysł dziecka zatrzymuje odbierane wrażenia najsilniej, gdy jest świeży i niezmęczony, to jest rano.

Powrót Nastusi. Nastawienie objadu, odrazu rachunek. Objad bez leguminy, — dla Felusia przyniesione z miasta ciastko z kremem.

Do objadu ścieranie kurzów i jakieś gruntowne porządki.

Po południu listy, korespondencja.

Potem, Nastusia na spacer z chłopcem, — Maryśka zaś pracuje dla społeczeństwa, dla ogólnych celów, od czwartej do siódmej.

Kolacja. Mycie rąk. Lekcja czytania, rachunków, pisania z Nastusią. Przedtem już, Feluś spać ułożony. Potem samej czytanie, kształcenie się i spać.

Tak ułożony rozkład godzin nie przewidywał żadnych rozrywek i przyjemności. Bynajmniej. A jednak okazało się, że nie tylko był możliwy do spełnienia, lecz sam przynosił tyle niespodzianych radości! Czy mogła w ogóle Maryśka przypuszczać dawniej, że w tak drobnych, prostych i codziennych sprawach chować się może tyle pociechy...

Słusznie mówił Ciąglewicz te swoje wywody o rzeczach codziennych.

Pociecha ta, zda się powszędy we wszystkiem utajona, dotknięta silną tęsknotą, wybuchała, przedziwnym wirem zabłąkanego wesela... Rano, gdy regulaminowo o siódmej budziła Felka. wystarczyło, by złotą kudłatą głowę wychyliwszy, popatrzył na nią, a porywała go na ręce.

Był lekki, że się dziwiła, gdzie w nim jest i jak może tak mało ważyć,—tyle miłości?...

Zdawało się jej, że będą mijać dnie brzydkie, kuse, a tymczasem dziś, czy wczoraj, gdy podlewała kwiaty, obierając je z suchych gałązek, — uczuła, że jej pierś unosi kipiąca radość. Dlaczego?...

Dla niczego. Twarz Maryśki, głaskały liście i drobne włosy roślinek.

Albo, gdy w pogodne rano przychodzili z Felkiem do krakowskiego parku... Po drodze zawsze musieli trochę postać przy odwachu Strzelca.

Kręcili się tu nowi polscy żołnierze, w mroku drewnianej budy, uskrzydleni wilgotnym cieniem drzew. Dumny szyldwach, chodził tam i napowrót, podobny do wojennego wahadła przez słońce i przez cień...

Tak łatwo było teraz wszystko to „o Polsce“ Felkowi wytłomaczyć.

A potem szli szpalerem białych, jakby umytych brzóz, wesoło wstrząsających smutnymi czuprynami. Coraz dalsi od zgiełku tramwajów, w cichem padaniu słońca na zroszone trawniki i dalej nad staw zmarszczony powiewem, a tak świeży i czysty, że chyba ledwie tej nocy wypłakany z jakiejś tęsknoty i szczęścia...

Przy brzegu stały duże łodzie i małe czółenka. Woda się cicho tłukła o ich dna, a słońce po dziobach chodziło złotym okuciem.

Feluś napraszał się, by wsiedli,—on powiosłuje. Bo taką łódką można bardzo daleko zajechać!—Aż rękami wymachiwał i rozkładał ramiona od tej wielkiej dalekości.

Maryśka patrzyła ze wzruszeniem, jak się fale stykają z wiosłami długim głosem pocałunku... Chciałaby tu stać w kwefie szarytki i dumać...

Popołudnie poświęcała pracy społecznej. Wszystkim dobrym uczynkom. Do tego należały kwesty, ojczyzna, wojna, ranni, zebrania. Ale gdybyż to można było spotkać Ojczyznę w jej własnej osobie, albo miłosierdzie, czy też namacalne dobre uczynki?!

Lecz nie... Zamiast tego trzeba było wciąż obcować z ludźmi i choć tak wielu się do tej Ojczyzny mieszało, musiała się była Maryśka kręcić w ograniczonym ich kręgu.

W ogóle dobre uczynki i to wszystko, co nazywała zbiorowem słowem miłosierdzie, było w walce z jej prywatnym programem dnia i rozkładem godzin...

Najszczęśliwszą była, gdy składało się tak, że mogła była dotrzymać przepisanego sobie programu i gdy od rana do wieczora żyła, jak w zegarku.

Milej, niż dobrane towarzystwo najtęższych statystów, zadawalała ją wieczorem, konfidencja z Nastusią. Siedziały naprzeciw siebie w jadalni.—Na czas lekcji Nastusia miała prawo niejako przestać być służącą...—Skończywszy naukę, gwarzyły sobie o wspólnej niedoli, wspólnem spodziewaniu i wspólnej nadziei.

Maryśce, jako pani, nie wypadało wiele opowiadać o sobie. Słuchała więc tylko, trzymając dłoń w chropawych i wilgotnych nieco rękach służącej. Tak się do tego wciągnęły, że później gasiły lampę, światło księżyca ślizgało się delikatnie po posadzce... Nastusia plotła piąte przez dziesiąte o zwyczajach, o modach chłopskich, o sposobach ko-

smetycznych. Co jest dobre na cerę, — że, na ten przykład włosy trzeba żółtkiem smarować... Albo cebulą.

Co dwa słowa wstawiała wyrażenie „na ten przykład“, które Maryśkę, wpatrzoną w srebrzysty mrok pokoju i niebo, ponad oknem w nieskończoność odwinięte,—usypiało bardzo przyjemnie.

Zaś mimo ten regularny tryb życia, ani spać dobrze nie mogła, ani—powolności czasu wyczerpać nie była w stanie. Tego czasu brało się skądś nie wiadomo ile, a snu tak niewiele wystarczało, że rozpacz!—Co robić z nocą?!

Na to nie pomagała gimnastyka, którą Maryśka uprawiała razem z Felusiem, aby schudnąć. Na to nie pomagał ten cały trud, jaki podejmowała co sobotę...

Generalne sprzątanie, trzepanie, mycie, zaś wieczorem mycie głowy w rumianku. Długo w noc chodziła po pokojach, układając graty, listy, papiery, z aureolą wiejskiego zapachu ziół dokoła głowy.

Chodziła póki włosy nie przeschną.

Potem czesała je długo, długo, póki z grzebienia nie zaczął iść suchy trzask. Wówczas zapatrywała się Maryśka w światło, poruszając machinalnie grzebieniem. Końce włosów sztywne, jak gdyby przepalone, rozchylały się pojedyńczo. Zdawało się Maryśce, że to sama jej skóra tak romantycznie pachnie rumiankiem... Że to z niej samej płynie urok tak polny i we włosach się przeciąga, pryskając, iskrami skrytego ognia...

— Jużby należało iść spać, już minęła dwunasta. Głośno bijące kwadranse przechylały nową godzinę na dalekich wieżach, niebo czarne, całe w gwiazdach, trwało wciąż nad oknami, ale sen nie przychodził...

Teraz dopiero czuła się z mężem sam na sam...

Wreszcie kładła się cicho, jakby Zdzich spał obok na łóżku. Wdziawszy jego nocną koszulę, (bo to, jeszcze najlepiej koiło jej żale), chciała zasnąć z tą pewną myślą, że jest biedna i nieszczęśliwa. Lecz sen nie przychodził. Przesunąwszy więc ramiona na puste poduszki męża, całowała się cichutko po rękach i w niebieskie żyłki na łokciu. Na pociechę... I przypominała sobie te wielkie cele, które mają przyświecać nieobecności Zdzicha... Wykształcenie, — schudnięcie?...

Co do pierwszego, to nie będzie poprostu, jednej rze-

czy, o którejby nie miała czegoś rozsądnego powiedzieć, gdy Zdzich wróci.

Co do drugiego... Tak pragnęła schudnąć, aby, gdy Zdzich przyjedzie i obejmie ją w pasie i ściśnie objęciem w łóżku,—aby się zaśmiał!... Jak wtedy, gdy byli narzeczonymi, a ona przyszła do niego pierwszy raz...

Plan Maryśki i w ogólnych linjach i w drobiazgowym rozkładzie godzin byłby świetny, gdyby mogła żyć wedle niego...

Lecz nie mogła!

Sprzeciwiały się temu dobre uczynki, wszystkie rzeczy społeczne i wogóle, cała ojczyzna. Bo tyle się naraz działo, tyle ciągle spadało nowych wiadomości!... Gdzie stąpnąć, tam dzieje się coś, z czem wszyscy winni współdziałać, a przecież niepodobna rozerwać się na sztuki...

Jedni mówią,—najlepiej na dworcu pracować... Niech ci wszyscy, co przejeżdżają tędy, przez to odwieczne miasto, zabiorą z sobą na dalekie trudy, a może i na śmierć w końcu, wspomnienie szklanki gorącego napitku, kawałka chleba, lub bułki...

Ciągnęła do tego Maryśkę Ciąglewiczowa, nawet jeden dzień szynkowały razem. Ciąglewiczowa liljowemi rękami, secesyjnie wygiętemi, podająca kawę, herbatę i pajdy chleba z masłem, w batikowym szalu na ramionach,— Maryśka w białej bluzce, z czarną krawatką i w czarnej spódniczce fertycznej. Oczywiście bez kapelusza.

Jedni mówili, że „dworzec“, ale nie chciała i nie mogła patrzeć na szyny, na wysiadających z wagonu oficerów i wogóle na cały ten ruch... Zadużo to ją kosztowało, za wiele budziło wspomnień...

Drudzy mówili,— ranni, ranni, ponad wszystko ranni!...

Ranni proszą o gazety, o książki, o odwiedziny, o lemoniadę, o serce...

Było obowiązkiem Felusia codziennie wpychać gazetę do białej drewnianej puszki, na rogu plant i Szewskiej dla rannych z lekturą. Maryśka posunęła się tak daleko, że przejrzała półkę na książki i wszystkie tanie polskie tomiki Zuckerhandla, a nawet niemieckie Reklama (bo gdyż już ranni, — to niemcy tak samo cierpią, zresztą wspólna sprawa) wrzuciła dla chorych.

Ciągle coś człowiek robił dla innych. W końcu nie wiedział, gdzie się sam kończy, a inni zaczynają...

Ale kto mógł nastarczyć tym rannym? Jak ich odwiedzać? Co im przynosić? Co z nimi mówić? Czy mówić wesoło, czy smutno? Czy o domu, czy o wojnie?

Zdawało się jej, że powinno się znać nazwiska tych męczenników. Czytywała je codzień, w swoim upatrzonym szpitalu, tam gdzie pracowała Janina.

Zdawało się jej, że najbiedniejsi są przecież żołnierze, prości, bezimienni żołnierze. A tu znów Ciąglewicz twierdził, że nie. Że oficerowie są najbiedniejsi, bo oni najwięcej stracili, bo mieli do porzucenia miło urządzone inteligentne domy i karjery. Dalej, bo oni prowadzą żołnierzy. Wedle tego, co czytał, żołnierze z wdzięczności za prowadzenie, po bitwie, ze łzami w oczach całują swych oficerów po rękach.

Może Zdzicha całowali też po rękach? Może który z nich służył pod nim?.. Nie miała dotąd żadnej wiadomości, ani znaku życia... Nic...

Tak jest musi się dowiedzieć, co robić, jak pomagać. Nie żadne komitety i gadania, a rzeczy konkretne, czyny, gojenie ran!..

Poszła z tem do Janiny.

Do „siostry“ Janiny, objaśniono ją we drzwiach, szpitala. Długim sklepionym korytarzem starego pałacu jakichś wielkich panów. Tyle się o nim dawniej wiedziało, że kareta do niego wjeżdżała, story były zawsze spuszczone i w gazetach pisali, iż panowie właściciele pieniądze lokują w angielskim banku,—zamiast pchać w przemysł...

Po kamiennej podłodze, wysypanej piaseczkiem, w słodkim zapachu karbolu od czego wilgotnieją oczy. Na piętro. Żołnierze wszędzie, zawsze. Ciągle gdzieś idą. Jedni schodzą, drudzy wchodzą w wygniecionych bluzach, albo w szarych kitlach, niby oberwane ubogie anioły na Jakubowej drabinie.

Olbrzymi ganek i nie wiadomo teraz,—w prawo, czy w lewo?..

Nosze, obwieszone dźwigającymi ludźmi... Na noszach zapadnięty w oczodoły wzrok, który się nie może wydobyć z przepaści..

Spotkała tu swego akuszera. Jego łysa różowa głowa tak była pomarszczona... Był w białym kitlu, opiętym na brzuchu. Pod szyją widniały mu srebrne rożki oficerskich gwiazdek, a u dołu, z pod obrębu fartucha duże czarne buty.

Stał przy oknie, pocierając sobie suche ręce, zdrapywał z nich naskórek złoty, podobny do skręconych łuseczek tarczownicy.

Ukłoniła mu się pierwsza,—teraz takie czasy panie doktorze, prawda, kobiety się pierwsze kłaniają?

Popatrzył jej w oczy, nie wiedząc, co powiedzieć. A potem ofuknął:—Czego pani tu chce?! No czego, gdzie, poco?.. Może na siostrę?! Może jeszcze i pani poda się na siostrę?! Szturmuje nas cały teatr żeńskiego rodzaju, wszystkie stare panny, wszystkie wyrzucone sklepowe... Teraz może jeszcze żony wszystkich naszych rezerwistów?!

— Nic podobnego panie doktorze. Nawet nie wiedziałem, że pan tutaj pracuje. Chcę się tylko zobaczyć z moją przyjaciółką, Janiną, oczywiście aktorką.

Wziął Maryśkę pod rękę i poprowadził z sobą, widocznie udobruchany. Szli we dwoje bardzo powoli na drugie piętro. Doktór sapał ciężko.

— Ogromna fabryka, ogromna, proszę pani i niech mi nikt nic nie mówi o bohaterstwie. Wszy, wszy, wszy... Wszy jedzą ludzi, to jedno da się dziś o tem wszystkiem powiedzieć.—Przystanął, by odpocząć.

W całym budynku trzeszczały stare, płaskie kamienie wysypane hygienicznym piaseczkiem. Jakby nie ludzie chodzili, a przecierała się powszędy, przez wszystkie mury rzecz zgrzytliwa, tocząca ściany, kamienie i powietrze...

— Pójdzie pani tędy prosto, na koniec korytarza. Ale do służby niech się tu pani nie zgłasza. Mówię pani wszy kapią, sypią się z nich i tężec...—Zatoczył dookoła miękką głową po twardych, dużych barkach...

Wzruszona do głębi, przejęta najserdeczniej całą tą niedolą, zdenerwowana zapachami jodyny i karbolu, zaczęła Maryśka nieomal deklamować w pokoju u Janiny: Przyszłam, żeby ci pomódz, wam pomódz, tym wszystkim ludziom, bo ja wiem?.. Rozumiesz mnie chyba, mam dziecko, obowiązki... Więc nie mogę poświęcić wszystkiego...—To mówiąc, rozglądała się z ciekawością po pokoju. Wzdłuż ścian stały łóżka, zasłane po wojskowomu kocami. Okno zakratowane żelazną zardzewiałą kratą. Przy wejściu na wieszakach, cztery damskie kapelusze.—Nie dysponuję całym moim czasem...

— To nic, to nic. Jest masę do roboty. Wszędzie masę do roboty... Upadamy ze znużenia...

Maryśka poskarżyła się na akuszera, że gada, plecie,

taki odstręczający... Bardzo ci ładnie, obróćno się. Jakże to jest związane?

Janina była w dość długim fartuchu, wciętym w pasie. Bufiaste rękawy dochodziły do łokcia, odsłaniając przedramię. Biała chustka, opięta ściśle na głowie, otaczała jej twarz czystą, prostą ramą.

Ranami, chorobami, operacjami zasypała poprostu Maryśkę. Jak ktoś, kto znosi z najwyższym wysiłkiem te trudy, lecz cieszy się, gdy kogoś innego pognębić nimi może i oszołomić.

— Masz chwilę czasu—to odpoczniemy. Krzyża już nie czuję od tego dźwigania... A pamiętaj, że wieczorem gram. I jeszcze na dodatek wszystkiego ten Smolarski...

Poczęstowała Maryśkę tabliczką „znakomitej" szpitalnej czekolady. Usiadły za stołem, podparłszy się na łokciach. Tak się jakoś zrobiło swobodnie, ciekawie, jakby sobie opowiadały na pauzie swe pensjonarskie sekrety...

— Wiesz, tylko, gdy jestem przy operacji, czuję, że jestem potrzebną na świecie... Dopiero przy tych najprostszych, najgrubszych służbach... Dopiero wtedy... Jak chcesz, idź na kurs samarytanek, spróbuj...

I między jednym a drugim przełożeniem kawałka czekolady, ze słodkiego już końca ust w jeszcze niesłodki,—całe kosze uciętych stóp, takich odchodzonych, odbitych...

— Nigdybyś nie pomyślała, jakie to straszne, gdy się widzi potem tych pięć palców i brud za paznogciami.

Maryśce mokły źrenice od tych okropności, ckliwe świerzbienie chodziło po plecach. To samo, ostrym głośnym miałem, szło chyba przez cały budynek.

— Najgorsze jest, że ci ludzie czują i do ostatniej chwili żyją nadzieją, rozumiesz? Mają swe interesy, prośby, nikt tego nie rozumie, zresztą w takim natłoku nie może to nikogo obchodzić.

Maryśka przeczyła głową, nie chcąc tego dalej słuchać. Całe jezioro rozpuszczonej, nieprzełkniętej czekolady wypełniało jej usta.

— A teraz dodaj do tego wszystkiego,—mówiła Janina,—korowody z tym Smolarskim...

Krata okienka na chwilę wypełniła się czerwienią, potem niebo nagle zgasło, a pręty żelaza stały się fjoletowe.

— Nietylko, że odprowadzanie aż na Salwator, wodzenie nad wodę, ciąganie na Wawel... Jednym słowem,—rozu-

miesz?—płciowy głód przestrzeni... Nietylko że jakieś dotyki, ucieczki, psychiczne oparzenia, niby, jakbym to ja była tą blachą rozpaloną...

— Dlaczego szydzisz, Janino? Przecież w gruncie rzeczy, jest ci bardzo przyjemnie.

No dobrze, — nie o to idzie, ale posłuchaj... Więc historje, wzdychania, duchowości... Powiadam,—nie rycz pan, nie wyj, nie trać rozwagi... I tak, żeby go wypróbować, powiadam,—w każdej chwili mogę panu tyle dać, co każdemu dyrektorowi teatru... Coś mniej więcej, pośredniego między kursem samarytanek, a dmiwierżyzmem... Z kochaniem,—mówię,—zaczekamy... Wył, rozumiesz, wył u mnie całą noc... Padał na kolana, to znów chciał bić, przebaczał, obwiniał, błogosławił, rozgrzeszał... Przecież Karowscy po tej nocy, wymówili mi mieszkanie, możesz sobie wyobrazić... Zapłakał, zaślinił mi cały pokój... Żeby mu powiedzieć, co było... Kto mu urwał coś z tego dobra, które przecież wcale jeszcze nie jest jego!..

— Możesz tak mówić, bo widocznie wcale go nie kochasz...—Maryśka chciała już odejść. Nikt nie kocha, nikt nie tęskni...—Prowadziła tę rozmowę już tylko dlatego, aby nie potrzebować wychodzić zaraz. Zbierało się bowiem na deszcz.

Na poszarzałym tle nieba wystąpiły gęste kraty okien wyraźnie i twardo, jakby je ktoś na nowo zaplótł i związał. W ich ordzawionych prętach darły się chmury mleczne, pędzące rzadkimi płachtami w jedną i tą samą stronę, z takim szalonym pośpiechem...

— Nie, żebym go nie kochała... Ogromny odpoczynek że nareszcie ktoś na serjo... A nie,—jak przycisk, jak rękawiczkę, jak chustkę do nosa... To się tak ostro zaczęło od tego czasu, gdy mnie widział tam, w teatrze w tej awanturze z wodą, pamiętasz? Widzisz, jak zazdrość pomaga...

Janina, wziąwszy Maryśkę pod rękę przeprowadziła ku oknu. Patrzyły chwilę na przeciwległe blachy dachów, po których jęły powoli stąpać pierwsze czarne grosze zbliżającej się ulewy. Oparła głowę na ramieniu Maryśki:—Ach, żeby mnie nareszcie już ktoś wyzwolił...

Przypomniało się Maryśce, co myślała zawsze, widząc zakratowane okna... Kobieta jest taką gałązką, która słabymi siłami chce się wydostać przez rdzę chropawego żelaza...

Dach już dudnił pod ulewą, maleńkie rozpryski i krople puchem wilgoci padały na ręce przyjaciółek.

— Ale on do ciebie przyszedł, Janinko, z miłością, a ty poprostu zaproponowałaś mu świństwo. Widocznie nie kochasz go wcale...

— Nieprawda, nieprawda, nieprawda, — powtórzyła Janina szeptem wiele razy.

Stalowa ściana ulewy waliła już z trzaskiem na dach, zimny mrok oprządł pokój, dymy jakieś skośne przebiegały niesamowicie między wyprężonymi strugami.

— Nieprawda, nieprawda... — A może całe moje życie jest właśnie tam, gdzie on zobaczy jakieś stare lampiony, albo białe idjotyczne motylki?.. Ale to się chyba nigdy razem nie zejdzie... Dlaczego zawsze, zadużo chcieć?.. Zadużo dawać i zaprosto?..

Maryśka uczuła ze zdziwieniem, że przyjaciółka jej nie ruszywszy nawet twarzą, wtuloną między szyję a ramię, płacze. Nie mówi już nic, ździwiona, wzruszona ciepłym przebiegiem łez, tak nikłych, wobec nieprzeliczonego ziarna twardej ulewy...

I trzymaj się tu potem rozkładu godzin!

Naturalnie, że widziała się ze Smolarskim, że podchodziła go z różnych stron... Nawet zaprosiła do siebie na kolację, — żadnego ambarasu, nie dostanie pan nic gorącego, prócz herbaty.

W czasie rozmowy o Janinie, patrzył na Maryśkę drżącymi oczyma, jak, gdy się ma wzrok utkwiony w mijające szybko wagony. Zresztą opowiadał o wojnie, robiąc Felusiowi koniki z papieru. A gdy koniki równym rzędem przeszły z jednego desenia kanapy na drugi, powiedział:—Wojna jest straszna, rozumiesz ty to?..

Zadowolony Feluś kiwał głową.

Aż ździwiło Maryśkę, że Janina, ta mądra Janina, tak zupełnie nie umiała wybrnąć z sytuacji. Trochę głupich pozorów, trochę sosu rodzinnego i byłoby dobrze. Nawet Maryśka, gdyby się uparła, poprostu dla eksperymentu, mogłaby właśnie na ten sos, z pewnością bardzo łatwo wziąć Smolarskiego... Trzeba mu pokazać dobry przykład życia, ciepła, sługę, którą się uczy czytać...—Bardzo chwalił Nastusię, ździwiony jej ogromnemi postępami,

Dziewczynie aż się pyski zaświeciły i aż na czole rozbłysło tłuste światło radości.

Trzeba takiemu Smolarskiemu dać spokojnie siedzieć w kącie kanapy... Niech mu Feluś ustawia na ramionach

cynowych sokołów i trzeba tylko umieć sympatycznie nie widzieć, jak pod malutkim ciężarem figurek, niby pod kamieniem młyńskim, człeczysko ani drgnie, dobrotliwie uśmiechnięte. Trzeba tylko umieć słuchać tej jego przydymionej mądrości, a samemu szyć sobie, czy poprostu reperować bieliznę. A potem powiedzieć, — wszystko to dobrze, być może, lecz pan za surowo sądzi świat...

I nalać szklankę gorącej herbaty.

Tym niemniej nic z niego nie mogła wydusić, jak tylko,—że zawsze się tam znajdzie, gdzie niema co robić...

Powiedział to z tym dziwnym uśmiechem, jakby zdmuchującym z jakiegoś brzeżka ostatnie kruszyny...

Wzięła go też ze sobą na spacer do Parku Krakowskiego, na długą gawędę o projekcie Karowskiej. Co do ewentualnego preceptora... Żeby Feluś chodził z Adolfem na wycieczki botaniczne, a ona Maryśka, by się systematycznie wzięła do pracy społecznej.

— Tyle tych ważnych nakazów lata w powietrzu,— zachlupał nagle śliną o dziąsła, — że nic pani nie mogę poradzić.

Stali przy jej ukochanych łódkach, nad stawem, w którym kąpała się biała, wydęta chmura. Chlupotaniu słów Smolarskiego, odpowiedziała skwapliwie woda, niebieskiemi wargami, ssąc głośno szare brzegi łódek.

— Niech pan myśli o tem, co mówię i coś decyduje. Muszę się przecież w końcu z kimś poradzić. Nie jest pan pedagogiem od parady!..

— Nato proszę pani nie trzeba wcale być pedagogiem. Zapewne, że jeśli Adolf jest porządnym chłopcem, to Felusiowi świetnie to zrobi. Zapewne, że jeśli jestem pedagogiem, to właśnie tylko od parady. Zapewne, że...

— Nie chodzi o „jeśli“, ale o „pewność“. U Karowskich jest wolny pokój po Janinie,—teraz spodziewała się Maryśka uderzyć niezawodnie,—mogłabym go wynająć, im ulżyć i sobie wygodzić...

Chciała wiedzieć, jakie na nim sprawi wrażenie, że Janina była w jakimś mieszkaniu, zajmowała je, potem przychodzi tam ktoś inny i ślad zarasta...

— Zapewne, — mówił Smolarski, któremu tylko oczy uciekły w głąb, daleko pod powieki,—że jeśli pani za ciężko trzymać duże mieszkanie...

Wahał się, przez chwilę w końcu dodał: Jeśli panią z jej dotychczasowym mieszkaniem już nic nie wiąże...

— Plecie pan...

Na jakąś niewiadomą sobie zgodę, czy ze wspólnego szacunku dla niedomówionych myśli, pojechali łódką,—całe pół godziny.

Feluś aż dech stracił z radości.

Najprzód zadzwonił łańcuch, potem się łańcuch tyrpał na grubym haku, wbitym w ziemię. Łódka się zaczęła huśtać, woda dyszeć, wężami złotymi rozplatać dokoła. Potem ogrodnik, — Feluś wszystkie władze zatrudnione przy parku nazywał ogrodnikami, — potem ogrodnik z ostruganym patyczkiem w ręku, przemówił coś tak głośno, jakby bałwany morskie waliły się dookoła, a od czego Feluś aż skulił się ze strachu.

Łódka syknęła ślicznie, wiosło w żelaznych widełkach chrząknęło parę razy — i płyną! i płyną! Chodzić można, a płynie się, tupiesz nogami w dno, a dno jest suche na mokrej wodzie!!!

Sunęli powoli w białej chmurze, leżącej wszędzie tam, gdzie niema ich jeszcze i gdzie nie stąpnął złoto—szarą podeszwą cień ich łodzi. Płynęli w białą chmurę, przemieszaną ze skibami nieba i z pletwą długich wioseł pospołu...

Smolarski delektował się w słońcu dobrym nierozsądkiem rozprzężonych swych myśli, Maryśka z przyjemnością zamiast tych gór, co je mają na lato bogacze, „opalała się“ w słońcu, patrząc na wynajętą godzinę, by nie przeszła... Na Felka, by nie wypadł i na złote robaczki nad wodą...

Feluś wymoczywszy do syta swe drewniane kółko w wodzie prawdziwego stawu, potrzymał się obiema rękami za głowę i rzekł nagle z przepełnionego serca:—Jakto dobrze, że Zdzicha niema! Jak ja się cieszę! Jak Zdzich był,— nigdyśmy nie jechali po stawie!..

Takich myśli, takich odezwań się miał coraz więcej. Bardzo się tem martwiła Maryśka. Chciała wychować chłopca w kulcie dla ojca, tymczasem zaledwie minęło parę tygodni, a chłopiec już jakby zupełnie Zdzicha zapomniał. Nie wiedziała czy ma to przypisać złej, bezwzględnej naturze, czy też zdenerwowaniu wojennemu, które z pewnością, w jakiś tam sposób, dociera nawet do tak małej duszyczki.

— Teraz już jest znacznie lepiej, ale z początku, przez pierwszych parę dni rady nie można było dać z chłopcem.

Wszystko chciał zabierać po ojcu, wszystko było „jego", — on był tatusiem.

Musiała mu była tęgo przetrzepać skórę, by mu to wybić z głowy. Doszło do tego, że nie chcąc karać zbyt często, musiała mu była grozić powrotem ojca. Pewnego zaś razu, malec nie dając za wygraną, odpowiedział: — Ale ja chcę i Zdzich nie wróci, a wtedy będziesz musiała mnie słuchać!...

To wszystko razem streszczała sobie Maryśka w jednem wyrażeniu: brak silnej, męskiej ręki... —

Na to musiała zaradzić. Przypuszczała, że pośrednio przez sprawę Janiny zjedna sobie dla Felka, Smolarskiego. Tymczasem Smolarski jeździł chętnie łódkami, pił herbatę w rogu kanapy, nosił sokołów na ramionach, ale ostatecznie, żeby się do czego ludzkiego przydał — to nie... Mogła była nawiązać teraz bliższe stosunki z Zatorską. Ale zaduże fochy i fumy... Dlatego, że Zatorski poszedł dobrowolnie do Strzelca, a jej biednego Zdzicha za łeb wzięli, to już takie wzniosłości, wysokości, pochody z obrączkami, wdowie grosze do skarbca narodowego, — nie... Pozostawali więc Karowscy. Bo nawet nie Ciąglewiczowa, która ci na każdym kroku wytknie swoje stołowe srebro, meble ze wsi i wyższe pochodzenie.

Więc Karowscy...

Nie poznała poprostu teraz ich mieszkania... Pełno tam było wszędzie, tej nowej robiącej się Polski, — uzbieranych par butów... Góry koszul, stosy wszelakiej bielizny, całe wężowiska pasów skórzanych, całe słupy poskładanych, jedna na drugiej, czapek. Główny arsenał mieścił się w dawnym pokoju Janiny.

— Ach, proszę pani!—Karowska, jak foka z przerębli, wynurzając się z wzburzonej fali kalesonów, dała to przełknąć Maryśce na samym wstępie — : Ach proszę pani, nigdybym nie przypuszczała, że w tegoczesnej młodzieży takie prądy obyczajowe nurtują.., Całą noc, dosłownie całą noc, krzyczeli tu w tym pokoju, jak koty w marcu. Nauczyciel i siostra miłosierdzia... I uganianie i stuki i szamotanie!... Oka-śmy nie zmrużyli. Mniejsza o nas, starych, ale Adolf, Adolf!...

Maryśka, chcąc się czegoś więcej dowiedzieć, udała, że nie rozumie związku między tym szamotaniem a Adolfem. Wtedy Karowska przycisnąwszy do piersi szeroką wełnianą

parę, rzekła, z przerażenia kwadratowo otwierając usta: Ależ Adolf, Adolf, Adolf... Jakiż to przykład dla chłopca... Pedagog i siostra miłosierdzia...

— Janina jest przecież w pierwszym rzędzie aktorką.

— No tak, ale pan Smolarski jest w każdym rzędzie pedagogiem.

Na to już nie było odpowiedzi...

— Pani też ma syna, pani Marjo. Z czasem przekona się pani, co matka przeżywa w takiej okoliczności... — Ruszyła ręką tak, że złożone nogawki rozwinęły się i spadając, wiotkim okrakiem objęły jej figurę... I tak już, proszę pani, nie dają mu kobiety spokojnie przejść przez ulicę,—choć to przecież dziecko jeszcze...

Maryśka z niedowierzaniem przechyliła w bok głowę.

— Nie wierzy pani, ale tak jest... Tylko, że oczywiście, Adolf...

A potem, chociaż jeszcze słowa nie zamieniły we właściwej materji Karowska sama pośpieszyła Maryśce z pomocą:—Mogłaby pani śmiało powierzyć swego chłopca memu, a sama zająć się robotą przy fundamentach ojczyzny...—Blado-fiołkowe wargi Karowskiej podważył słaby uśmiech, jakby ożywiając je odrobiną różowości. I, nagle cicho, głosem wstydliwie wzruszonym—: Możemy powiedzieć, że nie tylko przy podstawach ojczyzny, ale nawet przy fundamentach narodowej armji...

Maryśka rozejrzała się jeszcze raz pobłażliwie dokoła. Bezsprzecznie, ciepłe były te fundamenta i łatwo dające się składać podstawy...

— To wszystko trzeba zbierać, wypraszać, kwestować. Potem zapisywać, potem liczyć. Bardzo potrzebna pomoc...— Męża niema, zamordowuje się przy poczcie polowej... Wszędzie nam brak systematyczności... Takie były przykre rzeczy z paczkami, takie bolesne... Może pani chce zobaczyć pokoik Adolfa? Tambyśmy się napiły herbaty. Tu wszędzie taki nieporządek,—całe mieszkanie oddaliśmy, ale już jego pokój...

Z dumą zaprowadziła tam Maryśkę.

Napiły się herbaty na nocnym stoliku, który stał przy łóżku, zasłanym jakoś surowo, bez prześcieradeł, czy samymi kocami, słowem po skautowsku.

Pani Maryśka wyłożyła swoją sprawę i odrazu wszystko było umówione. Już nawet na jutro, o ile będzie pogoda.

— A panią, pani Marjo, anektujemy. Tak jest. Zresztą niech pani tylko sama spojrzy, jak ładnie się Adolf rozwija. Będzie pani z niego bardzo zadowolona, jako z nauczyciela. Tu jest mój Adolf od samego początku, — wskazała na gablotkę—a i całe urządzenie tego pokoju, to jego pomysł...

— Istne muzeum,—zaśmiała się przychylnie Maryśka.

W gablotce stały pozbierane z najważniejszych epok chłopca, zabawki, lub przedmioty zatrudnienia. Jakieś kamyczki, japońskie talerzyki, wielki chram prawosławny, wyklejony z papieru, wyroby drewniane, żołnierze i t. p.

— Ten ogromny chram wieźliście państwo z Sachalinu, czy Kamczatki, tak jak stoi?...

— A jakże. To jest chram Św. Włodzimierza.—Karowska wyszła z cienia i skrzypiąc filcowemi podeszwami, stanęła w strudze słonecznej.

Za oknem przesiewały się wciąż promienie gorącego popołudnia przez gęste krzaki i pachniało rezedą.—A wieźliśliśmy, tak jest. Dokoła świata... A to już,—wskazała ręką —zaczął, jak miał lat jedenaście...

Nad stołem, opiętym zieloną bibułą, wisiały szklanne pudła z motylami. Było ich dużo, tak rozmaitych, tak pstrych, iż wyglądało to jakby na ścianie, za szkłem rozpostarte były pionowo, białe inspekta, z których równoległe do sufitu, rośnie sztywna, wielobarwna sałatka. W środku tego nieruchomego roju motyli wisiała podobizna Piłsudskiego.

— Ale nie widzę tu fotografji rodziców,—skoro to już takie muzeum i wszystko jest w tym pokoju, — ździwiła się Maryśka.

— Bo też i niema,—uczyniła radosne odkrycie pani Karowska.—Wzięła Maryśkę za łokieć i patrząc z bezbrzeżną dobrocią, spłowiałymi oczyma po grzędach motyli—: Bo poco mu proszę pani zatruwać młodość, codziennie, naszemi smutnemi twarzami... Widzi pani, jak chłopiec nam się rozwija. Mąż nastawił go na drogę przyrodniczą—i widzi pani...

Pokazywała Maryśce ułożone systematycznie zielniki. Arkusz za arkuszem. Na dole napis łaciński, a przez całą kartkę rozpięta roślina, niby malusieńkie skarłowaciałe drzewo, słomianym kajdankiem przez pień owiązane.

— Rzeczywiście,—rzeczywiście, — kiwała głową Maryśka,—jak doskonale chowany chłopiec!

— Chowany?!...—Karowska tak się ździwiła, jakby wo-

góle słowo to słyszała pierwszy raz w życiu. Wzruszyła ramionami, podnosząc je szybkim ruchem nieomal do wysokości skroni.—Wcale nie chowamy naszego chłopca, robi co chce,—sam się chowa!...

Kiwnąwszy na Maryśkę palcem, chociaż stały przed szafą tuż obok siebie i uczyniwszy tajemniczo—psotną minę, wyciągnęła z szuflady plikę kilkunastu zeszytów. — Tu go pani ma od samego początku...

Cały pierwszy zeszyt pisany był ręką Karowskiej, wszystkie ważniejsze zdarzenia, od chwili, gdy uczuła, że poczęła... To przecież Adolf już był.

— Gdzież to było pisane,—ździwiła się Maryśka,—jakiż to papier dziwny, jaki zeszyt?...

— A na tym wygnaniu, proszę pani, na tym wygnaniu... Ma pani,—wertowała dalej, — to ja pisałam, póki nie umiał, a jak się tylko nauczył, to już codziennie sam zapisuje. Wszystko, co myśli, czego chce...

— Ale nie wie, że państwo to czytacie?

— Wie. Dlaczegóżby nie?... Niema przed nami żadnych tajemnic.

To już spadło na Maryśkę nieobliczalnym wprost ciężarem. Więc to tak trzeba?... Więc to poprostu cały Pestalozzi, cała pedagogika wyższa już od samego poczęcia...

Ktoś dzwonił do przedpokoju, Karowska przeprosiła na chwileczkę.

Nieskrępowana nadzorem, rozglądnęła się teraz Maryśka po swojemu. Rzeczywiście pokoik był miły, a śmieszne tylko było, że choć niby bardzo spartański i naukowy, — cały w kratkę. Koc, motyle, chram św. Włodzimierza, tapeta, okładki na zielnikach, wszystko w jakąś młodocianą kratkę.

Maryśka uśmiechnąwszy się jeszcze raz uprzejmie do minionej rozmowy, wyciągnęła się mocno, aż jej trzasnął jeden potnik gumowy.

W głębi gablotki, oświecone słońcem, błyszczały papierowe kopuły św. Włodzimierza, jak złote jabłka...

Usłyszawszy kroki zagłębiła się w lekturę pamiętnika.

— Mamo!—krzyknął zawstydzony Adolf na progu, widząc, że pamiętnik jest w robocie. Maryśka szybko obróciła się na pięcie, i z wesołym uśmiechem wyciągnęła ku niemu obie ręce.

Spacery te okazały się przyjemniejsze, niż się mogła była spodziewać. Pierwszy raz wypadło to nieomal uroczy-

ście. Przyjechała na Salwator z Felkiem, Karowskiej nie zastała, ale stary był w domu. Różowy, energiczny... Był zaaferowany, nie miał czasu, teraz na nic nie miał czasu...

— Niech pani pomyśli, — mówił, — wyciągając naprzód ręce z przykrótkich rękawów swej alpagowej marynarki, — że jeszcze raz idziemy szlakiem powstańcow... Z naszego urzędu pocztowego wysyłam pakiety dla naszych żołnierzy do miejscowości, w której walczył i zginął w 63 roku mój ojciec. Nie myślałem, że dożyję tak pięknych chwil... Nie myślałem!...

Śpieszył się bardzo, musiał zdążyć na czas, „u nich" na poczcie bardzo surowo. Nie mógł się narazić swym nowym przełożonym... Tembardziej, że to młokosy...

— Powiedzą potem, — tu oczy mu się zwęziły, cała twarz rozprysła w kreskach przymilonego uśmiechu, — tak, tak stary katorżanin, proletarjatczyk, swoje odbył, ale też już do niczego, zupełnie do niczego!...

Adolf, zawezwany przez ojca, zjawił się natychmiast, gotowy już do drogi, z zielonym pudłem, zawieszonym przez ramię, w grubej skautowskiej koszuli. Wązkie jego biodra opasywał szeroki skórzany pas, na którym ponawieszane były rozmaite przybory.—Maryśka nie rozumiała, do troczenia dzikiej zwierzyny, czy roślin, czy motyli?

Feluś patrzył na swego preceptora z zabobonną czcią.

Więc nareszcie ruszyli, Maryśka badawcza, ostrożna, przypominająca sobie różne sposoby pedagogiczne jeszcze od Zdzicha, na odgadywanie natur chłopięcych,—Adolf uprzejmie ku niej zwrócony i Feluś, którego Adolf prowadził za rękę.

Szli ogromną szumiącą aleją w stronę Kopca Kościuszki. Adolf pochylał się tak nizko, mówiąc do malca, jakby Feluś był głuchy. Z całego zachowania się młodego Karowskiego zrozumiała Maryśka, że jest przygotowane, a może nawet nakazane. Pytania zaś i odpowiedzi, że są napewno opracowane.

Adolf tak skwapliwie oddał się mentorskiemu zadaniu, że nie patrzył ani wprawo, ani w lewo, tylko jak sroka w kość, na głowę Felusia, której mroki miał rozjaśniać...

Tym pierwszym spacerem zmęczyli się i znudzili wszyscy troje. Maryśka wolałaby, by chłopcy chodzili razem z Nastusią. Felkowi nie byłoby wówczas tak markotno. Ale nie wypadało. Pocieszała się jednak, że dzięki temu

wszystkiemu poświęciła, już trzy popołudnia dyżurom w dawnym Uniwersytecie Ludowym, który teraz zamieniony był na polską kasarnię. Wydała nieskończoną ilość kromek chleba przejeżdżającym Legjonistom, wydała i odebrała z powrotem, po noclegu, znaczną liczbę kołder i koców. Pomagała jej w tem mała szara panienka, którą Zdzich, gdy wypożyczali tu książki, nazywał myszką. Maryśka nie mogła zapamiętać jej nazwiska. Siedziały razem do późna w nocy na dyżurze, słuchając jak chrapią Legjoniści. Myszka opowiadała długo o jakiejś swojej misji politycznej, ssąc przytem srebrne medaliki, które nosiła na szyi, mimo że była wolnomyślną. Przyrzekła Maryśce, że znajdzie się też zapewne i dla niej wkrótce odpowiedzialniejsza praca. A może nawet niebezpieczna...

Najmniej zadowolony z całego obrotu rzeczy był Feluś. Wolał od wycieczek z Adolfem, spacery z Nastusią, łażenie po pachnących tytoniem kolanach kanoniera z fortecznej artylerji. Zwłaszcza gdy dowiedział się, że każdy artylerzysta forteczny znaczy tyle, co pół jenerała, bo ma jeden lampas czerwony, podczas, gdy jenerał dwa. Czemże było to, iż ziemia jest okrągła, lub że roślina żyje tak samo, jak człowiek,—wobec przepoconej czapki kanonierskiej, złotego orderu za „fajne" strzelanie, lub wreszcie, wobec wielkiego miecza, który artylerzysta pozwalał wyciągnąć z pochwy, o ile przedtem Feluś tak się umiał ukryć za krzakami, że go z Nastusią długo nie mogli znaleść...

Na humory Felusia, w stosunku do Adolfa nie zwróciłaby Maryśka żadnej uwagi, (bo któż się chętnie uczy), gdyby nie oświadczenie Karowskiej...

— Jak zawsze we wszystkiem, nasz Adolf sumienny, pilny, pracowity,—tak sobie do serca wziął, że przygotowuje się z pogadanką na każde popołudnie!

— No więc, poprostu, zadręczają mi Felka!...—Maryśka postanowiła interwenjować.

Poszli, jak za pierwszym razem w stronę Kopca. Maryśka w szarej sukience, w czarnym szerokim kapeluszu z czerwoną różą i w doskonałym humorze. Adolf, jako skaut, z blaszanym pudłem na motyle i Feluś za rękę, ze spuszczoną głowa, jakby go na rzeź prowadzili...

— Niech go pan puści, niech sobie chłopak pobiega!...

Felek, czując pomoc matki, zażądał pudła na motyle. Adolf chętnie przewiesił mu je przez ramię. Malec uszczę-

śliwiony, bijąc piętami po nizko zwieszonej skrzyneczce, pobiegł naprzód.

Szli za nim wolno, Maryśka swobodna i wesoła, Adolf patrzący samym kątem oka w jej stronę. Postanowiła wykonać zamach stanu...

— Czy to prawda, że pan się przygotowuje do przechadzek z moim synem?

— Tak jest, proszę pani, codziennie. Wypracowałem, plan, ojciec uznał że jest dobry.

— No tak, ale pan nie jest przecież skończonym pedagogiem? Skąd pan wie, że się pan dobrze przygotowuje?

— Ojciec mnie słucha co dzień wieczorem.

Stali na skrzyżowaniu dróg, jedna prowadziła w górę do fortu, druga wysoka na Kopiec, trzecia najgorsza, nieoficjalna, raczej ścieżka, niż droga, zbiegała prosto ze szkarpu w dół, między rozległe łany zboża, mieniące się w słońcu białemi falami połysku.

Maryśka na chwilę przerwała indagację, przejęta wonnym sykiem dojrzałego popołudnia... Zdaleka, niby złoty dźwięk samego słońca, dolatywał głos trąbek wojskowych.

— Więc jakto,—zatrzepotała powiekami, udając, że nie rozumie. — Więc potem do drugiego dnia pamięta pan, czy też powtarza pan sobie, czy jak to jest?

— Nie uczę się, bo przecież pamiętam. — Adolf spojrzał na nią z pod zielonego ronda skautowskiego kapelusza i spotkawszy jej wesołe spojrzenie, spuścił szybko swe gorące, czarne źrenice, objęte zimnym niebieskawym białkiem. —Zresztą gdybym coś zapomniał, mam tu zapisane na kartce.

Wyciągnął z kieszeni na piersi kartkę z zeszytu i podał ją Maryśce.

Na kartce tej, w katechizmowej formie pytań i odpowiedzi, zawarta była krótka pogadanka, z datą dnia na górze i z odsyłaczem do poprzedniej, „mianej“ wtedy a wtedy.

Maryśka, patrząc w twarz Adolfa, przedarła kartkę na dwoje.

— Co pani robi?!—Przestraszył się.

— Niech się pan nie boi...—Chciała zmiąć i rzucić.

— Proszę nie rzucać! Wieczorem będziemy to przechodzić retrospektywnie. Ojciec mnie będzie pytać, jakby był Felusiem, ale wedle kartki.

— To powie pan, że ja wzięłam kartkę.

— Tak proszę pani, ale kiedy ja ją muszę potem dołączyć do pamiętnika.

— No to nie dołączy pan,—i powie, że zgubiłam!...

Schodząc powoli z nasypu, wytłomaczyła Adolfowi, że nie chce, stanowczo nie chce, by sobie zadawał tyle pracy i wogóle to wszystko nie tak było pojęte,—skądże znowu?! Z drugiej strony nieprzyjemnie było Maryśce, że może to wyglądać, jakby się mieszała do wychowania Adolfa, wydobywając go z pod surowego rygoru ojcowskiego. Ostatecznie jednak postanowiła być egoistką. To trudno, mąż na wojnie, więc ona musi sobie radzić jak się da, a cóż szkodzi że chłopak trochę się przetrze w towarzystwie młodej i rozsądnej kobiety, a wyzwoli z pod wpływu rodziców...

W miarę tego, jak obcowali bliżej ze sobą na spacerach, przekonała się, że wpływ ów był bardzo silny. Adolf rzekomo tak swobodny przy rodzicach, sam, w obcem towarzystwie, tracił zupełnie kontenans. Minęło dobrych parę dni, nim się oswoił i zbliżył. Z drobnych szczegółów wnosiła, że chłopiec bynajmniej nie jest tak prostolinijny, ani tak szczęśliwy, jak sobie to Karowscy wyobrażają...

Oto raz, gdy siedzieli na łące, w cieniu skał, Adolf wydobył swój wielki duński nóż i zacisnąwszy w pięści, postawił sztorcem na kamieniu. Widoczne było, że robi to tytułem próby, niby samemu sobie pokazując... Że czeka, czy Maryśka wyjedzie zjakiemiś ostrzeżeniami, lub kazaniem...

— Ach wspaniały, nóż,—rzekła.

Popatrzył na nią z dołu w górę, objęty nagłą radością: Prawda?!

— Wspaniały! — Przysunął się blizko, bliżej, by pokazać, jak się nim manipuluje. Oglądali go oboje z wielkim zajęciem. W niebieskim cieniu skał, gładkie ostrze przewijało się im między palcami, jak biały płomień.

— Cały świat się zbroi, a ja mam być bez niczego?— Spytał, tajemniczo zniżając głos...

— Tak, ale niech pan z tem nie igra.—Obiecała, że go nie zdradzi i nie powie nic rodzicom o tym nożu.

Kiedyindziej znów zwierzył się, pokazując jakiś flakon, iż ma dosyć chloroformu na zatrucie czworga ludzi.— Rodzice, ja i służąca... O tem nikt nie wie...

Brał ze sobą na spacer coraz więcej różnych swych skarbów, wziął nawet swego małego Kodaka.

Zmienił się też wzajemny stosunek chłopców. Uganiali

wesoło steczkami między zbożem, ścigali się z krzykiem po zrzętej łące, lub po wysokich, wzgórzach, rozfalowanych cudownie na drodze do Bielan.

Maryśka siedziała w cieniu, patrząc z radością na te harce.

Gdyby nieprzerywany terkot karabinów maszynowych i strzały na pobliskiej strzelnicy, mogłaby, siedząc tu, zapomnieć zupełnie, że toczy się teraz straszna wojna, która pożera tylu ludzi i w której bierze udział jej Zdzich najukochańszy... Ale nie trzeba przecież pomagać jeszcze wojnie, martwiąc się nią i padając na duchu...

Najczęściej bawili się w ten sposób, że Maryśka chowała się, oni jej szukali, potem tropili i gonili. Blaszane pudło na motyle, czarny kapelusz z różą i żakiet składało się pod pąsową parasolką, rozpiętą gdzieś pod krzakiem—i hajda w las!

Jakaż to była radość, gdy z pomiędzy czarnych pni buków, wyjrzała zręczna postać Felusia. Przemykał wśród wielkich, szumiących drzew niepostrzeżenie i cicho, świecąc złotą czupryną, niby zapaloną gałązką!... Jakież to były dręczące niepokoje łowów, gdy Adolf, skaut doświadczony, błądził między krzakami, łypiąc czarnymi oczyma przez siny cień.

Był tak ładny, tak cicho biegł, jakby to było gdzieś w Anglji, jakby na nich powóz czekał na dole, a oni uganiali po prawdziwym Hyde Parku (to wszystko, co wiedziała o Anglji. a nazwa parku została jej z Kordjana)... Jakiż to był bajeczny śmiech, gdy Adolf, w pościgu, tak zręcznie machnął zieloną siatką na motyle, że złapał w nią głowę Maryśki!

— A to co za sposoby?!? Tak nie można!!—Krzyknęła w pierwszej chwili, patrząc przez muślin zielony.

Stropiwszy się, całował ją po rękach i poszli tak do Felusia, ona w siatce aż po ramiona, na długiej trzcinie przez Adolfa prowadzona.

Okazało się też, że nietylko Feluś, lecz sama Maryśka dużo może skorzystać od młodego Karowskiego... Mianowicie w gimnastyce. Kwadrowało to tak świetnie z jej planami schudnięcia... Adolf znał wybornie cały system Millera.

Zaczęło się od tego, że chciał go zaaplikować Felusiowi. Feluś jednak nic nie rozumiał, a nawet zaczął się bać, gdy ni z tego, ni z owego, starszy jego przyjaciel rozpoczął

takie gwałtowne ruchy, że mu aż w nosie świszczało i trawa gwizdała pod butami.

Ale Maryśka zrozumiała donośną korzyść tego pokazu. Uspokoiwszy więc Felusia, kazała się uczyć.

— Tak,—to musiało być niezmiernie korzystne, dla organizmu.

Widziała, jak świetnie grają wszystkie mięśnie chłopca, jak napięcie ich w grze mięśni przetęża się pod płótnem skautowskich spodni. Jak na odkrytych kolanach związuje się ćwiczenie w biało-fioletową różę ścięgien, a zdyszane nozdrza rozchylają się, szumiąc falą powietrza, w wysoko sklepionych piersiach. Aż oczy przymykała z naiwnej, gimnastycznej radości, gdy słychać było elastyczny trzask, wyrzucanych silnie stawów Adolfa... Podczas tych dziesięciu ćwiczeń skręcał się przed nią, zwijał i rozwijał, skłaniał do ziemi i rzucał w tył z rozkrzyżowanemi ramionami, a wreszcie obracał w biodrach,—niby przejęty ogromnym, słodkim dreszczem...

— A teraz ja, zaś pan będzie mnie poprawiać.—Upięła mocniej włosy i stanąwszy w pozycji, zaczęła przerabiać, ćwiczenie po ćwiczeniu.

Adolf był bardzo wymagający. Wymagał ściśle dokładności i tempa!...

Maryśka zasapała się mocno. W piersiach, nabrzmiałych powietrzem, tłukło się jej serce tak głośno! Błogi wysiłek przesycał jej wyciągnięte ramiona i drżał w sprężonych, udach, napełniając je ciężką słodyczą. Ale nie chciała pokazać, że jest zmęczona, pracowała więc dalej. Kości jej trzeszczały w stawach, zaś gdy przyszła serja przysiadów, których nie mogła przecież dobrze zrobić, choćby ze względu na suknię, straciła równowagę i upadła. Feluś rozpłakał się, a potem zaczął bić Adolfa, śpieszącego z pomocą.

— Czekajcie, czekajcie, nie zaraz, podnieście mnie jeszcze, chwilę odpocznę, — mówiła, — patrząc na pochylone ich twarze, gdy w tem rozległo się w pobliżu wołanie—hop, hop!!..

Zamilkli, jakby złapani na gorącym uczynku...

— Hop, hop, hop, hop!—krzyczał twardy męski głos jeszcze bliżej...

— To pan Ciąglewicz...

— Skądże pan Ciąglewicz wie, że my tu chodzimy na spacer?, — spytała Maryśka, wsparta na ramieniu Adolfa.

— A bo mówiłem mu jeszcze, kiedy te kartki do pogadanek robiłem z ojcem,—radziliśmy się także pana Ciąglewicza.

Ciaglewicz niedaleko ścieżki zauważył rozpiętą parasolkę Maryśki, a pod jej cieniem czerwonym szary żakiet... Na nim zielone pudło na motyle, obok zaś, czarny kapelusz z różą. Na trawie rozkurczone bezsilnie rękawiczki.

Ładna i dużo dająca do myślenia martwa natura, niema co mówić, — pomyślał. Schyliwszy się, podniósł rękawiczki i powąchał. Pachniały dobrym mydłem i tanimi fiołkami.

Rozpięta parasolka, przygodna harmonja przedmiotów w jej cieniu spoczywających i siatka na motyle, niby zielony wiotki buńczuk jakiejś frywolnej eskapady, wbita w ziemię, zniecierpliwiły Ciąglewicza. Począł wołać coraz głośniej. Wkrótce odpowiedziały mu głosy Maryśki i Felusia—bardzo blizkie. Poszedł szybko w tym kierunku, gwałtowie krusząc szeroką podeszwą zeschłe patyki leśnej ścieżki...

Wyłonili się z za drzew, Maryśka oparta na ramieniu Adolfa, z rozburzonemi włosami z mchem na sukni, Adolf pobożnie służący oparciu swym skautowskim obojczykiem— i Feluś.

Ciąglewicz uważał za stosowne nie wykorzystywać swej sytuacji niespodziewanego świadka...—Hop, hop!—wołał, chociaż już byli od siebie na kilkadziesiąt kroków.—Szedłem do pani ze złą wiadomością, tymczasem przynoszę dobrą, bardzo dobrą!.. Co zato dostanę?!

Zamachał ku niej kilku szaremi pocztówkami polowemi,—co za to dostanę?!..

Maryśka skoczyła naprzód i wydarła mu je z ręki.

— Byłem u pani w mieszkaniu, bo się jakieś nieszczęście robi tam u Zatorskich. Trzeba kogoś bliskiego,—podobno żyliście państwo dość ściśle,—trzebaby to jakoś delikatnie, tymczasem...—Witał się niedbale z Adolfem.—Tymczasem zastałem u pani kartki od męża pani i pozwoliłem sobie, wiedząc...

Krew gorącą falą spłynęła Maryśce do serca, wszystko poczerwieniało w oczach, las zawirował, zakipiał cichą, szaloną radością... Na razie nic prawie z kartek nie mogła wyczytać, tylko jakieś jego słowa... Nawet nie strzępki słów,— a same litery, coraz większe, kochanymi sztrychami, rozbu-

kanymi kołami pędzące po papierze—i po całym niebie i po całym świecie...

Trzęsącymi się z radości rękoma ujęła za szyję Felusia, żeby czytał, żeby widział słowa ojca, słyszysz:—Zdzich pisze, żeby Feluś był grzeczny i nie dokuczał Mamusi!..—A potem zaczęła zbierać się szybko, gwałtownie w popłochu,— już, już idziemy!

Ale nim zdążyła włożyć rękawiczki, porwała ją radość tak wielka...

— Pan rozumie, od czasu wyjazdu, ani słowa, ani jednego słóweczka wiadomości!..

— Więc nie gniewa się pani, rezonował Ciąglewicz,— żem bez jej upoważnienia wziął te karty...

Schowawszy je na piersi, podała mu rękę, drugą nagle wyciągnęła ku Adolfowi i powiodła ich w las, dookoła. Kręcili się wązkim kółkiem, między czarnemi drzewawi przez złotą polankę, przez bronzowe cienie spotniałych olch, przez kupy uwiędłego liścia, wadząc o nizko ścięte, rozkrwawione pnie, czerwieniejące wśród traw, jak potworne rydze.

Feluś, bijąc piętami o blaszane pudło, z siatką na motyle w ręku, biegł za nimi i skarżył się, że tak prędko nie może, że go zostawią, że sam zostanie!..

Zatrzymali się na skraju szosy.

— To jest dobra wiadomość,—mówił Ciąglewicz, otrzepując ubranie z leśnego pyłu,—i oczywiście jest to wiadomość dominująca.—Uczynił taki ruch, jakby coś przeczytanego już gruntownie, odkładał na bok. — Ale pani Maryśko, jest jeszcze druga mniej dobra...

— No co? No co?

— Mianowicie u Zatorskich. Właściwie,—poprawił się,— trudno powiedzieć, u Zatorskich. U Zatorskiej...

Maryśka nic nie mogła zrozumieć.—Więc co?..—I w nagłym przypływie dobroci: — Jezus Marja może Zatorski zginął?!

Utkwiła tak gorące spojrzenie w Ciąglewiczu.

— Zginął, nie zginął,—rzekł.—Może się jeszcze właśnie o jednego ma pomnożyć...

Maryśka zobaczyła nagle w myśli Zatorską, tak jak ostatni raz, kroczącą uroczyście przez biuro z naprzód wyniesionym żywotem ciąży i trzema chłopakami w ogonie.

— Nie mogę pani tego wszystkiego swobodnie wyłuszczyć w obecnym składzie naszego towarzystwa.

Ciąglewicz miał rację. Feluś, -a nawet Adolf... Stanęło na tem,—bo chciała działać, już, zaraz, natychmiast nieść pomoc cierpiącemu światu,—że Adolf zajmie się Felusiem, zjedzą u Karowskich podwieczorek, potem Adolf odstawi malca do domu i odda Nastusi.

— Odda go pan do rąk, panie Adolfie, prawda, do rąk?..

Maryśka z Ciąglewiczem pojedzie zaraz na miejsce.

Zatrzymali się po drodze w cukierni u Noworolskiego w Sukiennicach,—„po południu u Noworolskiego..." Ach tak, jaki świat jest głupi, niechże sobie przypuszcza, że we dwoje gdzieś byli i we dwoje skądś wracają... Świat jest taki trywialny...

— Więc co, więc co? Niechże pan mówi...

Wyłuszczał jej sytuację w dziwnie ogólnych i skróconych tonach, jakby czytał komuś komunikat sztabowy.

— Ogromna trudność z powodu ambicji... Pomoc nie może być udzielona osobiście:—Z ręki do ręki... Musi mieć pozory jakiejś nieosobowej społecznej akcji... Musi, niby wychodzić z ramienia jakiegoś ciała zbiorowego...

— A z ramienia jakiegoś zwykłego ludzkiego ciała, nie może?!

— Z ludzkiego ciała, jednostki, nie może wychodzić,— rzekł.

Maryśka wzruszyła ramionami. Cóżby ją obchodziły takie ceregiele!.. Była tak szczęśliwą, tak dumną z tego, że Zdzich żyje. Była nawet wdzięczną wojnie, że jest tak silną, tak wydatną przyprawą życia małżeńskiego...

— Wojna nie jest brzydką. Jest piękną... Tu jakiś oficer siedzi z ręką na temblaku, tamtemu, panie krają szynkę na talerzu, bo palce ma przecięte... A ten, jak ślicznie patrzy swemi węgierskiemi oczami (kasztan mieszany z bławatkiem,— takie oczy mają tylko Węgrzy, bardzo rzadko żydzi) z pod białego turbanu, którym ma obandażowaną głowę.

Mieszając w filiżance gorącą kawę z pianką, patrzyła radośnie na samochód z jakimiś jenerałami, pędzący mimo kościoła Panny Marji... Na szwadron ułanów, jadących stępa przez mroczną Sienną ulicę, na pięciu skutych szpiegów, których prowadzono pod konwojem. Szli, spozierając chciwie dokoła i na stragany przed Sukiennicami pełne rumianych jabłek.—Ha, trudno, trzeba było nie szpiegować!

Ciąglewicz udzielał dalej komunikatu:—Brak pieniędzy, brak doktora, brak wszelkiej opieki, trzech rozbrykanych

chłopców na głowie, kiedy rozwiązanie nie wiadomo.—Z tym wszystkim zwrócił się do mnie Smolarski, musimy zainteresować kółko najbliższych znajomych...—Pomyślał chwilę jeszcze.—Aha! Nie przewiduje się żadnej pomocy ze strony rodziny, bo albo jej nie mają, albo nie żyją z nią...

Maryśka podziękowała mu serdecznie. Wobec wspólnego kłopotu uścisnęli sobie ręce, przed bramą domu, jak rodzeństwo. Weszła sama na miejscé katastrofy.

Zapach octu, pieczonych ziemniaków, opuszczone story, mrok i spłoszona cisza...

— Gdzie mama?

— Mama leży.

— A gdzież służąca?

— Służąca odeszła.

— No a stróżka nie usługuje?

— Nie.

Wiadomości tych udzielił jej w przedpokoju najstarszy z chłopców. Zauważyła, że z jadalni prawie wszystko było wyniesione. — Wyniesione, czy sprzedane... Wszystko, prócz trzech łóżek malców, starej otomany i biurka. Ani kredensu, mieli przecież kredens... Ani krzesełek wyginanych,—samaby je była może kupiła...

— Kto tu?— przywitał Maryśkę w sypialni słaby głos, wydzierający się z wysokich betów.

Maryśka ujęła Zatorską za zimne spocone ręce i zaczęła pocieszać. Chciała to zrobić dobrze, równo, statecznie. Najlepiej tak, jak ją pocieszał Ciąglewicz. Powtarzała, co on jej był mówił swego czasu:—Wszystko jeszcze będzie jaknajlepiej, wszystko jeszcze będzie jaknajlepiej...—Tylko nie mogła znaleść wstępu i środka perswazji, a sama konkluzja nie robiła bez tego żadnego wrażenia...

Zatorskiej wydawało się, że już umiera.

— Pani droga,—podchwyciła Maryśka,—to zawsze tak, mnie się też wydawało na dwa, trzy tygodnie przedtem, że umieram. To zawsze tak, to zawsze tak...

Zatorska przeczyła głową bezsilnie. Jej mała twarz, zlewała się nieomal w jedno z barwą niepowleczonego jaśka. Na wychudłym nosie błyszczał cienki sztrych połysku, bladych warg zupełnie nie było znać. Tylko oczy, udręczone ostrym światłem, pracowały skwapliwie pod burzą suchych, zmierzwionych włosów...

— A cóż doktór?

Okazało się, że żadnego nie wzywali.

— Źle, źle, wszystko źle,—gniewała się Maryśka.—Zaraz pani sprowadzę doktora. To jedno... Druga rzecz spokój. Rozbierzemy pani chłopców między siebie... Z największą chęcią... Jeden do mnie. Jeden do Ciąglewiczów,—mówiła to wszystko na własne ryzyko.—Jeden do Karowskich. Pani musi mieć spokój.

W oczach Zatorskiej zaświeciły ogromne łzy. Chude kościste ręce ukazały się nad czerwoną kołdrą, niby ręce tonącego w krwawej topieli...—Moje pisklęta?!! Ja przecież nie umieram!..

— No więc, no widzi pani!—Maryśka była teraz szczęśliwa z odniesionego tryumfu.—Widzi pani, nie umiera pani i nie umrze.

— A zresztą, gdybym umierała, niech moje dzieci będą przy mnie...

Nagle Zatorska siadła na posłaniu:—I jeszcze jedno pani Maryśko... Mój mąż zostawił mi...—Zagryzła usta, pełne suchej, gorzkiej rozpaczy.—Mój mąż, idąc na wojnę, zostawił mi skrypta swoje... Całe jego życie, wszystkie myśli... Całe serce... Wszystkie idee... Wszystko... Rzeczy niewydane, w rękopisie... Są tu, w nocnym stoliku... Umówiliśmy się, że gdyby,—że gdyby... To ja to wydrukuję... Wydam... Inaczej nie mógłby,—nie mógłby spokojnie... Tymczasem pani Marjo, ja sama...

Łzy padały jej z oczu, chudy klinek, widocznego z dekoltu koszuli ciała, zapadał się tak nizko...

Teraz właśnie wróciła Maryśce ta szalona radość dzisiejsza!...

— Nic się pani mężowi nie stanie,—rzekła radośnie.—Niech pani patrzy... Ja już mam od swego z pola,—pani też dostanie napewno!

Zatorska wzięła z rąk Maryśki karty Zdzicha i obracała je w palcach niczem skarb niedościgły:—Pani dostała i dostanie, tysiące dostają, ale ja...

Maryśka, zapowiedziawszy, że zaraz idzie po doktora, obiecała po drodze rzucić okiem na chłopców.

Wszyscy trzej siedzieli w kuchni, przy piecu, piekąc w ogniu ziemniaki.

A ta kuchnia! Nie pozmywane, nie posprzątane, ścierki porozwłóczone, śpiżarnia pusta resztki smalcu na dnie zdrutowanego garnka, bryłki kosmyk masła, wychylony z wnę-

trza pustej masielniczki... Zepsuta sałata z pomidorów na spodeczku, torba papierowa z grysikiem—i już...

Tak, tak „Dolina bez wyjścia“, doskonale chłopcy rozumieją czas dzisiejszy, obozując w kuchni przy ognisku, — myślała w dorożce, po drodze do doktora.

Stare resory bujały ją przyjemnie, koń wiernie człapał po bruku. Z uczuciem odpoczynku i rozmarzenia, patrzyła na wysoko wgłębione granatowe niebo i rzędy kasztanów, silnie już wyrudziałych. Powietrze przesycone było wonną wilgocią, a na trawnikach plant połyskiwały w cieniu upadłe liście, jak złote łaty.

— Prawda, prawda,—uzmysłowiła sobie,—jakby od czasu wyjazdu Zdzicha teraz dopiero miała pierwszy raz czas na zrobienie tego spostrzeżenia, — prawda, że to już jesień idzie...

Na szczęście zastała doktora. Siedział za stołem i jadł kolację, z płachtą dziennika obok talerza. Zdyszana i zaaferowana przedstawiła mu rzecz całą. Potakiwał, jedząc dalej cierpliwie.

— Doktorze, doktorze, bo się gotowo zrobić jakieś nieszczęście!

— No tak, tak, ale ta cała pani anamneza nic mnie nie obowiązuje, skoro nie wiem, który to miesiąc tej ciąży i wogóle jaki przebieg...

Temniemniej wstał. Wyszli z jadalni do pokoju przyjęć. Doktór zapalił elektryczne światło.

Jakby biała, chybka gotowość zabłysła wkoło na wszystkich kleszczach, instrumentach i szprycach niklowych, poukładanych zą szkłem...

Maryśce odrazu wyschło w gardle. Usiadła na biało lakierowanym stołku, obok ginekologicznego łoża, ślizkiemi płaszczyznami i chwytem metalowych podtrzymań przysposobionego do poskromienia wszelkich ruchów.

Doktór stał przy szklanej szafie i wybierał z niej przybory. Składał je do grubej skórzanej torby.

Opadła Maryśkę niechęć i nuda.. Tak samo musiał się zbierać, gdy przybiegł zdyszany Zdzich przed przyjściem na świat Felusia... Tak samo zbierać się musiał jakiś inny doktór do jej urodzin... Zapragnęła koniecznie zobaczyć kleszcze, któremi się wyciąga...

— Panie doktorze, jak to wygląda, bo mnie wyciągnęli na świat obcęgami?...

Z okiem zmrużonym i łzawiącym od papierosa, pokazał jej ten przyrząd. Dwie przegięte silnie niklowe jaszczurki o wydętych, gładziuśko sklepionych głowach, spięte w środku, a zakończone karbowaną, szorstką pletwą rękojeści...

— Skąd pani wie, że kleszczami panią wyciągano?

— Mam tu bliznę, na czole.

Nie wyjmując papierosa z ust, grubymi palcami odchylił jej włosy z nad skroni, bez wszelkiej kurtuazji, jak się odgarnia grzywę, czy szczecinę zwierzęciu. Widziała to, odbite zabawnie w wypukłościach łyżki... Siebie w kapeluszu, cielistą głowę doktora tuż obok i jego czerwony kciuk nad swą skronią.

Wyciągnięte ku szybom gablotki długie palce katetrów, zdawały się grozić im obojgu...

Okazało się, że u Zatorskich niema światła. Dopiero stróżka musiała przynieść świecę. Maryśka zostawiła doktora przy chorej, a sama poszła do chłopców. Spali już w kuchni. Widać bawili się byli w wojnę i obóz, leżeli bowiem na gołej ziemi, z patykami przy sobie, głowami do środka, pod rozpiętym parasolem ojca, niby w namiocie...

Postanowiła zaczekać w jadalni po ciemku, przy blasku, który padał z ulicy. Słyszała tu chropawe pytania doktora i jęczące, jak słaby wiatr odpowiedzi chorej. Ogarnęło Maryśkę nagłe, czułe wzruszenie... Że to się tak czeka, mądruje nad tym przyjściem człowieka na świat... Że to się odbywa mimo wszystko... Tu wojna,—tu mąż na wojnie,—tu jeszcze słowa nie napisał, — (Zdzich już napisał) — tu nawet nic nie wiadomo, gdzie jest, czy żyje, — to nic: Człowiek się rodzi bez pytania...

Uznała, że jest to wszystko bardzo romantyczne.

Doktór wyszedł od chorej.

— Więc jakże panie doktorze, kiedy?...

Podchodząc ku oknu do światła, wzruszył ramionami.— Za tydzień, za dwa, za miesiąc, za dwa, cóż na tem zależy?...

— Tak, ale my przyjaciele, musimy się jakoś przygotować....

O tyle o ile ustalił jakiś termin.

— Najgorzej jest jednak z psychicznym stanem chorej. Fatalnie, fatalnie, fatalnie...—Jął sobie pulchnemi rękami wyciągać łysą skórę na czaszcze.—Niepokój, niepewność, brak środków...

Maryśka zaczęła i jemu i przebiegowi całej sprawy i ja-

kimś ludziom małodusznym dodawać otuchy wielkimi słowami...

Doktór nie słuchał tego wcale.—Niepokój, niepewność, brak środków, niepokój, niepewność, brak środków... Czy pani pamięta,—spytał nagle,—co pani mówiłem, gdyśmy się spotkali w kawiarni wtedy, w dzień odjazdu pani męża?

— Coś pamiętam, panie doktorze, ale niedokładnie.

Ziewnął i rzekł: Pięć miljonów trupów,—pięć miljonów trupów... Pocóż to rodzić?... Pogroził jej ostrzegawczo...

Na razie, za dziesięć koron osadzili tu stróżkę, Maryśka „do jutra“ pożegnała się z Zatorską i wyszli.

Z przyjemnością rozstała się z tym sceptykiem. Ale kłopotów, kłopotów teraz!... I spełniaj tu regularnie rozkład godzin!...

W mieszkaniu było ciemno.

— Kto tu?—krzyknęła Maryśka na progu sypialni, słysząc, że ktoś powstaje z krzesła.

— To ja, proszę pani, Adolf.

Zaświeciła elektryczność. Adolf w skautowskim ubraniu stał przy łóżku Felusia.

— Alem się przestraszyła! Czemuż pan sobie światła nie zapalił?

Nie chciał marnować na darmo elektryczności. Po podwieczorku odprowadził Felka do domu. Nastusi nie było i niema jeszcze. Klucz leżał pod słomianką. Pobawili się trochę, Feluś był już bardzo zmęczony i Adolf położył go spać. Wszystko w porządku.

— Ależ to nadzwyczajnie,—zawołała.—I dał pan sobie radę z chłopcem?!

— Skaut, proszę pani, wszędzie i zawsze musi sobie dawać radę...—Zresztą Feluś był grzeczny, sam się umył. Tu są poskładane jego rzeczy.

Mimo późnej pory zatrzymała Karowskiego na herbacie. Adolfa cieszyło bardzo, że nie tylko dotąd się poświęcił, ale że teraz poświęca się jeszcze bardziej, bo nie zdąży już do tramwaju. Będzie musiał wracać piechotą taki kawał.. Czuł się dorosłym zupełnie męczyzną, podawał Maryśce uprzejmie szynkę, krajał chleb i prowadził rozmowę o wojnie.

Maryśka „ubrała“ go zręcznie w całą bieganinę z powodu Zatorskiej. Musiało już być bardzo późno, brama już dawno była zamknięta. Słychać było od czasu do czasu jej

głuchy trzask i wchodzenie po schodach zapóźnionych lokatorów.

Gdyby mógł, siedziałby tu Adolf do rana... Ale rozumem statecznego wychowania pojmował, że należy już iść... Wstając od stołu, spytał nagle: Czy pani naprawdę podobał się mój duński nóż...

— Tak,—odpowiedziała trochę zdziwiona.—jest bardzo ładny, oryginalny.

Szybkim, poniekąd skrytobójczym ruchem, sięgnął do kieszeni.—Pani jest sama w mieszkaniu...

— Istotnie,—pomyślała, —cóż to się dzieje z Nastusią?...

— Jest pani sama w mieszkaniu, takie czasy, tyle się włóczy różnej hołoty... Powinna pani mieć na wszelki wypadek jakąś broń... — Wyciągnął nóż z kieszeni, uprzejmie rozłożył i sztorcem postawił przed jej filiżanką.

— Ależ nie, dziękuję panu, przyjaciele nie mogą sobie dawać żadnych ostrzy, to przynosi nieszczęście...

— Przesąd, proszę pani! — krzyknął, zarumieniwszy się po same uszy.

— Może być, że przesąd, ale...

— Szkoda, wielka szkoda...

— Pan bez zarzutki, bez płaszcza?—zapytała go w przedpokoju, widząc, że już ma kapelusz w ręce, a drepcze u drzwi i nie wychodzi.—Noce już są dobrze chłodne.

Uderzył się w piersi, aż się rozległo przez skautowską koszulę.—Jestem zahartowany!

— Ale pan z pewnością nie ma drobnych na stróża...

Wybawiła go z strasznego kłopotu. W rzeczy samej nie miał ani grosza.

Następnego dnia już po popołudniu zdał sprawę Maryśce, ze wszystkiego, co mu poleciła.

Wynikało z tego, że pierwszym, najgwałtowniejszym potrzebom Zatorskich, szczęśliwie „utarto nosa". Zatorska miała już jaką taką opiekę, trochę pościeli, zajęto się też chłopcami. Najgorzej było z pomocą materjalną. Rzecz drażliwa, a tak potrzebna.

Ale Maryśka wpadła na doskonały pomysł! Zorganizuje się koncert dobroczynny... Przecież jest w zapasie cały nieużyty jeszcze koncert Pieśni Ludowej! To z czem Kałucki miał jechać do Zakopanego. Kałucki napewno nie odmówi. Bilety się rozsprzeda z łatwością. Tyle się kwestowało na

powszechne cele, niech raz jakaś poszczególna rodzina ma też coś z tego...

Przygotowawszy sobie krótką przemowę, osłodzoną komplementami, poszła do Stanisławy. Lepiej od niej zaczynać.

Przyjęła Maryśkę w ciemnym przedpokoju, z ołówkiem w ręku, nieledwie wymachując jeszcze takt. Z za ściany rozlegały się akordy fortepianu i gamy, ciągnione przez żeński głos z trudem pod górę.

— Ależ bynajmniej nie przeszkadza pani.

— Bo ja właściwie do obojga państwa,—do pani i pana profesora...

— Profesora?!!

Maryśka dowiedziała się teraz, że profesor już od dawna jest na froncie. W parę dni po odjeździe pana Zdzisława... Czy, „oni" mają naco wzgląd?! Taki głos,—taki głos... Poszedł, mam nadzieję do sanitarjatu, bo przecież ma skończone trochę medycyny... Ale służy przy pułku, pani kochana, przy X... tym pułku piechoty.

Maryśką aż wstrząsnęło... — Więc, tam, gdzie Zdzich! Są razem!...

Obie bardzo wzruszone, bez żadnego przejścia, padły sobie w objęcia.

Ale o żadnym koncercie nie mogło być już mowy.

Weszły do salonu. Maryśka zgodziła się zaczekać na ukończenie lekcji i później przy kawie naradzić się ze Stanisławą, która „mimo wszystko" ma przecież stosunki w świecie artystycznym i może złoży coś innego. Możnaby na tym koncercie, skoro profesor,—mój Boże,—zaśpiewać przynajmniej parę jego kompozycji...

W salonie czekała swej kolei Janina.

— Ale nie sądź mego głosu z ćwiczeń i z lekcji—szeptała, przysiadając się bliżej do Maryśki.

— Nie, naturalnie, że nie. Bądź spokojna. — Maryśka, słuchając gam, toczonych w górę i w dół, ćwiczeń, obracanych na jednym, lub drugim akordzie, jak na śrubie—pogrążyła się w mętne wspomnienia pewnej chwili, leżącej, zda się, na samym brzegu dobrych czasów... Wspomnienia te, szły, tam i z powrotem, stopniami gam. Ostatni ów moment to było, gdy przyszła z plant do Konserwatorjum... Zdzich śpiewał w tym kwintecie, uniesiona głosem i radością twarz jego, tężyła się pod górę... Kałuckiemu aż się poła marynar-

ki odwijała od dyrygowania,—wszystkie tony takie były jasne i pełne... A potem stali półkręgiem naprzeciw okna, wszyscy tacy weseli, tak czysto ubrani, zaś po skrawku nieba chodził metronom i mierzył uciekający czas...

Wiedział Feluś, dla czego się wtedy rozpłakał...

Teraz niebo było pochmurne, brudne, nikt swego jutra niepewny, co drugi na drugim końcu świata, a tym, którzy zostali, kłopoty sięgają wyżej uszu... Ogarnęła też Maryśkę wielka czułość na wspomnienie profesora. Tak, jakby „małmazja“ jego soczystego basu była najdoskonalszym uosobieniem tych chwil, minionych już chyba bezpowrotnie...

Zaczęła śpiewać Janina. Maryśkę ździwiło niepomiernie, że z tak małych, ładnych ust może się wyrywać tak czerstwy i nieokiełznany głos.

— Zobaczysz,—mówiła do Maryśki, gdy wyszły od Stanisławy (stanęło ostatecznie na tem, że koncert bez profesora Kałuckiego w Krakowie jest niedopomyślenia)—zobaczysz, że się jeszcze dochowam pociechy z tego głosu... Wtedy zatańczymy... Wtedy ja im wszystkim pokażę!...

Szły do teatru, bo późno już było. Zgraje chłopaków, wymachujących nadzwyczajnymi dodatkami, wrzeszczały natarczywie.

— Niema przedstawienia, dziś niema przedstawienia, — oświadczył Smolarski, spotykając je u wejścia.

Na jego widok twarz Janiny zaostrzyła się, spłoszony uśmiech przeleciał przez usta, a źrenica rozszerzyła się, chłonąc prawie zupełnie jasną barwę zielonej tęczówki.

— Jakto niema, dlaczego niema przedstawienia?—Spojrzała pytająco na fasadę teatru z czerwonej cegły, popstrzoną elektrycznemi światłami.

— Trzech głównych aktorów zachorowało.

— Któżby to mógł być?

— Zachorowało, czy popili się, nie wiem.

Maryśka pożegnała się skwapliwie.

Zostali sami, przechadzając się tam i z powrotem, wśród słabo oświetlonych ulic bocznych. Smolarski zatrzymał się z Janiną przed dwupiętrowym młynem parowym, na końcu ulicy Krupniczej.

— To dziwny budynek, niech pani patrzy, we wszystkich oknach ciemno... Zawsze, od kiedy pamiętam, ciemno jest w tych oknach... I od kiedy pamiętam imponuje mi ten gmach, bo nie wiem do czego służy?... Czy to jest młyn,

czy browar?... Zawsze tylko woda tu pędzi brudnym wartkim potokiem i szumi, spływając między fundamenty...

Janina słuchała pilnie. Wiedziała, że lubuje się, w takich pobocznych uwagach. Pochylili się oboje nad drewnianą balustradą małego mostku. Czarna fala niosła na sobie złote półksiężyce świateł i refleksów.

Smolarskiemu zdawało się przez chwilę, że mówiąc o tym domu, w niebywale jasny sposób wyraził wszystko, co można powiedzieć o stanie duszy udręczonego człowieka...—Teraz zrozumie go Janina nareszcie...

Patrzyli wciąż, słuchając wartkiego dźwięku, stłoczonych fal. Po chwili przyszła Smolarskiemu refleksja, że jednak nic wyraźnego nie powiedział i nie określił... Bo skąd miała Janina wiedzieć, że tędy chodził do szkoły?... Że mu, synowi małego urzędniczka, imponował straszliwie ten gmach o zakratowanych oknach, niezmiennie połyskujący tą falą czarnej wody... Skąd miała wiedzieć, że w pierwszej gimnazjalnej, gdy wracając wieczorem z wielkanocnych rekolekcji, zobaczył kratowane okna tego budynku, oświetlone białym światłem, pomyślał nagle,—że zdaje się Boga niema...

Aby więc wytłómaczyć to Janinie dodał jeszcze: Tędy chodziłem do szkoły...

— Tak?—A ja chodziłam do szkoły w Królestwie, do szkoły rosyjskiej.

Nie porozumieli się. Uczuł, że odeszło, minęło go coś, co tak bardzo pragnął złożyć, jej w ofierze... Skręcili między puste uliczki, na których donośnie rozlegały się kroki obojga.

Janina łowiła ten odgłos z ciekawością...: Ciężkie placki stąpnięć Smolarskiego i echo jej podeszwy miękkie, jak pierożek.—Dała sobie, od chwili dzisiejszego spotkania, już kilka razy słowo honoru, że sama nie rozpocznie... Ofiarowała mu tak wiele, nie rozumiał i nie przyjął... Niech się upokorzy.

Zawędrowali powoli przed klasztor OO. Kapucynów. Na przodzie, na małym placyku stał krzyż otoczony sztachetkami. Jego ramiona pozłacał blask latarni. Kształtów kościoła w mroku nie było widać dokładnie, jeno miękką grę, jakby sypkich płaszczyzn, ściągniętych pieczołowicie pod trójkątny dach.

— Zdaje się, proszę pani, — że ten krzyż stoi, na pamiątkę Konfederatów Barskich, którzy tu walczyli, padli i których jakoby tu pochowano...

— Tutaj także, zdaje mi się,—spytała Janina,—bierze śluby arystokracja i śmietanka krakowska?...

Smolarskiemu podniosły się do góry śpiczaste uszy, ślina chlupnęła o dziąsła. Ażeby sobie dodać odwagi, pochlebić Janinie rzekł głośno: —Na szczęście nie należymy do żadnej śmietanki... Inteligencja, wolnomysliciele, słowem biedacy, jak my, biorą śluby w drugim końcu miasta...

Bał się, czy nie widzi rumieńca, który mu oblewa twarz, gdy z wielkim strachem dodawał:—Więc naprzykład, gdy pani się zgodzi, to będzie pani ze mną brać ślub w kościele św. Mikołaja...

Janina na razie nie odpowiedziała zupełnie. Przewracało się w niej to powiedzenie, ciężką falą obrazy zalewając wszelką czułość i wszystko, co sobie w stosunku do Smolarskiego postanowiła...

— Pan Smolarski ma zamiar wziąć ją na ślub, jak na szperkę...—Tyle tylko, że nie w kościele Kapucynów...

Szła powoli z powrotem ku teatrowi, jeszcze w nadziei jakiegoś słowa z jego strony... Może się teraz odezwie, może jakoś przekreśli obelgę tych scen zazdrości, za które wyrzucili ją Karowscy z mieszkania... Czy też ma zamiar załatwić to wszystko za pomocą ślubu... Za pomocą nabycia na własność...

Smolarski milczał, przejęty bezgranicznym wzruszeniem.

Janina szła coraz prędzej, coraz więcej wzburzona.

Znaleźli się znowu przed teatrem.

— Na szczęście,—rzekła Janina, wybuchając,—nie należymy do śmietanki! Ślubu brać nie potrzebujemy... Ma pan u mnie zawsze to, — pasja nią trzęsła, — co każdy dyrektor teatru i co się należy każdemu „możnemu“ męczyźnie w naszym świecie... Tyle samo warte, co pańskie śluby!...

Niesamowity, zgłuszony ryk wyrwał się z piersi Smolarskiego.

Janina zniknęła na rogu.

Zdawało mu się, że pobiegnie za nią... Lecz nie mógł biec, czując, jak czarna, ostrymi sierpami nieszczęścia połyskująca fala toczy się w nim coraz tłumniej, coraz więcej ściśnięta...

Dlaczegóż chodzili tamtemi ulicami, a nie po Rynku, po Linji AB?...

Uczuł się na wieki, na całe wieki samotnym... Z prze-

rażeniem słuchał przytłumionego ruchu, jaki wydobywał się z kasarni. Gdzieś na drugim piętrze otwarło się okno. Ktoś śpiewał. Jakiś chłopski głos ciągnął prostą pieśń, tym samym nawrotem, dokoła.

Smolarskiemu uzmysłowiło się, że to głos tego całego mięsa ludzkiego drży tak pod granatowym niebem i tak się tuła wśród rzadkich gwiazd...

Uśmiechnął się skrycie i zjadliwie... Bo cóż kogo obchodzi wogóle ludzkie nieszczęście?...

Zaczęły mu płynąć dnie, pełne coraz większej, coraz przewrotniejszej perfidji. Miał masę zajęcia, które go teraz nic nie obchodziło. Stawały się donośne fakty, na które patrzył teraz obojętnie, jak się patrzy na wydarzenia, zachodzące w jakiejś rzeczpospolitej Australijskiej. Zrywał się cały wicher programów politycznych, zbawiano Ojczyznę na dziesięć sposobów, a Smolarski przymierzał do nich zbolałą swą duszę, ciesząc się, że tak wielkie wypadki nie mogą wyczerpać tak małego zmartwienia...

Dowodzono mu z różnych stron, różnych grup politycznych, że człowiek tego pokroju, tej wysokiej uczciwości, co on, mógłby i powinienby i jest obowiązany... Proponowano mu nawet w miarę tego, z jakiego to szło obozu, — tu szarżę wysoką, tu chwałę męczeńską, tu, niby twardą pestkę skrytą w słodkim miąższu owocu, bezwzględną wolność od służby wojskowej,— w razie konserwatywnego działania.

Smolarski podnosił wysoko swe śpiczaste uszy, chlupał śliną o dziąsła i z pod nawisłych leniwie powiek pozierał na to wszystko z niewzruszoną bezmyślnością... Równie bezmyślnie cieszył się tym rozgwarem, jakim brzmiało teraz życie publiczne, miejskie, kawiarniane, prywatne, z powodu rosyjskiego pochodu w głąb Galicji. Widziało się teraz na kupie wszystkich znajomych rozproszonych po świecie, miało się pod ręką na każde zawołanie całą nędzę kraju, oglądało się w niezliczonych urzędach tak dokładnie, całą groteskową powolność administracji.

Nadpływały też coraz gorsze wiadomości z frontu. Smolarski upatrzył sobie specjalny stolik w kawiarni, gdzie zbierali się wojacy. Chętnie przysłuchiwał się opowiadaniom o okrutnych przygodach wojennych, czynach i spotkaniach.

Uważał, że działa to równie dobrze, jak elektryzacja, lub masaż głowy...

Unikał przytem stale towarzystwa legjonistów. Byli

oni za blizko Piłsudskiego... Słuchając ich, uzmysławiał sobie Smolarski, że cała jego Ojczyzna składa się z dwuch obozów, tak śmiesznych, iż w zestawieniu nie należy się im zbyt długo przypatrywać. Po jednej stronie wielki nieugięty człowiek, — po drugiej nieprzeliczony tłum przerozmaitych Smolarskich, którzy się załamali na różnych swych Janinach...

Doszedł do tego, że sprawił sobie piękną podobiznę Wodza, jako niezawodne lekarstwo na swe zmartwienia miłosne... Wygłosił też przed Maryśką pewnego wieczoru cichą, skupioną przemowę, w której nazwał Piłsudskiego wcieleniem się Narodu w jednego człowieka...

Mimo, że było to bardzo wygodne, bo w takim razie cały naród mógł spać spokojnie, byleby pracowało za niego jego wcielenie, — Maryśka nie chciała się z tym sądem pogodzić.

— Pan mi nie będzie mówić, że cały naród to jeden człowiek... Cały naród, to cały naród. To ja, pan, ten, ów,— słowem my wszyscy, ilu nas tam jest...

Na to Smolarski odpowiedział, że póki nad łóżkiem Felusia nie zobaczy podobizny Wodza, póty trwać będzie w przekonaniu, iż Maryśka przenosi poprostu względy osobiste nad powszechne.

— Więc przenoszę, przenoszę, tak jest!...—Właśnie torba z kaszą się jej przedarła i omal, że wszystko nie poleciało na podłogę.

— A widzi pani. — Przyjąwszy to jej oświadczenie, do wiadomości, pozwolił sobie sklasyfikować je, jego autorkę i w ogóle ludzi Maryśce podobnych... Zaliczył ich do obozu martwych, zaś w przeciwieństwie do martwych, wyliczył całe mnóstwo żywych odłamów, — kierunków, partji, opinji i przekonań obowiązujących.

Maryśka zniecierpliwiła się—: Co mi pan mówi o obowiązujących przekonaniach! O opinjach i partjach!... Wie pan co to znaczy? Jeśli stary safanduła, mój stryj, pański wuj— stary safanduła, którego już nic nie obchodzi, idąc spać, nakręcając kluczykiem, którym dłubie w uszach, swój zegarek, zawiesi ten zegarek na kapliczkowym pantoflu z oliwkowego drzewa, wyłożonego czerwonym aksamitem i równocześnie sapiąc na świecę, pomyśli... Pomyśli to, co od miesiąca, albo od roku, albo od lat krzyczą wielkie głowy w stolicy,—to to jest proszę pana opinja, partja i przekona-

nie... Zresztą, ktoby sobie, wie pan, — ktoby sobie zawraca głowę tymi, abstrakcjami, gdy ma na karku ewakuację, oblężenie, chłopca, niepewność o męża, troskę o zapasy i sługę... Tak jest i sługę,, nie masz pan co podnosić brwi! Nastusia z przed dwuch miesięcy a Nastusia dzisiejsza, to dwie inne Nastusie...

— Niezdolna, niepojętna? — Smolarski nawiązywał do nauki. — To zawsze tak, zaczyna się doskonale, a potem dziewczyna taka nie może wydążyć...

— O, może pan być spokojny, nauczyła się w parę tygodni pisać, czytać i rachować, a co do wydążenia, to pod wieloma względami nie wiem, czy się zaprędko naprzód nie posuwa...

Smolarski nie chciał irytować Maryśki, która w ostatnich czasach bardzo była rozdrażniona.

Nie wiedziała co ma robić ze sobą. Zostawać w Krakowie,—jechać do matki w góry?... Nikt nie umiał jej poradzić. Widząc tłumy i długie ogony przed sklepami spożywczymi, stawała w tych ogonach i za ostatnie pieniądze kupowała zapasy. Czytając groźne ogłoszenia o ewakuacji, biegła do Magistratu po bezpłatne bilety jazdy. To tu, to tam otwierały się jakieś bezpłatne źródła, jakieś pożyczki, a któż mógł wiedzieć, kiedy je można najlepiej wykrzyostać?...

Wszyscy znajomi, nawet najlepsi, ukrywali swe zamiary. Każdy skwapliwie dysymulował swój plan.

Karowscy twierdzili, że zostają.—Mimo, iż dla nich, na wypadek czego złego, równa się to powtórnemu zesłaniu na Syberję...

— Nie mogę — mówił stary Karowski, stojąc na werandzie, zapatrzony w daleką chmurną jesień, z której miał nadejść wróg odwieczny, — nie mogę opuścić ani tego miasta, ani mego posterunku, ani naszych biednych, ani naszych rannych legjonistów...

Wiatr porywał mu naprzód gęstą, siwą brodę, jakby z niej właśnie prządł bez końca te chmury, snujące się po świecie.

— Ciężko jest przeżywać na starość to, co się już raz przeżyło w młodości...

Tem ciężej mu było, że nie mógł już i nie potrafił... Czuł, że już teraz nie rzuci tych gratów swoich, tak jak rzucił całe gospodarstwo i posadę, gdy uciekali z Syberji.

Czuł się związany z ubogim swym dobytkiem. Rozpaczał, uważając, że Adolf koniecznie powinien uciekać...

— Adolf jest rosyjskim poddanym,—kończył tę smutną rozmowę, zwrócony ku Maryśce,—gdyby pani chciała w swoje góry wziąć naszego Adolfa...

Wówczas na ramieniu Karowskiego ukazała się żółta głowa Karowskiej, dużemi dziurkami od nosa, niby dwururką, wymierzona prosto, w zagrożoną przez wroga stronę...—Nie da się oddzielić gałązka od szczepu... Nie będzie się oddzielać gałązka od szczepu...

Powtarzała to tyle razy, póki Adolf, stojący obok, nie pocałował matki w rękę i nie przytulił się do niej, przerzuciwszy sobie przez szyję matczyne ramię...

Maryśka wyszła stamtąd znudzona, jak po „rozbiorze" Laokoona Lessinga.

Ciąglewicze nie kręcili... Mówili otwarcie, że zostają, natomiast wszystkim innym doradzali wyjechać...—Zostają, bo mogą...

— Zostajemy, bo możemy. — Ciąglewiczowa ogarnęła z szezlongu zaufanym spojrzeniem wierny zastęp worków z mąką, stojący od kredensu aż do drzwi...—Jesteśmy zdecydowani na wszystko... Trzeba przetrwać...

Maryśce podobała się ta atmosfera, tembardziej, gdy dowiedziała się, że tam też nie wszystko jest tak, jak się zdaje... Że taki spokojny napozór Ciąglewicz, dużo, — dużo myśli... Dużo cierpi... Wielu rzeczy nie mówi...

Pochlebiało jej, że on mężczyzna, kolega Zdzicha, zwierza się, szuka może u niej wytłómaczenia... — Kobieta, gdy jest sama. o ile kocha swego męża, może się ogromnie rozwinąć... Maryśka doskonale zrozumiała, czego brakuje Ciąglewiczowi... Co go zjada... Za dużo systematyczności... Nie można żyć, jak w zegarku... Ciąglewicz robił wszystko systematycznie, miał czas o wiele surowiej podzielony, niż Zdzich, o wiele twardziej ustalony, niż rozkład godzin Maryśki... Nawet obowiązki dobroczynne ułożył sobie w tę swoją kratkę... Jak Adolf,—swój pokój.

Maryśka czuła, że jej się to też udziela... Ciąglewicz dwa razy na tydzień brał z sobą chłopców Zatorskiego na spacer, Maryśka zaś popołudnie to spędzała razem z Zatorską. Więc tego naprzykład nie można już było żadną miarą odmienić... Schodzili się w Sukiennicach, w cukierni o tej samej godzinie i razem szli aż za kolej do Zatorskich.

We wtorki i piątki. To już tak było wiadome, że gdy w te dnie chciał kto Maryśkę znaleźć po południu, to szukał jej poprostu u Zatorskich.

— Tak to pan regularnie ułożył jakoś, że nie wiem co dziś jest, wtorek czy piątek?

— Piątek, proszę pani, — odpowiedział krocząc spokojnie obok.—Piątek to dobry dzień. Wszystkie ważne zdarzenia mego życia przypadały na piątek...

Gorąco było bardzo, mimo późną już jesień Maryśka pragnęła jaknajprędzej dojść pod most kolejowy, przecinający ulicę. Postanowiła spocząć tam w cieniu parę sekund.

— A czy szczęśliwe były te ważne zdarzenia?

— Człowiek, proszę pani, jest szczęśliwy, gdy ma spokój. Te zdarzenia, mogę to twierdzić stanowczo, przynosiły spokój...

Przyszli wreszcie pod ten most, w siny chłód pachnący smarą i węglem.

Maryśka odpoczywała, podczas gdy górą po torze przewalał szybki pociąg. Powietrze tętniło od huku.

— Niech pan patrzy, jak iskry lecą.

Istotnie aż tu pod most spadał rój czerwonych węgiełków.

Pociąg przeleciał i wtedy dopiero usłyszeli oboje głośne wołanie. Ze słonecznego obszaru ulicy szedł ku nim przyśpieszonym krokiem jakiś żołnierz, wymachując rękoma.

— He, he! he, he!

Niedaleko za żołnierzem panna Stanisława w ogromnym białym kapeluszu.

Maryśce wszystka krew zbiegła do serca —: Panie, oni w jednym pułku służą z moim mężem!... Jezus Marja, czy aby... Panie, jakaś wiadomość!...

Kałucki kiwał uporczywie, by zaczekali na niego pod mostem. Właśnie wjeżdżał nowy pociąg, długi transport wojskowy. Koła dudniły powoli, głusząc jakąś pieśń obcą, śpiewaną w wagonach.

Maryśka nie śmiała podnieść oczu... Patrzyła z szalonym niepokojem na czerwone iskry ogniste, lecące z góry przez słońce w cień...

— Kiwam na was,—żebyście tu zaczekali, bo się zgrzałem... Ani w domu, ani u Zatorskich... Ani nigdzie... Ale tymczasem widzę, pani już ma kawalera, — śmiał się, całując ją po rękach.

Nadbiegła Stanisława, czerwona od gorąca z jeszcze czarniejszymi zębami —: Powiedźcie, jak schudł nasz profesor! Jak zbiedniał! Przecież ledwie skóra i kości zostały!

— Istotnie profesorze, schudliście. — Ciąglewicz wydziwić się nie mógł, że w tak niedługim czasie można tak schudnąć.

Policzki Kakukiego zwieszały się z pod oczu poniżej ust, niby małe, zmięte torebki.

— Spokoju mi nie dał, — krzyczała Stanisława, bo pociąg nad nimi łomotał, głusząc głosy,—spokoju mi nie dał, że musi panią odnaleźć, że zaraz musi pani powiedzieć... Wczoraj dopiero przyjechał...

Maryśka oparła się o śliskie, czarne kamienie podstawy mostu. Jego łuk kamienny, huczący ciężkim kuciem kół i wrzaskliwą nieznaną pieśnią, zdawało się, że przepełnia całe jestestwo Miechowskiej, że wrasta w skronie, przetęża się w piersiach... Parę drobnych rozżarzonych węgielków gasło u jej stóp. Pokrywała je zwolna fioletowa siność aksamitna.

— Nic złego, nic złego,—śmiał się dobrotliwie Kałucki.— Z góry mówię, że nic złego... Stanowczo coś dobrego. Ach tak pani, wobec tego cośmy przeszli, ilu nas zginęło.—Mąż pani, Zdzisław, — mówię krótko — dostał się do niewoli.

Wszyscy umilkli... Maryśka nie odpowiadała... Pociąg przeszedł. Teraz słychać było wyraźnie doniosły wrzask obcej pieśni. Szło to z wagonów całą kurzawą.

— Co to znaczy? Co to znaczy, — pytała Maryśka, tak wyraźnie widząc dorożkę na gościńcu... Kilku przechodniów, błysk szyb, dachy pochyłe, tnące się płaszczyznami połyskliwego jedwabiu...

— Ach czemuż ongiś nie wzięli mieszkania za koleją!..

— To znaczy, że mam męża—i że go nie mam?..

Kałucki wziął ją za ręce.—To znaczy, że mąż pani żyje i że w każdym razie będzie żyć...

A potem, jakby nagle po spełnieniu ciężkiego obowiązku opadł ze sił. Ujął pannę Stanisławę pod rękę.—Jeśli jakie szczegóły, albo co, to panie się umówią... Zawsze służę... A i tak niedługo...—Wnet znowu z powrotem...—Zaśmiał się z tryumfującą przebiegłością—: I tak rozbici, tak całkiem rozbici...

— Kto?—Pytał Ciąglewicz spokojnie.

Ale Kałucki nie odpowiedział.—Daj stara ramię,—zwró-

cił się do Stanisławy,—i prowadź do domu na dobrą kawę.

Patrzyli za nim z żałością. Wlókł się powoli, jak tabetyk. —Profesor taki zdenerwowany...

Maryśce nie mogła się nieoczekiwana wiadomość pomieścić w głowie. Czy ma się cieszyć, czy smucić?... Czy jest Zdzich,—czy go niema?.. Gdzie to jest w niewoli?.. Gdzie to jest?..

O—teraz już nic nie trzymało jej w Krakowie! Nacóż więcej miała czekać?... Jej stały adres nikomu już nie jest potrzebny. Listy, żadne listy od Zdzicha nie będą przychodzić... Minie dobrych parę miesięcy, nim nadejdzie jakaś wiadomość przetłomaczona, przepisana, przeżuta przez jakieś międzynarodowe biuro szwajcarskie. Nie siedzieć tu! Uczepić się czegoś, czy kogoś... Najlepiej matki... Potrzebowała kogoś, ktoby jej wytłomaczył, że te niepewności, to zawieszenie, ten czyściec,—wyjdą na dobre... Potrzebowała też i dla siebie trochę przygód, trochę bezpośredniej niedoli, trochę włóczęgi...

— Nie tylko ty, Zdzichu, tułasz się, jadąc między białe niedźwiedzie,—twoja żona, twój syn, twoja malutka rodzina, też nie opływa i kosztuje gorzkiego losu wygnania...

Tembardziej, że utrzymywała się pogłoska, jakoby w razie oblężenia, osoby, które się nie wykażą dostateczną ilością zapasów, wygnane będą poza obręb twierdzy na łaskę losu. Między strzelające armaty...

Dobrze jeszcze, że coś się odmieniło w Nastusi i że Maryśka znów mogła na niej polegać. Zwłaszcza od czasu, gdy popłakały się obie.

Buczały cały wieczór. Maryśka nad Zdzichem i niepewnością, Nastusia nad tem, że jej chłopak z serca wyszedł.

— Z serca mi wyszedł, proszę pani, nie czuję go, nie widzę... Wyszedł mi, jakbym go nigdy nie znała, wyszedł mi z serca i już...

Może to i dobrze, bo ostatniemi dniami rozpuściła się była Nastusia i nieomal noce całe przepadała, jak się okazało u baby, co karty stawia. Teraz można znów było gadać z nią i liczyć na nią.

Jechać w świat z panią swoją się bała...—Zawsze jedna gęba więcej między obcymi... A tu ma na Podgórzu swoich stryjków... Najlepiej, pani jej zostawi trochę tych krup, tego węgla, tej mąki i wszystkiego, co jest... Może Nastusia jakoś „o tem“ wysiedzi,—jak wyrzucą, to łaska boska... A jeśli nie,

to co upilnuje, to upilnuje... Z kluczami na ten przykład, to jak tam pani woli. Może zabrać, może zostawić. Nastusi wszystko jedno...

Maryśka poszła do Karowskich dowiedzieć się, gdzie Rosja może trzymać jeńców wojennych?... Oni przecież znali całą Rosję, na własnej skórze wszystkich tych miejsc strasznych doświadczyli. Ale tyle ich było tych miejsc, nazw, mrozów, rzek, guberni i niedoli, że nic się nie dało wywnioskować.

Tyle tylko, że się odrazu przy okazji pożegnała z Karowskimi aż do powrotu i do jakiejś lepszej doli. Już nic ze spacerów, nic z tego doskonałego kierunku, w którym Adolf prowadził Felusia. Teraz, skoro to już i tak do niczego nie obowiązywało zwierzyła się Maryśka, że chciała była u nich ten pokój po Janinie wynająć.

— Mój chłopiec miałby taki doskonały przykład, a jabym mogła tak pomagać pani przy wszystkich społecznych pracach. Tymczasem wszystko prysło...

— Tak, tak,—kiwała głową pani Karowska,—nie czas żałować róż, gdy płoną lasy... Nie czas...—i śmiejąc się gorzko:—wracamy do naszego Słowackiego, który nam przyświecał przez całe wygnanie...

Sami polecili (było to dowodem ogromnej przyjaźni), by Adolf odprowadził Maryśkę do tramwaju.

— A jeśli pani ma sprawunki jakie, lub posyłki, to proszę naszym chłopcem rozporządzać jak swoim.

— Ja wszystko doskonale załatwię,—zachwalał się Adolf usłużnie i skwapliwie.

Schodzili powoli ze wzgórza, obudowanego grzecznymi domkami urzędników. Późna jesień widniała wszędy. Wielka aleja, wiodąca na kopiec Kościuszki przemieniła się w brunatne szpalery wysokich róż g.

— Pamięta pani,—spytał Adolf naiwnie,—jakeśmy tędy schodzili, pani z panem Ciąglewiczem? Ja wybiegłem za państwem, pani zbierała wtedy kwestę do puszki. W dzień odjazdu męża pani...

— Skądże panu to przyszło na myśl?

— Bo taka pani wtedy była smutna...

— Doskonale pan pamięta,—pogroziła mu z uśmiechem.—Pan wybiegł wtedy za nami bez kapelusza i dał mi pan do puszki dwie korony. Pamiętam, że potem uciekł pan na podwórze tego kościoła. I czegóż się pan wtedy bał?

— To nie jest podwórze, proszę pani, a stary cmentarz. Możemy skręcić i zobaczyć.

— Czego się bałem,—powtórzył, gdy już minęli uchylone wrota muru, otaczającego kościół św. Salwatora.—Nie bałem się, tylkom się wstydził... Zresztą nie wiem,—sam nie wiem...

Szli przez wilgotne, na pół zgniłe już liście. Rudo-niebieską powłoką zakrywały cały trawnik.

— Tutaj się uczę, proszę pani, na wiosnę i w lecie. Tak głupio człowiekowi bębnić coś, a potem nagle przeczytać starą płytę nagrobka w murze... Niektóre napisy mają przeszło sto lat... Tu zwykle nikogo niema...

Z głośnym szelestem brnęli przez liście, burząc stopami zlepioną ich strugę. Ulatał z niej senny zapach i ćmił stalowy połysk butwienia...

Maryśka przypomniała sobie, że wtedy wieczorem, kościół stał w wieńcu szumiących drzew, lśniły gwiazdy, a miasto tonęło w światłach... Dziś niebo białe, niskie, chyliło się nad kościołem, leniwe krople wilgoci tłukły po gałęziach, a miasto zmartwione się widziało stąd, schmurzone, ledwo trzymające swe kościste wieże pod obfitym naporem ciężkich mgieł...

Stali obok siebie, przechylając się poza mur. Wiatr cicho rzęził u węgłów kościoła.

— Więc tu jest pana „świątynia dumania"...—Nie wiadomo dlaczego przypomniał jej się Pan Tadeusz... Tam też chwali tak poeta te nasze mgły i jesienie.

— Owszem,—odpowiedział Adolf z przejęciem.—Możnaby to nazwać moją świątynią dumania...

Gdy już wychodzili, zatrzymał nagle Maryśkę we framudze starych wrót u wyjścia z cmentarza:—Pani się nie obrazi... Pani się nie obrazi... Pani wyjeżdża w świat na ewakuację... Nie wiadomo kiedy się zobaczymy!...

Wargi mu tak drżały, że ledwie mógł skleić te słowa.

— Coś ode mnie na drogę... To można między przyjaciółmi! Bo jest prawo, że jak jedno drugiemu daje nóż, a to drugie zapłaci, to już wtedy nóż nie przynosi szczęścia... Tak jest nawet na Korsyce,—a oni się na tym znają! Pani mi już zapłaciła... Wtedy, gdy byłem na herbacie i nie miałem na stróża... Wraził jej w dłoń, złożony w gładkiej rękojeści nóż duński i nie żegnając się wybiegł pierwszy z bramy.

W parę dni później opowiedziała to Ciąglewiczowi.

— Co mam z tym fantem zrobić?

— Nic, przecież to dzieciństwo, a nóż, jeśli dobry, przyda się pani w podróży.

Kończyła już wszystkie sprawunki i to nieszczęśliwe, tak przykre „zwijanie“ całego domu.

Co się dało, utkały z Nastusią do kufrów, co nie wlazło, z mniej wartościowych rzeczy,—do koszów.

Ale jakże miała osądzić, co jest wartościowe, a co nie, co jest potrzebne, a co nie?... Co musi wziąć z sobą, a co nie?...

Nic nie było wartościowe i wszystko, wszystko miało wartość ogromną...

Nic nie było potrzebne,—a jakże się obejść bez rzeczy, do których już jakby przylgnął pył codziennego spojrzenia i ruch przychylnej, mimowolnej nieuwagi...

Więc ma w świat jechać bez matołka, bez „ich“ abażuru, bez drewnianych kółek Felusia, bez pozostałej bielizny Zdzicha?! Więc ma zabawki malca popakować, jak graty niepotrzebne, a krawatki męża pozwijać, jak tasiemki?!

Co ma brać z sobą, a co nie? Na zimę jedzie tylko, czy też i na wiosnę i lato? Z rzeczami jedzie, a serce ma zostawić, a pamiątki w naftalinie pogrzebać, jak ten kochany fioletowy kostjum?... Przytem nie wiadomo skąd, z szuflad, z jakichś ważnych, a zapomnianych skrytek, ze starych ubrań, z książek, powychodziło mnóstwo kartek, starych notesów, jakichś kalendarzy, memorandów...

Aż głową kiwała nad gruzami tego minionego życia, aż bronić się musiała, unikając czytania tych świstków, ważnych na dziś, koniecznych wczoraj, niedo zapomnienia miesiąc temu...

I ta kartka rozkładu godzin, tą niedotrzymana, ani za grosz, kartka z rozkładem godzin!...

Śmieszność,—śmieszność...

I ta kartka z przekreślonymi dniami, jeden po drugim, gdy kiedyś Zdzich wyjechał na trzy tygodnie, a Maryśka czekała go, licząc te dnie z utęsknieniem...

Kufer okuty kłapał głucho, zeschnięte kosze stękały złośliwie.

Feluś używał i bawił się tem wszystkiem, a Maryśka nie raz zaryczałaby na cały głos, gdyby nie pomoc Ciąglewicza.

Pomoc moralna, nie fizyczna.

Siedział spokojnie na krześle, patrzył, jak Maryśka kręci się i schyla się wśród kufrów, owszem, pomagał gdy coś

trzeba było docisnąć, lub dopiąć, ale najważniejsze, że napełniał ją spokojem.

Tłomaczył, że ten jej żal jest siłą,—jest energją życia, jest rzeczą dobrą, korzystną... Nie wszyscy mają co żałować... Iluż ludzi, ileżby dało za ten żal, za tę troskę... Ileż ludzi żyje, musi żyć, niby w jakimś śnie, w jakiejś, powiedzmy, obojętnej otchłani!..

Maryśka nie mogła zrozumieć: Co to znaczy w otchłani? Co to znaczy oddałby coś ktoś za takie szarpanie się, za tyle zmartwienia?..

Ciąglewicz, patrząc na jej biodra, zarysowane w przegięciu, ramiona opięte forsownym ruchem, na twarz różową od wysiłku i rozchylone żałosnym zdumieniem usta,—tłomaczył cierpliwie: Tak jest w otchłani.. Tam, gdzie nie jest ani dobrze, ani źle, gdzie niema ani zaszczytu, ani wstydu, tam, gdzie, naprzykład, wedle katolickiego kościoła, siedzą duchy mędrców i cierpiętników pogańskich. Czyż nie jest, proszę pani, otchłanią życie ułożone, unormowane do ostatniej minuty, przewidziane z góry, a pozbawione tej ciągłej kochanej niespodzianki, jaką przynosi wielkie uczucie...

Teraz rozumiał, co mu mówiła o jego zbytniej systematyczności... Teraz, gdy widzi, z jakim żalem zwija ona swe gniazdo...

— Ja każdej chwili mógłbym przejechać z moim domem, gdzie pani chce... Zapewne, gdyby Zdzich nie poszedł był, gdyby go nie zabrali, doszlibyście państwo do tego samego, co my...

— To jest do czego?—spytała Maryśka, pełna bohaterskiej nieomal dumy na widok człowieka, który jeszcze ubogim się czuł wobec jej niedoli i rozbicia.

— To jest do rytuału... Do tego, że małżeństwo, cały jego układ staje się jałowym rytuałem... Was oboje wojna od tego uchroniła... Niech mi pani wierzy,—czasem zazdroszczę Zdzichowi właśnie tego. Los oszczędził mu tej największej, tak wielkiej, że aż bezsmacznej goryczy...

— Więc każda para, myśli pan, musi dojść do takiego rytuału? A skąd pan wie, że naprzykład ze mną doszłoby się do tego?...

Ciąglewicz zmarszczył brwi i odpowiedział po długim namyśle.—Może ma pani rację. Istotnie przypuszczam, że tu wiele zależy od kobiety...

Nie odpowiedziała mu, nie chcąc jakiejś łatki przypiąć

Ciąglewiczowej, o której i tak miała własny sąd aż nadto ustalony.

— Tak,—może ma pani rację, może rzeczywiście z panią,—mówił, gdy schodzili ze schodów,—można nie dojść do rytuału...

Nie poczuwała się wcale do tego komplementu.

Ostatni raz odprowadził ją do Zatorskich. Zaczekał przed domem, aż się pożegna.

— Niech pan sobie wyobrazi nareszcie już i Zatorska ma wiadomości od męża. Zastałam ją w łóżku aż ubraną z tego powodu odświętnie.

Wracali małą uliczką przy plancie kolejowym, mrok już zapadał gęsty, rozzłocone światła latarń błyszczały samotnie.

Zaprosiła Ciąglewicza na herbatę. Może jeszcze przyjdzie Smolarski,—to już dziś ostatni wieczór...

— Jutro o tym czasie, gdzie ja to już będę, proszę pana? — Zamyśliła się nad tym głęboko.

Ciąglewicz patrzył na tor, na szyny, błyszczące w mroku, podobne do zakrzywionych równoległych igieł. Tam i sam płonęło już światło różnokolorowych sygnałów.

W powietrzu słychać było potężne tchnienie maszyn.

Maryśka nie chciała przerywać Ciąglewiczowi kontenplacji. Bądź co bądź uważała go za uczonego... Może akurat w tej chwili układa mu się w głowie jakieś nowe prawo historjozoficzne?

— Niech pani słucha, — mówił, zamykając mistycznie oczy,—jak gwałtownie i zachłannie oddycha przestrzeń dwudziestego wieku... Ile w tym oschłej siły i srogości... Przestrzeń dawniejsza, jeszcze nawet przestrzeń Wielkiej Rewolucji terkotała dobrotliwie grzechotem dyliżansu...—Dziś jak łomocze... O ile głośniej, — o tyle też ciężej jest żyć na świecie...

Czekająca na zwrotnicy maszyna biła ustawicznie potężną falą pary w powietrze.

— Niech pani przymknie oczy. Będzie się pani zdawać, że parowóz robi strasznemi bokami, jak strudzone zwierzę... —Widzi pani te szyny?

Chwiała się nad niemi blada siność wieczoru.

— To jest droga naszych rozłąk, naszych tęsknot... W tej sztywnej formule, witamy się, żegnamy... Świat poznajemy, goryczy nabieramy, serce tracimy...

Stojąca gdzieś na boku maszyna sapnąwszy straszliwie,

ruszyła naprzód. Po olbrzymiah zakrzywionych igłach przeleciały czerwone dreszcze. Parowóz sunął powoli, jak olbrzymi czarny byk...

— Tak proszę pani, to jest bezwzględność rzeczy istniejących...

Nato nie miała Maryśka żadnej odpowiedzi. Na takie filozofowanie pozostawała jej jeszcze jedna rada,—herbata... Jest to niby bardzo wymijające, a przecież tak wnikliwe...

Dopiero, gdy Ciąglewicz przyjął zaproszenie, podjęła śmielej wątek rozmowy: Więc,—bezwzględność rzeczy istniejących,—mówił pan.

Poza pierścieniem uwiędłych już prawie plant zatrzymał ich tłum gęsty i hałas ogromny. Zrazu nie mogli zrozumieć, co tak trzeszczy w powietrzu i dygoce. Widać było tylko polatujące nad tłumem kłęby kurzu, a zapach benzyny roznosił się daleko... Były to olbrzymie niemieckie samochody, pędzące nieskończonym sznurem z głębi nocy, przez miasto, ku fortecy.

Wyciągały się ku tym pojazdom twarze pospólstwa, oświetlone lampami acetylinowemi, jak gdyby trupie. Domy się trzęsły od przegonu, zdawało się, że się asfalt wgłębia i kruszy pod naciskiem...

Na olbrzymich platformach stali, po kilkudziesięciu, żołnierze niemieccy o sinych gębach, w pikelhaubach, przykrytych pokrowcami, — niby ludzie o głowach, sklepionych w śpiczasty róg. W obłokach dymu benzynowego, w miażdżącym trzasku kół, w pośród dzwonienia ciężkich łańcuchów, ubrani w prostokątny łom swych uniformów, wrzeszczeli ku białej z osłupienia publiczności szorstkie, jak tarty kamień, słowa ojczyzny swojej.

Ciąglewicz spochmurniał. Cały ten dziki korteż skierowywał nagle rozmowę na całkiem inne tory. Ciąglewicz nie widział w tym przemarszu nic nadzwyczajnego.

— Ja piszę w mojej bibliotece, oni jadą samochodami, choćby z francuskiego frontu na rosyjski. Każdy robi swoje... Bezwzględność rzeczy istniejących...

Po powrocie do Miechowskich, przy herbacie, wśród rozstawionych kufrów i koszów, gdy sobie uzmysłowił, jak niezmierzona jest ta rozbieżność losów, jak cierpliwym być trzeba, by módz na miejscu siedzieć spokojnie,—gorycz nim zawładnęła... Ci, którzy jadą, podziw wzbudzają... Omroka tęsknot im towarzyszy, ściga ich zazdrość przygody... Lecz

któż oceni, osłodzi, któż pojmie urok, cicho, a tak zasłużenie, leżących przy drodze kamieni?...

To też, gdy Maryśka, przejęta losem żołnierzy,—bo dobrze proszę pana, że ci ludzie są w pruskich mundurach, ale oni też mają żony i dzieci, nie mogę o tym nie pamiętać,—przejęta ogromem tego rozkazanego błąkania się po świecie, jęła nad nimi ubolewać,—Ciąglewicz sceptycznie się uśmiechnął.

— Nie nad nimi,—rzekł, z głęboką chrypą prostoty,— należy się litować, lecz nad nami... Tym wszystkim ludziom można zazdrościć. Niech pani zauważy z jakim entuzjazmem wrzeszczeli na swoich wozach... Jest to stary jak świat, ludowy entuzjazm noża. To—i przejazd kosami opatrzonych wozów Dawida wśród Filistynów, to identycznie ta sama chwila.

Aż się sam dziwił, jak obecnem się staje teraz wszystko, czego się kiedyś uczył.

— Proszę pani! Ludzie owładnięci tym ludowym entuzjazmem—to szczęśliwcy... Czy myśli pani, że gdybym wierzył w ten szał, nie rzucił bym się weń ze szczerą radością?!

Pierwszy raz widziała go Maryśka tak smutnym i skupionym. Spytała o przyczynę.

Podniósł wysoko brwi i uśmiechając się błędnie, zmiatał dalej niedopałkiem papierosa na kupkę popiół w popielniczce.

Wyglądało to rzeczywiście, jakby w jakiejś alegorji, bo za popielniczkę służył nieduży globus, który kiedyś spadł i ułamał się,—z jednej strony po kuper Szwecji i Norwegji, z drugiej — po cieśninę Behringa. Teraz służył na popiół. Ciąglewicz stukał niedopałkiem, a po częściach świata przelatywał szary skos cienia.

Mówiąc spokojnie o problemach siły, rozmiaru, oddalenia, przestrzeni, zastanawiał się równocześnie na tym olbrzymim oddaleniem, jakie stwarza cieniutki błam materji zszyty w spódnicę...

— Problem siły... Tak, tak.—Ciąglewicz nawiązał do wspólnego dzieła, pisanego ongi ze Zdzichem i zapytał co Maryśka robi z tymi rękopisami. Właściwie niektóre były wspólne...

Myśl, że te papiery zostaną tak sobie, na łasce pierw-

szej lepszej Nastusi, trapiła Maryśkę bardzo. Niedość, że Felek je pokreślił...

— W tym dramacie rozważaliśmy razem ze Zdzichem przełomową chwilę w historji polskiej... Gdy Stefan Batory musiał się zgodzić dla panowania poświęcić miłość.., Każdy z ludzi, biorących udział w teraźniejszej wojnie jest trochę takim okrutnym Stefanem Batorym... Tylko, czy ci, co walczą, osiągną jakieś panowanie?...

— A ci, którzy nie biorą udziału? — spytała Maryśka, uważając mimo wszystko branie udziału za rzecz zaszczytną, —pewna więc, że teraz upokorzy Ciąglewicza...

— Ci, którzy, nie biorą w niej udziału,—odpowiedział, mieszając dalej popiół w globusie,—to ludzie, którzy kochają...

Zrobiło mu się tak sucho w gardle.

Nie wiadomo dlaczego, zdał się jej Cięglewicz teraz takim samym, jak wtedy na dworcu, gdy Zdzich odjeżdżał. Może dlatego, że wtedy był rumiany i pogodny, choć było tak smutno,—teraz zaś mówił sam smutne rzeczy, z uśmiechem pogodnym i rumianym.

— Tak, tak,—rzekła, aby jakoś rozwiązać tę sytuację,—ja też nie wiem, co zrobić z tymi papierami?...

— Jest to przecież wszystko, co po człowieku zostaje, wymknęło się Ciąglewiczowi.—Dodał też zaraz:—Pani też nie wie, co się z panią może stać...

Pochlebiało jej, że istotnie niewiadomo, co się z nią stać może.

— Co do mnie to jestem pewien,—rzekł jeszcze, — że u mnie, że u nas, nic się nie zmieni...

— Tak jest, oddam je panu.

Leżały w sypialni, w komodzie, na wierzchu. Ciężko było pozbywać się tego, ale zdrowy rozsądek nakazywał.

Tyle już pochłonął, tyle już zniszczył ten zdrowy rozsądek!—Najmilsze rzeczy leżą upakowane jak śledzie w beczce, najukochańsze graty i graciki upycha się doprawdy, jak kapustę, chrzeszczące wnętrza koszów tyle chłoną, że wszystko jedno...

Zgasiwszy światło już miała wracać, gdy przyszło jej na myśl, że masa dymu jest w mieszkaniu. Otwarła więc okno, pozbawione firanek, dziwnie przytomnym prostokątem obejmujące noc.

Wionęło zimne tchnienie zwiędniętego sadu, zgniła jesień miejska, znużony, smutny przeciąg mgły.

Maryśka zapatrzyła się w mały kawałek ogrodu... Kiedyś księżyc tu świecił, dzwoniły liście, bronzowy cień głaskał trawy... Teraz widać było zaledwie tu i owdzie stalowy błysk wilgoci, wicher szarpał ciemności, chrypiąc piachem w rynnach...

— Czy pani niedobrze,—spytał Ciąglewicz z jadalni.

Nie słyszała tego pytania.

Taki jest właśnie mój los,—myślało się Maryśce, stojącej na złość w otwartym oknie. Niech się zaziębię.—Taki, taki... Bez męża, z dzieckiem, na taki czas jechać w nieznany świat!...

Ciąglewicz, nie otrzymując odpowiedzi, powstał cicho z za stołu.

Obciągnąwszy stanowczo kamizelkę, stanął na progu sypialni:—Czy pani jest niedobrze?...

— Ależ nie, nie — odpowiedziała, pociągając nosem. Z oczu płynęły jej łzy duże powolne, ach chyba tak nieszczęśliwe, tak czarne, jak ta noc...

— Miałem był dostać papiery,—a tymczasem...

Wszedł cicho w strugę zimnego przeciągu, który się wiązał przez pokoje.—Widzi pani nie trzeba, ach nie trzeba...

Objął ją nagle szybko, czując pożądliwym jasnowidzeniem uścisku, gniecione słodko ramiona, piersi i żebra.

— Co pan robi?! — Spokojnie wydobywała się z jego objęć.—Co pan robi?!

Zaczął mówić, zachwiany, liczył jeszcze na te tak zwane „upite, nieprzytomne“ słowa...

Leciały w głąb mieszkania z przeciągiem porywającym za sobą świstki, łachmanki z komody, wstążeczki... Jakaś otwarta książka w jadalnym zaczęła prędko przewracać kartkami, jakby ktoś niecierpliwie szukał w dużym słowniku.

Wtem grzmotnęły drzwi przedpokoju.

Ciąglewicz rozluźnił uścisk. Maryśka wyszła w smugę światła.

— Pan mnie przecież nie kocha? — Więc poco pan to robi?

— Pan mnie nie kocha,—mówiła gdy byli już w światłości, w jadalnym pokoju,—więc mnie pan obraża!...

Czekał końca ze schyloną głową, układając rejteradę.

Był pewien, że przyjdzie mu teraz wypić kielich goryczy do dna, do ostatniej kropli, łącznie z tym nieuniknionym, — „za kogóż mnie pan ma"?

I przyszło to!

— Nie kocha mnie pan i obraża... Więc wogóle, za kogo mnie pan bierze!

Ale Ciąglewicz, ten właśnie moment uznał za najlepszy dla swej odsieczy.

— Proszę mi przebaczyć,—zaczął,—bo jestem nieszczęśliwy...—Nie było rady, coś za coś..—Przedstawił więc jej w bardzo czarnych kolorach swe życie domowe... Żony nie kocha... Ona go nie rozumie... Są,—tylko dla dziecka... Dla Magdusi... Ma szacunek,—ale nic nie czuje... I wogóle... Całe życie pokutować dlatego, że ktoś raczy pochodzić ze wsi i że ojciec tego kogoś raczył przepić swój duży majątek! W Maryśce tyle życia!! Tyle zaradności i poezji!... Zresztą, czy się kiedy wie, — dlaczego?... Wie się, — „że" — i to jest szczęście...

Mówił to wszystko długo, ze złamaną boleścią w głosie.

Za cenę zwierzeń, wielkich niedyskrecji, tyczących jego osobistych spraw, dała mu Maryśka rozgrzeszenie.

Rozstali się, jak przyjaciele, do jutra na dworcu,—nic panu nie pamiętam i niech pan będzie dobry dla żony.

Zaś na drugi dzień, na dworcu, Ciąglewicz dał jej kwiaty i jedną tylko aluzję zrobił, jedną jedyną, zresztą całkiem dyskretną:—Widzi pani, jak dziś poprostu wyglądają te nasze tajemnicze szyny wczorajsze?... — To jedno prawda, że się w sztywnej formule żegnamy i tak samo w sztywnej witać się będziemy...

Szyny były mokre, ciął śnieg z deszczem, — ludzi na dworcu pełno, szarych, oberwanych, ubogich, jakby kto tobołogromny z gałganami rozsypał. Pociągi się myliły, zajeżdżały, odjeżdżały. Łączono je w długie tasiemce, to znów członkowano, bez żadnej widocznej potrzeby.

Maryśka z gromadką swych znajomych przesiadła się już kilka razy niepotrzebnie, błagając nadaremnie posłańców o pomoc. Ostatecznie dźwigali za nią toboły panowie, Ciąglewicz, Kałucki, Smolarski i profesor Ramkie, który się wziął nie wiedzieć skąd, a jechał w góry, tam gdzie Maryśka, bo pochodzili z tej samej miejscowości.

Przy każdej zmianie miejsca wywracał się z kufrem na stopniach wagonu. Bo deszcz padał. Ramkie miał szyby ćwi-

kiera zalane, rozpływały się też pod niemi jego oczy, jakby je miał od brwi aż po kości jarzmowe, spojone z szarych kropel. Nareszcie usadowili się wygodnie przy oknie. Okno zdobył Ciąglewicz swym dystyngowanym wyglądem. Nie mało się też przyczynił do tego Kałucki, który przecież był kapralem jednorocznym.

Maryśka bardzo mu była wdzięczna, że przyszedł, że przyszedł ze Stanisławą i że jej dopomógł. Najwięcej pomógł swym kochanym, wyśmienitym humorem. Chyba, prócz Zdzicha, nikt tak nie umiał ożywić towarzystwa, jak Kałucki. Z niczego sobie nic nie robił, wszystko potrafił wykpić...

Przeszkadzała mu tylko panna Stanisława, nie dając mówić na wietrze ze względu na głos.

— Żebyś ty wiedziała, gdzie już ten głos nie był wszędzie!?—Kałucki byłby jeszcze weselszy, tylko, że musiał się obzierać za oficerami, by go który „niezasalutowany“ nie minął.

Maryśka smętkiem odjazdu przejęta, patrzyła z wysoka na szczupłe grono odprowadzających ją znajomych, z jednego tylko szczęśliwa; — z jednego: że oto dzieli los Zdzicha, że jedzie tak, jak on,—w świat, na nieznane...

— Wędrówki narodów,—zagadywał Ciąglewicz, uśmiechając się pobłażliwie do stłoczonej przy wagonach biedy ludzkiej.

— A trzymaj się, trzymaj, Marysiu,—prosiła Janina z przepaską czerwonego krzyża na ramieniu. — Nie płacz teraz za nami, (bo się Maryśce łzy w oczach zbierały)—tylko dopiero aż nas tu zbombardują i dowiesz się, że kamień na kamieniu nie został.

— Tak, wtedy będzie pani miała czas, — chlupał śliną o dziąsła Smolarski. Przyniósł Maryśce na drogę różnych smakołyków i pled. Darował jej ten pled.

To było ładne w Smolarskim. Umiał tak, na równej drodze, ni z tego, ni z owego, jak pan postąpić.

Już dwie godziny pociąg gwizdał, jechał i ustawał. Ciąglewicz musiał już iść... Ucałował ręce Maryśki na pożegnanie z dużym „wyrazem“, a całą „prawdę“ czułości wywarł na Felusiu...

Janina też musiała już iść.

— Może nie wyjedziecie dzisiaj, — to byśmy się zobaczyły w teatrze!

Odchodząc ledwie kiwnęła głową Smolarskiemu, który kłaniał się głęboko.

Żeby się już skończyły te pożegnania... Maryśka tak chciała jechać! Feluś się niecierpliwił, Ramkie przy oknie oddychał jej na kark tak nieprzyjemnie.

Pociąg wciąż napełniał się ludźmi. Gdzie się to wszystko pomieści?... I ten smród karbolu!

Smolarski przetrzymał wszystkich. Jeszcze nawet przyniósł gorącej herbaty.

Maryśka powtarzała mu swe polecenia tak głośno, by stojąca obok Nastusia rozumiała, że on jest prawym opiekunem całego domu...

— Pamiętaj Nastusiu, gdyby przyszła jaka komisja i chcieli cię—

Nastusia nie bała się żadnej komisji.—Mnie nic nie zrobią proszę pani, co tam biednej słudze,—żeby się zawzięli, to nic nie zrobią.

Jej rumiane policzki błyszczały mimo deszczu i słoty, a ręce, ściągające na brzuchu czarną chustkę, zdawały się jeszcze bardziej czerwone.

— Nastusia da sobie radę,—pochlebiał jej Smolarski.

Zaśmiała się, nadstawiając się bokiem.

Nareszcie konduktorzy pozamykali wagony. Zaczęło się przeciągłe gwizdanie i wymachiwanie maszynkami od dziurkowania biletów.

Wtedy nagle Smolarski nasadził sobie kapelusz głęboko po same oczy i wskoczył do przedziału.

— Co pan robi, co pan robi?—zawołała Maryśka.

— Jadę. Nie zostanę tu... Nie mogę!

— Tak, jak pan stoi?—czy pan oszalał?!

— Tak, jak stoję... Ja też chcę wojny,—i nie mogę, tu nie mogę...

Maryśka wymachiwała z okna ku Nastusi, śmiejącej się do rozpuku ze Smolarskiego. Służąca jakiś czas szła wiernie za odchodzącym pociągiem.

Wyjechali z pod szklannego dachu. W wagonach zrobiło się jasno. Powoli ciągnąć jęły wtył zabudowania stacyjne. Jakiś maszynista z wędliną na kolanach, siedzący przy budce, jakieś domy, wagony salonowe i restauracyjne z ślepego toru, — jedno za drugim. Biały śnieg trzepotał w powietrzu tysiącem małych, wątłych skrzydełek.

— Panie, panie! — zawołała nagle Maryśka, gdy mijali zamkniętą kolejowymi ramkami ulicę,—tam zdaje się Adolf Karowski stoi—ten skaut?!! Niechże pan patrzy prędzej!

— Bo nie ma pozwolenia na dworzec, jako rosyjski poddany, — chlupnął Smolarski, — mówiłem mu wczoraj, że pani dziś...

Maryśka, podniósłszy także Felusia ku oknu, jęła wymachiwać chusteczką i wołać.

Adolf z widocznem naprężeniem wodził oczyma po wagonach. Nagle spostrzegł znajomych. Zerwał z głowy swój skautowski kapelusz i zaczął nim powiewać gwałtownie. Duże zielone rondo chwiało się wolno nad tłumem, jak ciężki, zmoczony liść...

IV.

Maryśka była szczęśliwa, że już przybywają na miejsce... Nareszcie pozbędzie się opieki Ramkiego,— tak czułej i tak nudnej... Pozbędzie się Smolarskiego też... Miała dosyć ich obu. Nawet miała dosyć Felusia...

Babka się teraz zajmie wnukiem... Może go tam babcia ponaucza jakich staromodnych głupstw, ale to się potem szybko odrobi.

Maryśka i takby dobrze nie wpływała na chłopca. Zanadto była przemęczona przejściami i podróżą, trwającą sześć dni i sześć nocy, pełną przeszkód, postojów nieskończonych i trudności... Pełną zapachu karbolu, prośb, błagań, legitymowań się przed różnymi urzędnikami...

Nikt się niczego nie wstydził w wagonie, wszyscy już mieli brudne ręce, czarne paznogcie i błyszczące od potu i bezsenności twarze.

Co chwilę zjawiali się żandarmi i nagle wszystko zawisłe było od tego, co się tam roi pod korkowym hełmem w głowie takiego feldfebla... Żadna władza nie brała pod uwagę, że Maryśka jest żoną oficera, walczącego gdzieś krwawo za ojczyznę.

Zmęczenie jazdą przybierało już tak zwierzęce rozmiary, niepokój, zdenerwowanie rosły do tego stopnia, że w końcu,—i to było wprost potworne,—obaj oni i Smolarski i Ramkie, zdawali się Maryśce bardzo miłymi towarzyszami... Trzeciego dnia rano z radością zobaczyła naprzeciw siebie

ich twarze, jedna trójkątną i szarą, drugą równą i okrągłą... zaś jeszcze później, którejś nocy miło jej już było, gdy Ramkie w poplątaniu ciasnoty, grzał jej łydki twardemi swemi nogami...

Specjalnie jego właśnie nie mogła znosić... Nie chciała sobie tego przypominać... Ale—zdaje się... Zdaje się, że pan Ramkie należał do pewnej zabawy jeszcze w dzieciństwie... Do pewnej zabawy za szkołą w altanie...

Już przybyli na miejsce!

Świat tu był zamknięty, niebo ściśnięte suchemi linjami szczytów lesistych. A w tym zamknięciu, wyżej i niżej, na zboczach, na stokach, w dolinie,—do samych śniegów przycupnięte dachy śpiczaste... Pilna wieża kościoła na tle sosnowego boru... Jakiś dwór, pawim wachlarzem okien roztoczony u końca aleji... Śniegi puste, niezmylone śladem stopy ludzkiej,—gdzie w lecie kołysze się niska fala górskiego owsa... Gdzie w lecie krwawi się koniczyna, — pochyłość mrożna... Wiatr ścisły przejmujący, — gdzie w lecie nozdrza się rozdymają od wonnych ziół...

Znać tu było niechlujną stopę wojny na każdym kroku...

Drogą, wijącą się pod górę, razem z Maryśką i całą jej wyprawą, doczepioną do podwód, wracających ze stacji walił ogromny i brudny sprzężaj wojenny. Wysokie wozy, dyszące sytnym zapachem chleba. Wory ziemniaków, błyszczących, jak nagniotki przez grube płótno... Drut kolczasty, zwinięty w bębny, niby olbrzymie obok siebie leżące jeże... Ospałe worki z mąką... Poskładane wysoko, jak siano, całe sterty sprasowanych mundurów, z których, niby badyle przedziwne, sterczały spłaszczone rękawy i nogawice... Pękate brzuchy kuchen polowych, jadące bez końca twarde torsy jaszczyków. Mosiężne armaty w skórzanych namordnikach, żółte wozy z pocztą, wielkie zaprzęgi trenu, lub małe górskie wózki, kryte białym płótnem rozpiętem na pałąkach...

Wszędzie, w góry, lasy, doliny pełzły sznury tych białych bud, podobnych zdaleka do szarych, ociężałych wszy...

W mroźnym powietrzu, poganianie, skrzyp drzewa, metaliczna chrypa kół, szeleszczących na śniegu (bo tu w górach zima już była)—zlewały się te wszystkie odgłosy w jeden monotonny trzask... Jakby powszędy, na górach, lasach, dolinach rozpięta była jakaś istność nieogarniona, której po-

woli, lecz ciągle bez wypoczynku wyciągają członki ze stawów,—że trzeszczy, trzeszczy, trzeszczy...

Gdy Feluś przestawał dręczyć ją uwagami, zapatrywała się Maryśka i siedzącej niewygodnie na koźle zdawało się, że jest wplątana w wędrówkę, obłąkaną zgoła...

Bowiem naprzeciw wozów, idących pod górę, szły z góry inne, pełne połamanych sprzętów, uszkodzonej broni i rannych żołnierzy...

Patrzyła łzawiącymi się z zimna oczyma, zawinięta w ten pled od Smolarskiego, z Felusiem na podołku... Obok, ścieżką szedł Smolarski w jesiennym paletku, z dużym szarym nosem, na piersi opuszczonym... Gdzieś wyrwał jakiś kij i podpierał się nim, jak apostoł. Parę kroków przed Smolarskim kroczył w „zakoconych“ spodniach i w berlińskim palcie granatowym Ramkie, niosący w białej rękawiczce wełnianej czarną trumienkę ze skrzypcami.

Patrząc na to wszystko, myślała Maryśka, że bardzo cierpi i że jednak, chociaż się o tem w biblji tak miło czyta i w kolendzie tak miło śpiewa, — to jednak ta ucieczka do Egiptu — nie było byle co... Tylko, że Maryśka nie jechała w obce strony przecież, a w swoje—rodzinne.

Do matki!

Czeka ją tam ciepły piec, pościel świeża, kawa w garnuszku i to, że myśleć już za nią będzie kto inny, choć przez kilka pierwszych dni...

Nie jechała w obce strony, a przecież z uczuciem tak dziwnej obcości... Bo ja pewno, jak zawsze, za szlachetna jestem,—złe zapominam, dobre tylko pamiętam...

Wyjechała stąd panną z „masą“ pieniędzy w woreczku zamszowym na piersiach, z kufrem prześcieradeł, obrusów i wszelakiej, — zobaczysz, nigdy niezdartej bielizny, — zeswą wyprawą... I z lekkim pośpiechem z którym nie równa się nic... W rozczulonych myślach, pełnych wdzięczności wypisywały się wówczas, w miarę mijania starej drogi, stanowcze postanowienia—: Że za parę lat z resztą dobytku po ś. p. ojcu, poczmistrzu, wyjedzie tak za nią jej matka do miasta, — „do mojej córki, pani wie jej mąż, ten profesor“...

Tymczasem... Tymczasem nie odszukać radości wśród dawnych, znów odnalezionych miejsc, niebo ołowiem legło nad górami, ślad się rozmiótł za mężem kochanym, — żona i córka wraca otulona darowanym pledem, w gromadzie

ciurów i żołnierzy... Jakiś pierwszy lepszy Ciąglewicz mało sobie zabawki z niej nie robił, dziecko, jeśli tak dalej, wnet ojca swego zapomni,—mieszkanie zostało na łasce boskiej—i taki jest cały dorobek...

Jedyną w tej chwili pociechę przynosił Maryśce widok ruchu i ludzi, zatrudnionych około wozów... Ach tak,—im jeszcze gorzej jest, niż jej,—jeszcze gorzej...

Woźnice szli za końmi, okryci w szmaty, lub w kożuchy, w kapeluszach górskich, lub w starych czapkach wojskowych, albo w fezach, w brunatnych cuhach, lub oberwanych sukmanach. Górale, lub huculi w kierpciach, które wysterczały ze szmat, na podobieństwo ogromnych obumarłych brodawek. Na wozach mieli tabliczki z napisami przynależności do wsi, czy gminy. Były tam nazwy z całej Galicji od krańców wschodnich, aż po Śląsk.

Pochyleni, krzyczeli wszyscy, prosto w wypięte zady, zrywających się bezsilnie pod górę koników.

Bokami drogi po dwóch, albo gęsiego maszerowała piechota.

Maryśka nigdy nie przypuszczała, jedząc wtedy na Rynku ciąstka francuskie z piechurami, że ich na takie trudy żegna i wyprawia. O,—tego wcale nie przypuszczała...

Szli, ciągnąc szyje ku przodowi z szarych, grubych kołnierzy, jak z chomąt...

Feluś ich odkrywał na każdym kroku, całe oddziały,—całe zastępy... To tu leżeli przy drodze w obu rowach, podobni do wielkich szarych klusków, jakimi się tuczy gęsi, to tam płynęli w dolince powolną strugą, niby sączący się żur,—to znów pod kościołkiem pełno ich było między bronią w kozły ustawioną.

Coś splątało się gdzieś na przodzie długiego łańcucha wozów. Jeden po drugim zatrzymywał się, a konie z chomątami aż na uszach, parły na boki... W nagle powstałej ciszy słychać było trzask biczysk o grzbiety końskie, świst rzemieni,—przekleństwa. Węzeł zaprzęgów nie rozplątywał się, a wikłał coraz bardziej, baty świszczały coraz gwałtowniej...

Ludzie zrazu walili tylko konie, a potem tłukli się wzajem po głowach. Naprzeciw, podobny do rozciągniętego smoka dygotał niecierpliwie długi rząd samochodów, dysząc białemi chmurami benzyny w chrapy koników.

Już na całej długości marszu rozlegały się wściekłe przekleństwa, koniki łomotał i tłukł, kto w boga wierzył...

Maryśką trząsł dreszcz zimna i przerażenia...

— A wie pani, — rzekł Ramkie, zbliżywszy się do wozu, — właściwie będą teraz nadzwyczajne czasy!... Patrzył, jak na białej, nakrapianej skórze mierzynków występują wciąż nowe pręgi uderzeń... — Czasy o tyle nadzwyczajne, że masę antyków wyjdzie na światło dzienne...

Spojrzała na niego, dzwoniąc zębami z obrzydzenia...

— Przecież, intonował profesor Ramkie głosem cieńkiej—fistułki—jak się wszystko zmiesza, to wypłynie jeszcze dużo pięknych rzeczy...

Wskazał na okolicę, usianą domkami...—Ludzie mają... Po strychach, po komodach, sami nawet nie wiedzą, co mają...

Któryż to już dzień, zamęczał ją swemi ideami o zbieraniu i skupywaniu starożytności! Maryśkę już w dołku zaczynało ściskać, gdy o tem mówił... Jeszcze ten chłop tak wali tu te konie!

Zeszła z kozła, proponując Ramkiemu zamianę? Teraz ona szła bokiem drogi za Smolarskim, a Ramkie w pled zawinięty, jechał na koźle z chłopcem i pudłem od skrzypiec na kolanach, podobny do rudej małpy...

Nareszcie przewalili przez ostatnią górę i już, już zaraz będą na miejscu!... Czas wielki, bo śnieg zaczął padać. Nawet niewiadomo kiedy, wszystko poczęło drżeć w ustawicznym przelocie małych, puszystych płateczków. Biały mrok rojem niezliczonym zakłębił się w dolinie, starły się ostre szczyty lasów, dachy chałup zaległa nieprzerwana kratka.

Teraz, nieomal u celu drogi cieszył Maryśkę ten śnieg. A kiedy pierwszy raz zimna biała gwiazdeczka dotknęła jej rzęs,—jakby ją ucałował w powieki wyglądany odpoczynek rodzinnych miejsc...

— Chodź Felusiu, chodź razem z mamą, rozgrzejesz się... Chciała, żeby się babci zaprezentował rumiany.—Chodź Felusiu, chodź, idziemy do babci...

Wraz z tymi słowami objęła Maryśkę dobra powaga życia i jego przemian i narastającego starszeństwa pokoleń w pośród tych samych wciąż miejsc... Nadzieja, idąca z tysiąc razy przebiegniętych drożyn i z tysiąc razy już przebytych chwil...

— Patrz Felusiu,— widzisz ten dach czerwony tam, nad wodą?! Tam mama, gdy była tak mała, jak ty, chodziła do szkoły... A babcia była wtedy taka, jak dziś mamusia...

— Ale babcia nie jest mamusią?

— Nie,—uspokoiła go Maryśka,—babcia jest babcią.

— Widzisz ten mostek,—będziemy iść tamtędy...

— Tak daleko,—westchnął, dając sobie obetrzeć zmarznięty nos.

— To już niedaleko synku,—niedaleko... Więc widzisz ten dach,—tam będziesz dziś spać u babci...

— A śnieg wciąż będzie padać?

Nie odpowiedziała mu, nie rozumiejąc związku jednego z drugiem, zajęta miłym tokiem wspomnień... Łuszczyły się one ze schylonej troski małych dachów, z krzywych ścieżyn, z kosmatych wierzb i rzutem lekkiego rumieńca wionęły przez szary śnieg na twarz Maryśki...

— A gdzie oni będą spać,—pytał Feluś, wskazując żołnierzy i woźniców.—Oni też muszą gdzieś spać?

— Bardzo słusznie,—zaskrzypiał z wozu Ramkie,—boję się, czy przypadkiem nie skorzystają z zaproszenia Felusia i nie zanocują u nas w miasteczku.—Wie pan, — zwrócił się do Smolarskiego, którego, jako bezdomnego na razie, traktowali oboje nieco protekcjonalnie,—nie mam dobrych przeczuć co do naszego noclegu...

Smolarski wzruszył ramionami... Nic go to nie obchodziło. Od czasu,—do czasu jeszcze opiekował się Maryśką, jako ostatnią pozostałością doczesnego swego życia... Oderwał się nareszcie od Janiny i niesie swą duszę w belferskim płaszczu, pod spinkami tombakowemi, które ślad czarny zostawiają w gorsie koszuli, — niesie swą duszą Ojczyźnie...

Wozy znów stanęły, bo trzeba było dać drogę patrolowi Huzarów, którzy całym szwadronem nadjechali z tyłu.

Przez ten czas wyjęła Maryśka z podróżnego wora swój kołnierz. Duży kołnierz z czarnego lisa, za którym zeszłego roku zlatali ze Zdzichem cały Kraków. Do kołnierza przypięta była czerwona, atłasowa krawatka Felusia i nowe włóczkowe rękawiczki.

Teraz, przed miasteczkiem, czyniła pośpiesznie Maryśka tę paradę, nie chcąc, by się matce wydali nadto ubogimi... Och nie, — jak długo nie było wojny, wszystko szło znakomicie!...

Właśnie związywała z powrotem swój wór, oparta o drążki podwody,—gdy z daleka, z daleka, wybuchły cztery uderzenia... Jakby się coś w niebie oberwało...

Maryśka zbladła, Ramkie błysnął szkłami cwikiera, Smolarski otworzył szeroko usta...

Ucichło... Przez parę sekund nic nie było słychać, tylko chrobotanie żelaznej konserwy, z której woźnica wybierał pazurami zmarzniętą siekaninę. Nagle znów niebo jęknęło sześć razy.

— To nic,—rzekł Smolarski,—strzelają...

— Ale, żeby tak do nas nie strzelili...

— Nie strzelają tam,—uspokajał Ramkiego Smolarski,—gdzie tyle wozów i trenów.

Ramkie z wdzięcznym szacunkiem spojrzał na szeregi biednych podwód...

— To baterje tak grzmocą, — dodał jeszcze Smolarski.

Ruszyli dalej, już do miasteczka. Pełno tu żołnierzy, wozów, blach z napisami, wiszącymi nad drogą, wielki samochód przed gminą... Gdzie tu kto kiedy widział samochód?!

W głównej uliczce pożegnała się Maryśka skwapliwie z Ramkiem, który mieszkał w sklepie, u ojca.

— Pani zobaczy, jak rozszerzyliśmy nasz interes, teraz to istny Hawełka!

Odetchnęła, gdy zniknął w czarnej sieni swego parterowego Hawełki, oklejonego pstrokatymi plakatami.

Na rynku, jak w jarmark, buda przy budzie i złote kręgi roztaraszonej słomy.

Serce jej tak biło ze wstydu!! Nie chciała, by ją ktoś zobaczył przy tych trenach!...

Apteka.—Mieszkanie doktora...—Sąd... W sądzie wszystkie szyby wybite, czy co?! Dobrze że śnieg pada, — ludzie siedzą w domach...

— Zaraz Felusiu, jeszcze trochę pod górkę... Zaraz będzie szkoła, a w szkole! — Panie Smolarski zapewne pozna pan budynek,—żeby pan tam zładował rzeczy...

Sama poszła naprzód z Felkiem...

Cóż to się działo w szkole?!...

Na brukowisku przed oknami stał stół... Ależ ich stół, z saloniku, politurowany na bronzowo! Obok trzy fotele, te czerwone pluszowe fotele, o nieugiętych, kamiennych pufach...

Płatki śniegu igrały lekko po błyszczącej politurze, na pluszowym pufie siedział Amroży, przygłup wiejski a zarazem tercjan szkolny i zawiązywał coś w rogoże, co mu się wciąż z rąk wymykało... Poodal, niby olbrzymie dynie białe, widniały dwa toboły bielizny, związane prześcieradłami... Zielony wazon ze sztucznym bukietem niebieskich gwoździków...—Na komodzie, szarzejącej nagim, pajęczyną obrośniętym tyłem, albumy skórzane, drukowany Chrystus na krzyżu, powiększony portret nieboszczyka ojca Matka Boska z sercem przebitem, na śnieg otwartem. Dokoła komody duże kubły, nawet beczka na wodę,—wszystko pełne drobnych, gospodarskich statków, upakowanych pośpiesznie.

Maryśce aż władzę w nogach odjęło... Gdzież będzie dzisiaj spać?! Gdzież położy Felusia?! Gdzież się podzieją i odpoczną?! I jakże to tak, te rzeczy, pełne przeszłości i szacunku stoją na widoku publicznym, śnieg sobie po nich buja, a na fotelu gościnnym siedzi bezkarnie ten szkolny przygłup z wolami?... .

Widać poznał Maryśkę, bo nagle uśmiechając się do niej siwemi szparami oczek, zaczął bełkotać, bić się w piersi, skubać za włosy i dyszeć radośnie... A potem zerwał się i upuszczając wielkie, w rogoże omatulone zawiniątko, z dzikim wrzaskiem skoczył do drzwi szkoły...

Maryśka nie wiedziała, co począć.., Nastraszony Feluś płakał przy niej, z tyłu drogą szły wozy. Słyszała, że Smolarski targuje się tam i zwala z trudem jej kufry...

Tymczasem zawiniątko, rzucone na ziemię rozwiązało się. Z rogoży wysunął się piękny jubileuszowy samowar miedziany, który jeszcze nieboszczyk ojciec dostał, idąc na pensję.

Teraz ta chluba zasługi, niby spiżowe popiersie jakiegoś domowego bóstwa, bez nóg rąk i głowy, toczyła się do rynsztoka.

— Łapże Felusiu,—łapże synku!

W drzwiach ukazała się matka, za nią kretyn w łachmanach, pokazujący palcami Maryśkę.

— Ach mamo, mamo!—krzyknęła z bezmierną ulgą.

Matka nie mogła odpowiedzieć, ręce mając zajęte. Pod pachami niosła książki do modlenia, z dłoni zaś sterczały jej maszynki do kawy, ze śpiczastemi nakrywkami, podobne do kapliczek przydrożnych.

— Ach—mamo, mamo,—cieszyła się Maryśka bez koń-

ca tym wołaniem, obejmując matkę przez wytarty aksamit odwiecznej czarnej bluzki.

Huczące w dali armaty dodawały przywitaniom patosu...

— Niechże mama powie, co to znaczy?... co to znaczy?!

— Co to znaczy?—odpowiedziała — matka. — To znaczy, że dla emerytowanej nauczycielki, — niemasz nigdzie miejsca, chociażby nią była stara, zasłużona Biernacka!... Wyrzuca się ją,—mówiła z namaszczeniem, całując Felusia,—wyrzuca się ją, moja córko na bruk,—na bruk... Tu będzie stał sztab,—dywizja .. O—o,—zwróciła się z zaciśniętemi pięściami ku górom, na których przewalały się echa armatnie i kurzył śnieg,—ciekawam, jakieby mieli wojsko, żeby się im całych pokoleń nie uczyło w tej szkole,—a teraz na bruk, na bruk!...

Maryśce ręce opadły.

— Na bruk,—na bruk...

Ambroży, stojący w progu szkoły, potwierdzał to wszystko wymownem wyciem...

— Mama nie wiedziała, że przyjeżdżam?... Nie dostała mama odemnie listu?..

Pani Biernacka wzruszyła godnie ramionami.—O twoim przyjeździe? -Wiem tylko, że mąż twój bardzo wygodnie się urządził i siedzi sobie w niewoli, — to wiem... Ale, że moja córka ma mi tu zjechać, w czasie...

— Co mama plecie, w jakim czasie?! co to wszystko znaczy?...

— To znaczy, — mówiła pani Biernacka, patrząc karzącymi oczyma na nieskończony rząd wozów, który z ujadaniem woźniców ciągnął ustawicznie pod górę,—że ja, która nigdy nic nikomu nie byłam winna, idę teraz na łaskę, wiesz? Poprostu na łaskę do żydów...

Wzięła z rąk Maryśki samowar, chcąc robić coś i poczynać, bo w bladych jej oczach jęły się ważyć chude łzy...

Zaś Maryśka widząc, że kilka ostatnich lat, tak znacznych dokonało zmian na twarzy matki, — nowe zmarszczki kolo nosa, bardziej sina zleżałość warg, nowe sznureczki na pomarszczonej szyji i włosy jeszcze dalej od skroni,—zaniepokoiła się gruntownie losem własnym i Felusia.

— Tośmy się dobrze wybrali, teraz mamie na kark... Jezus Marja!

Biernacka przytwierdzała, ściągając na grzbiecie chustkę.

Usiadły—„tak, tak pod gołym niebem“—na twardych

pluszowych pufach, w dalekim huku armat—„tak, tak za stołem, wygodnie“... Głuptak, gmerząc w kierpciu, rozwalił się na progu, Feluś stał przestraszony obok matki...

— No tak mamo,—więc dlaczego doktór, czy sędzia?.., Ktośkolwiek z tych ludzi?... W końcu cała inteligencja, jaka tu... Przecież niemożliwa rzecz, żeby nikt mamie nie chciał pomóc?...

Biernacka skłoniła się ceremonjalnie nieobecnym, kończąc za Maryśką: Cała inteligencja uciekła... Rozumiesz? Uciekli!—Nawet nikomu nie powiedzieli, kiedy... Gmina, urzędy,—wszystko... Nie byłam godna uciekać razem,—wargi jej rozwinęły się skośnym uśmiechem,—nie byłam godna uciekać razem z nimi wszystkimi...

Jakby na potwierdzenie tej obrazy, podniósł się w jej rękach bezgłowy tors samowara i energicznie wypiął ku domom miasteczka swą pierś błyszczącą...

— To my będziemy mamusiu tak mieszkać?...—Spytał Felek siny z zimna.

Maryśkę złość porwała... Popatrzyła na matkę, na śnieg, sypiący po meblach, na drogę, zawaloną wozami, na Smolarskiego, który szarpał się przy rynsztoku, zaprzężony w dwa kufry, na pokręconego głuptaka, strużującego w pustej szkole—i rozpłakała się...

— Tyle tylko zrobił dla twej matki pan burmistrz uciekając, że w jej szkole wyznaczył kwaterę dla komendy... A przecież komenda nie może dowierzać starej urzędniczce... A nuż to szpieg, utajony od lat czterdziestu!... I oto, masz mnie na bruku...

— No więc aptekarz,—mamo,—jęknęła Maryśka.

Pani Biernacka przyjęła pozę obelisku...

— Mama wcale o mnie nie myśli, a gdzież ja się teraz z dzieckiem podzieję?!..,

— Dopieroś przyjechała,—a już wiesz, że o tobie nie myślę,—zapłakała pani Biernacka.

Wówczas beknął też Feluś. Ledwo, ich Ambroży zakrzyczał swą bezsłowną perswazją.

Smolarski przywlókł był już rzeczy i przedstawiał się matce.

— Nasz przyjaciel, mamo,—rekomendowała Maryśka.

Pani Biernacka oddała mu podejrzliwe honory...

— Więc pan wie,—zwróciła się do niego Maryśka,—

nie mamy gdzie mieszkać... Jesteśmy na bruku, tak, jak stoimy z temi rzeczami...

— No tak,—Biernacka dopiero teraz rozwiązywała sytuację—idziemy na dziady, bo idziemy do żydów... Tylko teraz nie wiem, czy nas stary Ramkie przyjmie w tak dużej kompanji...

Maryśce ciężar spadł z piersi...—Nie stary, to młody, muszą nas przyjąć!

O to się już nie bała... Była sobie wdzięczna, że niczem nie zraziła sobie profesora Ramkiego w czasie drogi... Wrócił Maryśce humor, tak dalece, że zaraz jęła matce pomagać w wynoszeniu ostatków.

Ach,—smutne to było... W dwóch pokoikach, z których wyjechała w świat zostały zwitki kurzu na podłodze i po meblach, czyściejsze prostokąty na ścianie...

Feluś stał pod piecem, jeszcze ciepłym i odpędzał przymilającego się doń Ambrożego.

— Jak mamie ślicznie bluszcze puściły, przez tych parę lat, jakie ogromne!

— Tak, tak,—nie wiedziałem, moja droga, że to bluszcze grobowe... Może też teraz miałam czekać, aż mi wszystko rozkradną?!

Nawet nie znalazła chwili, by wnukiem się ucieszyć... Maryśkę przejmowało to głęboką goryczą... Więcej zajmował matkę Smolarski, niż Feluś... Inna rzecz, że Smolarski wytworzył dwuznaczną sytuację... Warjat... Oczywiście, matka wypytywała się skrzętnie, czy ustosunkowany, czy bogaty, czy kawaler? Czy jaki specjalny przyjaciel Zdzicha?...

— Nie Zdzicha, mamo, a nas obojga. — Odpowiedziała naumyślnie.

Zjawił się młody Ramkie, już umyty, energiczny, przedsiębiorczy.—Do nas prosimy, ojciec mnie przysyła, ojciec nic nie wiedział... Ojciec się bardzo cieszy... Czyśmy kiedy myśleli, pani Marjo, tam w Krakowie,—jedno od drugiego o tysiąc ścian! Przypadek zawsze w końcu swojaków sprzęgnie...

Zabrali się do układania rzeczy na mały wózek.

— Ja nie mogę,—przepraszał Ramkie,—nie mogę forsować rąk.—Nieszczęście wirtuoza, że nie może być usłużny dla dam w pewnych momentach...

Maryśka z humorem dźwigała sama, zadowolona, bardzo zadowolona, że nie będzie w gościnie u matki... Tak

jest, wojna wojną—ale to nie jest przyjęcie córki i wnuka, po tylu latach niewidzenia... Jednego słowa ciepłego... Uśmiechnęła się mile, gdy Ramkie mówił o swem wirtuozostwie. Komu mogła szkodzić ta kupka fałszywych nut, którą dwa razy do roku raczył publiczność Krakowa?...

— Patrz, Felusiu, mówiła, gdy przez śnieg padający pchali mały wózek stromą uliczką, wśród zmroku, przeciw prądowi trenów, wojskowych,—patrz i pamiętaj... Chciałeś być, więc masz, jesteś na wojnie...

Felusiowi bardzo się teraz podobała wojna. Ramkie wziął go na ręce, dał mu jednego cukierka do ust, a kilka do kieszeni...

Na końcu orszaku szła matka w aksamitnej, bojowej bluzce wszystkich swych lat pracy, w szkockiej chustce na grzbiecie, w wytrawnych, nieomal męskich trzewikach. Szła ogromnymi krokami, jakby wymijając wciąż te zakurzone kwadraty po łogi, które zostały po meblach w opuszczonym mieszkaniu.. Siwe kosmyki jej włosów mieszały się ze śniegiem, zaś pod zwisłemi powiekami paliło się światło przekąsu:—Ktoby tam starej pomogł... Przyjechała młoda i jakto za nią latają jeden i drugi..

— Mamo, jak ja lubię wojnę!—szeptał do Maryśki Feluś, gdy znaleźli się u Ramkiego. Bał się starego, ojca, w pierwszej chwili strasznie się bał... Stary żyd miał gruby głos, ogromną siwą brodę... Był w wysokich butach czarnych i w czarnym długim płaszczu... Ale miał sklepik i młody Ramkie nie bał się ojca wcale!

W tym sklepiku!!—Były tam szuflady, całe ściany szuflad, otwierających się, prawdziwych! W szufladach były małe drewniane chochelki, któremi można było sypać krupki białe, żółte, mąkę, albo liście pachnące... Stały tam worki, w które, — stary pan Ramkie pozwolił,—można było bić, a z worka biała chmura leciała.

Feluś biegał wciąż ze sklepu do tylnego pokoju,—a potem nie bał się i mimo zmroku biegał przez podwórze do małego domku w głębi, zwierzając się matce z nowych odkryć.

— Uważaj na dziecko,—upominała pani Biernacka,—zaziębi się..

— Ale, kiedy pan profesor,—w tym bowiem charakterze zawierał młody Ramkie bliższą znajomość z Felusiem,—zawsze mi daje płaszczyk! Pan profesor uważa na mnie!...

— Oni tam mają miljon miljon kawy, mamusiu! — Oni tam też mają moskali! Pełen słój Moskali! W sosie z pieprzem,—odgrażał się radośnie.—Mamo tam taki kot biały siedzi przy półmisku ze śledziami! — I wcale nic nie hapnie!— Mamo tam ludzie kupują! — Jużeśmy lampę w sklepie zaświecili! Żołnierze też kupują, wcale sobie sami nie biorą...

W końcu Maryśka zakazała mu wychodzić. Już nie można... Nie była przesądna, owszem, ostatnimi czasy, od tego Bejlisa pewna była, że to wszystko nieprawda z tą krwią i z temi macami,—ale...

Drażniła ją serdeczność, jaką okazywał Felusiowi młody Ramkie... Już tak go obejmował, mlaskał nad nim, tak klepał!... Nic mu nie mogła powiedzieć, bo tylko dzięki niemu ulokowali się jakoś... Ze starym Ramkiem napewnoby się nie dogadali tak prędko...

Dzięki młodemu stanęło na tem, że dostają pokój w domku w podwórzu. Pierwszą ubikację, to znaczy kuchnię zajmuje młody,—dalej są oni. Za nimi rodzaj komory, czy śpichrza, gdzie są złożone różne zapasy gospodarskie.

Niestety od tego domku w podwórzu niema innego wejścia, tylko przez kuchnię Ramkiego. Niewygodnie, ale przynajmniej bezpiecznie...

Po uregulowaniu tych zasadniczych kwestji dużo się jeszcze wyłaniało drobniejszych. Naprzykład z płaceniem... Maryśka chciała odrazu płacić, matka, że nie, za nic, to ma czas...

— Proszę cię, nie robią nam żadnej łaski... Boją się wojska, a już napewno boją się Rosjan i pogromu... Dlatego nas wzięli, katolików,—dla odstraszenia...

W związku z tym wyłoniła się kwestja świętych obrazów. Były dwa: Lakierowany Chrystus w koronie cierniowej i Matka Boska z czerwonym sercem, z którego szedł złoty dym, po przez rękojeście siedmiu mieczów.

Wieszać je, czy nie wieszać?... Powinno się wieszać, bo czas niebezpieczny... A tu znów dom nieposwięcany, nie mówiąc już o tem, że żydy gotowe się strefnić...

Wreszcie kwestja mebli... Młody Ramkie był bardzo czuły, uprzejmy, we wszystkiem szedł na rękę, ale jakoś w sprawie tych mebli nic nie chciał zrobić... Ostatecznie musiało stanąć na tem, że meble pani Biernackiej, na które z szacunkiem patrzyło tyle pokoleń, że te nieugięte pufy na których siedziało tyle inspektorów Rady Szkolnej,—zostały

w pokoju przy sklepie, gdzie właściwie był bilard i poprostu traktyjernia...

— Proszę cię, — szeptała pani Biernacka,— moje rzeczy są znane na całą okolicę, moja kochana... On doskonale wie o tem ten stary Ramkie. Czy to jaka tłuszcza wpadnie, czy wataha... Dość, by ktoś z tego tłumu zawołał,—to są meble starej Biernackiej—i będziesz widzieć! Jakby różdżką oliwną,— jak ręką odjął... Nie biorą oni nas znów tak za nic... Nie...

Maryśce jednak zdawało się, że nie o to idzie, a poprostu oto, iż młody Ramkie swoich antyków chować niema gdzie... Tyle tego miał że istotnie nie wiadomo, gdzie ustawiać. Wyraziła mu otwarcie swój podziw...

— Ktoby się spodziewał, że w takiej małej mieścinie, w takiej dziurze głuchej, w takim małym sklepiku...

Profesor Ramkie zaśmiał się wysoko: — Właśnie o to chodzi, żeby się tego nikt nie spodziewał! Tak powinno być, proszę pani, w świecie, w rzeczach i w ludziach... Są rzeczy, których się niema nikt spodziewać...

— Dlaczego pan to mówi? — Nie lubiła tych rozmów z nim, zawsze jakichś dwuznacznych i pretensjonalnych...

— Dlaczego mówię? — Wzruszył ramionami.—I te niespodzianki,—zagwizdał, jakgdyby samym czubkiem głowy,— są najprzyjemniejsze... Najprzyjemniejsze są rzeczy, których się nikt nie spodziewa...

— Ale, że pan ma gust, — taki nadzwyczajny gust!...— Nie znała się na tych starzyznach dokładnie, uważając naprzykład słowo palisander, raczej za określenie wytwornego zbytku, niż jakiegoś gatunku drzewa, — ale bądź co bądź, z samych wygięć bronzików i połysków, choćby tylko z szarej, umarłej wody luster,—poznać można było, że to rzeczy wartościowe...

— A to będzie pani gotowalka...—Pokazał jej drewniany stoliczek, cały jakby z bursztynu, wygięty, z brzuszkami, z bukiecikami ozdóbek przy zamkach. Pootwierał wszystkie szuflady. Z pustych skrytek tchnęło wilgotnym zapachem dawno odeszłych perfum, który dziwnie się mięszał z zakisłą wonią cebuli, rozprzestrzenionej po całym domu...

— Widzi pani,—taki sprzęcik stworzony jest dla kobiecych sekretów...

— Myśli pan?.. Ale będę musiała bardzo uważać na Felusia, jeszcze rozbije co...

Istotnie trudno się było ruszać między tymi mahoniami, lustrami, stołkami, tkaninami, skrzyniami...

— Skąd pan to wszystko wytrzasnął?

Ramkie wyczyniał różne wdzięczne fochy, kłaniał się, chrząkał, składał, niby żonkoś młody, wprowadzający oblubienicę do swych wspaniałych włości...—Skąd to wziąłem?—skiksował uprzejmie wysokim głosem fujarki—z pod ziemi... Zresztą później to pani opowiem,—dodał, patrząc tajemniczo.

Przy kolacji okazało się, że niema Smolarskiego. Zapewne nie chciał nikomu być ciężarem i poszedł gdzieś „na rozdobędy...“

— Może odszukać gdzie swoich nauczycieli?—pocieszał Maryśkę młody Ramkie.—przecież to ich organizator...

Pani Biernacka kiwała ponuro głową. — Będzie musiał długo szukać,—wszyscy pochowali się, jak susły...—Biernacka od czasu, gdy „noga jej wstąpiła w ten dom” zapatrywała się wogóle na wszystko wyniośle i sceptycznie... Była coprawda w gościnie—ale zarazem była w domu, w którym przed jedzeniem nie można było znaku krzyża położyć na piersiach...

— Takie rzeczy i takie sytuacje nie mijają, nie pozostawiając długich śladów w życiu jednostki...

Zresztą wszyscy byli nieco sztywni i naciągnięci... Stary Ramkie nie siedział przy stole, a pod piecem, grzebał w kieszeni z pieniędzmi i puszczał z cygara duże kłęby dymu, które potem długo kurzyły się z jego siwej brody. Na pierwszym miejscu siedział profesor Ramkie elegancko krając, jedząc i łykając, jakby to było na muzyce u Drobnera,—podczas, gdy pod stołem, między nogami plątały się wciąż domowe zwierzęta, pies, kot, dwie małe świnki i kury.

Maryśka jadła ochoczo mięszaninę z chlebem i herbatą, natomiast pani Biernacka przełykała z namaszczeniem gorzki chleb wygnania. Młody Ramkie zabawiał całe towarzystwo wykładem o antykach.

Zresztą objaśniał katalogami... W jednej kieszeni nosił zawsze przy sobie katalog szkieł polskich, — to jest fabryk polskiego szkła, proszę pani. W drugiej katalog szkła międzynarodowego.

— Niech pani patrzy,—stare marki... Saska, wiedeńska,—tu ma pani francuskie... A tu angielskie. Ale to można tylko przyjacielowi pokazać... Obcym się tego nie pokazuje... Na

tem wszystko polega! Ludzie nie wiedzą i sprzedają za bezcen... Zresztą najlepiej umieć te znaki na pamięć...

Za oknem mijały wciąż lampki furgonów.

Wio,—wio,—wio,—rozlegało się bezustannie. Jakby te małe latarki przesuwały się na podobieństwo duchów, wołających jękiem niesamowitej zachęty... To znów słychać było kraczące słowo obcej komendy, dźwięk ostróg i włóczonych po bruku szabel... A naraz milkło wszystko, wiatr rozpinał świszczące skrzydła i zmiatał nimi te hałasy, przejmując drżeniem długie łańcuszki ściennego zegara.

Maryśka przypuszczała, że gdy znajdą się z matką same, — wygadają się nareszcie, ulżą sobie jakoś, serca otworzą... Myślała, że matka wydrze jej Felusia, sama wszystko będzie chciała zrobic, nie da się tknąć wnuka...

Tymczasem,—nie...

Biernacka patrzyła obojętnie, jak chłopiec grymasi, podczas gdy mu się myje do łożka twarz i ręce. Dopiero, gdy go Maryśka zupełnie ułożyła,—rzekła stara:—Tak, ale mu nóżek nie umyłaś. A sama kazałaś specjalnie dla siebie wodę nastawiać.. „Oni“ nie mają teraz sługi, więc chyba ci ten skrzypek sam przyniesie...

Siedziały naprzeciw siebie, każda na swem łóżku,—milcząc...

Świeca przędła po pokoju drżące kręgi światła, z bronzów i złoceń spłoziły się iskierki, w starych lustrach drzemało niezrozumiałe oddalenie... Matka z córką niepatrzyły wzajem na siebie, a na wszystkie miejsca, leżące obok...

— Ależ się na tym świecie wyrabia!...—Słowa starej Biernackiej, niepodtrzymane przez córkę zapadły bezpowrotnie w łamiący się chrzęst wozów i wycie wichru...

— Teraz jeszcze trzeba,—podjęła znów Biernacka,—aby nas tu Rosjanie zagarnęli.. Ciekawym, kto wtedy będzie wypłacać pensje i emerytury?...

Tak, tak, tak,—huknęły rozgłośnie bukowe polana, przez powyginane drzwiczki pieca.

Maryśka patrzyła w ognisko, niechcąc spotkać spojrzeń matczynych...

— Cóż,—ja ostatecznie nie mogę mieć do niczego pretensji... Męża już pochowałam,—córkę już odchowałam... Tak dociągnąć tych parę lat, czy inaczej,—wszystko jedno... Zresztą jestem miejscowa, tutejsza,—znają mnie... Ale ty,—ty...

— Tem gorsze moje położenie mamo,—tem gorsze. Teraz nawet nie wiem, czy mam męża, czy go nie mam...

— Ja też tosamo mówię... — Pani Biernacka zdjęła już bluzkę. Wyciągając chude, żółte ramiona poprzez czarne szelki, na których trzymała się jej suknia, rzekła raz jeszcze:— Czy ja mówię co innego?...—Upiąwszy szare kosmyki włosów, spojrzała pytajaco na corkę.

— Więc o co mamie idzie?

— O co mi idzie?... Bo dziwne to wszystko razem, — bardzo dziwne.

Fałszywy wstyd nie pozwalał się Marysce rozdziewać. Nagość matki napełniała ją lękliwą bezradnością.

— Cóż mama widzi w tem wszystkiem tak dziwnego?— Równocześnie myślała Maryśka z oschłą, acz tryumfującą wdzięcznością o postępie ludzkości... Matka jej była z tej samej sfery, co i ona,—a jednak dziś już nie ślinią sobie kobiety końców warkoczy, nie rzucają włosów gdziebądź na podłogę, nie noszą takich majtek flanelowych, jak rury... Wolała się nie rozbierać, nie pokazywać ramion i piersi, żeby to jeszcze nie było rozumiane, jak jakieś wynoszenie się młodości nad starością...

— Widzę w tem to dziwnego,—rzekła pani Biernacka, chowając krogulcze palce swych stóp pod kołdrę,—że ostatecznie zostawił cię tak ten twój mąż, ten cały Miechowski... Zawsze mówiłam, że to wiatrem podszyty lekkkoduch...

Maryśce gniew uderzył do głowy: - Ten lekkoduch jest ojcem mego dziecka!

Biernacka wysunęła łagodnie z poduszek swą szarą jak pieprz głowę:—Czy ja dlatego, że mój nieboszczyk mąż jest twoim ojcem uważam go za świętego?! Możesz być pewna dużo jest łat na tej świętości i każdemu, kto wie o tem, chętnie to przyznam...

— Może mama, jak się mamie podoba,—a ja sobie nie życzę... Sama już za to odpowiadam...

— Aż nadto, aż nadto, jak widzę...

— No bo co?—Dlatego, że mogą tu przyjść Moskale,— to Żdzich jest winien?! On ma zato pokutować?!

— Moja droga,—uspakajała córkę Biernacka odwracając się do ściany, — ciebie tak Moskale nie straszą, bo ty dasz sobie radę. Jesteś młoda... Cóż?... Ale ze mną nie pojedzie kolega mego nieboszczyka męża, odprowadzać mnie z Krakowa aż tu!..

Maryśka nic już nato nie odpowiedziała... Zrobiło się jej tak jak wtedy, gdy dowiedziała się, że Ździcha wzięto do niewoli... Poprostu straciła poczucie czasu i miejsca... Dziwna uboga litość napełniła Maryśkę na widok siwego pasemka włosów matczynych, zakręconych wokoło, jak świński ogonek... Człowiek się jednak starzeje,—myślała, patrząc obojętnie na ów kosmyk—starzeje się, schnie, robi się mniejszy, węższy, aby się łatwiej zmieścić mógł w trumnie...

W piecu dogasało już. Trzeba zamknąć i zasunąć szyber.

Czuła, że pieką ją końce uszu, jakby palone żywym płomieniem. Przepadło w nim nagle, bezpowrotnie przepadło jej dzieciństwo... Jednego dnia, jednego wieczoru, u jakichś żydów... Wszystkie kromeczki chleba z masłem i z miodem, pierwszy sznurek koralików, pierwsza branzoletka srebrna z granacikami w kształcie serca, wszystkie godziny, przebawione na przyzbie szkoły w słońcu... Wszystkie ukrywane przez matkę sekrety... I ojciec, stary pan poczmistrz, którego chyba nie kochała matka?!...

Maryśka, zdmuchnąwszy świecę, jęła cichutko rozstawiać cieniutki parawan japoński, aby zasłonić łóżka. Bo pewno zaraz ten rudy przyniesie ciepłą wodę...

Potem usiadła przy dogasającem ognisku... W jego ostatnich ciężkich błyskach chwiał się bielony pokój, rozpalały się i krzepły rzeźbione na meblach bronzy, sztylet światła spłoził się po zimnych politurach...

A haftowane na błękitnym jedwabiu parawanu, dziwne, wymyślne bociany gasły i mierzchły coraz bardziej... Maryśka patrzyła na nie z bezmiernym smutkiem,—jakby z tymi bocianami odlatywała w mrok najdroższa wiara jej dzieciństwa...

Nareszcie Ramkie przyniósł tę wodę.

— Jaki romantyzm,—wskazał na pokój, śmiejąc się przez szkła ćwikiera.—Wrócił Smolarski, proszę pani,—nigdzie kulawego psa... Ale powiada, że Strzelcy tu walczą, gdzieś niedaleko... I Piłsudski... Ładny gips...

— Dlaczego—ładny gips, co to znaczy?...

Ramkie wskazał oczami na meble:—Rosjanie ich pobiją a potem będą się mścić na dobytku mieszkańców...

— Wstydź się pan!

Uśmiechnął się i schował swą szeleszczącą, jak wycior głowę, za drzwi.

Zaczęły się dnie nudne bardzo i uciążliwe. Ruszyć się

nie można było... Wszędzie wojsko... Huk armat kołysał się nad doliną ustawicznie. Nawet można było poznać stanowiska baterji. Zwłaszcza o zmroku...

Cztery, albo sześć, raz po raz rozkwitających brylantów—to baterja...

A gdy się wyszło tyłami domów na górkę, to widziało się stamtąd całą bitwę... Ani jednego człowieka, tylko tnące się nad górami noże złotych błysków...

I pożary!

Ramkie pokazywał Maryśce, które miejscowości się palą... Bowiem daleko, w sinych mgłach, leżało coraz więcej olbrzymich, ciemno-czerwonych rubinów pożogi...

Zdawały się oddychać, rozjaśniając się, lub ciemniejąc powoli...

Wogóle na widok tej broni, wojennego trudu, żmudy,— rozwiązywały się w Maryśce całe fale litości i pobłażania... Przebaczyła wszystkim i wszystkiemu... Tak długo, tak bez końca gonić i uganiać po tych górach nie będą przecież mogli... Albo się wystrzelają tej zimy wszyscy, — albo wymarzną... Czyli, że wojna musi się skończyć wcześniej... Zdzich wróci i wszystko wróci do dawnego.

Pewność ta napełniała ją przebaczeniem i bezkarną zalotnością. Przebaczyła matce, — a kokietowała bezwiednie każdy oddział i każdego żołnierza...

Zjawiały się ciągle nowe wojska, zapychając wszędobylskią obecnością całe miasto. W nocy kroku zrobić nie można było, żeby się niepotknąć o żołnierza. Na podłodze, na korytarzach, wszędzie spali, nawet na słomiankach, — jak zgonione psy... Gdy się przypadkiem weszło ze światłem do sieni,—aż litość brała... W czerwonych spodniach kłębili się na podłodze, jak krwawe liszki...

Czasem znów zjawiali się sami oficerowie. Siedzieli na pufach Biernackiej (ileto świata zobaczą takie pufy) grali w bilard, jakby nigdy nic, — a jutro podobno wszyscy zginęli...

Najczęściej, razem z Felusiem patrzyła przez okno ciemnej restauracji na ulicę i ruch wojenny. Feluś klękał na kamiennym pufie, Maryśka stawała obok chłopca, profesor Ramkie po drugiej stronie i patrzyli, co się dzieje.

Wojska było coraz więcej, coraz mocniej też huczały po górach armaty... Niebo się kołysało dużym śpiżowym ję-

klem, a niewyczerpany profesor Ramkie opowiadał najspokojniej o swych połowach na antyki, szkło i tkaniny.

— Niech pani to sobie sama pomyśli,—mówił, przysuwając ku niej swą płaską, piegowatą twarz, nakrytą rudym rozdziałkiem peruczki.—Jedno suche, ciepłe (tkanina), — drugie zimne i błyszczące (szkło)... Smak się od tego czuje w ustach... Te rzeczy, proszę pani, to jest życie po śmierci... Już niema tych ludzi, tych potrzeb, a na szkle jeszcze żyją... W taki sposób, to ja mam najładniejsze życie w ręku... Najdroższa, bo już miniona twarz kraju, jest w moim ręku... I ja, proszę pani, nie mam zniszczenia, ani kalectwa... Pierwsza zasada,— całe sztuki zbierać! One są całe a tak używane, tak użyte,— jakby panny... Żeby miłość robiły i pannami mimo to zostawały...

— Co pan wyplata?!

— Co ja plotę, — gwizdał usłużnie bokiem swych szerokich warg,—ja pani to zaraz pokażę!

Przyniósł to zawinięte w ściereczce...

— Ściereczka niepotrzebna, — o proszę!...—Z kolan ku jej oczom wyniósł ostrożnie w obu dłoniach kielich z purpurowego szkła. Palce profesora dotykały ścian kosztownego naczynia, jakby lepiąc się doń i lgnąc.

Szkło się, proszę pani, złotem farbuje, w złocie na purpurę wypala... Ono nie jest malowane! Ach—gdyby ono było malowane to tam, gdzie pęknie, byłyby rysy białe... To jest rzadki i stary okaz. Dlaczego stary?... — Obrócił kielich do góry nogami.—On stał!... Widzi pani,—on gdzieś długo stał!... Ma pani tu, na całej podstawie, tę pajęczynę,—takie niby zakurzone... To nie jest pajęczyna,—to jest używanie...

Gładził te miejsce delikatnie poduszką palca. Maryśka spojrzała mimowoli na tłuste, piegowate ręce profesora.

— Wie pani do czego to jest podobne? To jest podobne do granatu. Owoc granatu...—Przybliżył ku niej swą zwartą twarz, przedziurawioną zielonymi oczyma. — Owoc granatu, to są całe wieki, od greckich czasów... To Grecy dawali owoc granatu zwycięscy, który własną krwią okupił zwycięstwo...

Maryśka patrzyła mu na palce, w których obracał zimny, głucho połyskujący puhar, niby gęsty, purpurowy skrzep krwi...

— Tu go brano, za ten bok... To nawet nie jest wytar-

cie,—to szare miejsce, wie pani?... Trudno nawet nazwać wytarciem ten szary wianuszek,—to jest sam czas...

Nagle z szarego nieba z świstem przeraźliwym, jakby się wyrwała olbrzymia sprężyna... Rozległ się huk donośny, jękło całe powietrze...

— Co to jest?! Co to jest?!

Ze ścian posypał się tynk, szepcząc zdradliwie, waga w sklepie aż przysiadła na złotej podstawie, zadrżały wszystkie kłódki, przenikliwy rozgłos ogarnął, zda się, najcichsze złogi mąki i kaszy...

Feluś zakrył głowę ramionami... Ręce profesora drżały u brzegów, postawionego na oknie kielicha, jak białe, spłoszone zwierzątka... Zadudniały kroki i szarpnęły się drzwi ze sklepu do pokoju.

— Ernest, Ernest,—krzyczał stary Ramkie zatłuszczonym głosem,—alles geht zurück! Alles zurück!

— No to niech tato zamyka sklep!

Znów olbrzymie sprężyny wyrwały się z pomiędzy szarych chmur.

— Niech tato zamyka sklep! Tato jest głuchy?!...

Ulice zaległa grobowa cisza... Domy się, jakby jeszcze bliżej nachyliły ku sobie... A potem nagle zewsząd rozległo się kłapanie drzwi, jęk wrót, dygot żelaznych klamek przy okiennicach, długie piskliwe zgrzyty zamykanych schowków.

Nagle poleciały ulicami ciężkie buty i krzyk:—alarm,—alarm!!

Straszny, urywany rechot zrywał się na górach, przenikał znów, wybuchał... Całe niebo chybotało w falach armatniego huku, góry bełkotały szybkim dygotem karabinowej strzelaniny.

Ni stąd ni zowąd, zaraz za rzeczką wyleciała kupa ziemi w powietrze...

Ktoś pędził po ulicy z krzykiem, że krowę,—krowę zabiło u Fajkosza...

Maryśka stała w bramie, szczękając zębami, mimo, że była ubrana ciepło, już całkiem, jak do drogi... Spakowali coś, piąte przez dziesiąte... Zapowiedziała matce, by jej Feluś nie odstępywał na krok, Ramkiemu, by czuwał nad obojgiem i wyszła za bramę.

Za nią stary Ramkie. — Państwo możecie tu zostać... Gdzie teraz latać, poco guza szukać? Miejsca jest dosyć... I czy pani pozwoli, jeśliby Rosjany przyszły... O to jedno

jest obawa,—bo inaczej spalą... Żeby te święte obrazy państwa z okien wywiesić... Toby się już nie kupowało teraz nowych...

— Ależ owszem, naturalnie, dlaczegożby nie.

Stary Ramkie jednak nie zadowalniał się tem. Mimo że po dachach grzmociły kamienie, za każdym nowym wystrzałem podciągał tylko portki do góry i nudził Maryśkę, czy napewno, żeby z tem kłoputu nie było...

I znów, gdzieś tuż z boku, z górki wybuchły cztery iskry, wielkie, jak miecze. Dym rzadką szmatą leciał po dachach. Z chałup, z domków, ze stajen wybiegali żołnierze,—alarm krakał powszędy.

Nagle, z górki, z za szkoły wyrwał się orszak przedziwny... Pośrodkiem pędziły kościste potwory, z miedzianymi ryjami ku ziemi zwieszonymi... Dokoła rozbrykane konie, dygocące żelastwem, na nich artylerzyści w ciemnych kabatach, jak spalona ziemia, o twarzach bielszych, niż płótno, z przerażonymi oczyma w słup...

. Przewalili przez miasto kupą siepiącego się żelaza...

Wówczas, jak na dany znak napełniły się wojskiem wszystkie uliczki. Zgiełk koni, łamanie się wozów, świst batów, krzyki na alarm, przekleństwa skłębiły się razem, tworząc na małych placach nierozplątane wiry. Podwody dyrdały trzema rzędami, szorując piastą o ściany domów.

Gnał to wszystko i poganiał z tyłu coraz bliższy warkot strzelaniny, prującej się rozległym echem po szczytach. Nagle w ten miąższ ruchu, zlepionego w niekształtne gruzły i kupy wbiło się przemocą kilkunastu jeźdźców...

— Z drogi! Z drogi!!! Dywizja! Sztab!! Sztab!!!

Sadzili przez zbitą masę sprzężaju i ludzi, rysując się czarnemi sylwetami na tle sinego mroku... Skuleni w zakrzywionych kaskach byli podobni do spłoszonego, rozindyczonego nagle drobiu...

Wozy odpływały całą noc, aż do następnego południa. Na objad ucichło wszystko...

— Już niema nikogo,—śmiał się młody Ramkie, ani jednych, ani drugich...

— Ani jednych, ani drugich, — ani jednych, ani drugich,—radował się Feluś, dzwoniąc całym łańcuchem kłódek, zawieszonych na szyi.—On też zamykał wszystko, mia-

nowicie cały swój sklep, schowany w starej szufladzie pod łóżkiem.

Teraz nikogo niema, a niewiadomo, kiedy znów kto będzie... Stary Ramkie kazał synowi zapisać się do straży obywatelskiej.—Dostaniesz taśmę na rękaw i będziemy spokojni.

Maryśka poszła z profesorem. Chciała trochę odpocząć od tego domu, od matki wiecznie dąsającej się z wyżyn swojej „biernackości", od Felusia, którego młody Ramkie zamordowywał pieszczotami. Postanowiła mu teraz zwrócić na to uwagę.

— Kiedy nie mogę się powstrzymać,—usprawiedliwiał się.—Ja bardzo potrzebuję miłości i ciepła... Myśli pani, że mi wystarczają moje antyki i katalogi?

Opowiadał jej o miłości i cieple, jakiego potrzebuje.— Niech pani wie, że to są rzeczy, wobec których ustaje wszystko inne... Wtedy nikt nie czuje, że do jakiejś rasy należy,—albo coś takiego... Bo tu chodzi o wieczność...

Zadychał się, aż ustawał na drodze... Słowa mu się skręcały w rzadziutki ulepek, to znów płynęły skore, suche, miałkie, jak kaszka...

— Tu chodzi o wieczność i należy się pozbyć wszystkich, w tym kierunku, powiedziałbym psychicznych dolegliwości... Najlepiej czują to i rozumieją dzieci... Bo to nieprawda, żeby dzieci były nierozbudzone pod tym względem i niewinne...

— Tembardziej nie powinno się ich rozbudzać...

— Kiedy one, proszę pani same się rozbudzają... — Zatrzymał ją przy murze: Kto nas rozbudzał? — śmiał się wirując zielonymi oczyma nad rozpryskiem uśmiechniętych zmarszczków,—kto nas rozbudzał — a jednak byliśmy wcale nieźle rozbudzeni...

Maryśce robiło się gorąco... Czyżby rzeczywiście Ramkie pamiętał—i prowadził do tego wspomnienia?...

Szli pod górę, zgnojonemi aureolami okrągłe wydeptanej słomy. Mijali ich wciąż jacyś biedni ludzie, niosący przed sobą, niby wypuszczone kiszki i wnętrzności,— toboły i ciężkie węzły dobytku... Żydzi, chłopi, mężczyźni i kobiety,

— Przed kim uciekacie, przecież tam nikogo niema?!

— Aha,—niema!...

W aptece, gdzie się Ramkie zapisał do straży, też nie-

wiele wiedziano... Jakieś oddziały stoją, proszę państwa przed nami, ale jakie?...

Wyszedłszy z apteki pociągnęła Maryśka Ramkiego w stronę szkoły...—Przecież trzeba zobaczyć, jak tam mamę urządzili...

— Niewarto, niewarto,—machał Ramkie piegowatą ręką, ale dał się namówić...

Stanęli na górce. Widać stąd było całą okolicę, góry lasy, parę chudych przełazów między polami i czarny pośpiech strumyka wśród śniegów.

Nagle Ramkie chwycił ją za rękę —: Powieszą nas, uciekajmy!!

Z za węgła wychodził właśnie ku nim sztab oficerów. Prowadził ich najstarszy, w złotym kołnierzu Hełm piętrzył mu się nad czołem, jak złoty rzymski grzebień. Szyję miał pomarszczoną, słowa mu w niej groźnie gulgotały, ręce w wielkich rękawicach, jak na portrecie przodków... Granatowy kubrak, nogi w bufach czerwonych i w palonych butach.

Śnieg skrzypiał mu pod nogami uroczyście i miarowo... Już stanął o dwa kroki... Pachniało od niego fijołkami, cygarem i koniem...

— Mars,—przeleciało Maryśce przez myśl...

Położył jej rękę na ramieniu, — miał śliczne spinki w sztywnych mankietach, — zachrypiał szanownie, lewe kolano wypiął ostro, jak Mefistofeles w operze... Czoło jego rozłupało się na bruzdy, szyszak dziobem złocistym wysunął się naprzód, oczy zapłonęły iskrami...

Maryśka nie rozumiejąc, z pierwszego wzruszenia, zarumieniła się... Ramkie przetłomaczył usłużnie...

Ale dowódzca przeszył profesora takiem spojrzeniem, jakby Ramkie nie był sobą, lecz złem powietrzem... Poczem, jeszcze raz, z hrabskim trzaskiem spinki, rozkiwanej przy mankiecie spoczął swą dłonią na ramieniu bezbronnej i jeszcze raz łaskawie zapytał...

— Ależ oczywiście,—mowy o tem niema! keine Spion... Hiesige Bewohner...—Nawet obraziła się—: Polen...

Wówczas najstarszy skinieniem pochwalił kilka strzałów armatnich pędzących po niebie... Poczem, jakby rozwinął w ręku talje kart... Maryśka zapewne przyszła zobaczyć męstwo swych kompatryotów?... Ma ich tu pułkownik pod

swoją komendą, — owszem ma... Dobrze walczą, dzielne chłopcy, dobrze...

Poczem znów utkwił przebaczające spojrzenie w dal...

Nisko, naprzeciw wielkiego lasu leżały długim rzędem, jakby czerwone krople krwi. Byli to dragoni pana pułkownika.

Zaczęła się wkrótce strzelanina. Z czerwonych kropek, raz poraz śmigały złote promyki...

— Proszę,—chce pani zostać, bardzo mężnie... Proszę,— proszę...

Rozstawiono mu składane krzesełko, na którem usiadł z całą odpowiedzialnością — i po chwili patrzenia przez lornetkę klasnął w dłonie.

— Wereszczagin,—pomyślała Maryśka,—Napoleon pod Moskwą,—że też to człowiek własnymi oczyma ogląda!...

Ze świty wyskoczyło dwóch żołnierzy. Jeden trzymał długi, podobny po nowiutkiego naboju armatniego termos, drugiemu zwieszały się przez ręce, niby wędzone wymiona, troki, odpięte od siodła.

Robili wszystko bardzo sprawnie, jakby służenie do rytualnego obrzędu... Jeden nalewał ze szrapnela herbatę, drugi na mankiecie, by niedotykać ręką, podawał bułeczki z szynką.

Pułkownik poczęstował Maryśkę herbatą, sam zaś z dostojną cierpliwością jadł szynkę, której połyskliwe płaty darły się szybko w jego mocnych zębach.

Oficerowie przypatrywali się z posłusznem namaszczeniem jedzącemu.

Maryśkę opanowała radosna myśl, że jego spokój jest doprawdy gwarancją ocalenia ich wszystkich... Bóg wojny... Mimo huku wystrzałów cisza zdawała się panować w pobliżu pułkownika, a chrzęst jego szczęk i suchy trzask trącających o mankiety spinek, nabierał doniosłego znaczenia...

Na polach nic się nie zmieniało. Od czasu do czasu przylatywał żołnierz z meldunkiem. Aż gwizdało w nim od pośpiechu, strachu i gorliwości...

Pułkownik brał kartkę między długie fioletowe palce i czytał. Twarz mu nabiegała purpurą, a zmarszczone podgardle drgało szybko...

— Also dort sind schon Russen!.—Russen...—Rozmyślał, przeginając z boku na bok sztywne kolano.

Złote przecinki czerwonych kropek majaczyły wciąż na tejsamej linji.

Gdzież się Ramkie podział?...

Strzelanina wzmagała się. Nagle pułkownik strzepnął palcami.

Z dołu szedł jakiś inny żołnierz, nie austrjacki.

To był Strzelec!!

Wyprężył się. Rzemienie na nim stęknęły, ciężką bronzową łapą wyciągnął z mankieta kartkę i podał ją pułkownikowi.

Maryśka patrzyła na niego z niemym zachwytem... Na czapce miał orzełka, — ciężko spracowane ręce, wymięty płaszcz... Każdy jego ruch przypominał jej wszystkie obrazy, wszystkie książki, wszystkie wiersze, jakie kiedykolwiek w życiu czytała!...

Tymczasem pułkownik zaskrzeczał coś raz i drugi...

Wszyscy znaleźli się na koniach... Pod lasem czerwone krople zbiegły się w wielką plamę... Nagle zjawił się na drodze cały rój złotych grzebieni. Teraz te bliskie zbiegły się z tamtymi, pędząc z trzaskiem i hukiem ku miastu.

Maryśka stała jeszcze długo na górce. Nikogo nie było widać tylko na śniegu złote iskry wystrzałów. Jeśli ci odeszli, to pewno teraz tamci zostali... To już Polacy strzelają... Smutek ją ogarnął... Znów się dzieje to polskie powstanie... Dobrze, że przynajmniej Austrjacy nimi komenderują... Nie stanie się nic takiego, strasznie znowu szlachetnego, za coby potem ludzi wieszano hurtownie...

Zawróciła z powrotem.

Tu też wojsko! Z ulicy na plac, w bronzowym złocie ostatnich promieni słońca, szły naprzeciw niej przez staraszony śnieg, szare czwórki całej kolumny Strzelców. Wychodziły ściśnięte z pośród domów i parkanów.

A przed parkanami i na nich w głąb ulicy!!! Jakby stare płoty, w objawieniu radości, zakwitły ramionami, pełnymi owoców!...

Z obu stron, w rękach, w koszach, w fartuchach podawano żołnierzom chleb, sery i jabłka. Rzucano je w środek szyków, wpychano do kieszeni.

Maryśka biegła lekko przeciw kierunkowki czwórek, w pośród głośnych słów żołnierskiego humoru, mimo płaczu jakiejś czarnej starowiny... Naprzeciw szarego gzymsu

piechoty!! I białych orzełków, mimo koszów z jabłkami rumianymi, jak maluśkie, wesołe słońca radości...

W domu zastała Smolarskiego i Zatorskiego!... Gdyby nie jakieś resztki ceremonji rzuciłaby się im na szyje... Nie jako mężczyznom, ale, jako Polakom...

Trzymając jej ręce w chropawych, oliwkowych łapach, dziwnie pachnących (stajnią i poświęceniem, powiedziałby Ciąglewicz),—dziękował Zatorski Maryśce za żonę...

— A wie pani, co jest?! niech pani zgaduje...

— Ach prawda!—więc córka?!

— Otóż nie córka, a właśnie syn! Czwarty syn!... Będzie się nazywać Józef, na cześć Komendanta.

Opowiadali, razem ze Smolarskim, piąte przez dziesiąte, jak się zrobiło, że się odnaleźli...

Smolarski ich odnalazł! Wogóle Smolarski wywiadowca, patryotnik,—pierwsza klasa!...

Maryśka jednak nie chciała nic słuchać o nim, ucieszona Zatorskim...

— A broda panu wyrosła! Jakoś pan i młodziej wygląda i starzej zarazem... Gdzieśmy się to ostatni raz widzieli,—pamięta pan?!

— Ostatni raz?... Pod Czarnym Osłem!! Dobre były czasy!

— Taką nam pan wtedy mowę wygłosił nastrojową!... A pamięta pan Kałuckiego, Janinę?!

— Ma się rozumieć! A mój doktorat?!—Śmiał się Zatorski.—Miał też człowiek wtedy kłopoty,—miał! Dalekobym zajechał teraz z doktoratem!...

Prosiła, żeby się rozgościł. Rozgościłby się chyba, ale razem z kolegami...

— Naturalnie, że z kolegami!

— Więc mówi pan, że się odbyło szczęśliwie?... Żona nie cierpiała bardzo?...

Zatorski nie wiedział nawet, czy cierpiała bardzo... Nie miał na to czasu... Akurat przechodzili wtedy przez Kraków z pod Uliny... Ledwo się wyrwał! Ależ ten Kraków!! Stanęliśmy na tych plantach,—Łazarze zawszawione... Tu Wawel we mgle, tu z pośród uwiędłych krzaków Grażyna nad Litaworem miecz do kamiennej piersi przyciska i ku nam się zrywa... Pies kulawy oddziału nie przywita, z boku kilku andrusów, a zresztą brzuchate profesory chodzą dookoła, jak zawsze... Wyrwał się z oddziału na parę

godzin... Już trafił szczęśliwie na malca... Tyle, że go zdążył zobaczyć i ucałować żonę... Nic się tam znów tak złego nie dzieje... Pilnują dobrzy ludzie... Janina, Ciąglewicz, doktór, ten pani akuszer nie wziął ani centa,—Karowscy jacyś... Co to za jeden, młody skaut, syn powstańca?... Podobno cudów dokazywał... Mówił mi, że pani mu powierzyła los mojej rodziny, więc on jako skaut...

Maryśka zarumieniła się.

Potem zupełnie specjalnie, jako żołnierz polski, witał się Zatorski z Felusiem. Podnosił, podrzucał go do góry, że aż chłopcu obroża z kłódek głośno spadała na kark.

— Nie zapomnij za powrotem do Krakowa pozdrowić moich chłopców. Wiesz co im masz powiedzieć?...

Feluś nie wiedząc, zapakował wszystkie palce w dziurki od kłódek.

— Powiesz im,—widziałem waszego ojca w marszu...

Wypytywali go, co jeszcze słychać w Krakowie?

Nie wiedział i nie chciał wiedzieć... Moskalofile.. Ale nic go to nie obchodziło. —Głowy miasta zwróciły się już podobno do komendanta fortecy, by nas do Krakowa nie puszczano... Rannych też naszych na gwałt wylewają ze szpitali, że to niby Rosjanie przyjdą, a tu w mieście powstańcy...

Zerwał się dzwoniący swoją bojową uprzężą i zaczął pasa dociskać. - Słyszycie, jak klną?...

Rzeczywiście za oknami zwierały się przekleństwa, od których ziemiaby się winna rozstąpić.

— To już nasze tabory,—czas na mnie...

— A wierszy pan już nie pisze,—co?...

Buchnął się pięścią w piersi: Jak-em w Krakowie do domu leciał, to słowo pani daję pół dla żony i dziecka, a pół dla moich szpargałów... A jakże leżą tam przy biedaczce w ogromnej estymie.. Obwąchałem toto, te całe rymy, — ale już nie mam tamtej duszy. Wszy ją zjadły, czy wiatr przewiał?.. Do cna się wywietrzyła...

Obiecał, że zaraz przyjdzie z kolegami.

— Zdzich taksamo wojuje! — krzyknął Feluś na całe gardło, gdy drzwi się zatrzasły za Zatorskim.—Taksamo, taksamo! I ma karabin!—Feluś zamachnął się groźnie na cały pokój.

Teraz dopiero zaczęła Maryśka wypytywać Smolarskiego, gdzie się włóczył i podziewał?

— Ach,—nigdzie... Jakieś dwie wiadomości zaniósł, — w końcu nic takiego ..

Był strudzony i przemęczony... — To jest nad ludzkie siły... Święte, natchnione zezwierzęcenie... nie mógłby inaczej określić tego wszystkiego... Niech pani patrzy choćby na tego Zatorskiego... Trzeba być posłusznym, trzeba być zerem... Proszę, — Zatorski spełnia „święty“ obowiazek... Tymczasem to nieprawda!—jęczał sennie Smolarski.—Wcale nie trzeba, żeby tacy Zatorscy robili to, co zrobi pierwszy lepszy chłop... Rzeczywiście, po polsku,—kwiat inteligiencji,—hekatomba, — ostatni dukat, wydany z kieszeni nędzarza. Szaleństwo!... I to wszystko odbywa się w obliczu jakoby nieśmiertelnej zasługi... Tymczasem to nie prawda! Kto ją pamięta, kto ją liczy, tę zasługę!? Ach pani Marjo,—to ma być życie,—takie rozpychanie się w przestrzeni przez krew?! Za to ma być nam lepiej? „Zato“ mają wzrastać lepsze pokolenia?! „Zato“—gorsze nastaną...

Nie chciała tego wszystkiego słuchać... Wogóle, niech się jej dziś nikt nie sprzeciwia... Teraz jeszcze matka wyjeżdża z pretensjami...

— Wpuszczasz do siebie żołnierzy, — rozwalają mi się po łóżku, z pewnością zawszawieni...

W sklepie szaro aż było od mundurów, siedzieli też w restauracji na bilardzie, nieoszczędzając również pufów pani Biernackiej.

Pełno tu było wojaków u młodego Ramkiego w kuchni. Z hałasem zwalili z siebie ciężki gruz rynsztunku. Pachniało od nich kwaśnym zapachem rządowego sukna i żelaza.

Wszystko się pomyliło w domu z powodu tego najścia... Ambroży już niczego niedopatrzył, tylko radośnie się klepał płaskiemi dłońmi po twarzy i biodrach, kury biegały po kuchni... Zuchwały prosiak wszedł aż do pokoju i dmuchał mokrą różyczką ryja na stare mahonie, czeczotki i bronziki.

Ojciec Ramkie odbywał niezmiernie skomplikowane konszachty, w spiżarni za pokojem, wynosząc w słomianych opałkach chytrze mierzone ziarno...

W końcu zgodziła się pani Biernacka gotować kolację, — ale tylko dla szarż. Żołnierze odbierali ziemniaki, gmerząc ciemnemi, jak łupa, rękami w dużym dudniącym worku...

W pokoju u Maryśki jadła starszyzna, Zatorski i jeszcze dwóch jakichś sierżantów, z ważnymi pseudonimami.

Młody Ramkie, objektywnie, choć oczywiście z szacunkiem wypytywał o życie oddziału, o sposoby walki, o Piłsudskiego,—który ma się rozumieć, jest bohaterem,—ale społeczeństwo go jeszcze nie zna...

— Ja wam nato zaraz odpowiem,—zapalił się Zatorski. Przy ciepłym, tłustym jedzeniu, wśród ludzi, którzy pamiętali go z tych czasów artystycznych, gdy to się jeszcze gadało o smakowitych odrębnościach duszy,—miło mu było teraz znów zabłysnąć...

— Ja wam powiem!... Co to gadać Piłsudski?! Poco gadać?!... Weź pan honor, weź pan stary obyczaj polski... Dumę strasznego poniżenia i bezwzględną czystość nadziei... Ból... Wsadź pan to wszystko na konia... Niech panu całe Tatry we krwi zachodzą... Niech ku temu zachodowi w dzikim wichrze, szczytami, śpiewając, idzie nasza szara Brygada... Piłsudski, — przodem... Teraz pan dalej maszerujesz, a on patrzy na góry, oblane zgrozą światła i na pana, żołnierza,—któryś jest nic... Ktoryś jest szara miazga, proch na sandałach Ojczyzny... Kurz, z którego się po wojnie Ojczyzna jednym rzutem otrzęsie...

— Jedzcie, ojcze, jedzcie, — przerywał mu Smolarski, zielony ze wzruszenia.—Podtykał potrawę, głaszcząc Zatorskiego po długich czarnych włosach.

— I wie pan, co mnie boli?...

Profesor Ramkie wybałuszył niepojętnie szklane swe oczy.

— Boli mnie, że to się nigdy nie da napisać... Nastaną czasy, które już nie pojmą piękna naszej niedoli... Oczywiście, to jest dobrze... Po wojnie, pierwsza lepsza dziura polska będzie miała lepsze wojsko, niż teraz my wszyscy!... Będą się dumnie wstydzić naszych szmat i dziadostwa... I to jest dobrze...

— Taki sam, taki sam,—uśmiechał się czule Smolarski.— Możesz pan wojować, nie dojadać, nie dosypiać, już z pana nie zejdzie nigdy ta patyna duchowa...

— Co to znaczy, taki sam?!—oburzył się Zatorski.

— Jakbym siedziała w Czarnym Ośle‘—przytwierdziła Maryśka,—taksamo pan mówi, czuje... A pamiętacie,—Maryśce zdało się w tej chwili, że wszyscy muszą o tem pamiętać,—jak Zdzich dzielił wtedy części świata, kurczęta rozda-

jąc i kotlety?!... Czy kto myślał, że naprawdę tego dożyjemy?...

— Beznadziejne,—beznadziejne,—chlupał o dziąsła Smolarski, któremu to wszystko tak żywo przypomniało Janinę...

— No powiedz pan jeszcze, powiedzcie jeszcze,—uśmiechała się czule,—powiedz pan jeszcze,—słońce, krew i łzy... Jak wtedy o sztuce...

Zatorski odmachnął się ręką.—Cóż wy myślicie, że ja wam tu przedstawienie będę odgrywać?!... Wam się zdaje, że my co?! Statyści jacyś, czy jak?... Słońce, krew i łzy,— a płakałże to kotek, formuła, jak każda inna...

— Ale jedzcie panowie, jedzcie, — zapraszał Ramkie, podsuwając półmisek sierżantom.

— Racja, odpowiedział jeden z nich, grużliczy blondyn, o złotych, długich włosach.

Potem już nie gadali o „niczem takim",—tylko o antykach. Profesor Ramkie wychwalał je... Każda ta rzecz z każdym dniem nabiera wartości... Bo rówieśnice jej giną, umierają... A na niej samej stara blizna, z każdym dniem, nowej nabiera wartości... Robię też dobrze krajowi... Trzeba wiedzieć, gdzie lokować pieniądze, gdy teraźniejszość się chwieje...

Ramkie bowiem chciał wobec tych „obywateli" wykazać i swoją użyteczność dla kraju...

— Otóż ja wszystko,—dodał,—lokuję w przeszłości...— Zwrócił się do Maryśki z dwuznacznym uśmiechem: — W przeszłości drogutka pani, w przeszłości... Bo wszystko to jest, jak tkanina na tych samych krosnach...

Żołnierze słuchali go, przymykając mętne, senne oczy. Zatorski też zmagał się ze snem, choć gadanie Ramkiego sprawiało mu dużą przyjemność... Siadł blisko profesora, podparł głowę na szorstkich dłoniach, i słuchał, jakby pierwszy raz w życiu mówił mu ktoś o takich dziwach...

— Jest osnowa, proszę pana, podłużna i wątek, panie, który jest poprzeczny... I w tem cały sens... Jest osnowa proszę pana podłużna i wątek, panie, który jest poprzeczny... Są różne sploty i różne tkaniny i różne ściegi haftów... Płaski, rozłupany, płomienisty, chorągiewny, koszykowy... Ale w końcu zawsze tosamo.

Potem opowiadał o materjach ze wschodu,—o jedwabiu... O tej gładkiej, połyskliwej chmurze, która tak pięknie

wyszła na czyste niebo Orjentu, a potem, stamtąd, płynęła przez całe wieki, ślicznym obłokiem, drogą na Egipt, brzegami Morza Śródziemnego,—aż do nas...

Tak to wszystkich zajęło, że niewiadomo skąd, zaczęli mówić o kosztownych przedmiotach i sprzętach.

Młody Ramkie wyjaśnił wszystkim ową mądrość czasu, jaka pozostaje w tych rzeczach...

Ciąglewicz nazwałby to bezwzględnością rzeczy istniejących.—(Jednak mimo wszystko, dużo Maryśka skorzystała od niego pod względem wykształcenia)...

Zatorski upierał się, że nie, że sprzęty nie przeżywają człowieka... Umierają wraz z nim, bo razem z nim tracą swą duszę. — Dowodził tego, powołując się właśnie,—na te piękne okazy profesora Ramkiego, które tu stoją. Cóż dziś z nich?... Wszak nie usłużą dzisiejszej potrzebie! Tosamo ze wszystkiem! Dzisiaj ta czapka—to mój symbol, ten pas,—to moja służba.., Jeśli mnie jutro nie stanie...

Dziwnie miły był ten wieczór... Jeśli nawet taki Ramkie odtęchnął i takie historje z siebie powyciągał!...

Potem nawet grał im na skrzypcach coś Bacha, czego zupełnie nie rozumieli.

A przygarnięty Ambroży siedział w kuchni, między żołnierzami i świadczył honory okrutne, gmerząc łaskawie w kierpciu.

Poźno w noc się pokładli.

Maryśka zasypiała, przejęta smutkiem i tajonym gniewem, tajoną goryczą do Zdzicha... Że nie jest z nimi, — że z nimi nie poszedł... Pewno dla niej to zrobił... Aby mogła dostawać od rządu pensję...

Obudził ją jakiś trzask, hałas, charkotanie... Ranek, noc, sen, czy mgła?!

Podniosła się na łóżku. W szarym brzasku, między złoceniami, szamotał się stary Ramkie z panią Biernacką...

Maryśka nie mogła w pierwszej chwili zrozumieć o co im chodzi... Z ulicy leciały niezmiernie bliskie echa strzałów,—matka w spodnicy, bez bluzki broniła się, stary żyd wyrywał jej z rąk jakieś obrazy...

— Nie dam, nie dam!! Na tym samym domu, dobrze, na tym, gdzie mieszkam! Na sklepie nigdy!! Słyszysz? Nigdy!!..

Stary Ramkie odpowiadał coś poprzez charkotanie chrypy, które toczyło mu się z gardła.

— Nie dam! Żebyś wiedział, że nie dam!...

Obrazy wywijały się obojgu w rękach, rzekłyś sztywne skrzydła, któremi biło to jedno, to drugie... Między palcami przelatywał święty portret, głową do góry, lub w dół, a lakierowane, mieczami przebite serce przechodziło z rąk do rąk...

— Nic się nie stanie, — nic się nie stanie! — Piszczał w drzwiach profesor Ramkie, w bieliźnie.—Nie zabiera się tego przecież, tylko pożycza!... Nikt pani tego nie zje!

— Co się dzieje?!—krzyczała Maryśka, wciągając pod kołdrą spódnicę.

— Żebym ja jeszcze na jego sklep, na jego lichwę wywieszała mój obraz?!! Moje dzieci rodziły się pod tym obrazem, mąż skonał!...

— Naszego wojska już niema, w nocy poszli, biją się pod miastem—Rosjanie idą! Będzie pogrom!!—skrzeczał młody Ramkie.

— Na tym domu, gdzie mieszkam, nie na twym sklepie parszywym! Oddaj Żydzie!

— Ty sama oddaj! U mnie mieszkasz!... U mnie!! Będziesz się patrzeć, jak mnie rżną?!.

Pani Biernacka zamierzyła się, by wyciąć policzek.

Stary Ramkie śmiejąc się tryumfująco, zasłonił się obrazem.

— Stanę przed domem, krzyczała, całemu światu będę wołać: Tu mieszka stary lichwiarz, żyd parch!!

— Wont, wont od lichwiarza, — zachrypiał Ramkie i skoczył z obrazami na podwórze.

Za nim Biernacka, profesor w bieliźnie, Maryśka.

— Puszczaj, puszczaj! — Krzyczała Biernacka, — na tym domu zawieszaj, na którym mieszkam, na tym przybijaj!...— Szara jej twarz nabiegła purpurą. Bosa, z golymi ramionami, płaska, bez piersi, starczo wypięta, czepiała się wciąż Ramkiego który bił obrazem, niby toporem...

Kule świstały po opłotkach, trzaskając o drzewo i dzwoniąc po kamieniach...

— Mamo, mamo, niech mama odda, — wołała Maryśka, widząc, że Feluś bosy, w koszulce stoi na progu i płacze.

Splątanym węzłem rąk, nóg wrzasków i sprzeciwów wpadli do sieni. I tu,—wszyscy naraz ucichli...

Pod drzwiami, jak kupa łachmanów leżał żołnierz. Am-

broży nad nim wydziwiał, lepiąc w strwożonej gębie jakieś niedołężne słowo.

— Trup!—krzyknęła Maryśka.

Stary Ramkie razem z obrazami skoczył do sklepu.

Pochylili się nad leżącym. Był to Zatorski... Przewlekli go przez sień na podwórze. Był strasznie ciężki... Leciał przez ręce... I taki długi... Potem przez kuchnię wciągnęli do pokoju.

— Jak panu jest?—Spytała Maryśka, gdy otworzył oczy i utkwił w niej palące spojrzenie. — Jak panu jest?... Mój Boże,—to nic,—nic nie będzie...

— W brzuch... W brzuch... W brzuch...

Sprawiało wrażenie, że nie mówi tych słów, — a same wymykają mu się z ust, niby grube brzęczenie trzmiela...

— Wody panu dać,—może wody?...

Jego sine wargi rozsunęły się na zębach...—Nic,—nic... W brzuch... W brzuch...

Od tego niskiego beczenia cisza się zrobiła w izbie śmiertelna, mimo, że kanonada huczała na ulicy...

Zatorski próbował dźwignąć głowę.

Maryśka, aby mu dodać otuchy uśmiechnęła się, profesor Ramkie łypał oczyma na boki, a Ambroży sączył pociechę przez białe powieki, bokami aż robiąc z napływu miłosierdzia.

Szeroko rozwarte oczy Zatorskiego dziwiły się niepomiernie rozmaitym politurkom, gzymsom i wydętym brzuszkom starej komody... W zagasłym matowym lustrze spostrzegł widocznie całą scenę... Przyglądał się jej i podziwiał zdumionymi oczyma...

Potem odrzucił w tył głowę, zakurzona czarna broda odchyliła się ku górze.

— Boli,—czy bardzo boli?—pytała Maryśka.

Odetchnął głęboko poważnym, strudzonym tchnieniem. Przechyliwszy się nieco na bok, wyciągnął się wygodnie,— niby na długi sen... Wówczas z kieszeni od spodni zaczęły spadać głucho na podłogę małe, czerwone jabłka, niby wolno sączace się, ogromne, ciężkie krople...

— Cofnęliśmy się? — spytał po długiej chwili Zatorski. Dręczyła go myśl, że nie wie nic, co się dzieje z oddziałem, kto po nim obejmie służbę, którędy idą... Nie miał mapy, — jedna mapa na całą kompanję... Był najstarszym sierżantem w bataljonie... Pewno wnet zostałby podporucz-

nikiem... I czy kapral Dadak zagiął tam w bok ze swoją sekcją?... I żeby w trenie nie zaprzepaścili mu plecaka... Były tam spodnie nowe, wyfasowane niedawno.

Nie wiedział też, czy mu pasa nie skradli, gdy został trafiony... Byłto świetny, gruby pas, jeszcze strzelecki, ze szkoły w Stróżach... Gdzie się podziała czapka?! Był na niej orzełek strzelecki, szmelcowany jodyną, nad świecą, w Oleandrach... To się nie może zgubić...

— Moje rzeczy,—moje rzeczy...

Maryśka nie rozumiała, sądząc, że mu chodzi o jakieś utwory.

Dopiero Ambroży odgadł. Zdjął ze siebie płócienny chlebak Zatorskiego, wyciągnął z czeluści zanadrza pas, czapkę i położył obok rannego, głaszcząc, jakby to były żywe, zbiedzone stworzenia...

Zatorski, wyczuwszy palcami cały swój dobytek koło siebie, uspokoił się i opuścił głowę na poduszki.

Czuł wyraźnie dłonie Maryśki. Były żwinne i nie przyczyniały mu żadnego bólu.

Ach, jak dobrze być rannym!... Nareszcie starają się o człowieka...

Maryśka odwinęła Zatorskiemu bluzę, odrzuciła ciężką koszulę, zlaną krwią.

Profesor Ramkie bał się, że zemdleje... Trzymał miednicę z letnią wodą i powtarzał dla dodania sobie ducha o purpurze... Wydobywa się ją z muszli murex, ciemno-fijoletowa zowie się ater, fijołkowa, hyanthina, (tę noszą tylko cesarze) krwista zaś, zowie się oxiblatta.

Przestępując z nogi na nogę powtarzał szeptem,—krwista zaś oxiblatta, oxiblatta...

— Tu dostał...

Ramkie pochylił się wraz z Maryśką, lecz nie patrzył...

— Oxiblatta, oxiblatta, oxiblatta...

Nie wiedziała, co teraz robić z tem... Chudy, bronzowy brzuch rysował się miękko wśród szmat. Od dołu, niby puszysty brzeszczot szedł czarny klin włosów ku pępkowi... Na prawo od niego patrzyło krwawe oko rany...

Maryśka musi to dobrze zapamiętać... By opowiedzieć żonie... Żonie,—jaknajdokładniej...

Coś przemyła, coś chciała poprawić, coś zrobić z tym brzuchem,—a zupełnie nie wiedziała jak... Może matka, może matka,—stare kobiety mają wprawę...

Biernacka obandażowała rannego, a potem nic nie mówiąc, wróciła do pakowania swoich rzeczy...

— To trudno! Lżyć się nie dam!... Przyszli Rosjanie,— niech się dzieje wola boska... Może obcy lepiej człowieka uszanują, niż swoi... A wy tu sobie róbcie, — głowy sobie urywajcie...

— Albo, niech nam urwą, mamo,—co?!

— Przecież,—Biernacka dygnęła szyderczo, — przecież macie moje obrazy w oknach... Możesz być spokojna teraz, nic się twoim żydkom nie stanie...

— To nie o żydków, mamo, nie o żydków...

— Proszę,—warczała stara,—masz moje obrazy, zabrałaś mi wszystko...

Maryśka wstydziła się powiedzieć matce prawdę... Przez gardło jej to przejść nie mogło—: Że się matka boi tu pozostać ze względu na ukrywanego rannego...

— To nie o żydków, mamo, nie o żydków, — może właśnie o Polaków.

Zajdy już stały spakowane na wózku. Ambroży miał zaraz ciągnąć i wracać z powrotem do szkoły.

— Dwadzieścia lat stróżowałeś i włos ci z głowy nie spadł, to i teraz nic ci się nie stanie...

Pani Biernacka czekała na niego przy rzeczach, już w mantyli. Tymczasem przyszedł wcale nie ubrany. Tak, jak chodził na podomu, w parcianych portkach, w koszuli, bez kabatu... Przymierzał swą nalaną gębę do ręki pani Biernackiej, niby całował i prosił, tłómaczył...

Zaczęła krzyczeć... Tyla lat służysz, idjoto, teraz będziesz wojnę zaczynać?!

Ambroży znów swoje gadanie i z pocałunkiem do ręki... Na brzuch wciąż pokazywał, biadał i przeczył głową...

Zaczęła tupać na niego, czerwona z gniewu i oburzenia... A ten wciąż objaśnia a rajcuje!...

Nie mogła wytrzymać i jakże mu nie da porządnie po papie, po łbie, żeby głupca raz przynajmniej nauczyć moresu...

Płacząc, sukni się czepiając wlókł się za Biernacką do sieni. Słowo mu się jakieś ciągnęło w ustach długie, nieprzerwane...

Biernacka mu jeszcze u wrót po pysku nakładła. Sam gębę nadstawiał, płakał, pod kolana ze strasznym żalem obejmował... Ale, jak tylko wypchali wózek na ulicę, cofnął

się napowrót do sieni, i poleciał do rannego... I tutaj dopiero, na podłodze, z nosem kierpcia w obu dłoniach, wyłuszczył wielką, niepojętą historję...

— Dobrze dostałem, co?...—rzekł nagle głośno Zatorski.—Niepokoiło go, że strzały armatnie huczą daleko za miastem... Rosjanie... Teraz, albo powieszą, albo długa podróż rosyjskimi etapami... Coś go przejęło mocno... Chwycił jakąś rękę, ktora cicho, zdradziecko pchała mu się w głowy łóżka...

— Co jest?...

— Bo już są Rosjanie, — szeptał pochylony nad nim Smolarski—trzeba to chować...

— A gdzież meble?...—Ostatnią rzecz, jaką pamiętał, były te stare, stylowe meble. Gdzież nagle znikły?... Czy też śniło mu się przedtem...

— Przenieśliśmy pana do śpichrza, bo już Rosjanie!... Tu będzie zupełnie dobrze, — tylko trzeba schować te rzeczy...

Brał jedno po drugiem... Pas, czapkę, chlebak, notes z dziennikiem wszystkich zdarzeń.

— Nie, nie, nie,—zabeczał Zatorski.

— Ależ Rosjanie są już w mieście!...

Zatorski chciał zrazu bronić swych rzeczy... Całe życie żołnierskie, wszystkie marsze, wspomnienia, koledzy,—chwała!... Kiedyś, kiedyś powiewało to słowo nad nimi...

Nagle z niezmierną łatwością zrozumiał, że tak być musi... I już spokojnie patrzył, jak to wszystko leży na ręku Smolarskiego: Zabłocone buty komiśne, notes, czapka i długi pas, ważący się w powietrzu ciężką klamrą.

Oto całe jego żołnierstwo mieściło się w niemrawej garści i oto tak łatwo wyniesione zostało...

Zatorski doznał wielkiej ulgi... Znużone myśli nabrały przestworu i spokoju... Nie on oddał... Zabrano mu... Nie winien... Teraz może sobie myśleć, co mu się podoba... Ułoży wiersz...

Zagłębił się w to, przymierzając jakieś dwa słowa... Bo te dwa trzymał już tak mocno!... Pachniały one wszelkim powodzeniem...

Och tak, wytchnął sobie,—niedarmo się tak cierpi, ma się coś zato... Te wiersze będą zdumiewające...

Ledwo to zdążył pomyśleć, gdy te dwa słowa zmalały, zbladły, malusim, czarnym szkieletem zarysowały się na skraw-

ku papieru... A on chodził z tym papierkiem i jakoby przymierzał go do łąk, gór, do ludzi ruchliwych, wielkich skał, drzew szumiących i krzaków samotnych...

W cichej szarówce odbiegł go sen zupełnie... Z wyrazistą jasnością, jak zranżowane oddziały, wlokły mu się przed oczyma jego wiersze... Widział je na papierze swych zeszytów... Czuł, nieomal, martwy deseń liter... Śnieg zaczął padać na to wszystko, a z tego śniegu biegli ku niemu jego synowie, rozkładając ramiona!

Odbiło mu się nagle... Czuł, straszliwą mękę pragnienia... Teraz zrozumiał gdzie jest i co go otacza,--że umrze...

— Umrę za Ojczyznę i Wodza!! Dlatego leżę w śpiżarni,—dopowiedział sobie szeptem...

W tej chwili wybuchł w nim płomień niepohamowanego oburzenia,—krzywdy...

Cisnęli go już tak na śmietnik, do lamusa, do śpichlerza,—między worki żydowskiego magazynu... Przypomniało mu się niebieskie powietrze dzieciństwa... Złotemi literami wypisane przez safian czerwony:—Ali Baba... Worki złota... Worki turkusów i opali...

Przyglądał się z zażartą ciekawością białym żywotom worków, wieńczonych stożkami równo nasypanego ziarna... Kukurudza, fasola, bób, owies, groch...

Nazwy te przewracały się po głowie Zatorskiego zażywnym ciężarem niesłychanego zdrowia...

— Tak, tak, — teraz kończył u żyda w śpiżarni... Na oknie, ustawione w piramidę, widniały jakieś jabłka... Skąd,—skąd?... Rumiane ich policzki świeciły dotknięciem światła...

Po co?—gdzie on z tem chodził?...

Nie chciał tej myśli, żeby za Ojczyznę i Wodza... Liczył oczyma ziarnka, badał dekorację ścian, czepiał się sinego spojrzenia sęków... Naprzeciw na hakach, tuż nad okienkiem wisiały kiszki, kiełbasy i szynki.

Właśnie nie oderwie stamtąd spojrzenia, do samej śmierci będzie patrzeć między świńskie pośladki...

Zamknął oczy. Wolał słuchać. Obok mówili o gorączce... Że jakiś chłopak nie miał stolca... Nie kakał... Uzmysłowiła mu się nagle z namiętną energią straszna bezsilność słowa,—rodzice... To słowo odeszło już gdzieś w przestrzeń nadaremnie...

Przez małe szyby okienka leciał śnieg, jak pierze...

Zatorski życzył jaknajlepiej temu zimnemu przebiegowi

nicości, za którym gubiły się jego oczy, wśród płotów, ruder i przybudówek gospodarskich.

Cóż tu było widać?... Nic...

Płot... — Miłe drążki, powleczone zielonym futerkiem pleśni, zbite do kupy listwą poprzeczną... To jest płot...

Między słupkami płotu,—nie powietrze i nie nic,—a jakaś równość...

Drabina, przystawiona do otwartego strychu... Drabina... Małe jej stopnie stawały się przyczyną zlotu drobnych i nadziemskich zarazem nadziei...

Cóż może iść drabiną?... Po drabinie wznosi się i zstępuje nie powietrze,—lecz równość...

Łzy mu się zbierały w oczach na widok tych stopni coraz wyższych, coraz niższych, przedzielonych światami powietrza...

Obok drabiny złoty mur kilku sągów wielkich łupek drewnianych. Chciałby, żeby się o siebie potarły, żeby wydały głos... Zaś między łupkami, w szczelinach, bronzowoczarne powietrze...

Zapatrzone oczy Smolarskiego budowały od nieba do ziemi jakieś niesłychane porównanie tego wszystkiego, z wielkim sągiem drzewa, niby ogromnym plastrem miodu w pośrodku...

Doznawał uczucia nieopisanej skromności na myśl o tych sękach, drzazgach, słojach, włóknach... Że tak są niezauważone,—a tak własne...

Dalej za szopą, za zakamarkiem, przytulonym do jakiejś ściany... Cóż może być więcej, jak być niczem i być przytulonym do wszystkiego...

Dalej widać twarde piszczele górskich przełazów, chudą pierś pól srokatych i mostek nad strumykiem...

Ach,—jakżeby chciał teraz Zatorski być tym mostkiem, co leży rozpięty na cierpliwych kamieniach ponad jednym brzegiem a drugim... Uniżone drabiny jego istoty, czekałyby, kto po nich przejdzie,—bez potrzeby...

I był wodą, która się leje pod mostkiem, piętrzy na kamieniu i był powietrzem, które milczy wokół samotnych krzaków...

Obudził go wąski zrąb światła w drzwiach. Naprzeciw stał stary Ramkie w czarnych atłasach, nad któremi trzęsła się duża siwa broda... Krągłą opałką słomianą czerpał z wor-

ka... Cichy syk ziarna, machając przez powietrze złotym ogonem, sypał się z krążka na płachtę...

Zatorski przestraszył się... Co on mierzy?... Co on mierzy?...

Lecz znów wszystko zaciemniło się w straszliwem pragnieniu. Trwało ono całe godziny, — całe lata... Przez jego żar straszliwy i gorący przemawiali różni ludzie... Miechowska, Smolarski... Jakiś aptekarz, który wymachiwał ceratką od kompresu...

I znów, niby najwyższa waga męki, czy też miara pomsty ostatniej, zjawiał się stary żyd w atłasach. I znów w prostym zrębie światła od drzwi, przelewał z worka na płachtę całe strugi siwego złota, całe grzywy suchej, jasnej wody, ciężkiemi kroplami ziarna szeleszczące...

— Wyrzucić go, wyrzucić!! — krzyczał przerażony Zatorski. — Wyrzucić tego Boga Ojca! Wyrzucić!!!

Czuł na skroni i na policzkach ciepłe przytulne skrzydła...

Głaskano go... Obok siedziała Maryśka, w nogach stał Smolarski. Pogodnym, letnim przewiewem płynęły słowa pociechy...

— Wszystko jeszcze będzie dobrze,—mówiła Maryśka,— zobaczy pan. Niech się pan śmieje z siebie i z tego wszystkiego... Jest całkiem dobrze... To nie żaden Bóg Ojciec,— tylko stary Ramkie mierzy owies... Najprościej w świecie,— nasz stary lichwiarz... W mieście są Moskale, musi im dawać owsa, nato niema rady...

Uspokajała go, jak mogła. Położyli go tutaj, aby go schować... Im samym bardzo przykro, że w takich warunkach chorować musi, między tymi workami i kiełbasami,— on, żołnierz polski, obrońca, ale na wypadek jakiejś rewizji, czy kwaterunku...

— I wie pan?... Pochyliła się nad nim, dotykając nieomal pełną swą piersią jego czarnej brody, — i wie pan?! Nie było wymiotów! Będzie dobrze i panu i nam wszystkim... Jeszcze się będziemy śmiać... Jeszcze się znów znajdziemy, jeszcze razem wypijemy...

Myślała wczoraj nad tem, jakto ich rozmiotło po świecie a jednak odnajdują się... Mówili o tem ze Smolarskim i jakto wtedy Zatorski przemawiał... Jakgdyby coś przeczuwał... Teraz przypomniała to Zatorskiemu...

— Jeszcze sobie, proszę pana, zasiądziemy pod drzewami do jakichś kurcząt i pan i żona się nie spóźni i ja

będę i Zdzich i będzie Kałucki... I znów powie nam pan coś takiego wzniosłego, jak wtedy o altanie... O sztuce...

Przełknęła łzy... Wczoraj wieczór dowodził jej Smolarski, że widać Zatorski miał przeczucie wtedy...—Przecież mówił wtedy o książkach swych, — a potem o śmierci... Pamięta pani?... Żeby go gdzieś zaniosło między obcych ludzi, w nieznane strony... To będzie dowodem, że aż do śmierci toczyło się wartko koło życiowej energji... Coś w tym duchu,—proszę pani...

O altanie, — Maryśka chciała powoli ukołysać Zatorskiego,—o sztuce, o książkach...

Zatorski prosił potem Smolarskiego, aby nad nim nie bajdurzyła, jak kura.

— Dajcie mi spokój, — nic mnie to nie obchodzi... Nic a nic...—Machnął ręką i zapatrzył się w powałę.

Smolarski, nauczony doświadczeniem Maryśki, nie mówił mu już nic o żonie, ani o dzieciach, ani o rodzinie,—lecz delikatnie o rzeczach ogólnych... O Wodzu, o sprawie, o Polsce... Jaka ich przyszłość czeka... Jaka wielkość...

A po różnych długich obejściach i omówieniach przemknęło mu się w myślach czerwone słowo,—Sława, na tle szarych świętości Obowiązku...

Zatorski przymknął oczy i czknął rozgłośnie.

Smolarski przestraszył się... Czuł dobrze, że Zatorski czknął naumyślnie...

— Widzisz, — rzekł nagle Zatorski twardym sztywnym głosem,—jak się już raz te rzeczy zapłaci, drogo zapłaci, to już, nic, — nic nie obchodzą... To już się tego nie rozumie... Dajcie mi spokój...

Chodzili koło niego i zabiegali, obrażeni w swych umiłowaniach... Zatorski cieszył się, że już do niego nie mówią.

Słońce znów leżało na płocie, stara zielona pleśń kwitła tęczowym fijoletem, przełaz się zginał nad śniegiem kolanami starych sęków, mały mostek spoczywał cicho ponad wodą. Między złotemi łupkami sągów czerwienił się cień—jak gęsty rubin...

Albo gasło wszystko i szara mgła snuła się cierpliwie po widoku.

Przejazd ciężkich wozów dręczył Zatorskiego, — widać wojska przeszły, a teraz walą treny... Obok w izbie namnożyło się ludzi... Mógłby wiedzieć, dlaczego tak było, ale nie

chciało mu się myśleć. Zresztą drzwi były uchylone, widział, co robią.

Wstawali ze starych mebli. Siadali. Chodzili.

Obok niego siedział na ziemi, w kucki, szarowłosy Ambroży.

Od czasu do czasu tonął Zatorski strudzonym spojrzeniem w jego bezmyślnych oczach. Głuptak czochrał się po piersiach, albo wpatrywał w rannego, głowę miłosiernie w bok przechyliwszy,—jak na święty obraz... Czasem chciał coś gadać. Wówczas wywracało mu się w niezdarnych wargach jakieś słowo rozciągnięte na godzinę... A pachniało od Ambrożego otrębami i stajnią...

Zatorski, z nieopisaną przyjemnością chłonął ten zapach...

Ogarniała go zazdrość na widok nieruchomych złogów twarzy głuptaka... Gdy wyzdrowieje,—będzie chodzić w takich kierpciach z rękami unurzanemi w gnoju... Będzie się tak czochrać na słońcu... I nic więcej... Nic więcej...

Minęły jakieś godziny,—jakieś czasy... Jeszcze coś przeszło... Po spichrzu dreptał pies, słychać też było świeży wiaterek mokrego ryja świnki. I żywe uderzenia rogowych racic o podłogę... Od czasu do czasu wracał Bóg Ojciec w czarnym jedwabnym chałacie, z siwą brodą... I słomianą swą aureolą, tak podobną do chłopskiej opałeczki, mierzył i rzucał w nicość strumień złotego, ziarnem syczącego czasu...

Wtedy Zatorski, skłaniając twarz na szorstkie ręce głuptaka, płakał piekącemi łzami gorączki.

— Tak bracie, tak bracie,—tak...

Ambroży przytwierdzał cierpliwie, podkładał ręce pod głowę rannego i opowiadał, co się dzieje teraz...

Bo chleb piekli w kuchni... Widział wszystko wybornie przez otwarte drzwi... Spalone drzewo śmiało się krwawym ząbkiem żaru, z pieca tchnął zapach przejmujący i głęboki, że oczy się zamykały przed ciężarem żytniej słodyczy...

Ambroży radził koniecznie patrzeć Zatorskiemu, jak chleb będą przenosić... To będzie widać przez uchylone drzwi...

Poruszyły się tam w głębi omączone kobiety. Rękami, obnażonemi po łokcie dzieliły miękki, wydęty żywot ciasta na mniejsze części.

Z jednego robiło się dwa... Z dwóch cztery... Z czterech pewno ośm... Chleby, chleby, chleby...

Między kuchnią zaś a spichrzem siedział Feluś na na-

czyniu... Niby frywolny anioł złotowłosy na porcelanowej kuli świata w rokokowym pokoju...

Ach,—Zatorski miał ważny interes do tego chłopca. Że ojciec ich w marszu... Że ojciec ich w marszu...

Objęła go zimna chmura, z której raz jeszcze ocknął się przebudzony chłodem straszliwym... Dokoła pierzchły ciemne, wirujące myśli, wpadając między worki, szynki, kiełbasy i wagi, z łopotem skrzydeł...

— A sio, a sio,—a sio,—wiał mróz za niemi... Z odmętów tego mrozu wśród szelestu piór, wśród ostatnich, drżących kłębków spłoszonego cienia doniosło się aż tu, do uszu Zatorskiego srogie wołanie Jehowy:—Wygonić, wygonić te kury!...

Stary Ramkie rzucił za niemi opałkę i wyszedł z owsem do kuchni...

— Trzeba tam patrzeć za tym chorym, — pospali się obaj z Ambrożym... Jeszcze się co złego przytrafi...

Zaraz przybiegli do łoża Zatorskiego, — który wymiotował...

Obrządzili go, jak mogli... A potem siedli stroskaną gromadą w cieniu... Zatorski kłapał zębami z zimna... Oczy mu zaszły, zamgliły się... A potem, jedna za drugą, biły na twarz czerwone zorze wielkiej, ostatniej gorączki...

Siedzieli tak, niewiadomo, jak długo... Wiatr targał tłusty płomień lampy, ciężkie wozy rzęziły na kamieniach gościńca, to znów cichło—i słychać było dreptanie całego domu...

Maryśka popłakiwała,—że jednak nie zawezwano do niego księdza—możeby chciał, Smolarski patrzył spokojnie na twarz Zatorskiego.

Więc oto tak, oto tak...—I nic więcej nie umiał pomyśleć... A potem odpoczywał wzrokiem w uchylonych drzwiach... Widać było przy piecu dwie baby w kieckach zamaszystych, krzątające się koło wypieku chleba. Kuchnia grążyła się w złotym przydymionym świetle, jak stary obraz...

Smolarski wstał, wyminął ostrożnie kilka worków, wziął z okna tych parę czerwonych jabłuszek i położył obok Zatorskiego...

— Widzi pani,—rzekł, układając je po obu stronach,— niechże sobie to zabierze do grobu, biedny syn marnotrawny... Tak zginąć!... Syn marnotrawny... I nato, żeby tych głupich opłotków bronić, trzeba, aby tak zdolny człowiek...

— Niech pan już nie mówi,—prosiła Maryśka,—niech pan nie mówi...

— Ale w tem jest przyszłość,—Smolarski starał się uśmiechnąć.—Przyszłość jest w tem, że właśnie tak poprostu zginął... Nie wiemy nawet jaka, my dziś jeszcze nie wiemy jaka, ale właśnie, że tak poprostu,—w tym jest wielka przyszłość...

— Niech pan nie mówi, niech pan już nic nie mówi,— prosiła Maryśka...

Trup patrzył na nich skośnem pobłażaniem niedomkniętych źrenic.

A kiedy Smolarski rzekł jeszcze, rzeczywiście, jakby na złość—Ojczyzna to wielka rzecz,—pomyślała Maryśka o Zatorskiej i o dzieciach...

Dobrze, że Zdzich już tak zanadto, tak strasznie nie kochał znów tej Ojczyzny...

— Trzeba zakryć mu twarz,—rzekła,—a potem zrobi pan coś z wójtem, profesorze... Żeby jakoś cicho...

Ramkie przyniósł czystego muślinu. Zakryli twarz.

Należy pobyć przy zmarłym... Maryśka usiadła naprzeciwko... W tępej zadumie, to znów w bezmyślności płynęły jej chwile, zajęte wszystkiem i niczem... Jak teraz ułoży sobie życie z matką... Że straciła tę ostatnią przystań... Nawet domu rodzicielskiego nie ma... Także o przeznaczeniu... I że przy zmarłym sobie posiedzi,—zrobi to choćby dla Zatorskiej... I, że niczego nie warto kochać... Zatorski umarł za Ojczyznę...

Nagle, w tym czadzie mętnych refleksji i wspominań przywiązał jej oczy ten płatek muślinu... Miała taki fartuszek... Taki sam fartuszek,—w dzieciństwie... Takim muślinem ona też już raz miała zakrytą twarz...

Pamiętała o tem pod Czarnym Osłem, gdy Zatorski mówił o altanie... Teraz wspomnienie to, dziwną grą przeciwstawień, przesunęło się raz jeszcze... Miała wtedy parę lat... Z jakimiś chłopcami pobiegli do ogrodu za szkołę... Żeby się wzajem oglądać... Chłopcy ją położyli na ławeczce— i oglądali... Coś ruszali... A jeden,—i to był on, Ramkie,— wstydził się, nie chciał, mimo, że go ciągnęli... Wtedy pod dusznym muślinem fartucha zaczęła płakać ze wstydu...

Teraz nie chciała tego za nic na świecie domyśleć do końca...

Przez muślin przeglądała czarnym prostokątem broda Zatorskiego i żółte zarysy zgorzkniałej twarzy...

Musiało już być bardzo późno, w domu wszystko ucichło... Ciężkie wozy toczyły się po bruku, wicher rzęził w kominie... Maryśka nie wiedziała już, czy śni, czy marzy?... Wyobraziła sobie nagle, pyszne letnie słońce, wóz pełen worków mąki, zaprzężony w rosłe czarne konie i chłopaka, któremu na kozioł wino podawała...

Nisko, przy łóżku, na aksamitnej poduszce siedział Ramkie, wspierając głowę na jej kolanach.

Mimowoli gładziła ręką rude, nieżywe, włosy peruki... Suche pasma przewijały się jej w palcach, jak długa sierść...

Tak, — to on, ten żydek, to Ramkie nie chciał wtedy... To on... Ciemne rumieńce oblały jej policzki... Skryte łzy zawisły w oczach... Odsunęła jego głowę dość mocno,—jak się odsuwa głowę nazbyt spoufalonego psa...

— Już musi być bardzo późno, — rzekł potulnie profesor...

Maryśka wstała.

Ramkie patrzył na nią z dołu, z pod rudego kłaczka peruki, zielonymi oczyma, drgającymi niepewnie, w pośród okrągłych, jak małe pośladeczki, policzków...

— Napiłabym się herbaty...

Wyszedł na palcach...

Przeciągnęła zdrętwiałe ramiona, odwróciwszy głowę, nie chcąc już patrzeć na sztywny, ciemny uśmiech z pod muślinu...

V.

Oto Maryśka siedzi już w dorożce... Zaraz do drugiego fiakra przyniosą za nią resztą rzeczy... I wraca, naprawdę wraca do swego domu!...

Nareszcie wyszli z tego pieca nieszczęść,—bo to wszystko od czasu wyjazdu,—było jednym nieszczęściem!... Bez dachu nad głową, bez własnego kąta, każdy krok podejrzany, i matka, matka,—codzień, ciągle!...

Ale wszystko jedno,—ma nareszcie swój kochany Kraków z powrotem...

Dorożki pogorszyły się znacznie przez ten czas, — pomyślała, gdy nareszcie ruszyli. Co też grają w teatrze, co się dzieje w mieście?...—Zobaczyła z radością stary parkan, zaklejony pstrokatą smugą ogłoszeń, po której chodziły duże cienie zwieszonych nisko gałęzi.

Dorożka wyjechała już na asfalt gościńca przy plantach. Maryśce aż nozdrza rozdęło z wdzięcznej radości... Świat, świat, wielki świat,—gładko, cicho, wygodnie...

— Nie śpijże, Felusiu, wracamy do domu!—Teraz dopiero, gdy dworzec, niby ogromna pieczęć, zamykająca ten czas wygnania, został poza nią, przypomniała sobie, że z pewnością innych żon oczekują na dworcu jacyś mężowie...

Mnie nikt... I nie tylko, że nikt nie czeka, ale jeśli o tem nie pamiętam, to już się nazywa, że jestem niewierna...

Słońce pełnymi promieniami przenikało zieleń plant. Widać było w głębi bombastyczne kształty teatru i czerwone wieże starych murów.

Jechali cicho, równiutko. Maryśka poprawiwszy woalkę

patrzyła na chodnik,—może zobaczy odrazu kogo znajomego?!

Wtedy ten znajomy, —(kto?) spostrzegłszy ją, radośnie podbiegnie do dorożki... Woźnica zatrzyma konia... Ten znajomy, oparłszy rękę na koźle, mówiłby do niej, podziwiał, że, — tak a tak, sama daje sobie rady i jeszcze z synkiem (jak się masz zuchu!)... Onaby zaś patrzyła z góry, przechylona, opalona,—od czego jej szare oczy nabierają głębi...

Poprostu,—jak osoba dystyngowana i zamożna...

Akurat stróż Hałas polewał przed domem ulicę.

— Jak się macie, ojcze! Nie myślałam, że się jeszcze kiedy zobaczymy!

Przytaknął, kłaniając się, niewiadomo, czem bardziej,— czapką, czy wężem gumowym.

W sieni ogarnęła Maryśkę wesołość. Wszystko to w końcu, jak przygoda, — wyjazdy, przyjazdy, tu, tam, ówdzie... A czerwone szybki w korytarzu, po dawnemu,—jedna wybita, druga krzywo wprawiona!...

Zasępiła się dopiero, dzwoniąc do drzwi swego mieszkania... Tak, jakby wcale nie było ani tej wojny, ani tego roku, ani tylu zdarzeń okropnych... Metalowa blaszka „Zdzisław Miechowski“ wisiała sobie najspokojniej...

Stróż nie chciał wstawiać rzeczy do mieszkania. Ruszał plecami, czochrał się: — To już wielmożna pani tu zaraz co da, — taki zabłocony od tego polewania, nie będę wchodził.

Zawsze był niedołęgą ten stary Hałas.

Otwarła Maryśce służąca, ale nie Nastusia, tylko jakiś obcy mały grzmot, z czerwonymi pryszczami na śliskim czole i w białym fartuchu,—proszę, proszę...

— Pani niema, ale się pani państwa spodziewała.

Maryśka nic nie mogła zrozumieć... Czy Nastusia podnajęła komu mieszkanie? Sama zaś wcale tu nie przebywa?...

— A jakże ci na imię? — zapytała stanowczo jakby to mogło wyjaśnić wszystkie wątpliwości...

— Zosia, proszę pani,—syknął grzmot, uprzejmym ciurkiem wąskich warg.

Bardzo się ta służąca nie podobała Maryśce. — Więc moja Zosiu ztaszczysz mi tu zaraz te wszystkie toboły.

Maryśka weszła z przepokoju do jadalni i aż ją cofnęło... Feluś też stanął przy stole zdumiony, szukając niepewnymi oczyma dawnych miejsc. Aż ją cofnęło do przedpokoju... Lecz tu też tyle było zmian!...

Na drzwiach firanki, czerwone, pluszowe... Przecież Ma-

ryśka nigdy nie miała nic podobnego... Z jakimiś pomponami ze strzyżonych baziów, czy z włókien jedwabiu?... Pod sufitem niezwykła lampa. Maryśka odkręciła światło. Tak jest, śliczne tęczowe szkło, czy nawet kryształ... Poprostu rajskie blaski...

— A dawno ty tu jesteś, Zosiu?...

— Już dawno proszę pani, — westchnęła służąca, wypinając czołobitnie brzuch naprzód.

Jadalny pokój taksamo, — ten i nie ten... Kredens ich, dawny, stołki nowe, wysokie, gotyk w skórze wytłaczany. Na kredensie serwis na likiery, na dwanaście osób...

— Jakie szable! — ucieszył się gwałtownie Feluś.

Fotografje Maryśki i Zdzicha wzięte były w kąt skrzyżowanych szablic kozackich. Dokoła zaś, na całej ścianie pełno fotografji, przeważnie młodych oficerów, z nieczytelnemi dedykacjami.

Czyżby Nastusia wzięła obce sprzęty na przechowanie?... Z tego, co stało, wynikałoby, że są to rzeczy po jakimś kawalerze i to wojskowym...

Kwiaty, jak się rozrosły! — Spojrzała przez okno. Na ulicy nikogo, tylko skwar, — aż biało na chodnikach.

A może ten kawaler zginął już, — przemknęło Maryśce przez myśl, — może rodziny nie miał żadnej i teraz odziedziczyłoby się to wszystko?...

Radość i nadzieja mięszały się z niepokojem...

W sypialni, — nie do poznania... Nic dziwnego, że Feluś nic sobie nie mógł przypomnieć... Maryśka sama... Zosiu, — Zosiu!

— Słucham pani...

— O jakiejś ty pani mówiła?..

— O mojej pani, o pani Natalji, do usług.

W sypialni nie było łóżek, — ależ właściwie nic tu nie zostało z dawnych rzeczy!...

Kazała się umyć Felusiowi, który zaraz potem buchnął się na kanapę.

I pokój, ten pokój z osobnym wejściem, przytykający dawniej tylko platonicznie do ich sypialnego, — łączył się teraz z mieszkaniem... Poprostu, mimo, że była u siebie nie śmiała się roztasowywać... A fotografji wojskowych wisi tu jeszcze więcej, niż w jadalnym. Różni oficerowie, nawet legjoniści, okrągłymi oczyma patrzący z czekoladowej oddali retuszu.

Poprobowała łóżka. Miało nowe metalowe kulki na rogach... Atłasowa kołdra,—jaka pościel... Usiadła sobie, żeby spróbować materaców. Nadzwyczajne!...

Ale biurka nie ruszono,.. Stały tylko na nim dwa wielkie szrapnele wystrzelone, a w każdym bukiet kwiatów... Gdzież tamta duża fotografja Zdzicha?... Aha, tam, gdzie stało łóżeczko Felusia... A gdzież znowu to łóżeczko?

Nie chciała o nic wypytywać tej głupiej służącej. Więc Natalja miałaby być Nastusią?...

A nad biurkiem?!—Dech zaparło Maryśce ze zdumienia... Nad biurkiem w bronzikowych ramach wisiała fotografja „pułkownika". To on, stanowczo on!... Głowęby swoją za to dała... Uśmiechnęła się, wspominając ów czas...—Bóg wojny... Ten sam hełm, mundur,—tylko, że wtedy siedział na rozłożonym stołeczku, komenderował bitwą,—a tu stoi... Tosamo srogie spojrzenie...

A ogród, ich dawny, z utęsknieniem przez okno oglądany ogród... Nagle, żal przekręcił się w piersiach Maryśki... Żal bierny, niczego nie pragnący już zmieniać...

Czegóż miała jeszcze próbować?! Może jeszcze dłużej siedzieć matce na karku?... Tłuc się tam w tej wilgotnej szkole, przyjmować bukiety od sędziego i idjotyczne wizyty Ramkiego?... Może grób Zatorskiego ustroić kwiatami i czekać, kiedy go w końcu żona raczy odwiedzić...

Ba, — żeby to oni wtedy przed wojną mogli byli mieć i ten trzeci pokój, z osobnym wejściem!...

Zajrzała tam.

— Gdzież to moja pani, gdzie,—przerwał jej głos Nastusi. Tensam głos, tylko jakby przetarty, przestudzony, naoliwiony... Zobaczyły się, miały się witać, (oj, nie przez próg, proszę pani, nie przez próg) tymczasem powitanie załamało się w powietrzu...

Maryśka wyciągnęła rękę, jak do pocałowania... Mimo całej serdeczności, chlebodawcze pobłażanie unosiło się w jej ruchach.

Tymczasem to już nie była „ta" Nastusia... To była chyba naprawdę jakaś pani Natalja, w granatowej sukni na kanausie, z żabotem, w kapeluszu z czerwonemi różami, w rękawiczkach...

Ten kanaus onieśmielał poprostu Maryśkę... Dała się jeszcze pocałować w rękę, lecz poprosiła Nastusię, by obok usiadła... Zaś, gdy obie spoczęły na kanapce i gdy Nastusia

akurat taksamo się ku niej wizytowym półobrotem zwróciła, jak ona ku niej,—zabrakło tematu do rozmowy... Ale tylko Maryśce!...

Owszem, — Nastusia, wypytywała się o los „swej kochanej pani“, o Felusia, o pana Miechowskiego (nie mówiła już „pana“). Maryśka ze zgrozą wewnętrzną i ze zwątpioną bezradnością patrzyła na to wszystko...

Bo gdyby nie to, że wiedziała (przecież nie jest warjatką i nie śni) iż Nastusia była rok temu służącą,—nigdyby nie przypuszczała... Wszystko,—ruchy rąk w rękawiczce płynne i małe,—zalotnie naprzeciw słów rozmowy idące przechylenie głowy, miłe i pełne gładkiej swady posyrpywanie kącikiem ust... Puder, może nawet trochę różu na policzkach, jakaś taka salonowa politura w oczach...

Mówiły spokojnie, ale nie o to chodziło co mówiły!... Najważniejsza rzecz spojrzenia! Teraz naprzykład, Nastusia patrzy sobie najspokojniej w oczy Maryśki... A teraz, zupełnie, jak osoby z towarzystwa, gdy spojrzeniem zaczerpują tematu do rozmowy z zewnątrz,—wodzi oczyma po pokoju... I głos,—głos!... Ten głos miał w sobie przepisaną porcję wykształcenia... A ręce! Przecież zeszłego roku kubły wynosiła temi samemi rękoma...

Maryśka postanowiła uderzyć w sedno rzeczy... — No dobrze Nastusiu, ale proszę mi powiedzieć w końcu, skąd te zmiany?...

— A prawda, proszę pani, jak ładnie teraz w tym mieszkanku?...

(Ona już wam używa słowa—mieszkanko...)

— Bardzo ładnie, tylko nie rozumiem, jak się to stało?...

Nastusia westchnęła ciężko, żałobnie, a potem roześmiała się na cały głos.—Pamięta pani...

(Już umie głową zrobić zawieszoną pauzę i zaraz lekkim stuknięciem bucika, jakby przecinek...)

— Pamięta pani, że mówiłam, jak pani wyjeżdżała na tę ewakuację że mój „wujo“ na Podgórzu, na wypadek, jakbym sobie rady dać nie mogła...

Maryśka nie przypominała sobie.

— Otóż ten „wujo“,—umarł... Męczył się strasznie... Co z nim było zachodu!... Ale dzieci nie miał i to wszystko zapisał...

Widząc zaś, że Maryśka ze zdumieniem wodzi oczyma po fotografjach (na środkowej ścianie wisieli Piłsudski, Hin-

denburg i Hotzendorf) dodała szybko co to za rzeczy, skąd je miał i że tam na kwaterze u niego stali...

— Zresztą i tak już tu długo mieszkać nie będę, ale tych parę dni, to moja pani będzie moim gościem. Ale tegoby pamięci wuja nie zrobiła, żeby te rzeczy miała uronić... Bo wujo pieniędzy też zostawił trochę, nie dużo, ale dla „siebie samej“ wystarczy...

Poczęstowała Maryśkę papierosami ze srebrnej papierośnicy. Wydała też rozkazy w sprawie objadu.

Było w tem i „moja Zosiu“ i „zrobisz“ i „żeby mi zaraz“ i uniesienie brwi i dyspozycja przez ramię i niewinny uśmiech wyższości, gdy służąca znikła...

— Ale pani mojej sama usłużę...—Nastusia wstała prawdziwym ruchem pani domu, przynieść wody.

Maryśka, uniesiona szlachetnością zaproponowała jej, że „tak nie może być“,—będą sobie obie mówić „pani“...

Była dumna z siebie... Przecież to ona zrobiła z tej sługi człowieka... Oczywiście,—spokojem, taktem i cierpliwością... Teraz taka Nastusia założy pensjonat...

— Ludzie, proszę pani, porujnowani, żony tam, mężowie tu, przejezdnych wielu, władze nasze mają tu też dłużej przebywać... Objady się także będzie wydawało i może się człowiek dorobi... Żeby tylko mieć jakie ściślejsze znajomości z wojskowością...

Porozmawiały też o znajomych... W tej materji zauważyła Maryśka znaczną demokratyzację... Bo o ile do niej odnosiła się Nastusia jeszcze po dawnemu, to do znajomych już zupełnie, jak do równych sobie...

Na ten przykład „Ciąglewicz“, miły człowiek, zachodził tu, dowiadywał się, chciał płacić za mieszkanie,—bo pani nic nie przysyłała...

— Moja Nastusiu...

— Kiedy pani się nie potrzebuje martwić... Mieszkanie podnajmowałam... Wszystko zapłacone, pani nie jest winna ani centa...

— Nie?!—Maryśka, z radością, tak, jak stała, ledwo co umyta, w koszuli,—rzuciła się Nastusi na szyję i wyściskała ją.—I znów gadały o znajomych.

Właśnie Ciąglewicz poradził Nastce prowadzenie pensjonatu.

Maryśka pytała o Ciąglewiczów, o Smolarskiego.

— Smolarski z tą aktorką, to już „na amen“ źle... Bę-

dzie mieszkać w pensjonacie. Biedny człowiek... Z początku przylatywał tu też ten młody Adolf Karowski,—ale taki się dziki zrobił!...

Zasiedli do stołu.

Feluś prawie nie poznał Nastusi, w rękę ją chciał pocałować.

Po objedzie i czarnej kawie, pobłogosławiwszy pamięć zacnego wuja (wiesz Nastusiu, jemu rzeczywiście musisz życzyć, by mu ziemia lekką była) przeszły do dawnej sypialni Zdzichów oglądać, jak się Nastusia „obsprawiła".

— Ależ to cała wyprawa, moja droga!

Maryśka siedziała na kanapie, Nastusia stała obok, wykładając na jej kolana sztukę po sztuce. Gdy już skończyły przegląd, sytymi koronek oczyma, zapatrzyła się Maryśka przed siebie... Oto, jak życie idzie... Kto nieobecny ten stracony, zaś co przeszło,—nie wróci... Oto w jej mieszkaniu panują i błyszczą nowe, czyste meble, jej służąca (nie, żeby to w Maryśce zazdrość wzbudzało, ale zawsze), jej służąca ma bieliznę, o jakiej ona teraz zamarzyć nawet nie może...

— A powiedzże mi, moja kochana, — Maryśka wskazała fotografję pułkownika,—ten wojskowy?... Jakże on tu zawędrował?

— Ten pułkownik?... — Ostre skosy przeleciały Nastusi po twarzy.—Nie wiadomo skąd zawędrował... Może stał na kwaterze u wuja?... Proszę pani, przecież my tu też mieliśmy za swoje,—nas też oblegano... Co się tu działo!!...

Maryśka rozpięła bluskę i ośmieliła łaskawie Nastusię... Porozpinały się więc, wyciągnęły z pod bluzek gorsety (ta szelma Nastka miała nowy z różowego jedwabiu, — w dzisiejszych czasach) i usadowiły wygodniej.

Maryśka opowiadała o pułkowniku, jak dowodził bitwą,— i o Zatorskim.

Ach tak, teraz sobie Nastusia przypomniała, wujo, kamienicznik z Podgórza był istotnie w przyjaźni z tym pułkownikiem... Nawet dedykacja jest na fotografji...

Zdjęły fotografję ze ściany.

— Po niemiecku... Czekajże... „Sercu memu..." Podpis nieczytelny... Ależ to litery rozmachane, jakby narodziny świata dyktował!...

Na drugi dzień rano po śniadaniu, które na platerowej tacy, z dźwięcznym, jak kropelki „dzień dobry" przyniesione

zostało do łóżka, po umyciu się (ta szelma Nastka miała pięć gatunków różnej wody kwiatowej) zadekretowała Maryśka stanowczo, że będą z sobą na „pani...“

— Tak będzie i basta!...

Nie dzieli je znów tak wielka różnica, zaś majątkowo rzecz biorąc!... Czyż Maryśka nie musi, zaraz dziś zasięgnąć na mieście języka, rozpatrzeć się między znajomymi, gdzieś coś nawiązać i szukać jakiejś pracy?...

Coby Zdzich wolał,—myślała, idąc skwarną ulicą,—żeby „posypała głowę popiołem“ i wzdychała bezczynnie, czy też woli, że żona jego, mimo wszystko, stara się życie za ogon złapać?...

Janiny nie zastała... Wyjechała gdzieś ze szpitalem, czy z jakimiś chorymi...

Przechodząc koło bibljoteki Jagiellońskiej, w spiekocie popołudnia, przypomniała sobie, że tu przecież pracuje Ciąglewicz..! Mogłaby odrazu wszystko wiedzieć... Ale nie, — toby już był zbytek łaski...

Miasto wcale nie ucierpiało przez wojnę... Tylko planty poasfaltowali, podobno, żeby tym sposobem zachęcić cesarza Wilhelma do sprawy polskiej...

Gdy zwiedzał Kraków...

Maryśka z pewną dumą kroczyła po asfalcie, jakby przez to cząsteczka wielkiej, państwowej myśli i jej przypadała w udziale...

Pod uniwersytetem przypomniało się jej o Zatorskim... Ileto zawsze gadania było o ten doktorat! Jeszcze ją czeka oddawanie relikwji po poległym... No, — ale ona tego robić nie będzie... To mężczyzna jakiś... Najlepiej,—stary Karowski,—sam powstaniec,—dużo przecierpiał... Tradycja...

Nawet mogłaby tego użyć teraz, jako zamówki...

Karowskich też nie zastała. Wyjechali. Gdzież się ludziska tak włóczą?... Niby wojna, a przecież widać wyszperali sobie jakąś przewiewniejszą dziurkę na lato...

Na prawo od Maryśki biegła ogromna aleja ku kopcowi Kościuszki, pusta w tej chwili. Tylko między konarami drzew brzęczał złoty upał, szemrząc cicho w popielatych rowach...

Więc nikogo niema...—Z głębi aleji, szły dalekie obrazy minionych chwil, zamknięte w sobie i dziwnie wypoczywające... Maryśka ziewnęła tak mocno, że aż jej łzy wystąpiły pod powieki... Więc co?... Ani nie powiedziała, ani nie pomyślała sobie, że do Ciąglewiczów,—lecz poszła w tę stronę.

Otworzył jej on sam, cicho, na palcach... Musiało się szeptać... Żona dopiero teraz zasnęła...

Postarzał się. Wyglądał, jakby nie mieli pieniędzy... Był bez kołnierzyka...

Na palcach przeszli do salonu... Czekała tu na Maryśkę dawna chwila smutku ze snem przemięszanego, dziś już tak wyblakła!... Tylko jeszcze zostały z niej ciemne plamy starych portretów na ścianie...

— Więc, co takiego,—co takiego?...

— Żona bardzo chora... Nerki... — Usiadł obok na kanapce i zaczął opowiadać, co przeszli...

Cóżby to Maryśka dała za taką „biedę..." Nie wypadało jej jednak przeczyć, ani też własnych przygód przeciwstawiać...

Ciąglewicz pytał troskliwie o dom, — jak, co zastała?... Że Nastusia właściwie... Przytem spojrzał poufnie swymi orzechowymi oczyma...

Szeptali tak, przy cicho wzdymającej się storze, w gorącem, złotem powietrzu prawie godzinę... Ciąglewicz od czasu do czasu powtarzał: — Jak to mądrze, jak to mądrze, że pani przyszła...

Wtedy ostatecznie zareagowała już Maryśka całkiem urzędowo:—Byłaby nie przyszła, gdyby wiedziała, że Ciąglewiczowa...

— Ach tak, tak,—westchnął beznadziejnie.

Po drugie przyszła w pewnej sprawie ogólnej, czy objektywnej, czy jak to nazwać,—w sprawie spuścizny po Zatorskim... Właściwie tylko o to...

— Spuścizny po Zatorskim?! — Nie chciał już nic ani słyszeć o tem, ani wiedzieć...

Wyciągnął cały plik papierów, z szuflady, w której leżały równo poukładane teczki, z odpowiednimi napisami...

— Proszę pani, dlatego, że ktoś zginął, poległ, czy po prostu umarł w końcu, — nie racja jeszcze, aby ludzi zamęczano literaturą dziką, samowolną!... Nonsens!...

Pochyliła się nad kartkami, on za nią, dość blisko. Owiana miłym, jakby ślazowym zapachem Ciąglewicza, błądziła oczami po wierszach...

Pisanie to szło małym, czarnym płotem strofek przez środek dużych kartek...

Ciąglewicz machnął ręką.

A Maryśka (rzeczywiście wojna wyrabia ludzi) rzekła odrazu:—Zresztą ważniejsi są żywi, niż umarli...

W myśl powyższego zaczęli znów rozmawiać o Ciąglewiczowej...

Stanęło na tem, że Ciąglewicz „rozglądnie się“ i będzie myśleć dla Maryśki o posadzie, ona zaś na razie, póki „i tak“ nie ma żadnego zajęcia, poświęci chorej trochę czasu...

Wszystko to było szczere, proste i przyjacielskie. Widok Ciąglewicza wcale jej nie wzburzył, ani wogóle „danej sceny“ nie przypomniał...

Pod tym względem,—jakby nigdy nic... Ale zastanowiła Maryśkę—gdy położyła się do łóżka i zgasiła światło, rzecz inna... A mianowicie to, że jest pewna siebie, że nie słyszy z nikąd szumiącej fali niepokoju... Że to mieszkanie, tak pozmieniane obcą ręką, bawi ją tylko trochę,—i już...

Szukała w świetle księżycowym jakiegoś powodu, któryby ją poderwał z pysznych materaców nowego łóżka Nastusi, jakiegoś wątka wyrzutów, jakiegoś szeregu myśli... Jakto są takie myśli z przeszłości, co stąpają po samym sercu... Człowiek im wszystko ofiaruje — a te, nienasycone nie odchodzą i nie odchodzą...

Myślała też o tem, że dalekość jest rzeczywiście dalekością... Cóż mogła była wiedzieć z przetłomaczonej przez biuro szwajcarskie, nie Zdzicha ręką pisanej, kartki? — Cóż mogła wiedzieć o nim?...

Nagle aż usiadła od tej myśli, która przeszyła ją na wskroś:—Jestem w hotelu!... Wszystko jest hotelem!...

Ze ścian patrzyły na nią oświetlone księżycem fotografje nieznanych oficerów, a dragoński hełm, powiększonego nad biurkiem pułkownika, wyginał się, jak róg...

Mogliby mnie wszyscy oni teraz nagą widzieć i wszystko mi jedno, wszystko przemija i nikt nic nie rozumie...

Zasnęła zwinięta w kłębek, z kolanami pod brodą, uszczęśliwiona własnem ciepłem...

Na drugi dzień dostała do łóżka bukiet róż, wszystkie białe, jak śnieg, osypane świeżą rosą... Biały kolor oznacza przyjaźń niewinną...

Musiała się komuś pochwalić. — Niech pani patrzy, Nastusiu,—jaki pan Ciąglewicz elegancki... Jakie śliczne róże mi przysłał!...

— Pan Ciąglewicz?—Nastusia uniosła się na łóżku, przyczem jej pierś duża i biała wysunęła się z koronek koszuli.—

Te jeszcze jedyny z państwa znajomych, jak się patrzy... — Przytwierdziła Nastusia.

Ale Maryśka nie wdawała się w dłuższą rozmowę, bo ostatecznie mogła była sobie Nastka tę pierś zasłonić... Już tak znowu, zupełnie za pan brat,—to nie idzie...

Zobaczyła nareszcie tę Ciąglewiczową. Widać ani wieś, ani dobre pochodzenie zdrowia nie zastąpi...

W czasie dnia leżała, biedactwo, w jadalnym pokoju, aby czuwać nad porządkiem.

Nerki, nerki, — myślała Maryśka,—czyli poprostu jakieś nieporozumienie z moczem... Zapewne pod skórą, tuż pod skórą przelewa się ta uryna—i stąd ta żółtość...

Żałowała serdecznie Ciąglewicza. Pielęgnowała starannie jego żonę, uważając, że w ten sposób pracuje dla swej przyszłości... Bo Ciąglewicze zaciągają u niej dług wdzięczności...

Z drugiej strony — towarzystwo Nastusi, wyganiało ją z domu... Nastka przyjmowała wciąż jakichś krewnych, których się wstydziła przed Maryśką...

— To proszę mojej drogiej pani, ludzie prości, nie umieją się oszlifować.

Więc przez delikatność Maryśka usuwała się... Ci krewni odbywali jeszcze widocznie jakieś spadkowe stypy po wuju,— pili, palili, jedli... Trzeba było potem wietrzyć... Ale kto wyrobił komorne za cały rok,—ten ma prawa...

Nie miła była Maryśce ta cała sprawa komornego, a jeszcze bardziej krępowało ją to, że Nastka miała więcej od niej pieniędzy...

Cóż tu dużo mówić... Maryśka goniła ostatnim groszem,—a tam przelewało się poprostu!... Te obiady, kolacje, śniadania, — to już nie jest dla żony profesora gimnazjalnego w niewoli, z dzieckiem. Żeby to Maryśce klapnął taki „wujo“...

Nie tylko jako osoba z towarzystwa, ale także jako kobieta cierpiała z powodu tego wspólnego mieszkania... Nastusia miała lepszą od niej bieliznę,—równać nawet nie można!... Prawdopodobnie w celu pokazania bogactw swych, nie krępowała się w negliżu zupełnie.

Z łazienki, do łazienki, tam, z powrotem, w jakichś pantofelkach ze ślicznej białej skórki, w opadających czarnych pończochach, jedwabnych, z włosami rozpuszczonemi (prawda że były długie, ale zato grube, jak końskie włosie) w koszuli batystowej, przez którą pod słońce widać ją było, jak nagą...

A najgorsze, że Feluś za nią tak biegał... Odczepić go nie można było. Wspólne śniadania Nastki razem z malcem w łóżku,—bo odgrażała się, że się swojej pani odwdzięczy i chłopca jej czytać nauczy,—nie mogły być korzystne...

Ciąglewicz otwarł jej na to oczy definitywnie. Był tego wieczora przyjemny, ale może trochę niedelikatny... Nie oto chodzi, że nie wyraził żadnego zdziwienia i tak samo Nastusi mówił pani, jak Maryśce, ale,—w innej sprawie...

Oto szarówką,—siedząc w sypialni, która dzięki jednemu tylko teraz łóżku, kanapie pokrytej srebrnąkapą i różnym fotografjom miała charakter buduaru,—zaczął sobie przypominać, jakto dawniej było urządzone... Gdzie stały łóżka, gdzie komoda, jak co było upięte.

Rzeczywiście pamiętał doskonale.

Maryśka rozumiała, że chce dać dowód, iż wszystko utkwiło mu w pamięci...

— Mogę pana, panie Franciszku, uspokoić,—rzekła—że te wszystkie rzeczy, na razie są na strychu, ale wrócą tu i staną taksamo, jak były...

W odpowiedzi spojrzał na nią z bezbronnym szacunkiem.

Potem druga niedelikatnośc.

Siedzieli za stołem przy czarnej kawie. To, że Nastusia nic sobie nie robiła z Ciąglewicza, można było wytłómaczyć jej dorobkowiczostwem. Ale on!

Po kolacji wziął rękę Maryśki oraz Nastusi i śmiejąc się,—dziwnie zmysłowo, śmiał się czasem ten człowiek,—całował naprzemian to jedną dłoń, to drugą.

Oczywiście prędko położyła temu koniec, może nawet trochę za ostro... Wtedy Nastusia przeszła z Felkiem do sypialni, a Maryśka z Ciąglewiczem została przy stole. Opowiadał, że nie wystarcza mu jego naukowa posada,—słowem, że wstąpił do pewnej redakcji, oczywiście nie jako jej członek (wzruszył pogardliwie ramionami) lecz jako krytyk,—dla chleba...

— Więc pan jest recenzentem teatralnym? — spytała naiwnie, w nieuświadomej nadziei bezpłatnych biletów wejścia.

— Jestem krytykiem,—odpowiedział trochę urażony.

Z sypialnego pokoju dał się słyszeć śmiech Felka i Nastusi. Wówczas Ciąglewicz przysunął się blisko i zaczął na-

miętnie tłómaczyć Maryśce: Tacy mali chłopcy są już rozbudzeni, należy stanowczo unikać...

Tłómaczył tak namiętnie, jakby był zazdrosny o Felusia...

Cały ten wieczór zostawił Maryśce duży niesmak. Wolała już przenieść od siebie całą znajomość do Ciąglewiczów. Tembardziej, że choroba Ciąglewiczowej na zewnątrz wcale nie była tak straszna...

Po paru dniach nastąpiło tak znaczne polepszenie, (Ciąglewicz twierdził, że to dzięki Maryśce) iż mogli zostawić chorą i iść na spacer. Sama ich wyprawiła.

— Moi złoci, ja sobie, gdy się wojna skończy, pojadę do Egiptu, a wy zato teraz użyjcie trochę świeżego powietrza... Niechże mi pani,—zwróciła się do Maryśki,—przewietrzy trochę męża, tak się zestarzał, zasiedział...

Maryśka też zauważyła, że się zestarzał. Fałdy koło ust zrobiły mu się grubsze, czoło przerżnięte było w poprzek ciemniejszymi, niż dawniej zmarszczkami. Opalił się przytem, co dodawało surowości wyrazowi twarzy... Tak, jakby wciąż na niej leżał promień zachodzącego słońca. Ładnie mu z tem było.

Brnęli wolno przez gąszcza, Feluś z Magdą krążył do koła.—Ciąglewicz przypomniał dawny spacer, gdy przyniósł karty,—pierwsze polowe karty od Zdzicha...

— To tutaj było proszę pani, w tych krzakach...

Nie pamiętała, by to było właśnie tu. Obcym się jej zdał kształt drzew, innymi krzaki...

— Zkądże pan pamięta, że to tu?...

— Wiem napewno, — takich rzeczy się nie zapomina... Była tu pani na spacerze z synkiem i z tym głupim Adolfem...

Tu leżała pod krzakiem jej czerwona parasolka, żakiet, skrzynka na motyle i rękawiczki... Jakby martwa natura z bardzo żywej „scène galante“...

— Ale nie wyczuła pani wtedy po mnie, żem się wzruszył?...

Nie odpowiedziała i przytłumiony głos, którym wypowiedział ostatnie zdanie, rozwiał się lekko w upalnym szeleście lasu...

— Tak, tak... Tu chwyciła nas pani za ręce, mnie i Adolfa i tańczylismy między tymi pniami, daleko, aż ku szosie...

— Tańczyliśmy?—Nie pamiętała...—Zresztą człowiek się wtedy tak wszystkiem egzaltował...

Po paru dniach przyszli tu znowu. Jeszcze przedtem odwiedziła go Maryśka w bibljotece. Stał poważnie za stołem, zawalonym książkami.

— Ależ panowie tu wszyscy mądrzy musicie być! Strasznie!!!

Jakby nieuchwytny, wszystko przenikający szelest samej wiedzy unosił się w ciszy przewracanych ostrożnie papierów...

— Mądrzy?... — Rozrzucił pogardliwie stosy sztywnych karteczek katalogowych... — Niech pani w to nie wierzy... Przypuszcza pani, że siekając wciąż te papierowe łazanki, nabiera się dużo wiedzy?...

Wyszli na podwórze pod piękne, stare arkady. Pusto tu było... Tylko po płaskich kamieniach snuł się pył przejrzałych drzew. Zaś na środku, jak mała zielona gwiazda, wirował liść kasztana.

Przy bliższem poznaniu Ciąglewicz nie był wcale zarozumiały. Ciąglewiczowa zaś okazała się zupełnie miłą i szlachetną... Sama wyprawiała ich na spacer, zwierzywszy się Maryśce,—już długo nie pociągnę, pocóż mnie ma mąż wspominać z udręką...

Życie jest straszne...

Na przechadzkach tych starali się unikać przykrych tematów... Ciąglewicz mówił o sztuce. Chciał skończyć ten dramat, który ongiś ze Żdzichem zaczęli... Jako krytyk będzie mógł z łatwością wystawić...

— Nie wiem, czy mnie choroba żony i całe to przejście pcha do pisania, czy życie tak się składa?...—Po chwili zaś, patrząc wymownie, powtórzył, niby echo własnych słów: Czy życie tak się składa?...

Teraz Maryśka, podobnie, jak on ją kiedyś, mogła była pocieszać i koić... Winna mu była to... Ale nie umiała tak tłómaczyć... Żona wyzdrowieje (Ciąglewicz umiał doskonale stopniować, u niej zaś mięszało się jedno z drugim) sztukę panu wystawią,—będzie dobrze... Może pan pracować, posuwa się pan w swoim zawodzie... Niechże pan patrzy, panie Franciszku, jak inni...

— Cóż to za pociecha, że inni zmarnowali się, lub się marnują?!

Przypomniało się Maryśce, że kiedyś już mówili z sobą w ten sposób...

Cóż to za pociecha, że innym jest gorzej?...

Usiedli na zboczu góry, która sypką, czarną pochyłością spadała w dół. Wysokie krzaki falowały lekko, pokazując białe od słońca spody gałęzi. W dali widać było Kraków mniejszy, niż kupka kamieni.

Niebo, aż granatowe od upału, przechodziło na krańcach widnokręgu w rudą czerwień. Maryśka podwinęła nogi skromnie pod siebie. Ciąglewicz pół siedział, pół leżał, trochę niżej.

Rozmowa rwała się.

Owady, niby brzęczące iskry gorąca, zderzały się w powietrzu, czasem od szosy doleciał tętent koni, czasem od strony Kopca, ze strzelnicy, zagdakał karabin maszynowy...

Ciąglewicz próbował chwycić to, jako zamówkę do rozmowy.—Otóż proszę pani, taki jest nasz czas...

Nasłuchując terkotu wystrzałów skłaniał głowę, niby do ziemi a zarazem prawie i do kolan Maryśki...—Taki jest nasz czas... Ten straszny terkot ostrym swym rytmem odmierza nasze godziny i postanowienia...

Temat ten nie utrzymał się... Maryśka za blisko była wojny, za dużo sama widziała i przeszła... Uważała, że ma poniekąd monopol do mówienia o tych sprawach, zwłaszcza, wobec takiego laika, jak Ciąglewicz... Chętniej już słuchała o sztuce.

— Byłaby to naprawdę „nasza“ sztuka... Pamięta pani?

Postawił przed nią jeszcze raz cały ten problem... Moment poświęcenia miłości dla władzy... Batory i Anna Jagiellonka...

Głos Ciąglewicza ściszony i gorący zlewał się z szelestem liści i z trącaniem się pni. Patrzyła na białą bluzeczkę Felusia i różową sukienkę Magdy, jaśniejącą nizko, prawie przy drodze.

— O czem pani myśli? — Poderwało go, usiadł nagle, patrząc jej pilnie w oczy.

Leniwie podniosła powieki. — O czem myślę? Słucham tego, co pan mówi...

Moment poświęcenia miłości dla władzy, dla obowiązku... Tragedja rzeczy, idących w tym samym kierunku, a których odwrócić, zatrzymać, nie można, mimo, że krzywdę czynią sobie i innym... Psychiczna cisza, w jakiej się tego ro-

dzaju dramaty odbywają... Nie towarzyszy im wspaniały trzask wozów wojennych, ani się nikt rozpaczą nie zachłyśnie... Ten szary cień, w którym...

Chciałaby, żeby tak mówił jak najdłużej... Ze słów jego unosiło się miłe, przypochlebne ciepło... Niewyraźna prośba płynęła, płynęła tak nizko, tak pokornie...

Prośba tak wylana, że można było przebywać w niej bez wstydu, jak w słońcu, czy chłodzić się w niej, jak się zanurza w strumieniu...

— Tak zimno, stanowczo, jak Batory, proszę pani, mogą żyć ludzie wielcy, ale ja... Gdy się jest tylko kamieniem przydrożnym...

Ciąglewicz siedział teraz naprzeciw niej, wyprostowany—i już nic nie mówił... Tylko z sarnich, orzechowych jego oczu płynęły równo łzy, — tak okrągłe i pełne, jak szklane paciorki...

— Co panu jest,—na miłość boską, co pan robi?!

Nie odpowiadał... bezsilnie rozkładając ręce.

Przepełniona słodką, szczodrą żądzą opieki, pociągnęła go za ręce... Pochylił się, przylgnął do trawy.

Nie uważała zupełnie, że szybkim, lecz nieznacznym ruchem podgarnął się tak blisko, iż głowa jego spoczywała na jej kolanach. Spokojnie i serdecznie gładziła płaczącego po włosach, zapatrzona w przestwór błękitny...

— Bo ty nie wiesz...

Maryśce brwi zadrgały od tego—„ty“...

— Bo ty nie wiesz, jak ciężkie jest moje życie...

Spowiadał się poprostu... Bez zastrzeżeń... Odsłaniał wszystkie ohydne zakamarki swej męskiej duszy... — Nigdy nie był szczęśliwy... Pomylił się, bo nie kochał żony... Dziecko jest mu obojętne... Traktuje je, jako swój państwowy obowiązek... Właściwie chciał być twórcą... Tylko, — zbyt długie naukowe przygotowania spaliły talent i intuicję... Teraz znów, od czasu przyjazdu Maryśki, pali mu się robota w rękach...

— Ale pomóż mi, pomóż... Uchroń przed tą nienawiścią do żony... Ty jedna możesz... Nie było komedją to, co ci mówiłem zeszłego roku,—o codziennej trzeźwości... Była to zazdrość samcza... Tamci poszli,—ja zostałem... Ci, którzy walczą o panowanie, poświęcają miłość... Ci, którzy nie walczą, kochają... Ich walka jest też walką,— tylko bierną...

Maryśka nie rozumiała znaczenia tych słów... Lecz

z toku wymowy ze „złamanych“ objęć, drżących wyraźnie po przez suknię, szedł ku jej sercu tumult żarliwy... Patrzyła w daleką przestrzeń, czując, zda się, jak pnie drzew tężeją i twarda ich kora pęcznieje od rozrostu...

Barwy nabrały dojrzałości,—w uszach rozpędził się soczysty ton, ton gęstszy, niż ten błękit letni...

Tem niemniej, gdy zwróciła Ciąglewiczowi uwagę, że dzieci już wracają, a on, mimo to, chcąc podziękować, usiłował objąć jej kolana pod suknią, aby na stopach złożyć pocałunek ludzkiego, braterskiego podziękowania—nie dała...

Zrozumiał, że uniósł się był. Wstydząc się jej spojrzenia patrzył na Felusia i Magdę, którzy szli właśnie pod górę...

Wziąwszy Maryśkę za rękę, rzekł z gorzkim uśmiechem ironji: Nasze dzieci... Nas dwojga...

Był zbyt nieszczęśliwy w tej chwili, by mogła zaprotestować...

A jeszcze więcej żałowała Ciąglewiczowej... Zaraz gdy wrócili, ucałowała chorą w żółte, wilgotne czoło, a Ciąglewiczowi, w przedpokoju, przy szwajcarskim lwie wolności, opartym na tablicach konstytucji nakazała, — żeby był dobrym...

— Jeśli mnie pan choć trochę szanuje,—będzie pan dobry dla żony...

Wieczorem, po długiej rozwadze postanowiła, nawet z poświęceniem miłości chrześcijańskiej, — chyba przestać tam bywać... Nigdy nie uważała Ciąglewiczowej za rywalkę godną siebie, ale teraz... Za łatwe zwycięstwo,—o wiele za łatwe...

Rozbierając się zaś i porównując swe kształty z kształtami, jakie musiała mieć Ciąglewiczowa nawet jeszcze przed swą chorobą, nie mogła Maryśka mimowoli nie litować się nad Ciąglewiczem...

Na drugi dzień rano przysłał jej pęk pąsowych róż. Co powiedzieć i jak to objaśnić takiej Nastusi?...

Róże leżały na kołdrze, jedne już rozkwitłe, o płatkach u brzegu aż srebrnych z dojrzałego przegięcia, drugie stulone jeszcze, czarnym fjoletem ciemniejące w głębi kielichów.

Wzięła bukiet, poszła z nim boso do lustra, — żeby spróbować, jakby jej było w takiej ciemnej czerwieni... Słońce padało z tyłu. Maryśka widziała się w lustrze cała po

przez koszulę... Była opalona. Skóra jej miała barwę złotej renety, podegrzana w pachwinach, na brzuchu i pod piersiami różową smugą.

Przytuliła bukiet do piersi, aby spróbować kontrastu... Ciemne, zwarte kwiaty rozłożyły się na ramionach, pod szyją i przez piersi, niby matowe płomienie. Wychylała się z pośród nich mała jej twarz i puste, ździwione oczy...

Czemu tego żaden malarz nie namaluje, — westchnęła z żalem... Będzie jej dobrze w tym kolorze... Jeszcze się naradzi z Janiną, — bo teraz napewno Janina przyjedzie, — nie byłyby nerwy Maryśki, nerwami... Jeszcze się poradzi — i może przefarbuje swój kostjum, ten z fjoletowej mory, — na bordo...

Parę dni później, właśnie, kiedy czekała na Smolarskiego, przyszedł wieczorem Ciąglewicz...

Mówił długo ponurym, przydymionym głosem. Miał tylko jedyną prośbę. Męczy go to ciągle,—dzień i noc... Żeby nie cofnęła tego, co mu pozwoliła wtedy...—Niech to zostanie na pamiątkę dobroci pani...

— Nie wiem, o czem pan mówi?...

— Abyśmy sobie, jak wtedy na spacerze, mówili już na stałe,—ty...

Wypatrzyła się na niego, zdumiona...

— Nie przy ludziach, skoro się pani obawia, tylko wtedy, gdy jesteśmy sami...

Nie zgodziła się na to.

W przedpokoju, pod „rajską“ lampą Nastusi, stracił nad sobą panowanie... Objął ją, przytulił...

Widziała tuż nad sobą, nieprzytomną z pożądania twarz jego... Musiała go skarcić... Skarcić radykalnie...

— Czy ja mam, panie Franciszku, ponosić następstwa tego, że żona pańska nie mogła była leczyć się zeszłego roku w Egipcie?!

Odszedł jak zmyty, ale Maryśce nieprzyjemnie było cały wieczór. Zwłaszcza, że Smolarski, który przyszedł był później, nudny był wyjątkowo.

Zamiast cieszyć się, że widzi starych znajomych i wogóle podziwiać Maryśkę, — ciągle się wypytywał gdzie Nastusia, co robi, gdzie poszła?...

— A cóż pan zjadł w końcu na tej Nastusi?!

— Co zjadłem,—zachlupał Smolarski,—nic nie zjadłem...

— Ale ciekawam, — intrygowała Maryśka, — jak to pan

rozwiązał, czy mówi pan jej po imieniu, czy jak?... Teraz, kiedy jest już damą i ma na kapelusze...

— Ja też to tak unormowałem,—odrzekł z wielkim namysłem,—że oboje mówimy sobie po imieniu...

— Czy pan oszalał?!

Smolarski, dowiedziawszy się, że one z Maryśką są na „pani“, oburzył się.

— Dlatego, że ktoś się wybija, nie należy go zapiekać w tłuszczu tych idjotycznych naszych przesądów...— Zresztą nie robię nic innego, od tego, co pani na początku... Pani uczyła ją czytać,—ja uczę trochę myśleć i czuć...

Słowo „czuć“ przeskoczyło mu między pustymi dziąsłami, brzmiąc jak chuć...

— Myśleć i czuć,—a reszta nic mnie nie obchodzi...

Polubownie zmienili przedmiot rozmowy... Więc, — o rzeczach Zatorskiego...

— Te relikwje, proszę pana, muszą być oddane, podjęłam się tego, — ale nie mogę, nie mogę... To musi mężczyzna... To ponad moje siły... Teraz wypakowując... Zapocona czapka, — orzełek, — bluzka, na której są jeszcze plamy od krwi... Byłabym szczęśliwa, żeby nareszcie uwolnił mnie ktoś od tego...

Smolarski też nie czuł się na siłach.—Ja poprostu, ile razy spotkam Zatorską, przechodzę na drugą stronę...

Popatrzył na zegarek.

— Gdzież się panu tak śpieszy?

— Nigdzie, nigdzie,—tylko miała tu być...

Maryśka uśmiechnęła się złośliwie, Smolarski spostrzegłszy to, wrócił natychmiast do tematu...

Myśmy się umówili z Ciąglewiczem, aby, przetrzymywał u siebie tę korektę pism Zatorskiego... Ale w nieskończoność przeciągnąć się nie da... Ciężkie przejścia czekają z tem Zatorską. Ciąglewicz będzie musiał ostatecznie powiedzieć, że skończył, odda jej skrypty, — a wtedy... Zatorska chce to drukować po gazetach,—spuściznę po bohaterze...

Oczy Smolarskiego poszarzały, w kątach wilgotnych ust drżał bolesny skurcz... Duża, krótko strzyżona głowa chyliła się na cienkiej szyji, źrenice zdawały się unikać jakiejś brutalnej odpowiedzi...

— Spuściznę duchową po bohaterze... Kogo to obchodzi?... A nowych bohaterów tak dużo przybywa wciąż, że

nie wiem, czy Zatorska znajdzie dla swego tak łatwo miejsce?...

— Ma pan rację... Wogóle miejsca ciągle ubywa, a wrażeń przybywa...

Nie rozumiał.

Wytłomaczyła mu to dopiero w przedpokoju, pod tą idjotyczną „lampą Aladyna".

— Tak samo przecież w sercach ludzkich... Miejsca ubywa a wrażeń nowych coraz więcej... (Myślała o Janinie), Stare rzeczy się zapomina, nowe nie wiadomo gdzie podziewać...

Smolarski zrozumiał... Powróciły mu na trójkątną twarz szare spłoszone uśmiechy...

I w tych uśmiechach, niby w dżdżu sypkim, pożegnał się, nic już nie mówiąc...

Została sama. Zgasiła lampę. Szkła zbladły, lśniąc w powietrzu blaskiem krzywych blizn...

Czy to, co mówiła, tyczyło się samego tylko Smolarskiego?...

Tego wieczora, nie mogąc sobie znaleść miejsca, rzuciła się na łóżko w ubraniu i tak zasnęła...

Ale nerwy nerwami! Rzeczywiście, na drugi dzień po południu zjawiła się Janina...

Miałyż sobie opowiadać szczegółowo ten cały rok niedoli?! Czy nie wystarczy, gdy się ręce na rękach położy?...

Ty wiesz,—ty wiesz...

— Wiesz co teraz robię?... Szukam zajęcia...

Janina powątpiewała w skuteczność tych poszukiwań—... Mogła zawsze służyć przyjaciółce szpitalem.

— Wkręcę cię, kiedy chcesz, gwarantuję...

Zresztą Janina była bardzo rozczarowana „pod względem gojenia ran" i ocierania łez biednej ludzkości...

— Wojna trwa tak długo, że i z miłosierdzia zrobił się fach...

Pozatem Janina radziła Ciąglewicza trzymać „ciepło". Projekt wspólnej „naszej sztuki" kolosalny.

— Gram Annę Jagiellonkę...

Maryśka uśmiechnęła się:—Żeby nie z takim powodzeniem, jak wtedy Polskę... Pamiętasz w teatrze Ludowym?...

— O nie,—„Polska" zanadto odbiła się potem na prywatnym życiu Janiny.

— Przypuszczam Maryś, że „z nim“ o mnie ani słowa?...

Znowu szpostrzegła Maryśka to samo wzburzenie, z jakim zawsze działała na Janinę myśl o Smolarskim.

Mój Boże, — zamiast tego całego wzburzenia podana w porę szklanka herbaty i ciepły kąt więcejby sprawił! Więcej nawet niż cała uroda Janiny, która na tym szpitalnym regularnym wikcie bardzo wydobrzała...

Miała na sobie kostjum z wojskowego sukna, a sukno to przy jej złotych włosach i ślicznie zapalających się oczach, stanowiło ładne tło.

Maryśka wahała się, co do „naszej sztuki“... Czy puszczać to na scenę, czy może przez Szwajcarskie biuro zasięgnąć informacji męża?...

Dopiero Janina musiała jej łopatą do głowy kłaść i wydębić z przyjaciółki słowo honoru, że lepiej przygrzeje tu całą sprawę.

— A ja poświęcę dla was moją młodość i wystąpię w Annie, pamiętaj dla was,—w starej roli...

Ustanowiły wspólnie wiele punktów: Głos Janiny świetnie się rozwija (wiesz Kałucki służy tu w szpitalu)... Wkrótce zostanie, dzięki pewnym stosunkom zaangażowana do teatru miejskiego... Maryśka ma stanowczo trzymać „bardzo ciepło“ Ciąglewicza.

— Aha i jeszcze jedno: Wyrzuć tę Nastusię. Nie wypada, żebyś mieszkała za pan brat z dawną swoją sługą... Wyrzuć ją, koniecznie. Nic więcej nie mówię...

— Ależ powiedz!

— Kiedy nic nie wiem, radzę ci tylko...

— Bardzo łatwo jest powiedzieć—„wyrzuć i nie wypada“,—ale musi wypadać, gdy niema pieniędzy...

Tymczasem błagalnym biletem zawezwała ją znów Ciąglewiczowa.

— Dlaczego pani zapomina o nas, pani Marjo,—skarżyła się chora cieniutkim słabym głosem,—czyż to się godzi?...

Ciąglewicz stał w głowach łóżka, milcząc przykładnie.

— Czemu pani o nas zapomina, będąc opiekuńczym duchem tego domu?

Trudno było znieść tyle dobroci spokojnie... Ucałowały się z chorą, jak siostry.

Maryśka czuła, że Ciąglewicz krąży koło niej, nie ro-

zumiała tylko czy robi to, przez cynizm, czy też przez nieostrożność, zupełnie zaślepiony namiętnością...

Znalazłszy chwilę sam na sam w jego pracowni wymówiła mu te róże czerwone.

— Niech pan zaprzestanie... Po pierwsze, nie życzę sobie tego, po drugie wprowadza mnie pan w bardzo kłopotliwą sytuację wobec Nastusi...

Zmieszał się, a potem wybuchł głośnym, może nawet trochę nienaturalnym śmiechem.

— A cóż ma do tego Nastusia?! To dobre!...—Następnie szeptem gorącym, w pośpiechu chwili, wartkimi zdaniami tłomaczył jej, że tak, że tak,—jeszcze lepiej... Właśnie żona zaprasza Maryśkę do domu, tak być powinno... To jedyna jej, chociaż nieświadoma pokuta za jego zmarnowane życie... Tak być musi, w imię odwiecznego prawa...

Chora zaś, słysząc wesoły śmiech męża, zaczęła coś nucić cienką, zardzewiałą niteczką fałszywego głosu.

Umilkli... Ciąglewicz okrywał ręce Maryśki pocałunkami. Patrzyła z góry na odbicie jego głowy w mahoniowym blacie biurka i na pyzate szeregi książek... Wstrząsana dreszczem namiętnym, gardziła sobą doszczętnie...

Wprosił się na piątek wieczór po jakieś dopełniacze do dramatu, z papierów Zdzicha... Pamięta doskonale, że tam były całe fragmenty... Bez tego wybrnąć nie można...

Właśnie na piątek, właśnie wtedy, gdy Nastka nocuje u stryjenki na Podgórzu... Tylko, jeśli tu coś jest ułożonego z góry, to pan Franciszek Ciąglewicz mocno się myli!...

Owszem,—przygotowala te papiery... Grzebanie w kufrze z pamiątkami utwierdziło jeszcze Maryśkę w jej postanowieniach... O tak! Zdzich nie miał czasu na takie faramuszki, jak kokietowanie cudzych żon...

Czekała na Ciąglewicza w doskonałym humorze... Ubrała się bardzo starannie, nawet kwiatek wpięła we włosy,—tem ostrzejsza będzie nauczka...

— Czy o ten zeszyt chodziło?

— O ten, — tak jest... — Ciąglewicz był chmurny i ponury...

Usiadł z zeszytem przy stole, — ona na drugim końcu z książką. Czytała powoli, przewracając głośno sztywne kartki. Cichy ich trzask mierzył długie chwile milczenia...,

Nagle ustało to...

Maryśka, zaintrygowana przerwą podniosła oczy.

— Jacybyśmy byli szczęśliwi,—rzekł, odrazu spotykając jej spojrzenie...

Pogroziła mu...

-- Ma pani rację, — mówmy lepiej o dramacie... Tak błisko widzę teraz Batorego, tak z nim obcuję... Wie pani?... Czuję go z sobą wszędzie, czuję go tu między nami... Wielkość,—wielkość...

Wstał i podszedł ku niej. — Niech pani przeczyta tę scenę, gdy panowie polscy stawiają przed królem alternatywę ożenku... Batory jest w kwiecie sił, planów i soków żywotnych...

Pochyliła się nad zeszytem...—To Zdzicha pismo!...

Tak,—obmyślaliśmy razem, ale to miejsce on pisał.

Nie mogła się odrazu zorjentować w osobach... Jakiś Kmita, Maciej z Przeciechowa, Tarło,—wogóle straszni wielmoże (oczywiście pisane wtedy, gdy nie było co jeść). Właśnie czytała wierszowaną, budującą radę Kmity...

— Przecież to brzmi, jak psalm...

I stało się... Gorący pocałunek, na podobieństwo ostrej szpilki, przebił przez kark całą jej szyję i przygwoździł do stołu...

Z przed szeroko otwartych, tuż nad stronicą pochylonych oczu uciekały litery mężowskiego pisma blade i schylone...

Ciepłe strugi objęcia przeszły przez piersi, szybki oddech smagał szyję... W oczach mignęły skrzyżowane na ścianie szable rosyjskie i fotografje oficerów... I Zdzicha między nimi... Obce oczy, rozpłomienione tak blisko, jakby były jej oczyma...

Na ustach piekący ogień pocałunku...

— Nie, nigdy,—nigdy...

Czarne rękawy, zakończone wąskim błyskiem mankietów, zwijały się dokoła niej tak szybko... Nikt nie gwałcił,— ale mięsiste gorąco dotknięć odbierało możność wszelkiej obrony...

— Nastusia, — Nastusia, — jęknęła Maryśka, odsuwając kędzierzawą głowę Ciąglewicza...

— Na Podgórzu,—odpowiedział zwięźle...

Czarna siła, brzeżona lśniącym kantem mankietów, zdawała się napadać ją, pochłaniać i rozwierać zwycięsko... Czuła się teraz rośliną, kwiatem bezbronnym... Rozgięte

ramiona trudno już było skurczyć... Uwięziona ręka, nabrzmiewała bezwolnym przebaczeniem...

Maryska wywijała głowę z czarnych ramion roskoszy... niby z chmur ku światłu, szepcąc:—Kiedyindziej, kiedyindziej...

Nagle uczuła wyraźnie, że zostały odpięte podwiązki...

— Cóżto?!

Ciąglewicz przypadł do jej stóp...

Zerwała się i pełna godności, przeszła do sypialni... Oparłszy się o drzwi od pokoju Nastusi, w pobliżu kanapy, na której spał Feluś, czuła się bezpiecznie...

Przyszedł tu za nią... Przywlókł się raczej, skruszony,— jak na ścięcie... Żebrał...

Żebrał oczami, każdym ruchem... Ukląknął przy niej, z głową pochyloną ku ziemi, powtarzając potulnie kostkom parkietu: Dlaczego, dlaczego,—dlaczego?...

— Bo nie...—Mogłaby teraz głośniej krzyknąć, Felusby się obudził i byłaby ocalona... Ale jakiś dreszcz zamykał jej gardło, szeptała więc tylko z rzewną, jęczącą prośbą:—Feluś, Feluś,—Feluś...

Ciąglewicz zaś przepraszał, potulnymi objęciami oplatając jej uda...

W tem skrzypnęły za nimi drzwi,—przeraziła się, nie wiedząc, że to on je popchnął... Pociągnął ją do pokoju Nastusi... Zamigotały w oczach Maryśki złocone kulki na poręczach łóżka...

Delikatnie i stanowczo ściągał z niej odzież... Z elegijnym żalem, jakby na wieki się z nią rozstając, patrzyła Maryśka na części bielizny, spadające na podłogę...

Aż wreszcie, prawie nagą, pokrytą gęsią skórką, drżącą z zimna—zwyciężył...

Chciała go odprowadzić do przedpokoju, jakoś to wszystko pogodzić z dobrem wychowaniem. Nie mając nic innego pod ręką, odziała się w szlafrok Nastusi...

— Nie, nie, nie kładź tego,—ja sam wyjdę...

— Muszę przecież drzwi na zatrzask zamknąć...

Było już późno.—Ciąglewicz śpieszył się... Stali w przedpokoju, oboje sini w świetle tej dzikiej lampy. Maryśka była bardzo smutna... Ciąglewicz leniwie pasł jeszcze zmęczone wargi gładkością jej ramienia...

— A wie pan, jaki dziś dzień?...

Nie wiedział, do czego to zmierzało...

— Dziś piątek... Podobno wszystkie ważne wydarzenia pańskiego życia odbywają się w piątek...

Uścisnął ją serdecznie, zamiast odpowiedzi...

— Ale jeszcze jedno, jeszcze jedno, panie Franciszku...

Stał gotów do drogi, z piaskową narzutką na przedramieniu, z zeszytem i słomkowym kapeluszem w ręku...

— Bo,—ukryła twarz na jego wyniosłej piersi,—bo nie wiem, czy z tego nie trzeba się będzie spodziewać małego Ciąglewicza?...

Poważnie, tak, jakby stał za stołem w bibliotece przy katalogach, zapewnił ją, że nie...—Wszystkie gwarancje...

Wtedy przygarnęła do siebie jego głowę i pierwszy raz, mocno, serdecznie ucałowała w usta...

Cóż teraz pozostawało na jutro, pojutrze i na przyszłość?!...

Godność,—albo łzy... Lecz łzy nie chciały płynąć...

Próbowała płakać zaraz następnego dnia rano, tak szczerze, tak serdecznie, — napróżno! Była nawet w tym celu w parku krakowskim nad „swym" jeziorkiem przy łódce... Ale łzy nie chciały płynąć...

Nasłuchiwała też pilnie wyrzutów sumienia... Lecz wyrzuty sumienia nie zjawiały się, ani na widok fotografji Zdzicha, ani na widok całkiem zresztą wesołego Felusia...

Mój Boże,—myślała Maryśka, plącząc Batorego z własnem życiem i z Lady Makbet,—mój Boże!... Szczęśliwa taka Lady, zabiła kogoś i rąk domyć nie mogła,—a tu mnie przecież honor przepadł i nic, nic nic,—ani łez, ani wyrzutów żadnych...

Nawet rano miała większy apetyt, niż dawniej... Fizjologja, ta straszna fizjologja!... „On" powiedziałby, — trzeźwość codzienności.

Jednak jest się wprost potworem... Co za rada?... Jakie wyjście?

Jest jedyne wyjście, — godność, godność, i jeszcze raz godność... Tym pancerzem pokryje się jadowite wnętrze grzechu... Ten pancerz nie opuści teraz Maryśki...

Stateczność, dokładność i godność...

Po kąpieli zwłaszcza, gdy żadnych fizycznych, ani chemicznych śladów być nie mogło, uczuła Maryśka całą surowość podjętego brzmienia... Przedewszystkiem „on", on to uczuje...

Nie mój panie, nie żadna łatwa zdobycz, a kobieta, — cierpiąca kobieta...

Właśnie teraz, już na przekór, poszła do Ciąglewiczowej...

Ciąglewicz w przedpokoju, przy lwie szwajcarskiej wolności chciał dziękować...

Nie pozwoliła. Nie ustąpiła też ani na włosek w salonie, pod portretem jakiegoś przodka, gienerała... Ani na włosek... Nie mogła była nie przyjąć pocałunku, boby to znaczyło, że wczoraj była tylko,—„chuć"... Ale samą,—wargami nawet nie ruszyła...

To trudno, niech szaleje... Nie wytrzymał i przyszedł do niej...

Błagał...

Godność... Odszedł z kwitkiem...

Na drugi piątek (akurat tydzień) przysłał „szalone kwiaty",—poprostu szalone.

Aż Nastusia nie mogła się wydziwić... I tego samego dnia był wieczorem. Znów błagał, zaklinał...

Godność...

Nawet dokuczał. Cały wieczór dokuczał Adolfem... Obrażał ją poprostu...

Jutro Karowscy przyjeżdżają, będzie pani miała znów swego pazia...

Maryśka nic,—tylko czarna szrama przez czoło, niby na rozpękniętej płycie przykazania...

Nie dręcz mnie, jestem wiecznie sam...

Maryśka nic,—tylko—godność...

Wtedy rzucił się na nią brutalnie i przemógł siłą...

O ile ktoś uważa, że brutalne zgwałcenie kobiety jest tryumfem, to owszem odniósł wielki tryumf...

Ale wymówiła mu dom i przebaczyła dopiero wtedy, gdy na wychodnem dał słowo honoru...

Teraz miała go w ręku...

Nie było dobrze Maryśce z tem wszystkiem. O,—gdy odpływała wzburzona fala, było jej nawet ciężko. Bo cóż się dzieje w końcu, gdzie ją prowadzi ten czas i co przynosi!?...

Gdy następnego dnia rano spostrzegła, że ma sińce na ramionach i na udach zgroza ją objęła.,. Czuła się źle, tak źle, jak się chyba muszą czuć te kobiety, które dają sobie za pieniądze gasić papierosy o uda, lub ramiona...

Czytała to kiedyś w Krafft-Ebbingu...

To też jeszcze bardziej ucieszyła się Adolfem.

Przyleciał w niedzielę rano, zawsze w tym samym młodzieńczym kapeluszu skautowskim. Ucałował serdecznie obie jej ręce i zaraz,—żeby mu dała Felusia na spacer i że będzie tu wieczorem w pewnym bardzo ważnym interesie...

— Dla pani dobra...

Wieczorem, gdy usiedli pod lampą do herbaty, zobaczyła, jak zmężniał... Opalił się. Oczy mu złagodniały, w ciemnej oprawie, jakby ze skórek śliwy, a takie czarne!...

— Wąsy panu już rosną...

Podniósł dwoma palcami z dumą sztubaka, ciemny puszek.

— Cóż rodzice?

— Nic... Po dawnemu, wszystko po dawnemu... Ale to wszystko później. Na razie...

Dopiero, gdy Feluś usnął, Adolf przystąpił do rzeczy...

Na wstępie pocałował Maryśkę parę razy w rękę, zmięszał się i utknął... A potem, patrząc w jeden punkt przestrzeni wyrecytował.—Pani nie wie, gdzie pani mieszka... I co się stało... Nie wiem, co ludzie i jak ludzie... Ja, co do siebie... Nie idzie o przekonania... Wszystko jedno... Kwestja honoru... Zresztą, jak kto czuje... Powiedzieć taką rzecz jest bardzo trudno... Ale pewnych spraw w stosunku do osób...

Jestem męczczyzną i powiem... Tak jest!! Pani mieszka w domu publicznym!...

Zasępił się, usta mu zsiniały z wrażenia.

— Panie Adolfie, pan bredzi!

Wówczas Adolf w szlachetnem oburzeniu ukląkł na kanapie i złożył ręce, jak do modlitwy: Klnę się jedyną rzeczą, którą kocham, klnę się na Piłsudskiego,—że w domu publicznym!...

Jakaż obrzydliwa historja.—Po wyjeździe Maryśki, dowiedziawszy się, że Smolarski, który się miał mieszkaniem opiekować, też uciekł,—Adolf postanowił pilnować...

— Pani Zatorska i mieszkanie pani, pani Marjo, to były dwa moje zadania, dwa moje hasła! Wiem wszystko!...

Teraz odrazu rozwiązała się zagadka śmierci wuja...

Ładny wuj!

Więc tu, tu gdzie żyli oni, kiedyś, jako małżeństwo, tu gdzie Feluś na świat przyszedł, gdzie przecież mogła

była umrzeć Maryśka,— tu, ta szelma!... Jeszcze jakąś drugą miała z miasta podnajętą!... Więc całe dnie i całe noce same orgje!...

— A czemuż stróż!?! Jako dozorca domu?!!

— Stróż świetnie na tem wychodził, gospodarzy niema, połowa lokatorów uciekła...

Adolf śmiał się głośno z całej tej historji o spadku.

— Niech pani temu nie wierzy! Te fotografje, ci oficerowie, to wszystko kochankowie...

Adolf mówił o tem Smolarskiemu, błagał go.

— Ale Smolarski fujara, bawi się w „idjotę“ Dostojowskiego, zwątpił o wszystkiem, nawet o Ojczyźnie i podnosi upadłych ludzi...

Maryśka podziękowała spokojnie,—och, godność, godność,—zamknąwszy za Adolfem drzwi.

Płakała do późna w nocy na cały świat, na krzywdę i na siebie. Ona też, ona też...

Wyrzuciła ze swego łóżka całą pościel Nastusi, zapowietrzoną, przeniosła się odrazu do trzeciego pokoju.

O tak, teraz wiemy, naco on był podnajęty!... A myśl że w tym samym pokoju i ona też, ona, Marja Miechowska!..

Teraz zaraz, w nocy wyrzuciła wszystkie kwiaty od niego, które jakoś dotąd stały mimowoli w wazonach,—rzuciła do kubła...

A, Nastka, żmija niegodna, taka odpłata za naukę? A ona Maryśka też w tym samym szlafroku... Wyrzuci ją, natychmiast ją wyrzuci...

Obfite łzy odkupiły wszystko, przynosząc Maryśce znaczną ulgę.

Nie spała całą noc. Rano zaraz wyprawiła służącą na miasto. Gdy rozległ się potrójny umówiony dzwonek Nastusi, zamknęła Felusia w trzecim pokoju na klucz i wyszła otworzyć.

To się skończy odrazu w przedpokoju...

— Żeby mi cię tu więcej nie było, rozumiesz! Ty!...

Nastusia pod rondem nowego zielonego kapelusza zbladła, jak płótno.

— Zabierzesz mi się stąd odrazu! Raz dwa!... Szkoda czasu... Wiem wszystko...

— Co pani wie?! — Blade usta Nastusi uniosły się ku górze drżącym wygięciem.

— Wiem wszystko od początku do końca! Rozumiesz!

O tym spadku,—ładne to spadki, niema co mówić! Zabierzesz rzeczy... Zamówisz sobie ludzi i wyniesiesz się, ty!!...

Godność,—godność... Maryśka nie mogła więcej powiedzieć:—Ty zakało!!

— Jaka zakało?! Jaka ty!

— Słyszysz?! Wiem wszystko!

— Ja też wiem, — rozdarła się odrazu „po służącowsku“ Nastusia.—Ja też wiem swoje, a nie mówię.

-- Precz, precz! Precz!!...

— Jakie precz?! Ja pani nie mówię co się tu z kwiatami i bukietami wyrabia!

— Szelma!

— Tylko bez „szelma“ i bez „ty“! Łaska pańska na pstrym koniku! Dzisiaj pani, — a jutro szelma! Nie wiem jeszcze, kto szelma?!

Zaczęły krzyczeć obie, coraz głośniej, oczywiście wkrótce wyszła kwestja o pieniądze... Nastusia ulżyła sobie serdecznie...

— Jakeś taka pani, to zapłać za ten rok, com ci twoje stare graty przechowywała!...

Tego już było Maryśce zadużo. Zagroziła wprost, że sama się nie będzie ujadać...

— Pan Ciąglewicz cię nauczy!

Na to Nastusia, ze słowami, — a wzywaj sobie swego Ciąglewicza,—roześmiała się na całe gardło...

Chyba sama bezczelność może się tak śmiać...

Felek, zamknięty w pokoju, darł się w niebogłosy.

Maryśka zostawiła klucze, nakazała, że,—w przeciągu dwóch godzin ma cię tu nie być,—i pośpiesznym krokiem, ciągnąc za sobą Felka, udała się do bibljoteki... Razem z synem, spłakana, weszła tam, gdzie zwykle pracował Ciąglewicz. Właśnie jacyś starszy panowie z siwemi brodami (pewno profesorowie uniwersytetu) radzili coś u niego.

Franciszek, widząc Maryśkę z synkiem w urzędzie, przestraszył się i zmięszał...

Przeprasza,—bardzo ważna konferencja, zaraz zbiegnie na podwórze...

Maryśka, z godnością obrażonej wdowy, zeszła na dół. Słońca tu było pełno,—niema większej ironji, jak w przyrodzie!... Po kamieniach tańczyły białe iskry upału, a pod krużgankiem unosił się szary kurz, cierpliwym oddechem.

Czuła się teraz w tych murach, jak więzień, jak ska-

zaniec... Jak ta śliczna dziewczyna z oleodruku, który zazwyczaj wisi u dentystów... Dziewczyna z rozpuszczonymi włosami, z kamiennym wyrokiem na szyji a obok kat...

— Więc co się stało?—zapytał Ciąglewicz.

Opowiedziała mu wszystko. Stwierdził, że to straszne, okropne, ale nie zdziwił się zupełnie...

— Pan to przyjmuje tak spokojnie?!

Gorzki uśmiech rozszerzył mu usta.—Podłość ludzka jest tak wielka!...

Kazała mu przyjść wieczorem, albo, — bo nagle godność ją objęła niezwyciężona, do ostatniego tchu:—Albo, może pan nie ma czasu, to sama sobie poradzę?... Udam się na policję...

Połowy rzeczy Nastusi do popołudnia już nie było... Na stole kartka od Smolarskiego,—że resztę zabiorą ludzie jutro rano...

Maryśka nakazała stróżowi natychmiast,—nie wiedział teraz stary Hałas, gdzie ma oczy podziać ze wstydu,—znosić rzeczy ze strychu.

Należała się tym gratom satysfakcja. O—teraz właśnie wytrwa Maryśka na stanowisku, zostanie w tym mieszkaniu, za nic go nie opuści,—musi nastąpić zupełna rehabilitacja...

Tylko pieniądze!?...

Nie chciała się zwracać o to do Ciąglewicza, ale musiał jej przynajmniej poradzić... Nie dość, że upadła, nie dość tego wszystkiego,—ma być jeszcze winną słudze?...

Dopiero szarówką, gdy się przyciemniły kontury sprzętów, gdy z naprzeciwka zabulgotał jakiś codzienny walc,—przyszła Maryśka do przekonania, że jest wielka różnica między nią a taką Nastką...

Ciąglewicz szalał, błagał, prosił, kochał,—tu było przecież uczucie... Nawet równać nie podobna!

Przyszedł wieczorem, w oznaczonej godzinie, nabrzmiały powagą chwili, akuszeryjnie przyjacielski...

— Może nie powinnam zwalać panu na głowę tych kłopotów...

Zaprzeczył... Strzepnął palcami, jakby te kłopoty były piórkiem wobec tych cetnarów, któreby dla niej pragnął dźwigać...

— Pan ma przecież dość kłopotów z żoną...

Uniósł brwi, jak człowiek, który wie, że każda doskonałość rodzi się jedynie z bezgranicznej miary cierpienia...

— Więc radźmy...

Zasiedli przy stole, Ciąglewicz wziął ołówek do ręki i czekał. Po długim kołowaniu ustalili cyfrę tysiąca pięciuset koron...

Napisał to na szczycie pustej stronicy. Niżej miały następować plany...

Maryśka, ufna w jego siły, aż kucnęła na krześle, wlepiwszy w papier zaciekawione spojrzenie... Ciąglewicz wyciągnął srebrną papierośnicę stuknął mundsztukiem o kant, zapalił, przyjrzał się ognikowi,—i zamyślił...

Miła, dobra otucha wstępowała już w Maryśkę... Jednak w takich przełomowych wypadkach może radzić tylko mężczyzna...

Ciąglewicz postawił pod cyfrą kilka trójkątów, floresów,—cieniował je skrupulatnie i myślał...

— Proszę pani, — rzekła nagle, patrząc przez okno na pierwsze, rozbłyskujące gwiazdy.—Całą tą sumą, w tej chwili tak odrazu nie rozporządzam...

Maryśka, zamarła bez ruchu na krześle. W głowie jej, jakoby przez całe czoło, od skroni do skroni, rozsiadło się jedno szerokie słowo,—„zapłata“!...

Ciąglewicz mówił spokojnie, że całej sumy nie mógłby na razie z nikąd pożyczyć... Sam też taką gotówką nie rozporządza... Ale mimo to nie zawiedzie, dotrzyma ewentualnie obietnicy i całą Nastusię spłaci, powiedzmy w przeciągu czterech miesięcy...

Przerwała mu: Ależ to był żart, nonsens, poprostu tylko zdenerwowanie!...

Maryśka czuła, że jeśli teraz nie udowodni sobie, iż jej „upadek“ spowodowany był prawdziwą namiętnością,—to chyba utopi się, albo zabije...

Dla tego doświadczenia postanowiła wszystko poświęcić...

— Napije się pan herbaty?—Ależ nie, nie obrażam się, nie mówmy już o tych pieniądzach. Mam już inne rozwiązanie sprawy...

Dała mu tej herbaty i rozmawiali. Ciąglewicz zrazu był jeszcze sztywny, ale potem „zaczęło mu przechodzić“... Ujął jej rękę.

Dała mu ją,—baw się, baw, igraj z prawdziwem nieszczęściem...

Objął ją za kolana? Przysunął się, objął przez piersi?

Mężczyzna nigdy nie wie, co się dzieje w sercu kobiety!

I kiedy w końcu szerokie, ciepłe usta przytulił do jej ust, szarpnęła się jak ukąszona, jakby szałem nagłym dotknięta...

Niech się dzieje, niech się dzieje!!!

Rozpinając szybko na sobie zapięcia i haftki, drżąca od egzaltacji powtarzała:—To musi być, to musi być!...

Pragnęła tylko, żeby mówił...

— Mów, mów, mów... Mów, bo spalę się ze wstydu... Czego ty chcesz odemnie, czego? Pytała tak długo, tyle razy, póki wreszcie odpowiedział, że nie wie, nic nie wie,—bo ją kocha...

Wówczas zaś Maryśka, jak ktoś sumienny, kto za swój żmudny trud otrzymał nareszcie przyrzeczoną zapłatę, podwoiła gorliwość. Przegięta między zrzuconemi sukniami, obnażona do połowy, spływająca wciąż na jego oczy jedwabistym żarem swych piersi, pytała raz po raz,—za co kocha?...

Nie wiedział, goniąc tym słowem po całym jej ciele i kładąc je skwapliwie we wszystkie drgające zgięcia.

— Widzisz, nie tylko spokojne zdarzenia przynosi ci twój piątek (dumna była, że pamięta ten szczegół), burzę ci też przynosi!...

Zgasiwszy światło, spowili się w rozkoszy na szorstkim strzyżonym włosie Naśtusinej kanapy. Maryśka w wielkiej świątobliwej egzaltacji postanowiła, — właśnie dlatego, że mnie kochasz, że nam tak dobrze razem, właśnie dlatego, że jesteśmy tacy biedni,—postanowiła zrobić coś szlachetnego, na pamiątkę tego wieczora...

— Wszystko, co rozkażesz,—szeptał, cisnąc jej smukłe plecy ku sobie.—Zrobię wszystko, co chcesz... Prosił ją o ten rozkaz gorącymi pocałunkami, składanymi na obu rękach.

— Już wiem. Pojedziemy do Z..torskiej, odniesiemy jej te rzeczy... Pójdziemy razem...

Przystał z radością. Nawet wytłomaczył jej, śmiejąc się białym pożarem oczu, że, bezwiednie spełnia ona starą wielką zasadę historji i ludzkości, w myśl której, umarli zawsze prowadzą żywych.

Maryśka zaś mając tę obietnicę wspólnej pielgrzymki, — bo to przecież misja, nieomal wspólny ślub, wspólne

uszlachetnienie w obliczu ludzkiej niedoli,—jednym ruchem ściągnęła przez głowę, batystową swą koszulę...

Potem, później, na drugi dzień i jeszcze później wstyd jej było, że wmieszała w to Zatorskiego... Jego bohaterski cień... Ale umarli prowadzą żywych,—i to jest prawda...

Wybrali się tam wieczorem. Ciąglewicz przyszedł, nawet, jakby trochę uroczyściej ubrany, co bardzo przyjemne sprawiło na Maryśce wrażenie. Pod pachą niósł swą skórzaną teczkę docenta, ze skryptami Zatorskiego.

Maryśka dała mu zawiniątko w malutkim kuferku.

— Czy to jest wszystko?—spytał dla ścisłości.

— Wszystko... Jak te rzeczy wtedy Smolarski z Ramkiem zawinęli—tak zostały.

— A jak ci się podoba teraz moje mieszkanie?—Bo postawiła na swojem i z Nastusi śladu nie zostało.

Na miejsce rozbuchanego szychu wróciły skromne meble Zdzichów. Aby Ciąglewicz nie myślał, że ona brzydzi się sobą teraz, aby zrozumiał, że potrafi patrzeć przeszłości prosto w oko, rozstawiła te rzeczy tak, jak były przedtem.

— Podoba ci się mój kochany?

Stali na środku sypialni, oboje w płaszczach, on z kufereczkiem, ona z jego teczką, niby nowi goście, którzy oglądają numer w pensjonacie...

— Wolę moje stare madeje (nazwą tą określała swe łóżka bez materaców), niż tamte zbytkowne, wstrętne,—brrrr...

Ciąglewiczowi podobało się to bardzo. Uważał, że okazała dużo delikatności, a widok tych właśnie dawnych jej mebli, ich dawne rozstawienie, napełniało Franciszką gorzkim, lecz silnym pożądaniem...

Wzięli dorożkę i już o zmroku pojechali. Zdziwiła się że nie za kolej jadą.

— Nie, nie za kolej, Zatorska mieszka teraz pod Wawelem.

W czasie jazdy nic do siebie nie mówili, chłonąc skupienie swego szlachetnego uczynku... Ciąglewicz zatrzymał dorożkę na Grodzkiej, tam, gdzie się już zaczyna Wawel.

— To tutaj?...

— Nie, nie tutaj. Ale może ten kawałek przejdziemy piechotą.

Rada była, że oto jej przyjaciel, chociaż uczony i docent, ma też swoje poetyckie fantazje.

Ciąglewicz prowadził Maryśkę, ująwszy wysoko pod ramię, tak, że czuła pod piersią każde silniejsze dotknięcie jego napiąstka.

Zatrzymali się przed Kurzą Stopką. Wysoko, pod zieloną szarfą starych drzew, rozwijały się wyniosłe mury, przerywane rzędami prostych, pańskich okien.

— Trzeba mieć wielką pewność siebie, aby móc patrzeć przez takie okna...

Zawsze umiał powiedzieć coś tak słusznego...

Tłomaczył Maryśce, ile potęgi jest w takiej budowli...

— Bo to się nie bierze z powietrza... Ci ludzie Wawel nosili w kościach, jak my nosimy w naszych kościach styl Zakopański... I widzisz, jak długo tu była stolica Polski, jak długo bliżej tronu byli małopolscy panowie, ludzie z tłustych, płodnych ziem tutejszych, tak długo rozum polski mierzył gruntownie dolę swych przeznaczeń... Gdy przeniesiono stolicę do Warszawy, gdy bliżej centrum Rzeczypospolitej znaleźli się mazowieccy piaskarze!...

Troszkę ze wzruszenia, a trochę od nawału wiedzy Ciąglewicza, drżała Maryśka... Bała się tylko coś powiedzieć, bo tramwaj z Grodzkiej ulicy dzwonił ustawicznie i nie mogła skupić myśli...

— Co do mnie,—rzekła nakoniec,—najchętniej żyłabym w tej Kurzej Stopce... W tym pokoiku... Byłby cały wysłany makatami...

Ciąglewicz spytał ją zalotnie, czy samaby tam chciała być?...

Gdy zaprzeczyła głową, zapytał z kim i czy całe życie?...

Nie odpowiedziała, przejęta nagłym smutkiem... Zresztą, może to tylko „Historja“ napełniała ją takim żalem... Wszystko to, co się już stało, tak smutne jest!...

Ciąglewicz obrócił ją delikatnie, w lewo, ku kościołowi świętego Idziego.

— Jakie to piękne...

— Gdyby mnie wszystko zawiodło w życiu,—odpowiedziała,—to chciałabym mieszkać w takim klasztorze... Wyobraziła sobie, że już ją zawiodło nawet i że tam mieszka... Nikt nic nie wie,—a ona mieszka tam, pod tym starym, podgiętym dachem konwiktu, którego wyblakłą dachówkę obrębia srebrno-zielona plisa wieczoru... W tych murach skupionych i cichych, jak przebyte zmartwienie...

I tam już, gorące jej ciało, ładne nogi, nie zaduże piersi są—dla nikogo... I z myśli jej, — jak z tego dachu skromna nieśmiała wieżyczka, — wybiega ku Bogu prosta modlitwa...

— Jacy oni byli szczęśliwi, że wierzyli...

Ciąglewicz uściskiem ramienia pochwalił to westchnienie...

W sieni domu, ciemnej i ponurej owiał ich stęchły zapach łup ziemniaczanych, a na drugim piętrze dziwna woń karuku.

W pierwszej izbie uczyli się chłopcy za stołem, pod lampą. Wszędzie na krzesłach, łóżkach, oknach leżały otwarte książki i zeszyty.

Zatorska przyjęła gości w drugim pokoju, nieco lepszym, gdzie było jej łóżko, kołyska najmłodszego synka, stół, z maszyną do pisania i trochę jakichś pozorów, jakichś resztek lepszej doli...

Maryśka, mimo że uprzedzili byli Zatorską, obawiała się scen i wybuchów... Tymczasem wszystko szło, jak z płatka... Przywitały się bardzo serdecznie, ucałowały...

Zatorska zczerniała przez ten rok jeszcze bardziej, a mały klinek wysuszonego dekoltu, zapadający tak nisko, wyglądał pod gazą z mory, jakby odarty ze skóry...

Goście usiedli po obu stronach okna, z którego widać było wydatny gnat Katedry.

Nie odrazu przystąpili do rzeczy... Owszem, zupełnie normalnie — zaproponowała im herbatę, — oczywiście odmówili,—właśnie tylko co jesteśmy po herbacie...

Potem zapytano o zdrowie najmłodszej pociechy...

— Teraz śpi, ale wogóle, — Zatorska uśmiechnęła się przyjemnie,—mój mały Józek...

Więc jednak nazwała go Józefem.

— Już raczkuje, wkrótce do chodzenia się zabierze.

Maryśka chciała go koniecznie zobaczyć. Dreszcz ją przeleciał, gdy Zatorska odkryła zasłonę z kołyski... Malec podobny był do ojca, jak dwie krople wody... Ten sam grymas otwartych przez sen ust...

Jakby legjonista Zatorski jeszcze raz umarł i leżał teraz przed nią, tylko już mały i w małym łóżeczku...

— Śliczny,—rzekła, aby ucieszyć matkę.

Potem mówili o drożyźnie i o robieniu zapasów. Maryśka, opowiadając szeroko o nadzwyczajnych konserwach,

które sporządzała Karowska z pigwy, ginęła przytem z ciekawości, jak się zacznie właściwa rozmowa...

Bo to będzie nietylko rzecz sama, ale jakby rodzaj związku, rehabilitacji, aktu, ślubu, coś, od czego oczy jej napełnione strachem z ulgą spoczywały na Ciąglewiczu...

Rozczarowała się poniekąd, bo Franciszek robił to całkiem poprostu... Oto wyciągnął swą tekę, odpiął, połyskując sygnetem i położył z lewej strony maszyny.

Zatorska sprawdziła spis rzeczy. Zmarszczywszy czoło w małe równe fałdy, przeglądnęła starannie rękopisy.

— Nie było dużo błędów, — rzekł Ciąglewicz, jasnym przytomnym tenorem, — nawet nie mogę właściwie określić, czy to błędy... To zależy czy według Kryńskiego, czy też Akademji...

— Przypuszczam, że na nabywcy zrobi lepsze wrażenie, jeśli przepiszę na maszynie jeszcze...

— Ma się rozumieć...

Stali teraz wszyscy troje. Zatorska opierała lekko palce na białych krążkach liter maszyny... Niby ołowiane chrząszcze na sztywnych drutach, unosiły się wolno czarne znaki i nie dotykając gumowego wałka, upadały z powrotem...

Więc tak, więc tak, więc to tyle, co do manuskryptów...

Teraz Maryśce dech zatamowało w piersiach... Rację miała, że takie rzeczy powinien robić tylko mężczyzna i że taka ofiara, jak ich teraz, z niejednej przewiny może człowieka rozgrzeszyć...

Ciąglewicz postawił blizko lampy kuferek... Odemknął boczne skówki, odpiął główną i otworzył...

— A tu, proszę pani, są te rzeczy... Były one z serdecznym pietyzmem przechowywane przez panią Miechowską...

Dobrze, że wymienił jej nazwisko. Wypadało to poniekąd uroczyściej...

Wyciągnął z walizeczki buty, czapkę, pas, stary notes wygięty, w ceratowej oprawie w kratkę, wreszcie, niby skibę szarej ziemi, sztywną, pomiętą bluzkę munduru...

Zatorska schyliła głowę. Nagle żałosne kwilenie wyrwało się jej, jakby nie z ust, a z malutkiego klinka dekoltu, —tak cienkie i przenikliwe... Upadła twarzą między te buty, na fałdy bluzki... Jej mała ciemna głowa drżała na materji munduru, to znów staczała się między okrągłe nosy piechockich buciarów.

A potem, gdy nareszcie przetarły się te krzyki i wypłynął z nich długi, równy płacz, posypały się też i z oczu Maryśki gęste łzy... Wszak ona też nie miała męża, też musiała się tułać zdana na łaskę i niełaskę... Ona też cierpiała uwiedziona przez obcego człowieka, który z pewnością nie szanuje jej, jak powinien...

Ciąglewicz wyprowadził ją dyskretnie, oprowadzał dokoła Wawelu, opowiadał o jakiejś pracy i zasłudze, przed jakąś sutereną...

— Tu, proszę pani, urodził się i wychował Wyspiański,— mówił Ciąglewicz, stukając końcem żółtego trzewika w żelazne kraty sutereny,—i cóż i cóż?...

VI.

Całe jego życie... Wszystkie myśli... Wszystkie ideje...

Nikt chyba nie wiedział, co to znaczy tak, jak Zatorska... Żaden znawca, żaden Brückner, Feldman, czy Chrzanowski,—nikt...

Nie śmiała już była wyobrazić sobie jaką treść miało to życie, serce, myśli i ideje...

Niema już źródła, które biło niegdyś... Jeno błyszczą suche kamienie... Szły ongiś prawdy radosne,—oto stanęły w miejscu i krokiem dalej nie ruszą... I już ich nie przybędzie...

Ale jej, żony, obowiązkiem jest, aby ich rytm i strofa weszły między ludzi,—jak o tem marzył Stefan...

Marzenie wszystkich wspólnych lat pożycia...

Marzenie,—mówił jej kiedyś,—wszystkich moich ciemnych mieszkań i wszystkich moich cierpień... Ale, cóż znaczą cierpienia?!... Cierpienia i ciemności?! Kochana!... U końca drogi czeka nas dzwon szczęścia! Mój rytm, to, co mnie najgłębiej przenika,—wejdzie między ludzi...

Niczego nie chcę,—mówił kiedyśindziej,—jak tego, żeby, gdy ludziom oczy z nienawiści pobieleją, żeby się im przypomniał pęd moich wierszy... Sztywnych i suchych, jak stojąca grzywa rozjuszonego zwierza... A gdy sobie przebaczają, niech bodaj małym jakimś skrawkiem pamięci, zaczerpną z mego przebaczenia... Słowem, żeby między ludźmi można było odnaleźć czysty okruch mojej namiętnej prawdy, jak złoto w śmietniku... Rozumiesz?! To już, choćby dlatego warto cierpieć, tysiąc razy warto...

Teraz na niej, na żonie, spoczywał obowiązek siewu tego pośmiertnego ziarna... Nie spocznie, póki całej tej spuścizny nie puści w świat... Nie prędzej na grób męża pojedzie...

Więc, jak pragnął tego kiedyś Stefan: Najprzód ogłosi się te wszystkie rzeczy w pismach.... Potem, zebrane, ukażą się w tomie...

Wtedy dopiero odda się żona żałobnemu weselu i rozpamiętywaniom nad utraconem szczęściem...

Połowa zadania była już spełniona... Na wiosnę ogłosiła już cały szereg wierszy patryotycznych „z pochodu z „placówki" z „postoju" z „przemarszu"... Przyjmowano je chętnie, jako pobudki dzielnego bohatera do dalszej walki i wytrwania...

Pewien krytyk w rozumowanym nekrologu dowiódł, że Zatorski był „przekrojem pokolenia"... „Biuro Patryotycznych Wydawnictw" wstawiło parę jego wierszy do bojowej książeczki, którą „każdy żołnierz polski winien mieć w swym tornistrze"...

Teraz, gdy Ciąglewicz zwrócił jej poprawione wiersze „ogólno ludzkie" miała była wykonać dalszą część zadania i ogłosić je też... Była przekonana, że przyjdzie jej to całkiem łatwo... Dzięki chodzeniu z tymi utworami męża dostała pracę.

Została korektorką w dzienniku socjalistycznym.

Nawet rozmawiała z samym wielkim Augurem, z samym Daszyńskim.

Znał Zatorskiego... Przytwierdził to głową tak godnie i łaskawie, jakby u nóg jego, tu, przy biurku, klęczała deputacja Bojarów, oddających klucze Moskwy...

Zatorska wymieniła z dumą miejscowość, w której mąż zginął... Tu, w domu robotniczym posłowi ludowemu mogła, powinna była to powiedzieć... Należało się to obu stronom...

Daszyński przełknął tę wiadomość pobłażliwie. Potem zważył w ciemnym ręku przyniesione wiersze i zaraz przy niej, szparami wąskich oczu zaczął czytać...

Rozglądała się przez ten czas po pokoju redakcyjnym. Na głównej ścianie wisiał brodaty Marks, Engels, stary Limanowski i Piłsudski. Przy drzwiach, w płaskorzeźbie, portret Daszyńskiego. Poseł podobny był tu do drapieżnego ptaka o wyschniętym dziobie i zmrużonych zaczepnie oczach.

Zapytał jeszcze, czy „prócz tego" poważniejszych jakichś

prac nie zostało,—i została korektorką. A kiedy przyniesiono jej do poprawienia, utwór Stefana, omal że nie rozpłakała się wśród połyskujących martwo kaszt...

Zdawało się jej w tej chwili, że Stefan żyje...

Szczęśliwa była, że ma to miejsce, że nie potrzebuje się udawać do żadnych biur, płacących za poległych Legjonistów... Sam fakt, że istnieją takie biura, że się tam za śmierć płaci, napełniał ją niewysłowionym przerażeniem... Jeszcze dobroczynność ma zato spotkać człowieka,—jeszcze i za to dobroczynność!...

Dziś taksamo, jak wtedy, gdy puszczała w świat patryotyczne wiersze zawezwała do siebie najstarszego syna, Adasia... Ubrali się oboje poniekąd odświętnie, oboje umyli ręce i zasiedli przy oknie...

— Widzisz Adasiu, — mówiła Zatorska, — tu jest praca twego ojca...

Uważała, że musi zdać najstarszemu sprawę z tego, co poczyna z tą spuścizną... Pokazała mu egzemplarz, odbity na maszynie.

— Ty, jako pierworodny, gdy mnie nie stanie, będziesz to u siebie przechowywać, jako pamiątkę po ojcu... I kiedyś znów ty, gdy będziesz mieć syna, pokażesz mu tę pracę dziada...

Adaś patrzył dużymi, czarnymi oczyma to na matkę, to przez okno, na purpurowo-czarny załom wawelskich murów, nad którymi płynęło szare niebo... Starał się zachowywać jaknajlepiej i najgrzeczniej, w obawie, by się nie powtórzyło to, co zawsze przy czytaniu wierszy ojca... Najprzód czytanie, potem milczenie, a potem łzy kapiące na papier tak długo.

Wówczas wychodził na palcach i siedzieli we trzech pod drzwiami pokoju, patrząc przez listwę i nasłuchując, kiedy matka skończy wreszcie...

Ciągnęło się to nieraz bardzo długo. Ach, — coby dali za to, żeby ktoś nareszcie ukradł te wiersze i spalił!...

Zatorska zaś wyrzucała sobie, że dzieje się z tymi dziełami męża to, co jak mówił, stało się z Romantykami... To, co miało burzyć, kruszyć, — na wędzidło przekuli głupi kowale!...

Czyżby ona teraz zakładała dzieciom swoim wędzidło, z pamięci o ojcu ukute?...

— Widzisz Adasiu, tu są wiersze twego ojca... To tak,

jakbyś trzymał w ręku nie papier, a serce Stefana, jego myśli, jego żywą duszę i krew... Kiedyś zrozumiesz, że ty sam jesteś z tej krwi... Jutro zaniosę to do księgarza, do wydawcy. Wydawca wydrukuje, ogłosi w książce... Książkę tę będą czytać różni ludzie... I...

Nie mogła znaleść tego stosunku nagrody do straty, jaki zachodzi między wydaniem książki a śmiercią męża...

— Jeszcze nie rozumiesz tych wierszy...

Czytała mu i tłomaczyła, Adaś słuchał pilnie w nadziei, że przecież w końcu zakrzyczy mały Józio i w ten sposób przerwie się to czytanie...

Wreszcie poszła „do ludzi". Musiała to wszystko załatwić w ciągu jednego dnia, bo nie mogli jej dawać w redakcji ciągłych urlopów...

Szła tak szybko, z tak wdzięczną, cichą radością w sercu, z jaką chyba idzie rolnik zobaczyć, czy wzeszło... Już słyszała te godne, pełne współczucia odpowiedzi redaktorów... Ten, może nawet aż niemiły przydech pośpiechu, z jakim każdy wydawca chwyta modne nazwisko...

Pierwszy, nieoczekiwany zawód spotkał ją zaraz na wstępie w dużym dzienniku mieszczańskim... Tak długo siedziała w przedpokoju obok chłopca, podającego redaktorom herbatę...

Mimo, że dała bilet, nikt jej nie wzywał.

Po pewnym czasie odważyła się położyć parasolkę na ogromnej pace papieru. Tych ubitych pak stało tu mnóstwo. Podobne były do olbrzymich walców kamiennych, jakimi tłoczy się szosy...

Oto,—prasa...

Jakże Stefan śmiał się zawsze i szydził z prasy... Potęga śmietnika,—mawiał po każdej kłótni z redakcją...

A teraz?... Trochę tego papieru (nie ubyłoby z takiego walca nawet na szerokość dłoni) i jest wydana książka i jest wieczysty pomnik jej męża...

Nie mogąc się doczekać, weszła do środka... W drzwiach minął ją chłopiec z mokrymi jeszcze świstkami korekty, tak podobnymi do zabrudzonych podbródków dziecinnych.

W pierwszym pokoju, prócz osowiałych mebli niebyło nikogo... Po całej podłodze przebiegł trzask zeschniętych parkietów... Zatorska wstąpiła ostrożnie na chodnik...

Tak, tak,—myślała, towarzysząc zdecydowaną wolą i od-

wagą, trzeszczącym jękom podłogi,—choćbym się miała skradać nieznacznie, zrobię swoje....

Z brudnych drzwi wyszedł obrośnięty i owisły jegomość o zatroskanem, żółtem czole i wygasłych oczach. Miał na sobie szare ubranie letnie i drukowane w kratkę spodenki... Był to znany, niegdyś głośny literat, który już od dawna milczał, nic nie pisząc prócz nielicznych złośliwych krytyk.

Zatorska w nadziei, że mówi z referentem literackim dziennika, spytała, co myśli o cyklu wierszy, który złożyła... I czy...

Literat przebiegł ją oczyma pobieżnie, jak się przebiega afisz popołudniowego przedstawienia. Wreszcie twarz jego rozbłysła nagłą radością, a potem drobnemi przecinkami jęła się przekreślać, coraz ściślej i ostrzej... Aż w końcu, pośród drgających kreseczek tej konwulsyjnej interpunkcji, widoczna została tylko broda i okrągło otwarte usta.

Jąkał się...—Ja z literaturą?... Nic wspólnego, proszę pani, nic wspólnego... Siedzę, proszę pani, ze słuchawką na uchu w biurze korespondencyjnym... Ma-a-am tam urząd... Czy jabym miał na ziemniaki z literatury?... A teraz oddawna mam na ziemniaki...

Weszła do pierwszego pokoju, gdzie siedziało dwuch,—zaczęła od pierwszego, feljetonisty.

Wysoki ten człowiek powstał, zawisł nad nią i znów wkręcił się misternie między olbrzymią ilość pootwieranych szuflad biurka. Nie odezwał się ani słowa...

Czekała spokojnie i cierpliwie...

Tuż nad piszącym otwierała się co parę chwil, umieszczona w ścianie, drewniana skrytka, w której spuszczano z góry brudne „języki“ korekty. Mechanizm tej komunikacji burczał i rzęził, podobnie do końskiego ziewania.

Fejletonista kładł do skrytki świeże kartki, zadrukowane nierównem, starczem pismem i znów grzebał w szufladach, skubiąc rękopisy i papiery z powolną pasją, z jaką się skubie nagniotki... O wierszach Zatorskiego nie wiedział nic. Raczej nie wiele,—że oddane zostały redaktorowi...

Nic nie mówiąc i nie dziękując poszła do redaktora. Wszędzie trzeszczały pod nią parkiety sucho i twardo... To właśnie hartowało jej upór...

Redaktor,—na ile mu to pozwalał ogromny brzuch, opięty „gołąbkową“ kamizelką,—siedział przy biurku. Nie odwrócił się, gdy weszła. Pisał.

Jakgdyby czerpał wszystkie myśli z trzech ciężkich wałów, w które układał mu się tłusty kark... Bo fałdy te, to bladły, to nabiegały purpurą...

Zatorska była przekonana, że zachodzi jakieś nieporozumienie i że fejletonista poprostu niepamięta... Do redaktora miała o wiele większe zaufanie. Wszak to on pisał ów artykuł na imieniny Wodza, na cześć IMci Pana Brygadjera... Była to pierwsza rzecz, którą czytała po śmierci męża...

Nareszcie zobaczył ją wybałuszonymi oczyma, które świeciły tłusto i jasno, jak okrągłe odcedzone żółtka...

— He he, wiersze?—śmiał się donośnie—wiersze, w tych czasach, gdy światy się walą?!... — Pani ma głowę do wierszy?... Bo ja nie...

Na potwierdzenie tych słów trząsł opalonym podgardlem, które wylewało się z otwartego kołnierzyka a la Słowacki...

Wyjaśniła, o które utwory jej chodzi.

Nie wiedział, stanowczo nie pamiętał... Podrzucając brzuch pchnięciami sparaliżowanego kupra, tocząc niechętnie złotym żółtkiem spojrzenia, wyprowadził ją.

Ale dotarła do samego źródła, do wydawcy i właściciela... Siedział w osobnym pokoju, w szarej alpagowej bluzce, w białej krawateczce pod zmarszczoną szyją, pulchny i świeży, jakby jakiś dzierżawca na wsi, w altanie, czekający na maliny z kwaśną śmietaną...

Oznajmił jej, że to nie te czasy i coś o niemoralności...

Nie wiedziała, czy już ma odejść,—odejść z niczem?... Powróciła znów do fejletonisty... Pąsowy wstyd oblewał jej policzki, sina delta żyłek nabrzmiewała coraz silniej na błyszczących skroniach...

Po długich ceregielach, między jednym kopnięcem skrytki a drugiem, wśród zardzewiałego zgrzytania drutów, na których z drugiego piętra spuszczano w dół szufladkę, — wynalazł skrypt...

— Owszem jest, — rzekł.—I pójdzie... Damy to... Tylko musiało się poprawić w paru miejscach...

Zatorska, uśmiechając się cichutko, przez jakieś białe mgły, któremi zasnuły się jej oczy, wzięła mu odrazu z szarych, zimnych, jak kołki palców, cały rękopis.

Otworzył szeroko usta, pełne czarnych dziur. Ona zaś, przyciskając zeszyt do piersi, niby zranioną ptaszynę,—wyszła bez słowa pożegnania...

Poprawić, poprawić,—trzeszczały za nią parkiety redakcji...

Czyżby Ciąglewicz źle jej poradził, źle rozdzielił utwory?!... Znał się przecież na tendencjach poszczególnych pism?... A tymczasem,—nie wzeszło, nie wzeszło...

Powtarzała to sobie ustawicznie po drodze do katolickiego dziennika, który się mieścił w starym, do olbrzymiej krakuski podobnym, domu, na cichej uliczce przy plantach... Przystanęła, żeby ochłonąć...

Wiało tu jakąś rzewną, emerytowaną polskością... Poczciwa dokładność Andriollego ścieliła się w rysunku małych kamyczków bruku...

Nie wzeszło,—nie wzeszło...

Miły szum drzew z plant podchwycił jej westchnienie i niósł dalej, zda się dokoła całego Krakowa, poprzez liście, nad głowami samotnych przechodniów i rozbawionych dzieci...

Objęta fanatyczną ciszą jednej jedynej myśli ruszyła naprzód, krocząc ostrożnie po karych sękach czysto umytych stopni.

Zaraz w pierwszym pokoju wytłomaczył jej współpracownik żydek, chrzczony podobno przez samego biskupa, że obecnie tych rzeczy drukować!...

— Zasadniczo inny kierunek pisma,—zasadniczo przeciw walce orężnej Polaków...

Roześmiał się dobrotliwie, jakby sprzedawał wyborne rodzynki, których ona nie chce przyjąć...

W redakcji konserwatywnego organu, wytworny redaktor, z dzikim mięsem pod górną wargą, przerwał odrazu całą rzecz:—W tym polskim wojsku byli, proszę pani, chyba sami literaci, każdy z nich zostawił jakąś spuściznę...

Wyszła stamtąd, mokra od potu...

Nie wzeszło, nigdzie nie wzeszło...

Odetchnęła sekundę w kościele świętego Krzyża, na ławce, przed grobowcem Modrzejewskiej... Jaka wielka sława, a jaki kamień malutki... I Wyspiański tu coś śnił kiedyś, podobno... Na rusztowaniach,—o zmroku...

A teraz, w ciche południe, grzeją się tu na piersi biednej żony pomięte wiersze Stefana... Ze zdwojoną mocą odżywać jęły te wszystkie krzywdy, których doznał jej mąż od tych krakowskich ludzi! Cóż,—ją oni nic nie obchodzili,—ale dla niego!... Przecież to jego publiczność... Jego spadkobier-

cy!... Chyba musiała ich szanować, bo inaczej pocóż to wszystko?!

Gdy szła ulicą Wolską, zalaną słońcem, z dalekim, niebieskim stożkiem kopca Kościuszki w perspektywie, przypomniała sobie, co mówił zawsze Stefan o tym kopcu: Martwy Wezuwiusz polski, popatrz, martwy Wezuwiusz... Trociczka...

W Biurze Narodowych Wydawnictw przyjął ją dyrektor, okrągły i rumiany, jak te bułki, których już teraz nie wolno wypiekać.

Usiadła przykładnym giestem skromnej „strony", na brzeżku krzesła, on zaś, założywszy nogę na nodze, przeglądał skrypt...

— To są rzeczy o podkładzie ogólno-ludzkim, nie obliczone na przejściową atrakcję,—wyrwało się Zatorskiej.

Oświadczył, że się namyśli...

— Bo to jest duże ryzyko... Czy pani wie, co teraz najlepiej „idzie"? Idą tylko pamiątki... Literaturę zarzucamy...

Pokazał jej całe szuflady, pełne spinek, broszek, znaczków i tym podobnych, blaszanych dewocjonalji.

— To, proszę pani, idzie... A pozatem lansujemy teraz „ekonomikę"... Polska w cyfrach... Po czynie,—do którego należał chlubnie pani mąż,—trzeźwy rachunek...

Po zniżonej cenie odstąpił jej dyrektor agrafkę z Piłsudskim dwa arkusze papierowych Beliniaków, trzech Sosnkowskich z papierosem „dla trzech pani Budrysów" (Komendanta nie dajemy gratisowo, bo i tak się zawsze rossprzeda). Wiedząc zaś, że Zatorski był w pierwszej brygadzie, dał jej jeszcze „na przejednanie", Hallera na tle huculskim, Minkiewicza w nowej „legjonówce" własnego typu i Januszajtysa w marszu.

Pomagały w tem wszystkiem dyrektorowi liczne urzędniczki.

— Wszystko to, proszę pani, wdowy po naszych poległych... Tak, tak.

Zatorska udarowana i niepozbawiona nadzieji, skoczyła do domu a potem zaraz do Smolarskiego... Smolarski był przecież w tym Biurze Wydawnictw jakimś mężem zaufania, —niech poprze... To nie protekcja, te rzeczy warte są tego!...

Otwarła jej dama, szumiąca kanausem, z piersią, błyszczącą twardo pod sprężonym jedwabiem bluzki.

— Do kogo?

— Do pana Smolarskiego.

— Myślałam, że o pensjonat. Bo ja jestem właścicielką pensjonatu. Firkowska jestem.

— Jestem Zatorska.

Nastusia poznała ją odrazu i dlatego właśnie przedstawiła się zapobiegawczo, by już później nie było żadnych pomyłek...

— Proszę panią.—Przeprowadziła ją przez siedm, czy ośm pokoji, czyniąc honory i ceremonje przy każdych drzwiach.

Smolarski zajmował boczny, zaciszny gabinet. Właśnie spał. Obudzony, przestraszył się.

— Znowu w butach na łóżku, — zawołała Nastusia. Zgromiwszy go gwałtownym podrzuceniem ramion, wyszła.

Usadowił Zatorską przy oknie, otwarł je, sam usiadł naprzeciw, wysłuchał wszystkiego... Następnie, czyniąc wielkie pauzy, jął wyłuszczać swe poglądy.

Owszem, o ile tylko będzie mógł,—pomoże. Te wiersze, jak się ona wyraża, ogólno-ludzie, znane były Smolarskiemu. Nie rozumie się on wogóle na poezji, ale ma wrażenie, że są bardzo piękne... Lecz cóż z tego?...

Przerwał... Patrzyli oboje na twardy zrąb kościoła Dominikanów, biegnący w stalowym mroku, krwawymi schodami, prosto w niebo.

— Piękne są te wiersze,—ale cóż z tego?... Komu to pani chce dawać, po co?... Czy nie wystarcza doświadczenie dzisiejszego dnia?... Ma pani, jak na dłoni tych ludzi, tych ludzi, tych spadkobierców,—ten motłoch!...

— Nie wszyscy są tacy...

— Tacy są ci, którzy rządzą... I których, proszę pamiętać, nikt nie zrzuca z ich stanowisk... To są ci uznani za najlepszych.

— Nie wszyscy są tacy, jak oni — prosiła go nieomal. Choćby pan! Pan do nich nie należy... Proszę nie przeczyć...

— Ja?—Poprawił się na krześle i zapatrzył w przestrzeń.

Pierwsze nici babiego lata chybotały się na drutach telegraficznych i na stylizowanych gzymsach opasłego magistratu, błyszcząc w pustym ciele suchego mroku, jak blizny.

— Jestem taki sam, jak oni, bom słaby. Zresztą mniejsza o jednostki, tu chodzi o sprawę zasadniczą... Nie trzeba, moja pani kochana, by drukowano w Polsce rzeczy wyjątkowe... Nie trzeba, by związane były z życiem i śmiercią ludzi wyjątkowych... Szczerze to pani mówię... U nas już i tak

żyje się na kredyt kilku niezwykle cnotliwych i utalentowanych geńjuszów...

A że mówił to wszystko, obficie chlupocząc śliną, więc miała wrażenie, jakby brnęła beznadziejnie w grząskie błoto...

— Do tej spuścizny, zobaczy pani, przyczepi się za lat kilkanaście, czy kilkadziesiąt, cała chmara życiowych i duchowych wydrwigroszów... Wezmą to za Nomen swego czasu... Przecież nikt im nie będzie pamiętać ich lenistwa... Pamiętać się będzie tylko czyn i śmierć. Będą mówili, — oto, jak Naród walczył i cierpiał... Oto, jak myśmy cierpieli... Ukuty zostanie z tego przykład cnoty... Dla pani przykład cnoty, ale dla Narodu, w objektywnym znaczeniu, — przykład wykręcania się sianem...

Zaczął się śmiać cicho i równomiernie...

Cieniutkim kapuśniaczkiem mżył ten śmiech... Zatorska odsunęła się w głąb pokoju.

— Proszę się nie gniewać, — Smolarski wyciągnął do niej rękę,—trudno poprostu wyczerpać wszystkie możliwości cynizmu, w tak stworzonym przykładzie, zawarte... Dlatego się śmieję... Wydaliśmy Zatorskiego!... Najwyższą zasługą Zatorskich byłoby nie dać się wydać... Na miłość boską,—kłamstwa prawdą nie popierać... Bo w końcu,—do czegóż innego służą u nas Zatorscy?!?

Zaś, gdy wywdzięczając się za to, że ona, jego, Smolarskiego nie stawia na równi z tym motłochem, począł żałować śmierci jej męża, na którą patrzył, śmierci, którą wezmą na procent składany tchórze, majątek moralny z niej zrobią i tym majątkiem się wykupią,—ulękła się Zatorska... Bowiem myśl ta godziła w najwyższe dobro całego jej życia, w celowość tej straszliwej ofiary...

Na szczęście weszła Nastusia z herbatą, lampą (bo elektryczność będzie dopiero od soboty) i z pieczenią na zimno. Zaczęła się rozmowa o pensjonacie.

Z jakąż skwapliwą radością przyczepiła się Zatorska do tych wszystkich gospodarskich kłopotów!... Z jaką gorliwą rozkoszą przytakiwała Nastusi, która syrpiąc wytwornie kącikiem warg, skarżyła się na gości...

— Goście, goście,—wielcy inteligieńci, a nie płacą! Ma pan serwetkę, pocóż chusteczką do nosa usta obcierać?.

Z uczuciem wielkiego wypoczynku przysłuchiwała się Zatorska dyskusji o nazwie pensjonatu. Nastusia twierdziła,

że najładniej będzie „Przystań"... Smolarski nie miał wyrobionego zdania pod tym względem...

Ach tak,—zdawało się Zatorskiej,—jakby ze wzburzonego morza wpłynęła na małą, troskliwie zagospodarowaną wysepkę...

Nastały teraz dla niej ciężkie dnie i ciężkie tygodnie... Siedząc w dużej sali, zajęta korektą artykułów codziennego pisma, odczuwała jakiś zawistny głód druku... Każdy może ogłaszać swoje rzeczy i nawet brednie, ale Stefan... Przejmował ją żal, że właśnie taką drogę, taką nieśmiertelność obrał sobie... Wielka maszyna rotacyjna biła z podziemi, napełniając cały gmach ciężkimi uderzeniami.

Lecz się w nich nie tłucze niezaspokojona myśl Stefana!...

Co czwartek, pozmieniawszy instrukcje Ciąglewicza, zjawiała się w biurach redakcji... Nie zrażała się niczem... Fejletonista nie odwracał się już nawet do niej, redaktor, kuternoga, którego Stefan nazywał był zawsze capem, nie przyjmował jej już wcale, naczelny, zawsze wyletniony redaktor dostawał uderzenia krwi do głowy, na jej widok... Nawrócony przez biskupa żydek katolickiego organu radził jej zamiast „tego", wziąć w komis losy na loterję... Szczerze doradzał...

Loterja na wdowy i sieroty po Legjonistach...

Zamilkły literat, ze słuchawką na uchu, zapewnił, mijając się w drzwiach, że mu to wszystko jedno, bo jeśli Zatorska wyda ten zbiorek, on i tak zerżnie...

— Nikt dziś nic dobrego nie napisze...

Mijając, jak czarny cień od biurka do biurka, z szumem wzburzonej krwi w uszach, z potem upokorzenia spływającym równemi perłami na górną wargę, z uśmiechem dziwnych przezwyciężeń na ustach, przypominała sobie mimowoli sądy męża o tych ludziach... A teraz, jakby każda jej prośba cofała coś z tych sądów śmiałych, przekreślając je sprzedażnie...

Rozpalone oczy Zatorskiej sączyły białe uprzejme światło, ale pod blaskiem jego nie przestawał się roić tłum przezwisk... I żal...

Następnego czwartku uderzył w nią znów cios straszliwy: Wydawnictwo Narodowe odrzuciło ofertę.

— Nie, proszę pani,—tłomaczył jej dyrektor,—to się nie kalkuluje. Primo, te uroczyste czasy już minęły i tego mi

ani pani, ani Smolarski ani nikt nie wytłomaczy... Secundo, —nizał te punkta na tłuste palce, — autor zadaje w tym tomie kłam samemu sobie...

Zatorska aż się wzdrygnęła.

— Tak jest, proszę pani. Te rzeczy są pisane, jak pani słusznie mówi, z punktu widzenia ogólno-ludzkiej miłości... Powiedzmy—rzeczy ogólno ludzkie...

— To musiało być pisane,—ciągnął dalej dyrektor,—przed wojną. Dziś, rzeczy te są już spóźnione... Nie możemy ewentualnym wydaniem ich przekreślać zasługi poległego... Musimy wiedzieć, czego się trzymamy... Albo narodowej zasługi autora,—ale w takim razie wydanie tego tomu o ideach antiwojennych, zasługę tę przekreśli?... Albo uważamy te ideje anarchistyczne za główny moment w postaci Zatorskiego, ale, jak wówczas postawi pani w opinji fakt dobrowolnego wstąpienia do wojska i śmierci?... Ja, osobiście, wydaniem tego tomu, nie mam odwagi przekreślić bohaterskiej sławy Zatorskiego...

Zatorskiej wszystka krew zbiegła do serca... Wracała do domu cicho, na palcach, niby nie chcąc płoszyć ulic i placów miasta, z teczką pełną skryptów, która jej ważyła pod pachą, jak trumna...

Cóż miała robić, komu powierzyć to „wieczne" życie męża?!... Budowały się w niej całe zamki, całe twierdze dumy, przepełnionej wzgardą... Spokojna, żółta, wracała do redakcji i prosiła...

Postanowiła nawet użyć Ciąglewicza...

Poszła nie do niego samego, a do Miechowskiej... Tak będzie lepiej... Widziała ich parę razy na mieście... Zajętych sobą... To znów, wychodzących z cukierni... Raz też spotkała Magdę z Felusiem na spacerze... Zaś przedewszystkiem radził tak Zatorskiej jakiś zmysł, jakaś tajemnicza atmosfera, unosząca się około tych dwojga ludzi...

Maryśka przyjęła ją bardzo życzliwie, z oczyma pełnymi poufnego milczenia... Zatorska rozpoczęła od tego, że jej mąż kolegował ze Żdzichem... Może, gdyby Żdzich był na miejscu, wszystkoby było inaczej...

— Och, gdyby Żdzich był,—westchnęła, zaniepokojona trochę Maryśka...

Spojrzenia obu kobiet spotkały się na jeden błysk sekundy... W tej sekundzie dostrzegła Zatorska pod oczami

Miechowskiej, jakby cień rumieńców... Nawet ów cień znikł w jednej chwili,—ale już wiedziała, czego się ma trzymać...

— Tymczasem, pana Ździcha niema i niema mi kto poradzić... Pan Ciąglewicz dawał mi różne wskazówki, ale jakoś nie wyszły na dobre... Jakoś mi źle poradził...

Maryśka, ucieszona, że „źle poradził“ wyciągnęła szczerze ręce do Zatorskiej: Obie, proszę pani jesteśmy w tem samem położeniu,—obie prawie wdowy...

Zatorska zarumieniła się aż po kraniec czoła.

— Och, ja już zupełnie,—dodała po chwili.

— I obie ten sam kłopot mamy, — ubolewała dalej Maryśka. Wyłuszczyła Zatorskiej swoje plany na te „Królewskie Śluby”... Batory z Anną Jagiellonką... Jakaby to była radość dla męża, gdy wróci,—być już znanym... Właśnie Ciąglewicz, w tym wypadku, pomaga bardzo zręcznie jej nieobecnemu mężowi... Nie mogła wyjść z podziwu, że Zatorskiej źle poradził... Ma takie stosunki w tym świecie...

Aż dech Maryśce zaparło, ze ździwienia od tych stosunków...

— Ale świetnie się składa, — przypomniała sobie nagle... Ciąglewicz ma tu być u niej, lada moment...

Zaprowadziła Zatorską pod rękę przed biurko, na którem leżały stosy arkuszy.

Gdy zjawił się w końcu Ciąglewicz, do słowa mu przyjść nie dała... Źle poradził Zatorskiej,—jakże można?!

A gdy zostali sami, przytuliła się do niego Maryśka, spłoszona i drżąca...

— Przestraszyłam się Zatorskiej... Ona tak patrzy, tak wnika tymi oczyma, jakby wszystko wiedziała... Może się mylę,—ale...

Maryśka bała się teraz wszystkich znajomych dawnych... Ciągle była spłoszona i za każdym razem od nowa, nieomal „własnym oddechem” musiał ją „odchuchiwać“ Ciąglewicz... Nie mogła zapomnieć, że przecież działa się rzecz straszna,—nie mogła dopuścić, by Franciszek pożywał jej ofiarę lekkomyślnie...

Tymbardziej, że niczego od niego nie chciała, prócz miłości... Och,—nie była kłopotliwą kochanką... Była „siostrą“ jego chorej, konającej żony... Jak fachowy doktór znała się już na tym całym Bright'cie, na wszystkich uremjach, skaryfikacjach, białkach w moczu i t. p. Zaś co do swoich

własnych interesów?! Nawet osobistemi przykrościami nie dzieliła się z swym „przyjacielem"...

Czy wiedział co o tem, że będzie musiała sprzedać jadalnię, że od pierwszego nie będzie miała sługi, że, zdaje się, weźmie pensjon u Karowskich,—bo cóż robić?... Czy mówiła mu, że nie może nigdzie znaleźć pracy?...

Nie... Nie sprzedawała się za żadne korzyści... Jednak od kogoś, kto był z nią blisko, musiała żądać i miała prawo wymagać miłości. Miłości i szacunku...

Dlatego też, gdy Ciąglewicz wahał się i wykręcał, że te wiersze Zatorskiego to poprostu propaganda anarchji,— wystąpiła Maryśka z całą siłą: Byłam przy jego śmierci... Ile razy widzę Zatorską, zawsze mi staje w oczach ten jego przestrzelony brzuch... Pamiętaj, że wiersze te oddaliśmy, razem z rzeczami jego, w dzień naszego duchowego ślubu... Wtedy wieczorem... Wobec tego, musimy zrobić wszystko, co można dla tego naszego, niejako, dziecka duchowego...

Oświadczył,—trzymając Maryśkę na kolanach,—że byłaby w stanie na szafot go zaprowadzić, a nie dopiero!... Obiecał zająć się temi bazgrotami. Może nie wszystkie, ale parę z nich napewno umieści...

Potem, pogodziwszy się namiętnie,—rozmawiali o drugim zmartwieniu, mianowicie o Ciąglewiczowej, która stanowiła skryty powód, wzajemnej, piekącej podniety...

Franciszkowi nie dawała spokoju myśl, że w końcu żona jego ginie przez niego...

Maryśce zaś napływały do oczu łzy przerażonego tryumfu, gdy słuchała tych zwierzeń...

— Przeze mnie, moja droga, tylko przezemnie... Pomyśl, przy anemji, — tak częste poronienia... Ale cóż było robić... Nie chciała inaczej... A ja?... Mąż?!... Mnie to było obojętne...

— Mnie nie śmiałbyś narazić na to, powiedz, — dyszała, obejmując go za szyję nagimi ramionami...—Powiedz, powiedz!...

— Od ciebie wszystko, — szeptał, uniósłszy spojrzenie ku jej smagłym piersiom, — od ciebie nawet kruszyny są skarbem...

Ale mimo to nie byli szczęśliwi. Nad nimi też „powiewał" jakiś fatalizm... Czyż mogli byli trwale związać swe losy?... Czyż mogli byli żyć razem? „Każdy stróż, każdy

szewc", czy prosty robotnik, szczęśliwszy był od Ciąglewicza...

Najchętniej więc marzyli, iż oto siedzą na Wawelu, w Kurzej Stopce, Franciszek jest paziem, ona królewną i gdy nikt, nikt, nikt nic nie wie,—spędzają razem całe noce...

— Tak,—zarzucała mu Maryśka,— ale tybyś wtedy był też pewno jakimś profesorem w kapucy, jak dziś jesteś, ostatecznie docentem...

— Nie, nigdy w życiu!...—Rozpaczał nawet teraz, że już nie ma pola, nie ma okazji do szumnego wyżycia się... Rozpaczał, że raz wytknięta linja, więzy zewnętrzne i wewnętrzne, a przedewszystkiem duma (Maryśka rozumiała aż nadto dobrze, co znaczy godność) nie pozwalają mu rzucić się w jakiś wir, szaleć...

Wspólnie szukali tych możliwości szaleństwa... Stale okazywała się jedna tylko: Wstąpić do Legjonów... Ale teraz wyglądałoby to na ekspijację i tego „właśnie naumyślnie" nie dałaby mu Maryśka zrobić za nic na świecie... Pozostawał więc ostatecznie tylko—Batory...

Ostatnimi czasy rósł pod palcami,—olbrzymiał... Nabierał coraz wyrazistszych kształtów...

Maryśce zdawało się niekiedy, że Batory musiał w królewskim swym dalekowidzctwie wiedzieć chyba, że kiedyś nastaną oni—Żdzich i Franciszek... Tak silny między przeszłością a teraźniejszością zachodził związek w tym dramacie...

Rzeczywiście ten król,—jeśli jest życie pozagrobowe,— powinien im być wdzięczny... Żeby się tak starannie wmyśleć w przeszłość!... Przytem podziwiała „objektywnie" siłę życia... Wytłomaczył jej to Ciąglewicz i musiała przyznać, że ją przekonał...

Bo o co chodziło?!

O to—: W pismach Zatorskiego było masę nienawiści... Niepłodne, niepłodne ziarno... Nawet miłość (Ciąglewicz miał na myśli ten ogólno-ludzki tomik Zatorskiego, z którym tyle mieli kłopotu) nawet miłość, owiana tchnieniem wielkiej namiętności, tchnąca promieniami stanowczego jakiegoś rozkazu, rodzi nienawiść i jest przez to grzechem... Nie wolno ukazywać jutrzni, które są zawczesne...

Franciszek zawsze tak głęboko rozumował i tak ściśle biegła jego myśl, gdy trzymał głowę na biodrach Maryśki i patrzył przez przymrużone powieki na jędrne, ściśle jej piersi...

— Pod tym względem, — twierdził, — zawiniły i dotąd winią wielkie duchy ludzkości... Weź Chrystus, weź Mohammed, weź Mojżesz,—ileż oni kosztowali krwi! Wielka nauka, zawcześnie widać podana, jakże straszliwą wywołała gorączkę w organizmie ludzkości... Spowodowała krótkie spięcie... Straszliwy pożar krwi... Lekarstwo było dobre, — zgoda na to... Ale za duża dawka i zawcześnie podana... Jeśli ktoś jest prorokiem, lekarzem człowieczeństwa, to obowiązany jest przewidzieć to! Jedyny nauczyciel Ludzkości, który nie spowodował czegoś podobnego, chiński Kung, znany w Europie pod jezuickiem przezwiskiem Konfucjusza,—ale mniejsza o to... Zatorski, oczywiście nie będąc prorokiem, tembardziej winien się był liczyć z krótkiem spięciem... Żadnej prawdy nie wolno puszczać w świat zawcześnie...

— Prawdziwa miłość,—zakończył Ciąglewicz, spinając się palcami po biodrach Maryśki, wyczuwalnych pod skórą, niby ciepłe gałęzie,—prawdziwa miłość polega na umiarkowaniu. Umiarkowanie to ma zawsze odbicie w tem, jak się dana rzecz w życiu przyjmuje... Dlatego nasz Batory...

Istotnie, ich dramat udał się, przyjął... Był pełny, jasny zrozumiały... Życie dzisiejsze wnikało weń, — jakże szybko i wydatnie... Teatr był gotów wystawić, aktorzy rwali się do ról... Różni mali pisarze nie posiadali się z zazdrości...

— Nawet ekonomicznie rzecz biorąc, to jest sprawdzianem —: Patrz, ile nasz dramat, wytwarzając ruch, wytworzy pieniędzy!... To znaczy całkiem konkretnych możliwości... A rzeczy Zatorskiego?! Widzisz, kochana,—nienawiść jest bezpłodna...

— Pomyśl jeszcze,—tłomaczył Ciąglewicz,—nasza sztuka z kolorem miejscowym... Naprzykład scena w katedrze, podlana ówczesną muzyką...

Wagner wprowadzał na scenę wszystkie techniczne doświadczenia wiedzy (jazda Walkirji jest przepowiednią kinematografu) Ciąglewicz wprowadzi wszystkie wyniki badań historycznych... Jako muzykę w scenie Batorego, w kaplicy, chciał dać coś z muzyki dawnych Rorantystów, którzy za Zygmunta Augusta byli na szczycie...

Maryśka skierowała tę sprawę w stronę Kałuckiego. Najprzód dla tego, że Ciąglewicz nie chciał, by tę muzykę wybierał jakiś zawodowy muzykolog... Każdy muzykolog jest nieudałym muzykiem, jak każdy bibljotekarz, jest nieudałym literatem...

Pocałowała go w usta za tę nadmierną skromność...

Więc w stronę Kałuckiego, bo był prawdziwym muzykiem, powtóre, bo żal jej było Kałuckiego... Zjechała mu żona na kark z pięciorgiem dzieci. Zasiłki stanowiły teraz jedyną żyłę utrzymania biednego profesora... Po trzecie, ze względu na dom...

Maryśka bardzo pragnęła, tembardziej teraz, gdy zwija mieszkanie, widywać u siebie Kałuckiego... Miał on siłę przyciągającą, świetnie bawił ludzi i umiał wytwarzać specyficzne „ciepło zbiorowe"... Bardzo jej zależało na tem cieple... Pragnęła nie obniżać stopy swego domu, pragnęła, by wszyscy dawni znajomi bywali u niej, jakby nigdy nic... Właśnie dawni znajomi, jej i Żdzicha...

W ten sposób wszyscy byli poniekąd świadkami jej biedy i tego, jak sobie dzielnie sama dawała radę...

Ciąglewicz nie rozumiał tej potrzeby widywania obcych ludzi u „siebie" w domu... Dość już tracili czasu na chorobę żony, jeszcze te obce trutnie...

Maryśka jednak wytłomaczyła mu (ona też umiała „tłómaczyć"), że robi to, by stworzyć ich wspólne, „podziemne" życie towarzyskie, jako dwojga kochanków i duchowego małżeństwa...

Uplanowali tę rzecz tak dalece razem, że rozłożyli między siebie ciężary poczęstunku. Maryśka dawała herbatę, cukier, chleb i masło, Ciąglewicz wędlinę, ciasta i nawet wino z domowej swej piwnicy.

Jakieś stare tokaje...

Skoro to ma być bankiet na cześć Batorego!...

Fran nie wiedział nawet, że ten bankiet na cześć Batorego jest równocześnie pożegnalną ucztą i ostatnim wieczorem towarzyskim w tym mieszkaniu...

Tak, tak, musiała je już opuścić! Nie było rady... Nastusia cisnęła z nieubłaganą konsekwencją... Nie spłacić jej niepodobna!...

Maryśka widziała się w tej sprawie ze Smolarskim...

Smolarski jak zawsze... Oczy utkwione w jakiejś, dla nikogo nie widocznej, ideowej dali,—czy w chudych łydkach Harfiarza, pod posągiem którego rozmawiali na plantach...

Na trawnikach jesień i śmieci, przez rzedniejące drzewa, dumnie zarysowany zrąb starego muru. Baszty czcigodne... Z tyłu zgiełk kolejowego dworca...

— Ale decyzja, jakaś decyzja, panie drogi!!

Nie znał tych spraw... Nie miał żadnego wpływu... Nastusia nie upoważniła go... W każdymbądź razie musi podziwiać tę twardą, krzepką energję, z jaką kobieta ta przebija się... Poza tem nic go nie obchodzą, ani jej żadne zaległości, ani obowiązki, ani wogóle cała jej przeszłość...

— Przeszłość bardzo pracowita, niema co mówić, — westchnęła Maryśka.

Z trudem uniosł brwi i zatrzymał je na czole, jakby tam miały na zawsze pozostać, zdziwione...

— Cóż to jest przeszłość, proszę pani!...—Smolarski wskazał mury i kraty Muzeum Czartoryskich, czerwonosine od rdzy.—Cóż to jest przeszłość?! Jednym ludziom można przeszłość wymawiać, drugim przyszłość... Jedna i druga równie jest niewiadoma, — i równie niebezpiecznie jest, sądzić o tem...

Nie wiedziała, co odpowiedzieć w pierwszej chwili, Czuła się nawet obrażoną tem powiedzeniem...

— Zresztą,—cedził powoli Smolarski,—żeby jeszcze jakiś postęp był w tym ludzkim czasie, możnaby sądzić przeszłość... Ale, gdzie pani widzi ten postęp?!

Znów wskazał na mury i baszty.—Dawniej, proszę pani, jeśli człowiek uciekł z gromady, to za tymi murami przepadał, jak kamień w wodę... Teraz nic one nie znaczą i nie przepadnie pani nawet za granicami państwa... Mury padają, a granica więzienia rozszerza się i powiększa...

Zawsze musiał przyczepiać jakąś myśl do jakiegoś sprzętu... Dość już miała tych piernikowych refleksji... Mimo to musiała go poprosić, by się wstawił za nią (o,—Maryśka sobie to odbije po ostatecznym tryumfie Batorego) i stanęło na tem, że spłacać będzie po 50 koron miesięcznie.

Ale to nic, to dobrze, że rzeczywistość, że trzeźwość wypędzała ją z tych starych gratów...

Lepiej to już raz dobrze zakończyć. Miała sobie wyrzucać, że rozlatuje się jej dom, gdy świat cały się wali i jej trzy pokoje za sobą do upadku pociąga?!

Może nie wali się świat?—myślała, jadąc tramwajem do Karowskich po srebrne łyżeczki, na przyjęcie...

Znaczna część sklepów wielkiej ulicy była zamknięta, mimo, że to był powszedni dzień. O ileż mniejszy ruch, niż —dawniej?! A na Zwierzyńcu, za czerwonym domkiem akcy-

zy rozłożone i od zeszłego roku nietknięte roboty nad tamami przy Wiśle...

Wielkie złomy kamienia bieliły się w słońcu, niby stare, wietrzejące gnaty. Zaś statek do pogłębiania dna stał, gdzie go pamiętała zeszłego roku... Czyżby przez cały ten czas ssał piach z tego samego miejsca?...

Nawet statek do pogłębiania dna osiadł na mieliźnie, cóż się więc dziwić zwykłej jednostce?...

Karowscy byli jeszcze smutniejsi, niż kiedy była u nich z wizytą powitalną. Przeprowadzali się.. Oczywiście stara dała jej potrzebne łyżeczki... Dwanaście.

— Ale to pamiątka...

Maryśka uśmiechnęła się rzewnie:—Co dziś nie jest pamiątką?...

— Tak, tak, ale to specjalna pamiątka... Łyżeczkami temi, gdyby mogły opowiedzieć, czerpałabyś naszą dolę, bez końca... To są podarki z wielkich rosyjskich firm herbacianych... Kto weźmie x. funtów dostaje łyżeczkę... Ile lat, niech pani wyliczy, ile musi być lat na dwanaście łyżeczek.,. A ja ich mam dwadzieścia cztery...

Umówiły się też ostatecznie, co do mieszkania... Maryśka brała od nich ten pokoik z oddzielnem wejściem. Na ulicy Kopernika, za koleją.

— Szkoda, że pani tu nie mieszkała z nami. Na Kopernika to już nie to!—Ale nic nie wraca...

Maryśka chciała jej jakoś dodać otuchy.—Na Kopernika, czy na Salwatorze, — niema się co martwić, doskonale pani wygląda, nawet lepiej, niż zeszłego roku...

Karowska wzruszyła ramionami: Jeśli tyję, to ze zmartwienia i ze złego obiegu... Niech pani weźmie, już nie mówiąc o ciele, same tylko myśli ludzkie, gdy stoją na jednem miejscu i ani rusz, nie trawią się!...

Przerwał te zwierzenia Karowski. Bardzo przeprasza, ale spał po południu. Dawniej nigdy nie spał.

— Czy wogóle, nie byłoby lepiej przespać całe życie?...

— Skarżycie się państwo, sami nie wiecie, na co...

Przytakiwał ironicznie:—Sami nie wiemy... Być może, być może...

Schudł, kołnierzyk za duży kręcił mu się luźnie na szyji, kamizelka składała się w fałdy...

W przedpokoju, jakby sobie naraz wszystko przypo-

mnieli... Zaczęli mówić, jedno przez drugie, w mroku starych płaszczów,—że wszystko idzie źle!..

Karowska—że tyle pomarnowano, że nic do rąk żołnierzy nie dochodzi, że w Lidze Pogotowia rządzą młode nieroby, że poziom moralny... Jak szare gęsi... Karowski—że ostatnia wiara podcięta, on który wszystkoby rzucił, teraz nagle zwrot, antiwerbunkowe hasło,—jakiś obłęd...

— Przecież Piłsudski mój dawny druh... Przecież znaliśmy się...

Staruszek ściśnięte kułaki przyłożył sobie do skroni... Wówczas Karowska przerwała mu nagle i wystąpiwszy naprzód, wparła swe ołowiane spojrzenie w oczy Maryśki:— Wie pani, co zrobiłam?! Wzięłam męża z tej polityki i dałam z powrotem do biura... Ot, co zrobiłam...

Karowski cofnął się ku szaragom, pod japońskie wachlarze, które sterczały po obu stronach jego głowy, niby olbrzymie, wielobarwne uszy.

— A jeszcze, westchnął z pod ściany,—Adolf, Adolf...

Maryśka i bez nich wiedziała, co się dzieje z Adolfem. Chłopak trząsł się na starych z oburzenia... Uważał, że matka zupełnie już zgłupiała, choćby od tego jedzenia... Bo teraz ciągle je na zapas... Poprostu na zapas... A ojciec...

— Ojciec bardzo się męczy,—łagodziła Maryśka.

— O tak,—przyznawał Adolf, — od czasu, kiedy z powrotem wstąpił do banku. Ale najwięcej przez to, że nie może zrozumieć naszej teraźniejszej polityki. Wie pani?!— Czasami mam wrażenie, że ojciec nienawidzi Piłsudskiego... Wie pani, z czego to wnoszę?... Proszę wziąć, choćby taki przykład: Zbieram odznaki, rozkazy, skrypty i t. d., dotyczące Legjonów... Nie dali mi iść na wojnę, niech przynajmniej za tych, co walczą, spełnię to, że pozbieram po nich pamiątki... Ojciec śmieje się z mego wojennego archiwum, szczególnie zaś ze wszystkich rzeczy, tyczących Komendanta...

Adolf miał teraz bardzo wiele przykrości z rodzicami... Odbijało się to na wszystkiem, na nauce, na wolności.

— A jeszcze ten pamiętnik! — Uderzył się w piersi.— Ja piszę prawdę... Wszystko, co myślę... Codzień piszę... Ale już nie czytamy razem mego pamiętnika. Rodzice go sami czytają — i nic nie mówią... Zato wieczorami modlą się... Ach—żeby pani to słyszała! Straszne... Modlą się głośno, razem tesame słowa powtarzają... Ale to nie są żadne nabo-

żne modlitwy, czy litanje... To jest coś, — jakieś oświecone modlenie, coś z Comte'a, czy na podstawie jakiegoś innego filozofa, co razem sobie jeszcze na wygnaniu ułożyli... Gdyby pani słyszała stare ich głosy, powtarzające te słowa w ciszu wieczoru... Doprowadzą mnie do tego, że zacznę kłamać w pamiętniku...

Zaprosiła go na swój wieczór pożegnalny. Uważała, że należy się to Adolfowi, choćby za to, iż tak zapobiegliwie opiekował się mieszkaniem w czasie ewakuacji...

Na wieczór ten ubrała się Maryśka, pierwszy raz, w swój bordo kostjum, przefarbowany z dawnego fjoletowego.

Wdziała też dziś czarne, jedwabne pończochy i czarne lakierowane pantofelki.

Dziś skarb,—dawniej kosztowało to parę koron...

We włosy wpięła blady, niebieskawy nieśmiertelnik.

Niech sobie wygląda, jak wschodząca, mała gwiazdka przyszłej sławy... Sławy, wierności, czy też pamięci?...

Niech sobie każdy rozumie, jak chce...

Bo dziś, wysprzątawszy te pokoje, przybrawszy, jak tylko się dało, nie wiedziała czy sławę, powodzenie wita, — czy też opuszcza coś, co było nieduże, szare, lecz bardzo dobre?...

I gdy stanęła na progu salonu, będęcego zarazem sypialnią,—w nowej swej sukni, wyciętej w medaljon, miała wrażenie, że staje na progu nowego życia nieomal...

Pierwszy zjawił się Ramkie.

— Te drzwi się chyba niczemu nie dziwią, — mówił w przedpokoju, zdejmując palto.

Zrzuciłaby go ze schodów za ten dowcip. Ramkie był wtajemniczony w historję z Nastusią a dowcip miał być aluzją do krzywdy, jaka się stała mieszkaniu...

— Nic się nie dziwią profesorze, od czasu, kiedy pana zobaczyły, nikomu się nie dziwią i niczemu...

— Oby! Obym pojawieniem się moim zwalczał tak zawsze wszystkie przesądy...

Ramkie stale rozmawiał z nią w ten sposób. Stale wytwarzał przykrą, duszną atmosferę dwuznaczników i zawsze ostatecznie doprowadzał Maryśkę do tego, że gorąca fala wstydu unosiła jej piersi.

Nie cierpiała go także za wspólnie przeżytą ewakuację... Nie dość, że właściwie, moralnie straciła wiarę w życie i we wszystko wyższe (wystarczyłoby na to, choćby samej tylko

śmierci Zatorskiego) jeszcze ten rudy idjota ze swymi wspomnieniami...

Ale któż lepiej od niego, pomoże w załatwieniu interesu?!

— Chciałbym, żeby ten kupiec, — śmiał się Ramkie, — który ma kupić tę jadalnię, teraz ją widział! Pani ma tak artystyczną rękę w ustawieniu wszystkiego,—hoho!

Chodził dokoła stołu i cmokał:—Ten stół wygląda, proszę pani, jak ogród warzywny! Ślicznie! Nawet wino jest!

Maryśka zamyśliła się... Pierwszy to raz, od czasu przyjazdu i zapewne ostatni, przyjmuje u siebie...

— Gdzież Feluś?—pytał Ramkie...

— Feluś w kuchni, z Adolfem gotują herbatę, gospodarują aż miło!

Towarzystwo już się zeszło. Już chyba wszyscy byli, prócz Ciąglewicza,—a humoru nie było. Rozmowa to się plotła żwawo, to znów urywała...

Dlaczego Fran nie przychodził?! Cieszyła się tylko, że goście podziwiali jej strój. Suknię, pantofelki, nieśmiertelnik we włosach, slowem całą paradę.

A gdy doktór, jej kochany akuszer, wziął się pod boki kusego mundurka i rzekł, klepiąc suchą ręką kant łóżka:— Podobno pani opuszcza to mieszkanie?... — łzy zakręciły się jej w oczach.

— Niech pani sobie z tego nic nie robi,—dodał,—wszystko jedno, gdzie wlecze człowiek ze sobą swe głupstwo, zupełnie wszystko jedno...

— No tak doktorze,—jemu mogła to była powiedzieć,— zapewne wszystko jedno, ale tyle lat tu spędziłam, całą młodość...

Pogłaskał ją po ręce.

Maryśka rozejrzała się po pokoju i nagle zdało się jej, że wszyscy goście są niejako świadkami... A w pośród tych świadków obojętnych wlecze człowiek powoli swe życie...

— Pierwszą młodość kobiety, panie doktorze, tu spędziłam... Tu matką zostałam... Tu...

— No, co jeszcze „tu“? — uśmiechnął się poczciwie. — Wielka rzecz! Z czasem mąż wróci, na innem miejscu zostanie pani znowu matką, — nie wszystko jedno w końcu, gdzie?...

Była mu wdzięczna w tej chwili za tę wzmiankę o Zdzichu... Wzięli się pod ręce i podeszli do Stanisławy, która

pietruszkowała w kącie salonu... Kałucki bardzo się niestety zmienił w stosunku do niej...

Skarżyła się na to Maryśce, której skargi te, pełne zażyłego koleżeństwa, sprawiały niewymowną przykrość... Czyżby Stanisława uważała ją też za czyjąś kochankę?!

— Wszystko mogę przyjąć od ukochanego człowieka, proszę pani... Przyjechała mu żona,—mieszka z nią,—a mieszkaj sobie...

Stanisława skierowała spojrzenie na gzyms krzesła i zaczęła mówić prosto do gzymsa, jakby to on właśnie był Kałuckim:—Pomagam ci, pomagam twojej żonie...Mogę wychowywać twoje dzieci... Dzielę się wszystkiem... Ale należy mi się od ciebie trochę tego uczucia... O tem nie powinieneś zapominać... Winieneś uszanować... A on jeszcze „tej" zawraca głowę, mówi jej, że już gotowa na scenę...

— Komu?

Stanisława wskazała oczyma Janinę, rozmawiającą z Kałuckim.

— Teraz wie pani komu?! Jeszcze coś nowego zaczyna! Czy nie śmieszne!! W tym wieku!.. Innych wojna, przez tęsknotę, łączy, nas rozdziela. Inne małżeństwa są rozdzielone,—on właśnie na wojnę z żoną się zjechał... Niechże pani patrzy: Schudł, „otarbia" się cały, włosy mu na skroniach siwieją, pije... Ale to wszystko tak... Taka natura przekorna! Wojna, to ruch, — prawda?... Innym się na serce coś rzuca od ruchu... A proszę pani, on od wojny hemoroidów dostał... I tak ze wszystkiem... Akurat taki sam ma teraz repertuar... Ciągle tylko jeździ po menażach i patryotyczne pieśni śpiewa!...

Kałucki, oddawna obserwujący Stanisławę i przekonany, że go obmawia, chciał to jakoś przerwać. W rozmowie z Janiną, dla ilustracji, czy pokazania jakiegoś przykładu emisji,—zaśpiewał nagle.

Fala tego pełnego głosu przejęła Maryśkę mrowiem iskier... Profesor patrzył przed siebie. Z jego zmarszczonego podbródka, niby z ciemnych sprężyn wyginał się głos żywy, pewny i gorący.

— Ładnie jeszcze śpiewa, — szepnęła do Stanisławy,— bardzo ładnie...

— Jeszcze, — odpowiedziała Stanisława, — ale to już nie to...

Wszyscy umilkli. Janina patrzyła na profesora z przed-

miotowym podziwem, z jakim się patrzy na doskonały mechanizm. Doktór obrał sobie kwadrat posadzki pod łóżkiem i ściągał białe uszy wysoko, ku czerwieniejącej ze wzruszenia łysinie. Ramkie przebierał palcami. W uchylonych od jadalni drzwiach ukazały się głowy chłopców, na różnej wysokości, Felusia złota, niziutka i czarna czupryna Adolfa, znacznie wyżej.

Ach tak, — nie słyszała Maryśka profesora tak dawno,— i kiedyżto słyszała go poraz ostatni?...

Kałucki śpiewał hymn jakiegoś małego narodku monarchji. Właśnie zataczał ostatnie kręgi kadencji, gdy z przedpokoju wszedł Ciąglewicz. Nie chcąc przeszkadzać, zatrzymał się na progu. Kałucki również w obawie, by wejście nowego gościa nie sprawiło dywersji, skierował właśnie ku niemu spojrzenie. Za nim wszyscy obecni. Wyglądało to, jakby śpiewano na cześć Ciąglewicza.

Stał swobodnie, w czarnym żakiecie, ze stalową krawatką pod kasztanowatą brodą, odrzuciwszy w bok głowę, jakby uniesioną silnym prądem pokłonnej kadencji... Szukał oczami Maryśki.

Czuła na sobie jego spojrzenie, lecz nie chciała wzrokiem odpowiadać... Całe zrosty wspomnień rozerwał w niej ten śpiew...

Nareszcie „hymnik" skończył się. Wszyscy zaczęli bić brawo, Maryśka jednak, obrażona w jakichś dawnych wspomnieniach, nie dała się nawet przywitać obu panom lecz skoczyła z komplementami do Kałuckiego.

Ślicznie, ślicznie profesorze!...

Wziął ją mocnemi dłońmi za ramiona, przycisnął do piersi, jak córeczkę: — Prawda?! Jeszcze małmazja profesora Kałuckiego, jest małmazją! Jeszcze może smakować! Jeszcze nie znać, że stało się z gwerem na mostkach kolejowych i że się „wachę" robiło po szosach! Nie znać, że się teraz kwasotę toczy w szpitalu ze zrujnowanych żołądków landszturmistów! Z nich kwasota płynie,—a ze mnie małmazja... Ale, pani Maryśko, nie zajmujmy sobą... Uwaga musi się dziś skupić na solenizancie!!

Solenizantem mianował Ciąglewicza, ze względu na przyjęcie sztuki przez dyrekcję.

Wszyscy obstąpili radośnie „pana docenta".

Opowiedział im w krótkich słowach swe tryumfy, za-

łatwił z Kałuckim Rorantystów i przeszli do jadalnego, coś przetrącić...

— Po angielsku będziemy dzisiaj, bo całkiem bez służby,—ogłosiła Maryśka.

Ciąglewicz już raz urażony jej przywitaniem, teraz znów musiał jej zwrócić uwagę po cichu!...

— Nie mów głupstw, wychodzi się po angielsku, ale— „nie bez służby". Bez służby, — to jest poprostu po szewsku...

Nawet nie wiedział, jak wielką sprawił jej przykrość... Nie dość, że taki trud i taka dwuznaczna sytuacja, —jeszcze on ze swemi wielkopańskiemi uwagami!...

Herbata ruszyła z miejsca bardzo ostrym tempem. Nie minęło pół godziny, gdy Kałucki, po kilku kieliszkach wina, gadał za dziesięciu.

Był zadowolony ze swego losu i uważał, że niema sensu skarżyć się na wojnę. Jest szaleństwem skarżyć się na to, co jest.. Zresztą wojna nauczyła go „sztuki ograniczenia"... Dawniej żyło się, zataczając coraz szersze kręgi, teraz zstępuje się w siebie i zatacza kręgi coraz głębsze... Prosta rzecz: Gdy wszystko człowiekowi odbiorą, to sam sobie pozostaje... Musi w sobie dłubać, jak w pestce... Poznaje się gruntownie—i to jest dobre...

— W myśl tej zasady,—uśmiechał się do Maryśki akuszer,—najlepiej, żeby się człowiek nie rodził... Wtedy bowiem, byłby odrazu odebrany samemu sobie, i odrazu mógłby być baraszkującą wiecznością...

Z wywodami Kałuckiego nie zgadzał się Ciąglewicz. Twierdził, że rzecz polega nie na ograniczaniu się, a na utrzymaniu miary...

— W takim ograniczeniu się jest dużo nihilizmu... Biernego nihilizmu. Czyli, że jest w tem poddanie się... A w każdym poddaniu się tkwi znaczna doza przesady... A we wszystkiem, co jest przesadą, egzaltacją,—kiełkują ziarna nienawiści... Bowiem, proszę państwa, każda egzaltacja mieści w sobie dużo niewiedzy i braku woli... Każda jest, swego rodzaju mrokiem, posługuje się odruchami, które muszą być ślepe... Każda wykracza przeciw porządkowi i normalnym podstawom wszelkiej racjonalnej twórczości... Tymczasem istota życia polega na pewnym rewolucjonizmie konserwatywnym...

— Nie rozumiemy, — oponował Kałucki, — to jest jakiś kontrapunkt myślowy! za trudne, za trudne!!

— Ależ nic łatwiejszego! — Ciąglewicz wychylił szyję z kołnierzyka: — To, co pan głosił, profesorze, to jest poddanie się chwili. Ja zaś uważam, że chwili nie należy się poddawać, ani ją wyprzedzać, a tylko iść przeciw prądowi, ku źródłom jej... Tam się zawsze znajdzie prawdę... Udowodnię na przykładzie:—Wojna... Krew się leje... Ludzie się rżną... Mordują... Jest wstecznikiem ten, kto bierze w tem udział... Idzie on po linji najmniejszego oporu w stosunku do swej dziejowej chwili... Wiecie państwo, jak dziś wygląda największy burżuj i konserwatysta?! Zakurzony, skrwawiony, żołnierz z okopów, z granatem w ręku... Taki Zatorski naprzykład... Biorąc czynny udział we współczesnej historji, w zawikłaniu dzisiejszej chwili, nigdy jej nie zrozumie, ani ogarnie... Zrozumie ją ten, kto będzie miał siłę pójść przeciw prądowi, ku źródłom zawikłania. Tu jest miejsce na konserwatywny rewolucjonizm... Właśnie za próbę tego kierunku uważam naszego „Batorego i Annę Jagiellonkę“.

Maryśka zarumieniła się, skromnie przyjmując odpowiedzialność za wywrotowe sentencje „ich” sztuki. Kałucki podparł twarz obu pięściami.

— Proszę uważać,—wykładał Ciąglewicz, docentowskim wysunięciem mankietów posuwając rzecz o jeden rąbek naprzód,—jakiż tam oświetlam problem?... Problem żądzy władzy. (Patrz, dzisiejsza wojna). Batory dla władzy poświęca uczucie. (Patrz, życie i śmierć na polu walki). Żądza władzy zwycięża, łamiąc miłość,—w imię czego?... W imię obowiązku. Wszelki obowiązek, moi państwo, jest nieprawym synem żądzy... Obowiązek, dla którego miłość poświęcono, cóż przedewszystkiem niesie w swej istocie?... Niesie miłość samego siebie. Jemu, obowiązkowi, poświęcone zostało kolejno wszystko: Miłość osobista, szczęście rodzinne... Obowiązek zawsze prowadzi w końcu do bezruchu, do nicości... Przypominając więc największe sprawy, wzory, lub przełomy, wokół których, jak dokoła osi, kręci się dzieło ludzkie przez całą przeszłość, czerpiemy, ze względu na moralny sens danego przykładu,—z nicości nic... Na zakończenie tedy, niech mi będzie wolno przepomnieć walną maksymę historji o umarłych, którzy rządzą żywymi... Otóż to jest nieprawda! Czerpiemy z przyszłości—pustkę... „Mądrość historji“ polega na ciągłym powtarzaniu się tej samej czynności..

Każdą głupotę powtarzającą się stale, nazwiemy z czasem mądrością... Choćby przez sam szacunek dla czasu... Z przeszłości czerpiemy pustkę, czyli, jak mówiłem z nicości nic... Ale w rozumnem sprawianiu tej funkcji widzę rewolucjonizm. Bowiem, spełniając ją, przeciwstawiam się bałwanom chwili... W rozumnem utrzymaniu miary przeciwstawienia, leży oczywista podstawa tej stałej anarchji, którą potocznie nazywamy ładem społecznym... Chyba dziś każdy już rozumie, że niema większej anarchji, jak rząd umarłych nad żywymi... Przypomnieć to żywym i wykazać,—jest większą zasługą i większem bohaterstwem, niż dać się zabić i cieniem własnym pomnożyć balast śmierci, który i tak, aż nadto już przygniata żyjących...

— Ach, — zaoponował grzecznie akuszer, — jakażby to była piękna prawda, gdyby, idąc jej ścieżką, nie miało się zawsze powodzenia! Gdyby, idąc tą ścieżką musiało się cierpieć choć trochę!

— To nic, ma rację nasz docent,—krzyknął Kałucki, — cóż rodzi ta cała wojna i krew?!—Wydobył z zanadrza cały plik legitymacji, pozwoleń, przepustek, kart...—Ma rację, ta cała krew rodzi tylko papier!!

Nie podobał się bieg tej rozmowy Maryśce. Zabawa nie rosła, nie wzbijała się wspólnym hałasem w górę... Maryśka samotnie się czuła za stołem, a wszyscy biesiadnicy, choć tak blizcy, czerwoni i głośni, jakby się wynurzali z mętnego snu...

— Wybornie,—zaśmiał się nagle Kałucki,—teraz rozumiem! Każda chwila już była, chociaż jest, profesorze prawda?! I każda biba odnosi się też do jakiejś biby, która już była! To dlatego ja tak wybornie pamiętam, gdy raz z kimś coś jem, kiedy z nim jadłem i co!! Janina, Maryśka, Ciąglewicz, Stanisława, Felek (ciebie tam Ramkie na szczęście jeszcze nie było!) kiedyżeśmy to żarli ostatni raz, tak w kupie?!

Ach,—tego właśnie bała się Maryśka najwięcej... Krążyło to w jej myślach przez cały czas przygotowań...

— Kiedyżeśmy to ostatni raz razem?!—Czerwoną, promieniejącą od wina głowę wsparł Kałucki na rękach i taczał nią z lewej ku prawej, niby ogromną bulwą, którą wstrząsają wartko płynące fale...—Ostatni raz,—krzyknął,—jadło się tak i piło w cywilnem towarzystwie, przed wakacjami, pod

„Czarnym Osłem“... Ale też rozegnało całą bandę,—połowy z nas już niema...

Maryśka zbladła...

— Dobre to były dzieje! Przeto, kiedy nastaje czas na zdrowia, teraz, niejako na przełomie... Gdy mamy nową erę zacząć,—nową sztukę w świat puścić i to jeszcze z moim rorantystycznym współudziałem...

Kałucki, sapiąc głośno stał za stołem i przelewał się uroczyście z nogi na nogę...—Pozwolę sobie... Oczywiście w ręce tryumfatorów, — zwrócił się do Maryśki i Ciąglewicza,—w ręce... Jak-eś to pan powiedział,.docencie?... W rządzie umarłych nad żywymi spoczywa prosta miara anarchji?! Pozwolę sobie wnieść zdrowie naszych nieobecnych! Nie uznaję zmarłych, nie rozumiem!... Zanadto kocham na to życie... Tylko zaraz! Otworzyć ckno! Niech nas nie dzieli szkło od wszechświata, po którym błądzą ich dusze!!!

A gdy oba skrzydła okien otwarto i do pokoju wpadła struga chłodnej nocy jesiennej, Kałucki utkwił załzawione oczy w gwiaździstem niebie...

— Przedewszystkiem zdrowie...

Nie chciał wymienić imienia, by nie urazić gospodyni domu...

— Zdrowie głównego nieobecnego!... Wszak nieobecność jego rządzi nami?! No tak! Pani Maryśko,—vivat! Zdzich, słuchaj!... Dalej: Zdrowie Zatorskiego!! Tak, doceńcie, powiedz pan, żem świnia... Ale niech żyje ten burżuj, ten osmolony konserwatysta z okopów!!

Na to zerwał się Adolf, blady, jak ściana i stanąwszy w otwartem oknie, zwrócony ku konwiwom, jął deklamować.

— Wiersz sierżanta Zatorskiego,—krzyknął na wstępie...

Płynęło to strugą wezbraną, coś o bojach, trudzie, miłości, drodze...

Wiersz kończył się, mniej więcej w sensie,—„by naszej krwi przelanej starczyło wam na rumieniec“...

Z tymi słowami wybiegł zawstydzony Adolf do kuchni...

Zaś, kiedy wznieśli kieliszki i szli winszować Kałuckiemu, Ramkie zbliżył się do Maryśki, stojącej przy oknie:—Ja tam wznoszę cierpliwie dalej tosamo zdrowie, na cześć rozbudzonych dzieci i małej altanki... pamięta pani... Pewnej małej altanki...

Rozpłakała się...

Zabawa prysła i już nie dało się jej skleić. Nareszcie Stanisława dała hasło do odejścia. Pożegnali się wszyscy naraz i wyszli.

Maryśka, oparłszy głowę na krawędzi stołu, między tortem a pieczenią, płakała...

W słodkiej woni orzechowego tortu i w mdłym zapachu cielęciny, myślała z rozpaczą, — że tak już zawsze będzie...

Nawet nie słyszała, kiedy wrócił Ciąglewicz.

A gdy objął ją gorącemi dłońmi przez piersi, wyciągnęła ku niemu obie ręce. On jeden mógł ją jeszcze wyzwolić z smutków tego wątku... On, któremu oddała wszystko, winien był pocieszyć ją i ukoić...

Tymczasem Ciąglewicz, upojony tryumfem, komplementami i winem porwał ją i zgasiwszy światło, przeniósł na łóżko.

— Nie płacz, nie płacz, nie wolno ci płakać inaczej, jak ze szczęścia, mnie cieszą twoje łzy...

Zimnymi palcami rozpinał haftki, ściągał z niej odzież.

Zdawało się Maryśce, że się w głąb zapada, że rozbierają ją chyba—na szafot... Chciała, by ją powoli, słodko przepraszał za jej niezmierną dobroć, on zaś wstrząsał brutalnie jej ciałem i bódł je twardymi mankietami.

— Teraz jesteś moja... I żeby przez to miał. ktoś umrzeć,—jest mi to wszystko jedno... Jesteś moja!

Och tak, czuła się więcej, niż jego,—czuła się rzeczą... Z niewolniczym podziwem patrzyła na gwałtowne ruchy Frana i twarz, jakgdyby nabrzmiałą zachodem słońca...

— Nie wolno ci się opierać,—śmiał się zuchwale, pochylony nad nią. Puścił jej szyję, objął sklepionemi dłońmi całą głowę, zrzucając z palców długie pasma włosów...

— Ręce jego napotkały ów nieśmiertelnik, który wpięła była...

Wyplątał go teraz z ciemnego promienia i podniósł ku oczom. Sztywne, elastycznelistk i kwiatu gięły mu się w palcach. Szeleszcząc sucho i błyszcząc, niby matowa, blado-niebieska gwiazda...

Maryśka rzekła cicho:—To jest kwiat mego życia taki malutki i taki blady...

Ciąglewicz tuż przed jej oczami zgniótł małą szypułkę, a strzępy rzucił na pościel.

— Nie masz swego życia, słodka kobietko, tylko moje...

Zdawało się Maryśce, że za chwilę zacznie ją bić, tak był podniecony... I nagle, jakiś roskoszny odwet rozpętał się w niej falą nieokiełznaną...

— Ja nie mam własnego życia?!—Czuła, że teraz, teraz właśnie musi wykonać najwyższy wysiłek i rzucić sobie kochanka do stóp, bo inaczej sama ulegnie...

— Ja nie mam własnego życia?!

Gładkiemi kolanami objęła jego głowę, zaczęła ją ściskać i drapieżnym rzutem spychać w dół... A kiedy zepchnęła go sobie aż do stóp i gdy zamknęła mu niemi usta i gdy nagle objął jej nogi pełnym wdzięczności ruchem, — wyprężyła się w słodkim tryumfie, jakby z leniwą prośbą ku jesiennym szeptom ogrodu...

Urok się tam kreślił i nizał czarnymi węzłami na sinym skrawku trawy.

Ach, czy nie wszystko jedno,—zdawało się Maryśce, że myślami pije tę noc,—czy nie wszystko jedno... Byle drzewa szumiały, byle się gięły pod ciężarem, wszystko jedno jakich lat...

I wtedy! Wtedy właśnie, niby naśladujące senny szept drzew, rozlepiły się jej wargi, nabrzmiałe winem i żądzą... Raz za razem westchnęła głęboko:—Ździch—Ździch—Ździch...

Ciąglewicz drgnął a potem przylgnął głową jeszcze niżej. Maryśka uczuła z niezmierną wyrazistością suche włosy czupryny jego pod stopami, jak futro. Przejął ją żal obmierzły i wstyd... Dlaczego przyszło jej teraz na usta imię męża?!...

Zaczęła przepraszać Frana,—ach, nawet pocałowała go w rękę...

Patrzyli sobie długo w oczy ciężkiem spojrzeniem, w którem ważyła się niechęć i pewność rozkoszy... I objąwszy się, już prawie biernie upadli na pościel.

W tej chwili właśnie... Tuż obok łóżka, jakby echo ich upadku rozległ się ochrypły stuk rozbitej skorupy glinianej... Wyprzędły się z niego szparkie odgłosy, toczących się po podłodze pieniędzy.

— Matołek!!... Zbiliśmy matołka!...—Maryśka, zwiesiwszy się przez biodra Ciąglewiczowi uniosła z ziemi potłuczone czerepy matołka i garstkę zakurzonych monet.

— Popatrz, o—o—o, tu jest głowa rozbita, a tu kadłubek...

Pokazywała mu to na sklepionej dłoni, przebierając troskliwie małym palcem między okruchami.

Ciąglewicz, chcąc ją przywołać do rozkosznego porządku rzeczy, zmiótł jej z ręki okruchy, szybkim uderzeniem pod dłoń.

— Coś ty zrobił?!?

— No co?—spytał, usuwając kruche szczątki, walające się po prześcieradle,—cóż złego?

— Co złego?!...—Rozpłakała się. Ciąglewicz zaczął się śmiać, widząc ją rozkwitłą, dojrzałą i płaczącą dziecinnemi łzami na pełne kobiece piersi... Chciał ją dobrotliwie wziąć pod brodę.

Rzuciła mu ostatni okruch, prosto w twarz... — Idź sobie, nie chcę cię,—idź sobie!!!

Pierwszy raz rozstali się, pełni gniewu... Ciąglewicz ślubował sobie nie przyjść conajmniej tydzień. Maryśka zasnęła z postawieniem innego życia na nowem mieszkaniu...

A na tem nie doczekała już nawet do pierwszego...

Któżby myślał, że osobą, która ją żegnać będzie na progu jej dawnego małżeńskiego mieszkania,—będzie Ramkie?...

Po południu mieli przyjść kupcy z ludźmi i ostatecznie ubić sprawę jadalni...

A niech tam!...

Ramkie stał w ciemnym przedpokoju, bronzowo-ziemisty od mroku, z tą gębą swą, podobną do nasiąkniętej gąbki. Był usłużny, podawał palto, wkładał starannie kołnierzyk Maryśki (by się nie pomięło) i patrzył wilgotnemi oczyma...

Nieprzytrzymane drzwi, tuż przed Maryśką zatrzasły się z hukiem w przeciągu.

Same przedmioty chcą tu panią zatrzymać! Widzi pani,—zawsze mówię, że mają duszę...

— Myśli pan, że przypominają człowiekowi jego przeszłość?...—Zaśmiała się niefrasobliwie i zdawało się jej nawet, że bezczelnie.

Gdy schodzili z Felusiem ze schodów, Ramkie wychylił się przez poręcz i kiwając chustką, jak się kiwa przy odjeździe pociągu, wołał:—A piszcie,—piszcie!

Głos łamał się w pustej klatce.

Na dole czekał stróż Hałas. Maryśka ścisnęła Felusia za rękę, aby się nie rozpłakać... Stróżowi zaś dała na piwo i pogłaskała go po szorstkiej, nieogolonej twarzy.

Doszli do rogu. Maryska odwróciła się jeszcze raz. Mogłabym już teraz nie poznać, — pomyślała z goryczą, — w którym domu mieszkałam...

Kamienica ta nie odróżniała się istotnie niczem, w rzędzie szarych dwupiętrowych pudeł.

— To my piechotą pójdziemy?

— Tak, piechotą.

Poszła siecią bocznych ulic, koło starych kościołów, wykwitających z pośród równych domów, jak ciemne kwiaty skamieniałe... Swą ukochaną drogą, między Panną Marją a Świętą Barbarą...

Z tyłu dzwonił tramwaj, a na omszałym placu chodziły gołębie, błyszczące w szarym świetle, jak perły.

Dalej, przez Mały Rynek, trzy razy przepasany zielonym szkliwem okien, z jedwabnym garbem świętej Barbary, wciśniętym w plac, głęboko... Dalej,—starą ulicą św. Krzyża, po kamykach białych, jak gomółeczki, przed teatr, na planty, mimo pomnika Bałuckiego.

— Kto jest ten pan?

Patrząc na to popiersie ciemne i wydęte, usadzone na kamieniu, jak olbrzymi bobek kozi, wytłomaczyła Felusiowi, że to pan, co pisał sztuki.

— Jak ty i Ciąglewicz? Do teatru?

— Tak jest, do teatru.

Minęła kawiarnię Janikowskiego. Pusto tam było. Tylko na werandzie, niby czarne skupiska brodawek, zwisali nad stołem szachiści.

Teraz szła plantami, pod rudym sklepieniem kasztanów, obok spłowiałego muru klasztorów.

Dobrze jej było iść... Iść, póki nie minie tych długich rzędów małych okien, kratowanych, zda się, umartwioną pobożnością...

— To tak daleko,—niecierpliwił się Felek,—tak daleko!

Zawróciła w ulicę Kopernika, mimo kościoła św. Mikołaja, który frasobliwie dźwigał swój dach z przerzedzonych gałęzi drzew... To o ten kościół rozbiła się miłość Smolarskiego do Janiny... Kościółek, jak plebanja wiejska, a tyle o niego zmartwienia i taka burza...

Dziwna, dawno błąkająca się myśl zatrzymała Maryśkę pod mostem kolejowym:—Więc i ja nareszcie będę mieszkać za koleją...

W pokoju, w jej nowym pokoju z alkową, kończyła coś urządzać pani Karowska...

— Przyniosła pani „na szczęście“ chleb i cukier?

Maryśka wydobyła z torebki kawałek chleba, cukru i położyła na stole.

— Ale widok,—widok! Chcę koniecznie...—Zapomniała, czego koniecznie chce...

— Widok stąd bardzo ładny,—odpowiedziała Karowska. —Nawet, bo ja wiem, z jakimś takim literackim zacięciem...

Maryśka podeszła do okna.

Można stąd było oglądać tor kolejowy, wrażający się w dal połyskiem szyn, podwórka jakiejś ochronki, łuk kolejowego mostu, z drugiego zaś okna ogromne żebra wielkiego kościołka Jezuitów i ogród.

Właśnie nadjechał długi towarowy pociąg. Gęsta chmura pary przepełniła cały pokój, sycąc usta kwaśnym smakiem węgla.

— Owszem, owszem, — krzyczała Maryśka, po przez huk mijających wagonów, do pani Karowskiej, wynurzonej z obłoków pary, niby tłusta foka z białej toni,—tu może być całkiem miło... Będzie mógł człowiek przynajmniej czuć, że jest jakiś ruch na świecie...

— A cóż pani sądzisz? — Karowska dała zgodliwego klapsa poduszce.

— Będzie człowiek siedział na miejscu,—Maryśka powoli zdejmowała kapelusz,—a inni, niech sobie jadą, dokąd chcą...

VII.

Karowska, zabrawszy ze sobą Felusia dawno już była wyszła, a Maryśka wciąż jeszcze stała przy oknie.

Widać stąd było tak wyraźnie całą ulicę i śliski tok miejskiej nudy, głuchym połyskiem roztartej na gościńcu... Po-odal kościół. świętego Mikołaja, z wieńcem starych drzew wysoko związanym, gdzieś nisko, pstrokate afisze na murach,—naprzeciw parterowe domki katolickich ochronek.

Właśnie na wąskiem podwórzu (małe było ono, jak foremka piasku) zrobiło się gwarno... Z uchylonych drzwi szkółki wysypało się mnóstwo dźwięcznych głosów. Biały kwef zakonnicy płynął nad nimi, na podobieństwo zapóźnionego w mroku motyla...

Dzieci pokręciły się chwilę po piasku i znikły...

Znów zapadła cisza.

Prawie na wysokości okien Maryśki tężyły się błyszczące, stalowe nici kolejowych torów. Szły one z zamglonej głębi widoku. Sącząc się od nasady kominów fabrycznych Podgórza, biegły równiutko i zgodnie aż tu, przez most. Kamienne jego podmurowanie rozwartym łukiem, rzekłbyś szara powieka, unosiło się nad wziernią ulicy, lśniącej jak przyćmiona źrenica...

Wszystko Maryśkę teraz opuściło, nawet syn!... Ani chwili nie został tu z nią, zaraz poszedł do obcych...

Z drugiego okna jej narożnego pokoju widać było nowy, czerwony kościół Jezuitów, wielkie gmachy konwiktu, ogród, wysokie, stare drzewa, i w dali światełka kolejowego dworca.

W gałęziach drzew nad kościołem krakały wrony.

Mimo zapadającej ciemności odróżnić można było jeszcze ich gniazda. Tak były czarne i zwarte, jakby to z nich właśnie przędła się noc na cały świat...

Nowizna miejsca, odgłosów, widoków—przejmowała Maryśkę przykrym dreszczem. Zrozumiała, że stało się coś ważnego...

Teraz już jest naprawdę u obcych, zależna od cudzej łaski, jak gniazdo od gałęzi...

Ach — dalekość, dalekość... Sztywne igły toru, wbite w ciemne ciało przestrzeni! Tam gdzieś, już w całkiem innem powietrzu był Zdzich...

Nie tęskniła za nim... Jakże mogła tęsknić, kiedy prawie nie pamiętała, jak wyglądał, ani nie pamiętała już prawie dźwięku jego głosu... Gdyby się teraz nagle zjawił?!...

Ugięła ramiona, ręce zbliżyła do piersi, wychyliła szyję, jakby zaraz miał ją objąć gorący uścisk męża... Ręce, złożone na piersiach leżały spokojnie, mimo, iż wmawiała w siebie,—teraz mnie Zdzich wita i ściska...

Maryśka przeszła znów do okna, naprzeciw którego biegł tor kolejowy.

W czarnym niebie rozpłynęły się już wysokie wieże i strzeliste zielone kopuły. Podpalane od dołu blaskiem ulic, ginęły niewidocznie w głębokim rozmiarze nocy. Z całego miasta biegł wciąż łuszczący się szelest ruchu, a szyny pulsowały rozgłośnie jasną krwią blasków.

Nagle z aksamitnych ciemności wypadła czarna lokomotywa. Pod kołami jej szarpały się wstęgi różowej pary, a w żelaznym wnętrzu, między połyskliwą celowością rurek i retort leżało ognisko, jak wielkie w mroku gorejące serce... Grzebali w niem czarni palacze...

Słyszała przez ścianę nakrywanie do kolacji, brzęk łyżeczek... Jakieś chodzenie bliższe i dalsze... Jakieś głosy...

Zawsze człowiek słyszy blizko jakieś obce głosy, podczas gdy nie wie, na co czeka i ku czemu zmierza...

Skrzypnęły drzwi. Odwróciła się. Tuż przy niej stał Adolf. Elektryczne lampy oświecały pokój. Głowę chłopca obejmował blado-niebieski promień.

— Prosiliśmy na kolację.!. Stukaliśmy przez ścianę... Pani nic nie słyszała?! Pukałem tu do drzwi...

Teraz dopiero, gdy był już świadek tak miły, a tak nieodpowiedzialny, wzruszyła się Maryśka swoim losem aż

do łez... Kapały jej one, równo, parami na podołek, błyszczące i czyste, jak krople elektrycznego światła.

— Dlaczego,—dlaczego?—pytał Adolf nieśmiało.—Założył sobie ręce z tyłu na plecach, w nieświadomym zamiarze skrępowania samego siebie... Bo bał się, że zacznie ją pocieszać i głaskać...—Dlaczego pani płacze?... Że co?... Ach mój Boże!

Był bezradny... Czyż śmiałby ją pogłaskać, dotknąć, choćby czystem skautowsko-samarytańskim dotknięciem?!...

— Kiedy zobaczy pani, że tu będzie dobrze z nami...— Każda łza Maryśki napełniała go nieznaną dotąd drogocennością...—Niech pani nie płacze,—niech pani nie płacze...

Weszła Karowska.—Czekamy i czekamy!

Adolf nie dał matce skończyć, wpadając w zdanie przemięszane w jej ustach z kluseczkami.

— Widzi mama, myśleliśmy, że będzie dobrze, tymczasem...—Nagle, jakby zupełnie zapomniał o płaczącej. Objął matkę za szyję i złożywszy głowę na jej niskich piersiach, dodał: — Tymczasem pani Maryśce tak smutno u nas, tak smutno...

Karowska odsunęła go:—Smutno, a ty tu stoisz, zamiast pomocy wezwać...—Przytuliła do siebie Miechowską, — no i o cóż... Wiem o co... Nie tyle ludzie czekają a dłużej— i doczekają się... Niech mi pani wierzy, złe taksamo za prędko przechodzi, jak dobre... Ale doczeka się pani, wróci on, wróci!...

Aż przyjemnie się zrobiło Maryśce, że nagle ułożyło się wszystko tak poczciwie i moralnie...

— Pierwsza wspólna kolacja przemieniła się poniekąd w ucztę (przynajmniej pod względem duchowym) na cześć Zdzicha. Mówili o nim przez cały czas, w związku z tem mówili też o Rosji i o dalekich podróżach.

— Świat, proszę pani,—prawił Karowski, rozwiązując sobie serwetę,—nie jest znów taki wielki... To my go powiększamy, naszą tęsknotą...

Od pierwszego wieczoru, w którym odrazu starano się Maryśce zastąpić jej utracone ognisko domowe, tak się ułożyło, że oboje z Felkiem pozostawali w jadalni aż do „pójścia spać". Maryśka odpoczywała przyjemnie w tej atmosferze racjonalnego umiaru i rygoru... Bo u Karowskich wszystko było racjonalne, nawet miłość rodzinna.

Naprzykład każde z nich miało własną serwetkę w oso-

bnym kółku drewnianem. Albo, naprzykład, po kolacji podawano płókanki do ust,—każdy miał swoją, z białym monogramem, na granatowem szkle...

Te płókanki były z Anglji.

Porządek i rygor stanowiły pożądany kontrast z życiem Maryśki i jej kłopotami.

Zaraz trzeciego dnia zdarzyło się, że po południu przyszedł Ciąglewicz. Prosił, by się o nic nie pytała, a tylko szła za nim...

— Ale o nic nie pytaj...

Mówił tak wzburzonym, przepaścistym głosem, że nie mogła mu się oprzeć...

Wsiedli do dorożki i wysiedli,—w hotelu francuskim... Stali tu podobno teraz sami oficerowi sztabowi...

W hallu, w którym rozpierały się ogromne fotele, obite czerwonym safianem, na schodach marmurowych, poniekąd „koronacyjnych" i wszędzie,—dzwonił słodziutki dźwięk ostróg...

W numerze nasypane było kwiatów!..

I spuszczone story...

Nic nie mówiąc, z zaciętym uporem zaczął ją rozbierać... Do ostatniej nitki, do naga... A potem porwał ją na ręce, podrzucił na piersi i zaniósł przed lustro...

Schowała twarz na piersiach Frana, on zaś kołysał ją i unosił.

A potem, wciąż jeszcze całkiem ubrany, w żakiecie, z brylantową spinką w krawatce, całował ją i pieścił nieprzytomnie... A potem rzucił ją na łóżko, między kwiaty i winogrona.

Rozkoszna pycha unosiła wysoko piersi Maryśki... Czuła się teraz hrabiną,—księżną... Przydeptywała mu naumyślnie ręce, włosy, trącając końcem palca swej stopy sztywny gors koszuli, lub brylantową spinkę krawatu...

Wszystko się działo w milczeniu tak zupełnem, że Maryśka zaczęła myśleć o kim innym. Oddawała pocałunki, śmiejąc się tak przewrotnie... Mogła teraz przypominać sobie, co się jej żywnie podobało, naprzykład choćby pewną ilustrację z procesu Dreyfusa... Jak hrabia Esterhasy stoi w salonie, zaraz ma się zastrzelić, a przed nim jakaś dama pada na kolana...

Wróciwszy do domu doznała dziwnego wrażenia,—jakby z pod wodospadu wypłynęła na głęboką, równą wodę...

W jej pokoju było ciemno, lokomotywa, stojąca przed mostem dyszała rudem, rozgłośnem tchnieniem. Rozżarzone węgielki sypały się aż pod łuk, uganiając śmigle między stopami przechodniów...

Maryśka odetchnęła głęboko cierpkiem kwaśnem powietrzem dymu maszyny, — ach wszystko jedno!... I poszła do Karowskich.

Siedzieli za stołem, pod lampą... Adolf gorąco ucałował jej ciepłe ręce (tesame, tesame ręce orgji). Karowska nad szklanką koziego mleka pokazywała Felusiowi, jak jedzą Chińczycy, stary Karowski czytał gazetę. Przez cały wieczór mówili o Japonji, Maryśka zaś z uśmiechem starała się nieznacznymi ruchami pleców przesunąć pestki winogron, które przylgnęły jej do ciała.

Ostatecznie doszła do tego przekonania, że nic się zasadniczo nie stało, a tylko ona rozszerzyła zakres swej mądrości życiowej... Ktoś inny załamałby się, — ona umiała doskonale pogodzić, szaloną orgję z suchą, ścisłą cnotą...

W jadalni Karowskich, niby w czystej kąpieli, zbywała pył swej burzy, a im lepiej smakowały jej te zbożne kolacje, te wspólne czytania gazet, te wspólne gawędy, (Ciąglewicz „na złość" nazywał je wieczorami florenckimi) tem więcej spokoju i pewności siebie nabierała w stosunku do Franciszka...

Zaś im lepszą bywała dla Frana, im więcej mu dawała szczęścia, tem serdeczniejszym i czulszym był dla niej Adolf... Zaś im serdeczniejszym był Adolf, tem poczciwszemi stawali się rodzice...

Stary już nie nazywał Felusia inaczej, jak tylko wnuczkiem.

A jeszcze, gdy zjawił się Ramkie i rudymi palcami złożył pierwszą sumę za sprzedaną jadalnię!... Cena tego kupna była tak wysoka, że zadziwiło to Maryśkę...

— Jest to dużo, — oddychał każdem słowem osobno, zdyszany,—jestto dużo, ale wszystko drożeje, proszę pani... Wojna... Im człowiek staje się tańszy, tem rzeczy droższe... A tu?...—Wyłupił swe zielone, jakby w czerwonym atramencie pływające oczy i rozejrzał się po pokoju:—A tu jakież horoskopy?

— Złe, żadne... Prawie żadne... Nie mam posady. Szukam i nie mogę znaleźć...

Ramkie ocenił ją znawczem spojrzeniem, jakby sumował razem ręce, nogi, głowę, piersi...

W dziwnie przykry sposób lepił się do niej ten wzrok...

Profesor wziął ją za rękę i zdziwioną, bezmiernie naiwną fistułką zagadnął, bawiąc się jej palcami:—A jakąż pani może objąć posadę?...

— Ależ każdą, proszę pana. — Maryśka wyobrażała sobie posadę w postaci biernego siedzenia, za które po miesiącu zawsze płacą...

— Więc dobrze, zróbmy układzik...

Ramkie będzie dla niej szukać posady, ona natomiast w „Królewskich Ślubach“ które wystawia razem z Ciąglewiczem, postara się o jakiś jeden momencik, wstaweczkę małą, gdzieś może w chwili, kiedy się Batory namyśla, czy modli, to może być choćby w kaplicy... Żeby tam i on, Ramkie, mógł zagrać coś... Skrzypce były już znane za Batorego, więc by zagrał jakiś motecik...

— O nic więcej nie proszę pani. W tym układzie nie mogę z moją muzyką odgrywać specjalnej roli, ale niechby choć na dole afisza wydrukowano, że „motet wykona profesor Rąmkie“...

Niby była na bruku, mieszkała kątem, a jednak uciekano się do niej po protekcję... Bieda prawdziwie szlachetna i dumna ma zawsze jeszcze wiele do rozdania...

A ta radość, ta sztywna, oschła radość, z jaką wsadziła do koperty dwie zaległe raty za mieszkanie dla „tej“ (dla Nastki) i wysłała pod adresem Smolarskiego! To jedno, jedno zdanie, pełne obojętnej, przedmiotowej elegancji, — „uiszczając dwie pierwsze raty, łączę wyrazy“...

„Łączę“...—Sam Adolf odniósł ten list..

Uniesiona widokami bogactwa, mając już trochę pieniędzy, postanowiła też i w sprawie Adolfa pogadać z Karowską... Bo obecne mieszkanie wspólne miało to niedobrego, że Karowscy nie trzymali żadnej służącej.

Krępowało to bardzo Maryśkę. Chciała zaproponować Karowskiej, by wzięły jaką kuchtę na współkę. Nie mogła przecież pozwolić na spełnianie całego szeregu codziennych, dość poufnych, usług przez żonę powstańca, lub, co jeszcze gorsze, przez jej syna...

Gdy zaczęła o tem mówić, Karowska położyła sobie palec milczenia na usta...

— Nic nie zmieniać—nic nie zmieniać...

— Dlaczego,—ździwiła się Maryśka,—kiedy tak, jak jest, jest niewygodnie?

— A wie pani, jak jest?... O wszystkiem pani wie?

— Nic specjalnego nie wiem...

— No to chodź pani ze mną.—Wzięła Maryśkę za rękę i poprowadziła przez jadalny, przez sypialnię, do małego pokoju Adołfa.—Tylko cicho moja pani,—cicho...

— Dlaczego cicho? — Dziwiła się Maryśka,—nic tu nie widzę strasznego, wszystko jest, jak było, mój Boże, tasama szafa, gablotka, nawet ten chram świętego Włodzimierza... I łuk, zabawki i wszystko... Czegoż pani chce?...

Tylko Piłsudski nie wisiał już wśród inspektów z motylami, a otoczony fotografjami Legjonistów. Zaś obok motyli, na czarnym aksamicie, niby na ciemnej grządce białe i czerwone kwiatki, — rosły w połyskliwej zgodzie, różnorakie odznaki narodowe.

— Nie widzi pani, żeby mu było źle,—ironizowała Karowska, przycisnąwszy ręce do piersi, spoczywających nisko na żołądku,—mówi pani, że niewielu chłopców ma taki spokój i takie wygody, w czasie takiej wojny?... Ale, czy pani wie?...

Cicho, na palcach, jakby to była noc, jakby się trzeba było skradać po ciemku,—podeszła do nocnego stolika...

Maryśka usiadła na wązkiem łóżku polowem — (Adolf od czasu bitwy pod Łowczówkiem nie chciał sypiać na innem,—objaśniła pobożnie Karowska).

— Ale czy pani wie,—nasz syn przestał pisać... To ustało... My nic nie wiemy...—Karowska, otworzywszy ostrożnie szufladę, wydobyła z niej gruby, szary zeszyt. I na podobieństwo kogoś, kto na ślepo otwiera książkę do modlenia w miejscu ulubionej litanji,—jednym nieomylnym zamachem otwarła pamiętnik na pustą stronicę.—Widzi pani!... Tylko data!... Już od tak dawna—całkiem nic...

Oczy Karowskiej zapadły w głąb i jakby z nich właśnie, a nie z ust, wysnuł się przestraszony szept: — Adolf nie pisze pamiętnika... Przychodzimy tu z ojcem, — zaglądamy... Zamknęło się przed nami serce syna naszego... Od tego dnia aż dotąd jesteśmy ślepi i błądzimy po ciemku... Ojciec mu chciał jakoś ułatwić poddać... Widzi pani?... Sam zaczął we dnie ukradkiem wpisywać daty...

Pokazała Maryśce te daty, rozlazłym charakterem wcią-

gane, jedna pod drugą...—Widzi pani?... Biedny stary... W nadzieji, że Adolf przecież coś...

— No tak, ale nawet i z tego względu,—przerwała trochę brutalnie Maryśka, — lepiejby było, żebyście państwo mieli służącą!

Karowska usiadła obok niej:—Otóż nie, teraz już lepiej nic nie zmieniać... I tak się uspokoiło. Ucichło... Ale, co tu się działo przedtem!

— Kiedy przedtem?

— Przedtem, nim się pani do nas z synkiem sprowadziła. A wszystkiemu winien — on!!...—krzyknęła Karowska, wyciągniętem ramieniem wskazując fotografję Piłsudskiego.— To on sfermentował serca młodzieży...

Maryśka nie dla tego, żeby była za Piłsudskim, (dotąd nie mogła mu przebaczyć śmierci Zatorskiego) ale na złość Karowskiej odpowiedziała: — Polityka nic nie ma do prywatnego życia...

Karowska stanęła przed Maryśką i wypiąwszy brzuch, rozkraczywszy nogi, odpowiedziała:—Ta ruina, którą pani widzi przed sobą, niech zaświadczy, ile polityka ma do prywatnego życia!... Ale skoro pani tego sobie życzy, mówmy o samem tylko prywatnem życiu. A w takim razie w tem, jak teraz jest, najlepiej już nic nie zmieniać... Adolfowi nic nie zaszkodzi, że jest zajęty i że pracuje koło domu... Ach gdyby chciał jeszcze robić z ojcem na grządce! Dotknięcie ziemi tak uspokaja i uszlachetnia,..

Karowska przyznała się Maryśce, że i w niej pokłada duże nadzieje...

— Bo proszę pani, pani wie, w jakim Adolf jest wieku?... W wieku przełomowym. Widok idealnej tęsknoty, jaki pani „z siebie przedstawia", oddzielona od męża... Widok takiej idealnej miłości u młodej kobiety, połączony z troską o synka, musi naszego chłopca natchnąć trochę innemi wyobrażeniami, o tem, coby mógł sądzić,—tu oczy jej rozszerzył strach zabobonny,—coby mógł sądzić o kobietach, chodząc tylko po ulicy... Nie natrafiliśmy na żaden ślad, ale mamy wrażenie, że Adolf coś gdzieś ma, gdzieś biega po mieście. Przykład prawdziwej miłości, poważnej natchnie go innym wyobrażeniem na te sprawy...

Maryśka dobrotliwie pogłaskała Karowską po spierzchłem ręku.

— Ten przykład już działa proszę pani! Nasz chłopiec

tak się zmienił od czasu, gdy jesteście tu z Felkiem. Jeszcze nie przyszedł czas wyznań z jego strony, ale już przynajmniej przestał prowokować ojca... Ot, ma mnie pani, jak na dłoni,—zakończyła swą przemowę Karowska, — co, egoistka jestem?! Ale teraz chyba, widząc mego syna w tym stanie, rozumie pani, że nie mogę służącej żadnej brać do domu...

Maryśka roześmiała się wesoło: Więc macie do mnie zaufanie, jako do piorunochronu!?!

— Tak, tak, do pani tęsknoty za mężem i do pani macierzyństwa... Macierzyństwo, to hamulec.. Tak, tak...

— Ale w takim razie, — zastrzegła się Maryśka,—przy sposobności nacisnę kiedy pana Adolfa i od siebie też natrę trochę uszu...

Karowska dziękczynnie wstrząsnęła obie jej ręce.

Maryśka zaś, ubierając się do Ciąglewiczów, przypomniała sobie, że o ile ma wpływać na chłopca, musi sobie zaskarbić trochę jego serce. Odszukawszy więc w rzeczach ów duński nóż, ofiarowany kiedyś, położyła go na swej toaletce, pod flakonem z kwiatami.

Niechże sobie chłopiec wie, że nikt nim nie gardzi i że ludzie mają serce dla wyrozumienia młodości...

U Ciąglewiczów czuła się teraz, jak w domu... Zwłaszcza po owej scenie w hotelu, która, jak przyznał Fran, była z jego strony przeprosinami za zbicie matołka i za to, że nazwała go Zdzichem.

Miała może pozwolić, by mąż, przejęty rozpaczą, zatruł ostatnie chwile konającej żony?... Wolała się raczej sama poświęcić!.. Jeśli jest jakiś wyższy sędzia, to rozsądzi to kiedyś... On sam rozsądzi, czy dobrze zrobiła, czy źle, składając swą cześć na ołtarzu miłości bliźniego...

Znosiła więc godnie te pocałunki, wlokące się za nią ukradkiem, aż do łoża chorej. Nie miała żadnych wyrzutów, gdy wydając, naprzykład czystą zmianę pościeli, pomyślała sobie ze stwierdzającą radością: — Ładna, płócienna bielizna...

Zresztą to uczucie radości miała tylko na widok pościeli, poszewek, prześcieradeł i jaśków... Wiedziała doskonałe, że potrafiłaby, jak należy, uszanować wytworną bieliznę osobistą Ciąglewiczowej, znaczoną ślicznymi monogramami.

Oczywiście, że to zostałoby nietknięte, w przechowaniu, dla Magdy, gdy podrośnie...

A choćby dla tej samej Magdy, czyż nie była lepszą,

niż dla swego własnego syna?... Nie tuliła biednej, przyszłej sierotki, nie żałowała?...

Nie miała też żadnych wyrzutów, gdy kucharka, stara, wytrawna Antoniowa, jęła ją ostentacyjnie całować w rękę na dobranoc i nazywać naszą młodszą „jaśnie panią"...

Chociaż nic nie było Maryśce bardziej obce, niż arystokratyczne fochy!! Fochy i tytuły...

Może trochę psuł to wszystko sam Ciąglewicz dzikimi wybuchami namiętności. Czuła w tem pewne niebezpieczeństwo... Oswoji się, a potem „za nic" będzie miał...

Bowiem tracił już trochę przytomność... Rzucał się na nią w gabinecie, w salonie, obejmował ją z drżeniem, wtulony we framugę. Raz nawet, przed kolacją, widząc ją w fartuchu żony — doprawdy, w przystępie jakiegoś szału, czy wspomnień, czy nadzieji,—zawlókł do salonu— i posiadł...

Na tej samej kanapce, na której, — kiedyś, pamiętasz, zasnęłaś, sądząc, że nikogo niema w domu...

Maryśka dobrze pamiętała, kiedy to było... To było w dzień odjazdu Zdzicha, popołudniu... Ale dzień ten leżał już dziś za siedmiu górami, za siedmiu rzekami...

Męczyźni są okrutni...

Wolałaby, by Fran zatarł jakoś to wspomnienie, zamazał, on zaś właśnie przypominał je jej...

Tych rzeczy nigdy nie myślała Maryśka do końca, do brzegu... Mianowicie, że na wypadek nieszczęścia, (nieszczęściem byłaby śmierć Ciąglewiczowej) Franciszek ożeni się z nią... Jeśli teraz, mając takie obowiązki tak szaleje, to będąc nareszcie swobodnym...

Przeświadczenie to dawało jej większą sankcję, niż tajny ślub z rzeczami Zatorskiego... Przeświadczenie to napełniało Maryśkę słodyczą i spokojem legalności... Wiedziała bowiem, że gdzieś, dalej, po za chwilowym upadkiem, rozścielał się w twardych konturach obraz bardzo szlachetny... Ona, — Marja Ciąglewiczowa, idąca z Magdą i Felkiem i z kwiatami na grób Ciąglewiczowej, co piątek, — chociaż Fran nie wie nawet o tem...

Tymczasem Franciszek burzył to takim niebacznem, zmysłowem powiedzeniem...

Wówczas cała złość Maryśki obracała się w końcu przeciw Zdzichowi!... Dlaczegoż się nie zdecyduje ostatecznie albo przystać raz na zawsze do tych Moskali, albo poprostu

wyjść z niewoli?!... Mężczyzna, gdy chce, wszystko potrafi zrobić dla ukochanej kobiety!

Nie takie ucieczki odbywały się w historji kochających... Dość przypomnieć opowieść o Hero i Leandrze o której sam wykładał przecież tyle razy, choćby w gimnazjum...

Mężczyzna tak bezwzględnym, leniwym brakiem decyzji nie powinien „zakorkowywać“ życia kobiety!...

W tych ostatecznych rewoltach szła Maryśka tak daleko, że nie przez „miłość“ (tego się do tych spraw nie miesza), ale dla ratowania swej czci niewieściej, widziała w oddalach odległych jeszcze jedną tylko możliwość: — Jakieś przejście na protestantyzm... A potem?...

W trzy lata później przychodzi wiadomość, że Zdzich ożenił się z prawosławną córką komendanta tej twierdzy, w której był zamknięty... Maryśka nic na to nie odpowiada, a dawny jej mąż, chociaż przypuszcza, że ona go czeka i czeka,—nie popatrzy nawet w jej stronę...

Jakże więc ciężko jej było po takim wieczorze u chorej, z takiemi myślami wracać do domu, do Karowskich, gdzie miała służyć jako przykład idealnej miłości, ku zbudowaniu młodocianego marzyciela...

Dobrze jeszcze, gdy zastawała rodzinę w zgodzie i harmonji dokoła stołu. Wówczas tylko stara Karowska robiła Maryśce na wstępie małą przykrość, poruszając przecząco swe oczy mętne, jak kościane guziki, co znaczyło, że i dziś Adolf nic nie napisał w pamiętniku.

Nie wiadomo dlaczego, czuła się Maryśka odpowiedzialną za to...

Potem jednak cały wieczór upływał przyjemnie. W pewnym momencie Karowska z synem dziękowała za towarzystwo. Szli ścielić. Feluś zasypiał przy stole z jakąś historyczną pamiątką Adolfa w ręku, a Karowski zwierzał się Maryśce ze swych nowych przekonań politycznych.

Teraz dopiero, w świetle zwycięstw niemieckich rozumiał przeszłość ostatnich dziesięcioleci i własne życie...

— Największą tragedją naszą było,—twierdził,—że nie mieliśmy w swoim czasie prawa (my Polacy nie mieliśmy go) do pozytywizmu...

— To Rosjanie tylko, proszę pana, zastanawiają się wiecznie nad tem, czy mają do czegoś prawo,—odpowiedziała... Tłomaczył jej to kiedyś Ciąglewicz.

— Otóż to, otóż to, — śmiał się Karowski wązkiemi szparkami swych smutnych oczu,—ta jest tylko różnica między nimi... Rosjanie dyskutowali nad swym egoizmem narodowym, a Niemcy uczynili z niego świętość... My zaś, dziś, gdy niema już Rosji, mamy prawo do pozytywizmu. Tymczasem... tymczasem pokutujący duch niewoli nie ustępuje z naszego życia, a przeciwnie. Tymczasem, proszę pani, zmora tajności, zmora konspiracji... Piłsudski był moim druhem i moim hasłem kiedyś, — ale przecież widzę, widzę co się dzieje... Wzrok Piłsudskiego, przywykły do ciemności piwnic więziennych...

Stary Karowski stawał się blady jak kreda, tylko wielkie kosmate uszy płonęły mu, na podobieństwo różowych muszli.

— Wie pani czem jest Piłsudski?... Jest duchem Rosji, pokutującej w naszem życiu narodowym. Tak, tak, tak!...

Mówił to ochrypłym szeptem, machając przez stół cieniem wyprężonego ramienia, wpatrzony w czarne szyby, za któremi, jak spocone, iskrą buchające smoki bezgłowe,—wlokły się tam i nazad ociężałe lokomotywy.

Karowska przechodząca mimo z poduszkami zatrzymała się:—Ja jestem kobieta, prawda?...

Pytała sprzętów, ścian i mroku, tętniącego łoskotem szyn.

— Ja się nie znam na polityce... Nasze matki po dworach leczyły chłopstwo, a nie filozofowały. Przeszłam to samo, co wszystkie Polki w najcięższych okresach Ojczyzny. Nikt mi nie może nic zarzucić... Ale jako matka! Tylko jako matka nie mogę! Bo co się dzieje? Co się tworzy?... Co się wyrabia?... Wiesz pani co?!?

Maryśka uczyniła jakiś nieodpowiedzialny ruch ręką.

— To się tworzy, że potem rozłamy i znów rozłamy! Pierwsza Brygada, druga Brygada... Takie wojsko, siakie, werbujące, niewerbujące! Że proszę pani, karpatczyk to nie żołnierz! Karpatczyk to pies?!... Gdzie w tem właściwa wyżyna moralna i czy on, wódz, nie powinien o tem myśleć?! Nie mówię, że Piłsudski jest duchem Rosji,—ale jako matka...

Wszystko to mówili starzy Maryśce, uważając ją, mimo jej woli za wspólniczkę tych czynów. Wszak brała udział w walce, wszak na jej rękach zginął Zatorski...

Rozmowa stawała się niezmiernie przykra, o ile na jej

przebieg natrafił Adolf. Wówczas starzy Karowscy podważali argumenty, rozmawiając, niby to wyłącznie, z Maryśką.

— Całe życie szliśmy ku temu wojsku, a teraz on, wódz, woła, nie wstępować, nie wstępować,—śmiał się asmatyczną ironją Karowski.

— To nie oto, nie oto,—przerywała mu żona, ale że oni sami dzielą się między sobą na Ablów i Kainów!

Przytym składała głośno ręce, z wesołym odgłosem krzepko wymierzanych policzków.

Wtedy już Adolf nie wytrzymał: — Skoro tak ojcu oto chodzi to dobrze, niechże mnie ojciec puści! Właśnie na złość Piłsudskiemu wstąpię do wojska?!...

Maryśka aż poprawiła się na krześle, patrząc na Adolfa. Był teraz śliczny. Na twarzy jego prawie białej z irytacji, przezroczystszej, niż alabaster, w kątach ciemnych fiołkowych warg drżał gniew. Zaś z oczu, przysłoniętych rzęsami, strzępiły się raz po raz, jakgdyby gęste płaty czerwonej łuny.

Oboje Karowscy umilkli. Taka cisza zaległa w pokoju, że słychać było najwyraźniej syczenie lokomotywy, rozpartej gdzieś przed mostem.

Pierwsza przerwała milczenie Karowska: — Owszem, ty jeden Adolfie żyjesz z pięciorga naszych dzieci. Czworo pochowaliśmy tam!...

Wskazała na wschód. — Nie namyślalibyśmy się, mimo to,— tylko, że to nie jest czas... Daleko nam jeszcze do tej dojrzałości i do tej wyżyny moralnej! Bóg mi świadkiem, że widać, jeszcze nie jesteśmy godni... Dziś,—co?! Co oddział, to inna wiara i inna miara... Nie jesteśmy godni! Może, — jeśli ty uczyć się będziesz, podobnych sobie mniejszych wychowywać będziesz—to może twoje dzieci.. Może dzieci Felusia kiedyś, jeśli mu już teraz, jak starszy brat wszczepisz... Może będą na tyle dojrzałe, że będą godne...

Karowski podszedł do syna: — Właśnie dlatego, że go czcisz, twego wodza, nie pozwolę, abyś na złość jemu miał iść... Ja bowiem, jako ojciec, winien czuwać nad ideałami syna... Inna rzecz, że jako polak, choćby ze względów logiki dziejowej...

— Prowokacja! Prowokacja!!—krzyknął na cały głos Adolf i drżący, przerażony, wyskoczył na korytarz.

Słyszeli, jak szarpiąc się przez drzwi, wpadł do pokoju Maryśki.

Zatrzymała Karowską: — Teraz tam pani nie pójdzie! Dajcie mu spokój,—zwróciła się do Karowskiego...

Stał dalej przed pustem miejscem przy ścianie, z którego przed chwilą zniknął Adolf,—jakgdyby przed widmem syna... Nieopisane zdumienie malowało się na twarzy starca... Zmarszczki czoła, siwe, krzaczaste brwi, czarne fałdy skóry, biegnące nad purpurowemi uszami, wszystkie rysy i bruzdy zniszczonej, twarzy uniosły się w górę, dźwigając wagę straszliwego zdumienia... Tuż pod oczami, ponad krańcem siwego zarostu, wystąpiły brzegi ciemnych rumieńców...

— Co ci jest, co ci jest?—szarpnęła go Karowska, obracając ku światłu.

Po kilku nawrotach, wyrywających się z krtani głuchym bulgotem, rzekł stary nagle:—Tego mi nikt nigdy nie powiedział, od kiedy żyję... O—o—o...

— Niech pani idzie, pani Marjo,—prosiła Karowska,—niech pani pomówi z Adolfem, pani ma taki wpływ na niego...

Karowski rzęził, przymierzając dla ochłody swe fjoletowe, żałobne rumieńce do zimnej politury stołu...

Dobrze, że jeszcze na czas przyszła do swego pokoju... Adolf siedział przy toalecie—i duńskim nożem krajał sobie żyły...

Maryśka wydarła mu nóż z ręki.

— I to tensam, tensam, który mi pan ofiarował na znak przyjaźni!... Czy panu nie wstyd! Adolfie?! Dlaczego chciał pan to zrobić?! Komu na złość?! Ach dziecko, głupie dziecko!!

Podniosła zraniony przegub ku światłu. Z pomiędzy śniadych jej palców, obejmujących rękę chłopca płynęły wąskie wstążeczki krwi.

Przychylił czoło do jej rąk i płacząc: — Bo cóż mam z sobą począć... Najlepiej,—zabiję się, skończę... Odrazu...

— Ależ dziecko, dziecko!... Przytuliła jego głowę do piersi.

On zaś, powtarzał z najtkliwszą ufnością. — Bo gdzież się podzieję,—tak żyć niepodobna... Wstyd... Niktby nie wytrzymał!...

— Kochają pana—trzeba im przebaczyć...

— Kochają mnie, ale taka miłość,—to jest w końcu podłość, podłość!

Maryśka, owiązała mu przegub czystym gałgankiem, dała

świeżą chustkę do nosa, natarła skronie i czoło wodą kwiatową. Nawet własnym grzebykiem poprawiała fryzurę.

— Niechże pan siada tu obok mnie, na kanapce. Niech się pan uspokoi.

— Czy pani wierzy ojcu? — spytał po długiej chwili.— Czy pani myśli, że ojciec rzeczywiście tak czuje, jak mówi?... No, to go pani jeszcze nigdy nie widziała popołudniu, przy jego grządce... Ja nic nie wierzę ojcu! Gdyby go pani widziała, jak wróciwszy z biura, kopie tę swoją, tyle już razy, przekopaną grzędę... Tu na podwórzu... Jakby dla siebie grób kopał... Och — wtedy z pewnością zapomina o wszystkiem i myśli, że jest z powrotem w katordze... I to go krzepi... Straszne!

Na matkę mniej się skarżył. — Co mama?! Byle sobie mogła dalej zbierać worki mąki i zapasów... Pani widzi, jak my jemy?. Głód prawie... A widziała pani naszą śpiżarnię?! Moglibyśmy spokojnie rok żyć z tego, co tam mamy...

Czuł, że nie mówi tego, co pragnie wypowiedzieć... Ale słowa konieczne, z dawna wezbrane mięszały mu się z kwiatowym zapachem Marysinej chustki...

— Pani wie?... Moi koledzy niektórzy są już podporucznikami, a prawie każdy jest już podoficerem... Pani wie?... Niektórzy z nich już zginęli. A ja przygotowuję się do matury?!... Pani wie, czyja to wina?! Moja... A i ojca też! Strzelałem z łuku, łapałem motyle, a oni uczyli się strzelać z Manlicherów i brali jeńców rosyjskich... Nie tylko moja wina,— ojca też... Mam odpowiadać za to, że moi rodzice czworo dzieci na Syberji pochowali?! Ach, ten Sybir!... Już mi nic nie pozostaje, tylko może jeszcze jakiś tryumf na starość, jak ów głupi tryumf tych, którzy nie poszli do powstania, ale do Szkoły Głównej... Dobrze... Teraz zaś, niech mi wolno będzie przynajmniej być hyjeną tego narodowego pobojowiska!...

Niechże mi nie przeszkadzają przynajmniej zbierać pamiątek po tych, którzy są lepsi odemnie... I niech mi nie przeszkadzają zapomnieć o mojej przyszłości!...

Schyliwszy głowę na jej kolana wyłuszczył cały swój zamiar... Chciał oddać Felusiowi wszystkie dawne swoje skarby, widelce japońskie, łuki, motyle, chram świętego Włodzimierza... Zniszczyć tę nieszczęsną przeszłość...

W związku z tem zagabnęła go Maryśka o pamiętnik.

— Ja—teraz—pisać—pamiętnik?!?—Utkwił w niej zdumione spojrzenie. Pani przypuszcza, żebym mógł?!

Głęboko, zda się, w samem sercu ukryte ciepło najlepszej, siostrzanej rady, rozbiegło się po całem jej ciele.

— A dlaczegożby nie? Czy pan nie wie, że nie pisząc, zabija pan poprostu swych rodziców?

— Być może...—Adolf gwałtownie wciągnął powietrze:—Nie mogę pisać, skoro nie mogę prawdy napisać... A gdybym tę jedną prawdę napisał, skończyłoby się wszystko...

— Którą, jaką?

Jedną...

Zamilkli. Adolf zwiesił głowę na piersi i skubał pokrycie kanapy w pobliżu Maryśki, ostrożnie, tak ostrożnie, by żadnym ruchem nie zdradzić tej radosnej nieśmiałości, która nim nagle owładnęła...

— Pani,—rzekł po długim milczeniu,—nie odrzuci tego noża... On tu zostanie u pani, na pamiątkę...

— Zostanie, panie Adolfie, pod jednym tylko warunkiem... Pan musi przeprosić ojca... Nie buntować się...

Przytrzymywała go za ręce.

— Nie buntować się... Dla mnie pan to zrobi...

— Jeśli zrobię, to skłamię...

— Więc niech pan skłamie dla mnie... Ale za to mnie będzie pan mówić zawsze prawdę... To panu ulży...

Zgodził się... Zawarli umowę skautowskiego braterstwa. Ręka w rękę...

— A teraz na dobry początek, niech mi pan powie, co to jest ta jedna myśl, czy rzecz, której nie może pan napisać w pamiętniku?...

Wstydził się... Kiedyś szarówką, o zmroku, powie... Albo jeszcze później, gdy się zestarzeją oboje...

Maryśka uśmiechnęła się zalotnie.

— Niechże pan uważa... Już wnet będę stara,—a nie mam cierpliwości! No śmiało, nie wstydzić się... Zaraz panu zrobię szarówkę...

Zgasiła elektryczność.

— Jak przyjemnie,—zawołał, kuląc się na kanapie...

— Proszę mówić,—niechże pan będzie uczciwym!...

— Dobrze, ale niech pani na mnie nie patrzy...

Podeszła do okna, otwarła je na oścież. Do pokoju wpadła zimna struga jesiennego światła. Księżyc się kręcił wśród chmur, nad kościołem. Z małej wieżyczki kościelnej spły-

wał blask w dół, między korony drzew. Na pustym gościńcu tężyła się bruzda aż pod most, gdzie panował miękki, jedwabisty cień, obrzeżony szerokim łukiem kamiennym. Szyny toru, niby dwie wązkie nici żywego srebra, ciągnęły się daleko, ku nieruchomemu mrowisku stacyjnych świateł.

Zbliżał się ztamtąd długi wąż wagonów, dzwoniąc rozgłośnie po nocy.

Adolf podszedł blisko ku oknu i głaszcząc ciemność, jakby powszędy wśród niej przebywała Maryśka, przepraszał za coś...

— Słyszy pani?... To rodzice odmawiają swą pozytywistyczną modlitwę...

Istotnie, przez szczęk żelaza, pulsy szyn i dalekie dzwonki stacji, słychać było płaskie, bezdźwięczne słowa Karowskiego i Karowskiej, miarowo i dokładnie wymawiane i odchodzące wolno w głąb nocy.

Nagle, z za zakrętu szyn wypadły dwie rozżarzone lokomotywy... Sczepione razem, niby para groźnych, ogniem buchających bestji, przemknęły szybko w stronę Podgórza.

— Więc powiem pani, — zawołał Adolf, korzystając z łoskotu parowozów.—Chciałbym,—chciałbym strasznie, żeby Ciąglewiczowa umarła...

Nie chciał odpowiedzieć dlaczego...—Kiedyś,—później...

Postanowiła być bardzo dobrą, przysiągł jej prawdomowność,—na pożegnanie ucałowała go w czoło...

Tej nocy nie spał Adolf, szczęśliwy, że „utracił“ rodziców, ale za to pozyskał siostrę...

Miłość do siostry,—postanowił w sennym zamęcie błogo ciągnących się myśli, — to uczucie, które rzeczywiście oczyszcza świat... Jakże pragnął próby dla tego uczucia! Nieszczęść, trudów, zmagań zażartych, płomieni!... A przez te płomienie, on, z nożem duńskim w ręku, prowadziłby swą siostrę Maryśkę, nagiemi ramionami odrzucając walące się na nią belki i rozżagwione głównie...

A potem w lesie, nad brzegiem strumyka kąpałby jej poranione stopy, ogrzewałby je w ręku, małe i giętkie, każdy palec malutki nacierając...

Maścią salicylową, maścią salicylową,—wołało stare doświadczenie skauta...

W półśnie ukazywały mu się nietylko stopy, ale całe nogi Maryśki, po kolana, gładkie i lśniące...

Mięszało się to znów z pojęciem pończoch i oto widział

Maryśkę w bucikach i pończochach... Szalona zazdrość podrywała go z łóżka... Ach, — dlaczego urodził się myślącym człowiekiem, dlaczego nie jest jednem, zwykłem nicianem oczkiem, któreby wypadło pod jej kolanem!...

W sobotę, zrzuciłaby go z nóg i podeptała... On zaś, jako oczko, stygnące na podłodze, ujrzałby w przeciągu bodaj jednej, małej chwili, całą jej nagą postać!...

Ledwo zdążył sobie to pomyśleć, gdy szalone wiry nieprzytomnych chęci rozpętały się z jeszcze większą siłą. I niewiadomo dlaczego, im więcej się modlił do wyśnionego podobieństwa Maryśki, tem więcej się zbiegało strasznych, potwornych obrazów, które miały, niejako wytłumaczyć tajemnicę jej ciała...

Maryśka jest człowiekiem, tylko człowiekiem,—zdawała się szeptać noc...—Jest kobietą... Ma syna... Jakiś mężczyzna musiał ją trzymać w swoich objęciach...

Wtedy zjawiały się przed Adolfem dziwne, ohydnie—dokładne rysunki z ustępów publicznych...

Jestem jej bratem, — szeptał z dumą i godnością do zjaw napastliwych.

Znikały...—Pozostawało tylko uczucie skruchy,—że obraził swą siostrę... Siostrę kochaną, której, gdyby nagle tonęli razem na jakimś Titanicu,—nie śmiałby nawet ratować... Bo jakżeby z nią płynął, gdyby za każdym ruchem musiała dotykać jego kosmatego ramienia?...

Z głęboką niechęcią wiódł ręką po całem ciele, przekonywując się, że jest wstrętne... Postanowił na wszelki wypadek pożaru, czy powodzi, wyrwać te kępki włosów, które mu rosły na piersiach.

Och, nie być przynajmniej wstrętnym!...

Mimo to wszystko, jakże był szczęśliwym!... Miał dla kogo żyć i cierpieć... Już na drugi dzień przeprosił rodziców. Z matką poszło raz dwa...

Pogodzili się zaraz przy śniadaniu, przy szklance koziego mleka, które Karowska piła za wskazaniem lekarzy, na anemję.

Zgoda z ojcem dużo kosztowała Adolfa...

— Kopie, znowu kopie,—przyszła do pokoju syna skarżyć się matka.

Stary stał na podwórzu przy robocie, bez bluzy, w kamizeli, specjalnych butach i osobliwych spodniach.

— Chciałem ojca przeprosić,—rzekł Adolf, podszedłszy blisko...—Chciałem powiedzieć...

Stary nie odrywał się od roboty. Syk wchodzącej w glinę łopaty przytakiwał zjadliwie słowom Adolfa. Z drugiej strony ulicy, z podwórza ochronki strzępiły się głosy wypuszczonych na pauzę dzieci.

— Obu nam, proszę ojca, jest bardzo ciężko... To, co powiedziałem wczoraj... Bo zdawało mi się, że obaj winni jesteśmy... I ojciec i ja... Tymczasem...

Karowski przestał kopać. Oparłszy na łopacie ubabrane w glinie ręce, patrzył na syna z ponurym lękiem...

— Tymczasem,—kończył Adolf,—to tylko moja wina...

Karowski odwrócił się, jakby zapadł w siebie... A potem objął syna przez ramię i wlokąc za sobą łopatę, dał się odprowadzić do sieni.

Tu przystanęli. Stary wskazał przez mur i gościniec na domy ochronki, po tamtej stronie ulicy.

— Słyszysz?... Słyszysz?... — Położył synowi głowę na piersi.—Taki sam hałas dzieci, kilkorga dzieci, miałem kiedyś u siebie... Dlatego mieszkam tu, żeby to jeszcze słyszeć na starość. A wiesz, co z tego zostało?!—Ty jeden,—jeden jedyny, ostatni...

Adolf uczuł, jak szeroko rozdęty, astmatyczny korpus ojca, niejako mięknie mu w objęciu, w dół się osuwając...

Ręce starego uczepiły się ramion syna.

— Nic przecież na świecie, prócz ciebie nie mam... Musisz to pamiętać... Powinieneś...

Adolf odebrał mu z rąk łopatę i niby zachorzałego nagle, wiernego sługę od roboty,—odprowadził, od grzędy...

— Już nigdy o tem nie mówmy... Zawiniłem, proszę przebaczyć...

Grudki gliny sypały się Adolfowi z gładzącej ojca dłoni za kołnierz, a równocześnie dziękował w myśli stokrotnie Maryśce, za jej radę. Oto skłamał biednemu staremu i ucieszył biedaka jeszcze...

Stosunki ułożyły się po dawnemu. Adolf nawet wahał się, czyby już zupełnie nie ustąpić i nie zacząć pisać pamiętnika?... Nie mógł się jednak przezwyciężyć... Nie dość miał kłamstwa w życiu, choćby nawet w obec tej, z którą go wieczna braterska miała łączyć prawda?!

Przed nią też musiał ukrywać rzeczy ważne i smutne, tyczące się pożycia z rodzicami, kłopotów pieniężnych, nawet Felusia!...

Malec rozpuścił się był zupełnie.

Pod pozorem czuwania nad Felkiem przeniósł się Adolf do pokoju Maryśki... Przesiadywał tu długie godziny, czekając, kiedy pod kamiennym łukiem mostu ukaże się czarne futerko Maryśki...

Ku zimie się już miało. Już parę razy ukazał się śnieg, zakrył zielone kołpaki wież, pościelił się na gościńcu, i świeżą białością zakwitł na drzewach...

Czasami wracała Maryśka od Ciąglewiczów bardzo późno. Czekał na nią cierpliwie, świecąc elektryczność, aby widziała już z pod mostu, że przyjaciel pamięta i czuwa...

Pewnego wieczora, w czasie takiego czekania przyszedł był Ramkie...

Nie ździwił się bynajmniej obecnością Adolfa. Nie zdejmując ośnieżonego palta pokręcił się po pokoju, obejrzał, rudymi palcami obmacał wszystkie drobiazgi toaletowe, postukał laską o nogi łóżka... A potem niespodzianie usiadł na taborecie, przed umywalnią i wykręcił się twarzą ku Adolfowi: No i cóż, proszę pana artysty,—spytał, wlepiając mu w oczy zielone spojrzenie szklanych, wypukłych źrenic.—Niema naszej pani?

Adolf zarumienił się gwałtownie. — Nie jestem artystą. Dlaczego mnie pan tak nazywa?

— Tak pięknie pan deklamował, wtedy na herbatce, ten wiersz... Wieniec—rumieniec... Ale prawda? Wiersz przeminął, a wojna, jak trwała, tak trwa?...—Czy pani Miechowska zawsze tak późno wraca?

— Różnie.

Ramkie znów obszedł wszystkie kąty, poprawił w lustrze krawatkę, podciągnął spodnie, poklępał lekko po twarzy śpiącego Felusia. I znów nagle usiadł naprzeciw Adolfa...

— A pan się tu uczy do egzaminu dojrzałości, panie Adolfie?...

— Uczę się,—odpowiedział...

Ramkie roześmiał się wesoło: — Bardzo ładnego stróża ma pani Miechowska, bardzo ładnego... No,—nie gniewajmy się... W życiu nigdy nie wiadomo, gdzie, kto, kiedy z kim się spotka...

Wyszedł, zostawiając Maryśce kopertę z pieniędzmi i pudełko jakichś wyśmienitych papierosów.

Był tak obrzydliwy, że nie tylko do siebie,—napełnił Adolfa niechęcią nawet do Maryśki. Niechęcią tak niezasłużoną!

Właśnie tego wieczora wróciła od Ciąglewiczów tak wzburzona!...

Miały we dwie z chorą, straszną, straszną rozmowę!...

— Małom nie zemdlała na powrotnej drodze... A jeszcze ten śnieg, wichura! To błoto... Tam tak gwiżdże na Salwatorze ze wszystkich kątów... Co to za koperta i papierosy?

— Ramkie zostawił.

— Jeszcze i ten!...

Adolf delikatnie ściągnął z Maryśki futerko, pomógł jej zdjąć kalosze, natarł ręce i podsunął zimną kolację.

— Nie będę nic jadła. Niech pan czemś przysłoni lampę,—razi mnie blask. Och,—jacyż ludzie są biedni i nieszczęśliwi!... Panie Adolfie,—oby pańskie życzenia co do biednej Ciąglewiczowej się nie spełniły! Niech pan prosi Boga!...

Adolf zarumienił się, lecz nic nie odpowiedział.

Maryśka była aż nadto pewną, że życzenia te się spełnią... Że się już spełniają... Może właśnie w tej chwili...

— Nie dam pani samej tam chodzić... Dziś zrobiło się pani niedobrze, a jutro może pani naprawdę zemdleć...

Wzięła go za rękę, bo musiała teraz blisko koło siebie czuć jakiegoś żywego człowieka... To, co przeżyła dziś wieczór, przechodziło jej siły... Więc już,—już nareszcie...

Pod przymkniętemi powiekami zaczęła jeszcze raz tę scenę... Biedna, spuchnięta Ciąglewiczowa... W głowach Fran, dziwnie, dziwnie uśmiechnięty... I te okropne, spokojne wskazania umierającej...

— „Chciałabym, by mój dom został, jak był... A Magda, gdy się wojna skończy do Sacré Coeur, we Francji... To jedno,—musisz mi przyrzec... Przysięgnąć“...

Zdumienie ogarnęło Maryśkę na myśl, że teraz z obojgiem jest na ty...

Ciąglewiczowa zaczęła szukać męża, gdzieś w głowach, jakby jaśka, między poduszkami.—„Zaś dla niego bądź dobra...“

Uśmiechał się tak dziwnie!... A potem w przedpokoju podał jej tylko z szacunkiem rękę. Nie pocałował... Nie uścisnął... Jeszcze teraz na myśl o tem, nowa fala godności wzbierała w Maryśce... Zapewne bowiem czuł się Fran sło-

wami umierającej żony namaszczonym na rzeczywistego narzeczonego.

Było to zapewne silniejsze, niż „śluby“ z rzeczami Zatorskiego... Dlatego, jako przyszłej żony, nie śmiał jej już całować w przedpokoju. Szanowała to nowe dziewictwo duchowe...

Adolf dotrzymał słowa i codziennie teraz towarzyszył Maryśce na Salwator... Nie chciała na to pozwolić, — uspokoił ją, — że mieszka tam jakiś jego kolega, że razem się uczą, bo właśnie ten kolega ma skrypty...

Odprowadził Maryśkę aż pod sam dom Ciąglewiczów, a potem czekał, chodząc tam i z powrotem... Zrazu pod bramą, następnie coraz dalej, w coraz szerszym promieniu. Napełniało go głęboką rozkoszą, że oto wali śnieg, wicher się szarpie wśród domostw, przynosi od strony złożonego w ciemnościach miasta głuchy jęk i dzwoni lodem, wśród czarnej aleji, prowadzącej na Kopiec Kościuszki.

A ta aleja szła kształtem sztywnych drzew, szarpanych złością zimy, a ta ciemna droga biegła samotnie wśród nocy i jęku wichrów i dreszczu krzaków,—tak właśnie, jak cierpienia Adolfa szły i biegły samotnie, miotane żalem w beznadzieję przyszłości...

Tu, siedząc na ławce, okrytej szronem, świadczył się wielkiej nocy ze swego braterstwa i srogich jego mąk...

A wystarczyło, by rzucił okiem na światło okien, w których mieszkali Ciąglewiczowie — i już wiedział, że całe to braterstwo to nieprawda!...

Adolf był dumny, że kostnieje na wichrze, że go mróz przenika i szron po oczach tnie... Nie jestże to zamało, gdy się stoi na takiej straży?!

Zaś, gdy tę, lub owe światła mieszkania Ciąglewiczów gasły nagle, — rozpacz go porywała... Bo może Ciąglewicz, korzystając z choroby żony... zgasił światło i rzucił się na Maryśkę...

Wtedy, biegł przez ulicę, w dół—do wielkiej bramy cmentarnej przy kościele Salwatora, zamykał ją za sobą i przez gęsty śnieg pędził za kościół. Dopiero stąd zoczywszy, że znów się świeci, uspokojony wracał pod szkarpy budowli i tkliwie całował śnieg, leżący na przyczółkach...

I znów, wpatrzony w miasto, iskrzące się światłami, oddawał się w ciemnościach wspomnieniom, nadziejom i przebaczeniu... Tu, kiedyś, kiedyś, uciekł był w lecie, dawszy jej

do puszki dwie korony... Tu, kiedyś, jesienią szli razem, tu jej ten nóż darował... Tu, kiedyś, kiedyś, gdy Ciąglewiczowa umrze, gdy Maryśka się dowie, kim był Ciąglewicz, przyprowadzi ją Adolf i powie wszystko... Nie teraz...

Kiedyś powie jej Adolf, jak tu stróżował na granicy jej honoru... Śnieg zasypywał go, grubymi pasmami zalegał wszystkie fałdy, zaś Adolf czekał, chyba tak cierpliwie, jak czeka kamienna figura w opuszczonym zamku...

Cóżby dał za to, żeby naprawdę skamienieć, czuwając nad jej bezpieczeństwem i honorem!...

Wicher wzdymał dokoła kościoła sypkie śniegi, rozpędzał srebrne ich chmury i spędzał...

Tego wieczora, w którym tak trudno mu było wyswobodzić się z powodu rodziców i Felusia, działy się u Ciąglewiczów dziwne rzeczy... Światło przebiegało z pokoju do pokoju, to się urywało, to gasło... Aż w końcu, po dziesiątej już, jakby się wysiliwszy nagle, stanęło we wszystkich pokojach, niby sztywny jasny dzień...

Adolf zaczaił się za bramą, przekonany, że stało się coś niezwykłego...

Wkrótce nadeszła Maryśka. Widział ją doskonale w blasku latarni. Szła z czapeczką na bakier, zapłakana, z roztrzepanymi włosami, z chustką do nosa przy ustach...

— Pani Marjo!...—Wciągnął ją do bramy.

Stanęli oko w oko w załomie cmentarnego muru.

Patrzyła na niego z przerażeniem. Jego czarne oczy płonęły, jak iskry... Skąd się tu wziął tak nagle?...

Nie mogła przyjść do siebie. Mylił się jej w oczach siny mur kościoła, przeryty cieniem szkarpów, korona czarnych drzew niecił a straszny szum, a zewsząd, z całego bezmiaru nocy tchnął wiatr jęczący, przeraźliwy...

— Niech pani mówi,—niech pani nie drży!...

Maryśka przytuliła się do Adolfa, schowała twarz na piersiach jego ośnieżonego płaszcza, stuliła obie ręce pod brodą...

— Ciąglewiczowa umarła przed chwilą, Adolfie, umarła... I w porywie przerażonej, lekkomyślnej prawdomówności, drżąc na całem ciele, tuląc się w silne objęcia chłopca:— To ja ją zabiłam, to przezemnie...

Objął ją z całych sił, nieomal podniósł ku sobie, dumny, szczęśliwy, że niby wyklęci drżą tu w tej wichurze, wśród nocy...

— To ja ją zabiłam, ja,—ja... Jezus Marja!...—Zęby jej dzwoniły, jak szkło. Zasłaniała piąstkami oczy, całą twarz, płacząca i zrozpaczona...

Wówczas, jakby coś pękło w piersiach Adolfa... Zsunął się, chwycił Maryśkę pod kolana i przykładając twarz do jej nóg, zwierzał się raptownie:—Pani ją zabiła?!? To ten zbrodniarz, ją zabił! To on!! Nie chciałem mówić, bo wiedziałem, że musiałaby pani przestać tam bywać... Przestać opiekować się chorą... I wstyd mi było przed panią,—takie brudy!... Przed panią,—przed panią!... To to była właściwie ta rzecz, którą chciałem napisać w pamiętniku!... Pani Marjo...

Kładł się nieomal u jej stóp, garście śniegu rzucając sobie na głowę i piersi... Maryśka kucnęła przy nim.

— Teraz, gdy Ciąglewiczowa nie żyje, mogę powiedzieć,—to on ją zabił!... Pani nie wie o tem, co ten człowiek robił, gdy pani nie było!... Zbeszcześcił pani mieszkanie! On tam bywał! Był kochankiem tej służącej, Nastki... Przesiadywał tam całe tygodnie z innymi!...

Maryśka zdrętwiała z bólu i upokorzenia... Wielki gwałtowny płacz wydarł się z jej piersi.

Przez krótki, oślepiający błysk chwili zdało się Maryśce, że nagle wszystko rozumie inaczej: — Ów dziwny uśmiech Ciąglewicza, gdy Ciąglewiczowa powierzała jej córkę... Owa kolacja, którą jadły z nim kiedyś, we dwie, z Nastką, gdy je po czarnej kawie, w jej rodzonem mieszkaniu całował po rękach... To, że owej pamiętnej nocy nie chciał, by narzuciła na siebie szlafrok Nastki... Ten śmiech i te miny służącej, na widok przysyłanych przez Ciąglewicza kwiatów...

Wszystko to otwarło się, niby tama jakiejś ohydy, tak nikłe, tak potwornie żałosne wobec tej biednej, wyzwolonej duszy Ciąglewiczowej, która może teraz z tym wichrem pędzi już w nieskończoność...

Ale, czyż Ciąglewicz, Fran, jej Fran, mógłby zajść tak daleko, żeby oszukać nieboszczkę na śmiertelnym łożu?... Wszak sama Ciąglewiczowa pasowała Maryśkę na swą następczynię?! Czyżby był tak przewrotny?

Drżąc z zimna, czekając, aż ją Adolf ze śniegu otrzepie, przypominała sobie, jak się Fran zachował zaraz po śmierci żony... Jak na palcach wyprowadził Maryśkę do przedpokoju i tam, pod tym lwem szwajcarskim, który był towarzyszem tylu ich wspólnie kradzionych chwil,—podał jej futerko... Bez

słowa, — bez jednego słowa pocałował ją w rękę i otwarł drzwi... Czy ją wyrzucił, — czy chciał oszczędzić jej nerwy?...

— Zabierz mnie pan,—zabierz mnie Adolfie,—szarpnęła się Maryśka, chwytając go za rękę.—To wszystko takie brudne, takie straszne!...

Szalona, skoczna radość przepełniła mu piersi. Rzuciwszy się na ziemię, wierzgając nogami, tulał się po śniegu głębokim, niby młody psiak. Znalazłszy się wreszcie tuż przy Maryśce, uniósł ją z ziemi i tymsamym rzutem radości zatrzymał w ramionach.

— Panie Adolfie,—w obliczu śmierci...

Natychmiast spoważniał.—Pani Marjo,—rzekł,—cieszę się tylko, że nie stało się nieszczęście... Bo ten człowiek oszukał by panią straszliwie...

Następny dzień nie przyniósł żadnego roztrzygnięcia.

Idąc więc po południu po kwiaty (jakie to szczęście, że Ramkie odniósł był jej ratę) zauważyła już na mieście żałobne ogłoszenia o śmierci Ciąglewiczowej. Chciała sobie pomyśleć ze współczuciem o Franciszku, ile się musiał za tem nalatać... Chciała tem współczuciem, ewentualnie już na przyszłość, pokrzyżować złe zamiary Frana...

Ale przemogła ją dziwnie nagła ciekawość. Maryśka zatrzymała się przed białym czyściutkim plakatem, który ozdabiał krzyż i dwie chudziutkie gałązki na ukos drukowanych palm żałobnych.

Więc to tak:—Jadwiga z Kozienieckich Ciąglewiczowa przeżywszy...

Oto jest życie ludzkie... I tak samo, być może, za lat dwadzieścia, stanie Magda, lub wszystko jedno kto, przed podobną klepsydrą i przeczyta:—Marja primo voto Miechowska, secundo voto Ciąglewiczowa, przeżywszy...

A jednak w doskonałym humorze poszła po kwiaty... Posłała białe róże z czarną szarfą i złotym napisem:—„Gdy śmierć jest życiem, czemże jest życie"...

Pamiętała to zdanie oddawna, jeszcze z jakichś rekolekcji...

A na drugiej wstędze: — „Niepocieszona przyjaciółka Marja, Jadwidze".

Potem, aby odpocząć i uspokoić nerwy wstąpiła do Noworolskiego, do cukierni w Sukiennicach. Ogrzeje się jakimś kakao, będzie patrzeć na kościółek świętego Wojciecha,

schylony nad śniegiem i będzie myśleć o życiu ludzkiem, które taksamo schylone jest i ciasne...

Ciepło się jej zrobiło w cukierni i rzeczywiście zapadła w zadumę. Tu, kiedyś, z nim, z Franem, siedzieli razem i pili kawę przed pójściem do Zatorskich. Wtedy pierwszy raz byli razem w cukierni...

Pamiętała doskonale, że wtedy popołudniu, siedział obok nich przy stoliku oficer ranny w rękę, jakaś pani krajała mu kanapki...

W Sienną ulicę wjeżdżali ułani, a obok kościoła św. Wojciecha prowadzono szpiegów, którzy się z żałością oglądali na stragany, pełne czerwonych jabłek... Wzdłuż linji A—B przejeżdżał samochód z jenerałami...

Ach, — coby dała za to, żeby choć jeden z tych ludzi, których widziała wówczas,—wrócił teraz!... Żeby choć jeden wrócił i znów ją zobaczył siedzącą tu z Ciąglewiczem, tak niewinnie!

— Czy można się przysiąść?

Nawet nie zauważyła tego Smolarskiego. Był w nowem ubraniu (czy może przenicowanem tylko) i bardzo porządnie wyglądał.

— Wie pani już o Ciąglewiczowej?

Kiwnęła głową.

— I cóż teraz?

— Nic,—pogrzeb.

— A cóż ze sztuką,—z Batorym?

Tak dawno nie myślała o tem wcale. Ale tknęło ją coś, żeby właśnie w tej kwestji zająć silne stanowisko...

— Cóż ma jedno do drugiego, — rzekła, — sztuka jest przyjęta i pójdzie. Ma się rozumieć...

— Bardzom ciekaw, bardzom ciekaw, -chlupał Smolarski o dziąsła.

Maryśka z utajoną pogardą przyjrzała mu się uważniej. Tak,—to ona Nastka tak dba o niego...

— Ale się pan nosi teraz ślicznie, — wyświeżony, elegancki...

Nic nie odpowiedział.

Postanowiła wyjść stąd, jaknajśpieszniej. Jeden, jedyny Adolf na całym świecie, który ją szanował i dbał o nią... Z rzewną wdzięcznością pomyślała, jak serdecznie i żarliwie tulił ją wczoraj, tam, pod murem... Chciała go zobaczyć, podziękować... Postanowiła nawet pocałować go w czoło...

A także od razu zobaczy,—może Fran posyłał po nią...

Nie. W domu żadnej wiadomości... — Nie zważając na Felusia, nawet właśnie przy nim, pocałowała Adolfa w czoło. Felek zasępił się, a Adolf, blady ze wzruszenia, przyniósł mu w nagrodę swój czerwony kołczan ze strzałami.

Cały wieczór spędziła z Karowskimi, opowiadając o tej śmierci, o ostatnich chwilach... Rozpłakała się nawet.

Karowska pocieszała ją zdrowiem synka i zapewne zdrowiem męża.

— Nie zaznał śmierci,—mówiła Karowska,—kto nie patrzył na śmierć własnego dziecka... Więc nie bluźnić, — nie bluźnić...

Cały wiecór nic,—„stamtąd" ani słowa... Późno, gdy już leżała w łóżku, zapukał do niej Adolf. Czy czego nie potrzebuje?...

Zawezwała go blisko do siebie. A gdy się zbliżył, objęła nagiemi ramionami, wysuniętemi z rękawów nocnej koszuli i przytuliła jego głowę do piersi...

— Pan jeden, kochany mój chłopcze, jest dla mnie dobry,—rzekła mu na dobranoc, przypominając sobie, że trzeba było odrazu powiedzieć Smolarskiemu tam w cukierni, iż nie da mu raty w tym miesiącu, bo przecież wszystko wydała dziś na ten wieniec...

Była zaś tak zmęczona, że nawet nie pamiętała, czy się jej śniło, czy też rzeczywiście Adolf uklęknął i mówiąc coś, całował brzeg jej kołdry...

Następnego dnia również „stamtąd" ani słówka... Jak nożem uciął... Nie pozostawało jej nic innego, jak iść na pogrzeb, milczenie Frana złożyć na karb żałobnego roztargnienia...

Adolf ją zaklinał przed wyjściem, aby wzięła śniegowce i aby mu pozwoliła towarzyszyć sobie...

— Pójdziemy razem,—zresztą mama też będzie...

Maryśka jednak wolała iść sama.

Pogoda była tego popołudnia, jak stworzona do pogrzebu. W powietrzu cisza, na niebie ciężkie chmury, płynące ciągle w jakąś obojętną stronę. Przed domem stał już karawan błyszczący, sklepiony, niby potworna tabakierka z czarnej laki. Konie machały, łbami, a z czarnych ich pióropuszy sypał się śnieg.

Po obu stronach gościńca stali widzowie, goście, służba i gromadka dzieci.

Ale uniwersytet stawił się porządnie, — myślała Maryś-

ka na widok licznych cylindrów, wybłyskujących z szarego tłumu. W pobliżu domu spotkała Smolarskiego z Ramkiem. Ramkiemu kiwnęła dziękczynnie głową, a Smolarskiemu w przelocie powiedziała, że „będzie mieć do niego interes“.

Na schodach karawaniarze w srebrnych lampasach i czarnych pierogach kłócili się o coś zawzięcie...

Dotknęły Maryśkę te zmiany, jakie poczyniono w przedpokoju... Wyprzątnięto stąd wszystko, kufry i szaragi nawet, tylko lew konstytucji wisiał na dawnem miejscu...

Żal wielki drążył Maryśkę... Czyż taka powinna być teraz jej rola?... Czyż tu jej miejsce?...

Dokoła katafalku stali ci najbliżsi, z policzkami wezbranemi nieprzełkniętą śliną współczucia.

Cały pokój (dawny jadalny) obity był kirem. Wszystkie te żałobne luksusy zaskakiwały w myślach Maryśki długim szeregiem ogromnych, a niepożytecznych wydatków...

Wolałaby rzewną prostotę...

W samym kącie pokoju stał znany w Krakowie hrabia, profesor sztuki i podobno osobisty przyjaciel arcyksięcia z Żywca...

Postała chwilę koło niego, aby pobyć w sąsiedztwie wielkiego świata i posłuchać żałobnych oddechów, ważnej w życiu polskiem osobistości.

I właśnie, jakby to bliskie sąsiedztwo dodało jej pewności siebie... Podeszła bliżej ku trumnie, naprzeciw której tkwił Ciąglewicz, w towarzystwic profesora filozofji.

Patrząc na żółtą i jak sęk twardą głowę profesora, nie śmiała była pomyśleć, że obok stoi poprostu jej Fran...

Tak godnie wydał się jej Ciąglewicz złamanym i cierpiącym w tej chwili... Twarz jego, nie odwracała się ani na chwilę od trumny.

Najciężej było Maryśce spojrzeć na tę trumnę... Więc to tak... Więc to tak,—w małuśkim szmelcowanem korytku, trochę jakiejś gazy, dwa płaskie pantofle, pod rozwartym kątem ustawione... Jak się tam to całe popuchnięte ciało pomieści, nikt nie dba... Dość, że dało się jakoś zwinąć—i leży taki atłasowy, biały sienniczek, z rękawiczkami, w kupeczkę na środku splecionemi.

Maryśka, podsuwając się bliżej, natknęła się na Zatorską...

Mówiłam z nim,—szepnęła Zatorska,—widział mnie, ale czy będzie chciał teraz się mną zajmować?...

Maryśka odwróciła się ze wstrętem i uklękła między lichtarzami, tak, by mógł ją widzieć Ciąglewicz. Nie mogła się modlić... Przypominały się jej wciąż namiętne ich spotkania i to, co Ciąglewicz mówił zawsze wtedy z dzikim uśmiechem:—Sama chciała... Poronienia... A mnie to nic nie obchodziło...

Oto, co zostaje z ofiarnej miłości oddanej kobiety:—Para pantofli, pusta, z trudem zawinięta w atłas przepuklina, para rękawiczek...

Odwróciwszy się, spostrzegła obok siebie Adolfa. W cieniu złotych świec uścisnęli się za ręce.

Zaczęło się modlenie, kropienie, lutowanie... Gorliwy płacz służby... Potem znoszenie ze schodów, przy pilnym tupocie karawaniarzy. Gdy trumna znalazła się przed domem, zaśpiewał chór...

Stał on w podkowę, po drugiej stronie chodnika. Dyrygował profesor Kałucki. W wojskowym ubranku, w zakrótkim płaszczu, wyglądał, jak stary aktor, grający rolę gimnazjalisty.

Trumna musiała zaczekać, aż skończy się całe „Beati Mortui“.

Maryśkę wciśniętą w orszak, na schodach, podtrzymywał Adolf.

Ach,—jakież to wszystko było śmieszne!... Twarze śpiewaków trzęsły się w wysiłku, jakby się wydymały od dołu ku górze, jakby się wraz z głosem marszczyły od brody aż ku czołu.

Maryśce przypomniał się tak wyraźnie Zdzich, gdy śpiewał... Zapłakała serdecznie.

Ogromny kawał drogi był na cmentarz. Ileż musiało kosztować bicie dzwonów w kościołach?...

Za trumną, równo, godnie postępował Ciąglewicz, prowadzący Magdę za rękę. Owszem, Magdusia miała na sobie jakąś żałobę, ale jak to musiało być wykonane?! Pewno nawet nie uszyte, tylko szpilkami zczepione, jak bądź...

Teraz obie będziemy mieszkać za koleją,—pomyślała, gdy kondukt wszedł pod most.—Ona na cmentarzu,—ja w żywym grobie tych emigrantów...

Zdecydowała się dopiero, przy rozkopanym grobie. Gdy po śpiewach, rzucono grudki ziemi, gdy się już publiczność rozpełzać jęła po ciemnych alejach, — podeszła Maryśka do

Ciąglewicza. Ucałowała serdecznie Magdę, a potem uścisnąwszy dłoń Frana:—Chcę z panem pomówić...

Serce jej biło, jak młotem. Ciąglewicz oświadczył że owszem,—każdej chwili może się rozmówić...

Więc jutro popołudniu... Tymczasem podszedł ku nim Smolarski. Przez długą chwilę stali we troje nad świeżą mogiłą. Magdusi wciąż łzy kapały na kołnierz. Maryśka, przy Ciąglewiczu, poprosiła na jutro do siebie Smolarskiego. Niech Fran nie myśli, że ma zamiar narzucać się mu i że nie ma innych znajomych... Własnych...

— W bardzo ważnej sprawie...

Smolarski ukłonił się potakująco. A z Ciąglewiczem nie umówili się, gdzie się ma odbyć to spotkanie. Ale Maryśka nie była przecież formalistką, gdy chodziło o prawdziwe cierpienie ludzkie...

Popołudniu więc, nie czyniąc nawet tej toalety drobiazgowej, jaką czyniła zawsze, gdy mieli się widzieć, zadowolona, że to samo już nie dopuści do żadnych ustępstw z jej strony, o ileby Fran nalegał i że „godność" będzie zachowana,—pojechała na Salwator...

Dorożką... W takich chwilach nie może człowiek myśleć o oszczędności... Bujając się na resorach, ważyła w sobie tę oto sprawę, że jedzie decydować o całem swem życiu... Nie widziała tylko, z czego zacznie rozmowę... Czy od sztuki, od Batorego, czy od wyrzutów o Nastusię?... Te ostatnie mogłaby prowadzić od siebie i niejako w imieniu nieboszczki...

Czy może przywieść wdowcowi zwrot słowa, danego przezeń przy łożu konającej żony?... Czy też poprostu zaofiarować, na razie, pomoc gospodarską i nic wogóle o sprawach zasadniczych nie mówić?...

W końcu, koło klasztoru Norbertanek, postanowiła wystąpić, jako uprawniona, zobowiązana przez nieboszczkę, opiekunka Magdusi...

Fran przyjął ją poważnie i w skupieniu... Pomógł rozebrać się, wprowadził poważnie do salonu...

Na ileż tajemnych ich uniesień patrzyli ci gienerałowie ze ścian?!...

— Jesteśmy sami, — rzekł, gdy usiadła na kanapce. — Magda jest u krewnych. Umyślnie wyprawiłem służbę... Nie potrzebujemy się krępować... Słucham cię...

Maryśce przykro się zrobiło, że zdjęła czapeczkę w przed-

pokoju. Gotów pomyśleć, że miała zamiar dłużej tu zostać... Ale jakże panować w takich chwilach nad wszystkimi odruchami?!...

— Moja droga,—dodał po długiej przerwie, — mam nadzieję, że obejdzie się między nami bez wszelkich obopólnych wyrzutów... Jesteś jedyną w moim życiu kobietą—i za to cię cenię właśnie,—która nigdy tej broni...

Nie wiadomo, co się Maryśce stało, ale właśnie w tej chwili, patrząc na złoty, szambelański klucz, leżący na Kościuszkowskich filiżankach w serwantce, nie wytrzymała —: Nie wiem, czy jestem jedyną? Może się w twoim życiu znajdzie więcej takich jedynych?...

Poczuła odrazu, że idzie złą drogą, złą, najgorszą, a pchało ją coś właśnie w tym kierunku niepowstrzymanie...

Ciąglewicz spojrzał na nią wzrokiem zasmuconej sarny i zasępił się...

Milczeli znów sporą chwilę. Wiatr rzęził w piecu i siekł szronem po szybach okiennych.

— Jakto nie wiesz, czy jesteś jedyną?...

— Nie wiem, musiałabym się w tym względzie porozumieć, o ile mi wiadomo, przynajmniej z Nastusią...

Ciąglewicz wstał, przeszedł się po salonie, usiadł już dalej od Maryśki, na taborecie, przy fortepianie i jak winowajca ukrył twarz w dłoniach.

Według mniemania Maryśki była to najgorsza reakcja, jakiej można było oczekiwać... Przeczekała długi moment „walki z samym sobą“ i podszedłszy do Ciąglewicza, pogłaskała go po włosach.

— No Fran, — nie martw się... Nie martw... To było brzydko, niegodnie, ale ty wiesz... Wiesz, że przebacza się ludziom, których się...

Zdjął lekko jej rękę ze swych włosów i przesiadł się na kanapkę, pod palmą...

— Dla pewnych ludzi niema i nie może być przebaczenia,—rzekł...

— Dla wszystkich jest, Fran, — zaprzeczyła mu pośpiesznie,—dla wszystkich...

Serce tłukło się w niej tak, że ledwie mogła sklecić to zdanie... Przecież tłomaczyła sobie,—„czołgał się u twych stóp, błagał, szalał“...

— Niema przebaczenia, — twierdził, — dla ludzi, którzy spowodowali czyjąś śmierć...

— Możesz mi wierzyć,—westchnęła Maryśka,—że gdym się dowiedziała o tem, o tej Nastce,—to też umarłam duchowo... A jednak przebaczam ci... Taksamo więc...

Powstał i pocałował ją w rękę.—Ty mi przebaczasz, ale ta, której już niema?... Nieboszczka?—Wskazał w stronę sypialni, w której Ciąglewiczowa umarła.

Maryśka uczuła, że na tej uczonej drodze etycznych rozważań do niczego nie dojdzie.

— Więc dobrze, — spytała poprostu, — więc cóż teraz będzie?

Wzruszył ramionami:—Nic. Zupełnie nic...

Po chwili spojrzał na nią przygasłem „zadusznem“ spojrzeniem, z pod niskich powiek: Słuchaj... Dużo przez te ostatnie dnie myślałem... Wiele się zastanawiałem... Ach,—mądry teraz jestem, jak stary, zleżały popiół... Skończył się rytuał i nic nie będzie... Mogłaby być jedna tylko rzecz, ale ta właśnie jest niemożliwa... To jest,—my...

Maryśce zadrgały ręce.

— Ty i ja, my, jako małżeństwo... Ale to jest niemożliwe... Pomijam, że twój mąż żyje i że, jak wielokrotnie twierdziłaś, nawet w chwilach, w których, bardzośmy byli blizko,—kochasz go... Ale to głupstwo... Czuję do ciebie tak wiele, że wziąłbym cię, nie kochającą mnie nawet... Nie w tem leży niemożliwość... Leży ona w tem, że ja sam wnoszę, widać, z sobą jakiś jad w życie mych najbliższych... Właściwie zabiłem żonę... Ty sama twierdzisz, że ciebie moralnie też zabiłem... Pomyśl więc, jakżebym mógł?...

Maryśka słuchała tego wszystkiego, zapatrzona w okno. Na świecie padał śnieg, długiemi taśmami kratując przeciwległą willę. Wiatr skuczał przeciągle w piecu, wypięci gienerałowie cofali się wolno w głąb ścian... Wiedziała już, teraz wiedziała napewno, że wszystko napróżno...

Dlatego, że źle zaczęła rozmowę, od Nastki, ma sama osiąść na lodzie teraz, niby jakaś...

— A nasza sztuka? — spytała niespodzianie i naiwnie, przez łzy...

— Sztuka?!—Wybuchł gwałtownym smutkiem, chociaż zdawało się Maryśce, że radość słyszy w tym smutku... — Nasza sztuka?!?

Chodząc po pokoju tam i z powrotem, mówił długo na ten temat, jakby cały odczyt...

Nie wiele rozumiała z tego...

Wielki wysiłek,—wspólne ich dziecko...—Potem Batory mięszał się, jako pojęcie, z kamieniem przydrożnym... Sztuka ta była przezwyciężeniem błahego apetytu życia, na korzyść wiecznych pierwiastków... Ale zarazem, wykazaniem, jak te wieczne pierwiastki prowadzą, po przez obowiązek do nihilizmu... Koło to zamknęło się w sztuce,—należy je jeszcze zamknąć i w życiu... Sztuki tej nie będzie się wystawiać, cofnie się ją—i już...

Przytem cytował jakąś długą bajkę z życia Buddy... Jak Budda, „pewnego razu" długo pościł, oczekując w sobie nowej myśli... Jak pięciu uczniów czekało zbożnie na tę myśl, budując się równocześnie askezą Mistrza... Jakież było ich oburzenie, gdy mistrz, po iluś tam dniach, przerwał askezę, dobrze zjadł—i myśl porodził... Nie trzeba więc być scholastykiem... Nie trzeba stawiać sztywnych zasad... Każdy człowiek ma swoją drogę dochodzenia do prawdy. I każdy dojdzie, gdy ma „po temu" wolność... Najważniejszą rzeczą jest wolność!

Powtórzył to słowo kilka razy...

Maryśka powstała cicho i probując ostatniego sposobu, rzekła cicho—:W takim razie, mój drogi, co do mnie, możesz być spokojny,—możesz się uważać za całkiem wolnego...

Ciąglewicz ceremonjalnie ucałował obie jej ręce i ukłonił się z głębokim, świadomym przyszłości smutkiem...

W przedpokoju podał jej futerko.

— A Magda!!—krzyknęła nagle Maryśka,—moja Magda!!

— Możesz być pewna,—rzekł z godnością,—jak się tylko wojna skończy, pojedzie do Sacré Coeur... O to możesz być zupełnie spokojna...

Maryśka wyszła... Wydziwić się nie mogła, że furtka drucianego płotu tu, przed willą, skrzypnęła za nią, jak zwykle... Szła teraz między domami, w dół, ze strasznem przeświadczeniem, które ją napełniało zabobonną obawą przed Ciąglewiczem... Och,—tam się nic nie zmieni... Żona umarła, kochanka odeszła, ale nic się nie zmieni,—wszystko zostanie, jak zwykle...

Przechodząc koło kościoła świętego Salwatora zajrzała mimowoli za ośnieżone wrota cmentarne, w ukrytej nadzieji, że czeka tam na nią Adolf...

Śnieg leżał wysoko, brama zasuta była szronem, wrony krakały w gałęziach i widać było miasto, przypłaszczone,

niskie... Wszystko już było Maryśce obojętne. Brnęła przez śnieg, szczęśliwa, że tak ją los wygnał, aż tu na ten mróz...

Przyszedłszy do domu (już późno było) poprosiła Karowskich, by wzięli do siebie Felusia dziś na noc.

— Panie Adolfie, pan zrobi to dla mnie.

— Ależ wszystko, ma się rozumieć,—wszystko...

— I nie przychodźcie dziś,—dajcie mi dziś spokój....

Jakimiż smutkiem napełniła go ta liczba mnoga, w której i on już był policzony... Wyszedł na palcach, zabrawszy ze sobą pościel Felka.

Maryśka miała szaloną migrenę. Nie świecąc już lampy, położyła się do łóżka. Dreszcz nią trząsł.

Ach,—żebyżto zapaść na jakiś tyfus, jak w powieściach Rodziewiczównej!

Ciągle przywidywało się jej coś... Niewysłowiony niesmak przepełniał całe jej ciało, wyraźnie kłując i swędząc... „Skoro i ciebie zabiłem moralnie“... To zdanie Ciąglewicza dźwięczało jej w uszach, jak żywe szyderstwo... Zabił ją, ją też zabił,—Nastką... Zabił i ją i Jadwigę...

Obudziło ją jakieś pukanie. Ach, — to ten nieszczęsny Smolarski... Kazała mu wejść, ale nie świecić... Usiąść na łóżku i trzymać za rękę...

— Co się stało,—chlupał śliną o dziąsła,—co się stało?!?

— Co się stało?... Nie mogła już wytrzymać...—Tosamo co z panem dwa lata temu, u tych samych Karowskich... To samo, to samo, ach,—to samo... Jedno chce, drugie nie chce... Jedno kocha, drugie się śmieje...

— Ach,—to samo... Że nic... Tylko, żeby już dali spokój, kawałek kąta szarego, i szklankę gorącej herbaty i tegoby już wystarczyło, chyba na całe życie... Pamięta pan,— to samo...

Nie rozumiał zupełnie.

Maryśka zaś, pragnąc, by koło niej też ktoś cierpiał, też ktoś wył i skręcał się, jak ona,—przypomniała mu:—Nie pamięta to pan, jak pan cierpiał dwa lata temu, w pokoju Janiny u Karowskich?... Że ją potem z mieszkania wyrzucono?...

Wszystkie trójkąty jego zielonkawej twarzy zaostrzyły się nagle... Na czoło wystąpiła tłusta, niekształtna bruzda...

— Tosamo ze mną się stało, — tosamo... Powiedz pan, powiedz, czy mężczyźni mają serce?... Czy cierpią, tak, jak

my?!... Czy taksamo wtedy, noc ich dręczy i żyć się już nie chce?!?

Smolarski żachnął się. Odsuwał ją od siebie: O tem wcale mówić nie trzeba, to się już zasklepiło, zabliźniło...

Maryśka aż usiadła na łóżku.—Niech pan mówi, że to się zabliźnia, niech mi pan to powtarza... Zabliźnia się,—wszystko?...

Więc powtarzał dziesięć razy tesame słowa:—Że człowiek powoli wszystko zapomina, że jest głupim i biednym zwierzęciem...

— Człowiek jest tylko zwierzęciem, — ucieszyła się.— Wszystko zapomina... Zatorska też zapomni... Pan też... Wszyscy... Pan już zapomniał... Już nic panu nie mówi ten kościół świętego Mikołaja?... Chociaż w nim ślub pan chciał brać... Już nic...

— Ależ oczywiście, oczywiście,—pocieszał ją Smolarski.

Gadali tak długo szeptem, do późna, a Maryśka wciąż nawracała do tego samego: — Ale co wtedy, panie, gdy pamięta człowiek?... Pan jednak długo pamiętał swą Janinę...

Zdawało się jej, że Smolarski płacze... Dotknęła jego oczu. Były mokre.

— Ale pan długo pamiętał,—długo,—tego nie można zapomnieć...

Porwana nagłym dreszczem, objęła go za szyję, tuląc się do niego z niechęcią i przerażeniem... Był miękki,—mokry...

— Ale pan długo pamiętał,—powtarzała, zrywając z niego odzież.—Żadna sługa, żadna Nastka tego panu nie zastąpi... Żadna Nastka... Głupia... Przepadło...

— Przepadło,—śmiała się Maryśka, mszcząc się całą siłą rozpasanej pieszczoty za swoją krzywdę,—można zdradzić, ale nie zapomnieć... Każda z nas potrafi więcej... Niż jakaś Nastka...

VIII.

Po tej strasznej nocy bała się otworzyć oczy. Jakieś krzesło, lub którykolwiek sprzęt przypomni jej coś z nagłą obrzydliwą dokładnością!...

Dobrze jeszcze, że się nikt niczego w domu nie domyślał?... Z mieszkania Karowskich nie dochodził żaden głos.

Maryśkę przerażała nieomal ta cisza... Cisza zbrodnicza, czy świadoma rzeczy, która zapada zwykle zapóźno...

Ach,—wolała patrzeć przez okno. Spadł świeży śnieg, iskrzący się w słońcu na domach i dachach, na gościńcu i torze kolejowym pomarańczową lamą. Długie pociągi towarowe, pokryte szronem mijały wolno przed oknami, przynosząc z sobą białe wspomnienie przebieżonych dali, wsi i przestrzeni...

Sygnaturka kościoła św. Mikołaja, strugana w szpic zrumienionym w słońcu mrozem, tężyła się wytrwale ku bezdennemu błękitowi zimnej pogody,—ludzie chodzili po ulicy tam i napowrót, z ochronki dolatywał aż tu miły szum przepełnionego ula...

Niczego więcej nie pragnęła teraz, jak zobaczyć się z Janiną... Raz jeszcze na własne uszy usłyszeć, jakim osłem, jakim niepotrzebnym głupcem był Smolarski... Pochwalić ją, że dobrze, świetnie zrobiła wtedy, pokłóciwszy się z nim, nawet zaprosić ją, poniekąd za to, na kawę do cukierni...

Wyskoczyła pośpiesznie z łóżka. Ach — umyć się jaknajdokładniej...

Widok własnej, nagiej postaci w lustrze, dodał Maryśce

otuchy... Nacierając się zimną wodą przypomniała sobie nawet, pewną sławną baletniczkę z francuskiego obrazu, która została sprzedana za ogromne pieniądze do muzeum.

Obrazy takie oglądali zwykle, w sobotę popołudniu ze Zdzichem, po konferencji nauczycielskiej w „the Studio“ i innych zagranicznych wydawnictwach.

Dzwoniąc zębami z zimna, skoczyła z powrotem pod kołdrę. Mogą ludzie płacić tysiące za jakiś obraz, może też i Maryśka szaleć, jeśli się jej tak podoba!... Będą szaleć obie, razem z Janiną... Róża i fjołek... Na wszystkich mężczyznach się zemszczą... Janina za Smolarskiego, — Maryśka za Ciąglewicza...

Ukazała się jej nawet już w myślach jakaś wspaniała sala, naprzykład hotelu Pollera, wykładana drzewem, na słupach, albo restauracja w hotelu Saskim, z szklanym sufitem, albo choćby tylko Michalik... W tym pokoiku na górce... Tam będą szaleć we dwie... W koszach mrożony szampan, kawior, o który teraz tak trudno, całe fury kwiatów... To, zacoby jedna rodzina mogła żyć cały rok, będzie zmarnowane niepotrzebnie na jedno skinienie Maryśki, lub Janiny...

Szaleć,—albo umrzeć!...

Ktoś zapukał do drzwi.

Postanowiła chorować.—Karowska przyniosła jej kakao z żółtkiem. Maryśka będzie chorować... Czyż i tak nie cierpi?! Niech inni za nią myślą... Niech ona ma też jakąś (hahaha!) swoją Maryśkę, która będzie dla niej dobrą w czasie choroby... Która ją będzie odwiedzać, opiekować się jej dzieckiem...

Koło południa, gdy przyszedł Adolf, była już zupełnie oswojona ze swą chorobą i niejako zadomowiła się już w stanie cierpienia...

Leżała więc już „obojętnie“ na łóżku, z fjoletową wstążeczką na piersiach wyprawowego jeszcze kaftanika porannego, tak nikła i biedna pod wielkimi promieniami słońca, które szły skosem przez cały pokój!...

Adolf poruszał się ostrożnie i cicho. Gdy całując ją w „bezwładną“ rękę zapytał o zdrowie i spojrzał w oczy,— uczuła, że się zarumieniła... Wielka słodycz dziwnej, nieuświadomionej przewiny napełniła niemocą całe jej ciało.

— Jakże się pani ma,—zapytał.—Byłem tak niespokojny. I rodzice... Wszyscy byliśmy tak niespokojni...

Spuściła powieki, szczęśliwa, że nic niema na swe usprawiedliwienie... A kiedy pierwsze łzy stoczyły się z jej rzęs na policzki, odetchnęła z ulgą...

Adolf pochylił się nad nią —: Co pani jest, co pani jest?...

Nie śmiała się ruszyć w słodkiej wiośnie rozkosznego wstydu, który ciepłym przeciągiem przenikał całe jej ciało.— Ależ nic, nic, zapewne przeziębienie, — mówiła, nie otwierając oczu...

Właściwie Adolf sprawił, że już nie wypadało się jej cofnąć i musiała się zgodzić, iż jest poważnie chorą: Przez lekko uchylone źrenice, przez splątane rzęsy, niby przez siatkę tęczową, widziała jego twarz tak skupioną, tak czystą w promieniach południa, tak pilnie czuwającą, że nie chciało się jej ruszyć i przerywać tych chwil...

Zakrzątnął się wreszcie po pokoju i na palcach wyszedł. Po południu spłynęła ku łóżku Karowska z filiżanką buljonu. Rozmówiły się co do choroby, — tak, zapewne, wycieńczenie... Tyle nocy czuwała była Maryśka przy chorej... Anemja, nerwy,—najlepiej na to wyleżeć się i wytchnąć...

Istotnie wolała przeleżeć ten ciężki, potworny okres, jaki, wiedziała, iż czeka ją teraz.. Wolała tu, na własnym barłogu raz na zawsze skończyć z Ciąglewiczem, a potem,— potem?.,.

Całe popołudnie, cały dzień jeden i drugi układała do niego swój list,—ostatni... O tym liście myślała ciągle, przywiązując doń nieokreślone nadzieje... Tak dalece, że pewnego wieczora, gdy Adolf siedział obok, trzymając jej rękę, zażądała papieru listowego i ołówka.

— Mogę pani dać atrament i pióro.

Wolała, żeby jako od cierpiącej, otrzymał to pisane niepewnym charakterem, z łóżka... Nie wiedziała tylko, jak zacząć, czy na pan, czy na ty... Zupełnie się to nie układało.

Niespodzianie spytała Adolfa, coby zrobił, gdyby go ktoś kochający zdradził?...

— Cobym zrobił?... Nie wiem,—nie wiem... — Zamknął grubą fizykę, którą trzymał był na kolanach (Adolf w tym roku miał „siadać“ do matury) i zapatrzył się przez okno w świat.

Pod łukiem kolejowego mostu mijali wciąż ludzie skuleni i zziębnięci. Tor był pusty.

— Cobym zrobił? Nie wiem,—nic...

— Jakto, byłoby to panu obojętne?...

— Ależ nie, — tylko proszę pani, ktoś, kto kocha, nie może zdradzić!

Maryśka aż podparła się na łóżku. — Ktoś, kto kocha nie może zdradzić,—powtórzyła za nim, jak echo.

Nie wytrzymawszy jej spojrzenia, pochylił się nad fizyką...

Maryśka zaś pomyślała, czyby w ten sposób nie zacząć listu do pana Ciąglewicza?... Więc, jako pierwsze zdanie poszło,—„ktoś, kto kocha“, potem odrazu pisała mu o sztuce... Niechże mu służy jego Batory ze wszystkimi załamaniami...

„Nasze wspólne dziecko duchowe jest od tej chwili tylko twoim. Ja się do macierzyństwa nie przyznaję — i nie stoję o nie...“

Nic więcej. — Na dole, — Marja Miechowska... A na samym już brzegu, w kąciku stronicy—: list zniszczyć.

Skończywszy, zamyśliła się głęboko... Owszem, uważała, że ma prawo wymagać tego poświęcenia od Zdzicha... Projekt sztuki i kilka dyalogów, to jest przecież nic, jeśli poświęciwszy je, można uratować honor nazwiska...

Tak kazał obowiązek, — chociaż zdaniem pana Ciąglewicza obowiązek jest właśnie nieprawym tylko płodem poświęcenia...

Po napisaniu tego listu zapragnęła Maryśka nagrody, serdeczności, ciepła rodzinnego...

— Niechże mi pan pokaże Felusia! I siedźcie tu ze mną! Nie zostawiajcie mnie samej...

Gdy przysunęli stół do jej łóżka i zasiedli do zabawy, Maryśka, patrząc nowymi jakiemiś oczyma na Felka, rozżaliła się nad jego losem. Malec bawił się rzeczywiście, jak sierota,—zabawkami po drugich... Teraz poprawiał zielniki Adolfa, naklejając rośliny pod rząd, jak żołnierzy, na jednej i tej samej stronnicy. Widząc, że Felek ma polepione palce, że poszarpane cząstki suchych okazów przykleiły mu się śmiesznie do policzków, zapytała Adolfa, dlaczego daje marnować tak te zielniki?

— Bo mi się podoba, bo mi się podoba,—nachmurzył się Felek, gospodarując zawzięcie wśród łamiących się kartek.

— To się nie marnuje,—odpowiedział Adolf.

— Jakto nie marnuje się?—Kazała sobie podać wszystko. Smutną radością przepełniło ją dotknięcie tych delika-

tnych okazów. Niektóre trzymały się jeszcze dobrze na białych kartkach, zetlałą słomką przewiązane przez wyschnięte kolanka. Inne, napół już oderwane, kiwały niesamowicie blademi czuprynkami.

A resztę zsypał jej Feluś na kołdrę,—niby garście uwiędłego pyżu.

— Już dawno nie zajmuję się botaniką, — rzekł cicho Adolf.

— Jakie to suche, jakie to biedne, — dziwiła się Maryśka.

Łodygi, uschłe listki, kosmate główki kwiatów, wszystko to, niby szeleszczący strzępek jakiejś zagasłej tęczy kruszyło się i łamało w palcach...

— Co to znaczy dawno, co pan nazywa dawno? Od kiedyż to nie zajmuje się pan botaniką?...

— Akurat wtedy to zarzuciłem,—podał jej jeszcze kupkę tego ziela,—gdyśmy zaczęli chodzić z Felkiem na wspólne spacery wychowawcze,—pamięta pani?... Wtedy się już zaczęły na serjo motyle...

— Szkoda, szkoda,—nigdym nie myślała, że kwiat może być tak umarły...

Pochylił się nad nią, wyrzucając sobie, że chorą naprowadza nieoględnie na myśl o śmierci.

— Niech pan patrzy,—o to... — Pokazała mu na białej, czystej karcie szypułkę zżółkłą i pomarszczoną w malutkie, ciemne fałdy.

— Zwykła rzecz przecież,—zauważył,—to jest biała koniczyna.

— A wygląda,—dziwiła się Maryśka,—jak mała, malusieńka twarzyczka...

Nagle Feluś palnął w kartkę pięścią i złamał roślinkę.

— Co ty robisz!—żachnęła się Maryśka.

— Bo mi się tak podoba! Na złość!...

— Panie Adolfie, czy Feluś często teraz bywa taki? Dlaczego go pan psuje? Dlaczego mu pan wogóle daje te piękne zbiory?!

— Nie robię tego lekkomyślnie...

Oświadczyła Adolfowi, że pragnie z nim o tem pomówić dziś wieczorem. O tem, wogóle o Felusiu, i jeszcze jednej ważnej sprawie...

Tymczasem dziś wieczorem mówić się nie dało, bo

cały wieczór siedzieli u niej Karowscy. Byli ponurzy i widziała, że chcą od niej czegoś...

Rozmowa zaczęła się od tego, że kupili pieska, — i o piesku...

Stary proletarjatczyk milczał, kołysząc tę gawędę astmatycznym oddechem. I znów oboje czekali...

— Bo w końcu,—Karowska otarła usta, — bo w końcu tak jesteśmy sami, że trochę jakiegoś życia, jakiegoś ruchu... Dla niego to zrobiłam.—Wskazała dużemi dziurkami od nosa na męża.—Niech coś ma, niech hoduje... Co mamy robić?!..

Wyszła nagle, bez pożegnania.

Karowski siedział dalej bez ruchu na tem samem miejscu i patrzył w okno.

Za czarną szybą przewijały się od czasu do czasu, niby dyszące płomieniami upiory, szybkie lokomotywy.

— O to wszystko nie stałbym,—rzekł wreszcie,—żebym rozumiał przynajmniej mego syna... Ale tak się zmienił, tak zamknął... Czy pani nic nie jest wiadomo?...

Wzruszyła ramionami.

— Nie zauważyła pani nic nowego?... Nie ma pani żadnych podejrzeń?

— Nie rozumiem pana?

Karowski znów się zamyślił.

To wszystko razem sprawiało na niej bardzo przykre wrażenie. Jakieś indagacje, czy śledztwo?...

Upłynęło znów dobrych parę minut a nie zamienili ani słowa. W głębokiej ciszy krzyżowały się miarowo dwa oddechy, potężne tchnienie lokomotywy i jak gdyby wtór jego, świszczący oddech Karowskiego.

Ten stary człowiek, z nieruchomymi, jak śmierć oczyma, z czarnym cieniem na białej twarzy, nieśmiały i nieustępliwy, przestraszał Maryśkę poprostu. Podniosła się gwałtownie na łokciu:— Czego pan chce odemnie właściwie, panie Karowski?!

Patrzył na nią tak obco, tak jakoś odlegle, że zaczęła się wstydzić wszystkiego... Tego, że jest młodą, że żyje, że jest kobietą...

— Chcę się zapytać, moja pani, — ciągnął bezdennym, jakby sądnym głosem, — chcę się zapytać, czy to nie pani zabrała nam serce naszego syna?...

Maryśka odetchnęła z ulgą: — A cóż się znów stało nowego?

Zaś wówczas, jakby nagle figurka starego emigranta rozpaść się miała w kilku sprzecznych kierunkach... Cały ten nieproporcjonalny kłębek,—wydęty astmą tors, zakrótkie rękawy, żółte ręce, biały ogonek staromodnej krawatki,—cały ten tobołek utrudzenia i żałości sprężył się, rozprężył a wreszcie, związany tym samym drobniutkim wstrząsem, przylgnął do krawędzi jej łóżka.

— Ach,—nic się nie dzieje nowego... Coś się zerwało między synem a rodzicami, na zawsze...

Maryśka przyrzekła oddziałać na to.

Wogóle, niech tylko już raz zakończy sprawę z Ciąglewiczem a powprowadza znaczne reformy... Zapewne nie będzie szczęśliwą, ale właśnie spełni swój obowiązek...

Ciąglewicz zaś milczał, jak zaklęty... Mijały dnie, Maryśce nudziło się już chorować,—nic i nic, stamtąd ani słowa...

— Może pan nie oddał listu panie Adolfie?...

— Oddałem do rąk własnych, w bibljotece.

— I co?

— I nic. Pan Ciąglewicz wziął list, ukłonił się i już.

Ukłonił się—i już... Już po wszystkiem...

— A wie pan, co było w tym liście?...

Adolf zarumienił się po uszy.—Nie wiem...

— W tym liście było cofnięcie mojej sztuki... Nie chcę, żeby była grana. Z chwilą, gdy Ciąglewiczowa umarła, nie wypadałoby, by nasze nazwiska razem na afiszu...

Podziękował jej spojrzeniem.

— A wie pan, jak się nazywa takie postępowanie, jak moje? Nazywa się głupotą... Bo i tak wszyscy...

— Co wszyscy?—spytał Adolf zmięszany.

— Bo i tak wszyscy będą mnie obmawiali... Pan też myślał, niech się pan przyzna... Niech pan sobie tylko dobrze przypomni...

Powieki Adolfa drżały tak szybko...

— Nie przyzna się pan?!

— Do czego mam się przyznać?

— Pan też myślał, że Ciąglewicz i ja... Że my...

Sprawiało jej szczególną, bolesną rozkosz, przeżywać teraz tę historję na wspak... Pod skrytą formą podejrzeń i przypuszczeń przesuwać przed niepowołanymi oczyma jeszcze raz to wszystko...

— Pan też myślał... Tak dalece, że nie umiał pan tego ukryć i to nie tylko przedemną, ale nawet przed rodzica-

mi,—przed ojcem... Naciągając fakty, wypomniała mu wizytę starego Karowskiego, wiecznie wystraszone oczy matki...

— Wszyscyście tacy sami... Z ludźmi nie warto być szczerą, zawsze człowieka oszukają.

— Nie prawda,—przerwał jej gwałtownie, — nie wszyscy są tacy sami!! Ja byłem szczery!

— Pan był szczery wobec mnie?!

Nie skończyli, gdyż weszła Zatorska. Adolf pożegnał się i uciekł.

— Więc pani naprawdę jest chora?? — Zatorska z mechaniczną wprawą przysunęła stołek i w stróżującej posturze usiadła przy łóżku.

— Chora jestem. Influenca.

— Ja nie będę pani czasu zabierać, — przyszłam tylko podziękować... Podziękować za to prawdziwe zajęcie się mną... Wszak dzięki pani uzyskałam poparcie pana docenta... Właśnie ostatecznie wracam ztamtąd i odrazu postanowiłam sobie być u pani. Pan Ciąglewicz wspominał, że pani jest chora... Tem smutniej mnie to dotknęło, że wracam uradowana...

Na twarzy jej nie przejawiał się ani smutek, ani radość, oczy cedziły obojętne światło towarzyskiej uprzejmości...

— Wracam uradowana, bo w końcu — wychodziłam sobie...

— No co, wydaje pani rzeczy męża?!... — ucieszyła się Maryśka.

— O nie,—to jeszcze nie... Ale pan Ciąglewicz poparł mnie tak serdecznie... Widać, nawet pozornie dość obojętne serca, uszlachetnia cudze nieszczęście... Poparł mnie i mam nową posadę. W administracji dużego dziennika...

Tu wymieniła firmę wielkiej płachty mieszczańskiej.

— Właśnie tam, gdzie mi tak nie poszło z manuskryptami męża... I przepisywania z Akademji i może jeszcze popołudniowe godziny w jakiejs instytucji kursów wyższych.

— To już pani rzuciła tych socjalistów? — Maryśkę straszliwie nudziła ta rozmowa.

— Musiałam rzucić. Zamało płacili. Zaś mnie chodzi o to, aby móc robić oszczędności.

Bo Zatorska nie dawała za wygraną... Postanowiła „zapracować się“, ale swego dopiąć... Własnym nakładem wyda

ten tomik... Będą oszczędzać, od ust sobie odejmą, ale wydadzą... Ja z synami, — rodzina... Wcześniej, czy później,— wszystko jedno... Myśli wypowiedziane „tam“ przez mego męża nie zestarzeją się,—o nie...

— Niech się pani tak na mnie nie patrzy, pani Marjo, jak na wilczycę...

Dlaczego użyła tego słowa „wilczyca“?...

— Podałam nawet do rządu o wsparcie... Niczego się już nie wstydzę!... Należy mi się za tyle czasu. Ale najchętniej pragnęłabym dostać trafikę... Dostaje się prawo na trafikę i można je zaraz odsprzedać...

Maryśce przyszło na myśl, że ona też mogłaby się o to postarać... Spytała więc, jakich do tego trzeba warunków...

— Na to trzeba być wdową,— trzeba, by mąż poległ... I znów sprowadziła rozmowę na losy swego przyszłego wydawnictwa.

Równy, uparty szept Zatorskiej snuł się nieustannie i chrapliwie, jak poruszanie się szczypawki w zmiętym papierze.

Maryśka przerwała jej: — Ja też mam kłopot z naszą sztuką... Nie możemy wybrnąć z zakończenia... — Dla podkreślenia tego kłopotu spojrzała z wyrzutem przez okno...

Miękka odwilż gięła się na szybach... To się ukazywały rozlane w kroplach zarysy kolejowego łuku i kopuły wysokich kościołów, jakby obrzękłe,—to nikło znów wszystko, zasnute krupą i szronem. W trakcie długich kalkulacji Zatorskiej wszedł posłaniec, z dużym bukietem białych róż. I z listem...

Zatorska wyraziła postawą swą domyślne i życzliwe zdumienie...

Maryśka widziała doskonale od kogo to... Położywszy sobie róże na kołdrze, przeczytała od niechcenia bilecik.

„Dla Z. zrobiłem wszystko, co w mojej mocy
Gdy śmierć jest życiem, czemże jest życie?... Fran. C.“

Szkoda tylko, że trumny nie przysłał, szkoda tylko, że jeszcze trumny nie przysłał...

Dobrze, że ludzie przynajmniej pamiętają o pani,—rzekła na pożegnanie Zatorska, delikatnie głaszcząc kwiaty.

— Nie mogę się skarżyć,—uśmiechała się Maryśka w gęstych rumieńcach skromnego tryumfu, — nie mogę się skarżyć, przynajmniej to...

— Więc ja zawsze, o ileby Feluś z mymi chłopcami chciał się bawić...

Maryśka wyciągnęła do niej obie ręce. Ucałowały się. Maryśka bowiem w tej chwili czuła się równie godną i nieszczęśliwą...

Zaś gdy została sama, wyskoczyła pośpiesznie z łóżka... Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuła w sobie takiego pośpiechu... Ach wyjść stąd,—wyjść jaknajprędzej,—gdzie?...

Wszędzie,—gdziebądź,—nigdzie...

Zaczęła, jęcząc cichutko, biegać po pokoju. Gdzież suknia?...

Czy już wszystko? Torebka, parasolka, kwiaty... Dopiero, gdy stanęła w lustrze i jęła drżącemi wargami przychwytywać rozpiętą woalkę, łzy przesłoniły jej wszystko.

Ale to wszystko głupstwo,—nic nie ma znaczenia, człowiek co parę lat, zapewne, musi tak stanąć przed lustrem i zawiązywać woalkę. To już się raz odbyło, na ulicy, w oknie masarni, potem dziś, potem znów kiedyś...

Trzasnęła drzwiami. W bramie dognał ją Adolf.

— Dokąd pani idzie!?

Machnęła ręką i poszła. Niech o niej nikt nie wie... Ucieszyło ją, że była gęsta mgła. Dzwonki tramwajów i pierwsze światła wieczoru plątały się, niby w mętnej wodzie. Czarny tłum, głosem zmiętej wstęgi szeleszczący, snuł się dokoła białych ścian Rynku.

Minęła linję A-B. Chłopcy roznosili już dzienniki wieczorne, wywrzaskując w niebogłosy odległe miejscowości z frontów bojowych. Skierowała się ulicą Szewską, Karmelicką ku dawnemu mieszkaniu.

Wszędzie tu zjawiał się czas dawnego jej życia, tak bierny już, tak odległy!...

Weszła do kamienicy, w której kiedyś mieszkali. Sień pusta... W matowej lampce, pod sklepieniem korytarza skwierczał gaz.

Maryśka przytuliła się do bramy, nasłuchując. Ogromne jakieś, niespożyte oczekiwanie rozpływało się w jej łzach...

Gdzieś, na któremś piętrze otwarły się drzwi. Czyjś głos zahuczał w klatce schodowej...

Więc teraz,—teraz,—bo niema czasu!...

Podrzuciła pod ścianę te róże, skrytym, złym giestem,

od którego mrowie ją całą przenikło i — uciekła. Dalej, za domy, z ulic gdzieś za miasto...

Do parku Krakowskiego!!

Nikogo tu już nie było. Szła prędko przez śnieg. Na pochylonych ławkach ścieliła się niezmierzona samotność... Dróg widać nie było. Tonęły niewidocznie w szeleszczącym miąższu wieczornej odwilży. Tu i owdzie na białych trawnikach, — złamane, sterczące resztki jakiegoś wzrostu... Zaś w głębi tego widoku, uwitego z nieprzerwanej przędzy puchów i mgieł spływały zewsząd, z krzaków, z dróg, z okiści, z brzegów rozdeptanej ścieżki, krople nieobliczone,—jak łzy, których już nikt nie słucha...

Maryśka usiadła nad brzegiem zamarzniętego stawu, przy łódkach, leżących jedna na drugiej, niby białe kromeczki kokosowego orzecha.

— Ach,—tak samo w jej piersiach, w jej sercu drżały nieprzeliczone krople... Tak samo jej życie pochłonął mrok, nigdzie już wracać nie można—tylko przepadać!...

Ktoś wyskoczył z zakrętu ścieżki.

— Cały czas szedłem za panią — śpieszył Adolf, — dopiero tu, w parku zgubił mi się ślad... Już cały ten ogród przebiegłem we wszystkich możliwych kierunkach!...

— Dlaczego pan szedł za mną?!—spytała surowo.

Adolf rzucił czapkę na ziemię i stanął blisko przy ławce. W mięciutkich tchnieniach odwilży słychać było gwałtowny jego oddech, niby falę świeżego źródła, prężącego się w niepewnem ujęciu...

Przeciągły wiatr zatrząsł suchymi drzewami. Posypały się zwiędłe liście, skraweczkami cienia przebiegając po ścieżce.

— Dlaczego pan to zrobił?

Uderzyła Maryśkę niezwykła w tej chwili piękność Adolfa. Chyba tak piękni chłopcy są wyrzeźbieni z marmuru, w cyprysowych ogrodach, na południu?...

— Dlaczego pan poszedł za mną? Co to znaczy?...

— A to, — co znaczy?!? — Wyrzucił z zanadrza swego gimnazjalnego płaszcza dwie róże: — A to, co znaczy?! A to pani Marjo, a to pani Maryśko,—zwisł nad nią, przyciągając za ręce...

Chwilę patrzyła mu w rozpłomienione czarne oczy.

— Pani ukrywa przedemną... Runął na śnieg, objął ją

za nogi...—Dlaczego, poco ukrywać?... Dlaczego nie powiedzieć?!... Co pani chciała zrobić,—pani się chciała zabić?!

Kazała mu wstać natychmiast.

Nie.—Póki się nie dowie wszystkiego, będzie leżeć tu w śniegu, u jej nóg, nie ruszy się...

Dalekie, wstydliwe śmiechy, urocze pobłażania przepełniły serce Maryśki.—Więc powiem panu, Adolfie, ale nigdy już potem nie będziemy o tem mówić... — Głaszcząc zmierzwioną czupryne, klęczącego przed nią chłopca, wpatrzona w głuchą puszystość krzewów, wstrząsana dreszczem starych drzew, opowiedziała mu wszystko, — co mogła zrozumieć niedoświadczona jego dusza...

Że Ciąglewicz ubiegał się oddawna, oddawna...

Maryśka tworzyła tę historję, wśród łez i cichych okrzyków chłopca. Nareszcie prostowała poronioną rzeczywistość. W opowiadaniu zjawiał się ten romans takim, jakim być powinien...

Ciąglewicz odgrywał w tej historji rolę nieokiełznanej siły namiętnej, Maryśka była naiwną postacią, której intencje źle rozumiano,—włącznie aż do tych kwiatów, jakie posłała Ciąglewiczowej na trumnę.

— A dziś on odsyła mi takie same róże i pisze mi w liście...

Adolf garnął się, czepiając się jej sukni.

— Powiem wszystko, ale niech pan siądzie tu obok i na jedno mi odpowie... Poco chce pan wiedzieć to wszystko?...

— Po co?... Bo ślubowaliśmy sobie braterstwo!... Mam prawo!... — Nie wytrzymał jednak jej spojrzenia... Jak mały chłopiec skulił się i skłaniając głowę na jej piersi: — Niech pani pozwoli... — Mam prawo, — szeptał tak cicho, że ledwo mogła była dosłyszeć, — mam prawo, — bo panią kocham...

Maryśka z lekkim uśmiechem powiodła ręką po twarzy Adolfa, rzekłbyś, zgarnąć z niej pragnęła płochy sen...— Ach, dziecko,—dziecko... Więc powiem panu, co „on“ pisze w tym liście... Pisze, żebym została jego żoną...

— A pani?!!...

— Nie zgodzę się.

Ujął ją za ramiona i patrzył w oczy z tak czułem ubóstwieniem, z tak bezgraniczną wdzięcznością. — Zaś potem... Lecz to nie były pocałunki... Przybliżył twarz do jej

twarzy, usuwającej się ostrożnie i ustami wodził po jej czole, policzkach...

Wtedy Maryśka sama, przejęta spokojną wdzięcznością, że oto jest jeszcze na świecie ktoś, zdolny czuć i kochać, pocałowała go w usta.

Był to pocałunek zimny, blady, jakby się w mroku spotkały z sobą dwa płatki śniegu...

Adolf rozłożył ramiona,—głowa mu opadła na oparcie. Maryśka zaś całowała go lekko, niby piękną rzeźbę, zapomnianą wśród drzew uschniętych i śniegów topniejących...

— To na pożegnanie, mój braciszku,—na pożegnanie... Ale już potem nigdy się nie pytać, — nigdy się nie narzucać,—śmiała się cicho, dotykając wargami jego warg,—nigdy nie dokuczać i być dobrym dla ludzi...

Szczęśliwa, że w tak wielkim bólu, potrafiła jeszcze ukoić choć w części czyjeś cierpienie, odeszła od niego z postanowieniem wpisania się do szpitala, jako siostra miłosierdzia...

Jakże zazdrościł Adolf teraz wszystkim żołnierzom! Jakże zazdrościł wszystkim Legjonistom! Mieli kolosalne szanse, że jako ranni dostaną się do szpitala w Krakowie, gdzie czeka ich tak sowita nagroda! Śliczne ręce Maryśki będą dotykać ich ran...

On zaś,—gdy po tej scenie w Parku uznała bliższą ich znajomość za niemożliwą,—on zaś cóż mógł zrobić, czegóż dokonać?!? Czegoż dostąpić?!?

Cóż on?... Zbierał powoli blaszane i papierowe pokłosie wielkich wypadków, w postaci odznak pamiątkowych, rozkazów i wszelkich świstków...

Hyjena!—hyjena!... Jakimż czołem stanie przed Maryśką, gdy ta pielęgnować już będzie bohaterów?!? Powie jej, że nauczył Felusia czytać?... Że zda maturę z końcem roku szkolnego?... Że potrafił o tyle wyswobodzić się z pod wpływu rodziców, iż nie śmią mu nic zrobić, chociaż nie pisze pamiętnika?...

Cały dom rodzinny napełniał go teraz niewysłowionym wstrętem... Z pogardą patrzył na matkę, która wciąż jeszcze, wciąż i wciąż gromadziła zapasy... Z rozpaczą patrzył na te mlaszczące sjesty przy koziem mleku, w których zazwyczaj brała udział jakaś kumoszka z tej samej kamienicy i znudzony, drżący foksik mały.

Zaś jeszcze więcej cierpiał nad ojcem... Zauważył bo-

wiem, że stary jakby zapomniał o wszystkiem, o wszystkich ideach, cierpieniach, sprawach, wyłącznie pochłonięty troską o to, jak przetrwają i jak się przeżywią...

Gdy starzy wygłaszali wieczorem swą pozytywistyczną modlitwę, — piłował „naumyślnie“ cedrowe deseczki... Gdy matka piła kozie mleko, — pił „na złość“ mocną, jak atrament herbatę... Gdy ojciec roztaczał po obiedzie różowe horyzonty,—Adolf lżył Naród za niechęć do zbrojnego czynu i siebie samego za tchórzostwo...

Miał wrażenie, że wówczas ojciec patrzy na niego tym chytrym, podstępnie—dobrotliwym spojrzeniem, jakim patrzy codzień, po biurze, na pełne talerze zupy i swój ulubiony szpik, w dymiącym węźle żył...

O tak,—Adolf przebiegał w myśli wszystkie powieści, jakie czytał w życiu,—o tak, nikomu chyba nie przyszło jeszcze kochać w tak płaskich warunkach!...

Zresztą może to nie była miłość?!... Może to była tylko jakaś szalona zazdrość?... Nieprzytomna zazdrość o każdy ruch i sprzęt, o każdą rzecz?!

I ubóstwienie... Wyobrażał to sobie najprościej: Żeby miała jakiś wygodny pożytek z jego serca!...

Rozpacz i wdzięczność niepojęta na myśl, że Maryśka jest przecież kobietą...

Zapragnął do gruntu poznać to zagadnienie... Pożyczywszy sobie zkądś jakąś anatomję, badał ustrój kobiety, uczył się go... Ma kiszki, żołądek, nerki,—jak wszyscy... Ma piersi, któremi żywiła swego syna!

To znów poczynał mu mierznąć ten szary splot drukowanych flaczków... Adolf zamykał się na klucz, rozbierał do naga i wyciągał się, przyjmując miękkie, rozchylone pozy, jak gdyby sam był kobietą... Albo przejrzawszy „straszną“ talję japońskich kart do gry, z bezwstydnymi rysunkami, którą ukradł był ojcu,—bił się pięściami po głowie...

Wieczorem zaś, siedząc przy oknie, gdy rodzice, obok w pokoju, odmawiali pozytywistyczną modlitwę,— odmawiał swoją, ułożoną do Maryśki: — Brzeg twojej sukni... Krawędź twego serca... Szelest twego ciała... Ty cała... Wszystko, czego nie śmiem pomyśleć...

Przykładał twarz do szyby i powtarzając sobie, że jest nikczemnikiem, hyjeną, tchórzem, — czekał, kiedy wróci Maryśka..

Nieraz czekał tak do późna w nocy. Patrzył cierpli-

wie, spojrzeniem, zdało mu się, mocnem, jak pręt, przeganiając obojętnych przechodniów.

Spocone maszyny ziajały na torze, z oddali przypływał okrągły głos kwadransow ratusza. To znów deszcz siepał się o szyby... To znów udręczone spojrzenie witał cichy przelot śniegu... Sygnały stacji biły dźwięcznie, jakby kości metalowe wyskakiwały ze stawów.

Adolf patrzył z wytężeniem pod szary łuk mostu, między tęczowe, zwiewne koła stęsknionej nadziei, które się tam kreśliły, lub beznadziejnie, beznadziejnie nikły na błocie...

Zaś, gdy nareszcie spostrzegł ją, żywą, własną, małą, idącą, a obok niej Ramkiego, jakże walczyć musiał ze sprzecznemi myślami! Bo czego ten Ramkie włóczy się z nią?!?

Wówczas czytywał aż do rana eugenetyczną książkę Athmisa, w której ostatnie pokładał nadzieje... Ale ta hygieniczna zdrowotność, jaką zionęły wszystkie stronnice tej ratunkowej książki, mimo wszelkie wysiłki i mimo wielokrotne podkreślanie wszystkich zboczeń „tutecznego wymiaru wykonawczości“,— nie trafiała Adolfowi do przekonania...

Jeden szelest, pierwszy złowiony odgłos, lub szmer, który przez pokój rodziców dochodził z mieszkania Maryśki, — burzył odrazu wszystkie „eugienetyczne“ postanowienia...

Maryśka nie odrazu spadła do poziomu towarzystwa Ramkiego. Och bynajmniej!

Zaraz po owym spotkaniu z Adolfem w parku krakowskim, postanowiła zostać siostrą miłosierdzia... Ze względu na człowieczeństwo, pokutę, na Zdzicha, a potem także ze względu na utrzymanie.

Ubrana szaro i skromnie, jak przystało na rezerwistkę, pojechała do szpitala. Niech Janina, niech Kałucki coś pomoże...

W końcu doktór, jej akuszer, doktorek, nie zostawi jej na bruku!...

Jechała więc tramwajem przez ulicę Długą, pełna najlepszej nadziei—i wspomnień.

Dopiero u wrót szpitala, wysokich, kamiennych, wobec ogromu tych budynków, ułożonych w groźny kompleks forteczny, opuściła ją odwaga!...

A wewnątrz,—wewnątrz budynku!

Porozpinani żołnierze chodzili gromadami tam i z po-

wrotem, przedziwnym krokiem beznadziejnej cierpliwości... Cywilni ludzie ginęli ustawicznie, z kuferkami na plecach, w jakiemś wejściu bez dna, kilku podoficerów zaganiało wciąż całe tłumy małymi kijkami to wprawo, to w lewo...

Zaraz w pierwszem podwórzu, podobny do budy hyclowskiej, stał kratowany wóz z warjatami, którzy kwicząc rozgłośnie, pluli przez wązkie kratowanie na żwir.

Wdała się w nieskończenie długi splot betonowych korytarzy, przejść, przewodów, opatrzonych napisami, oraz gwiaździstym portretem tego, lub owego wodza.

Nareszcie dotarła do Kałuckiego. Spotkała się z nim w drzwiach, nos w nos. W obu rękach niósł kieliszki, nakryte papierkiem, pełne jakichś szarych skrawków, jakby rozgotowanej ścierki.

— Kwasota, kwasota... —Śmiał się ochryple, pokazując kieliszki. Kazał sekundę zaczekać, aż wróci...

Czekała, zaglądając do drzwi jego pracowni, z której wciąż wychodzili żołnierze. Nigdy nie wyobrażała sobie Maryśka, że tak się odbywa badania...

W pokoju tym, niby w wielkiej klatce, miotało się po kilku ludzi naraz... Ten wystawiał ramię, ściśnięte przepaską, tamtemu przy oknie czerpali szprycą krew z palca, owi znów siedzieli jakoś uroczyście, trzymając pod brodami czarne miseczki. Z otwartych ust sączyły się im czerwone węże rur gumowych aż na podłogę.

W całym pokoju rozlegał się nieustannie dyskretny syk strzykawek, dźwięk narzędzi niklowych, szczęk nożyc i czkanie pompowanych żołądków.

Trudno się było dobrze zorjentować w urządzeniu tego laboratorjum. Od podłogi do sufitu pełzły, to skręcone, to rozwinięte rurki gumowe, blaszki, niklowane pudełka, obcęgi, zaś w tym natłoku połysków i oślizgłych zgięć, niby złote trójkąty godeł srogiej jakiejś wiary, błyszczały trójkątne kieliszki, pełne jasnego moczu...

— Czem mogę służyć, — chrypiał Kałucki, przecisnąwszy się między porozpinanymi żołnierzami.—Co, — może już trzeba tych Rorantystów?... Bobym nie mógł...

Nagle twarz jego opustoszała z wszelkiego wyrazu, a w oczach zalegała martwa przestrzeń. Zaziębił się, gdzieś niedaleko Krakowa, w jakiejś „kadrze“, przy pożegnaniu jakiegoś bataljonu marszowego... Coś trzasło w gardle i oto zatkało się źródło małmazji... Mówiąc chrząkał, jakby tęgim

wysiłkiem płuc zepchnąć usiłował ten zgrzyt żwiru i miału, który zanieczyścił tak dźwięczne dotąd źródło...

— Może już nie dojdę do głosu... Może już nie dojdę... —Kałucki nadrabiał gestami, za każdem słowem rozszerzając okrągło oczy, na podobieństwo zdychającej ryby.

Opowiadał, gdzie się leczy, co robi na to i jak... Nie można się z nim było dogadać. Wolała już porozumieć się z Janiną. Ale to też nie było łatwo. Choćby dlatego, że niewiadomo było, gdzie właściwie Janina teraz mieszka?... U siebie spała tylko, potem szpital, potem konserwatorjum, potem u Kałuckich.

Bywały tam teraz ciągle obie, ze Stanisławą. Stanisława zajmowała się dziećmi (pięcioro maleństw), Kałucka kuchnią, a Janina, wedle wyrażenia Kałuckiego, była „promieniem słońca tego domu"...

— Na mnie zawsze muszą spadać same tylko obowiązki—skarżyła się Stanisława... Dlaczego tak jest? Słyszała pani?... Profesor stracił głos, to już na zawsze... Zobaczy pani!... Żonę mu zastępuję, niańczę dzieci, bo czegóż można wymagać od Kałuckiej?! A wszyscyby mnie tu utopili w łyżce wody!... Nawet ta niedołęga, ta jego żona, ta biedna kucharka, tylko mu Janinę pod nos podsuwa...

Wedle tego, co Maryśka sama widziała, wcale nie trzeba było profesorowi niczego podsuwać, bo sam się dostatecznie podsuwał...

Janina też wcale nie ukrywała się z tem...

— Wiesz,—mówiła u siebie, pod czerwonym abażurem, w oczekiwaniu profesora,—ja, jak zawsze... Za wrażliwa jestem, zdaje się, za szlachetna... A prawdziwej miłości, żeby szukać... Zestarzałby się człowiek nimby znalazł... Miałam mu odmawiać trochę tego wytchnienia i tej odrobiny radości?...

— To jest, niby komu?...

— No,—komużby,—profesorowi Kałuckiemu.

Maryśce żal się zrobiło Janiny. Więc w końcu cały ten rozmach i te ciągania się ze Smolarskim i te ochy-achy na to, aby się stać przyjaciółką człowieka, obarczonego pięciorgiem dzieci...

— Chyba nie tak sobie wyobrażałaś swoje życie, ruszając w świat?

Janina uśmiechnęła się pobłażliwie:—Pewno, że nie tak...

Ale ta energja życia, chęć radości, którą dyszy każdy moment istnienia Kałuckiego...

— Tak,—rzekła Maryśka spokojnie, — powoli wszyscy się urządzają...

— A urządziłam się, żebyś wiedziała, urządziłam się doskonale,—wybuchła Janina.—I to jak! Ze wszystkiemi wygodami... Stanisława zajmuje się jego dziećmi... Żona mnie błogosławi, żem mu wybiła z głowy dawną rywalkę... Wszyscy się urządzają, nawet, zdaje się, ty też nie bez tego?... W końcu,—jakże, i ty—z Ciąglewiczem,—nie?...

Łagodna duma rozciągnęła się na twarzy Maryśki—:Ja z Ciąglewiczem?!? Jak długo żyła jego żona bywałam tam... Ratowałam... Ale teraz?! Nawet sztukę chcę wycofać... Oczywiście, zasadniczo nie zastrzegam się na przyszłość... Naogół ludzie się urządzają i mają rację... Jeśli nawet taki Smolarski...

Nie mogła wytrzymać, by nie pomówić o nim z Janiną...

— Tak się zagospodarował, — przypominała sobie powoli,—taki stateczny, pewno się ożeni wkrótce...

— W kościele świętego Mikołaja, czy u Kapucynów?—śmiała się dyskretnie Janina, a na jej policzki wystąpiły wązkie fjoletowe cienie.

— Nie wiem, w którym kościele, —śmiała się również Maryśka, — ale, zdaje sie, wiem z kim.—O ile się nie mylę, to z moją dawną służącą, Nastką...

Rozmowa się urwała, bo przyszedł Kałucki z Ramkiem. Ramkie akompanjował, Janina śpiewała. Kałucki nie posiadał się ze złości... Bo nie brzmiał dziś jej głos, zupełnie nie brzmiał! ..

Maryśka dziwiła się, że wogóle „coś podobnego“ można śpiewem nazywać. Wyrywało się to z gardła, niby skały, czy kamienie, łamało się to ciężką falą, leniwie spadając z tonu na ton...

A jeszcze Janina czyniła przy tem dziwne ruchy rękami, jakby sobie te tony żywcem z piersi wyrywała. Nagle śpiew się załamał, ramiona Janiny opadły wzdłuż ciała, głos zastygł, z oczu popłynęły łzy...

— No co, czemu ryczysz?!—pienił się Kałucki.

— Nie ryczę, — broniła się Janina, łykając swój twardy głos wraz ze łzami,—nie ryczę, tylko,—tak sobie...

Popis się nie udał. Maryśka wracała do domu, w towa-

rzystwie Ramkiego, przybita i smutna. Nie mogła już bowiem zaaklimatyzować się w atmosferze tych Kałuckich, Janin i t. d. Rzeczywiście,—jak to trudno wracać z szerokiego świata (Ciąglewicz był bądź co bądź szerszym światem)—na takie ciasne podwórko!

A choćby w domu, co dzień,—czyż nie tosamo?

Jedyną pociechą, jaka ją czekała w domu był list od Adolfa... Nie list właściwie,—a kartka pamiętnika...

Pisał do niej codziennie, nieosobowo, jakby korespondował ze swem przeznaczeniem. Jakim sposobem potrafił zawsze wtrynić jej ten list, nieznacznie pod poduszkę?...

W epistołach tych był całkiem szczery, niczem się nie krępował, o niej naprzykład pisał poprostu—Marja. Zwierzał się też ze wszystkich grzechów pożądania, z miłości, z ubóstwienia... Ze stosunku do rodziców... W pierwszej kartce tłomaczył dość obszernie swe stanowisko—: Stracił rodziców, nigdy nie odzyska, — między ojcem a synem stanęła Ojczyzna, niespełniony wobec Niej obowiązek syna mści się .. Adolf jest złym synem Ojczyzny i wogóle degeneratem...

Znajdywały się też w kartkach zwierzenia, których zupełnie nie rozumiała... Z lektury jakiejś eugienetyki... Albo fragmenty z dyalogów Platona. Albo, jakieś mądre zdania z Kubali... To znów wiadomość o przyjeździe kolegow, z frontu.

W pismach tych uważał Adolf za jedyne swe usprawiedliwienie,—że kocha Maryśkę... „Niech, przepada Ojczyzna! .. Niech świat stanie w swym biegu...“

Czytała to wszystko zazwyczaj już w łóżku... W każdym razie, jeśli taki młody, niezepsuty chłopiec już kocha, —to szczerze... Chyba taki młodzieniec nie potrafiłby kłamać...

Słuchając długiego gwizdu pociągów, po dniu uciążliwym i szarym czytała sobie te listy, których coraz wyższy stos przyciskał wiernie duński nóż,—z taką przyjemną beztroską!... Kiedyś, małą jeszcze będąc, lubiła cukrzone płatki skórki pomarańczowej do poduszki... Teraz czytała te listy, których treść świeża i młoda miała przecież w sobie coś z zapachu południa i pomarańczy...

Skazana prawie wyłącznie na towarzystwo Ramkiego, cieszyła się nieomal tym dziecinnym papierowym romansem...

Zwłaszcza, że życie waliło po łbie raz za razem, nie żartując, — och bynajmniej!... Choćby taka wizyta, jak dziś u „jej“ doktora!...

Siedział z jakimś drugim w laboratorjum szpitalnem. Obaj mieli na sobie białe kitle, co im nadawało miły charakter wesołej świeżości. Nie zwrócili na nią żadnej uwagi, schyleni nad dziwnym przyrządem...

Był to szereg szklanych rurek, od wyższych do całkiem nizkich, zczepionych wspólną ramką drewnianą.

Akuszer, odsunąwszy na czoło wypukłe okulary, podnosił wciąż ku oczom całą ramkę, łudząco podobną do piszczałki, jaką mają przy ustach greckie fauny.

Jakgdyby grał na syryndze.—Bowiem rureczki, napełnione czerwienią, wydawały cichy dźwięk, a wówczas zdawało się przebiegać je rzewne, spłoszone westchnienie...

Akuszer przyjął Maryśkę bardzo przychylnie, oklepał zdrowotnie i poprosił siadać.

Spytała, co robi?

— Nic,—zamruczał, wpatrzony w krwawą syryngę,—badam krew. My tu badamy krew naszych żołnierzy,—naszej armji...

Taki doktór wszystkiego może się dowiedzieć o człowieku z jednej kropli... Ma do tego tak dokładne przyrządy...

— Żyje się i żyje a nauka wciąż idzie naprzód... Straszne, że nawet się nic o tem nie wie...—zauważyła, aby się przypodobać.—I że to mężczyźni mogą obchodzić się z tak delikatnymi narzędziami...

Narzędzia te i przyrządy delikatnością swą imponowały Maryśce.

Jakby z przezroczystych drobin jakiejś nicości wysnute... Trochę blasku, trochę połysku, trochę suchej cienizny, parę koreczków, jakiś szklany pytajnik—i tak się to snuło przez cały stół. Tam i sam, między retortami, z białych porcelanowych płaszczyzn, wyskakiwał do góry płomyczek gazu, mieniący się w słońcu szaro i niebiesko, jak skrzyp tęczowy.

— Czegóż tu pani od nas chce?—pytał żartobliwie doktór, oddychając dziwną melodją retort, które trzymał tuż przy ustach.

Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że obaj, akuszer i ten drugi, w białych kitlach, jak dwa białe, naukowe jakieś wampiry, z łatami szkieł na czole, — chwieją się w zimowym blasku, szklanymi oddechy syrpiąc krew...

Wstydziłaby się teraz powiedzieć, że chce zostać sio-

strą! Wogóle,—słowo „miłosierdzie“ nie przeszłoby jej już przez gardło!...

Drugi doktór wyszedł, zostali we dwoje.

— Tak tu sobie badamy,—mruczał akuszer,—krew naszej armji, — krew naszej armji... Tyfusik plamisty, cholerę, malarję... A ludzie, wie pani, gdy się dowiedzą, że są istotnie chorzy,—szaleją z radości... Tegoby żaden z nich nie oddał za największe skarby...

— Mój Boże,—westchnęła odważnie Maryśka,—więc taki człowiek cieszy się ze swej niedoli... A ja właśnie, żeby im ulżyć...

— Żeby co?—żachnął się doktór.

— Żeby im ulżyć... Chciałabym zostać siostrą...

Nie dał jej dokończyć.—Siostrą?! No to już lepiej, niech pani sobie odrazu znajdzie jakiego miłego chłopca!

— Panie doktorze!!

— Co, — „panie doktorze“?! Lepiej odrazu... Lepiej odrazu...

Głos jego, niby w małych, krwawych organkach, zdawał się dzwonić we wstrząsanych rytmicznym oddechem rurkach.

— Albo już lepiej, niech pani odrazu idzie na ulicę... Mówię poprostu.

Wziął ją pod rękę. Stanęli przy oknie, skąd widać było pawilon warjatów, żwir szary, śniegi, jakieś gałązki drzew nagich, jakieś chmury pomarańczowe na czystem, zimnem niebie.

Maryśka zniecierpliwiła się:— Ktoby się tam obrażał na to, co pan wygaduje?...

— Dlaczegóż to nie mogę nikogo obrazić,—ujął się za sobą doktór.

— Bo pan jest dziwak, doktorze. Od początku wojny, ile razy się spotkamy, mówi pan jakieś takie dziwolągi, a swoją drogą, robi pan wszystko, co każą, służy, leczy... A zawsze przytem jakieś paradoksy...

Paradoksami nazywała Maryśka wszystkie zawiłe i nieprzyzwoite zdania, lub teorje...

— Jakież paradoksy,—cóż naprzykład?

— Tego się nie pamięta, — ale mniej więcej... A to, że lepiej na ulicę, niż na siostrę miłosierdzia, a to znów, że wojna to obłęd, a to, żeby dzieci nie rodzić... A to znów...

Doktór zaś, jakby naumyślnie, nagadał jej nową furę

paradoksów i żakończył tem. że lepiej sprzedawać ciało, niż duszę... I że stanowczo, lepiej dla chleba być ulicznicą, niż siostrą miłosierdzia...

Więc doktor i Ramkie byli tego samego zdania... Nawet Ramkie moralniej jej radził... Radził jakiś urząd.

— Teraz, po inwazji, kraj się podnosi, potrzeba będzie rąk tak wiele, że nawet te małe, śliczne, też się przydadzą..

Owszem radził rozsądnie i wogóle przyzwyczaiła się do niego... Jeden Ramkie nie odsunął się od niej z powodu sztuki i nie ochłodził stosunków, chociaż po zerwaniu z Ciąglewiczem straciła swe dawne, wpływy...

— Nie przyszedł czas na mój motecik, jeszcze widocznie nie przyszedł,—na motecik u samego dołu afisza...

Gadali u Michalika, jedząc sypkie nugaty i czekając na herbatę. Ramkie z motecika, którego nie dano mu zagrać na wycofanym, niestety, Batorym, przeszedł na temat kwestji żydowskiej...

— Bo to jest konieczne dla naszej wspólnej znajomości... Pani musi zrozumieć moje stanowisko w tym względzie... Ta kwestja rasy,—cienkim uśmiechem zgarniał całą jej uwagę na drepczące w miejscu, po marmurowej płycie stolika, rude swe palce,—ta kwestja rasy, jest także sprawą wolnej myśli, wolnego sumienia... Spór między Kallimachem a Długoszem w przedsionku bożnicy, o ludzkie prawa przeciw boskim przesądom, nie ustaje... My jesteśmy wszędzie tą mniejszością, dzięki której uczą się Narody błogosławieństwa tolerancji i czystości narodowego sumienia... Kto nas nie uzna,—perliła pośpiesznie fałszywa fistułka profesora,—tego krucjata każda zamieni się w pogrom, a każda nowa prawda—w stos przekleństwa...

Maryśka nie mogła zrozumieć przyczyny tego wykładu: — Czyż dlatego, że stara mi się pan o posadę, — grozi mi pan?. .

— Nigdy w życiu!—Ramkie mówił właśnie o tem dlatego, że widział i widzi Maryśkę wolną od przesądów.—Tych rzeczy nie mówi się byle komu! Niech pani pamięta,—cedził okrągłe, malutkie słowa, ogromnemi wargami,—że dzięki pani poczułem się pierwszy raz w życiu człowiekiem... Pierwszy raz w życiu przezwyciężyłem się...

Podniosła pytająco brwi...

Wtedy Ramkie. drapiąc paznogciami wyłupiony z nugatu orzeszek: Tak, dzięki pani... Byliśmy wtedy oboje dzieć-

mi... Ale to dawne dzieje... To się wiąże z naszem miejscem rodzinnem, altanką, tam na górze za szkołą...

Na twarz Maryśki wystąpiły pąsowe rumieńce... Gorący wstyd oblał całe ciało... Aby zmienić kierunek rozmowy oświadczyła się szumnie w kwestii żydowskiej, jako zwolenniczka równouprawnienia,—tylko niech przestaną nosić pejsy i szwargotać...

Ramkie od siebie dla zgody dodał jeszcze, że i tak po części wszyscy są trochę żydami—: Wiara wasza jest córką naszej, piszecie alfabetem przez nas wymyślonym (24 znaki) i rachujecie naszymi znakami... Kazdy kto w Europie modli się, pisze i rachuje jest trochę żydem...

Wszystko jedno,—ostatecznie pokazało się, że Ramkie jej nie zwodził. Nie brał na żadne „szczytne upośledzenia" czy też „poufną gorycz wspólnych wspomnień"...

Któregoś przedpołudnia obojętnym listem firmowym została zawezwana do biura!... Tytuł był długi z orłem państwa, z wdowami i sierotami w nagłowku.

Przyjął ją kuzyn Ramkiego, naperfumowany fiołkami, o dużych kosmatych rękach, łysej głowie, z malutkimi uszami, połyskującymi twardo, jak skręcone, różowe ślimaczki. Posadził ją na kanapie w pokoju przyjęć.

Każdy prawdziwy dyrektor,—pomyślała,—zaznacza w ten sposób swe liberalne poglądy.

Wytłomaczył mechaniczną istotę nowych obowiązków i potrząsnąwszy węzłem ciężkich breloków, łaskawie odprawił.

Tu, właśnie tu, będzie mi najlepiej,—myślała Maryśka, wypełniając czarne sztachetki rubryk i adresując po niemiecku koperty.

Atmosfera tego biura dla „Wojennych Wdów i Sierot" błogo działała na jej wzburzone nerwy. Tak dobrze było siedzieć w klekocie maszyn, bijącym o szare, puste ściany, na których tylko gdzieniegdzie, podobny do sinego wrzodu, mienił się nabrzmiały złotością portret arcyksięcia protektora.

Tak cicho i tak bez końca rozsyłało się nieznanym jakimś towarzyszkom niedoli te same powinszowania „wygodnego grobu mężowskiego"...

Bowiem nadeszły były całe skrzynie widokówek z cmentarzami żołnierskimi na polach walk, Maryśka zaś miała obo-

wiązek ekspedycji tego artykułu, w otwartych cienkich kopertach, wolnych od taksy.

Parę razy odwiedził ją tu Ramkie. Wchodząc w przybytki tego biura przybierał stroskaną maskę głębokiego cierpienia i kroczył ostrożnie, niby pod nadmiernym ugięty ciężarem.

— Na stanowisku, na stanowisku, — dodawał Maryśce otuchy,—to doskonale... Nauczy się pani jednej ważnej, bardzo ważnej rzeczy... Mianowicie, że nic się w życiu nigdy nie kończy... Jedni stracili wszystko, poumierali, we łzach toną, ale i tem musi ktoś zarządzać... Ludzie giną tylko po to, aby drudzy na nich, jak na pustych pęcherzach wypłynąć mogli...

Pokazał jej przy tej okazji kamienną małpę, gryzącą się w ogon po przeciwległej stronie ulicy, na drzwiach Muzeum Czapskich...

— Tak mniej więcej wygląda cała instytucja wojennego miłosierdzia, proszę pani... Więc nie zaślepiać się, a tylko korzystać, korzystać...

Po paru tygodniach odbyła się nareszcie, z dawna przez Ramkiego zapowiadana wizyta „możnych".

Maryśka została przy swoim biurku przedstawiona wysokiej opiekunce, bogatej wdowie po wielkim śpiewaku, którą uprzejmie oprowadzał po lokalach „Opieki" gienerał, — ależ tak, — dawniejszy pułkownik, znajomy nieszczęsnego „wuja" Nastusi!...

Trzęsąc podgardlem, dzwoniąc ostrogami, łuną czerwieni tchnący ze wszystkich podszewek, z lampasem, niby krwawym płomieniem przez spodnie, w cichych aprobatach skrzypiącej skóry, kroczył uroczyście i sztywno, pochylony naprzód, jakby mu miłosierdzie całe w nasadzie krzyża utkwiło.

— Miałam zaszczyt widzieć pana gienerała w boju, — skłoniła się Maryśka.

Kazał sobie szczegółowo przypomnieć tę okazję.

Tymczasem wdowa, w ogromnym kapeluszu na zeschniętych skroniach, z ustami wygiętemi w poszczerbiony sierp, przeglądała łaskawie kolorowe, glansowane widoczki, odrzucając je stopniowo, jak tęczowe karty niezliczonej jakiejś talji. Ruchy jej rąk skrępowane były lakierowanemi smyczami, na których ciągnęły się dwa brukselskie pieski.

— Tak, tak,—teraz nareszcie przypomniał sobie generał dokładnie: Bei Limanowa! Na!... — Wyrzuciwszy sztywne ko-

lano naprzód, wsparłszy rękę na biodrze, wyprostował się dumnie. Czarne cienie podbródka zadrżały, a czerwony lampas równym piorunem ugodził w brzeg wojskowego lakierka.

Teraz tylko „dorzeźbić“ mu śpiżowego konia między nogami i mógłby stanąć, na Rynku, jak Bóg wojny,—pomyślała z szacunkiem Maryśka.

W końcu, .zmrużywszy oczy i powracając do codzienności, zapytał gienerał, co się dzieje z mężem Maryśki...— Wszak tu pracują tylko rezerwistki?...

Oba pieseczki, ściągnięte krócej na smyczach, przytaknęły uczynnym głosem dzwoneczków.

— Mój mąż w niewoli,—odpowiedziała Maryśka...

— Więc żyje,—pochwalił gienerał łaskawie przeznaczenia wojny.

Maryśka zaś, niespodzianie dla samej siebie uczyniła taki ruch ręką, jakby jej to było wszystko jedno...

Już wychodzili. Wdowa przodem, w długiej, czarnej sukni, powłóczysta i cicha, niby śmierć, zaprzężona w dwa brukselskie pieski, gienerał obok w różowych łunach srogiej swej władzy...

Gdzieś, jakoś także w tym czasie przyszła kartka od Zdzicha, przez szwajcarskie biuro, kaligrafowana dobroczynnem pismem. Treści tam prawie żadnej nie było... Pusta, zimna forma... Całe ich dawne szczęście i wszystko, co przeżyli, zeszło do małej, szarej kartki...

Maryśka sama adresuje setki podobnych pism dziennie!

Właściwie więcej ją interesował, chociażby pamiętnik Adolfa...

Chłopak, burzył się, niecierpliwił, — aż się żal robiło Maryśce Karowskich... Pisał, że już z rodzicami całkiem zerwane... Pisał, że ucieknie ze swym kolegą na front, jak tylko ten kolega wyzdrowieje i wyleczy się z ran... Już wnet,—już wnet... Bo nie może mieć dziś wartości człowiek, nie owiany wdziękiem śmierci i walki...

Nie owiany wdziękiem walki i śmierci... Ach,—słyszała, to tyle razy, tak dobrze znała tę próżność... A Ciąglewicz swego czasu, czy też nie pragnął walki?... Nie owiany wdziękiem walki... Widziała przecież, jak pokutuje za te wdzięki Zatorska! Miałożby to samo spotkać Karowskich?...

Maryśka nie czuła się wobec nich bez grzechu... Wszak przez nią, głównie przez nią uświadomił, rozbudził się ich chłopak... Wielkie uczucie przyśpiesza rozwój...

Starała się różnymi sposobami wpływać na nich, pocieszać, coś doradzić, jakoś wyrównać te tarcia...

Karowska opuściła się zupełnie a tysiące „metod“ i porządeczków, za pomocą których osiągała rekord oszczędności uniemożliwiały spokojne pożycie domowe. Roztyła się przytem bardzo, jedząc na zapas rzeczy, których jutro i tak już „po tej cenie nie dostaniesz“...

— Cóż mi pozostaje, skoro mój syn, moje dziecko jedyne, ktoregom strzegła, jak oka w głowie,—ma kochankę... Ma kochankę, o której nie wiem... Ma, ma,—zwierzała się cicho Maryśce,—i wiesz pani co?... Nie dziwię się tej kobiecie... Taki śliczny chłopiec... Taki niewinny... Widocznie musiał... Tylko ojcu o tem—sza... Za nic na świecie, boby zabił... Do nóg się jej pokłonię, niech tylko wiem, co za jedna... Jak córkę kochać będę... Pani ma na niego wpływ,—dowiedz się pani...

Zaś stary Karowski twierdził poufnie, że syn do wojska ma zamiar uciekać i już szczerze bez ogródek pomstował na polską przeszłość. Czynił to jawnie, w formie spowiedzi z całego życia, w formie długich pokolacyjnych wyznań od których Adolfa piekły uszy, a piersi rozdymały się, histerycznym odbijaniem...

Aż któregoś dnia,—byłto chyba pierwszy dzień wiosny,—Maryśka, jak zwykle po biurze wróciwszy do domu, zastała tu sądny dzień...

Już na schodach słychać było wrzaski i płacze. Przez chwilę namyślała się u siebie, w pokoju, co robić?...

Słychać było tak wyraźnie ochrypły krzyk Karowskiego, płaczliwie gdakanie Karowskiej i głos Adolfa, przecinający, jak nożem—: Nieprawda, nieprawda, nieprawda!...

Nagle, wśród tupotu, mlasków przedziwnych i szarpaniny, niczem dwugłosa syrena, ryknął Karowski i żona naraz...

Do Maryśki wpadł Feluś, wołając—: Biją się, biją się, biją!!...

Zaraz też wpełzł pod kanapę, aby się uzbroić. Wyciągnął stamtąd swą szablę, czerwony kołczan Adolfa i strzały.

— Biją się,—lecę na pomoc!

— Na krok się nie ruszysz,—krzyknęła.

Felek, rozogniony stanął przy drzwiach i przedrzeźniał Karowskiego—: Kłamiesz,—kłamiesz,—kłamiesz...

Słychać było teraz wyraźnie, że walczący zbili się w kupę.

Adolf, wywijając w powietrzu wysoko rękami, odsuwał ich pięścią, oni zaś—parli ku niemu, z obu stron. Wlókł ich, dokoła stołu, wydźwigał do góry głowę z pomiędzy krzyczących ust obojga i wrzeszczał z całych sił:—Nieprawda, nieprawda!!!

— Masz,—masz,—masz kochankę,—powtarzali mu oboje, prosto w uszy, on zaś odwracał głowę to w lewo, to w prawo.

Przyparli go do stołu.

Jednym, szybkim ruchem ściągnął obrus.

Rozstawione już do obiadu talerze, waza z zupą, widelce, noże, wszystko to, ze straszliwym dźwiękiem zsypało się na podłogę.

Gorąca zupa oparzyła Karowskiej cały bok. Adolf wyrwał się i uciekł do swego pokoju. Karowska pobiegła do Maryśki.

Z kosmykami włosów, rozwianymi nad czołem, z suknią, operloną krupnikiem, z kawałkiem papieru, który trzęsącymi się rękoma podsuwała Maryśce pod oczy,—wyglądała jak warjatka.

— Adolf, Adolf, Adolf,—czytaj pani, czytaj, ojciec mu to wyrwał,—czytaj pani!!!

Na kartce, tak dobrze znanego Maryśce formatu, ciągnęło się jedno z tych zdań miłosnych, któremi zwykle zaczynał do niej codzienne swe posłania...

— Chodź pani, ratuj! — Karowska dreptała dokoła, jak wokół kamiennej figury. — Chodź pani, bo go ojciec zabije! Ma kochankę, mój syn ma kochankę i nikt o tem nic nie wie!...

— Pali się, pali się u Adolfa!—wpadł Feluś rozogniony.

Pobiegły tam.

Stary Karowski w poszarpanej bluzce roboczej, opierał się o drzwi i walił w nie wielkim piórnikiem z japońskiej laki. Walił piórnikiem, rękami, nogami, tłukł głową i całym sobą...

Z wewnątrz dochodził odgłos rozbijanych sprzętów i gablotek, a przez szczeliny drzwi i dziurkę od klucza sączyły się cienkie strugi dymu. Czuć było spalony papier i karuk.

— Panie Adolfie, — krzyknęła Maryśka, — jeśli pan jest człowiekiem honoru, zaprzestanie pan natychmiast!...

W pokoju ucichło.

— Czekam pana u siebie!!!

Siłą poprostu odprowadziła Karowskich z pod tych drzwi do jadalni.

— Co się tam paliło, droga pani,—płakała Karowska,— co się tam paliło u niego?!...

— Cośmy zrobili—jęczał na kanapie Karowski.

„Wytłomaczyła“ im, by się zajęli Felkiem, a ona już sama pogada z ich synem. Młody młodego prędzej zrozumie... Dajcie mi tylko spokój, wszystko wam później opowiem i kto jest ta osoba, i co za jedna...

Postanowiła za wszelką cenę doprowadzić Adolfa do upamiętania...

Nieznośna woń przypalonego kleju rozchodziła się po całem mieszkaniu. Maryśka otwarła okno. Aż ją zdziwiło, jak prędko robi się wiosna! Tak ostro, tak wyraźnie widać było wszystko w czystem powietrzu.

Nad wieczorem przyszli Karowscy, z przeprosinami. Stary przebrał się, stara w nowym fartuchu.

Przynieśli jajecznicę, bardzo obfitą i kawał suchej kiełbasy... Chleb,—masło... Bo objad się spalił... Skądże pani ma cierpieć za nas... Myśmy już jedli. I Feluś też.

Siedząc obok siebie, patrzyli z żywą troską, jak Maryśka je...

— W dobrem jedzeniu dobra rada,—rzekł Karowski.

— A kto ma czegoś dobrego dokonać,—dodała Karowska,—ten musi mieć siły. — Wstrząsały nią wciąż jeszcze płaczebne westchnienia.

Gdy nareszcie Maryśka odstawiła talerze, zbliżył się do niej stary, usiadł obok, ucałował pokornie obie jej ręce i zaczął cichym przestraszonym głosem:—Co on tam spalił, droga pani?... Co on tam zniszczył?... Jeśli pani potrafisz,—ratuj nam syna!... Bo, — westchnął głęboko, nieoszczędnie, że aż wszystkie zrosty płuc słyszeć się dały,—bo tu nie o kochanki idzie, ani nie o faramuszki,—ale to jest tosamo... Ten sam poryw ciągle... Na nic się nie przydało, choć tyle razy wskazywałem,—bo to jest ta sama krew, droga pani... Nie wyczekać, zakipieć, polecieć! Oj nie każcie, nie każcie przeżywać na starość tego, co już było w młodości! Jedyny syn, ostatni... A myśmy już dosyć, narodowo, aż nadto dosyć!...

Prosili ją oboje, patrząc w oczy, z obu stron, przytulni i posłuszni...

Adolf zjawił się dopiero o zmroku, z zawiniątkiem pod pachą, śmiertelnie blady...

— Widział się pan z rodzicami?...
— Nie.
— Nie mówił pan z nimi?
— Nie.
— Co pan właściwie wyrabia?

Stał na środku pokoju, zapatrzony w okno... Na torze szybowały lokomotywy, pod łukiem mostu chodzili przechodnie, jak zwykle. Jakże dawno rozmawiał z nią tu sam na sam... Jeszcze w zimie.

— Co pan właściwie wyrabia?
— Nic,—chcę odejść...
— Dokąd pan chce iść?
— Wszystko jedno...
— Opuści pan rodziców?

Wydął pogardliwie usta:—Opuszczę.

— I nic pana tu więcej nie trzyma?...
— Nic.—Nic...

Zmrużyła oczy. Odgarnąwszy rękawy swego szarego szlafroczka, wyjęła z szafy drewniane pudełko, w którem kiedyś dostała od Zdzicha kandyzowane śliwki.

— W takim razie, proszę pana, proszę to zabrać...

Leżały tu równo poukładane listy Adolfa, przyciśnięte duńskim nożem.

Nie przyjął.

Po dłuższej chwili przystąpił do niej i złożył na jej kolanach zawiniątko. Było dość duże, zaś w stosunku do rozmiarów nadmiernie lekkie. Rozwinąwszy je, zobaczyła w woreczku z zielonego muślinu, jakby złote jabłka różnej wielkości.

— Co to znaczy?—spytała przestraszona.—Co to za list? I jeszcze jakaś fotografja?... I te kule?...

Istotnie, w zielonej siatce była fotografja Piłsudskiego i list...

„Te kopuły, z chramu mego dzieciństwa,—pisał Adolf,— podobizna Wodza, — to wszystko, com uratował. Przyjm to razem w tej siatce, w której kiedyś wspólnie łapaliśmy motyle. Nie wyśmiewaj...

Przestała czytać. — Adolfie!... Niech pan tu siada obok mnie...—Objęła go po bratersku przez ramię.

Zaczął drżeć tak silnie, że słowa nie mógł przemówić. Aż żal się zrobiło Maryśce, że tak mała rzecz, tak wielkie

wywołuje wstrząśnienie... Ręce miał zimne, jak lód, ogromnymi oczyma patrzył się i dziwił, dziwił...

— Więc, jakże to, to pan spalił swój chram, któryście tam lepili, gdzieś na tym Sybirze?... Który rodzice wieźli panu przez oceany, i potłukł pan to wszystko,—zniszczył?... A teraz jeszcze w dodatku rzucić pan chce starych?...

Począł gwałtownie wyswobadzać głowę z jej ramion, jak z uwięzi.

— I ja już pana nic nie obchodzę i wszystko pan przerywa?...

Skupił się nieufnie w drugim końcu kanapy. Co przerywam,—szepnął,—co przerywam?...

Nie chciało się jej jeszcze odpowiadać. Wiedziała, że za chwilę powie to słowo, powie je z dobroci serca,—żeby był spokój w domu, żeby się już starzy nie mordowali... Powie je także dla miłego władania... Ale dopiero za chwilę, przedtem jeszcze popatrzy sobie w okno, na ochronkę, na most w ciemnej szarówce, na wieże dalekie...

— Niech pani powie, co przerywam?... Słowo honoru najświętsze, że i tak odejdę. Odejdę na front, słowo honoru,— trząsł się,—ale niech pani powie...

— Jakby właśnie dlatego, że wobec tego słowa honoru było już zapóźno,—rzekła:—Co pan przerywa?... Ależ uczucie, nasze uczucie, Adolfie...

Wyciągnęła ku niemu ramię tak lekko i powłóczyście, zdało się jej, tak pięknym i tak smutnym ruchem, jak się gałązka krzewu przez kraty przegina...

Nie podjął jej ręki,—upadła z powrotem wzdłuż ciała...

— Jakie uczucie?—szepnął. Patrzył na nią rozżarzonymi oczyma, skupiony, zziębnięty... Sine połyski oprzędły mu usta i skronie...

— Adolfie, więc pan mnie nie rozumie?!—Położyła mu obie ręce na ramionach...

Ugiął się, jak pod dotknięciem parzącego ognia i uchylił... — Pani się teraz chce litować nademną!... Ze względu na rodziców!...

Maryśkę cieszył ten upór, niby, niespodzianie, na łatwej drodze napotkana, urocza przeszkoda...—Ależ Adolfie, — czy pan mnie rozumie?... — Szukała jakiegoś świadka na to, co powie, tu w pokoju, w pośród sprzętów...

Niebo już zmierzchło, ledwie jeszcze na krańcach podbite ostatnim blaskiem dnia... W ciemnych głębiach fir-

mamentu, niby jakieś zamiary dumne i wyniosłe, pęczniały ostatnim fioletem rozłożyste kopuły kościołów, a tu u stóp Maryśki, podobne do złotych łez leżały rozsypane na dywanie, papierowe kopułki spalonego chramu...

— Więc koniecznie pragnie pan, żeby to panu powiedzieć?... Niczego się pan nie domyśla?...

Adolf zwinął się w kłębek na kanapie i patrząc z uporem w jej oczy, zaczął się skarżyć... Na świat, — na życie... Na wszystkie niespełnione obowiązki... Bolek, kolega jego, jest ranny w pierś... W palce... A ja?... Już przysiągłem... Zaś tamto wszystko musiałem zniszczyć... Bo to była przeszłość... Nie chcę odpowiadać za to...

Maryśka spozierała na niego z góry, z cierpliwą słodyczą... Mówił bowiem, nieczując, że wszystkie jego ruchy, niby płomieniem powodowane wewnętrznym, rwały się ku niej, postępując coraz bliżej...

— No tak, ale ja chcę, żeby pan został...—Kulącemu się nisko na kanapie w bólach spowiedzi i wyznania, zakryła twarz obiema dłońmi...

Adolf chłonął żarliwie ciepło jej rąk... Czuła, jak zwolna zaczyna je pokrywać pocałunkami. Nawet nie zauważyła kiedy twarz Adolfa znalazła się tuż przy jej twarzy.

Ach tyle się przez „takie rzeczy“ złego stało,—myślała chłonąc pożar jego ust zimnemi wargami, — niechże się raz stanie coś dobrego... Poddawała się łaskawie jego pieszczotom, które lżej niż piora paździorów płynęły po jej czole, policzkach...

Na wojnę ktoś nie pójdzie, jacyś rodzice nie padną ofiarą nieszczęścia, więc cóż to szkodzi?...

Po całem ciele jej, po ramionach i piersiach stąpać zaczęło dziwne, najczulszej nieśmiałości pełne poznawanie...

Adolf dotykał ją drżącemi dłońmi, to znów cofał je, skruszony cudowną prawdą nowości kobiecego ciała. Zaś dotknąwszy jej piersi, usuwał ręce, zda się, chłodząc je z nadmiernego szczęścia w cichym mroku...

Ramiona obejmujące jej kibić rozplotły się, niczem zetlałe powrósło...

Jeszcze trochę, jeszcze trochę,—myślała Maryśka, przepojona słodką pychą,—zaraz będę mówić o rodzicach, zaraz będę siostrą miłosierdzia... Tylko jeszcze trochę!...

Bo Adolf, jakby się chciał na pamięć nauczyć jej postaci, jakby ją chciał koniecznie na wieki zamknąć w jedwa-

bistych muszlach dotknięcia, — wiódł rękami po skroni wzdłuż ramion, bioder aż do stóp...

Nagle oboje zamarli w ruchu... Oboje przerażeni... Bowiem palce Adolfa, minąwszy jakoś brzeg wycięcia koszuli, dotknęły nagiego ciała...

Maryśka nie chcąc, by widział je, przyciągnęła go ku sobie... Zachwiał się, nachylił i zsunął głowę...

Trącone nagłym ruchem kopułki chramu potoczyły się przez dywan na podłogę.

Czując na ciele drobniuchny trzepot spłoszonych rzęs, z oddechem uwięzionym, zda się, pocałunkami, które Adolf składał na brunatnych jagodach jej piersi, patrzyła, nieruchomo, jak spędzone na posadzkę kopuły chwieją się, niby puste złote jabłka...

Ruch ich statkował się i dogorywał powoli, kołysząc ciszę papierowym szeptem.

— Ktoś wejdzie,—rzekła, gdy kopuły zastygły w mroku.—Ktoś wejdzie... Trzeba zobaczyć, co się w domu dzieje?... Już późno...

Kazała mu tu zostać, tu nocować, aż się wszystko wyjaśni... Nie myśleć o rodzicach, ani o niczem, tylko uspokoić się...

— A ja się z nimi zaraz rozmówię i przyniosę panu coś do zjedzenia...

Zastała Karowskich w pokoju Adolfa, na podłodze, przy zbieraniu rozmaitych pamiątek...

— No co? No co?—Podnieśli ku niej oboje niespokojnie głowy...

Maryśka rozłożyła ręce.

— Patrz pani, patrz, — jęczała Karowska, wychylając żółtą, jak zamglony księżyc, głowę z pomiędzy osmalonych wież chramu,—patrz pani!...

Karowski w milczeniu wybierał starannie z szarej strugi połamanych drobiazgów, poszczególne okazy...

Przytakiwali planowi Maryśki... Zostawić chłopca przez parę dni w spokoju... Sam przyjdzie do siebie... Sam się opamięta...

— Jak dotąd, — niczego się nie dowiedziałam... Trzeba cierpliwości. I dajcie mu coś zjeść...

Stara wyszła, a Karowski dalej wybierał ocalone okruchy: Odznaki, motyle, chrząszcze, błyszczące, jak guziki.

Sapiąc ciężko, układał to wszystko w pogniecionych pudełkach...

Żal się go zrobiło Maryśce. Doznała wrażenia, jakby nagle zdziecinniał i taki stary, siwy, ociężały raczkuje po podłodze, wybiera i przymierza chrząszcze, motyle, białe orzełki blaszane, suche kwiatki...

Karowska wyprawiając Maryśkę z jedzeniem do oblężonego syna, uściskała ją i ucałowała...

— Młode to, — wzdychała na cześć Maryśki, — samotne, a takie zacne!:.. Bądźże pani dobra, postaraj się jakoś przyhołubić, — szeptała nieomal już pod drzwiami. — Żebym się była dochowała córki, tobym nie chciała lepszej, niż pani...

Pocałowała przytem Maryśkę w łopatkę.

— Niosę panu coś do zjedzenia, gdzie pan jest, Adolfie.

W pokoju było ciemno.

Klęczał przed nią, przytrzymywał rękami czule jej stopy. Całował je, oplatając uściskiem, grzejąc oddechem, jakby tysiąc mil uszły...

Występowała z tych pieszczot lekko i łagodnie, jak się wychodzi łukiem giętkich podrzutów z wiosennej wody... A gdy chciał objąć wyżej kolan, szarpnęła się: — Co pan robi, — taca mi wypadnie!

Nie puszczał... Łasił się całą twarzą i czupryną.

Ach tak, — czuła się teraz, na jedną chwilę, jak może jakiś krzak, owiany pierwszem ciepłem wiosny...

Czyż rzeczywiście nie była małą, skromną rośliną, która się chwieje bezwolnie przy wielkim trakcie ciężkich, żelaznych dróg?...

— No puść, już puść, mój chłopcze!

Nie puścił i przeszła tak ze środka pokoju aż ku oknu, do stołu, brnąc w tych pocałunkach... Adolf zaś posuwał się za nią na kolanach, każde przestawienie jej stopy pieczętując ustami...

Nie chciał nic jeść. Wolał, zgarnąwszy sobie jej stopy na podołek, patrzyć w jej oczy pod górę, wysoko...

— Więc będziemy jeść razem! — Zaśmiała się. — Najprzód ja, potem ty... Naprzemian, — chcesz?...

Schował twarz na jej kolanach z nagłego szczęścia, że mu powiedziała „ty".

Potem, gdy wypili mleko i zjedli chleb, zgarnął rozprószone w pobliżu złote bańki kopuł, ułożył je na podołku i na nich dopiero postawił delikatnie nogi Maryśki.

— Żeby pani, jak madonna, miała pod stopą złote światy...

Przeleciał jakiś osobowy pociąg z oświetlonemi oknami. Ludzie stali w przedziałach, ściągając z półek pakunki. W wojskowych wagonach widać było oficerów, zapinających pasy na płaszczach...

— Nikt nie wie, — szeptał Adolf, słuchając tętentu kół i tuląc piersi do jej nóg, — nikt nie wie, że my tu tak siedzimy...

— I nikt nie wie,—podchwycila Maryśka,—że zły, uparty chłopak...—Bardzo głupie i puste wydało się jej nagle to wszystko. Głupie i dziecinne wobec tego pociągu, który przypominał dawne, srogie jakieś przejście...—Że zły, uparty chłopiec...

— Dlaczego zły, — dlaczego uparty, — jęczał cichutko, najostrożniej głaszcząc jej stopy.

— Dlaczego zły?... Bo jakżeś mógł niszczyć nie tylko swoje, ale i nasze wspólne rzeczy?... Były tam przecież motyle, któreśmy prawie razem łapali?...

— I widzisz, teraz już niema ciemnych szyb gablotki, z za których patrzyły tak ładnie te kopuły?...

— Ale te kopuły są teraz pod twojemi stopami...

— I niema drewnianych wycinanek! Wszystko zburzyłeś... A oni tam teraz, jak pogorzelcy, grzebią w tym śmietniku...

— Kto?!

— Kto? Twoi starzy rodzice, Adolfie... I płaczą i mówią, że to tak, jakbyś umarł...

— Trudno,—zaśmiał się Adolf,—to musi boleć... Każde nowe szczęście musi boleć...

— Nie musi, nie musi, — łagodzila Maryśka, — pomyśl nad tem... Będziesz dzisiaj tu spać... Pójdę już do nich... Pomyśl Adolfie, że wcale nie musi boleć...

Wstała szybko, Adolf uklęknął, złote kule rozbiegły się w ciemnościach i nie zdążyły się dotoczyć do końca, gdy Maryśki już nie było w pokoju.

Zdziwiła się ogromnie, gdy zbudziwszy się na drugi dzień, ujrzała przy swem łóżku siedzącą Karowską.

Na nocnym stoliku stało świeżo przyniesione śniadanie, herbata, jajecznica, wędlina, masełko, biały chlebek,—jak na te czasy niebywałe zbytki!

— Nie zbytki,—odpowiedziała Karowska, głaszcząc Ma-

ryśkę po ramieniu, — napracowałaś się wczoraj biedulko, to potrzebujesz...

Przyjemne ciepło rodzinne unosiło się w powietrzu. I tyle słońca. Było już zapóźno do biura.

Maryśka postanowiła dzień ten poświęcić Karowskim. Opowiedziała Karowskiej wszystko, co mogła.

— Tak, tak, to jest pewne, że chłopak chce iść na front... Przysiągł sobie,—dał sobie słowo honoru..,

Karowska stropiła się tem ogromnie.

— Czy co, gdzie ma, czy się w kim kocha, czy jak tam, — wynurzała się dalej Maryśka, — tego nie wiem, bom nie pytała...

— A jeśli się kocha, — zaśmiała się Karowska, trzęsąc forsownie wszystkimi fałdami podbródka, — to odbij go tej jakiejś nieznajomej, pani kochana!... Odbij go jej!...

Maryśka, rumieniąc się lekko, wzruszyła ramionami. Było jej bardzo nieprzyjemnie...—Pani daruje...

Karowska skuliła się żałośnie: — Co w głowie matki wszystko nie postoi, byle ratować...

Ułożyły wspólnie, że najlepiej, zwłaszcza w pierwszych dniach, pozostawić wszystko czasowi i o wszystkiem ani słowa ojcu...

Zaczęły się śmieszne, wystawne dnie pokuty... Karowska zmieniła odrazu cały system gospodarki. Otwarły się wszystkie śluzy i upusty śpiżarni, śniadanie sama roznosiła do łóżek, objady zyskały na zawiesistej tłustości, do podwieczorku zjawiły się gęste, wonne konfitury, a na kolacje znów wystąpiło mięso.

Maryśkę „nosiła“ poprostu stara Karowska „na rękach“.

— Nie wstydzę się usłużyć,—mówiła, głaszcząc ją przez kołdrę po nogach co rano,—nie wstydzę się usłużyć komuś, kto mi uratował syna...

Było to aż krępujące.

Stara Maryśce rano, do biura, pomagała się ubierać, chciała nawet pomódz sznurować trzewiki.

— No daj, córuchno, daj, jeśli Feluś może mi być wnuczkiem, to i ciebie za córkę uważać mogę...

Po południu, powróciwszy z biura, zastawała Maryśka Adolfa samego, starzy bowiem zabierali Felusia ze sobą do kina.

Adolf czekał na nią codzień w wiadomej porze powrotu i wciągnąwszy ją za rękę do pokoju, oświadczał radośnie,

że są sami, że starych niema, — wyszli. I obsypywał ją pocałunkami, od stóp do głów.

— Nie chcę się z nikim godzić, chcę tak żyć całe życie...

Maryśka natomiast twierdziła, że dość już tego, że trzeba przeprosić rodziców.

— Zaczną się do mnie mięszać, — zarzekał się Adolf i stracę panią, stracę... Wie pani co stracę?... O—to! Oczy usta, ręce, to wszystko, co całuję.

Niósł ją na łóżko, zdejmował buciki, zsuwał pończochy (do kolan „nogi“ były „jego“, wedle ważnej umowy, zawartej pod słowem honoru) i całował długo i toczył pocałunkami jej zwięzłe, gładkie łydki, zatrzymując się modlitewnie w zgięciach kolana... A potem kładł usta na chłodnych jej stopach, twierdząc, że zasypia.

Albo znów,—„wspominali“...

Zamykał w trwożnych swych dłoniach jej małe śniade piersi (bo to są kopuły najcudniejszego chramu) i opowiadał Maryśce wszystko, jak było od tego pierwszego wieczoru, kiedy coś uczuł do niej.

— Bo ja już wtedy panią kochałem...

— Kochałeś? — pytała, unosząc piersi, wzdęte słodyczą rozkoszy.

— Tak...

— A za co?...

Nie wiedział za co. — Wtedy gdy pani przyszła w tym fioletowym kostjumie, tam do nas, na werandę. Mój Boże bawiłem się jakby nigdy nic z Magdą i strzelałem z łuku... Nigdy chyba tak wysoko nie udało mi się strzelić... Myślałem, że pani zwróci na to uwagę...

— No, ale znałeś mnie przecież przedtem, cóż cię tak tknęło wtedy właśnie...

— Nie wiem... Zdawało mi się wtedy, że wokół pani bije światło... Jak dokoła świętych...

— Ale nie można, Adolfie, aby ludzie przez nas cierpieli... Jeśli chcesz mnie kochać, musisz przeprosić rodziców... Musisz się ze starymi pogodzić.

— A jeśli się przeproszę?...

— A jeśli się przeprosisz, będę trochę lepsza, niż teraz i więcej będę twoją...

— Jak będziesz moją?...

— Zamknij oczy i czekaj cierpliwie,...—i cóż to szkodzi,

myślała z jakimś niewyczerpanym pobłażaniem,—wcześniej czy później?...

Sama dla siebie, w mroku, wzruszyła parę razy ramionami...

I cóż to szkodzi, – myślała, zsuwając po cichutku swój szlafrok, – tyle razy oszukali mnie w życiu, raz ja oszukam dla czyjegoś dobra... Dla czyjegoś małego dobra i żeby bez wyrzutu, w tkliwym przeciągu pieszczot, myśleć o rzeczach, które znikły, o Zdzichu, i o mężczyznach, którzyby mogli dać tyle szczęścia, a nie umieją...

— Jeszcze wciąż miej oczy zamknięte i bądź cierpliwy...

Pobiegła boso do drzwi, zamknęła je na klucz... Cicho, w koszuli, przeszła tuż obok Adolfa.

Śliczny był teraz... Z zamkniętemi oczyma, z długim cieniem rzęs na policzkach siedział w smutnem jakoby zamyśleniu, a twarz jego promieniowała blaskiem kamei.

— Miej oczy zamknięte—rzekła dotykając jego czoła.

Wyciągnął ku niej ręce, lecz usunęła się, skacząc cicho do łóżka.

— Adolfie...

Ukląkł przy krawędzi, modląc się nieomal... Malutkie, śpiewne zdania, zsypywały mu się z ust w mrok to śpiesznie, to wolno, niby dreszcze krzewu, którym wiatr wstrząsa. A potem jęły płynąć słowa poważne i najgłębsze, z najdroższych wartości serca czerpane... Wziąwszy jej nogi na ręce, posuwał objęcie wyżej, aż za kolana. Wstrząsany rozczulającym czarem ich gładzizny i łagodności, jął oddawać temu szczęściu wszystko, w co wierzył...

Wszystko zyskało teraz swobodę prawdy, urok łatwości świecił wśród dawnych, ciężkich smutków i niespełnionych pragnień...

— Teraz wiem dlaczego byłem tchórzem, teraz wiem, że będę musiał odejść... Bo zawsze trzeba musieć poświęcić... A ja dotąd nie miałem co... Teraz dopiero...

I tak, oplątując słowem i pocałunkiem nogi Maryśki coraz wyżej i dalej, — przylgnął nareszcie twarzą w ciemnym trójkątnym ich zbiegu...

Przejęta płomieniem bezgranicznej pieszczoty, głaskała Maryśka Adolfa po drżącej czuprynie, niby dziękując niedbale, wpatrzona w noc.—

Gdzieś, niewymiernie, nad połyskiem szyn, czy między drutami telegraficznemi, które wiązką cieniusieńkich blizn,

błyszczały w mroku,—szukała jakichś wspomnień, zwykłych a niedościgłych...

Wśród szybkiego ich przelotu królowała teraz jasna pewność rzeczy niedużej, lecz dobrze zdobytej:—Taki chłopiec, jeśli kocha, jest wdzięczny, nie oszuka, nie zdradzi... Nie potrafi okłamać...

Oddychając przenikliwą radością delikatnego użycia, pierwszy, pierwszy raz w życiu myślała sobie bez złości, żalu, bez wyrzutu o Zdzichu i o Smolarskim i o Ciąglewiczu...

Następnego dnia oświadczył Adolf uroczyście Maryśce,—że teraz mu wszystko jedno... Jego życie do niej należy,—reszta niema żadnego znaczenia... Ach,—terazby mógł robić wszystko, co mu każą,—choćby pisać pamiętnik...

Maryśka wpadła na doskonałą myśl,—umówiły się pokryjomu z Karowską, że to będzie najlepsza droga... Adolf oficjalnie przeprosi rodziców, — trudno, zresztą to tylko forma, a potem pogodzą się na tle, na nowo rozpoczętego pamiętnika,..

Jak wyglądały przeprosiny tego Maryśka nie widziała, brała bowiem tylko udział we wspólnym obiedzie, na którym podano nawet tak drogie nowalje w tym czasie, jak rzodkiewki.

Od tych przeprosin zaczęło się zgoła inne życie. Jakby nagle, jakiś duch opiekuńczy zaczął czuwać nad Maryską i Adolfem...

Udawało się im wszystko...

— Trzeba tylko tak kochać, jak ja panią, a będzie się miało zawsze los za sobą...

Jakoś działo się tak, że Feluś, nawet z korzyścią dla siebie, był ciągle po za domem... Jakoś działo się tak, że Karowscy dużo mieli zajęcia, on w biurze, a ona tyle gonitwy, co nigdy...

Uważać, pilnować się, nasłuchiwać było tem trudniej, że całe mieszkanie dudniło wciąż od przejazdu pociągów, które szły, szły,--szły...

„Płomień i dym“, — przypomniał sobie Adolf z Agaj-Hana, wstydząc się dodawać „Hurysso moja“, — płomień i dym...

Ach, jakże pragnął przepoić ją tem wrażeniem, w którem pławiła się szczęśliwie jego dusza: — Patrz, patrz! Wali się świat,—mówił,—gdy spoczywali w uścisku pierś o pierś, a po torze, co parę minut, co parę chwil pełzł nowy po-

ciąg, pełen żelastwa i wojska... — Patrz jakaś nowa ofenzywa... Znów cały świat wali się na jakąś, jedną stronę, wszystko tam pędzi, a tutaj tylko, my dwoje zostaniemy nadzy i szczęśliwi... Chcesz?...

I poprzez chmurę kwaśnego dymu lokomotyw, w którym coraz grążył się pokój, szukał Adolf jej słodkich ust...

Maryśka patrzyła na jego szczęście z pobłażaniem, Adolf zaś wyzywał poprostu los,—i zawsze mu się udawało...

Raz tylko, czy dwa, gdy całowali się nad nową, dzienną porcją fabrykowanego pamiętnika, zdawało się im, raczej tylko Maryśce, że ktoś uchylił drzwi...

Byłaby przysięgła, że widziała w lustrze jadalni biały fartuch Karowskiej!... Ale Adolf wyszedł, sprawdził, — nic podobnego...

I jeszcze raz tosamo, na drugi dzień... Zdawało się jej, że ktoś zajrzał do jej pokoju, podczas gdy siedziała na kolanach Adolfa, karbując mu grzywkę,—by wyglądał jak paź...

Byłaby przysięgła, że widziała głowę Karowskiej w uchylonych drzwiach... Ale to był tylko przeciąg, czy też huk idącej lokomotywy.

Zresztą Maryśka próbowała potem sama przekonać się, wybadać Karowską... Ani cienia...

Sama Karowska spytała ją w kuchni, — czy ostatecznie jest na jakimś tropie, czy Adolf durzy się gdzie w kim?...

— Mnie starej nic na tem nie zależy,—wzruszyła pobłażliwie ramionami,—mnie starej cóż?... Jeśli to jakaś uczciwa osoba i zdrowa?... Ale ojciec, ojciec...

Karowski nie wiedział nawet jeszcze, że syn pisze pamiętnik. Chociaż się wiosna robiła, mróz puszczał i krzaki się już sprószvły pierwszym winem zieleni, chodził dalej, jakby to zima była beznadziejna, blady i z postawionym kołnierzem.

Niestety, — Adolf nie miał czasu na te wszystkie spojrzenia i fochy starego. I tak dziwił się, że może wytrzymać, że się nie pomyli, że nie krzyknie nagle przy wszystkich, wyciągając do niej ramiona: Maryśka,—Maryśka!!!

Tyle teraz mieli tajemnic, sekretów, tyle najdroższych obrzędów...

On ją nazywał „Ma“, zaś ona jego „Aaa“... Wołali na siebie, jak praludzie, jedną samogłoską, jednym dźwiękiem dziwnym i tajemnym, idącym z początków wszystkiego...

Stworzyli cały szereg własnych obrzędów... Adolf pra-

gnął, by wszystko było własne... Całe osobne życie, które ich wiąże,—a o którem nikt z niepowołanych nie będzie mieć najmniejszego pojęcia...

Mieli też swoich opiekunów... Patronką ich była „kobieta z łasicą“ Leonarda da Vinci, z muzeum Czartoryskich... Ona też zapewne, temu kto ją kochał, mówiła „ty“ a on jej pani...

Była ich patronką za swą piękność, spokój i za to, że trzymała na ręku małe białe stworzonko,—niby w smukłych, różowych palcach płateczek śniegu...

Za to i za coś jeszcze...

Raz bowiem,—w sali nie było nikogo... Słońce się pieniło jasnością za zakratowanymi oknami... Adolf podziwiał długo z Maryśką te piękne obrazy... Tak piękne... Nagle słodycz niewysłowiona zalała mu piersi. Ukląkł, uniósł suknię Maryśki... Tak, aby jej cudne, zręczne nogi widzieli wszyscy klasyczni święci z obrazów, wszystkie damy, wszyscy przodkowie polscy i tych kilku królów i tych kilku męczenników, szklących się w brunatnym sosie...

„Dama z łasicą“ widziała, jak Adolf całuje swą panią wyżej kolana w „pasmo zorzy“, to jest rąbek gładkiej skóry między pończochą a odwiniętym spadem koronki...

Dopiero teraz dobrze im jest,—śmiał się do ucha Maryśki gdy się „udało“ i znów oboje stali spokojnie przed jakiemś, „Poselstwem Polaków do Konstantynopola“...—Dopiero teraz wiedzą te szanowne zabytki, czego się mają trzymać...

Zdaniem Adolfa wszystko, co nie widziało ich pocałunku, nie wiedziało czego się ma trzymać...

Jakże więc ogromne mieli obowiązki... Musieli rozumem swej miłości obdarzyć wszystkie stare i godne miejsca i mury Krakowa...

Musieli, trzymając się w mroku pod ręce, przejść ulicę Kanoniczą... Pomiędzy tymi domami, które są tak stare i stylowe, że głos pocałunku zatrzymują w swych ścianach do dziesiątego pokolenia...

Musieli się chować za ciężkie bramy domów tej ulicy, krzyżowane kratą żelazną, albo dźwigające całe nieba umarłych gwiazd,—bo czyż nie tak patrzą te stare ćwieki?...

Musieli mroku tych korytarzy dotknąć cichym skrzydłem spłoszonej rozmowy, by mógł spokojnie czekać aż odejdą, aż nie wrócą, aż przyjdzie tu znów kiedyś, kiedyś, taka para, jak ty i ja...

Musieli plątać się po gankach jakiegoś podwórza, w pośród arkad sędziwych, z których wystrzelało drzewo rozłożyste, okryte złotymi supełkami pąków,—niby z pośród starej historji wytryskające,—nowe objawienie...

Zaś w sobotę, popołudniu poszli na Wawel...

— Bo niema,—niema Wawelu, póki nas tam nie było...

Trzymając się pod ręce snuli się po pustych, rozkopanych salach, patrzyli z okien na te same wzgórza, na które patrzył ongiś polski król... Wiatr marszczył powierzchnię Wisły, ścinając ją niebieskim drżeniem w wielką karbowaną muszlę perlistą. Po roztrzęsionej podłodze głuchych sal uganiał kurz, a nizko, pod murami, plotły się rude warkocze zeszłorocznych liści.

— Ilu tu ludzi już przeminęło,—dziwił się Adolf,—pomyśl, pomyśl...

Poszli też razem (koniecznie chciała tam być) do komnaty w Kurzej Stopie. Tutaj ssali landrynki, dając je sobie z ust do ust,—a Maryśka myślała o oszukaństwie ludzkim i znikomości...

Dziwny smutek ogarnął ją w czasie tych wędrówek... Wszystkie te miejsca pamiętały ją przecie, wszystkie znały dobrze jej wzrok odświętnie natchniony, miękkie wyrzuty rąk i popisowe spojrzenia... Jakaś cierpka rozkosz towarzyszyła jej wszędzie... Z pobłażliwym uśmiechem przyjmowała okrzyki Adolfa z pobłażliwym uśmiechem oddawała się jego pieszczotom...

Były tak słodkie, tak bałwochwalcze, tak pokorne i nieśmiałe, że stawały się zaledwie tłem,—innych mocnych wspomnień... Nigdy jeszcze nie myślała Maryśka tak dużo o Zdzichu, nigdy tak gwałtownie i pożądliwie...

Czy to wiosna z sobą niosła, czy miłość Adolfa, czy ten ciągły, ponury przepływ żelastwa i ludzi uzbrojonych... Przypominał się teraz Maryśce dawny odjazd i dawny żal...

Pieszczoty Adolfa były tak miękkie, tak czułe, że napełniały ją uczuciem najzupełniejszej bezkarności... Uczuciem bezkarności i niepojętego dla niej dotąd bezwstydu...

Obeszła z Adolfem wszystkie miejsca dawnych dróg i pobytów małżeńskich, byli razem w domu, gdzie mieszkała ongiś ze Zdzichem...

— Pamiętasz, jak biegłeś tymi schodami pośpiesznie,— pamiętasz?...

Lecz nie myślała o Adolfie,—a o mężu... I o mocnych, gwałtownych jego krokach...

— Pamiętasz, jak czekałeś na mnie we drzwiach cmentarza, w śniegu, na Salwatorze?—pytała całkiem naga w łóżku, stąpając lekko, bosą stopą po jego gorących ustach,— pamiętasz?...

A gdy olśniony jej słodką pamięcią podsuwał się wyżej, a gdy najżarliwszem ubóstwieniem zwiedzał jej gładkie, prężące się ciało, myślała z przewrotną uciechą o rzeczach minionych... W miarę tego rodziła się w niej zmysłowa, straszna bezwzględność i okrutna niezaspokojona niczem, potrzeba dosytu...

Nie było już wtedy żadnej miary łask, nie było końca i mety miłosnego trudu...

— Czem jesteś?—pytała, gdy tracił już oddech...—Czem jesteś,—nastawała, ciągnąc go swobodnie za włosy.

Zaś, gdy nieprzytomny już z pożądania, tulił się w nią, szepcząc, że jest niczem i gorzej, psem tylko psem,—oczy jej stawały nieruchomo w najszczęśliwszem przerażeniu rozkoszy...

Wpatrując się w okno, zanurzona biernie w niewolniczem jego ubóstwieniu, powtarzała z uśmiechem: — Jakiego mam cudnego psa...

A potem nagle, rzekomo znudzona, ściągała z Adolfa odzież, powoli i obojętnie...

Drżał ze wstydu...

— Tak wygląda moje stworzenie,—śmiała się głaszcząc jego twarde, lśniące piersi.—Tak wygląda mój paź... Tak wygląda mój paź schyłkowy...

Słowo „schyłkowy" napełniało go jakimś szaleństwem szczęścia...

— Tak wygląda mój skaut,—mówiła, spoczywając małą, wzburzoną piersią na sprężonych jego udach...

A kiedy z pod jego powiek zaczęły spływać pierwsze łzy rozkoszy, gdy sztywne ciało Adolfa rozwiązał już bezwład uniesienia, głaskała go po ramionach, szyi, twarzy i piersiach, jak się głaszcze dzieci po zimnej kąpieli.

Wtedy, przejęty wstydem, zsuwał się w nogi łóżka, zwijał w kłębek, twierdząc, że tu będzie czuwać, że tak będzie strzedz...

Patrzyli oboje na ciężkie, czarne, brzeżone czerwonym skrajem ognia lokomotywy, które, niby dyszące, głowy olbrzymich wężów, wlokły za sobą długie rzędy wagonów... Czasem pieśń się z pociągów wyrywała nieznana, obca, ponura... Czasem w otwartych flankach wagonów roiło się od zwabionych zarysem miasta żołnierzy, którzy kłębili się po nocy, podobni do ogromnego, żelastwem lśniącego, robactwa...

Nad ranem zaś rysowały się całkiem wyraźnie, ustawione na lorach graty i ostre garby dziwnych sprzętów wojennych... Patrząc na nie, Maryśka i Adolf rozczulali się przeznaczeniem strasznych dróg wojny, które, tę oto glinę, przyschniętą do kół, gdzieś na Litwie, czy na Wołyniu,—miecie teraz i gna do Włoch, czy też na krwawą ziemię starej Flandrji...

Mieli teraz w domu nieograniczoną, nieomal swobodę...

Stary Karowski czytał już codziennie pamiętnik syna i cieszył się jego nawróceniem. Karowska była jaknajlepszą babcią dla Felka, a ze względu na starego, przeniosła syna łóżko polowe do jadalni. Starzy spali w dawnym pokoju Adolfa, a Feluś bardzo często razem z nimi. Malec też niewiele przeszkadzał, bo po każdej gwałtowniejszej nocy następowała dłuższa przerwa...

Maryśka nie chciała wyniszczać Adolfa, on zaś onieśmielony i zawstydzony chciał zawsze „potem" składać nowe dowody zupełnie idealnego uczucia...

Wówczas pragnął towarzystwa, ludzi, szumnego otoczenia i blasku.

— Jak sobie pomyślę, że „oni" nic nie wiedzą, że patrzą z zachwytem na panią, na moją panią i nie śmią jej nawet dotknąć,—a ja... A ja...

Tryumf był zupełny, gdy się Adolf przekonał, że nawet blask oręża, zasługi i sławy, nie może mu odebrać Maryśki...

Poznajomił ją bowiem ze swym rannym kolegą, oficerem. Tymczasem okazało się, że się już znali...

— Ale skąd, gdzie?...

Z plant, całą gromadą zbrojną i dźwięczącą ostrogami poszli do Drobnera.

— Ostrożnie moi państwo, — śmiał się któryś z oficerów,—widać znów narodowa rocznica, czy okazja... Patrzcie stolik,—znów kwesta...

We wejściu za ogrodzenie mało Maryśce mowy nie odjęło... Przy stoliku z jakąś ubogą panną, siedziała w glorji atłasów, w zapiętej obcisłości białych glacé rękawiczek — Nastusia... Nawet już miała lorgnon na złotym łańcuszku. W głębi, za nią, w opiekuńczym oddaleniu kiwał się na krześle Smolarski.

Maryśka chciała w pierwszej chwili udać, że go nie widzi, ale już nie zdążyła odwrócić oczu w inną stronę. Ukłonili się sobie, racząc się wzajem niepewnym gorzkim uśmiechem.

Ale wszystko jedno... Oto już siedzi Maryśka nareszcie z całą gromadą dźwięczących oficerów pod czerwonym parasolem u Drobnera. Nie mogła sobie tylko przypomnieć skąd się zna z tym młodym blondynem, który ma już dwie gwiazdki nad oficerskim zygzakiem kołnierza.

Słońce kulami rozpylonego blasku tryskało z pomiędzy krzaków, spiżowy Grottgier patrzył z natchnioną dumą na deszcz młodych pąków, iskrami pryskających w świetle.

Otóż tak, otóż nareszcie przypomnieli sobie oboje skąd się znają! To było w czasie bitwy pod Limanową! Ułatwił obojgu wspólnie zapamiętany szczegół tej znajomości, — ów rudy belfer, czy skrzypek jakiś...

— Ramkie!—zawołała Maryśka.—A pan jest tym blondynem, tym sierżantem, czy kapralem, który był wtedy z Zatorskim?—pytała, ciągnąc powoli zimny mazagran przez słomkę.—I musi pan w takim razie pamiętać jeszcze jednego cywila... Ten tam, przy stoliku...

Sprawiało jej teraz osobliwą jakąś przyjemność pokazywać Smolarskiego, jakby kogoś zupełnie obcego.

— Ten tam, przy tej pięknej damie przy stoliku, ten z tymi długimi uszami, z tą głową w szpic, zarośnięty... To też przyjaciel Zatorskiego.

— I takie chuchro,—rechotał oficer, taką niewiastę upolowało... Siedzą sobie te niedołęgi na tyłach i w jakich to smakach operują.

Ale Smolarskiego dokładnie przypomnieć sobie nie mógł. Wolał zresztą żywo gestykulować, opowiadać swoje burzliwe przygody, bardzo z nich dumny i szczęśliwy, Maryśka zaś ciągnęła drobnymi łyczkami zimny napitek oddana całkowicie nagłym i nieuporządkowanym wspomnieniom.

Ach jakże jej się to wszystko wydało dawne, jak minione! A chociaż minęło już to wszystko,—cóż się zmienia

w porządku rzeczy?! Tylko trochę ciężej jest; trochę ludzi ubyło, pozatem, — tensam żwir, te same parasole czerwone, tak samo się siedzi na białych krzesełkach a ludzie tą samą wolno szepczącą falą gawiedzi mijają wzdłuż balasków restauracji, tam i z powrotem.

Zaczęła znów wypytywać się o Zatorskiego, uważając go za bardzo wygodny łącznik w rozmowie.

Ale koledzy z wojska nie pamiętali go już.

— Wtedy wojna!—wołał jeden z nich,—wtedy to jeszcze była sielanka.

Adolf chciał im jego wiersz wyrecytować, „by krwi naszej starczyło wam bodaj na rumieniec“,—ale nie chcieli tego słuchać...

— Co to za gadanie,—śmiał się blondyn,—jużby do tego czasu poczciwy Zatorski mógł im z tej krwi kąpiel ofiarować śmiało, a nie rumieniec... Ach,—dawne czasy, programowe westchnienia! Może jeszcze kto powie, jak jeden prezes Enkaenu, że „na wasz widok ludzie płaczą“? Ech,—krokodyle!...

Nie pamiętali Zatorskiego,—myślała Maryśka, poganiając dalej rozmowę towarzyskim uśmiechem, — i nikt wogóle nic nie pamięta... Kobiety tylko zostają i męczą się... Jedne już zaprzestały kwestować,—drugie zaczynają,—jak Nastka!... A wszystkie się męczą... Męczą się więcej, niż wszystko, niż wszystkie ojczyzny razem wzięte...

Chciałaby już odejść... Oficerowie zatrzymywali ją jednak, prosząc, by spędziła z nimi wieczór. Blondyn z dwiema gwiazdkami na kołnierzu rozumiał, dlaczego smutno jest Maryśce. Bo sama pani tu jest... My z powodu tego nie krzywdujemy sobie...

— Aż nadto mamy tu w osobie pani piękności—przypochlebiał się,—a więc nie o to chodzi, tylko, że jednej samej pani wśród nas tu smutno...—Razem z kolegami obiecał zwerbować „od ręki“ większe towarzystwo.

I tak już chodzili tam, do tego stolika kwesty, żeby się „i nasz obol potoczył”, „nasza krwawica żołnierska też“... A potem, gdy wieczór już począł ćmić po trawnikach i gdy już nadeszła orkiestra, z takim ogniem i z takim „kochajmy się“ oficerowie rzecz przeprowadzili, że stworzyło się jedno towarzystwo... Tryumfalnie przywiedli pod czerwony parasol Smolarskiego, jako towarzysza młodocianych bojów i Nastkę, „godną małżonkę” obywatela.

Adolf się zarumienił po białka, Maryśka zrobiła się dostojnie ciężka i nieruchoma, jak z betonu...

— To niepotrzebne,—niepotrzebne,—mówił do niej w zaufaniu Smolarski, utwierdziwszy swe mgliste źrenice tuż pod zwisłemi powiekami:—Bo, proszę pani,—cóż?... Albo jest sakrament,—albo ludzie ze sobą żyją jak „psy“?... No więc, skoro ja już się ożeniłem, przeszło cztery tygodnie temu, to, już od czterech tygodni—jest sakrament... Wolę to sam powiedzieć od razu, prosto z mostu,—prosto z mostu...

— I jakże się pan czuje? — spytała nareszcie, przejęta nieopowiedzianym niesmakiem i zgorszeniem...

— Jak się czuję? Nic,—doskonale. Bo to zależy:—Jedni uważają, że dla wolności trzeba burzyć, a inni znów omurują się i tak dopiero zdobywają swobodę... Ja osobiście nie widzę żadnej różnicy... A pozatem cóż?... Bankructwo haseł, bankructwo wiary, bankructwo szkoły, bankructwo wychowania...

Nie mógł wymówić tego słowa „bankructwo“ a biło ono z jego dziąsła malutką, gęstą falą niedołężnego pogłosu...

— Więc co?— żachnęła się Maryśka. — Więc pan, żeby pomniejszyć bankructwo...

— Ależ nie, — przeczył, — ja tylko z osobistych względów... Jakiś dom, jakiś swój własny dom... I żebym w nim miał spokój...—Uśmiechnął się tak blado.—Moja żona wszystko najgorsze ma już po za sobą...

Utkwił surowe, badawcze spojrzenie w oczach Maryśki.— Wszystko najgorsze ma już po za sobą... To jest duża gwarancja spokoju na przyszłość,—wie pani?...

Och, — jakże już stąd iść chciała Maryśka, choćby do domu...

Śledzący ją Adolf miał wrażenie, że jej wstyd za niego, cywila, podczas gdy tamci inni...

— Wstydzi się pani mnie, — rzekł, gdy chwileczkę zostali sami...

— Kochany trzpiocie, — uśmiechnęła się do niego, tak pobłażliwie i serdecznie, że rumieńce radości wykwitły mu na policzkach...

Całą gromadą przeszli do restauracji Grandu. Tu znalazł się Ramkie ze swym kuzynem, dyrektorem Maryśki i jeszcze jacyś panowie, dostawcy wojskowi, czy coś w tym rodzaju, niezmiernie bogaci i za wszystko płacący...

Zrobił się ogromny stół, piło się masę... Oficerowi śpiewali legjonowe piosenki (małe ujadanie przed wrotam Niepodległej) ryczeli też na cześć nowożeńców.

Smolarski cierpliwie odbierał spóźnione i nieprzytomne gratulacje, a Maryśka raczyła nawet rozmawiać ze Smolarską,— obie z rękami na podołkach, blade ze zdenerwowania, pochłonięte nieprzepartą ciekawością...

Obiecały sobie nawet wzajemną wizytę...

Wreszcie Ramkie przysiadł się do Maryśki i mówił, że to jeszcze wszystko głupstwo, a najgorsze, najgorsze ze wszystkiego,—to zielone jabłka...

Czemuż tak dużo mówił o zielonych jabłkach,—czyżby już jakichś plotek ktoś narobił?...

Świtało, gdy się rozchodzili.

Maryśka wracała zadowolona po „hucznej" nocy w „gronie oficerów". Któryś z nich przyznał się, iż był uczniem — „szanownego małżonka pani".

— Doskonałym profesorem był pan Miechowski, morus chłop...

— Prawda, że był miłym,—odpowiedziała temu obcemu wojakowi,—prawda, że był miłym?

To wiedzą tylko tacy przypadkiem spotkani ludzie i Maryśka... Tylko ktoś bardzo obcy i bardzo swój może tak nagle i niespodzianie powiedzieć coś takiego między godziną a godziną, gdy się już białe kiście poranka snują po ulicach, a na niebie mętnem z pierwszego przebudzenia, występują złote oddechy światła...

Zatrzymali się teraz całą gromadą przed łukiem mostu, po którym sunęły transporty...

— Będzie morowa ofenzywa,—zauważył któryś z oficerów.

Liczyli fachowo ilość wozów, pomieszczeń, domniemaną ilość ludzi w jednym pociągu...

Z czarnego węża wagonów, niby czerwone krople krwi spadały przez kamienny łuk w mleko mgieł żywe, rozżarzone węgielki.

Na schodach, gdy już został z nią sam na sam,—rzucił się Adolf przed Maryśką na kolana:—Ty mną gardzisz,—gardzisz...—jęczał.

— Ależ nie, nie! Zmęczona tylko jestem.

Pozwoliła się ucałować przed drzwiami i rozstali się bogobojnie. Z jakąż ulgą zrzuciła z siebie, przesiąkniętą dy-

mem odzież! Już przed samem pójściem do łóżka, już w koszuli stanęła sobie jeszcze w oknie,—ważąc leniwie jakiś namysł... Iść,—czy zostać?...

W głowie huczało jej wino, tuż przed domem dudnił, na torze transport wojskowy. Rozbudzeni żołnierze śpiewali jakąś pieśń nieznaną...

W którymś wagonie zobaczono ją widocznie... Z czarnej czeluści towarowego wozu wychylił się gęsty pęk dłoni, potrząsający czapkami, kwiatami, słomą, wiechciem... I jakby plaster głów, jedna przy drugiej,—wrzeszczących namiętnie, zapewne coś obrzydliwego...

Nie odchodziła od okna... Gdzież się ma śpieszyć?... Może się jeszcze „przedtem" coś stanie?... Trzeba zaczekać...

Świt wolno powstawał od strony Podgórza, widać już było różowe zarysy kominów fabrycznych. Światła latarń paliły się mętnie, podobne raczej do żółtych wystrzyganek,—niż do płomieni...

Pod łukiem mostu, niby pod brwią szarą, zarysowała się blada powieka ulicznej pustki...

Może się jeszcze coś stanie, byle co, cośkolwiek i Maryśka zaraz się położy...

Znów nadciągnął pociąg, tym razem bez ludzi, wiozący dobytek i sprzężaj wojenny.

Z miarowym stukiem kół, mijały na platformach polowe piekarnie, automobile, jaszczyki, karabiny maszynowe i armaty. Wlokło to się bez końca, jak rząd garbów przedziwnej karawany, niknącej zwolna w pomarańczowych oddalach świtu...

Pokój napełnił się znów ciężką, kwaśną chmurą dymu...

Już nie oglądając się po za siebie, w koszuli, niby mglisty cień, wyszła Maryśka na korytarz... I dalej... Do przedpokoju, skąd drzwi uchylone prowadziły do jadalni...

Adolf napewno nie słyszał, tembardziej że całe mieszkanie huczało od tętentu wagonów... Przez dziurkę od klucza zobaczyła z radością, że właśnie on też podnosi się ostrożnie z pościeli,—wstaje...

Weszła na palcach...

— Nie bój się, nie bój, — szeptała, pochylając go z powrotem na łóżko.

— Chciałem, — dyszał, wpatrzony w nią rozszerzonemi

źrenicami,—właśnie chciałem przyjść do ciebie, pożegnać się, zobaczyć cię raz jeszcze i iść w świat... Bo ty mną gardzisz... Tamci się biją, giną,—a ja...

— Ogrzej mnie,—mówiła Maryśka frasobliwie, sadowiąc się na jego polowem łóżku,—nie gardzę, jestem tylko trochę smutna, zmęczona i trochę pijana... Nie gardzę, wszędzie jest tasama wojna,—szeptała, skubiąc wargami jego uszy,—nikim nie gardzę...

Zaś, gdy cichutko się stulili, niby dwa skrzydła tego samego motyla, śmiała się: — Tasama wojna, tensam obóz, mój miły Aaa, patrzże, śpimy na twoim łóżku polowym... Nie bój się, jeszcze i ty będziesz bohaterem... Będziesz, będziesz, jak tylko ci pozwolę...

Znów sunął nowy pociąg. Wielkie rzuty pogłosu szarpały się między murami, do pokoju wraz z ciemną chmurą dymu, wpadł dziki śpiew żołnierzy.

Maryśkę rozdarło nagle straszliwe pożądanie i w tym krzyku, huku, dymie,—szarpiąc obiema dłońmi czarne włosy Adolfa, oddała mu się pierwszy raz tak, jak kobieta oddaje się mężczyźnie...

IX.

— To jest coś innego, niż wszystko,—szeptał Adolf, kołysząc głowę Maryśki w ramionach.—Niż wszystko...

Maryśka, odsunąwszy chłopca, patrzyła mu w oczy badawczo.

— Bo to jest nagłe otwarcie świata,—podnosił ją sobie na podołek i zamykał w ramionach, co się w ich języku nazywało „gniazdem“...

Długo huśtali się tak w brzaskach dnia, nadzy i strudzeni miłością.

— Ta mądrość i wywyższenie, które z ciebie płynie,—Ma... Gdy patrzę na moich kolegów, na moich rodziców, gdy widzę te wszystkie sprawy—rozumiesz? Wszystko to niczem jest wobec ciebie!...

I w stuku długich pociągów, sunących wciąż i wciąż na krwawy koniec świata, przytuleni do siebie, powtarzali bez końca swe miłosne imiona...

I,—że się w tej miłości na śmierć zakołyszą...

— To jest coś innego, niż wszystko,—śmiał się Adolf, całując każdy załom, każde zgięcie jej ciała... To jest to,—co bogowie piją... Ani wino, ani słońce, ani ciepło, ani światło... Ani dym, ani proch, ani skóra, ani myśl,—tylko sama miłość, w najśliczniejszym kielichu... A tym kielichem jesteś ty...

Z czarnych głębi towarowych wozów wyrywał się tensam okrzyk, który był zawołaniem miłości ich obojga...

— A—a—a... — Ryczeli stłoczeni przy otworach żołnierze.

Bo oni jadą na śmierć,—powiadał Adolf rozemkniętym udom Maryśki...—Śmierć im tensam okrzyk z piersi wypę-

dza, co nam, co mnie,—gdy dajesz się kochać... Ja też będę tak krzyczeć, gdy będę jechać, gdzieś, przez Wołyń, na nasz front.—Ja też będę tak wołać rano, o świcie w wagonie, czy w polu... Będzie to znaczyć, że do ciebie tak wołam... Nie do życia...

Zostawało jeszcze tylko jedno... Ostatnia miara, którą warto mierzyć ogrom tego szczęścia, ostatnia, godna miara,—śmierć...

Gdy, schowany w objęciach dręczył się ostatnią uciechą rozpaczy, — że oto pójdzie, że oto będzie sam i zginie,—wówczas Maryśka poczynała mu tę uciechę odbierać...

— Więc mówisz, że odejdziesz, że obowiązek, że słowo honoru,—że inaczej podłość,—śmiała się, klęcząc nad leżącym, naga i gotowa do skoku... A jeśli cię nie puszczę?... A jeśli ja nie chcę żołnierza?... Żołnierze pachną potem i ziemią! A jeśli ja wolę ciurę?... Tak ładnego, tak ślicznie utrzymanego?...

Zmarszczył brwi, przejęty strachem bezsilnym. Czuł bowiem, że w końcu zrobi tak, jak ona mu każe. Napełniało go to rozkosznem przerażeniem...

Więc nie przeczył, a tylko głaskał jej połyskliwie, kolana, szukał ustami rąk, czy stóp, aby uprosić, wybłagać odniej swój los wojenny i śmierć...

Maryśka jednak, siedząc mu okrakiem lekko na piersiach—: A jeśli nie chcę wojaka, jeśli wolę takiego ślicznego tchórza?...

Prosił ją oczyma.

— A jeśli wolę takiego „ucznia Szkoły Głównej“, co to —inni się biją, a mój chłopiec, mój tchórzyk schowany u mnie pod piersią...

Adolf obrażał się, cofał szukające dłonie, zamykał oczy.

Objąwszy go nogami, wychylała się z łóżka ku oknu aby ją mogli widzieć przejeżdżający żołnierze... I przechylona, wołała zcicha—: On chce do was przystać, zabierzcie go, zabierajcie!...

Wtedy Adolf porywał ją, niczem wielki kielich przychylał do ust i chłonąc rozkosz, odrzekał się już wszystkego.

— Tylko niech cię nikt nie widzi, nie ogląda, ja jeden cała jesteś moja...

— Twoja?...—Odpychała go oburącz;— Niczyja jestem... Niczyja...

Buntowało się w niej wszystko na myśl, że może Adolf ma więcej racji w tem co mówi, niż przypuszcza.,. Bowiem

od owej nocy, gdy mu się pierwszy raz rzeczywiście oddała,—stało się coś...

Chwilami miała pewność, że to się wtedy stało, to znów próbowała się jeszcze ratować złą rachubą czasu, jakąś pomyłką, może zaziębieniem.

Byłoby straszne,—jeśli rzeczywiście Adolf... Nie można mieć przecież dziecka,—z dzieckiem...

Delikatnie, w różnych osłonkach wspomniała mu, coby powiedział, gdyby... I czyby chciał...

W odpowiedzi przytuliwszy się do niej jeszcze goręcej:—Cóż znowu!... Nigdy mu to nawet na myśl nie przyszło.

Wydało się Maryśce, że Adolf śmieje się bezmyślnie, że poprostu beczy, jak ciele...

I właśnie naprzekór, po tym głupim śmiechu, poddała mu się jeszcze zupełniej.

— Rozerwij mnie, rozszarp, uduś!...

Dała się szarpać, kazała się bić i poniewierać,—a kiedy Adolfa ogarnęła już istotnie dzika, nieprzytomna furja, gdy gniotąc jej ręce, rzucił ją sobie do nóg, zaczęła całować i łzami oblewać jego dłonie...

Właśnie na drugi dzień odjeżdżali oficerowie na front i miało się jeść z nimi wspólną kolację w Grandzie.

Byli Smolarscy, Ramkie, jeszcze parę osób z miasta.

Nawet Zatorska była proszona, ale nie przyszła.

— Nie może, nie może, — tłómaczył Ramkie, któremu powierzono zaproszenie jej,—dla niej zadrogo...

I opowiadał Maryśce rozwlekle, jakie skąpstwo ogarnęło teraz Zatorską... Składa na ten tom,—ale to, proszę pani, beczka Danaid, nie tom. Pieniądz leci w dół, a cena papieru w górę,—co uskłada, to zamało, beczka Danaid...

— Więc cóż z tego, cóż z tego,—Maryśkę niecierpliwił ton Ramkiego i wogóle cała kwestja Zatorskiej.

— Z tego nic,—zacierał Ramkie urzędowo ręce,—tylko dramat coraz większy...

Dość miała dramatów, pełno ich było wszędzie, widziała je tu przed sobą dokoła... Smolarski,—mokry dramat, Ramkie, — żydowski dramat, Adolf, — młodociany dramat, a w niej samej, żywej,—w jej wnętrznościach, może się też już lęgnie macierzyński dramat...

— Dlaczego pan kracze panie Ramkie?... Odrzuciła w tył głowę gwałtownie, jak młody koń.—Dlaczego pan zawsze jakieś smutki wywleka? Jest światło, — powiodła spoj-

rzeniem po stole, otoczeniu, po oficerach, krzątających się około wódek,—jest młodzież, są mundury, ordery...

Zmrużywszy oczy, rozdymając nozdrza, uśmiechnęła się: Ja się też chcę bawić! Rozumie pan?! Też chcę trochę żyć wesoło! Na złość wam wszystkim!...

Ramkiemu ciemne fiolety przeleciały po zielonych źrenicach.

— Bawić się?... Tego nikt nie może słyszeć... — Rudą peruczką przyniknął pokłonnie do jej ręki, zatrzymując jej palce w swych dłoniach:—Bawić się?... Tego nikt nie może słyszeć, mężczyźni umieją to tak wykorzystać, że niech Pan Bóg broni... Takie „bawić się", pani Maryśko, to jest zupełnie to samo, co mała szara skaza na szkle... Mała kreska, cieńsza, niż pajęczyna, cień pajęczyny... Pokazywałem to pani kiedyś na tym kielichu purpurowym... Popielate włókienko cienia... A w życiu kobiety, — największe nieszczęścia idą z tego...

Słuchając, patrzyła na Smolarską. Przyszło Maryśce do głowy, że możeby się do niej udać... Tego rodzaju kobiety napewno znają jakieś sposoby... Inaczej pełnoby miały dzieci na każdym kroku... Nauka za naukę: — Ja ciebie czytać, ty mnie...

Postanowiła się przesiąść, mimo błagalnych spojrzeń Adolfa. Trudno jej było pomyśleć w białym pokoście tego „Grandu", gdzie zatrzymują się hrabiowie i kiedyś sam Cyganiewicz zajechał, — że niedawno pragnęła, by się nad nią Adolf znęcał... Że całowała go po rękach...

W granatowym mundurku gimnazjalnym, przy wojskowym uniformie kolegów, wobec ich krzykliwej rozrzutności, taki się wydawał nikły i żałosny... Tylko ładny, bardzo ładny.

I pomyśleć, że ten chłopaczyna, jest już może ojcem...

Postanowiła przez cały wieczór nie popatrzeć w jego stronę. Koniec stołu, gdzie siedziała Nastusia, przyjął Maryśkę entuzjastycznie. Oficerowie jęli rozdzielać, znacznie już zaawansowane, hołdy między obie panie.

— Na złość cywilom,—krzyczał blondyn, były towarzysz Zatorskiego.—Cywile dość mają czasu... Teraz my! A cywile niech grają w szachy „przez ten czas".

Maryśka postanowiła się przezwyciężyć...

Zaczęła rozmowę z Nastką. Nie wiedząc jak nawiązać, palona spojrzeniami Adolfa, któremu uszy czerwieniły się ze

zdenerwowania, jęła pytać o warunki w pensjonacie,—„u pani, pani Naściu“.

— A czy pani szuka mieszkania?

Nagle obie umilkły... Maryśka zbladła, jak ściana, a Nastka wcześniej odzyskawszy równowagę, zaczęła się śmiać...

Z głównych drzwi wchodzili godnie Ciąglewicz, w czarnym żakiecie, z twarzą jak zachód słońca płonącą nad żałobnym krawatem i generał, ów były pułkownik, ów przyjaciel „wuja“ Nastki, zmarłego na Podgórzu.

— Z czego się pani śmieje? — pytała Maryśka, dźwigając poprzez układ uprzejmego zapytania, ciężar kłopotliwego przestrachu...

— Z radości, — odpowiedziała Nastusia, — z radości, że może pani u nas zamieszka... Razem z synkiem też można...

Jęła szczegółowo opowiadać o pensjonacie, bez cienia chciwości, przedmiotowo, przyzwoicie, jakby o cudzym, a nie własnym.

Oczywiście były to ceny za duże dla Maryśki. Za duże,— tembardziej, że teraz nie mogła się w nich połapać... Ciągnęło ją coś, by koniecznie patrzeć na Smolarskiego, czuła, że mimo złotych świateł knajpy, rozściela się wokół jego. trójkątnej głowy martwa, głucha cisza, w której twarz Smolarskiego trwa, szara i nieżywa, jak w topieli.

Nareszcie przeliczyła to sobie Maryśka, — nie, mowy, niema o takiem płaceniu. Ale właśnie, dla dobra tonu stwierdziła, że to bardzo tanio, w dzisiejszych czasach za bezcen...

Wszedłszy już na ów ton lekkiej przyjaźni i porozumienia, nie wiedziały obie panie, jak z niego zejść. Nie patrząc tedy w stronę Ciąglewicza i generała, prawiły sobie komplementa i nawet umówiły się co do wizyty.

Maryśka czuła się lekko, jak nigdy. Oto tak, przezwycięża się ból... Oto tak „idzie się“ naprzód, mimo błagających oczu jakiegoś Adolfa i ceglastych rumieńców jakiegoś Smolarskiego...

Gdy już wstawali, zbliżył się Smolarski do Maryśki i zaczął mówić coś, długo, o jakichś psychicznych szrankach... Nie zważała na to, widząc równocześnie, jak Adolf od jednego z oficerów pożycza pieniądze i płaci, — za siebie i za nią.

Zresztą cóż dużo mówić, — kończył Smolarski, — pani mnie rozumie...

Oczy trzymał utkwione w zmiętej serwecie, leżącej na podłodze.

— Pani mnie rozumie... Trzeba przyjaciół podtrzymywać... Ja wiem, że żona moja... Słowem, za tę serdeczną rozmowę... Słowem dziękuję pani za żonę.

Maryśka zdziwiła się niepomiernie.

Wielkie znużenie legło na twarzy Smolarskiego.

Już przy samym wyjściu, w drzwiach, nie mogła wytrzymać Maryśka i odwróciła się, by popatrzeć na Ciąglewicza.

Siedzial chmurny i tęskny, z ręką zatopioną w długich kasztanowatych włosach. Trzymał ją na nich, jakby na strunach jakiejś harfy, myślącą i omdlałą... Generał obok... Generał niósł złotym galonem rękawa, ku czarnej głębi otwartych ust, kieliszek czerwonego wina. Marszczył czoło od srogiego namysłu, a oczy utkwił w dal, jakby tym winem czerwonym spełniał jakąś wielką ofiarę.

Bóg wojny, — przelecialo Maryśce przez myśl dawne wspomnienie.

— Maa? — spytał Adolf, gdy zostali sami. — Chcesz się wyprowadzać od nas?

Nie miała zupełnie tego zamiaru, ale nie odpowiedziała.

W milczeniu doszli do domu. Wszedł za nią do jej pokoju.

— Maa?—powtórzył,—chcesz się wyprowadzić od nas?... Dlaczego mówiłaś z Nastką o pensjonacie? O cenach?

— Nadzieja, że Nastka może coś poradzi „na płod“ napełniła Maryśkę przekorą i poczuciem niezmiernej wyższości wobec Adolfa.

— Nie wiem,—odrzekła,—a gdyby?... To co?...

Stanąwszy przy oknie, słuchał jak się Maryśka rozbiera. Chłonął chciwie malutki głos odpinanych zatrzasków, szum spadających sukien i oschły chrzęst zdejmowanego gorsetu.

Okno wychodziło na klasztor Jezuitów, przestronny ogród, na ogromne drzewa i kościste zręby kościoła. W stalowym błękicie letniej nocy rysowało się wszystko tak wyraźnie...

Adolf miał wrażenie, że ostatni raz patrzy na ten zakątek, który tylekroć oglądali wspólnie, po wielkim wyczerpaniu słodkich spotkań...

Oto kamienne schody konwiktu, na których, — jak mawiał, — chciałby popełnić samobójstwo w cichą letnią noc...

Maryśka szybko rozsznurowywała sobie trzewiki.

Schody te rysowały się teraz bladymi płaszczyznami, wstępując harmonijnie ku czarnym drzwiom...

Oto drzewa, ich korony wysokie, dyszące wonią i spokojem,—a z pomiędzy wielkich gałęzi, ucieka perłowy cent księżyca... Oto szara wełna trawników, a oto w ciemnym boku kościoła,—gwiazda!...

— Lampa naszej miłości!...

Była to latarnia, która paliła się co noc we wgłębieniu muru, a gasła koło piątej rano, to jest wtedy, kiedy i ich szczęście do cna już wyczerpane ze wszystkich sił, ustawało,—snu tylko jeszcze pragnąc...

Ileż razy znużeni, upici miodem pocałunków, odurzeni wonią własnych oddechów, patrzyli jak gaśnie to światełko!...

I do czegoż go nie przyrównywali?... Do serca, do gwiazdy, do jakiejś twarzy złotej, a gasnącej,—którą każdy w sobie nosi, kto kocha...

Maryśka oświadczyła ponownie, że jest zmęczona i idzie spać... Że się źle czuje i żeby jej dał spokój...

Och, — da jej spokój, oczywiście, że da... Już wiedział, co zrobi, nim odejdzie... Coś niepotrzebnego, dla niej samej, coś co jej złoży w ofierze, tak sobie, dla fantazji... Nie zda matury...

— Nie zdałem matury, bo nic nie mogę robić, gdy się odwracasz odemnie... O tak, to jej powie, tego ostatniego popołudnia...

Zbliżył się na palcach do łóżka... Maryśka udała, że śpi... Wypracowywała właśnie w tej chwili plan, który już następnego dnia wprowadziła w życie...

Nie poszła do biura, udała chorą, a gdy Karowska zjawiła się u niej ze śniadaniem, — oświadczyła jej Maryśka, że ma ogromne zmartwienie... Ogromne... Przyjaciółka jej otruła się i to w jaki głupi sposób,—chininą!...

— Właśnie pisze mi matka... Okropność... Bo matka miała przyjechać, starać się o pożyczkę jakąś i właśnie z tego powodu, na razie nie może... Mała, górska mieścina, więc wyobraź pani sobie, jaki taki wypadek tam, ludzi wstrząsa... I coto tam znaczy...

Chininą nie mogła się otruć,—zaprzeczyła Karowska.

— Otóż to,—podchwyciła z rozgoryczeniem Maryśka,—

dlaczego chininą?! Małe miasto, samotność, te czasy dzisiejsze, ten już zupełny brak moralności... Podobno nawinął się jakiś oficer... Czy może tylko jednoroczniak...

Nie mogła się Maryśka dość nadziwić tak płaskim gustom...

— Oficer, czy jednoroczniak, więc niby inteligient, ale nawet nie z „linji“, tylko skądś z trenu... Jak to teraz... Porządni ludzie, poważni, giną na froncie, — a w kraju, cóż zostaje?...

Karowska słuchała z wielkiem zaciekawieniem...

— Zawrócił dziewczynie głowę i przyszły skutki tego... Jakto w takim małym mieście,—ktoś jej poradził,—że chinina „na to“ pomoże, widać... Czy co?...

Karowska zastanowiła się głęboko... Oparłszy twarz na rękach, szerokimi, jak guziki do płaszczy dziecinnych, oczyma, zapatrzyła się w okno...

— Pani skończyła felczerskie kursy w Moskwie,—przerwała milczenie Maryśka,—czy możliwa jest rzecz, żeby „na to” zalecano chininę?... Przecież to środek na febrę, czy na malarję,—no nie?... Ale cóż, takie małe miasto...

— Małe miasto nic do tego nie ma,—odpowiedziała Karowska.—Czy w małem mieście, czy w dużem, wszędzie ta sama apteka... Owszem można i chininę...—Poprawiła się na krześle, zgarniając razem swe tłuste piersi...

Jej ciężkie ciało okrzepło w bezruchu, a oczy zapatrzyły się martwo w pogodne, cudne niebo...

Maryśka zniecierpliwiła się. I nagle, choć serce poczęło się w niej tłuc ze zdwojoną szybkością i choć fala gorącego powietrza podpłynęła do piersi,—spytała śpiesznie:— No dobrze, ale to przecież chyba muszą powiedzieć w takiej aptece, ile można wziąć, a jaka dawka grozi śmiercią?...

Karowska, zwróciwszy nagle nieruchome oczy od okna, obiegła niemi całą postać Maryśki...

Nożami to przez nią przeleciało...

— Świństwa to wszystko są! — Karowska nachyliła się serdecznie nad Maryśką. I wsunąwszy rękę pod kołdrę klepiąc po biodrach, powtórzyła, z oczami w oczach:—To wszystko świństwa!... Co to taką młodą łanię, jak pani, obchodzić może?!... To są świństwa...

Maryśce straszno się zrobiło... Wzrok Karowskiej pełny i ostry, wbity twardo w źrenice, napełnił ją niesamowitą obawą...

O nie, nie,—już nigdy więcej nie będzie o tem mówić z Karowską! Cały dzień prześladowało Maryśkę to dziwne rozwarte spojrzenie... Wolałaby już nie wiem komu się zwierzyć, Smolarskiej, Zatorskiej, Janinie, nawet Ramkiemu...

Poszła z wizytą do Smolarskich... Ależ zmieniło się w tym pensjonacie nie do poznania...

Na bramie wspaniały napis — „Pensjonat Przystań pod Matką Boską". Na drzwiach pierwszego piętra święty obrazek Rodzicielki w srebrnych ramach... Dwie służące na czarno, w białych fartuchach. Na drzwiach bocznego salonu czerwonemi literami przez glansowaną tekturę wypisane „Zarząd"—i godziny przyjęć...

Eleganckie wprowadzenie,—służba co krok. Co krok— „do usług jaśnie pani" i „wielmożna pani" (to o Nastce) zaraz pozwoli...

Aż nareszcie w szumach kanausu, słychać już wielmożną panią, płynącą przez korytarz.

Maryśka w nadmorskiem otoczeniu krzeseł i foteli, plecionych z jakiejś pstrej trzciny pod fjołkami Wyczółkowskiego, naprzeciw grającego na harmonijce „Legjonisty" Gottlieba, — uszom własnym nie chciała wierzyć... Oto słyszała z korytarza głos Nastusi, ciurlikający z litewska, kresowo,— widać dla większego szyku.

Podały sobie ręce, jak siostry, czy też, jak jakieś damy, które się spotykają po długiei, rozkosznej podróży, tylko, że jedna uboga, na szaro, druga (Nastka) w czarnej, jedwabnej sukni i w pantofelkach z czerwonym brzeżkiem.

Zwiedziły razem „budę", całe pierwsze piętro i drugie. Wszędzie lśniło od metalowych kulek, gzymsików i ramek.

— Prawda, że pierwszorzędnie,—chwaliła się Nastusia, to syrpiąc wytwornie koniuszkami warg, to przestawiając jeszcze mimochodem jakiś drobiazg.

— Publiczności coprawda,—mówiła nie mam pierwszorzędnej, ale to już tylko przez męża... Ciągle mi tu zwozi z Królestwa, tych polityków... Płacić, płacą i futra mają nie złe, ale to nie to, co trzeba... „Mie" trzeba jakiegoś prałata, profesorów, trochę hrabiów, — to wtedy wiem, żem wypłynęła na czyste... A ci politycy? Tyle że płaszcze, — jak to w przedpokoju wisi,—to jeszcze niezgorzej robi...

Spoczęły w prywatnem mieszkaniu Smolarskich, w dwóch pokojach. W salonowej jadalni była nadzwyczajna lampa. Miała ośm różowych kloszów. Nastusia, twierdząc, że pcha

się tu tę biedę, jak się da, — odkręciła światło. Od sufitu aż po nad stół rozbłysły lampki, podobne do ogromnych pomarańczy.

Maryśka pragnęła się jeszcze dowiedzieć, gdzie jest pracownia Smolarskiego.

W sypialni, przy oknie..

— Za co męża mego kocham (Nastka mówiła o nim tylko „per mąż“) — to za to, że w tych rzeczach, co się „tęczą“ jego pracy, — nic zmienić nie pozwoli... Kto w życiu czem był, tem ma zostać i niema się co wstydzić, — dodała pobłażliwie.

Istotnie w sypialni, przy oknie wszystko stało tak, jakby mogło stać w kawalerskich pokojach, gdzieś na ulicy Sobieskiego... Drewniany, prosty stół, zwykła półka, gromada szarych książek i zakurzonych notesów.

— Tego mu ruszyć nie wolno! Inaczej w całym świecie nauczycielskim niktby niczego nie doszedł! Bo mąż, jak pani wie, „wciągle“ jest sekretarzem tego ich związku. Nawet dużo szkody mam przez to. Bo to wciąż nazwisko wycierają po gazetach!... Wciągle z tym głodem, strajkiem! A to do mojej pracy wcale nie pasuje!... Ale chcesz, — to i to ci wytrzymam... — śmiała się Smolarska, klepiąc książki po zakurzonych grzbietach... — Widzi pani, jak to mężczyzna! Sam tu nigdy porządku nie zrobi, a „tchnąć“ nie wolno!

Mkryśka wyszła z tamtąd niepewna, niespokojna... Następnego dnia była u Zatorskiej.

Dopiero w pokoiku biednej wdowy, przy stuku maszyny do pisania spostrzegła Maryśka, że nie wie, po co tu przyszła?...

Rozpoczęły rozmowę o dzieciach, o wychowaniu. Zatorska miała tak dużo do zarzucenia Felusiowi, a obok, chłopcy jej wrzeszczeli, jakby ich kto ze skóry obdzierał!...

Tu też niepodobna było mówić o „nieszczęściu“, na które musiała Maryśka dostać skądś lekarstwo...

I tak wszędzie... Maryską miotał niepokój, a nigdzie nie znajdowała uspokojenia... Nawet Janina, zamiast wysluchać o co chodzi, wyłożyła własne udręki. I nie mogła tego wszystkiego gdzieindziej wypowiedzieć, jak tylko w parku Jordadana!... W tym kółku ze strzyżonego żywopłotu, gdzie w nyżach zieleni, podobni do białych podłużnych karmelków, wetkniętych w połyskliwy wianek kandyzowanej cykaty, stoją wielcy polscy ludzie piaskowi...

Nikt chyba nie był w trudniejszem położeniu od Janiny!

— Mam przeciw sobie oficjalną kochankę i prawną żonę... Tak go niby obie kochają, tego Kałuckiego, a odmawiają mu, pomyśl, człowiekowi, któremu z pięknego głosu pozostał w gardle szelest zmiętego afisza,—odmawiają mu odrobiny, ubogiego zresztą całkiem, szczęścia!... Bo nie daję mu przecież tak wiele!... Nikomu go zasadniczo nie zabieram... Nie kocham go nawet właściwie...

Zwróciła się raptownie ku Maryśce—: Kochać mężczyzny nie można!... Bo w danym razie,—każe ci wypruć z siebie wszystko, żyć tylko jego życiem... To już ja wolę sama przynieść mu ten piment,—niepokój...

Zapatrzyła się przed siebie...

Trawniki płynęły ku granicom parku, pełne słońca i blasku, złote jak miód. Z przepaści gęstego błękitu aż tu, aż na ławki, zsuwała się brzęcząca latanina much i komarów. Z za drzew widać było biały gościniec i szarą ciżbę przechodniów, ciągnącą się, gęstym, nierównym płotem.

— A ja myślałam, że po Smolarskim, który wiesz...

— Wiem,—Smolarski ożenił się, jest podobno szczęśliwy...—Janinie zabrakło oddechu... — To mi już zupełnie, do reszty odebrało wiarę we własne siły... Wierz mi, że wobec tego, czuję się uprawnioną do wszystkiego...

— A ja myślałam,— podchwyciła Maryśka,—że się zakręcisz koło doktora...—O doktorze chciała była mówić odrazu... Przecie to ostatnia deska ratunku...

Janina wzruszyła ramionami—: Niemożliwe... Pomyśl, ile się kobiet dziennie przewala przez ręce takiego doktora... Jeszcze teraz w czasie wojny... Akuszer... Specjalista od chorób kobiecych... Ty wiesz, jak dziś żyją kobiety?... Na to, aby się z nim zejść, trzeba w sobie nie mieć nic z prostytutki... Nic a nic...

Maryśka odsunęła się niechętnie.

Janina brawowała dalej—: No tak, tak... My wszystkie, w tych czasach zostałyśmy jakoś złamane... Każda z nas ma teraz do opowiedzenia jakąś „dobią wiarę zawiedzioną“ i jakieś „porzucenie gwałtowne“... Każda z nas opłakuje w głębi serca,—jak to jest podobno we zwyczaju u ulicznic, —tego „pierwszego jenerała”. Zawsze u prostytutek pierwszym jest jenerał... Tego pierwszego, który uwiódł i rzucił... Cóż ty myślisz?!? Taki doktór!! Owszem, żebym była ośmna-

stoletnią jałóweczką ze dworu, świeżą, głupią, na serwatce chowaną...

Maryśka, doszła do przekonania, że chyba nie pozostaje jej nic innego, tylko iść do doktora...

W wielkiem zdenerwowaniu tych gorzkich postanowień zbliżała się do domu. To, co zoczyła, otwarłszy furtkę, wydało się jej nie rzeczywistością, a jakby przypowieścią, minioną dawno sielanką, jakimś haftem wyrocznym, jak te gobelinowe sceny, co wiszą w katedrze na Wawelu...

Karowski, podobny do żebraka, w starej aresztanckiej kurcie plewił grzędę, raczkując wolno, wzdłuż zielonych, niby w marmurze rzeźbionych kielichów rozłożystej kapusty... Naprzeciw z ochronki dolatywał śpiew dzieci i mięszał się ze śmiechem Felusia... Feluś w granatowem ubranku stał na schodach oficyny i powodowany rękami Adolfa strzelał z trzcinowego łuku do białego foksa, który biegał po podwórku.

Maryśka zatrzymała się przy furtce z ogromnym żalem... Pragnęłaby, żeby teraz wszystko w słońcu więdło, umierało z posuchy, jak ona,—tymczasem wszystko się cieszy...

Głowy chłopców, pochylone nad łukiem, jedna przy drugiej, były śliczne—: Dzień i noc... Złote włosy Felka i czarna czupryna Adolfa... Z profilu, — całkiem, jak na medalach pamiątkowych, wybitych na cześć zapomnianego już całkiem uroczystego wjazdu...

Stary dziad pełznie wzdłuż grzędy, z daleka śpiewa chór dzieci, na moście pociąg szybuje w słońcu, ci znów, niby amory puszczają strzałę za strzałą... Zaś między sztachetami, przewija się śnieżny pies...

Gorzkie pobłażanie ogarnęło Maryśkę. Zachciało się jej też być tutaj z nimi, też strzelać i śmiać się,—z czarnym lękiem w sercu... Ominąwszy więc przelatujące strzały, podeszła wolno do chłopców.

— Strzelaj, Felusiu sam, pokaż mamusi, jak potrafisz,— Adolf, podając mu z kołczanu nowe strzały, zwrócił się do Maryśki—: Ach, Ma, rodzice jeszcze nic nie wiedzą, — śmiał się zalotnie, — cóż można zrobić z takim chłopcem jak ja, bez matury!? Najlepiej oddać go do wojska... Wtedy może i ze mnie będą ludzie?!...

Już są z ciebie ludzie,—pomyślała niechętnie,—zdaje się

niestety, że już są... Mój Boże, teraz ten znów z tą maturą... Wybrał się z nowym prezentem na ołtarz miłości...

Pogładkała Adolfa lekko po twarzy—: Dziecko,—dziecko...—I poszła na górę, aby, póki jeszcze niema Karowskiej, wziąć swą za gorącą kąpiel... Ile tylko można wytrzymać... A potem goreczyca... Czy też lepiej szafran pić?...

Parzyła się w gorącej wannie, nieomal do omdlenia. Gdyby mogła, rozdarłaby się, byle tylko wpuścić tam tę wodę i sparzyć nią „to“, sparzyć, sparzyć...

Adolf przyszedł, jak zwykle, koło jedenastej, gdy się już wszyscy do snu pokładli... Przyszedł pożegnać się... Nie mówił tego wyraźnie, ale czuła to z jego osobliwie natchnionego sposobu bycia...

Leżała w łóżku, zwrócona ku oknu. Właśnie myślała o doktorze,—trzeba będzie iść, powiedzieć,—taki wstyd... Powiedzieć jakiemuś obcemu mężczyźnie taką rzecz?...

Adolf uklęknął przy łóżku, głowę skłonił na jej kolanach...

— „Ma“?... Ja ci ciążyłem bardzo ostatnimi czasy?... Nudziłem cię... Prawda?...

Zamiast odpowiedzi położyła mu rękę na głowie.

— Ma?... Czy myślisz, że nie potrafiłbym zdać matury, gdybym chciał?... Czy myślisz, że tych parę przedmiotów?...

Wsunął rękę pod kołdrę, głaszcząc ją nieśmiało po nogach...

— I cóż jeszcze, cóż jeszcze,—spytała cierpko, wpatrzona w niebieską noc i czarne korony drzew, spiętrzone wysoko, nad dachem kościoła.

— Ma—a... Nie zdałem matury, żeby cię uwolnić od siebie... I żeby siebie uwolnić... Ja wiem, że ty tylko za to słowo honoru, które dałem ci „wtedy“, jesteś ze mną... Za słowo honoru, że i tak pójdę... Ale nie może ci się znudzić twój ciura... Nie może...

Odsłonił ją zupełnie i klęcząc, patrzył na jej nagą postać, zmrużonymi ze szczęścia oczami.

Oparła głowę na ręku, wypoczywając w tym bezwstydzie i ubóstwieniu od okropnych swych myśli...

— Czemu nic nie mówisz?—pytał.

Wzruszyła ramionami... Cóż miała mówić i czemże były te jego deklamacje, wobec przejść, które ją czekały niebawem?...

— O tak,—jestem ci wdzięczny... Jestem ci wdzięczny

za to,—mówił przychwytując wargami gładką skórę jej bioder, — za to, że zrobiłaś ze mnie człowieka... Dzięki tobie pójdę nareszcie właściwą drogą... Nie?...

Potwierdziła skinieniem głowy.

— Tylko żal mi strasznie, że już teraz my razem, nigdy... Ale jeszcze ostatni raz...—Począł ją przyciągać, łowić w uściski, i całować całe ciało...

Wreszcie rzucił się na nią i obejmując ze wszystkiej mocy, szukał jej ust. Usuwała je obojętnie. Nie mogąc tego pojąć, podniósł ją ku sobie, tak, że twarz jej znalazła się w promieniu lampy elektrycznej, świecącej z toru.

— Dlaczego nie chcesz,—pytał,—dlaczego nie chcesz?!

Twarz Maryśki, powleczona poświatą, miała teraz urok zjawy...

— Nie rozumiesz mnie „Ma—a"... Ach, — całkiem mnie nie rozumiesz...

Wysunęła mu się z rąk. — A czy ty mnie rozumiesz Adolfie, czy myślisz o mnie poważnie?... — Skulona usiadła na poduszkach, Adolf leżał poodal, nisko, opierając czoło o jej uda.

— Mój kochany, wielkie historje, wielkie subtelności, matury,—wojenka! — Zaśmiała się ironicznie.—Może mi jeszcze raz opowiesz wszystko o zbiorach, o chramie, o motylach, o Piłsudskim... A czy ci kiedy przychodzi serjo na myśl, co się ze mną dzieje?... Ogromna sztuka — pójdziesz sobie do wojska! A tu co,—kto będzie wychowywał twoje dziecko?!?

— Jakie, gdzie?!—krzyknął Adolf.

Wzięła go za rękę i położyła ją sobie ostrożnie na brzuchu...

— Gdzie?... Tu ono jest, mój kochany... Już jest tu, jest...

— Dlaczego, dlaczego, — miotał się bezsilnie, — skąd, skąd?!? To pomyłka!!

— Ładna pomyłka...—Maryśka obrażona śmiertelnie, zamilkła...

— Więc co będzie?... — Przytulił się do niej całym sobą,—co będzie, powiedz „Ma"?...

Zaczął ją prosić, pieścić, jakby się temi pieszczotami dało to odrobić i cofnąć...—Co można na to poradzić, Ma—a?...

Patrzyła z bólem i obrzydzeniem na ten strach i niepokój...

Adolf dotykał bojaźliwie całego jej ciała, jakby w poszukiwaniu tej fatalnej rzeczy...

Wszystkie jego ruchy wydały się Maryśce w tej chwili nieskończenie niestosowne,—dziecinne...

— Widzisz, mój kochany,—rzekła cicho i dobitnie,—nie na wszystko umiesz zaradzić...—I z nagłym gniewem chwytając go za ramiona—: Co?!? Tego niema w podręczniku dla skautów,—prawda?!?

Począł, łasząc się do niej, tłomaczyć, że to „wogóle" co innego... Wszystko inneby zrozumiał, — niema rzeczy, ani zbrodni, którejby jej nie przebaczył, ale cóż można „na to" poradzić?... To się tyczy kobiety, nie mężczyzny,—to kobieta powinna chyba wiedzieć...

— Oddałem ci przecież całe moje życie...

— Ale mego przyjąć się boisz,—żachnęła się Maryśka, —ale mego boisz się przyjąć ode mnie... Cóż cię to obchodziło, że od tylu tygodni chodziłam z tą wiadomością?! I z tym ciężarem?... Cóż cię obchodziło, co się wogóle we mnie dzieje? Tak postępuje mężczyzna?.

Adolf przylgnął do niej, usta na ustach, pierś o pierś,— co się w ich języku nazywało muszlą... I prosił pokutnie, by powiedziała, co ją jeszcze dręczy, co dręczyło przez ten cały czas...

— Wszystko,—wszystko powiedz, — zobaczysz, że jestem mężczyzną... Zobaczysz, że wszystko zrozumiem... Tak, to nikczemność, brałem od ciebie tylko szczęście,—a ty tymczasem... Więc tyle smutnych myśli chodziło po tej głowie... Tyle tajemnic...

Maryśka, dając się pieścić, zarzuciwszy sobie niedbale ręce pod głowę, jęła mu opowiadać o sobie wszystko,—jakby mówiła do samej siebie, obojętna na wrażenie, jakie to sprawi...

— Bo widzisz Adolfie, to nie sztuka kochać laleczkę gładką i różową, ale człowieka!... Kobieta też jest człowiekiem...

Mówiła wszystko o Zdzichu, o Ciąglewiczu, wszystko, jaknajdokładniej... O litości swej dla Ciąglewicza, której tak haniebnie nadużył... O opiece nad Ciąglewiczową, o tej opiece, tak bezecnie przez „niego" wykorzystanej... Wszystko... Nawet o hotelu francuskim i winogronach i całej tej scenie, którą w duszy nazywała „à la Esterhazy"... Wszystko... Nawet o Smolarskim...

W miarę tego, jak mówiła, ogarniały ją z powrotem

wspomnienia, biegnące ku samemu źródłu wszystkich nieporozumień, zawodów i pomyłek... Aż ku tym chwilom, gdy żyli ze Zdzichem, nim odjechał...

— Trzeba być takim, — rzekła cicho,—jak Zdzich, gdy się kocha... Trzeba być tak dobrym, tak chciwym w tej miłości...

Piekący war tych wspomnień przesycił teraz wszystkie jej myśli... Gorzkie okrucieństwo prawdy trawiło Maryśkę coraz gwałtowniejszem pożądaniem... Żaląc się Adolfowi o to wszystko, czego z nim nie zaznała, za czem tęskniła jej dusza i ciało od lat już całych, — z tryumfującym bezwstydem jęła go obdarzać najśmielszemi pieszczotami... I żądać ich od niego... Żądać takich, jakie sobie dają ludzie, gdy nic ich już nie dzieli, gdy oboje są jedną strugą płynącą, — i już wszystko jedno, co ta fala ze sobą niesie...

— Jeśli potrafisz zrozumieć, że nie o to chodzi, co człowiek robił, ale o to, co czuł... Jeśli potrafisz zrozumieć... Wtedy będziesz mężczyzną jedynym, słodkim...

Rzuciła się naprzód, aby ją łowił, ścigał, aby ją dognał pocałunkiem rozpłomienionych ust, — czekającą radośnie na poduszce...

Lecz nie ścigały ją ramiona, ani usta...

Pochyliła się ku pościeli... Leżał bezwładnie, zimny, jak trup... Tylko zęby mu szczękały leciutko, co się mięszało w ciszy nocnej z drżącym dźwiękiem elektrycznych dzwonków, od strony stacji.

Maryśka dotknęła go... Uchylił się... I stoczył się z łóżka bezwładnie, ciężko, jak mokry łachman...

Nic nie mówiąc, jął się pośpiesznie ubierać...

Wyskoczyła za nim z pościeli.—Co ci jest, Aa?... Co ci jest?...

Tchnął głośno syczącym, zimnym oddechem, zapinał się pośpiesznie... Na wszystkie guziki, na wszystkie haftki... Przerażonymi oczyma patrzył na jej nagą postać, rysującą się na tle świtu połyskiem palonej gliny...

— Adolfie!!!

— My już,—dzwonił zębami, — my już nie mamy sobie nic do powiedzenia... Nic do powiedzenia... Nic do powiedzenia...—Otworzywszy drzwi, zawahał się...

Czekała przy oknie, przekonana, że zawróci... Machnął rękami i wyszedł.

Jakże wyraźnie słyszała w tej chwili ciszę poranka, sze-

lest rosy na liściach drzew, żelastwo jakieś, przesuwane gdzieś, daleko... Chyba na stacji, na Podgórzu... I krok samotnego przechodnia pod mostem...

Ach,—wróci napewno... Zresztą nie zależało jej na tem tak bardzo... Okrywszy się szalem, usiadła przy oknie... Niechże, gdy wróci ma wrażenie, że czekała tu na niego, czy marzyła, tak, jak ją zostawił, opuszczona i naga... Słyszała, że z przedpokoju wszedł do jadalni... Kroki... Chrzęst łóżka polowego, spowodowany upadkiem...

A więc wciąż jeszcze rozpacza... Jakież to marnowanie czasu, taka samotna rozpacz... Tymczasem mgła nasyca się różowością, już linje wież występują z opalowych rozłogów powietrza...

Więc zazdrość i rozpacz... Więc o to idzie?...—Maryśka otuliła się szalem, przysposabiając się do dłuższego czekania... Z pokoju Adolfa dochodził cichy jęk... Cichy i kołujący upartym nawrotem boleści młodej, naiwnej... Wzruszyła niecierpliwie ramionami, niespokojna tylko o to, by starych nie pobudził...

Wszyscy, wszyscy,—myślała z niesmakiem,—takie same sobki...

Drzewa dalekich plant znaczyły się już przez mgłę szarym polotnym zarysem, lampa, ukryta w załomie kościoła, gasła,—światło jej zdawało się bić żółtymi skrzydłami, jak ćma... Już dzwonił wśród liści przebudzony świegot ptaków...

Im więcej światła drgało w powietrzu, im wyraźniej rysowały się kształty domów i drzew i miejsc,—tem głośniej płynął uparty jęk Adolfa...

Nagle żachnęła się Maryśka całą sobą... Usłyszała najwyraźniej, że ktoś wszedł tam... Po kroku poznała natychmiast starą Karowską.

Szeptali coś do siebie półgłosem,—Maryśka przylgnęła uchem do drzwi... Słów nie dało się rozróżnić, tylko bieg i natężenie obu głosów... Urywane, strzępiące się skargi Adolfa i leniwy, łagodny tok mowy Karowskiej...

Po chwili, rzekłbyś z przechylonej gwałtownie karafki woda,—wybuchł, głośny płacz z wezbranej piersi Adolfa...

Maryśka na palcach odszedłszy ode drzwi, wróciła do łóżka...

No,—teraz sobie ulżył,—powiedział z pewnością wszystko!...

Schowała się pod kołdrę, zakryła sobie nią twarz, aby nie słyszeć... Wstręt nią wstrząsał... Doktór, doktór, — jedyna rada...

Układała sobie to zdanie mądre, chytre, oparte na tem, co kiedyś mówili z nim, z doktorem, we dwoje: „Czy pan doktór przypomina sobie, co mi powiedział kiedyś na początku wojny, gdyśmy się spotkali w kawiarni"?...

Powtarzała to zdanie, by się go nauczyć na pamięć... „Co mi powiedział na początku wojny, w kawiarni"... Truddno było chyba sprytniej zacząć tę rozmowę... Ale, jak ją skończyć?...

Jeszcze raz wysunęła głowę z pod kołdry, nie pamiętając już zgoła, czy to na jawie widzi, czy śni!: Różowe promienie słońca płynęły z czystego nieba, a w pośród nich, jak źródło, bił wciąż głośny, serdeczny płacz Adolfa...

Obudziła się późno,—ktoś wszedł... To Karowska!!.

Maryśka chciała udać, że śpi, — ale już się nie dało... Usiadła więc na łóżku. Karowska kroczyła wolno przez pokój... Posuwistym, niewstrzymanym krokiem wieży oblężniczej... Jej ciemne oczy i duże dziurki od nosa zdawał się rozszerzać dostojny gniew... Usta zwierały się nieruchomo. Nic nie mówiąc, postawiła na nocnym stoliku torebkę z gorczycą, przyniesioną ostentacyjnie na japońskim talerzyku...

Twarz Maryśki oblały rumieńce... Wzięła do rąk talerzyk... Wymalowane były na nim ibisy, w jakichś powykręcanych pozach... I dopiero gdy Karowska była już z powrotem przy drzwiach,—rzekła tak spokojnie, że aż ją ździwił dźwięk własnego głosu—: Może pani wywiesić kartę na mój pokój... Zapłacę do pierwszego, ale w tych dniach już się wyprowadzam...

Karowska, po krótkiem wahaniu, zbliżyła się znów do łóżka... Chwilę stała bez ruchu nad Maryśką, a potem nachyliwszy się krzyknęła—: Tfy, tfy, tfy!!!

Teraz dopiero tak jasno przedstawiło się wszystko Maryśce: Te różne rozmowy i ów fartuch wtedy, w lustrze... Wyskoczywszy z łóżka, schwyciła Karowską za rękę—: Tylko bez tego, moja pani! Boś pani sama ułatwiała!!...

Karowska żegnała się znakiem krzyża tak nieszczerze, że ostatnie wątpliwości Maryśki rozwiały się...

— A pani wie, moja stara pani, jak się to nazywa ułatwiać tak?! Stare stręczyciele!! Stręczyciele!—krzyknęła z całych sił,—nie mogąc już wytrzymać.

Karowska, zgarbiwszy plecy, zasłaniając się, wyszła.

Omal, że się niedobrze nie zrobiło Maryśce... Tylko, że mimowoli spojrzała do lustra. W długiej koszuli nocnej, z podkrążonymi oczyma, zgrabna i biedna, czyż nie była podobna do madame Butterfly?...

Postanowiła ubrać się starannie i iść na miasto. Do Smolarskich, zamówić pokój, Ramkie niech pomoże przy rzeczach i do doktora...

Zostawiwszy Felka u Zatorskiej, poszła do konserwatorjum, umówić się z Ramkiem. Koniecznie potrzebowała jakiegoś towarzystwa... Ramkie może jeszcze najmniej ją drażnił... Sprawiało jej bolesną, okrutną przyjemność, że to właśnie on, ten śmieszny, rudy żydek będzie towarzyszyć, być może ostatnim już dniom jej życia...

Nakłamała mu całą furę dziwnych jakichś głupstw w korytarzu konserwatorjum, gdzie stali w półcieniu, Ramkie ze skrzypcami pod pachą, niby z wędzonym tułowiem suszonego, jakiegoś płaza.

— Wiec kiedy, profesorze, kiedy, gdzie?

Ostatecznie umówili się...

Ledwo się dostała do laboratorjum swego akuszera...

Jak zawsze siedział przy stole, powleczonym „błyszczącą śliną" nauki,—bo tak kiedyś nazwała Janina te wszystkie retorty, epruwetki i flaszki rozłożone dookoła.

Między flakonami paliły się bezgłośnie malutkie trójkąty gazowych płomyków,—jasne, przezroczyste, stałe... Od czasu do czasu, któryś z boków trójkąta nabiegał złotym blaskiem i znów gasł, przechodząc w wątek niebieski.

Doktór trzymał w ręku, długie, jakby szydło szklane, przez które przeciekała na wskroś, to ku końcowi, to w tył, karmazynowa nitka... W białym kitlu szpitalnym, nieruchomy cichy, z głową wtuloną między ramiona, podobny był do bezkształtnej masy ciasta, zakończonej wąskim szklanym lewarem, z którego sączyła się na miseczkę cieniusieńka nitka krwi...

— Zaraz kończę,—burknął,—zaraz kończę...

Patrzyła to na niego, to na jakieś budynki szpitalne, zamykające perspektywę. Ach, — coby dała za to teraz, by być oknem, które właśnie ktoś otworzył... Czy kawałkiem muru, czy zakurzoną małą akacją, przy skraju chodników,—być wszystkiem, tylko nie sobą...

Nareszcie skończył. Przywitali się. Podeszła do stołu, pytając, co to za takie ciekawe doświadczenie?...

— Nic ciekawego. — Coś się tam zastrzyknęło śwince morskiej, a teraz wypompowaliśmy jej trochę krwi.

— Śwince morskiej?! — Ucieszyła się bez powodu Maryśka. Ucieszyła się, bo jakiż to kolosalny zysk czasu...

— Niechże mi pan pokaże, doktorze, jak wygląda taka morska świnka?...

Więc będzie jej pokazywać, — potem jeszcze „wogóle o śwince"... Wielki zysk czasu...

— Mam także interes do pana, panie doktorze...

— Służę pani, ale prosiła pani, aby jej pokazać...

— Oczywiście,—najprzód świnka.

Przyniósł nieduże, drewniane pudełeczko,—bo to przecież nie była klatka! Odsunął jedną połowę bocznej ściany, tak, że świnkę widać było doskonale. Musiało być biedactwo bardzo zmęczone... Jej mały, szary, szczecinowaty tułów chwiał się niepewnie, malusie, siwe oczki w rąbkach różowej oprawy, patrzyły tak sennie!...

Jaka szczęśliwa,—pomyślała Maryśka,—już po operacji... Już po operacji...

— A czy ją to boli, panie doktorze?...

— No tak, zapewne, to musi boleć,—wzruszył ramionami,—ale cóż?...

Maryśka umilkła, patrząc, jak świnka zbliża się do kąta klatki i malusim ryjem niepewnie szturka mały pakułek, leżącego w kącie jedzenia swego... Łzy zakręciły się w oczach Maryśki.

— Okropne, okropne jest panie doktorze, że to wszystko na świecie, tak koniecznie chce żyć...

Zagryzła usta, kapiąc łzami na szklaną płytę stołu. Doktór, roześmiawszy się cierpliwie, przygarnął Miechowską do siebie i klepiąc po biodrze:—No, no, jakież to mamy czułe serce?... Lada świnka, jak to nas wzrusza?...

Maryśka rozszlochała się na dobre.—Nie o to, panie doktorze, nie o to, nie o to...

— Więc cóż takiego, pani Marjo?...

Głaskana dobrotliwie jego mocną ręką, zaczęła przez łzy, od początku, całą zadaną lekcję...

— Czy pamięta pan, panie doktorze, jak-eśmy się wtedy spotkali, na początku wojny, — w dzień odjazdu mego męża?... W kawiarni? Co to ja wtedy zbierałam... Na Polskę, czy na

armaty?... Pan mówił wówczas, że to będzie kosztować pięć miljonów trupów... I że, — łzy płynęły jej obficie jedna za drugą, — i że...

— Że co?...

— I że, co mają robić kobiety...

— No cóż mają robić? Buntować się...

— Buntować się,—i w sprawie macierzyństwa... Nawet jeszcze potem, gdyśmy wracali od Zatorskich, co to ja byłam u pana... Jak u nich świecy nawet nie było, a chłopcy spali w kuchni, pod parasolem, — obozowali tak... I Zatorska,—już chora...

— No, no, — nie wszystko pamiętam, ale być może... Zresztą nie myliłem się. Kosztuje to ludzkość o wiele więcej, niż pięć miljonów trupów...

— Otóż panie doktorze,—prosiła Maryśka, unikając jego wzroku, wpatrzona w ten mały pakułek jedzenia świnki,— panie doktorze, ja nie chcę, nie chcę być znowu matką!!!

— A któż pani każe?—Odsunął się.—Któż panią do tego zmusza?...

— To już się stało...

— Jakto stało się?! Przecież mąż pani?...—Zapóźno spostrzegłszy swą niedyskrecję,—umilkł.

— Nie mogę, panie doktorze,—głaskała go po rękawie,— nie mogę... I pocóż rodzić ludzi,—poco?...—Chciała go jakoś filozoficznie przekonać.

— No tak,—podniósł wesoło swe żółte uszy, aż ku różowej łysinie.—No tak, widzi pani, przypuśćmy, że pani nie może... Cóż z tego,—natura nie zna ludzkiego „nie mogę"... Na to nikt nic nie poradzi...

— Poradzi, panie doktorze, poradzi...

Zmarszczył się tak, że aż okulary wysoko odsunięte, spociły się od poprzecznych zmarszczek czoła.

— Pan doktór może na to poradzić...

— Nie mam prawa, nie wolno, nie wolno, dziecko moje...

— A męża zabierać wolno?!?—Rozjuszyła się Maryśka,— a męża zabierać macie prawo,—prawda?!? Macie?!!

Umilkli... Słychać było tylko chrzęst sierści świnki, ocierającej się o drewnianą klatkę i płacz Maryśki. Doktór pozakręcał kurki,—stożki niebieskiego płomienia pogasły... Odstawił talerzyk z krwią i mył ręce... Maryśka stanąwszy bliżej okna, głaskała w zamyśleniu sierść zwierzątka.

Nagle akuszer, niby zły, a przecież z serdecznem ciep-

łem w oczach, przystąpił do niej blisko: — Proszę pani, — żachnął się, — czy tu jest miejsce na takie rozmowy?! Nic nie wiem i nic nie słyszałem... Proszę przyjść do mnie wieczorem, choćby jutro, po szóstej... Ja tu wogóle, ani myśleć, ani mówić nie mogę!...

I skrzyczał ją znowu, by mu wogóle dano „święty spokój“ i co to za jakieś rozstrząsania i „skąd on do tego przychodzi“,—no „jednem słowem do widzenia!“

Niby wyrzucił ją, ale Maryśka teraz była już pewną swego...

Śmieli się tego dnia z Ramkiem, w Sukiennicach, jak dawno już nie pamiętała,—od niepamiętnych czasów... I odrazu wiele ważnych rzeczy omówili... Maryśka musiała teraz rzucić posadę...

— Bo tak się składa, profesorku...

Zapewnił ją, że kiedy tylko zechce, otrzyma tę posadę z powrotem... Nie u wdów i sierot, to w „Odbudowie Kraju“. Cała ta odbudowa, to jak dziurawy worek, jedno ziarnko więcej, jedno mniej, nic nie znaczy... Obiecał też na razie pożyczyć jej pieniędzy. Ma się rozumieć...

— Wie pani dlaczego pożyczę?... Bo pani ma przyszłość...—Pochylił nisko peruczkę nad jej ręką. — Zapach, zapach przyszłości bije od pani!...

Uśmiechnęła się melancholijnie. Obiecał również zająć się sprzedażą tych resztek... Tych ostatnich mebli...

— Bo małego mieszkanka i tak pani nie znajdzie... Trzeba brać pensjonat... Już widać takie prawo, — śmiał się pękniętą fistułką, — żebym był likwidatorem wszystkich zmian, jakie w życiu pani zachodzą... Bo zaszły, zaszły,—prawda?... Nawet, czy nie w związku z zielonymi jabłkami?...

— Z zielonymi jabłkami?... — Wiedziała o czem myślał... — Stróże zielonych jabłek sądzą, — odpowiedziała, że każdy tylko na nie dybie...

— Widzi pani,—rzekł Ramkie, przystając, — tylko człowiek, rozumiejący starość rzeczy, może być dobrym dla ludzi... Dlaczego ze mną można wszystko zrobić?... I chętnie pożyczę i chętnie wszystko?... Bo cóż, — rozumiem, że my i całe jedno pokolenie, to nic... A wszystkie nasze bóle i cierpienia i sprawy, to tyle, co woda, a która zakipi... A ile razy ta sama woda kipieć może?...

Och,—już wolałaby Maryśka, żeby nigdy nic nie ki-

piało.., Czyż nie lepiej tak żyć, jak ten stary Karowski, czytać codzień fałszywy pamiętnik syna, nie wiedzieć, co się właściwie dzieje, dać się tak okłamywać i w jesiennym słońcu raczkować wzdłuż grzędy...

Przez wzgląd na męża musiała się przed Maryśką ukorzyć Karowska. Przyszła wieczorem do pokoju Maryśki z pewną prośbą, chwiejna, zmieszana, taka odrażająca...

— To ranne przemówienie, — rzekła, — pozwól pani, że chyba obie puścimy w niepamięć...

Maryśka układała już rzeczy w koszu,—bieliznę i pończochy, które lustrowała przy sposobności, nawlekając je na rękę i ramię, aż po pachę.

— Może pani przemówienia puszczać, czy zatrzymywać, — jest mi to zupełnie obojętne...

— Bo ojciec nic nie wie—i niech się niczego nie dowie...

Maryśka wzruszyła ramionami.—Więc czego pani chce?...

— Więc, żeby pani, odjeżdżając od nas (dla starego, tylko dla niego) pożegnała się z nami, jakbyśmy się rozstawały w najlepszej komitywie...

Znów się układaj, znów te stare listy Zdzicha, już pożółkłe, niektóre pokreślone niebieskim ołówkiem,—dlaczego, kiedy, przez kogo?... Znów pliki papierów, zbrudzonych wstążek i stosy niepotrzebnych potrzebności i w kącie kosza, jakieś coś, w bibułce... Znów to wszystko, co się wyłania stęchłym uwiądem z poniechanych rzeczy, wlokących się uparcie za człowiekiem...

— Owszem, owszem, rozstaniemy się,--powtórzyła obojętnie,—w jaknajlepszej komitywie...

Układała w koszu swój galowy bordo kostjum, gdy nagle zaszemrał jej nad uchem żarliwy stroskany głos Karowskiej: — Mnie pani wierz, skończyłam kursa w Moskwie, najlepiej w trzecim miesiącu... Wtedy operacja...

Maryśka odepchnęła ją, wybuchając brutalnym, pewnym siebie śmiechem...

Pożegnanie odbyło się „pierwszoklaśnie", — jakby powiedziała Smolarska... Ramkie siedział na koszu i od wszelkiego wypadku czekał, gdyby jakieś wybuchy, lub coś w tym rodzaju... Bił cierpliwie estradowymi lakierkami w ścianę kosza i ślinił kościaną kulę swej laseczki, jak małpa...

— Niechże pan uważa, — zaleciła mu Maryśka raz jeszcze, wychodząc...

Stary Karowski czekał wyelegantowany, w jadalni. Miał

na sobie czarny „trumienny“ surdut i białą jedwabną krawatkę, w granatowy rzucik. A że mu ust, z pośród siwego zarostu widać nie było, więc się widziała ta krawatka, jakby przyczepiona odrazu pod nosem...

Karowska w kapeluszu, z różnokolorowymi szkiełkami, niby do wyjścia...

— Opuszcza nas pani, widzisz ojcze, — zaintonowała, — wygód się zachciewa i żeby było bliżej do biura, do wszystkiego... Bliżej do życia i do świata... Karowscy za daleko, — za koleją...

Stary wyciągnął do niej obie ręce... Był istotnie wzruszony...

— Nie zapomnij, młoda pani, — prawił, wachlując znużone, przygasłe oczy zmarszczonemi powiekami, — że idzie z tobą wszędzie wdzięczność starych ludzi... Wdzięczność ludzi, którzy będą ci zawsze pamiętać, że swoim wpływem ocaliłaś im ostatnie ich dziecko... Samotnym, starym rozbitkom... Niech ci to dodaje sił i pozwól, że jak ojciec ucałuję cię z błogosławieństwem...

Siwe, ostrzejsze, niż oset wąsy, zroszone łzami, przylgnęły do jej czoła.

Maryśka też uroniła parę łez.

— No, — rzekła, wróciwszy do Ramkiego, — nie dałam się, nie dałam... Ale musiała rozdymać nozdrza, dźwigać brwi i żyły jej na skroniach nabiegły ze wzruszenia...

— Niech pan wyjdzie, panie Ramkie, jeszcze muszę coś przepakować... Zaczeka pan na dole, małą chwileczkę...

Gdy wyszedł, wyciągnęła z szafy malutkie zawiniątko... I prędko, prędko, prędko przebiwszy duńskim nożem te trzy złote kopuły, rzuciła je w kąt na śmieci...

Potoczyły się ze śmiesznym szelestem, jak puste skorupy dziwnych jakichś, złotych jaj... Wyrzuciła też zieloną siatkę i duński nóż.

A ściereczka, w której to wszystko było zawinięte, — zostanie, na złość zostanie, — bo płótno teraz drogie...

— Tak...

O ileż przyjemniej było jej w pensjonacie! Od samego początku, od samych schodów z dywanem zaczynając... I kulturalne światło elektryczne i służba i jakieś cudze walizy, z bogatej skóry, napełniające człowieka otuchą...

Dostała pokój bardzo malutki, dla siebie wraz z Felkiem, ale przecież na czas przejściowy, — wszystko jedno...

Jutro, — jutro już wszystko się rozstrzygnie... O ileż lepiej ten ostatni raz wychodzić stąd... Jutro, po szóstej może już będzie porżnięta?... A jeśli umrze?... Bo to się zdarza... Felek, Felek,—trzebaby przecież troszczyć się o Felka?...

Przebiegła myślą to całe, całe zdarzenie, które było jej synem... Ach, — tak, o tem też mówiła kiedyś, pierwszy raz w życiu w cukierni, w Sukiennicach... Jedli wtedy ze Zdzichem czekoladowe bomby na koniaku... Zaś mogła była nie powiedzieć, iść gdzieś, coś zaradzić — i tak samo mogło nie być Felka...

Tymczasem jedli tu w pensjonacie z Ramkiem i z Felkiem cukierki, tramwaj z ulicy dzwonił na dole, śmierć zaciągała chmurą serce Maryśki... To znów cieszyła je zbytkowna nowość, błyskająca tu zewsząd... Nowość bezmyślna, ostateczna, połyskująca z atłasowych kołder, z politurowanych mebelków, ze starannej oprawy okien, z gładkich drzwi...

— Najważniejsze,—pocieszał ją Ramkie,—aby pani była dobrej myśli... Trzeba pamiętać, że jak coś było w tę stronę, to potem musi być w tamtą...

— Dlaczegoż mam być dobrej myśli,—mistyfikowała się Maryśka,—nic się przecież nie dzieje...

— No naturalnie, - godził się Ramkie,—nic się nie dzieje, raz w tę stronę, raz w tamtą, — życie jest zupełnie, jak tkanina... Ścieg poprzeczny, ścieg podłużny...

— Czy pan zawsze, — spytała, wciągając z sykiem powietrze, — mówi o tkaninach i ściegach wtedy, gdy coś się ma stać z kimś?...

— Dlaczego?—Nie rozumiał zupełnie jej pytania.

— Dlaczego? - Pamięta pan tę noc, tam u nas, w górach?... Gdy się zjawili Strzelcy,—Zatorski?... Wtedy też opowiadał pan długo o tkaninach, a na drugi dzień, o świcie, był już Zatorski ciężko ranny.

— Ależ nic podobnego, - oponował Ramkie,—przeciwnie! Ile razy znajduję się w towarzystwie młodej, uroczej kobiety, właśnie wtedy tylko przychodzi mi na myśl to porównanie... Nieobraźliwe przecież, lekkie, lekkie jak muślin...

Służąca wniosła na dużej tacy z orzechowego drzewa kolację.

O ileż subtelniej, — pomyślała Maryśka, — umiera się w komforcie. Niby w pierwszorzędnym hotelu...

Wzruszali się wspólnie z Ramkiem na temat jego wierności dla niej.

— A niech pan sobie wyobrazi, ile jeszcze będę od pana potrzebować...

— No cóż naprzykład?

Obwieściła mu możliwy przyjazd matki... Po jakąś pożyczkę rządową, czy zasiłek... Jeszcze i to...

Cały następny dzień, do szóstej wieczór, postanowiła Maryśka spędzić razem z Felkiem. Dać mu użyć, zabawić się z nim, bo bądź co bądź, może to już ostatni dzień, — w którym twoja matka, nieboże, chodzi po świecie.

Ale nie składała się im ta zabawa... Chłopak wyrywał się, uciekał, nudził w Parku Krakowskim przy łódkach, mało mu po łapach nie dała.

Gdy wsiedli nakoniec do łodzi, pod tytułem „Wanda“ i znaleźli się na środku stawu, spytała Maryśka syna: Powiedz mi dziecko, co ty sobie myślisz o swojej matce?... Czy myślisz kiedy i co myślisz?

Wiosłował z ogromnem zajęciem, twarzą zwrócony ku niej.—Co ja sobie myślę?—Nic.—Że masz mało pieniędzy...

— Dlaczego?

— Dlatego, że gdybyś miała więcej, tobyśmy mogli dwie godziny jeździć a nie jedną...

— Tak myślisz?

Z ponad zielonych brzóz, rozrośniętych dokoła stawu, wychylały się duże, cieniem i srebrem karbowane chmury, niby białe żagle, sunące po niebieskiej toni błękitu.

— A jak myślisz,—pytała dalej,—co ja myślę o tobie?

— Nie wiem,—odpowiedział.

— Jakto nie wiesz?... Nie wiesz, że cię kocham?!

— E-e-e.—Zniecierpliwił się.

— A cobyś zrobił mój drogi, gdybym umarła?...

— Cobym zrobił?

— No tak,—cobyś zrobił?...

Felek, nie przerywając sobie wiosłowania, namyślał się. — Oddałbym twoje rzeczy pani Natalji, żebym mógł dalej u niej mieszkać.

— Masz rację,—uśmiechnęła się Maryśka. Zdało się jej, że załatwili z sobą, w tej chwili jakiś ważny porachunek. Patrzyła na syna, szukając na jego twarzy jakiejś oznaki żalu...

Chłopiec pracował z wysiłkiem, — wiosła mu się z rąk wyrywały... Nareszcie zajechali jakoś z powrotem.

— Widzisz,—rzekła, wysiadając z łódki,—dobiłeś z matką do brzegu...

Wszystko, co mówiła teraz, miało dla niej znaczenie przenośne...

Objad też, aby się spełniły prorocze, choć nieistniejące słowa,—zjedli u Drobnera, pod czerwonym parasolem... Feluś zamawiał dumnie potrawy, wpychając ręce głęboko, do kieszeni od spodni...

Potem poszli do Esplanady na lody. Tu, w kąćie, między różnymi odętymi politykami siedział Smolarski, trójkątnie ździwiony, z powiekami nisko na oczach.

Maryśka, pragnąc jakiegoś towarzystwa, wywołała go.

— Pan wie, my już u was mieszkamy?...—Uśmiechnęła się do niego najszczerszym blaskiem oczu, jakby lekką łuną całej twarzy, nagle rozpromienionej... Uśmiechnęła się bez powodu... Niech za to, kiedyś powiedzą ludzie, jeśli teraz umrze,—jaki miała wdzięk...

— Tak, wiem, że u nas mieszkacie, — podchwycił. — Jestem szczęśliwy (Słowo „szczęśliwy" zwinęło mu się w ustach w kluskę) jestem szczęśliwy, że i nasz dom może komuś służyć za schronienie... Nigdybym tego nie przypuszczał...

— I niech pan powie,—pytała, nagłym objęta strachem, —czegoby pan jeszcze nie przypuszczał nigdy?...

— Czegobym jeszcze nie przypuszczał?... Tego nie trzeba mówić... Takich rzeczy są tysiące... Tysiące okropności,—mamrotał sennie, — które nas straszą... Które, być może nawet, wkrótce się staną?... Najlepiej udawać, że się nic nie wie o przepaści...

Wyszła z synem do Rynku. Tu już musiała się rozstać z nim.

— Wracaj do domu, kochanie... (Jakiż to dom?) Przyjdę dziś późno może...

Przewróciło się coś w jej sercu — i zgasło... Patrzyła, jak malec idzie na wskos Rynku, ku Sukiennicom... Z głową, naprzód podaną, pochylony, całkiem, jak Zdzich...

Uczucie zimnego spokoju przepełniło wszystkie jej myśli... Cóż miała więcej jeszcze zrobić?... Na miejsce ojca jest syn i idzie i będzie chodzić, tak samo pochylając głowę... Więc w końcu i to jest załatwione...

— Doktór (służącego nie było) przyjął ją sam w przedpokoju.

Dała mu wiązankę białych lewkonji.—Niech pan przyj-

mie, doktorze, ten kwiat, wygląda, jak zmięty, a tyle ma w sobie świeżości i woni...

Doktór przestraszył się wiązanki... Przyjął ją jednak i wziąwszy Maryśkę pod ramię, wprowadził do „ordynacji".

— Tyle razy mnie pan tu łatał, panie doktorze... Usiadła cichutko na krześle, obok ginekologicznego łoża... Przyszło jej na myśl, że gdyby się wszystko dobrze skończyło, poprosi doktora, by jej poprostu zwiedzić pozwolił te różne szafy z przyrządami... Bo czyż jest coś ciekawszego na świecie?...

I że to człowiek zawsze obojętnie obok tego przechodzi?!... Jest to przecież o wiele ciekawsze od gazet i głupich wiadomości z frontu...

— Nic się nie zmieniło u pana doktora,—mówiła dziwnie nizko i głucho. — Nic się nie zmieniło od czasu...

Nie odpowiadał, schylony nad płomykiem, nad którym grzały się jakieś metalowe przyrządy...

Maryśka chciałaby się jeszcze koniecznie „przed tem" dowiedzieć, czy ten obraz Wyspiańskiego, który wisiał tu gdzieś, w jadalni...

Z kąta szafy, jakgdyby wskazywały na nią katetry, wiązką czerwonych palców gumowych...

— No,—moje dziecko...

Już kończył myć ręce...

— Och, panie doktorze, — zaczęła szybko, żeby jeszcze jakoś zagadać, — tak doskonale pamiętam, jak pan wtedy... Chodziło o tę Zatorską,—tu przy szafie włosy mi pan z czoła odsunął, aby zobaczyć ślad od obcęgów... Nie chciałam przyjść na świat,—śmiała się gorzko, — wiedziałam, co mnie czeka... I poco mnie oni wyciągnęli?... — Och—wiedziałam...

— No, moje dziecko... Doktór odwrócił się nagle...

Maryśka chwyciła się poręczy łoża, tnącego się połyskliwemi płaszczyznami przez jasną przestrzeń sali...

Jakby nic więcej nie umiał powiedzieć i teraz i potem. „Moje dziecko"—brzmiało jej też w uszach, gdy najostrożniej sprowadzał ją ze schodów do dorożki...

— Jedź wolno,—zalecił dorożkarzowi...

— Jedźcie powoli, jedźcie pomaluśku, ojcze, — prosiła rzewnie Maryśka, mimowolnym ruchem głowy strząsajac z powiek świeże łzy.

Płynęły ciągle, same, jedna za drugą,—jak rosa...

To znów, na widok wysokiego pierścienia plant, przesianych błyszczącą łuską zachodu słońca, na widok wież, tam i sam w tę gęstwę powtykanych i ludzi, którzy chodzą i domów, które stoją,—taka ją radość ogarniała...

Zdobyła sobie ten Kraków i życie i wszystko...

Pomaluśku, ojcze, pomaluśku,—śmiała się do szerokich pleców woźnicy.

Jechał noga za nogą.

Byle tylko przestać płakać!... Skądże się brały te łzy?... Nie mając przy sobie drugiej chustki, łapała je w dłoń. Pragnęłaby teraz każdemu, choćby najobojętniejszemu przechodniowi, podziękować za te chwile... Po owym strasznym bólu, gdy wszystko się już skończyło, poklepał ją doktór po gołej łydce... Poklepał ją, jak się klepie małe dzieci w nagrodę za to, że były grzeczne...

Ależ tak, tak,—czuła się na nowo małą dziewczynką... Ileż radości!... Małą dziewczynką dzięki własnej decyzji i odwadze...

Mimo wielkiego bólu kazała się stępem obwieźć dwa razy dokoła Rynku. W tryumfie, prawdziwym tryumfie i we łzach najświeższych... Zdawało się jej, że się jeszcze raz wita ze starymi murami, między którymi nizko, pod zgarbioną strażą straganów, ścieliła się, niby kurz czerwony,—chmara, chmara jabłek. Z jasnych beczek, rzekłbyś ze złotych słupców pękatych, zdawały się kipieć krwawym wylewem, a woń ich czarująca, zdało się Maryśce, że balsamuje piersi...

Teraz wszystko będzie inaczej, — myślała, poddając się wspomnieniom, na skórzanych poduszkach dorożki...—Inaczej będzie się Maryśka patrzeć na mężczyzn... Z wdzięcznością... Męczy się przez was kobieta bardzo, ale tylko dzięki wam może się nauczyć polegania na samej sobie...

Chciałaby w tej chwili módz zwołać wszystkie swoje przyjaciółki i ogłosić im to uroczyście... Niech zapełnią cały Rynek, niech czekają między stosami czerwonego owocu na jej słowo, soczystsze, niż te krwawe, wonne jabłka... I nikogo się nie zabiło... To nie był ani człowieczek, ani nawet jeszcze ślimak... Mała malinka, którą się oderwało i już... Mała malinka...

Wygramoliwszy się z niesłychanym trudem na górę, spoczęła nareszcie w łóżku... Komfort... Pod atłasową kołdrą...

Mała malinka, — szeptała Maryśka ile razy przechodził ktoś po korytarzu. Felkowi, który wpadł przez drzwi z wrzaskiem, że już kolacja, poleciła sprowadzić Smolarskiego... Musiała była bowiem jakoś wytłomaczyć swą chorobę. Antyseptyczne zapachy i tak już zapewne przenikają cały pokój.

Smolarski obiecał przysłać żonę.

— Nie, nie, niech pan sam posiedzi... To tak nagle przyszło... Tak mi się niedobrze zrobiło... Coś kobiecego... Przedźwigałam się widocznie...

Mała malinka,—mała malinka...

Maryśka uśmiechała się tkliwie do hotelowej prawie obcości, w której przyszło jej chorować.. Tam, przez ten czas, z ponurych schodów starego domu za koleją, pod kierunkiem Ramkiego wynoszą już zapewne robotnicy resztę jej rzeczy... I lustro... I wszystko, co można jeszcze sprzedać...

Prosiła Smolarskiego, by zajął się Felusiem tych parę dni... Na czas choroby chciała być koniecznie sama... I jeszcze,—niech pan nie odchodzi... Proszę mi wytłomaczyć, co to jest za gatunek,—morska świnka...

Maryśka mimowoli aranżowała takie pytania, jakby sobie samej pragnęła wmówić gorączkę.

— Morska świnka należy do gryzoniów,—jak chomik... Właściwie nic więcej o tem Smolarski nie wiedział.

— A niech mi pan jeszcze jedno powie, — pan, który tyle organizuje... Bo to ma się takie dziwne myśli, gdy się jest chorym... Czy rzeczywiście można kiedy czuć w życiu, że się przybiło do brzegu?.... Bo naprzykład ja, osobiście,— znów czyste, pełne łzy poczęły jej wypływać z pod powiek,— mam wrażenie, że lekko mi, ale, że już nigdy do żadnego brzegu... Tylko będę płynąć,—płynąć..

— Do brzegu?... — Taka się pustka otwarła w głosie Smolarskiego, taka dal...—Proszę pani, jako człowiek społecznie pracujący, nie znam żadnych brzegów... Płynie się gdzieś bez końca, a cała otucha, jeśli się własnem hasłem pocieszać można. Lecz czy to hasło ma jakiś ostateczny sens?... Nic więcej nie wiem o brzegu...

Smolarski zaniepokoił się, czy ta rozmowa nie jest jakiemś nawiązywaniem do tego głupstwa, które raz się im zdarzyło, raz,— ale nigdy więcej... Stwierdził więc, że ostatecznie, owszem, przybił do brzegu...

— Czuję dobrze ziemię pod stopami... Oczywiście dlatego musi się wiele przecierpieć... Ale stworzyłem sobie grube, kowalskie kleszcze, w których już nie łatwo drgnąć...

Maryśka rozpłakała się cichutko... Wszyscy coś mają, gdzieś są, do czegoś dążą, a ona, — nic, nigdzie nic... Mogłaby dziś umrzeć i cóż?...

— Pani musi mieć gorączkę,—zauważył. Po chwili wyszedł na palcach...

— Jeśli mam gorączkę a nie będzie lodu, to rzeczywiście umrę... Cóż się więc wtedy stanie?... Nic... Znów się wszyscy spotkają... Znów będzie Adolf z Felkiem strzelać z łuku, a stary Karowski raczkować wzdłuż grząd kapusty... Tylko się już drzwi nie otworzą i nie wejdzie Maryśka tą furtą...

Późnym wieczorem odwiedziła ją Nastusia.

— Cóż to pani jest, pani Marjo?

Maryśka nie wiedziała, co odpowiedzieć...—Jakaś gorączka na tle kobiecem... Na poczekaniu, zaniepokojona badawczym wzrokiem Nastusi, wymyśliła byle co—: Podźwignęłam się widać, czy oberwałam przy pakowaniu...

— A była pani u doktora?

— Tak.

— To dobrze,—zauważyła rozsądnie Nastusia,—dlatego tak karbol czuć...

— Czuć karbol?

— Jeszcze jak!—Nastusia, poprawiwszy koronek fartucha, usiadła naprzeciw, jak do dłuższej gawędy.—Bo co my, kobiety?... Słabe jesteśmy i byle co, — to zaraz się coś przerwie... Ale to jeszcze nic... Inne, moja pani, jeszcze same w sobie coś przekręcają... — Mówiła o tem z zabobonnym strachem zupełnej nieświadomości...—Potem kwękają całe życie... Przekręcić łatwo,—ale załatać!!... Za to się powinno karać,—nie wiem jak...—No,—pani nic się nie stanie, bo pani u mnie choruje... To jedno, co mnie cieszy... I to, że przy tem mogę też powiedzieć—u dobrych ludzi... Nie?... Proszę panią,—Nastka uporczywie szukała spojrzeniem oczu Maryśki, — powiedzieć naprzykład—Karowska i ja... Niby Karowska szacunek ma i tego i coś,—a ja co?... Tymczasem, możesz pani u mnie chorować, jak chcesz, a tamci co? Chorą panią na bruk wyrzucili... I wiesz pani dlaczego?!... Ta stara z pewnością myślała, że to jakiś „niewłaściwy“ przypadek...

Męczyła Maryśkę ta gadanina nad wszelki wyraz... Cały mozół tej prawomyślnej uczciwości wydał się jej tak niepotrzebnym...

— Co prawda i tak bywa na świecie, — kończyła swój wywód Nastusia, — jednaby niebo dała, żeby się mogła doczekać, a druga, sama sobie weźmie i zepsuje... Naprzykład my...

Maryśka przytakiwała żałośnie, myśląc z przekąsem, że na bitych drogach nic się pono nie rodzi...

Nie było innej rady, trzeba było czekać na Ramkiego. Wobec niezłomnych zasad Nastusi nie mogła jej wtajemniczać w przebieg choroby...

Ramkie przyszedł dopiero w dwa dni później. Minęli się w drzwiach z akuszerem. Maryśka przywitała profesora, jak brata...

Pociągnął parę razy nosem, chrząknął, przetarł okulary strzepnął palcami, obwąchał jakiś sprzęt, spróbował zamków od szafy i nagle usiadł naprzeciw Maryśki.

— No cóż?...

— A ja tu chorowałam, — chwaliła mu się śpiewnie,— mało nie umarłam...

— Umierać nie warto,—zauważył,—nie warto wcześniej, nim śmierć sama nie przyjdzie... I na cóż pani umierała, — dodał gładkim falsetem.

— Na co?...

Ponieważ Ramkie nie podchwycił pytania, — nie odpowiedziała mu wcale. Umilkli. Na korytarzu słychać było głosy kilku panów, rozprawiających o jakimś zjeździe...

— Bardzo sobie tę politykę Nastusia chwali, — rzekła Maryśka,—podobno dużo znów bieganiny koło sprawy polskiej i pensjonat wciąż przepełniony...

Ramkie siedział do niej skosem. W perspektywie okna, tuż nad rudą peruczką profesora, szedł ku górze sztywny schód attyki kościoła Dominikanów. Wyglądało to, jakby się Ramkiemu łamany piorun z głowy wyrywał...

— Więc chorowała pani?...

— Tak i bałam się, że mi tu lodu nie będzie miał kto przynieść... Boby lód trzeba było przykładać, gdyby było gorzej... A gdzież tu kto mógłby się tem zająć...

To głupstwo,—Ramkie byłby się zawsze o to postarał...

— Więc lód,—mówi pani...

— Tak lód, to była poprostu jakaś kobieca choroba...

Ramkie natychmiast zaczął się zachwycać ustrojem kobiety, jego delikatnością... To jest takie kruche, takie łomkie! Tylko stare rasy mogą zrozumieć kobietę... Na niewiastę trzeba uważać, jak na cenną, rzadką sztukę...

Obracał i głaskał rękami w powietrzu, jakby już taką sztukę miał na podołku...

Nie mogła sobie na czas choroby wymarzyć lepszego opiekuna, od Ramkiego. Uprzedzał wszystkie jej życzenia. Wszystkiem obiecał się zająć... Ulokować gdzieś na mieście starą Biernacką, której przyjazd „wisiał już na włosku"... Pomóc w wyrabianiu tej pożyczki... Nawet obmyślił Maryśce podarunek dla doktora...

— Da mu pani ten czerwony puhar, — pamięta pani?... Oglądaliśmy go razem, w oknie, akurat w dzień bitwy... Taki podobny do owoca granatu?...

Wzbraniała się przyjąć,—musiało to być bardzo drogie...

Ramkie twierdził, że taka drogość teraz niema dla niego żadnego znaczenia. — Teraz, jako rzeczoznawca, wszystkim „wzbogaconym" paskarzom stręczył staroświeczczyznę...

Co znaczy taki puhar?...

— A dlaczego właśnie puhar,—przekomarzała się Maryśka, nie wiedząc, czy sprawi tem doktorowi przyjemność...—Dlaczego szkło?...

— Bo na dobrym szkle,—wzdychał Ramkie,—od delikatnego używania pozostaje taka sama szrama, taki sam szary cień... Taka wąziutka, mdła blizna czasu...

— Jaka?

Ramkie nie chciał powiedzieć, jaka szrama i jaki cień...

— Dlaczegóż pan nie chce powiedzieć?...

— Dlaczego?... Bo najsłodszy jest owoc, już przez innego ptaka ugryziony... Najsłodsza jest w ciele owocu rana, już przez innego zadana...

„Nie mógł" tego bliżej tłomaczyć, tylko gulgotał maluśkim śmiechem z zielonej, gęsią skórką pokrytej grdyki...

Jeszcze nie wolno było Maryśce wychodzić, gdy przyjechała matka. Oczywiście innym pociągiem, niż można było przewidywać...

Biedny Ramkie niepotrzebnie sterczeć będzie na dworcu cały dzień może...

Pani Biernacka zjawiła się u Maryśki w całym majestacie ubóstwa i opuszczenia... Z walizką, owiązaną kosmatymi sznurami, z koszykiem, z którego wypinały się twarde ku-

pry bułek i lepka szyja dużej butli z mlekiem. Sama,—w kapeluszu na bakier, z gumką pod brodą, w czarnych rękawiczkach, z szarą parasolką w ręku...

W pierwszej chwili nie wiedziały, jak mają się witać... Czule, czy obojętnie?...

Coś nieznanego, jakaś nieuchwytna wola sprawiła, że padły sobie w objęcia...

— Niech mama siada,—niech się mama rozgości...

Biernacka zaczęła natychmiast od usprawiedliwień:—Ty wiesz, że ja nikomu ciężarem... A wy tu w mieście nic nie macie... Nie bój się, nie z próżnemi rękoma...

Na dowód prawdy wyłożyła z koszyka bułki i miód w garnuszku...

Nie chciała się myć na takiej „królewskiej" umywalni,— „bój się Boga, ja byle gdzie" — na miseczce, w komórce... I wogóle takie szyki, powiedże mi, gdzie ty mieszkasz, u kogo?!...

Maryśka opowiedziała dokładnie u kogo.

— Więc to ten sam Smolarski! A że się też,—westchnęła mimochodem Biernacka,—z tobą nie ożenił?... Mówisz,—tensam, który tam, wtedy u nas kosz twój taskał?... A teraz taki dom, takie urządzenie!...

Nie śmiała rzeczy roztasować, sukni oczyścić...

— Co mama wyrabia,—zniecierpliwiła się Maryśka.

— Co ja wyrabiam?!—Ty nawet sama nie wiesz, jaka dama teraz z ciebie!

— Jakto dama?...

— Ależ tak!... To wszyscy u nas w miasteczku mówili... A córka pani to, owo, tu, tam, ówdzie... Widziano cię w pierwszych towarzystwach, nawet na jakimś świetnym pogrzebie... Podobno docent jakiś, czy profesor stara się o ciebie?... Znów inni, że do teatru wstępujesz, że dyrekcja karetę po ciebie posyła codziennie... No,—myślę sobie, jak moja córka takie kręgi zatacza, tak się wzbija,—to i mnie dopomoże...

— Jakie kręgi, mamo, jakie kręgi?...

— Mało ci tego... Weźże choćby to mieszkanie. Tak chyba śpiewaczki mieszkają, czy jakieś gwiazdy przejezdne?... A ta twoja właścicielka?... Nigdybym nie pomyślała!... Taka grzeczna, dworska...

Pani Biernacka przyciągnęła córkę do siebie i oparłszy głowę potulnie o jej ramię, rzekła z głębokiem westchnieniem—: A nie będziesz się teraz wstydzić starej, biednej

matki?... No, powiedz, powiedz,—jakże tam z tym docentem? Kiedyż to będzie?...

— Ale, — co docent!—Maryśka wyciągnęła się, strzepnąwszy niedbale rękami...—Najprzód, że mam męża,—a potem, pocóż się spieszyć?... Owszem starał się docent, nawet, bardzo zabiegał, ale to wdowiec dzieciaty, a przedewszystkiem nie podobał się Maryśce. Nie miał jej serca...

— Dzisiaj... — Nagle, jakby się upusty blasku i potęgi otwarły w piersiach Maryśki... — Dzisiaj robi się nie takie partje!...

Gdyby chciała, mój Boże,—mogłaby sobie dookoła palca nie takich docentów owijać, a znacznie innych ludzi!...

I ni z tego, ni z owego, odmalowała matce obraz swego życia—obraz wspaniały, wygodny...—Teraz nikt niema czasu na biedę, ani na małe gospodarstwo... Dlatego sprzedała wszystkie swoje stare meble...

Widoki?! — Miała świetne widoki ze wszystkich stron... Posadę na zawołanie, czy to w biurach odbudowy kraju, czy w Namiestnictwie! Dziesięć,—sto posad!... Ale z niczem się nie trzeba śpieszyć...

Aż przestraszał ją prąd własnej wymowy... Jakby wszystkie, doznane zawody miały się teraz zemścić temi przechwałkami...

Pod względem pieniędzy?... To jest tylko kwestja potrzeby... Kto na prawdę chce i potrzebuje,—ten ma... Przedewszystkiem nie liczyć się z ludźmi,—a wszystko będzie... Mama wie, ile ja tu płacę w pensjonacie dziennie? — Teraz jeden dzień kosztuje więcej, niż dawniej pół miesiąca,—ale na to się nie zważa,—nie zważa...

Wszystko, co stanowiło powód niepokoju, co napełniało Maryśkę strachem,—przedstawiała jako zdobycz i tryumf...

Pod wpływem tej potęgi i możnej karjery córki Biernacka malała coraz bardziej. Kurcząc się posłusznie, patrzyła na Maryśkę z miękkim połyskiem podziwu w oczach. Zaś im bardziej dawała sobie imponować,—tembardziej ponosiło Maryśkę. Bo równocześnie taki bunt, taki żał wzbierał w jej piersiach... Istotnie, — czyż nie byłoby lepiej żyć tak, jak przedstawiła to matce?... A nie więdnąć, nie schnąć na pieprz w jakimś wiernym małżeństwie, z którego się wszyscy śmieją?...

— Proszę mamy, — tak jest, matce też miała dużo do wyrzucenia,—proszę mamy, żeby mama, rzeczywiście była

matką i rzeczywiście babką, toby mama wzięła do siebie na wieś Felusia, z którym tutaj tak trudno... Żebym ja miała całkiem wolną rękę,—to wszyscybyśmy dziś inaczcj stali!...

— Bój się Boga, jakbyśmy stali? Cóżby się zmieniło?!... —pytała Biernacka, siedząc przed swem puzderkiem i czerniąc sobie siwe włosy wytartą szczoteczką do zębów...

— Coby się zmieniło?. Mogłabym rzeczywiście zakręcić się między ludźmi! — Maryśka nie wiedziała, co wynaleźć, w coby matka uwierzyła.,.

— Mogłabym zakręcić się między ludźmi i dostać trafikę!! Czy mama rozumie, co to dzisiaj znaczy trafika?! to są tysiące,—tysiące!!

Nad wieczorem wpadł Ramkie, zziajany, nieszczęśliwy... Czekał bowiem tyle godzin napróżno!

— Tymczasem mama, jak pan widzi...

Zabrał ją do hotelu, razem z kuframi i bułkami, bo tu wszystko zajęte,—tani, doskonały hotelik!... A tu, na dostawionych kanapach, czy materacach nie wypada...

— Wnuczka mi nawet nie pokazałaś,—skarżyła się Biernacka w drzwiach.

— Jutro, mamo,—dziś interesa!...

Gdy tylko wyszedł, zaczęła się Maryśka ubierać... Dokąd, poco, dla kogo?

Dla siebie...

We wszystko, co miała najlepszego... W batystową koszulę, w najlepszą bieliznę, w bordo suknię, w czarne jedwabne pończochy... Rozgościło się w niej jakieś srogie postanowienie... Każdy ruch wykonywała tak, jakby ją śledziły nieprzeliczone mrowia obcych, pożądliwych spojrzeń...

Niech się patrzą!... Przyglądała się sobie w lustrze uważnie i badawczo!... Jakże to wygląda jeszcze ta kobieta o małej stopie i suchej, zwięzłej kostce?... Czy jeszcze można się zapomnieć na widok takich bioder i czy pomarańczowy cień rozbiegających się piersi,—dość jest jędrny?...

Uporządkowawszy wszystko w pokoju, napachniła powietrze sosnowym rozpylaczem i czekała Ramkiego.

Po korytarzu chodzili jacyś goście, tam i napowrót. Ktoś wyjeżdżał, niesiono kufry.

Maryśka postanowiła też gdzieś wyjechać... Rozłożywszy przed sobą pilniczki, zaczęła doprowadzać do porządku paznogcie... W trakcie tego przypomniały się jej dawne jakieś, górskie śpiewanki... Pod tę nutę budziła się co rano

w dzieciństwie... Matka, widać, przypomniała jej to teraz... Dlaczegóż nie miała sobie zaśpiewać?... Owszem, właśnie,— na złość...—O jakiejś turni, na której się coś czerni... O czyimś przyjeździe na czyjś grób...—Dlaczegóż nie?...

Zadziwił ją jej własny głos, trochę fałszywy, jakby z zapomnianego kącika głowy wyciągnięty... Ale śpiewała z przyjemnością... Jakgdyby wszystko, co przeszła dotąd, było już po za tym śpiewem... Jakgdyby w tych kilku piosenkach pożegnała się ze wszystkiem... Odchodziło to już w nieznaną głąb... W odległym, niewymiernym zbiegu wrażeń straciła się Maryśka całkowicie... I w pustce tej, po jakimś czasie, zaczął znów brzmieć dźwięk własnych słow, mówionych do matki... Jakgdyby słowa te miały przedziwną siłę proroctwa...

Już wiedziała napewno, już jakby się to stało—: Odda babce syna, wyrobi jej pożyczkę, z tej pożyczki weźmie sobie na nowy kostjum, sama dostanie trafikę, i pójdzie i poleci inną drogą...

Wrócił zdyszany Ramkie. Zamknęła za nim drzwi na klucz... Zdziwił się tem i zmięszał...

— Chce mi pan rzeczywiście pomódz, panie Ramkie?... Proszę siadać.

Pochyliła się nad nim tak, by mógł patrzeć na jej piersi, wynurzające się z koronek żabotu.

— Panie Ramkie! Potrzebuję, — muszę wyrobić matce pożyczkę... Rozumie pan? Potrzebuję dużo pieniędzy... Ale żadnych pożyczek prywatnych! Żadnych łask!... Jestem zrujnowana... Państwo, urząd, instytucja, co pan chce, słowem jakieś społeczeństwo, coś, wobec czego nie ma się właściwie żadnej odpowiedzialności,—musi mi dać pożyczkę... Rozumie pan?...

Pochylała się nad nim z świadomą kokieterją, on zaś wyciągał rudą głowę z garbatych pleców swej granatowej marynarki...

— Rozumie pan?... Dalej—: Skoro Zatorska może się starać o trafikę, to i ja mogę się starać... Z tą różnicą, że ja powinnam dostać trafikę... Rozumie pan?...

— Skądże znowu trafikę?... Patrzył na nią zdumiony, a zielone jego oczy przysłaniała coraz pośpieszniej biała powieka, czerwonym zakończona brzegiem...

— Pożyczka matki,— moja pożyczka,—trafika... Rozumie pan?... Trzy rzeczy?...

Twarz mu się nagle zmąciła, chciał chwycić Maryśkę przez pół, ona zaś, nie cofając się nawet, odbiła rękami jego ręce...

— Hoho,—śmiała się nad nim zalotnie,—to już minęło, przedpotopowe czasy się panu przypominają, moja małpko!... Stare dzieje, mój profesorku!...

Uderzywszy lekko płaskiemi dłońmi w jego szare, odęte policzki, — powtórzyła—: Pożyczka dla mnie, dla matki, trafika... Rozumiesz?...

Nie rozumiał...

Uderzyła raz jeszcze o wiele mocniej—: Pożyczka,— pożyczka,—trafika... Rozumiesz?...

Pijana słodycz mrużyła mu się w oczach... Wyciągnął ku Maryśce szorstkie szczęki, podniósł czoło do góry—: Rozumiem już, rozumiem...

Prędziutko, piersiowym głosem zaczął chwalić tę przemianę i znów pleść coś o skazie... O tej skazie,—widzi pani, która jest na szkle od używania... Ta blizna użycia,—to popielate nic... To małe piętno dymu... Cień czasu... Taki sam cień ma pani teraz pod oczami...

— Być może, profesorku,—ale już dosyć tego sam—na sam... Idziemy na miasto, kolacja, narada,—i niech pan uważa, kogo spotkamy pierwszego, bo nową erę zaczynam...

Zaraz na schodach spotkali wspólną znajomą...

— Doskonale, doskonale,—szepnął Ramkie...

Naprzeciw nich szła z bramy wdowa po śpiewaku.

— Zaczepić, zagadać uprzejmie, — informował Ramkie pośpiesznie,—ogromne wpływy...

Usunęli się z szacunkiem, czekając, aż przejdzie...

Kroczyła powoli, dzwoniąc obrożami dwuch piesków brukselskich. Kudłate, ciemno złote ich łebki wychylały się z pod obu pach wdowy, podobne do wielkich chryzantem.

— Jakie śliczne!—zawołał Ramkie.

Wdowa, postawiwszy pieski na ziemię, przywitała się serdecznie. Coprawda nie pamiętała Maryśki. Tak, być może, w biurze Wdów i Sierot,—ale tyle się teraz ciągle wszelakiej nędzy i najrozmaitszego pogotowia odwiedzać musi, że pani chyba wybaczy...

— Jak ślicznie odziane! — przypochlebiła się pieskom Maryśka...

Były bowiem ubrane w blado niebieskie kołderki, każdy ze złotą gwiazdą, pięknie haftowaną, na tyłeczku.

— Z koronacyjnego płaszcza jej męża porobione te kapy,—śmiał się Ramkie, już na ulicy, — pamiętam go jeszcze w tym płaszczu na scenie, był wspaniały...

Maryśka zaś zapytała profesora, ni z tego ni z owego, czy widział kiedy morską świnkę, oswojoną?... .

Odpowiedział, że nie, — ona zaś obiecała mu pokazać kiedyś jedną, oswojoną i w jeszcze piękniejszej kołderce...

Musiało się udać... Zacięła się, jakby od tego zależało zbawienie świata... Ramkie kręcił się w jej obrotach, prędzej niż fryga...

Otwarła się przed Maryśką szara, gładko pokostowana, niezgruntowana chyba przez nikogo, czeluść władzy państwowej i odpowiedzialnych czynników.

Odpowiedzialne czynniki obstawione były zgrają fagasów, woźnych, władały tajemniczymi dzwonkami ze swych kancelarji... Pędziły osobliwy sposób życia, przechodząc z biura do biura w „zakoconych" spodniach, z szaremi tekami na prążkowanych brzuchach...

Cały ten urząd ogromny,—w którym mieściło się szczęście bezzwrotnych pożyczek, zależne od paru pociągnięć niebieskiego ołówka i znaku pierwiastka, rzuconego na róg arkusza, — rozpierał się w dawnym hotelu, na plantach.

Trzeba tu było czekać całe godziny w proszalnych ogonkach, z oddechami późniejszych petentów na karku, z niechętnym wypięciem poprzednika, ogrzewającym obleśnie podołek... Trzeba było na godzinę, lub na całe popołudnie uczynić sobie z woźnego najdroższe swe, za dziesięć koron zdobyte, przeznaczenie...

Trzeba było zalotnie patrzeć, jak oddaną skwapliwie kartą wizytową, czyści sobie przy drzwiach chłopak odźwierny paznogcie... Trzeba było nawet pod nieobecność władzy pobłażającym uśmiechem rozgrzeszać ją wobec jakiejś wyrzuconej nauczycielki, która blademi rękoma chwytała się zimnych guzików bedela...

A potem dostawał się człowiek przed oblicze miarodajnego czynnika... Ze zbitego tłumu, wyłuskwiony nagle do przestronnego pokoju, radośnie witał wzrokiem, rozłożoną między papierami bułeczkę z szynką pana komisarza... Olśniony blaskiem władzy zaczynał prosić, oparłszy się subtelnie, nieomal wbrew wszelkim prawom równowagi, o decydujące biurko...

Nie mogło się Maryśce pomieścić w głowie, że ci pospolici ludzie, o palcach żółtych od kręcenia papierosów, mają do rozdania tyle pieniędzy.

Wykonawszy swój nizki dyg, zwijała wargi w różowiutką trąbkę i odświętnym tenorkiem, patrząc z ukosa, zalotnie, na cesarza w banderji krakusów, lub na wesele Wierzynka, lub Kraszewskiego nad księgami,—wygłaszała swą prośbę...

Ramkie podziwiał ją... Wiedziała, gdzie iść samej, komu pokazać zbolałą matkę, do kogo udać się z Felusiem w nowej krawatce... Jak ominąć jakiegoś wyrzuconego redaktora, który w wystrzępionych spodniach czeka tu pod drzwiami całe tygodnie... Jak przyczepić się do dwuch starych aktorek, które siały sukniami na prawo i lewo, przechodząc koronacyjnie... Jak wreszcie wybiec na spotkanie generała, byłego przyjaciela „wuja“ Nastusi, który zjawiał się tu w czerwonej łunie generalskich podszewek...

Obyła się, otrzaskała w tym świecie, ogłady nabrała...

— A cóż pan myśli, — tłomaczyła to Ramkiemu u Sauera w kawiarni, czekając na lody,—cóż pan myśli, że się wstydzę?... Wszyscy sławni nasi ludzie, wszyscy o których się kiedykolwiek czytało w gazetach, wszyscy tam łażą... Nawet Tetmajer... Bardzo lubi, „kiedy kobieta omdlewa w objęciu“, ale czeka tam, taksamo, jak ja... Jak każdy najzwyklejszy śmiertelnik... Cała Polska tam waruje, a jabym się miała krępować? .. Rozbili nas, zniszczyli,—teraz wynagradzają,—to może mamy nie brać?!...

Przykrość w tym czasie miała tylko raz, jedną, gdy czekały razem z Zatorską...

Ale Maryśka postanowiła sobie z góry, „nie drgnąć”, żeby tam nie wiem co...

Bo trzeba było w końcu złożyć podanie o tę trafikę... Czekały obie przed temsamem biurem. Gadały sobie we framudze okna, tak cicho i ostrożnie... Klinek odkrytego ciała Zatorskiej padał tak nizko...

Z okna widać było wezbraną jesiennym bronzem falę plant. Cały korytarz przepełniały szepty złotego drzewa, stojącego samotnie w podwórzu.

Zatorska, że to, owo, tamto,—dzieci...

Dzieci, dzieci!... Maryśka słuchała bez współczucia—: Wiemy już... Gdybyś nie chciała, tobyś mogła ich nie mieć...

Dzieci, kłopoty i znów ten tom wierszy pośmiertnych...

— Jedyna nadzieja teraz na wydanie tego tomu,—w tytoniu... No, — gdyby mąż żył!... Pani rozumie, — on, — taki skrupulatny!... Gdzieżby on pozwolił, żeby z takiego brudnego handlu jego książka...

Maryśka,—że zapewne,—ma się rozumieć...

Zaś obie o celu czekania ani słowa...

Aż gdy się otwarły drzwi i z prostych ich ram wystrzeliła „pod szczotkę“ ostrzyżona głowa radcy,—Maryśka nagłym ruchem zrzuciła Zatorskiej papiery z parapetu okna... A sama, zyskawszy przez to na czasie,—szust do drzwi...

Wracając od miarodajnego czynnika, pewna zwycięstwa, zobaczyła w oczach Zatorskiej tak przerażony podziw, tyle bezradnej, bezsilnej zazdrości i skargi... Takie pytanie w rozłożonych trwożnie rękach...

Ale tylko skinęła uprzejmie głową i poszła dalej... Nie odwracając się po za siebie,—o nie,—o nie...

Już minął czas oglądania się po za siebie....

Odrazu w pierwszej walce odniosła Maryśka zwycięstwo—: Matka otrzymała pożyczkę i to, dobrych parę tysięcy koron...

— Z tego, mamo, jeden tysiąc mój, zwrócę później,— na nowy kostjum, płaszcz, to, owo, — mama widzi przecież, że naga prawie chodzę...

Postanowiła babkę z wnukiem wyprawić teraz w góry, na parę miesięcy, na przeżywienie się, — aż się „sama ustali“...

Jakie miało być owo ustalenie, z tego sobie Maryśka wcale nie zdawała sprawy... Czuła, że unosi się ono, poprostu, w powietrzu, — gdzie?... Między jednem biurem a drugiem... Wśród chodów i dygów rozmaitych ważnych urzędników i dyrektorów...

— Jak mamusia zdobędzie pieniądze, to wrócisz, wrócisz do niej, synku... A u babci bądź grzeczny...

Felek nie odpowiadał na żadne tego rodzaju napomnienia i wogóle całym tym odjazdem wcale się nie wzruszał...

Odprowadziła ich na dworzec... Sama kupiła im bilety drugiej klasy, mimo protestu matki („i trzecią można jechać bardzo dobrze“). Sama nadała rzeczy. Miała wrażenie, czyniąc to wszystko, że załatwia sprawę, bezspornie przykrą, dotkliwą, ale w dalszych wynikach zbawczą.

Ramkie przyniósł malcowi pudełko cukierków.

— Pamiętasz?—pytała, gdy już siedzieli w wagonie,— jak odjeżdżaliśmy na ewakuację?

Po jednej stronie okna widać było szarą głowę Biernackiej, na przeciw zaś rumiane policzki Felusia. Słońce padało mu na ręce, w których trzymał kandyzowaną morelę, podobną z peronu do aksamitnego pompona.

W złotym, jesiennym cieple, w rozprażonych błyskach dalekich znaków kolejowych, w drganiu atłasowej fali powietrza, opadły Maryśkę dawne, minione echa...

Felek nie odpowiedział, czy pamięta tę jazdę na ewakuację...

Tutaj, gdzieś tutaj, kiedyś, przechodziła straszną rozłąkę i rozpacz, której, zdaje się, że człowiek nie przeniesie...

Tymczasem przenosi,—wszystko powoli mija...

— Mamo! Dwa razy na tydzień, regularnie, będzie mi mama pisać co i jak, najdokładniej... — I znów do Felka—: Żałujesz, że jedziesz?...

— Nie. — W ciemnym oknie wagonu kiwał przecząco głową, w obie strony. Jasne kudły chwiały się w takt ruchów, niby białe, wiotkie płomienie...

— Wcale nie żałujesz, że jedziesz?...

— Nie.—Zobaczę góry...—Wyliczał wszystkie szczęśliwości, które go czekają...—Zobaczę góry, zobaczę Ambrożego... Szkołę...—I wszystko...

— A jeśli ja przyjadę później,—pytała,—i ty mnie nie poznasz?...

Nie odpowiadał.

— Poznasz mnie?...

— Nie.

— Wcale a wcale, synku?...

— Nie, nie, nie, wcale a wcale, — rozpłakał się nagle, głośno... Kandyzowana morela wypadła mu z palców.

Pociąg już ruszał.

Trwożna pustka rozprzestrzeniła się w piersiach Maryśki... Jakby naraz pękły tysiączne, niezliczone spójnie... Nieznana dotąd, przemożna zbędność, rozpostarła się powszędy... Maryśka zdumionymi oczami spojrzała na Ramkiego...

— Dlaczego się pani boi, — pytał swobodnie,—nic się chłopcu nie stanie, a pani musi mieć teraz wolną rękę...

— Niby do czego ja potrzebuje wolnej ręki?—A drżały jej ręce tak, że opanować ich ruchu nie mogła...—Ciąglewicz jej mówił o wolności, Adolf też, samej sobie też mówiła, teraz Ramkie...

Jeszcze tętniły w szklannej hali echa oddalającego się pociągu... Obok szli jacyś żołnierze, kaleki, po dwuch, po trzech, stukający drewnianymi kikutami po kamiennej kostce peronu. Jeden z nich odkręcał i przykręcał sztuczną rękę w rakowej rękawiczce.

Wirowała ona potwornie z piskliwym odgłosem nienasmarowanych śrub.

— Pojedziemy dorożką? — pytał Ramkie, gdy wyszli z dworca.

Maryśka przystanęła chwilę. Miała wrażenie, że ostre blaski słońca przeszywają ją na wskróś... Że jest lekką, przezroczystą...

— Tak,—pojedziemy.

— A gdzie? — spytał, nachylając się ku niej, gdy już siedzieli w dorożce.

— Gdzie?... No, — niech jedzie dookoła, przez bramę Florjańską.

Rozmawiali o matce, o starym Ramkiem, o sklepie... Profesor dowodził, że Felkowi świetnie będzie, — powietrze, zdrowy, obfity wikt!

— Dokąd my jedziemy?!—spytał, tknięty jakiemś przeczuciem.

Mijali rynek na wskos.

— Jedziemy do bibljoteki Jagiellońskiej... Mam interes...

Ramkie zbladł i zwinął się na poduszkach.—Do bibljoteki?! Może pani jeszcze powie, że do pana Ciąglewicza?!?

— Powiem, — bo tak jest. Jadę do pana Ciąglewicza. A cóż panu to szkodzi?...

Dreptał po dywaniku dorożki, obzierał się, sapał, pluł...

Kazała woźnemu wywołać pana docenta Ciąglewicza, a sama poszła wzdłuż krużganku. Krew biła jej w skroniach tak mocno... Z przyjemnością słuchała tego rytmu krwi, który się mięszał z szelestem piachu, miotanego po kątach...

Tak cicho było na podwórzu i pod arkadami... Powyżej dachów gmachu, szumiał złoty pierścień plant, jarzący się wspaniale w błękicie nieba.

Owszem, owszem, Maryśka miała interes,—ale nie o to chodziło!... To wszystko, dotąd nieodebrane, razem z Bato-

rym leżało u Ciąglewicza... Nie może to tam leżeć w żadnym razie... Lecz przedewszystkiem sprobować, posmakować chciała tej równowagi, w której dojrzewało teraz od nowa całe jej ciało i dusza...

Trzasnęły jakieś drzwi. To już on... Szła dalej, w głąb krużganku, poprawiając żabot.

Ach, chyba tak samo, jak po tych szarych kamieniach białe iskry i strzały blasku się tną, tak samo zderza się w niej drobniuchne mrowie mądrych, ostrych uśmiechów. Obróciła się zgrabnie na pięcie.

Naprzeciw niej, wlokąc śmiesznie jedno ramię za sobą, szedł Ciąglewicz, skupiony i groźny, z obliczem, oblanem jeszcze krwistszym zachodem słońca, niż parę miesięcy temu... Szedł z głową naprzód podaną, niczem na spotkanie burzy groźnej...

— Proszę cię,—zaczęła Maryśka,—wszystko bardzo ładnie i szczerze się odbyło, ale w końcu, zostały u ciebie papiery,—bez których teraz ani rusz!...

Ciąglewicz aż usta otworzył, z podziwu... Nigdy nie widziała go tak niepewnym i zmieszanym...

— Chciałabym, żebyś mi pomógł...

Nie mógł się pogodzić z tą sytuacją. Przybrał głęboki, piersiowy ton i rękę przewiesiwszy „beznadziejnie“ przez balustradę:—To wszystko, czego sobie pani życzy?...

— Ale — le! Wcale nie wszystko! To się tak nie da... Panie Franciszku! Ani nie robię panu wyrzutów, ani nie mam żadnych specjalnych pretensji... Przedewszystkiem, — niech pan wykreśli ze swej pamięci wszystkie rutynowane zerwania, jakie pan dotąd, z pewnością wiele razy przechodził... Nie dybię na pańską cnotę,— ani pan na moją... Mój drogi!... Nie przybywam do ciebie, ani jako „pokutujący“ duch, ani jako wyrzut sumienia, — ani nic... Trzeba porzucić te różne formułki... — Spokojny, zimny blask rozświetlił jej oczy: — Czyż nie pamięta pan swojej własnej teorji o rytuale?...

Zaśmiała się, słuchając, jak w szarych zakątach starego podwórza powtarza się ten śmiech i bije lekko o blade kamienie...

Ciąglewicz spoważniał.—Proszę cię więc,—rzekł.—Możesz żądać, czego chcesz...

Z dawnego przyzwyczajenia spojrzał na nią pełnem, tłustem okiem miłości.

— Możesz żądać czego chcesz, ale nie możesz burzyć spokoju człowieka...

— Spokoju człowieka,—podchwyciła Maryśka. Wszystko, co razem przeżyli, w jednej sekundzie zjawiło się i znów na zawsze rozpłynęło w mętnem wspomnieniu... — Fran, — czy panu nie wstyd tak mówić?...

— Hehe! He hop!—zawołało coś z dołu, z pod galerji.

Spojrzeli oboje w tę stronę. Był to Ramkie. Wychylony z pod filaru, w rudej peruczce, która na słońcu mieniła się fjoletowo, z oślepiającymi błyskami szkieł na oczach, podobny był do maszkar, jakie kiedyś rzeźbiono w nyżach kościołów.

— Pan Ramkie powie panu dokładnie, o co chodzi...

Ramkie dowiódł odrazu, że doskonale wie, które sprężyny należy poruszyć, aby przyśpieszyć pożyczkę Maryśki i trafikę...

— Myśli pan, że nie zrobi,—zwróciła się do Ramkiego, gdy siedzieli już znowu w dorożce.—Wszystko zrobi...

Zaś profesor klepał ją ukradkiem po fałdach sukni, wystawiał zieloną, spłaszczoną twarz ku jej spojrzeniom i mrużył oczy w gorącym, zmysłowym podziwie:—Ja mówiłem,— łasił się,—że żaden owoc nie ma tyle smaku, ile zraniony... Pani może teraz nas wszystkich prowadzić na koniec świata! —

Maryśka zamyśliła się poważnie i bujając się lekko w dorożce, głaskana ciepłymi promieniami jesieni, odpowiedziała niedbale: — Och, z żadnym z was nie warto chodzić tak daleko...

Ciąglewicz sprowadził zupełnie pożądany zwrot w przebiegu starań Maryśki. Nadał im bardziej szanowną, uniwersytecką cechę. Działał nie z takim pośpiechem, jak Ramkie, lecz bardziej równo i wytrawnie. Umiał też zahaczyć przez jakieś koligacje, via jacyś starostowie i różne dziesiąte wody po kisielach,—nawet o posłów...

— U nas zawsze tak,—tłómaczył jej to u Noworolskiego w Sukiennicach, — każda sprawa, jaką się chce przeprowadzić, wzbiera powoli, jak wrzód... Użycie posła jest nożem, wypuszczającym materję...

Wszystko, co mówił teraz do Maryśki, owiane było zdyszanym, trochę tajemniczym przydechem niepewności. Bardzo lubiła ten przydech, ten jakiś pośpiech wewnętrzny... Napajał on ją błogą pewnością siebie...

Z jakimż spokojem dosytu patrzyła teraz na Rynek, na

podbite słońcem arkady Sukiennic i szare łuki parasoli nad straganami.

— Jakie to dziwne,—rzekła nagle.—Zastanowiło ją bowiem, że właściwie nic oddawna już niema na tym targu... Trochę jabłek, trochę suszonych grzybów, trochę cebuli...

— Co jest dziwne?

Powiedziała mu swą myśl. Tak zbiedniało wszystko, że już nawet na sprzedaż nic niema... Cóż pozostaje? I jak bardzo szanować trzeba choćby te strzępy dawnej, odgrzewanej przyjaźni... Widzisz Fran, — czym źle zrobiła, zwracając się do ciebie znowu?... Powiedz?... Nie przyjemniejże ci teraz myśleć o mnie?...

Nie rozumiał, do czego zmierza?

— Zmierzam do tego, że my kobiety, niczego nie żądamy od mężczyzn za miłość, — i to was demoralizuje... Nie ceni się rzeczy, za którą się nie zapłaciło... My kobiety, kochamy was tylko dlatego, że nas tak strasznie drogo kosztujecie...

Nachylił ku niej swą ciepłą głowę, pachnącą tytoniem i znanym jej jeszcze z dawna vegetalem. — No, —spytał,— a jeśli i nas zaczyna to kosztować?... Jeśli my też zaczynamy płacić i to bardzo drogo?...

— To się jeszcze pokaże... To się jeszcze pokaże... — Rzuciła mu przytem swój nowo zdobyty uśmiech... Polegało to na tem, iż dziwiły się uśmiechowi wysoko uniesione brwi, wzrok pobłażał, zaś usta rozchylały się cichutko, nie wydając wcale głosu a tylko przyśpieszone tchnienie...

— Więc idziemy na posiedzenie Sejmu?...

Poszli na to posiedzenie, gdzie Ciąglewicz miał nadzieję w przerwie załatwić kwestję trafiki napewno...

— Nie wiedziałam, że takie wystawne schody znajdują się tu u nas, w krakowskim magistracie!—

Wchodzili na górę, powoli, głównym wejściem. — Czy pan się orjentuje?

— Nie trzeba wcale, — zaśmiał się po chwili wyrozumiale, — wystarczy iść za głosem... Nie słyszy pani?

Z głębi budynku donosił się głuchy gwar, przerywany od czasu do czasu wybuchami gwałtownego rżenia.

— To napewno tam, — uśmiechnął się Ciąglewicz, biorąc ją pod rękę,—napewno tam...

W westibulu pierwszego piętra czekała ciemna gromadka polityków, niemających prawa głosu i wstępu... Prze-

łykali niespokojnie jakieś milczące postanowienia, trąc ze zdenerwowanych dłoni czarne wałeczki potu na podłogę...

Czekał tu także na Maryśkę Ramkie, lecz o dziwo, nie sam, ale z Kałuckim.

— A cóż pan tu robi, panie Kałucki?

— Czemś trzeba żyć, czemś koniecznie, chociażby polityką,—zachrypiał w odpowiedzi.—Patrzę, jak się Polskę robi i czekam na protekcję.

— No to będziemy razem czekać...

W wielkiej sali za szklanemi drzwiami odbywało się posiedzenie sejmowe... Jakiś ksiądz, czerwony, jak piwonja starał się przekrzyczeć wrzaski całej zgraji posłów. Sala tonęła pół na pół w mroku, tak, że przez szyby nie można było rozpoznać poszczególnych postaci. Zlewały się one w jedno szare gorączkowe drżenie mankietów, ramion, pleców, torsów. Ponad nimi zaś, niby puste pęcherze, to w tym, to w tamtym kierunku, przepływały, nabrzmiałe mętnym połyskiem, głowy posłów...

— To się nigdy nie skończy, — zwróciła się Maryśka do Ciąglewicza, — kiedyż pan dojdzie do swego dygnitarza, z moją trafiką?...

— Ale skończy się, — uspakajał ją Kałucki— wnet się skończy. Niech się pani nie boi... Już się żrą o rezolucję... Zobaczycie państwo, gdy będzie się zbliżać głosowanie... Nadzwyczajny widok... Słyszy pani?...

Z dalekich kątów sali, niczem rozdzierająca się chmura, walił ostry ryk, godząc impetem ku ławom, wprost prezydjum. Siedziało tu kilkunastu zwiędłych i uśmiechniętych staruszków.

— O teraz się konczy, ucieszył się zjadliwie Kałucki,— już ja to znam!... Jak się ma stać coś decydującego,—wtedy stare wirylisty nie mogą wytrzymać ze zdenerwowania i sznureczkiem idą siusiu... Ile to się te nerki napracują przy tych uchwałach narodowych!...

Pokazywał bezczelnie palcem, przechodzących...

— Widzi pani, ten stary cybuszek z pianki?... To Tarnowski... A to jajko przekłute, świszczące, z tymi szarymi odgniotami, jakby mu się brudna słomka do skorupy poprzylepiała?... To Jaworski... A ten rekin czarnooki?... To Abrahamowicz...

Jednego z tych starców przyłapał w przejściu Ciąglewicz...

— Ekscellencja pozwoli...

Ekscellencja, nazbyt jednak widocznie zbolały przebiegiem posiedzenia, nie zatrzymał się, a dreptał dalej ku celowi dyskretnego spacerku.

Ciąglewicz trawersem, z boku.

— Łatwo się panu śmiać, panie Kałucki, — wyrzucała mu Maryśka, — tu się moja trafika waży... — Wydostała się z tłumu, aby chociaż z boku śledzić przebieg rozmowy Ciąglewicza z ekscellencją...

Fran wciąż szedł trzema czwartemi postaci zwrócony ku swemu rozmówcy, kłaniając się przy tem skwapliwie... W tych honorach i czołobitnych „prysiudach" weszła ekscellencja, na końcu korytarza we drzwi, zamykające się hygienicznie tłocznią powietrza.

— No co, no co? — Ramkie wydostawszy się z tłumu, razem z Kałuckim przyłączył się do niej...

— Nic nie wiem jeszcze,—patrzyła wciąż w tamtą stronę,—nic nie wiem jeszcze, widać jeszcze się waży...

— Żeby się nie zważyło,—żartował Kałucki.

Z sali posłów dolatywały ustawiczne wrzenia opozycji jacyś dziennikarze w czarnych, wyświechtanych surdutach zatrzymali się na środku poczekalni. Obok nich, podobna do spasionej myszy, biegła pod górę, brzegiem schodów, znana społecznica, w szarym rajtroku...

Nareszcie wyszedł ekscellencja. Żółtymi, jak selery palcami zapinał notes. Złoty ołówek na czarnym sznurku bełtał mu się aż po kolana...

Z boku Ciąglewicz, w dziękczynnych lansadach...

— Zrobione, zrobione, — oznajmił czekającym... — Nie ulega najmniejszej wątpliwości, sam widziałem... Sam widziałem, jak notował... I pożyczka i trafika... Pewne, całkiem pewne... Nie cieszy się pani?...

— Tak, zapewne, cieszę się, tylko jeszcze troszkę tego nie rozumiem!...—Istotnie trudno jej było zrozumieć, że będzie żyć bez kłopotów i bez trosk... Jakby skały, które ją dotąd otaczały, — rozpadły się — i powstała tak przestronna pustka...

— Owszem, cieszę się, ale żebym to naprawdę zrozumiała, to musimy to oblać... Jakąś elegancką prawdziwą

kolacją w hotelu Saskim, czy co?... Potem i tak już wyjadę...

Trafika miała być aż gdzieś w lubelskiem.

Stanęło na tem, że się zejdą wieczorem w Saskim Hotelu. Tembardziej, że jada tam zawsze generał i wdowa po śpiewaku. Ludzie wpływowi, którym wypada podziękować... Zrobi się wspólny stół... Kałucki obiecał przyprowadzić Janinę... Jak się uda, to sobie potem zagramy, zaśpiewamy...

Maryśkę miał konwojować Ramkie.

Zła była na niego, bo niepotrzebnie ubrał się we frak. — Pocóż takie parady?!

— Po co?... — Pani nie wie, co pani dziś przeżywa... W inny świat pani wchodzi!

— W jaki świat? — Dreptała śpiesznie po krągłych kamykach Rynku, bo późno już było.

— W świat interesów, władz, urzędów... Tam, gdzie się robi pieniądz... Gdzie się robi i gdzie się obraca obficie, jak parzona łupa w korycie...

— Cóż to, wiersze panie Ramkie?...

— Tak, wiersze, zobaczy pani!...

— No dobrze,—mówiła, gdy już wchodzili do hotelu,— a gdy będę miała pieniądze, to co wtedy?...

— Wtedy, — wzruszył się szczerze tem, co mówił, — wtedy zachce się pani innych rzeczy... Będzie pani miała do wyboru:—Albo wybrać sobie porcyjkę szczęścia rodzinnego, albo jakąś sielankę... Czy też „haché" rozpustne,—czy może stare konserwy?...

— Będę miała do wyboru?...

W przedsionkach hotelu owiał ją ciepły wywar bajcowanych mięsiw, zgryz dymu tytuniowego i nuta jakiegoś walca, granego na sali.

Ramkie, przebierając kluczami w kieszeni, czekał, aż sobie Maryśka poprawi w lustrze fryzurę. — Już są nasi... — Poznał bowiem w przedpokoju palto Ciąglewicza.—Już są...

— Nagadał mi pan głupstw i teraz mam tremę.

Nie miała żadnej... Nie można przecież nazywać tremą, niepokoju z powodu nowej sukni... Sukienka prosta, skromna, niby jedwabny liść hawana, ćmiący na twarz złocistem ciepłem. Przy rękawach z wolno puszczonej gazy, przy wycięciu na piersiach i nad paskiem parę smug różowych—oto już cała suknia...

Kapelusz miała do tego, jak marzenie, — w formie ma-

lusiej, aksamitnej ruinki, z której, zmarszczoną wstęgą pąsowej liberty, przelewa się, jakby sama krew... Aż na czoło. Jej ciemna twarz, wpisana w łuk przydymionych gazą ramion, podobała się jej w lustrze. Oczy mrużyły się lekko, niczem w przeciągu radosnego światła, po matowych policzkach zsuwał się blask, więznąc w bladych, szeroko rozkrojonych ustach... Ramkie miał rację, te usta miały rzeczywiście kształt zadanej rany...

Odjęła ręce wolnym ruchem od głowy:—No to wejdźmy...

Szli głównem wejściem, między stolikami, przez błyszczące opalonym dymem powietrze, Maryśka, za nią Ramkie, aż spocony ze szczęścia. Aby sobie dodać animuszu, wysuwał naprzód dolną szczękę, ruchem górnej wargi zapychając ryży wąsik do dziurek od nosa.

Maryśka rozdęła chrapki: Znajome towarzystwo siedziało pod ścianą. Na pierwszem miejscu, w zielonych jedwabiach, niby gładka renkloda, tkwiła szanowna wdowa, po prawem jej ręku generał w śliwkowej bluzie, po lewem, w czarnym żakiecie Ciąglewicz, podobny do czarnego strąka Dalej między panami Janina. Na szarym końcu, jak owalany ziemią kartofel,—Kałucki w polowym mundurze.

W czasie zawijasów przywitania zauważyła Maryśka, że stół przybrany jest białymi kwiatami. To już z pewnością pomysł Ciąglewicza.

Nadawały one sztywnemu płótnu zwiewnej płynności, tuląc się tu i ówdzie do białej tkani, niby niebieskawym cieniem grające perły.

Ledwo zdążyła usiąść, gdy wziął ją w obroty swej kościstej konwersacji wyświeżony generał.

Poczesując stalowe poły wypomadowanego rozdziałku, dzwoniąc szeregiem pstrych orderów, brał od czasu do czasu przedramię Maryśki i przypatrując mu się, uważnie, ni to cennej klindze, składał na niem dziękczynne pocałunki.

— Bowiem tak, tak, rzeczywiście, — skrzeczał dziwną z najrozmaitszych języków słowiańskich, skleconą gwarą, — wtedy na górce bei Limanowa... Zjawiła się pani,—wie eine Walkürie...

Ścigał te komplementy tępem spojrzeniem profesor Ramkie i wdowa, z której pleców, niby zielona skóra owocu, zsunął się jedwabny szal, odsłaniając miąższ, znacznie zwiotczały...

Ciąglewicz zaś, stale obrzucając ją komplementami, wy-

ciągał się tęsknie ku Maryśce... Układał przy tem swą twarz w model pięknej rzeźby, zupełnie podobnej do tych, jakie wieńczą oparcia empirowych foteli.

A gdy nakoniec koło świetuego stołu, na specjalnym stoliku stanęła jakaś flaszka osobliwa, w srebrnej wazie, z lodem,—miała Maryśka wrażenie, że dociera do mety, poza którą, od dziś, nigdy się już nie cofnie...

— Nie może być większego święta, — rzekł Ciąglewicz napełniając jej kieliszek,—jak gdy dawni znajomi nawiązują węzły stargane... W każdem słowie tyle wrogiej przeszłości, w każdym ruchu tyle nadziei się rodzi...

Maryśka powiodła wzrokiem po sali, by się przekonać, czy ludzie widzą dobrobyt jej i blask... Niestety znaczna część stolików opustoszała już... To, co mówił Ciąglewicz napełniało ją pustą wesołością... Och,—śmiała się z tego wesoło, jak muszą się śmiać bogate kobiety, gdzieś chyba na ucztach, w Nizzy, na południu...

Podawano już kompoty, można się było ruszać swobodniej. Maryśka przesiadła się do Janiny.

— Czy nie marzyłaś kiedy w życiu, — pytała, — żeby spróbować prawdziwie wesołego życia? Żeby było wino ładnie ubrani męczczyźni, duża sala... Ja sobie teraz postanowiłam otworzyć taki sezon... Niech na mnie też raz patrzy ktoś zazdrośnie, płaszcząc sobie nos o szybę...

Nie,—Janina nigdy serjo nie marzyła o tem... Prawdę mówiąc, to właśnie czuje się stworzoną do miłego skromnego życia rodzinnego. Właśnie szukając go, zabrnęła aż tu...

— To jest,—gdzie?...

Trzymały się za ręce, po przyjacielsku...

— Gdzie?... Tu... Szukając tego życia rodzinnego, poszłam do teatru, na scenę, do szpitała,— i aż do Kałuckiego... Nie można bezkarnie chcieć prawdy, — zamyśliła się, przerzucając w sinych ze zdenerwowania palcach, białe jak śnieg płateczki róży. — Gdy tylko chcemy jednego, — życie nas ku czemu innemu na przekór ponosi...

— Nie wierz temu, — dyszała Maryśka lekko, nowym swym uśmiechem, którego nie słychać, bo tylko wązko rozchylone wargi wioną tchnieniem spłoszonym,—temu nie wierz... Jest całkiem inaczej... Trzeba tylko pamiętać, co mawiał jeszcze Smolarski, że człowiek sam nigdy nie jest winien...

Chyba już teraz można z tobą o Smolarskim mówić całkiem swobodnie?...

— Och...—Najzupełniej...

— Otóż, proszę cię, Smolarski miał rację... Ja sobie też w pewnej chwili mego życia powiedziałam, że nie jestem winna!... Oczywiście, że taką rzecz trzeba okupić... Ale teraz,—co za ulga!! Jakie zdrowie w tych obitych bokach!... I teraz już wszystko może ze mnie być... Nic mnie nie może złamać...

Musiały przerwać tę serdeczną gawędę, gdyż generał opowiadał coś ważnego, z czego, jak to czuli wszyscy, toast uroczysty wyniknie...

Opowiadał mianowicie historję, która może się wydaje unzulässig i schoking, —a jednak... Jako żołnierz i patryota nie mógł tej sprawy pominąć... A mianowicie, skoro wszyscy narzekają, — czy wojna jest szkodliwa, czy też przeciwnie, — może jest ona błogosławieństwem kraju i ludzi?... Najlepiej,—przykład z praktyki...

Generał z klubowym rozmachem trzasnął językiem o podniebienie: Wojna podnosi sfery i daje ludziom się wybić... Kto nie ma dziś „pieniądze"?! Każdy ma!... Kto nie ma dziś stanowisko?! Każdy ma! Każdy się wybija!...

Generał sam znał tu w Krakowie „frisches Màderl"... Zwykłą służącą... Nie mówi się kto... Ona w przeciągu, trochę więcej, niż rok,—jest już dama... Podczas oblężenia, — pokoje umeblowane dla panów oficerów... W przeciągu, trochę więcej, niż rok,—ona już jest dama... Dziś,—tu zwrócił się pojednawczo do wdowy,—dziś ma pension de famille, gdzie stoją pierwsze osoby... Dziś jest eine hübsche Erscheinung, ożeniona z mężem, pani profesorowa... I tak jest wszędzie z całą Polską... Czy pani,—zwrócił się do Maryśki,—mogłaby kiedyindziej tak spokojnie siedzieć, tak pięknie ubrana!...

Dlatego generał, szanując przekonania wszystkich, wniósł na ręce zielonej wdowy, tak zasłużonej przy wdowach i sierotach,—mały toast na cześć wielkiej wojny.

— A krzyczeć można,—dodał, marszcząc czerwoną i jak zbity befsztyk popękaną twarz,—na zdar, czy jak kto chce!...

Dopiero po odejściu wdowy rozpętała się zabawa na dobre. Przyłączyło się jeszcze całe towarzystwo jakichś obcych ludzi. Kałucki chciał śpiewać, ale mu się głos z gardła wydobyć nie chciał... Płakał więc na kamizelkę Ciąglewicza

i odgrażał się, że mu nic nie pozostało, jak tylko wózek kupić i śliwki w nim rozwozić...

— Co też pan wygaduje, droga małmazjo?!

— Mówię pani.— Z oczu kapały rzeczywiste łzy. Wychylił głowę z kapralskiego kołnierza, jak z obroży:—Bo na co to wszystko? Zebym przynajmniej wiedział, na co człowiek stracił głos, siebie całego stracił?!... Wszystką radość... I niczego się doczekać nie może! Nie tak się dawniej śpiewało! Nie tak się żyło! Tylkośmy tak zżołdaczeli, że ludzie nawet już nie widzą i nie rozumieją wdzięku wspominania...

Znow przysiadł się do nich Ciąglewicz, potwierdzając skinieniem głowy, ostatnie słowa profesora.

— Czy ja nie wolałem siedzieć z wami, – chlipał Kałucki, – tak jak, kiedyś, kiedyś... Czy pani pamięta, — wtedy, tuż przed wybuchem?... Ten idjota, generał wznosi toast na cześć wojny!... Czy ja nie wolałem siedzieć z wami pod Czarnym Osłem?!... Słuchać improwizacji tego warjata Zatorskiego?!... Jak to on nam wtedy „tradował"?...

Ciąglewicz, który miał uniwersytecką pamięć, przypominał sobie bieg tej dyskusji doskonale. Przerabiając subtelnie palcami w pasmach swych włosów,—streścił owo przemówienie Zatorskiego, wychodzące mniej więcej z wichrowatej zasady,—że niby „słońce, krew i łzy". Coś w tym duchu...

Musiało być bardzo późno, bowiem światła pogasły. Dla zwykłej publiczności lokal był już zamknięty. Wielka sala grążyła się w pomroku. Tylko jeszcze po bokach błyszczały oświetlone ściany skrzydłowych ubikacji. Jakgdyby mroczna przestrzeń, w której siedziało całe towarzystwo miała sztywne, złociste skrzydła...

Generałowi zachciało się muzyki...—Grać, śpiewać, proszę,—a potem będziemy tańczyć... Kałucki sam śpiewać nie mógł, ale jego uczennica...

Wyprowadzili ją we dwuch, z Ramkiem, na ciemną estradę.

— Będzie,—modlitwa świętej Elżbiety z Tannhausera,—objaśniał Kałucki,—zaraz to państwo usłyszycie... A ty, Janinko, trzymaj się!

— Te białe róże znaczą,—szeptał demonicznie do ucha Maryśki Ciąglewicz,—że to, co było, jest bezpowrotnie skończone...

Umilkli, bo zaczął się śpiew. Niesforne fale twardego

głosu rwały się z piersi Janiny, Kałucki w polowym mundurze chwiał się przy fortepianie, jak szary ziemniak, cała sala drżała od nieokiełznanych wylewów frazy...

— To nie jest żaden śpiew,—wrzasnął nagle Kałucki.— Morduje się tylko człowiek, słuchając, jakby trupa ciągnął!...

Janina zaczęła coś mówić na swe usprawiedliwienie i znów przeplotła to kilku frazami, wyciągnąwszy je sobie z piersi bezradnym ruchem rąk...

— Also, drugi numer programu, drugi numer,—komenderował generał.

Ramkie,—na skrzypcach, pozostawionych przez muzykanta...

— Mój motecik, pani Maryśko!...— Zeszedł z estrady i blady, jak płótno, zjawił się przed Miechowską:—Więc wie pani, co gram?... Na dole afisza, na samym brzeżku, mój mały motecik...

Ciemne, błyszczące skrzypce wychyliły mu się z pod brody, niby kadłub kościsty... W połowie drogi motecik się zawiązał na jakiś nierozplątany guz... Wpadł w to Kałucki, tłukąc po klawiaturze rozbuchanego walca...

Zaczęto tańczyć. Generał z Janiną, Ciąglewicz z Maryśką...

Te białe róże, — mówił wśród tury Fran, oddychając wonnie na przegiętą szyję Miechowskiej,—znaczą, że wszystko skończone... Że możemy zacząć na nowo...

Odpowiedział mu jej nowy śmiech,—któremu dziwią się brwi maluśkim aksamitnym łukiem.

Tańczyło się między stolikami.

Maryśce wirowała w oczach twarz Ciąglewicza, zmięszana ze sylwetką Ramkiego. Skrzypek stał na brzegu podjum, oświetlony od dołu, z trupim odblaskiem białego gorsu na twarzy. A smykiem, który lśnił w mroku, niczem sztywna blizna, kreślił takt,—w prawo i w lewo...

— Że możemy zacząć na nowo?—pytała Maryśka, mrużąc w tańcu oczy.—Ach Fran!... Gdyby lew szwajcarski uciekł z pomiędzy wiszących w przedpokoju płaszczów... Gdyby klucz szambelański, ten co leży u ciebie, w gablotce, na kościuszkowskiej filiżance, stanął tam nagle dęba... Gdyby ten krzywonogi Dwernicki, u ciebie, z obrazu wyruszył... Przyznaj, że te wszystkie rzeczy są na swych dawnych miejscach... Widzisz, musiałbyś ponieść zbyt wiele ofiar... A ja

teraz już jestem trochę niebezpieczna... Ja też szukam sobie życia na cudzy rachunek... Dopiero teraz wiem, jak polować na prawdziwą miłość...

Było już chyba nad ranem, gdy wyszli całą bandą z hotelu.

Obrażony Ciąglewicz pożegnał się i odrazu odłączył od towarzystwa. Kałucki, Janina z generałem pociągnęli ku plantom, Ramkie odprowadzał Maryśkę.

We dwoje szli wolno przez Rynek, słuchając płaskiego echa własnych kroków.

Nagle, tuż przy kościele Panny Marji, naprzeciw srogiego frontonu świętej Barbary, Ramkie zatrzymał Maryśkę...

Czy pamiętasz?...

Odwróciła się... Patrzyły na nią zielone oczy profesora, okrągłe, blade, jak oczy psa... Cieniutkie piski wyrywały mu się nieskładnie z pomiędzy słów...

— A czy pamiętasz, że myśmy też, już raz w życiu, mieli altankę naszą... — Oczy mu usztywnił szklany blask. — W szkole... W szkole... Wszyscy cię tam oglądali, wszyscy cię tam ruszali... Taka kwaśna słodycz... Taki śliczny nadmiar... Zielone liście. blade nagie nóżki i różowa ranka wąziutka...

Skomląc żałośnie, z oczyma utkwionymi w jej oczy, ukląkł na bruku: — Wszyscy, tylko ja jeden nie chciałem... Za to teraz... Za to teraz... Za to teraz...

— Poszedł precz!—krzyknęła tupnąwszy nogą.

Bez szelestu, z niepojętą zręcznością odskoczył w tył, nie podnosząc się... I patrzył na nią wciąż okrągłymi oczami, w których się paliła biała iskra psiej wierności...

Podeszła ku niemu spokojnie, jak do opanowanego już zwierzęcia...

— Nie trzeba tak, profesorze, nie trzeba,—nie ładnie... Ja też, kiedyś, na tem samem miejscu biegałam, jak opętana... Nie ładnie, bardzo nie ładnie...

Dyszał na jej ręce pośpiesznym, niespokojnym oddechem.

— No dość już, — pochyliła się, biorąc żartobliwie w palce rude włosy jego peruczki, zimne, jak kudły.

— No dość już... Wstać i grzecznie za nogą iść...

KONIEC.

Grudzień, Kraków 1917—Wrzesień, Krynica 1918.

		Mk.	f.
Grabiec J.	Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego	7	50
	w opr. kart. 9.50 w opr. pł.	11	50
—	Dzieje Współczesne (1871—1918). cz. I	5	—
—	— — — — cz. II	12	—
—	Powstanie Styczniowe 1863—1864 br. 8.50 w opr. kart.	11	50
—	Akt 5 listopada a Sprawa Polska	1	—
—	Ku czemu Polska pójdzie	1	—
—	Sto lat walki o prawa Królestwa Polskiego 1815—1915	1	—
—	Syonizm niepodległościowy przeciw Państwu Polskiemu	1	—
—	Zagadnienie Sejmu Niepodległego Królestwa Polskiego	1	—
Hahn M. dr. prof.	O wyborze zawodu. Praca zaw. a właściw. organ.	1	50
Hertz B.	Henryś. Powieść dla dzieci kart. 8. opr. pł.	10	—
—	Bajki minionych dni brosz. 2.—	4	—
—	Przygody Magdusi. Powieść dla dzieci	5	—
Heryng Z.	Finansowe podstawy bytu ekonomicznego w niepodległej Polsce	1	—
Hoffman A. dr. prof.	O wyborze zawodu. Praca zaw. a ustr. nerw.	1	25
Homolacs K.	Bajka o Kosturku, Azie i Burku	5	—
Hryncewicz-Talko I. Prof.	Człowiek na ziemiach naszych	12	—
	w opr. kart. 15.— w opr. pł.	22	—
Iłłakowiczówna I. K.	Trzy struny. Poezje 3.— w opr.	5	—
Jabłczyński F.	U stóp Partenonu. Opow. z dz. Grecji dla młodz.	3	—
Jedlicz J.	Nieznanemu Bogu. Poezje	8	—
	w opr. kart. 6.— w opr. zamsz.	8	—
Jur P.	Wiosenne dni. Powieść	5	—
Kaden J.	Proch.	10	—
—	Łuk. Powieść. . (w druku)		—
Karpowicz St.	Ideały i metody wychowania spółczesnego	2	50
Kasprowicz J.	Wybór poezji	3	75
	w opr. kart. 6.75 w opr. zamsz.	8	75
Katerla J.	Róża. Dramat niesceniczny brosz. 6.40 w opr.	11	40
Konopnicka M.	Jak się dzieci w Bronowie bawiły	7	50
Korczak J.	Bobo	3	75
—	Jak kochać dziecko. Dziecko w rodzinie	7	—
—	Józki, Jaśki i Franki w opr. pł.	10	—
—	Mośki, Joski i Srule w opr. kart.	7	50
—	Sława kart.	3	—
Koszutski St.	Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego w ostatnim trzydziestoleciu (1870—1900).	10	—
Krasiński Z.	Poezje wybrane. w układzie St. Wyrzykowskiego	3	75
	w opr. kart. 6.75 w opr. zamsz.	8	75
Kutrzeba St.	Królestwo i Galicja. Uwagi z czasu wojny	4	—
Kwiatkowski R.	Chiakunin-izszu czyli ze stu poetów po jednej pieśni		
Lagerlöff Selma.	Cudowna podróż cz. I, II i III po	8	—
—	— — 3 cz. razem	20	—
Lazarusówna F.	Moja gromadka. Opow. dla dzieci	3	50
Leonardo da Vinci.	Pisma wybrane. Wybór, układ, przekład i wstęp Leopolda Staffa 2 t. z rysunkami brosz. 20.— w opr.	30	—
Leśmian B.	Klechdy sezamowe w opr. kart.	7	50
—	— — z ilustracjami — —	15	—
—	Przygody Sindbada żeglarza w opr. kart.	7	50
—	Sad rozstajny. Poezje	3	75
	w opr. kart. 6.75 w opr. zamsz.	8	75
Lewes J. H.	Historja filozofji starożytnej	5	—
Ligocki E.	Sambra i Moza	10	—
Limanowski B.	Dzieje Litwy	2	—
—	Historja powstania narodu polskiego 1863/1864 r.	10	—
—	Szermierze wolności.	12	—
Liryka francuska	serja I. Przekład Br. Ostrowskiej	3	75
	w opr. kart. 6.75 w opr. zamsz.	8	75
—	— — II. — —	3	75
	w opr. kart. 6.75 w opr. zamsz.	8	75
Lorentowicz Jan.	Polska Pieśń Niepodległa. Zarys literacki	3	75
	w opr. kart.	6	75
Madeyski St.	Marsz zuchowatych	3	—
Maier G.	Prądy i teorje społeczne brosz. 4.— w opr. pł.	7	—
Melcer H.	Płynące godziny. Poezje	1	90
Minkiewicz R.	O pełni życia i o komunie duchowej	2	50
Mirandola F.	Tempore Belli. Opowieść z dziejów rządów rosyjskich w Galicji	5	—
Molnar Fr.	Chłopcy z placu broni. Pow. dla młodz. w opr. kart.	5	—
	w opr. pł.	10	—
Mortkowiczowa J.	Przygoda w lesie. Bajki dla dzieci	5	—
—	Radosny dzień. Książka dla dzieci	3	50
—	Stacho		—

	Mk.	f
Mortkowiczowa J. Wychowanie estetyczne	2	25
— Zaczarowana wyspa. Bajki dla dzieci	7	50
— Z naszej szkoły. Opow. o tem. jak dzieci pracow	5	—
Mortkowiczowa J. i Sempołowska S. W pamiętnym roku wojny. Książka zbiorowa dla młodzieży. Ilustracje S. Norblina	7	50
— — W słońcu. Rocznik dla dzieci brosz. 7.50 w opr.	10	—
— — Z bliska i zdaleka. Rocznik brosz. 10.— w opr. kt.	15	—
Myśl Polska. Zeszyt pojedyńczy po	3	—
— — Komplet za lata 1915, 1916 i 1917. 6 tom. w opr. pł.	98	50
Nal i Damajanti. Baśń staroindyjska z ksiąg Mahâ-Bhâraty. Z sanskrytu przełożył A. Lange	—	
Nalepiński T. Kazia. Powieść.	—	
Nałkowska-Rygier Z. Moje zwierzęta. Ilustr. C. Aldina	4	—
Nietzsche Fr. Dzieła. Przełożyli: W. Berent, K. Drzewiecki, L. Staff, St. Wyrzykowski.		
— tom: I Tako rzecze Zaratustra wyd. tanie	6	—
wydanie większe	10	—
— — II Poza dobrem i złem	7	50
— — III Z genealogji moralności	7	50
— — IV Dytyramby Dyonizyjskie	2	50
— — V Zmierzch Bożyszcz	5	—
— — VI Wiedza radosna	8	50
— — VII Jutrzenka	8	50
— — VIII Antychryst	4	—
— — IX Narodziny tragedji	—	
— — X Ludzkie—arcyludzkie	8	50
— — XI Wędrowiec i jego cień	8	50
— — XII Wola mocy	10	—
— — XIII Niewczesne rozważania	7	50
— Ecce homo (Suplement)	5	50
Oprawy kart. po 3.— oprawy pł. po 6.— oprawy zamsz.	7	50
Norwid C. Pisma wybrane t. A. cz. I i II. Pisma wierszem. Dział pierw.	40	—
— t. C. Pisma dramatyczne. Dział pierwszy	20	—
— t. E. Pisma prozą. Dział pierwszy. Legendy i nowele.	20	—
oprawa pł. 10.— oprawa zamsz. 7 50 — oprawa skór.	30	—
Novalis. Pisma t. I. Henryk Offterdingen	5	—
w opr. pł. 7.25 w opr ½ skór.	9	—
Nowaczyński-Neuwert A. Smocze gniazdo albo wybawienie djabła z szlacheckiej opresji. Dramat brosz. 5.50 wyd. droższe	10	—
Orkan Wł. Młoda Ukraina. Wybór nowel zebrał i tłomaczył...	6	—
Orsza H. Na ziemi polskiej przed wielu laty	5	—
Ostrowska Br. Chusty ofiarne. Poezje	3	75
w opr. kart. 6.75 w opr. zamsz.	8	75
— Książeczka Halusi.	6	—
— O Janku Płanetniku	5	—
Pastorałka złożona z 7 kolend Rys. Z. Lubańskiej.	10	—
Pawlikowski J. G. Studjow. nad Królem Duchem część pierwsza; Mistyka Słowackiego	16	—
Poincaré H. Nauka i hypoteza	5	—
— Nauka i metoda	7	50
— Wartość nauki brosz. 5.— Oprawy pł. po	3	—
Renan E. Żywot Jezusa brosz. 2.— wydanie droższe	4	—
Rogoszówna Z. Dziecinny dwór	5	—
— Pisklęta. Nowele	4	—
Rogoszówna Z. i Rogosz-Pieńkowska J. W słoneczku. Poezje dla dzieci i młodzieży	10	—
Rygier-Nałkowska Z. Węże i róże.	7	—
Rzymowski W. Polskie-Arcypolskie (w druku)		
S. A. M. Idea w ruchu rewolucyjnym	2	—
Schlaf J. Wiosna. Przeł. i wstęp. zaopatrzył St. Przybyszewski	5	—
w opr pł.	8	—
Selmer Gjems Agot. Dzieciństwo mateczki		
— Nad dalekim, cichym fiordem, il C. Larsona	5	—
— Siostrzyczka. Ilustr. C. Larsona	5	—
Sempołowska S. Po pracy	—	
— Reforma szkolna 1862 r.	1	90
— Zapomniana karta	—	50
Sempołowska S. i Unszlicht-Bernsteinowa J. Dla przyszłości. Czytania dla młodzieży i dla dorosłych		
cz. I. My—ludzie i przyroda	2	-
— II. Religja w życiu ludzkości	2	50
— III Człowiek i ludzie. (Za wolność)	4	

	Mk.	f.
Siedlecki M. Prof. Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z podróży	16	—
w opr. kart. 20.— w opr. pł.	26	—
Sieroszewski W. Bajki	10	—
— Beniowski. Powieść hist. brosz. 7.50 karton	10	50
Wyd. na lepszym pap. w opr. kart. 12.— w opr. pł.	16	—
— Ocean. Powieść hist. brosz. 9.50 w opr. kart.	12	50
Wyd. na lepszym pap. w opr. kart. 15.— w opr. pł.	18	—
— Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży	10	—
Słoński Ed. Jak to na wojence...	6	—
Słowacki J. Pisma mistyczne w wyb., ukł. i oprac. St. Wyrzykowskiego		
brosz. 5.50 w opr. kart. 8.50 w opr. zamsz.	10	—
— Utwory liryczne. Wybór. i układ St. Wyrzykowskiego	3	75
w opr. kart. 6.75 w opr. zamsz.	8	75
Słowniczek wyrazów obcych polityczno-społecznych	—	50
Smoleński J. dr. Krajobraz Polski	7	50
w opr. kart. 10.— w opr. pł.	17	50
Sombart W. Socjalizm i ruch społeczny	6	—
Strug A. Chimera. Powieść brosz. 10.— w opr.	13	—
— Dzieje jednego pocisku. Powieść brosz. 7.50 w opr. kart.	10	50
— Portret. Powieść	7	50
Szarzyński J. E. W Karpatach. Powieść dla młodzieży	5	—
Szczęsny Al. Kolorowe okienko. Bajki dla dzieci kart. 5.— w opr.	10	—
— Pieśń białego domu. Książka dla młodzieży kart.	5	—
w opr. ozdob.	10	—
— To co się stało. Poezje	3	—
w opr. kart. 6.— w opr. zamsz.	8	—
Śliwiński A. Powstanie listopadowe w opr. kart.	10	—
Staff L. Oczy otchłani brosz. 3.— w opr.	5	—
— Pieśń o skowronku brosz. 3.— w opr.	5	—
— Sady bzosz. 3.— w opr.	5	—
— Wino miłości brosz. 3.— w ppr.	5	—
Thackeray W. Pierścień i róża w opr. kart.	6	50
Toeplitz T. Druga izba Polskiego parlamentu	2	—
— Próba nowego administracyjnego podziału Król. Polskiego Z 2 mapami	2	—
Trojanowski W. Malarstwo Włoskie z 40 planszami	20	—
w opr. pł.	30	—
Verlaine P. Wybór poezji. brosz. 3.75 w opr. kart.	6	75
Walewska Jehanne M. (hr. Wielopolska). Faunessy. Pow. dzisiejsza	7	50
— — — Kryjaki. O 63 roku opowieść Z przedmową S. Żeromskiego	7	50
— — — Synogarlice	4	50
Wasilewski L. Kresy Wschodnie	6	—
Wilde O. Opowiadania w opr. kart.	5	—
Wroczyński K. Circenses. Poezje	3	50
Zabojecka M. Powieść o duszy polskiej brosz. 6.— w opr	9	—
Zych M. Echa leśne	3	20
— Rozdziobią nas kruki, wrony...		—
— Słowo o Bandosie	2	—
Żeromski S. Charitas. Powieść współczesna.	20	—
— Duma o hetmanie (w druku)		
— Dzieje Grzechu (w druku)		
— Nawracanie Judasza	10	—
Wyd. lepsze w opr.	20	—
— Początek świata pracy.	3	—
— Popioły wyd. nowe 3 tomy	30	—
— Powieść o Udałym Walgierzu brosz. 4.— w opr.	7	—
— Projekt Akademii Literatury Polskiej	2	50
— Sen o szpadzie	1	50
— Sen o szpadzie i sen o chlebie	3	—
— Sułkowski. Tragedja brosz. 8.— w opr. pł.	13	—
— Syzyfowe prace	12	—
— Uroda życia 2 tomy brosz. 15.— w opr. pł.	25	—
— Wierna rzeka brosz. 10.— w opr. pł.	15	—
— Wisła brosz. 3.— w opr.	5	—
— Wszystko i nic. „Popiołów—sprawa druga". brosz. 4.— w opr.	6	—
— Zamieć	10	—
Wyd. lepsze w opr.	20	—
Żywot chłopa polskiego na początku 19-go stulecia. Do druku podał M. Handelsman	2	75